

GRA SZKLANYCH PACIORKÓW

Próba opisu życia magistra ludzi Józefa Knechta
wraz z jego spuścizną pisarską

TŁUMACZYŁA
KURIA KURECKA



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE • POZNAŃ • 1971

...non entia enim lieet quodammodo levibusque hominibus jacilius atque incurioshis verbis reddere quam entia, verumtamen pio diligentique rerum scriptori plane aliter res se habet: nihil tantum repugnat ne verbis illustretur, at nihil adeo necesse est ante hominum oculos proponere ut certas quasdam res, auas esse neque demonstrari neque probari potest quae contra eo ipso, quod pii diligeniesque viri illas quasi ut entia tractant, enti nascendique facultati paululum appropinquant.

ALBERTUS SECUNDUS

iract. de cristal!. spint. ed. Clausor et Collof. lib. I, cap. 28

W odręcznym przekładzie Józefa Knechta:

...choć bowiem ludziom lekkomyślnym łatwiej poniekąd i nieodpowiedzialnie] przedstawiać słowami rzeczy nie istniejące niż istniejące, dla pobożnego a sumiennego dziejopisa rzecz ma się zgoła przeciwnie: nic trudniejszego nad ukazanie w słowach, jednocześnie przecie nic też konieczniejszego nad ukazanie ludziom pewnych rzeczy, których istnienie ani daje się udowodnić, ani jest możliwe, które wszelako właśnie wskutek tego, iż ludzie pobożni a sumienni jako istniejące je traktują, przybliżone zostają o krok do bytu i możliwości swych narodzin.

Wprowadzenie:
Gra szklanych paciorków

W książce tej zamierzamy zawrzeć skąpe materiały biograficzne, jakie zdołaliśmy odnaleźć na temat Józefa Knechta, magistra ludzi, Józefa III, jako nazywany jest w archiwach gry szklanych paciorków. Nie zamykamy oczu na fakt, że próba ta stanowi, lub co najmniej wydaje się stanowić sprzeczność z istniejącymi zasadami i obyczajami życia duchowego. Jedną bowiem z kardynalnych reguł duchowego naszego żywota polega przecież na zatarcu indywidualności, na możliwie najdoskonalszym podporządkowaniu jednostki nauce oraz hierarchii instytucji wychowawczej. A zasada ta została w ciągu wieloletniej tradycji tak dalece urzeczywistniona, że trudno dziś niesłuchanie, a w wielu wypadkach okazuje się to wręcz niemożliwe, odnaleźć biograficzne lub psychologiczne szczegóły, dotyczące poszczególnych osób, które wybitne usługi oddały owej hierarchii; w nader licznych przypadkach nie można już nawet ustalić imion tych osób. Do cech życia duchowego naszej prowincji przynależy już po prostu, iż hierarchiczna jego organizacja hołduje ideałowi anonimowości i że bardzo bliska jest urzeczywistnienia owego ideału.

Lecz jeśli mimo to obstawaliśmy przy naszej próbie ustalenia pewnych szczegółów z życia magistra ludzi Józefa III i naszkicowania sobie, choćby pobieżnie, obrazu jego osobowości, postępowaliśmy tak — jak mniemamy — nie

z racji kultu jednostki ani nieposłuszeństwa względem obyczajów, lecz przeciwnie, powodowani jedynie chęcią oddania przysługi prawdzie i nauce. Myśl to nie nowa: im ostrzej i bezwzględniej formułujemy jakąś tezę, tym nieuchronnie] domagać się ona będzie antytezy. Uznajemy i szanujemy ideę stanowiącą podstawy anonimowości naszych instytucji i naszego życia duchowego. Wszelako wgląd w prehistorię owego życia, mianowicie w dzieje rozwoju gry paciorków szklanych, wykazuje niezbicie, iż każda faza tego rozwoju, każda jego rozbudowa, każda zmiana, każda istotna cezura, niezależnie od tego, czy będziemy je sobie tłumaczyć w sposób postępowy, czy konserwatywny, nieodmiennie ukaże nam wprawdzie nie jedyne i właściwego jej sprawcę, lecz najwyraźniejsze jej oblicze właśnie w postaci tego, kto ową zmianę wprowadził, stając się narzędziem przekształcenia i udoskonalenia.

Wprawdzie to, co dziś rozumiemy jako osobowość, różni dę znacznie od pojęć, jakie na ten temat mieli biografowie i historycy w czasach dawniejszych. Dla nich, zwłaszcza zaś dla autorów z owych epok, w których występowały tak wyraźne skłonności biograficzne, istotę osobowości zdawało FJę tworzyć wszystko, co wyjątkowe, anormalne i niepowtarzalne, częstokroć wręcz patologiczne, podczas gdy my, współcześni, dopiero wówczas mówić zaczynamy o wybitnej osobowości, gdy napotykamy ludzi, którym udało się bez śladu aspiracji do jakiegokolwiek oryginalności czy niezwykłości, w sposób możliwie najdoskonalszy podporządkować się ogólnie obowiązującym zasadom i najdoskonalej <!użyć temu, co ponadosobowe. Dokładniej rzecz rozpatrując stwierdzimy, że już starożytni znali ów ideał: postać „mędrca” czy „człeka doskonałego” na przykład u dawnych Chińczyków lub sokratyczny ideał nauki o cnocie ledwo da się odróżnić od dzisiejszego naszego ideału, niejedna zaś wielka organizacja duchowa, choćby Kościół Rzymski w okresach swej największej potęgi, znała podobne zasady, niektóre zaś z najwybitniejszych w nich postaci, na przykład święty Tomasz z Akwinu, wydają się nam, na podobieństwo wczesnych rzeźb greckich, raczej klasycz-

nymi przedstawicielami pewnych typów niż pojedynczymi osobami. Lecz mimo wszystko ów dawny, prawdziwy ideał zaginął niemal całkowicie w czasach poprzedzających reformację życia duchowego, która rozpoczęła się w dwudziestym stuleciu i której jesteśmy spadkobiercami. Zdumiewamy się, odnajdując w ówczesnych biografiiach obszernie relacje o ilości rodzeństwa bohatera lub też o psychicznych urazach czy uszczerbkach, jakich doznał odrywając się od dzieciństwa wskutek dojrzewania, walki o uznanie lub zalotów miłosnych. Nas dzisiaj nie interesuje ani patologia, ani dzieje rodziny, ani popędy, ani trawienie, ani też sen bohatera; nawet historia jego duchowego rozwoju i wykształcenia przez ulubione studia i ulubioną lekturę etc. "wydaje się nam niezbyt ważna. Bohaterem godnym szczególnego zainteresowania jest dla nas jedynie ten, kto z natury i dzięki wychowaniu potrafi zatracić w sposób niemal doskonały własną osobę w jej funkcji hierarchicznej, nie tracąc jednak przy tym silnego, świeżego a godnego podziwu impulsu, decydującego o indywidualnej wartości. Jeśli zaś pomiędzy jednostką i hierarchią powstają konflikty, uważamy je właśnie za kamień probierczy danej osobowości. I choć bynajmniej nie aprobujemy buntownika, którego żądze i namiętności nakłaniają do naruszenia ładu społecznego, czcimy przecież pamięć prawdziwie tragicznych ofiar.

Tam właśnie, wobec bohaterów, wobec tych ludzi prawdziwie za przykład służyć mogących, zainteresowanie osobą, imieniem, obliczem i gestem wydaje nam się dozwolone i oczywiste, gdyż nawet w najdoskonalszej hierarchii, najsprawniejszej organizacji bynajmniej nie widzimy maszyny złożonej z martwych, w istocie obojętnej części, lecz żywe, z cząstek złożone, a przez organa swoje ożywione ciało, którego każda cząstka zachowuje swą właściwość i swobodę, współuczestnicząc w cudzie życia. W tym też sensie usiłowaliśmy zebrać wiadomości o życiu mistrza gry szklanych paciorków, Józefa Knechta, zwłaszcza zaś o wszystkim, co sam napisał; zdobyliśmy też sporo rękopisów, które uważamy za godne przeczytania.

To, co mamy do przekazania o życiu i osobie Knechta, znane jest już zapewne w całości lub po części członkom zakonu, a zwłaszcza graczom szklanych paciorków, i choćby z tej już przyczyny książka nasza zwraca się nie tylko do tego grona, lecz spodziewa się uzyskać i poza nim pełnych zrozumienia czytelników.

Dla węższego owego kręgu książka nasza nie potrzebowałaby wstępu ani komentarza. Ponieważ jednak pragniemy pozyskać dla życiorysu i pism naszego bohatera grono czytelników i spoza zakonu, przypadło nam w udziale niełatwe raczej zadanie opatrzenia tej książki — dla owych mniej przygotowanych czytelników — niewielkim, popularnym wprowadzeniem w sens i dzieje gry szklanych paciorków. Podkreślamy, że wstęp ów jest i pragnie być popularny, bynajmniej nie roszcząc sobie pretensji do wyjaśniania dyskutowanych w obrębie samego zakonu problemów gry i jej historii. Nie czas jeszcze na obiektywne ujęcie tego tematu.

Nie należy tedy oczekiwać od nas pełnej historii i teorii gry szklanych paciorków, godniejsi bowiem i zręczniejsi od nas autorzy nie sprostałoby dziś takiemu zadaniu. O ile źródła, a także predyspozycje duchowe przedtem nie zaginą — zadanie to przypadnie na czasy późniejsze. A podręcznikiem gry szklanych paciorków praca nasza tym bardziej być nie może; takiego podręcznika nikt zresztą nigdy nie napisze. Reguł tej arcygry nie można przyswoić sobie inaczej niż w zwykły, przepisowy sposób, wielu lat wymagający, a nikt z wtajemniczonych nie byłby zainteresowany jakimkolwiek ułatwianiem nauki owych zasad.

Reguły te, mowa znaków i gramatyka gry, stanowią rodzaj wysoce rozwiniętego, tajemnego języka, w którym udział swój mają przeróżne nauki i sztuki, zwłaszcza jednak matematyka i muzyka (albo teoria muzyki), wyrażając treść i rezultaty niemal wszelkich nauk i wzajemne mogąc tworzyć pomiędzy nimi związki. Gra szklanych paciorków jest zatem grą wszelkimi treściami i wartościami naszej kultury, igra nimi zapewne tak, jak w okresie rozkwitu sztuk pięknych malarz igrał barwami swojej palety. Cokolwiek ludz-

kość w twórcy swoich epokach wydała w zakresie wiedzy, szczytnych myśli i dzieł sztuki, co późniejsze czasy uczonej refleksji sprowadziły do pojęć i uczyniły naszym dobrem intelektualnym, cały ów ogromny zasób duchowych wartości służy graczowi szklanych paciorków, który gra na nich tak, jak organista na organach, a instrument ów jest niewiarygodnie doskonały, manualy jego i pedały penetrują cały duchowy kosmos, liczba rejestrów jest niemal niezliczona i teoretycznie można by z pomocą tego instrumentu odtworzyć w grze intelektualną treść całego świata. Lecz owe manualy, pedały i rejestry są już niezmiennie, zmiana ich liczby i układu lub próby udoskonalenia ich możliwe są właściwie już tylko w teorii: wzbogacenie języka gry przez włączenie doń nowych treści podlega jak najsurowszej kontroli najwyższego zwierzchnictwa. Natomiast w obrębie tych niezmiennych ram czy też, pozostając przy naszym porównaniu, w zakresie skomplikowanego mechanizmu tych olbrzymich organów, każdy gracz korzystać może z mnóstwa możliwości i kombinacji, a jest rzeczą niemal niemożliwą, by spośród tysiąca ściśle przeprowadzonych gier dwie nawet wykazywały inne niż zaledwie powierzchowne do siebie podobieństwo. Gdyby nawet kiedyś przypadkiem zdarzyć się miało, że dwóch graczy uczyni treścią swej gry dokładnie tę samą, niewielką grupkę tematów, obie te gry mogłyby przedstawiać się i przebiegać zupełnie inaczej, w zależności od sposobu myślenia, charakteru, nastroju i wirtuozerii graczy.

Ostatecznie jest kwestią upodobań historyka, jak daleko zechce przesunąć w czasie początki i prehistorię gry szklanych paciorków. Albowiem, jak każda wielka idea, nie miała ona właściwie początku, lecz w zamyśle istniała zawsze. Zaczątki jej odnajdujemy jako ideę, przeczucie czy marzenie już w wielu dawniejszych epokach, na przykład u Pitagorasa, z kolei w późnym okresie kultury antycznej, w kręgu hellenistyczno-gnostycznym, jak również u dawnych Chińczyków, z kolei w szczytowych momentach rozwoju arabsko-mauretańskiego życia duchowego, dalej zaś ślady jej prehistorii wiodą poprzez scholastykę i humanizm ku

akademiom matematycznym siedemnastego i osiemnastego wieku, aż po filozofie romantyczne i runy magicznych rojeń Novalisa. Ta sama odwieczna idea, która dla nas wcieliła się w grę szklanych paciorków, przyświecała wszelkim dążeniom ducha ku idealnemu celowi jakiejś *universitas litterarum*, każdej akademii platońskiej, wszelkim igraszkom intelektualnej elity, wszelkiej próbie zbliżenia pomiędzy naukami ścisłymi i wyzwolonymi, wszelkim usiłowaniu pogodzenia nauki ze sztuką czy religii ze sztuką. Umysłem takim, jak Abelard, Leibniz, Hegel, niewątpliwie znane były marzenia o ujęciu duchowego universum w koncentryczne systemy i o połączeniu żywego piękna intelektu oraz sztuki z magiczną siłą formułowania nauk ścisłych. W owych czasach, gdy muzyka i matematyka przeżywały niemal jednocześnie okres klasyczny, częste były przyjaźnie i wzajemne zapłodnienia pomiędzy obu tymi dyscyplinami. A dwieście lat wcześniej znajdujemy u Mikołaja z Kuzy zdania, przesycone tą samą atmosferą, na przykład takie: „Umysł dostosowuje się do potencjalności, by wszystko na modłę potencjalności zmierzyć, oraz do absolutnej konieczności, by wszystko zmierzyć zdołał na modłę jedności i prostoty, tak, jako Bóg czyni, a także do konieczności powiązań, by wszystko ze względu na właściwości mierzyć, wreszcie też dostosowuje się do zdeterminowanej potencjalności, by mierzyć wszystko ze względu na jej egzystencję. Ponadto jednak umysł mierzy również symbolicznie, przez porównania, wtedy gdy posługuje się liczbą i figurami geometrycznymi, odwołując się do nich jako do symboli”. Nie tylko zresztą la jedna myśl Kuzańczyka zdaje się już niemal wskazywać na naszą grę szklanych paciorków czy też wywodzi się z wyobrażeń podobnych do jego myślowych igraszek; można by znaleźć u niego sporo, a nawet bardzo wiele takich podobieństw. Również przyjemność, jaką znajdował w matematyce, oraz radość i umiejętność, z jaką potrafił posługiwać się figurami i pewnikami geometrii Euklidesowej przy wyjaśnianiu pojęć teologiczno-filozoficznych, wydają się bardzo bliskie mentalności naszej gry; nierzadko zaś nawet rodzaj jego łaciny (której słowa częstokroć zostały przezeń wyna-

lezione, mimo iż rozumiały się dla każdego latynisty) przypomina swobodnie rozigraną elastyczność języka gry naszej. Albertus Secundus, na co wskazuje już motto naszej rozprawy, w nie mniejszym stopniu należy również do prekursorów gry szklanych paciorków. A przypuszczamy, nie mogąc wprawdzie poprzeć tego cytataми, że zamysł owej gry fascynował również owych uczonych muzyków w szesnastym i osiemnastym stuleciu, którzy kompozycje swoje opierali na spekulacjach matematycznych. W dawnym piśmiennictwie natrafiamy tu i ówdzie na legendy o mądrych, magicznych grach, wynajdywanych i uprawianych przez uczonych, mnichów lub na życzliwych umysłowym igraszkom dworach książęcych — na przykład w postaci szachów, których figury i pola miały, oprócz potocznych, także tajemne znaczenia. Ogólnie znane są też relacje, baśnie i klechdy z okresu młodości wszelkie¹¹ kultur, przypisujące muzyce — w zasięgu znacznie przekraczającym wszelkie dziedziny sztuki — moc ujarzmiania dusz i ludów, czyniące ją tajemnym władcą czy też kodeksem dla państw i ludzi. Od pradawnych Chin aż po podania Greków spełnia swą rolę owa myśl o jakimś idealnym, niebiańskim życiu ludzi pod hegemonią muzyki. I z owym kultem muzyki („wśród wiecznych przemian na tym padole pozdrawia nas tajemna pieśni moc” — Novalis) złączona jest jak najściślej gra szklanych paciorków.

Lecz mimo iż samą ideę owej gry uznajemy za wieczną. I dlatego na długo już przed jej urzeczywistnieniem istniejącą i żywotną, realizacja jej w znanej nam formie posiada określoną własną historię, o której najważniejszych etapach postaramy się pokrótce opowiedzieć.

Ruch umysłowy, do którego owoców należy — wśród wielu innych — ustanowienie zakonu i gra szklanych paciorków, wywodzi się z pewnego okresu historycznego, który od czasu zasadniczych badań dokonanych przez historyka literatury, Pliniusia Ziegenhalsa, nosi sformułowaną przezeń nazwę „epoki felietonu”. Nazwy takie są ładne, lecz niebezpieczne, nieustannie bowiem nakłaniają do niesprawiedliwej oceny jakiegoś okresu ludzkiego życia z czasów daw-

niejszych, a przecież epoka „felietonu” wcale nie była bezduszna ani nawet uboga duchem. Nie potrafiła tylko — jak zdaje się wynikać z wywodów Ziegenhalsa — wykorzystać należycie tego swojego intelektu lub raczej nie umiała wyznaczyć mu właściwego miejsca i funkcji w dziedzinie życiowej gospodarki i państwa. Prawdę mówiąc, bardzo niewiele wiemy o owej epoce, mimo iż stanowi ona podłoże, z którego wyrosło niemal wszystko, co dzisiaj stanowi cechy naszego życia duchowego. Była to — według Ziegenhalsa — epoka niesłychanie „mieszczańska”, hołdująca wybujałemu indywidualizmowi, a jeśli dzisiaj, chcąc nieco wyraźniej określić jej atmosferę, przytaczamy pewne jej cechy według relacji Ziegenhalsa, wiemy przynajmniej na pewno, iż cechy te nie są wymyślone, nadmiernie przesadzone ani przerysowane, zostały bowiem udokumentowane przez owego wielkiego badacza mnóstwem literackich i innych dokumentów. Przyłączamy się do tego uczonego, który jedyny dotychczas zaszczyił epokę „felietonu” poważnymi badaniami, a pamiętamy przy tym również, że łatwo jest i głupio wydziwiać nad błędami i przywarami odległych czasów.

Rozwój życia duchowego w Europie zdawał się wykazywać od schyłku średniowiecza dwie wielkie tendencje: do oswobodzenia wiary i myśli od wszelkich autorytatywnych wpływów, czyli do walki czującego się już niezależnym i dojrzałym rozumem przeciw władzy Rzymskiego Kościoła, i — z drugiej strony — do tajemnego, lecz namiętnego poszukiwania legalizacji tej swojej swobody, zgodnie z nowym, z niego samego się wywodzącym i adekwatnym mu autorytetem. Uogólniając, rzecz chyba można, iż w zasadzie umysł ludzki wygrał ową, częstokroć w osobliwe sprzeczności obfitującą walkę o dwa w zasadzie sprzeczne ze sobą cele. Czy zysk ów równoważy niezliczone ofiary, czy obecny ład naszego życia duchowego jest już absolutnie doskonały i potrwa dostatecznie długo, by wszelkie cierpienia, wynaturzenia i konwulsje — od procesów kacerskich i płonących stosów, aż po losy wielu, obłędem lub samobójstwem kończących „geniuszy” — wydać nam się mogły ofiarą sen-

sowną, pytać nam nie wolno. Działy się dzieje — a czy były dobre, czy też lepiej, aby się nie przydarzyły, czy zdołamy dostrzec ich „sens” — nie ma znaczenia. Tak tedy toczyły się też owe walki o „wolność” ducha i właśnie w owej późnej, felietonowej epoce doprowadziły do tego, iż umysł istotnie cieszył się niesłychaną, trudną już dlań nawet do zniesienia wolnością, przewyciężywszy całkowicie kuratelę kościelną, a państwową po części, nadal jednak jeszcze nie znajdując prawdziwego, przez siebie samego sformułowanego i respektowanego prawa, prawdziwego, nowego autorytetu i legalności. Przykłady poniżenia, sprzedajności i przeniwersstwa duchowego w owej epoce, o których opowiada nam Ziegenhals, istotnie są poniekąd zdumiewające.

Wyznać musimy, iż nie jesteśmy w stanie dać jednoznacznej definicji owych produktów, według których nazwaliśmy tę epokę, mianowicie „felietonów”. Wydaje się, że produkowano ich miliony, gdyż stanowiły ulubioną część materiałów codziennej prasy i zasadniczy pokarm żądnych edukacji czytelników, opowiadały, czy raczej „gawędziły”, o tysiącach zagadnień naukowych, a wydaje się też, iż co mądrzejsi spośród owych felietonistów częstokroć naśmiewali się z własnej roboty, Ziegenhals przynajmniej wyznaje, że natrafił na liczne takie prace, które skłonny jest uważać za autorskie autopersyflaże, gdyż inaczej byłyby całkiem niezrozumiałe. Być może, że w tych na przemysłową modłę produkowanych artykułach ukryto mnóstwo ironii i autoironii, dla których zrozumienia należałoby dopiero znaleźć odpowiedni klucz. Producenci owych igraszek należeli po części do redakcji gazet, po części byli „wolnymi” pisarzami; często nawet poetami ich nazywano, lecz bardzo wielu spośród nich należało ■ — zdaje się — także do stanu uczonych, bywali nawet sławnymi profesorami wyższych uczelni. Ulubionymi tematami takich artykułów były anegdoty z życia wybitnych mężczyzn czy kobiet oraz ich korespondencja, a zatytułowane były na przykład: „Fryderyk Nietzsche a moda damska około 1870 roku” albo „Ulubione potrawy kompozytora Rossiniego”, albo „Rola piesków pokojowych w życiu wielkich kurtyzan” — lub podobnie. Po-

nadto lubowano się w historiozoficznych rozważaniach na aktualne tematy, stanowiące przedmiot konwersacji ludzi zamożnych, na przykład „Marzenia o sztucznym wytwarzaniu złota na przestrzeni stuleci” albo „Próby chemicznego i fizycznego oddziaływania na stan pogody” i setki podobnych kwestii. Czytając przytaczane przez Ziegenhalsa tytuły takich gawęd dziwimy się nie tyle faktowi, że istnieli ludzie, którzy pochłaniali je jako codzienną lekturę, ile raczej, temu, że znani, cenieni i należycie wykształceni autorzy pomagali w „obsługiwaniu” owej olbrzymiej konsumpcji błahych ciekawostek, albowiem, co charakterystyczne, zajęcie to nazywano „obsługą”, a określenie to wyraża również ówczesny stosunek człowieka do maszyny. Niekiedy znów lubowano się szczególnie w indagowaniu znanych osobistości na aktualne tematy, każąc na przykład wybitnym chemikom lub pianistom-wirtuozom wypowiadać się na temat polityki, ulubionych aktorów, tancerzy, akrobatów, lotników albo poetom na temat wad i zalet stanu kawalerskiego, domniemanych przyczyn kryzysów finansowych i tak dalej. Chodziło przy tym wyłącznie o skojarzenie znanego nazwiska z aktualnym właśnie tematem: wystarczy przeczytać u Ziegenhalsa wręcz zdumiewające niekiedy przykłady; przytacza ich setki. Jak już wspominaliśmy, cała ta krzątanina odbywała się zapewne z przymieszką sporej dawki ironii; być może, iż była to nawet demoniczna, rozpaczliwa ironia, z trudem wielkim potrafimy to sobie wyobrazić, lecz tłumy publiczności, które zdawały się przejawiać wówczas zadziwiający zapał czytelniczy, przyjmowały niewątpliwie wszystkie to groteskowe rzeczy z pełną ufnością powagą. I jeśli znany jakiś obraz zmieniał właściciela, zlicytowano jakiś cenny rękopis, spłonął jakiś stary zamek, członek jakiejś starej arystokratycznej rodziny zamieszany został w jakiś skandal — czytelnicy nie tylko dowiadawali się z wielu tysięcy felietonów o samych faktach, lecz otrzymywali ponadto jeszcze tego samego dnia lub nazajutrz mnóstwo anegdotycznych, historycznych, psychologicznych, erotycznych i innych materiałów dotyczących tej, w danej chwili aktual-

nej, sprawy; na temat każdego aktualnego wydarzenia wylewał się istny potop skrętej pisaniny, a przekazywanie, klasyfikowanie i formułowanie wszystkich tych informacji miało wszelkie cechy spiesznie i bez poczucia odpowiedzialności wytwarzanej, masowej produkcji. Z felietonem zresztą, jak się wydaje, łączyły się także pewne gry, do których zachęcano czytelników, pobudzając z ich pomocą przeciążone nadmiarem wiadomości umysły; mówi o tym długi wywód Ziegenhalsa na dziwaczny temat „krzyżówek”. Setki tysięcy ludzi, którzy przeważnie ciężką wykonywali pracę i ciężkie też mieli życie, schylało się podówczas w wolnych chwilach nad złożonymi z liter kwadracikami i krzyżkami, wypełniając według określonych reguł gry istniejące w nich luki. Pragniemy ustrzec się przed dostrzeganiem jedynie śmiesznej lub szaleńczej strony tego zjawiska, wstrzymamy się też od kpin na ten temat. Ludzie ci bowiem, wraz z dziecinnymi swymi zgadywankami i instruktywnymi artykułami, nie byli wcale naiwnymi dziećmi ani rozbawionymi Feakami, tkwili natomiast, załęcznieni, pośród politycznych, gospodarczych i moralnych wstrząsów tektonicznych i fermentów, wiedli sporo straszliwych wojen i wojen domowych, a ich niewymyślne gry dydaktyczne były nie tylko wdzięczną, bezmyślną dziecinadą, lecz odpowiadały głębokiej potrzebie przymknięcia oczu i ucieczki przed nie rozwiązanymi problemami i przerażającymi przeczuciami zagłady w na wskroś — o ile możliwości — nieszkodliwy świat pozorów. Wytrwale uczyli się kierowania samochodami i trudnych gier karcianych i marzycielsko oddawali się rozwiązywaniu krzyżówek — ponieważ niemal bezbronne stali wobec śmierci, **lęku przed bólem i głodem, nie** pocieszani już przez Kościół ani nie wspierani radami rozumu. Oni, którzy czytali tak wiele artykułów i tyłu słuchali wykładów, nie umieli zdobyć się na wysiłek i znalezienie czasu, by uodpornić się na lęki, zwalczyć w sobie strach przed śmiercią; żyli z dnia na dzień, wśród drgawek, bez wiary w jakiegokolwiek jutro.

Wygłaszano bowiem też prelekcje i musimy pokrótce omówić również i tę, nieco wytworniejszą odmianę felieto-

nu. Zarówno specjaliści, jak i hochsztaplerzy intelektualni oferowali ówczesnym obywatelom, nadal mocno jeszcze przywiązanim do pojęcia edukacji, wyczerpanym już z dawnego swego znaczenia, prócz artykułów również liczne wykłady, nie tylko w postaci uroczystych przemówień przy szczególnych okazjach, lecz pośród gwałtownej konkurencji i w niebywałych wręcz ilościach. Obywatel przeciętnego miasta lub żona tegoż obywatela mogli na ogół raz w tygodniu, a w miastach większych prawie co wieczór, słuchać wykładów, w których pouczano ich teoretycznie o dziełach sztuki, pisarzach, uczonych, badaczach i podróżach dookoła świata, wykładów, podczas których słuchacz pozostawał na wskroś bierny, a które na zasadzie milczącej umowy z góry już przewidywały jakieś nastawienie owego słuchacza do ich treści, jakiś poziom jego wykształcenia, jakieś uprzednie przygotowanie i chłonność umysłu, których przeważnie brakowało. Zdarzały się wykłady interesujące, błyskotliwe lub dowcipne, na przykład o Goethem, który wysiadał w błękitnym fraku z dyliżansów i uwodził dziewczęta w Strasburgu lub Wetzlarze, albo o kulturze arabskiej, gdy kilkanaście modnych, intelektualnych terminów mieszano ze sobą niczym kostki do gry, wytrząsane w kubku, a każdy cieszył się niezmiernie, jeśli zdołał choć jeden z nich choćby w przybliżeniu rozpoznać. Słuchano prelekcji o pisarzach, których dzieł nikt nigdy nie czytał ani miał zamiar czytać, i oglądano wyświetlane podczas nich za pomocą projektorów reprodukcje, przedzierając się, zupełnie tak samo jak przy dziennikarskich felietonach, przez istne chaszcze odrwanych, pozbawionych sensu, wartości dydaktycznych i okrucich wiedzy. Słowem, znajdowano się już o krok od owej koszmarnej dewaluacji słowa, która początkowo wywołała jedynie potajemnie i w najmniejszych grupkach heroiczno-ascetyczny odruch sprzeciwu, który już wkrótce potem ujawnił się, wzrósł w siłę i dał początek nowym rygorom i nowej godności umysłu.

Niepewność i nieautentyczność życia intelektualnego owych czasów, przejawiających przecież w niejkiej dziedzinie aktywność i wielkość, tłumaczymy sobie dzisiaj jako

objaw przerażenia, które ogarnęło umysły, gdy pod koniec epoki pozornych sukcesów i rozkwitu stanęły one nagle w obliczu nicości: wielkiej nędzy materialnej, burz politycznych i wojennej zawieruchy oraz niespodzianie kiełkującej nieufności wobec samych siebie, własnej mocy i godności, nawet wobec własnego istnienia. A przecież na ów okres katastroficznych nastrojów przypada jeszcze niejedno wzniosłe osiągnięcie intelektualne; powstały wówczas również zaczątki wiedzy muzycznej, której wdzięcznymi spadkobiercami my właśnie jesteśmy. Lecz choć tak łatwo upolądkować dowolne odcinki przeszłości i rozmieścić je w dziejach świata sensownie i pięknie, żadna terażniejszość nie potrafi zaszeregować samej siebie, a szerzyć się ją wówczas — gdy wszelkie intelektualne ambicje i osiągnięcia spadły na nader niski poziom ■ — właśnie wśród intelektualistów straszliwa niepewność i rozpacz. Dokonano bowiem właśnie odkrycia (od czasów Nietzschego przeczuwano już tu i ówdzie owo odkrycie), iż młodzińczy, twórczy okres naszej kultury przeminął, a rozpoczęła się era starości i zmierzchu i opierając się na tym, nagle przez wszystkich odczutom, a przez wielu wyraźnie sformułowanym poglądzie, wyjaśniano sobie liczne przerażające cechy czasu: jałową mechanizację życia, głęboki upadek moralności, brak wiary wśród narodów, nieprawdziwość sztuki. Zabrzmiała — jak w owej cudownej baśni chińskiej — „muzyka zagłady”; przez wiele dziesiątków lat dźwięczała niczym długotrwałe dudnienie organowych basów, wdarła się potem w postaci korupcji "do szkół, czasopism i akademii, w postaci melancholii i chorób umysłowych dotarła do większości tych artystów i krytyków, których można było jeszcze traktować poważnie, rozhułała się w postaci dzikiej a dyletanckiej nadprodukcji we wszelkich dziedzinach sztuki. Różne przyjmowano postawy wobec tego wroga, który wtargnął oto i nie pozwalał się już przepędzić. Można było w milczeniu uznać i znosić ze stoicyzmem tę gorzką prawdę — co czynili niektórzy spośród najlepszych. Można było próbować przesłaniania jej kłamstwem: tu niektórzy literaccy głosiciele nauki o zagładzie kultury stanowili dogodny cel

ataków; wreszcie każdy, kto podejmował walkę z owymi groźnymi prorokami, znajdował uznanie i posłuch u współobywateli, albowiem pogląd, że kultura, której posiadaniem szczycili się jeszcze wczoraj i tak z niej byli dumni, już nie żyje, że tak przez obywateli umiłowane wykształcenie i tak przez nich ukochana sztuka nie są już wcale prawdziwym wykształceniem ani prawdziwą sztuką, wydawał im się równie zuchwały i nieznośny, co nagła inflacja lub zagrożenie ich kapitałów przez rewolucję. A ponadto istniała jeszcze wobec wielkiego, katastroficznego nastroju postawa cyniczna, ludzie szli tańczyć, oświadczając, że wszelka troska o przyszłość to staroświecka głupota; układano nastrojowe felietony na temat bliskiego już kresu sztuki, nauki, języka, z samobójczą niejako rozkoszą stwierdzano w owym własnoręcznie z papieru stworzonym świecie felietonu całą kowitą demoralizację intelektu oraz inflację pojęć, udając, że z cyniczną obojętnością lub w bachicznym uniesieniu obserwuje się zagładę nie tylko sztuki, intelektu, moralności i uczciwości, lecz nawet Europy i „świata”. Wśród ludzi dobrych zapanował łagodny i posępny, a wśród złych zjadliwy pesymizm, i trzeba było najpierw usunąć nadmiar przeżyć i wprowadzić politykę i wojnę pewien nieład w świecie i w moralności, aby również i kultura zdolna się stała do prawdziwego wniknięcia w siebie i znalezienia dla siebie miejsca w nowym układzie.

Kultura owa jednak podczas przejściowych dziesięcioleci wcale nie była pogrążona we śnie, lecz właśnie w okresie swego rozkładu i pozornej rezygnacji artystów, profesorów i felietonistów osiągnęła w sumieniu poszczególnych ludzi stan największej czujności i samokontroli. Już w okresie największego rozkwitu felietonu istniały wszędzie pojedyncze, niewielkie grupki, zdecydowane dochować wierności intelektowi i dążyć ze wszystkich sił do uratowania dla przyszłych pokoleń jądra dobrej tradycji, dyscypliny, metody i intelektualnego sumienia. Wydaje się — o ile procesy te są dla nas dziś poznawalne — że ów proces samokontroli, opamiętania i świadomego oporu przeciwko rozkładowi dokonywał się głównie w **dwóch grupach. Intelektualne**

sumienie uczonych szukało ucieczki w badaniach i metodach nauczania historii muzyki, ta bowiem właśnie dziedzina wiedzy jęła się podówczas rozwijać i pośród owego felietonowego świata dwa słynne seminaria opracowały sumienne, wręcz wzorowe metody pracy. Los zaś, jakby chcąc pocieszająco aprobować usiłowania tej małej dzielnej kohorty, sprawił, iż w najmroczniejszym momencie tych ponurych czasów wydarzył się świetlisty cud, właściwie przypadek, lecz przypadek wywierający wrażenie boskiego potwierdzenia: odnaleziono jednaście rękopisów Jana Sebastiana Bacha pośród dobytku, pozostałego po jego synu, Friedemannie! Drugim punktem oporu przeciwko wynaturzeniu było Bractwo Wędrowców Wschodu, którego członkowie przestrzegali dyscypliny nie tyle intelektualnej, co raczej psychicznej ćwicząc się w pobożności i bojaźni bożej — i cd tej strony dzisiejsza nasza forma życia duchowego oraz gry paciorków szklanych doznała doniosłej podniety, mianowicie wskutek zwrotu ku kontemplacji. Wędrowcy Wschodu uczestniczyli zresztą również w tworzeniu nowych poglądów na istotę naszej kultury i na możliwości jej przetrwania, nie tyle dzięki osiągnięciom naukowo-analitycznym, ile wskutek opartej na dawnych ich i tajemnych ćwiczeniach zdolności przenoszenia się w czasy odległe i w dawne okresy kultury. Byli wśród nich na przykład śpiewacy i muzykanci, co do których utrzymuje się, że posiadali zdolność doskonałego odtwarzania dawnej muzyki w pierwotnym jej stylu, potrafili więc, powiedzmy, grać i śpiewać kompozycje z 1600 czy 1650 roku tak, jakby wszelkie późniejsze mody, udoskonalenia i wirtuozerie były jeszcze nie znane. Działo się to w czasach, gdy dążenie ku dynamice i gwałtowności opanowało wszelkie muzykowanie i kiedy na rzecz wykonania oraz „koncepcji” dyrygenta zapominano — co wręcz niesłychane — o samej muzyce; opowiadają, że gdy orkiestra Wędrowców Wschodu po raz pierwszy publicznie wykonała pewną suitę sprzed epoki Handla, bez jakichkolwiek crescendo czy diminuendo, z pełną naiwnością i niewinnością innego czasu i innego świata, część słuchaczy nic absolutnie nie zrozumiała, część jednak

nastawiła uszu, odnosząc wrażenie, iż po raz pierwszy w życiu słyszy muzykę. Jeden z członków Bractwa skonstruował w hali tego stowarzyszenia, pomiędzy Bremgarten i Morbio, organy Bachowskie, dokładnie takie same, jakie kazałby sobie zbudować *Ja Sebastian*, gdyby miał po temu środki i możliwości. Budowniczy organów, zgodnie z obowiązującą już podówczas w jego Bractwie zasadą, zachował swe nazwisko w tajemnicy i nazwał się na wzór swego poprzednika z osiemnastego wieku Silbermannem.

Przybliżyliśmy się tak oto do źródeł, z których wywodzi się dzisiejsze nasze pojęcie kultury. Jednym z najważniejszych spośród nich była najmłodsza dziedzina wiedzy, historia muzyki i estetyka muzyczna; następnym — rozkwit matematyki, jaki wkrótce potem nastąpił, z domieszką kropli oleju zaczerpniętego z mądrości Wędrowców Wschodu, oraz w najściślejszym pozostająca związku z nowym ujęciem i wykładnią muzyki, zdecydowana, tyleż pogodna, co i zrezygnowana postawa wobec zagadnienia żywotności okresów kultury. Nie warto wiele o tym mówić, są to bowiem sprawy powszechnie znane. Najważniejszym rezultatem tego nowego nastawienia, czy raczej nowego zaszerogowania w proces kultury, była daleko idąca rezygnacja z tworzenia dzieł sztuki, stopniowe odrywanie się elementu duchowego od spraw tego świata i — co nie mniej ważn?, a stanowiące ukoronowanie całości: gra szklanych paciorków.

Na początki owej gry przemożny wpływ wywarło rozpoczynające się już wkrótce po 1900 roku, jeszcze w dobie największego rozkwitu felietonu, pogłębienie wiedzy muzycznej. My, spadkobiercy owej wiedzy, przekonani jesteśmy, że lepiej znamy, a w pewnym sensie lepiej nawet rozumiemy muzykę wielkich, twórczych stuleci, zwłaszcza siedemnastego i osiemnastego wieku, niż pojmowały je wszystkie epoki poprzednie (łącznie z epoką muzyki klasycznej). Oczywiście my, potomni, mamy na wskroś inne nastawienie do muzyki klasycznej niż ludzie owych twórczych epok; nasza uduchowiona, a nie zawsze dostatecznie od zrezygnowanej melancholii wolna, cześć **dla prawdziwej muzyki jest czymś**

absolutnie innym od pogodnej a naiwnej radości z muzykowania w owych czasach, którym skłonni jesteśmy zazdrościć jako szczęśliwszym, ilekroć z powodu tej ich muzyki właśnie zapominamy o warunkach i okolicznościach, pośród których powstawała. Od całych pokoleń nie dostrzegamy już — jak to czyniło jeszcze całe niemal dwudzieste stulecie — filozofii ani literatury, uznając jedynie matematykę i muzykę za wielkie i trwałe osiągnięcie owego okresu kultury mieszczącego się pomiędzy schyłkiem średniowiecza i naszą erą. Odkąd — przynajmniej w zasadzie — zrezygnowaliśmy z twórczego współzawodnictwa z owymi pokoleniami, odkąd wyrzekliśmy się również owego kul]tu przewagi harmonii i na wskroś zmysłowej dynamiki w muzyce, jaki mniej więcej od czasów Beethovena i początków romantyzmu przez dwa stulecia w uprawianiu muzyki panował, przekonani jesteśmy — na naszą, oczywiście, modłę, na naszą nietwórczą, epigońską, choć czołobitną modłę! — że czyściej i wyraźniej widzimy obraz owej kultury, której jesteśmy spadkobiercami. Nie ma w nas już ani śladu wybujałej, twórczej radości owych czasów i niemal niepojęte wydaje nam się, w jaki sposób style muzyczne w piętnastym i szesnastym stuleciu zdołały tak długo utrzymać się w niezmiennej czystości, jak pośród ogromu skomponowanej wówczas muzyki nie daje się w ogóle odnaleźć nic pośledniego, jak nawet wiek osiemnasty, era rozpoczynającej się już degeneracji, wystrzelił zupełnie świadomie, w promiennym pośpiechu istnym fajerwerkiem stylów, mód i szkół — lecz wydaje się nam, że w tym, co dzisiaj nazywamy muzyką klasyczną, pojęliśmy i przejęli za wzór tajemnicę, ducha, cnotę i pobożność owych pokoleń. Nader nikłe lub zgoła żadne jest dzisiaj mniemanie nasze o kulturze kościelnej osiemnastego wieku lub o filozofii Oświecenia, lecz w kantatach, pasjach i preludiach Bacha widzimy szczytową sublimację kultury chrześcijańskiej.

Stosunek naszej kultury do muzyki posiada zresztą jeszcze wzór pradawny i na wskroś czcigodny, któremu gra szklanych paciorków hołd wielki składa. Przypomnijmy sobie, że w legendarnych Chinach, w okresie „starych kró-

łów", przypisywano muzyce główną rolę w życiu państwowym i dworskim; utożsamiano wręcz poziom muzyki z poziomem kultury i moralności, nawet z poziomem całego królestwa, a mistrzowie muzyki obowiązani byli baczenie czuwać nad zachowaniem czystości „starych tonacji”. Upadek muzyki był widowym znakiem upadku rządów i państwa. A poeci rozpowiadali straszliwe bajki o zakazanych, diabelskich i przez niebiosy wyklętych tonacjach, na przykład o tonacji Tsing Szang i Tsing Tse, o „muzyce zagłady”, przy której — gdy świętokradczo zaintonowano ją w pałacu królewskim ■—■ niebo natychmiast się zamroczyło, mury zadrżały i runęły, władca zaś zginął wraz z całym państwem. Zamiast cytowania wielu dawnych autorów przytaczamy tu niektóre fragmenty z rozdziału o muzyce w dziele Lii Bu We „Wiosna i jesień”:

„Początki muzyki są nader odległe. Powstaje ona z miary, a zakorzeniona jest w wielkiej Jedności. Wielka Jedność rodzi dwa bieguny; dwa bieguny tworzą siłę ciemności i siłę światła.

Gdy świat żyje w pokoju, wszelkie rzeczy są w spoczynku, wszystko zaś w przeobrażeniach swoich idzie śladem tworów wyższych — tworzyć można muzykę. Gdy żądze i namiętności nie bieżą fałszywym torem, można muzykę udoskonalać. Doskonale muzyka ma swoją przyczynę. Powstaje ona z równowagi. Równowaga powstaje z tego, co słuszne, a to, co słuszne, powstaje z istoty świata. Dlatego o muzyce mówić można jedynie z człowiekiem, który pojął istotę świata.

Muzyka polega na harmonii pomiędzy niebem a ziemią, na zgodności pomiędzy mrokiem a światłem.

Upadające państwa i ludzie skazani na zagładę mają wprawdzie również muzykę, lecz muzyka ich nie jest pogodna. Dlatego: im szumniejsza muzyka, tym bardziej melancholijni stają się ludzie, bardziej zagrożony staje się kraj i niżej upada władca. W ten sposób ginie też istota muzyki.

Tym, co święci władcy najbardziej cenili w muzyce, była jej pogoda. Tyrani Gai Dżu Sin tworzyli muzykę szumną. Donośne dźwięki uważali za piękne, a masowe efekty za in-

teresujące. Dążyli do nowych, osobliwych efektów dźwiękowych, szukali dźwięków, jakich żadne jeszcze ucho nie sły-
szało, usiłowali prześcignąć się wzajem i przekroczyli gra-
nice celu i miary.

Przyczyną upadku państwa Czu był wynalazek muzyki
czarnoksięskiej. Muzyka taka jest aż nadto szumna, lecz w
istocie oddaliła się ona od istoty muzyki. A ponieważ od-
daliła się od istoty muzyki prawdziwej, nie jest to muzyka
pogodna. Jeśli zaś muzyka nie jest pogodna, lud szemrze,
a życie doznaje uszczerbku. Wszystko to zaś wynika stąd,
iż zapoznaje się istotę muzyki, poszukując jedynie szumnych
efektów dźwiękowych.

Dlatego też muzyka czasów należytego ładu jest spokojna
i pogodna, a -rządy zrównoważone. Muzyka czasów niespo-
kojnych jest zawzięta, pełna podniecenia, a rządy opaczne.
Muzyka państwa upadającego jest sentymentalna i smutna,
a jego rząd zagrożony".

Sentencje owego Chińczyka ukazują nam oto dość wyraźnie
źródła i właściwy, nieomal już zapomniany sens wszelkiej
muzyki. W pradawnych bowiem czasach muzyka, podobnie
jak taniec i wszelkie ćwiczenia artystyczne, była
czarodziejskim arkanem, jednym ze starych a prawowitych
środków magicznych. Poczynając od rytmu (klaskania W
dłonie, tupania, uderzania w drewniane pałeczki i najdaw-
niejszego kunsztu bicia w bębny), stanowiła silny a wypró-
bowany sposób wprawiania znacznej i licznej gromady ludzi
w jednaki „nastrój”, doprowadzania ich oddechu, uderzeń
serca i emocji do jednakiego rytmu, ośmielania owych ludzi
do inwokowania i zaklinania odwiecznych mocy, do tańca,
igrzysk, wypraw wojennych i czynności sakralnych. I
owa pierwotna, czysta, prawładna istność, owa istota magii
przetrwała w muzyce znacznie dłużej niż w innych dzie-
dzinach sztuki, wystarczy tu choćby przypomnieć liczne wy-
powiedzi dziej opisów i poetów o muzyce — od Greków aż
po nowelę Goethego. Taniec i marsz w praktyce nigdy nie
utraciły swego znaczenia.

Lecz wracajmy do właściwego tematu!

O początkach gry szklanych paciorków przekazać pragnie-

my pokrótce jedynie najważniejsze wiadomości. Powstała ona, jak się wydaje, jednocześnie w Niemczech i w Anglii, w obu tych krajach mianowicie jako ćwiczebna zabawa w owych niewielkich gromadkach muzykologów i muzyków, pracujących i studiujących w nowych seminariach teorii muzyki. Porównanie zaś początkowego stanu owej gry z późniejszym i dzisiejszym będzie całkiem podobne do porównywania zapisu muzycznego sprzed 1500 roku i prymitywnych jego nut, pomiędzy którymi brak nawet jeszcze kresek taktowych, z partyturą z osiemnastego czy zgoła nawet dziewiętnastego wieku, z mnóstwem jej oszałamiających, skrótowych oznaczeń: dynamiki, tempa, frazowania i tak dalej, powodujących częstokroć, iż druk takiej partytury stawał się trudnym problemem technicznym.

Gra stanowiła początkowo jedynie rodzaj ciekawego ćwiczenia pamięci i daru kombinatoryki w gronie studentów i muzykantów, a — jak już wspominaliśmy — uprawiano ją zarówno w Anglii, jak i w Niemczech, zanim jeszcze została „wynaleziona” tutaj, w Wyższej Szkole Muzycznej w Kolonii, i zanim uzyskała swą nazwę, którą i dzisiaj jeszcze po tak wielu pokoleniach nosi, mimo iż już od dawna nic nie ma wspólnego ze szklanymi paciorkami. Szklanymi tymi paciorkami posługiwał się jej wynalazca, Bastian Perrot z Calw, nieco dziwaczny, lecz mądry, towarzyski i ludziom życzliwy teoretyk muzyki, używając ich zamiast liter, liczb, nut i innych znaków graficznych. Perrot, który pozostawił zresztą jeszcze także rozprawę o „Rozkwicie i upadku kontrpunktu”, zastał w kolońskim seminarium pewien, dość już przez Liczników rozwinięty, nawyk zabawowy: nawoływali się wzajemnie przy pomocy skrótowych formułek swej naukowej dyscypliny dowolnymi motywami lub początkami klasycznych kompozycji, przy czym ten, kto w taki sposób został wywołany, musiał odpowiedzieć albo dalszym ciągiem utworu, albo — lepiej jeszcze — głosem wyższym czy niższym, kontrastowym kontrtematem i tak dalej. Były to ćwiczenia pamięciowe i improwizacyjne, zupełnie takie same, jakie niegdyś (choć nie teoretycznie, za pomocą formułek, lecz praktycznie, przy klawikordzie, na lutni, flecie lub

ludzkim głosem) uprawiać mogli gorliwi uczniowie muzyki i kontrapunktu za czasów Schiitza, Pachelbela i Bacha. Bastian Perrot, zamiłowany w rękodziele — własnoręcznie skonstruował według starych wzorów wiele fortepianów i klawikordów — należał najprawdopodobniej do Wędrowców Wschodu; krąży też o nim legenda, iż umiał grać na skrzypcach na dawny, od 1800 roku zapomniany sposób, z mocno wygiętym smyczkiem i ręcznie regulowanym napięciem włosia. Otóż Perrot sporządził sobie na modłę pospolicznych, kulkowych liczydeł dziecinnych ramę z kilkoma tuzinami drutów, na których mógł uszeregować paciorki szklane różnej wielkości, kształtu i barwy. Druty stanowiły odpowiednik linii nutowych, paciorki odpowiadały wartościom nut i tak dalej, i w taki oto sposób tworzył on ze szklanych paciorków cytaty muzyczne lub wynalezione przez samego siebie tematy, zmieniał je, transponował, rozwijał, przekształcał oraz inne im przeciwstawiał. Pod względem technicznym była to dziecinna igraszka, lecz spodobała się uczniom, stała się modna i naśladowana, również i w Anglii, i przez czas pewien uprawiano ćwiczenia muzyczne w ów wdzięczny, acz prymitywny sposób. I, jak częstokroć się zdarza, także i w tym wypadku doniosły, długo trwający wynalazek uzyskał swą nazwę od rzeczy nietrwałej a ubocznej. To, co później powstało z owej gry seminarzystów i obwieszonych szklanymi paciorkami drutów Perrota, nosi dziś jeszcze popularną nazwę gry szklanych paciorków.

Zaledwie w dwadzieścia czy trzydzieści lat później gra ta utraciła, jak się wydaje, swą popularność wśród studentów muzyki, przejęta natomiast została przez matematyków i przez czas dłuższy w dziejach owej gry znamienym pozostał fakt, że zawsze faworyzowała ją, wykorzystywała i dalej rozwijała ta dziedzina wiedzy, która przeżywała właśnie okres szczególnego swego rozkwitu lub renesansu. Matematycy nadali owej grze znaczną ruchliwość i zdolność do sublimacji, przy czym zdobyła ona już wówczas coś w rodzaju Wiedzy o samej sobie i swoich możliwościach, a rozwój ten przebiegał równoległe do ogólnego rozwoju ówczesnej świadomości w dziedzinie kultury, która przewyciężyła wielki

kryzys i, jak to sformułował Pliniusz Ziegenhals „ze skromną dumą jęła odnajdywać swą rolę późnej kultury i przynależność do stanu, odpowiadającego mniej więcej okresowi późnego antyku, epoce hellenistyczno-aleksandryjskiej”.

Tyle Ziegenhals. My natomiast usiłujemy doprowadzić do końca nasz zarys dziejów gry szklanych paciorków, stwierdzając: Gra, przeszedłszy od seminariów muzycznych do matematycznych (przemiana, która we Francji i Anglii dokonała się raczej jeszcze szybciej niż w Niemczech), rozwinięta już była tak dalece, że potrafiła wyrażać w specjalnych znakach i skrótach procesy matematyczne; gracze podsuwali sobie nawzajem owe abstrakcyjne formułki, rozwijając je bardziej jeszcze, odkrywając przed sobą wzajem szeregi rozwój owe i możliwości swej wiedzy. Owa matematyczno-astrofizyczna gra formułek wymagała wielkiej uwagi, czujności i koncentracji; opinia dobrego gracza szklanych paciorków znaczyła już podówczas w gronie matematyków bardzo wiele i była równoznaczna ze sławą znakomitego matematyka.

Grę przejęły i przez czas pewien naśladowały wszystkie niemal nauki, czyli stosowały ją w swej dziedzinie, na co dowody mamy w filologii klasycznej i logice. Analityczne rozpatrywanie wartości muzycznych doprowadziło do tego, że procesy muzyczne wyrażano we wzorach fizyczno-matematycznych. Nieco później jęła posługiwać się tymi metodami filologia, dokonując pomiaru tworów językowych w ten sam sposób, w jaki fizyka mierzyła procesy zachodzące w przyrodzie; dołączyły się z kolei badania w dziedzinie sztuk pięknych, gdzie architektura od dawna już wykazywała związki z matematyką. I oto zaczęto odkrywać pomiędzy uzyskanymi w ten sposób abstrakcyjnymi formułkami coraz to nowe stosunki, analogie i odpowiedniki. Każda nauka, przyswajając sobie ową grę, tworzyła w tym celu odpowiedni język ludyczny, złożony z wzorów, skrótów i kombinacji, a igraszki sekwencji owych wzorów i dialogów pomiędzy nimi cieszyły się wielką popularnością wśród elity intelektualnej młodzieży. Gra była nie tylko ćwiczeniem i nie tylko rozrywką; stanowiła skoncentrowany wyraz pewnej świadomej, umysłowej dyscypliny, zwłaszcza zaś

matematycy uprawiali ją z ascetyczną, choć jednocześnie sportową wirtuozerią i ścisłością formalną, znajdując w niej rozkosz, ułatwiającą im zgodę na konsekwentnie już wówczas przeprowadzaną rezygnację intelektualistów z uciech i ambicji światowych. Gra szklanych paciorków przyczyniła się znacznie do całkowitego przewyciężenia felietonu i do rozbudzenia na nowo owej radości z najbardziej rygorystycznych ćwiczeń umysłowych, której zawdzięczamy powstanie nowej dyscypliny umysłowej o zakonnej surowości. Świat się zmienił. Życie intelektualne epoki felietonu można by przyrównać do zwyrodniałej rośliny, która roztrwoniła się w wybujałych rozrostach, a późniejsze korektury — do przycięcia owej rośliny aż po same korzenie. Młodzi, którzy chcieli się obecnie oddać studiom intelektualnym, pojmowali je już nie jako wałęsanie się po wyższych uczelniach, gdzie sławni a wymowni, choć pozbawieni autorytetu profesoria podsuwali im resztki dawniejszego, wyższego wykształcenia; obecnie musieli uczyć się dokładnie, a nawet jeszcze dokładniej i systematyczniej, niż to niegdyś czynić musieli inżynierowie na politechnikach. Musieli wspinać się po stromej drodze, oczyszczać i rozszerzać swój sposób myślenia przy pomocy matematyki i arystotelesowych ćwiczeń scholastycznych, a ponadto uczyć się rezygnacji ze wszystkich tych dóbr, które uprzednio w licznych generacjach uczonych uchodziły za godne pożądanie: z szybkiego a łatwego zarabiania pieniędzy, z publicznej sławy i zaszczytów, z pochwał prasowych, małżeństw z córkami fabrykantów i bankierów, z wygod i luksusu w życiu materialnym. Pisarze z wysokimi nakładami, nagrodami Nobla i pięknymi rezydencjami wiejskimi, sławni lekarze z orderami i służbą przystrojoną w liberię, akademicy z bogatymi żonami i wspaniałymi salonami, chemicy zasiadający w przemysłowych radach nadzorczych, filozofowie kierujący fabrykami felietonów i wygłaszający porywające wykłady w przepelnionych salach, wśród oklasków i kwiatów ■— wszystkie te postacie znikły i po dzień dzisiejszy już się nie ukazały. Zapewne i teraz jeszcze było mnóstwo młodych, dla których owe postaci stanowiły świetlany wzór, ale drogi do publicz-

nej sławy, bogactwa, zaszczytów i luksusu nie wiodły już obecnie przez sale wykładowe, seminaria i prace doktorskie; zawody intelektualne, pogrążone w głębokim upadku, zbankrutowały w oczach świata, uzyskały jednak w zamian znowu pokutniczo-fanatyczne oddanie dla spraw ducha. Te zaś talenty, które szukały raczej blasku i dobrobytu, musiały odwrócić się od nieprzychylnie traktowanego intelektualizmu, a zwrócić ku tym zawodom, którym pozostawiono możliwość zarabiania pieniędzy i osiągnięcia dostatku.

Zbyt daleko zaszlibyśmy, chcąc bardziej szczegółowo opisać, w jaki to sposób intelekt, po swym oczyszczeniu, odzyskał uznanie także i w państwie. Niebawem przekonano się, iż wystarczyło paru pokoleń o rozluźnionej i niesumiennej dyscyplinie umysłowej, aby i życiu praktycznemu wyrządziła ona dotkliwe szkody; przekonano się, że sprawność i odpowiedzialność we wszystkich wyższych zawodach, także i technicznych, stawały się coraz rzadsze, intelektualiści zmonopolizowali więc stopniowo całą kulturę umysłową w państwie i narodzie, zwłaszcza zaś całe szkolnictwo, albowiem i dziś jeszcze zresztą niemal we wszystkich krajach Europy szkoła, o ile nie pozostała pod kontrolą Kościoła Bzyskiego, znajduje się w gestii owych anonimowych zakonów, rekrutujących się spośród intelektualnej elity. I choć •dla opinii publicznej surowość i rzekoma pycha owej kasty bywają niekiedy niewygodne, choć jednostki niejednokrotnie przeciwko niej się buntowały — kierownictwo to trwa jeszcze niewzruszone; utrzymuje je i osłania nie tylko jego integralność i rezygnacja ze wszelkich, prócz duchowych, dóbr i przywilejów, lecz również od dawna już rozpowszechniona, świadoma czy intuicyjna wiedza o konieczności zachowania owej surowej szkoły, w celu dalszego utrzymania cywilizacji. Wiemy bowiem, lub przeczuwamy, że jeśli myśl nie będzie czysta i czujna, a szacunek dla intelektu przestanie obowiązywać, niebawem także statki i samochody przestaną sprawnie się poruszać, zachwieją się wszelkie prawa oraz wszelkie autorytety, zarówno inżynierskiego suwaka, jak matematyki w bankach i na giełdach, i wówczas nastanie chaos. A mimo to sporo przecież upłynęło czasu, za-



nim zdołano zrozumieć, że również zewnętrzna strona cywilizacji, również technika, przemysł, handel i tak dalej, wymagają wspólnego podłoża w intelektualnej moralności i uczciwości.

Grze szklanych paciorków brakowało podówczas jeszcze daru powszechności, umiejętności wzniesienia się ponad fakultety. Astronomowie, helleniści, latyniści, scholastycy, studenci muzyki uprawiali ową grę o przemyślnych regułach, lecz dla każdego wydziału, każdej dyscypliny i jej odgałęzień gra owa posiadała własny język i zakres własnych reguł. Pół wieku upłynęło, zanim dokonano pierwszego kroku wiodącego do przekroczenia tych granic. Przyczyna tej powolności była niewątpliwie natury raczej moralnej niż formalnej czy technicznej: dałoby się zapewne znaleźć sposoby przerzucenia pomiędzy granicami pomostów, lecz z nader surową moralnością świeżo powstałego uduchowienia łączyła się purytańska obawa przed „błazeństwem”, przed pomieszaniem dyscyplin i kategorii, głęboka i całkowicie uzasadniona obawa przed ponownym popadnięciem w grzech igraszki i felietonu.

Jeden tylko człowiek sprawił dopiero, że oto gra szklanych paciorków jednym nieomal krokiem doprowadzona została do uświadomienia sobie swych możliwości, a wskutek tego także do granic zdolności rozwoju uniwersalnego, i znowu połączenie z muzyką przyczyniło się do owego postępu. Muzykolog szwajcarski, a jednocześnie fanatyczny miłośnik matematyki, nadał grze nowy zwrot i przysporzył jej możliwości największego rozwoju. Świeckiego nazwiska tego wielkiego człowieka dociec się już nie da, jego epoka nie znała już kultu jednostki w dziedzinie intelektu, w historii żyje on nadal jako Lusor (jak również: Jocular) Basiliensis. Wynalazek jego, jak każdy wynalazek, był wprawdzie na wskroś jego własnym osiągnięciem i łaską, nie wywodził się jednak bynajmniej z osobistych jedynie potrzeb i dążeń, lecz napędzany był motorem silniejszym. Wśród intelektualistów jego epoki żywo i namiętnie poszukiwano środków wyrazu dla nowych, jej treści myślowych, tęskniono do filozofii, do syntezy, odczuwano dotychczasowe szczęście wy-

cofania się w granice własnej wyłącznie dyscypliny jako niewystarczające, tu i ówdzie jakiś uczony przełamywał bariery fachowej wiedzy usiłując dotrzeć do spraw ogólnych, marzono o nowym alfabecie, nowej mowie znaków, w której można by utrwalac i wymieniać nowe duchowe przeżycia. Szczególnie wyrazistym tego świadectwem jest tekst pewnego ówczesnego paryskiego uczonego, zatytułowany „Chińska przestroga”. Autor owego tekstu, wyszydzany swego czasu przez wielu jako rodzaj Don Kichota, ceniony zresztą w swojej dziedzinie filolog chiński, wyjaśnia, ku jakim niebezpieczeństwom zmierza, mimo dzielnej swej postawy, nauka i kultura umysłowa rezygnując z rozbudowania międzynarodowej mowy znaków, umożliwiającej, na podobieństwo dawnego pisma chińskiego, wyrażenie — bez wykluczenia osobistej fantazji czy inwencji — graficznie kwestii najbardziej zawilych, i to w sposób zrozumiały dla wszystkich uczonych świata. Najważniejszy krok ku spełnieniu tego żądania uczynił właśnie Jocular BSKSiliensis. Wynalazł on dla gry szklanych paciorków zasady nowego języka, mianowicie języka formułek i znaków, w którym matematyka i muzyka uczestniczyły w równych proporcjach w którym można było łączyć ze sobą formuły astronomiczne i matematyczne, sprowadzając niejako matematykę i muzykę do wspólnego mianownika. A choć rozwój bynajmniej na tym się nie zakończył, nieznajomy z Bazylei stworzył wówczas podwaliny wszystkiego, co później zaszło w dziejach tak drogiej nam gry.

Gra szklanych paciorków, niegdyś specjalistyczna rozrywka to matematyków, to znowu filologów lub muzyków, jęła oto przyciągać coraz bardziej wszystkich prawdziwych intelektualistów. Zwróciła się ku niej niejedna stara akademia, niejedna loża, zwłaszcza zaś prastare Bractwo Wędrowców Wschodu. Niektóre zakony katolickie także zwietrzyły tu nową, duchową atmosferę i uległy jej urokowi; zwłaszcza zaś w niektórych opactwach benedyktyńskich okazano tyle zainteresowania grą, że już wówczas pojawiła się z całą ostrością, później t-cz zresztą przy różnych okazjach wy-

nikajęca kwestia, czy Kościół i kuria powinny w istocie ową grę tolerować, popierać, czy też jej zakazać.

Od owego wielkiego dzieła Bazylejczyka gra szybko już się rozwinęła, stając się w pełni tym, czym i dzisiaj jest jeszcze: synonimem wszystkiego, co duchowe i artystyczne, wzniosłym kultem, *unio mystica* wszelkich poszczególnych członów *unwersitatis litterarum*. Przejęła ona w życiu naszym, częściowo rolę sztuki, częściowo zaś spekulatywnej filozofii, a w epoce Pliniusza Ziegenhalsa na przykład nierzadko określana była wyrażeniem, pochodzącym jeszcze z epoki felietonu i określającym w owej epoce cel tęsknoty niektórych, pizeczuciem przyszości obdarzonych umysłów, mianowicie nazwą: teatr magiczny.

Lecz choć gra szklanych paciorków od czasu swoich początków rozwinęła się niesłychanie pod względem techniki i zakresu tematów, a w dziedzinie intelektualnych wymagań wobec graczy stała się wielką wiedzą i kunsztem, brak jej było jednak' jeszcze w epoce Bazylejczyka czegoś istotnego. Dotychczas bowiem każda gra była szeregowaniem, porządkowaniem, grupowaniem i przeciwstawianiem sobie skoncentrowanych wyobrażeń z wielu dziedzin myśli i piękna, szybkim przypominaniem sobie ponadczasowych form i wartości, krótkim a wirtuozerskim przelotem przez królestwo ducha. Dopiero znacznie później i stopniowo przeniknęło do gry z duchowych zasobów systemu wychowawczego, zwłaszcza zaś z nawyków i obyczajów Wędrowców Wschodu, pojęcie kontemplacji. Ujawniła się bowiem pewna wada: oto ludzie obdarzeni wyjątkową pamięcią, choć nie posiadający żadnych innych cnót, uprawiali wirtuozerskie, olśniewające gry, zdumiewając i oszałamiając uczestników szybkimi sekwencjami niezliczonych wyobrażeń. Lecz oto wirtuozeria taka jęła stopniowo podlegać coraz surowszym zakazom, kontemplacja zaś stała się niezmiernie ważnym składnikiem gry, a nawet najważniejszym jej elementem dla widzów i słuchaczy. Dokonał się zwrot w kierunku religijności. I nie chodziło już wyłącznie o to, by szybko, uważnie śledzić wyćwiczoną pamięcią sekwencje pomysłów i całą intelektualną mozaikę danej gry, lecz zaczęto domagać się głębi-

szego, psychicznego oddawania się jej. Po każdym mianowicie znaku, wywołanym przez aktualnego kierownika gry, oddawano się cichej, ścisłej medytacji nad owym znakiem, pochodzeniem jego i znaczeniem, co zmuszało każdego ze współuczestników gry do intensywnego, organicznego uprzytomnienia sobie treści danego znaku. Technikę i nawyk kontemplacji zdobywali wszyscy członkowie zakonu i związków ludycznych w szkołach elitarnych, gdzie sztuka kontemplacji i medytacji otaczano największą troskliwością. Dzięki temu zaś zdołano uchronić hieroglify gry przed wynaturzeniem w zwyczajne litery.

Gra szklanych paciorków pozostawała zresztą dotychczas, mimo popularności, jaką cieszyła się wśród uczonych, ćwiczeniem jedynie prywatnym. Można było rozgrywać ją samemu, we dwóch lub w gronie liczniejszym, choć zdarzało się, że szczególnie pomysłowe, dobrze skomponowane i udane gry notowano niekiedy, po czym przechodziły one z miasta do miasta i z kraju do kraju, podziwiane lub krytykowane. Lecz dopiero teraz gra jęła powoli wzbogacać się o nową funkcję, stając się uroczystością publiczną. I dzisiaj jeszcze każdemu wolno uprawiać ową grę prywatnie, czemu zwłaszcza ludzie młodszy oddają się z zapałem. Lecz przy słowach „gra szklanych paciorków” każdy dziś myśli chyba przede wszystkim o uroczystych grach publicznych. Odbywają się one pod kierunkiem nielicznych wytrawnych mistrzów, którym w każdym kraju przewodzi magister ludzi, czyli mistrz gry, wśród nabożnego zasluchania zaproszonych i napiętej uwagi słuchaczy we wszystkich częściach świata; niektóre z owych gier trwają kilka dni lub kilka tygodni, a podczas celebrowania takiej gry wszyscy jej uczestnicy i słuchacze żyją według ściśle określonych przepisów, obejmujących również czas przeznaczony na sen, wiodą wstrzemięźliwe, ofiarne życie pełnej kontemplacji, dające się porównać do surowo uregulowanego życia pokutników, jakie prowadzić musieli uczestnicy jednego z ćwiczeń świętego Ignacego.

Wiele tu już dodać nie zdołamy. Owa arcygra, pod hegemonią raz jednej, raz znowu innej nauki lub sztuki, ukształ-

towała się w rodzaj uniwersalnego języka, za pomocą którego grający mogli wyrażać pewne wartości w sensownych znakach i tworzyć kontakty pomiędzy nimi. Gra miała zawsze ścisły związek z muzyką i przebiegała przeważnie według zasad muzycznych lub matematycznych. Ustalano jeden, dwa, trzy tematy, wykonywano je, dokonywano ich przekształceń i doznawały one tego samego losu, co temat jakiejś fugi lub części koncertu. Gra mogła na przykład wywodzić się z pewnej podanej już konfiguracji astronomicznej czy tematu fugi Bachowskiej, lub od jakiegoś cytatu z Leibniza czy Upaniszad, a zależnie od zamiaru i zdolności grającego można było albo dalej prowadzić tę rozbudzoną już ideę przewodnią i rozbudowywać ją, albo wzbogacać jej wyraz współbrzmieniami z wyobrażeniami pokrewnymi. I jeśli początkujący gracz potrafił na przykład tworzyć za pomocą znaków gry paralele pomiędzy muzyką klasyczną a formułą pewnego prawa przyrodniczego, u sprawnego już mistrza gra wiodła swobodnie od początkowego tematu aż po nieograniczone kombinacje. Pewna szkoła gry przez czas dłuższy darzyła szczególnym upodobaniem zestawianie, przeciwstawianie i sprowadzanie w końcu do harmonijnego zakończenia dwóch wrogich sobie tematów lub idei, jak na przykład prawa i wolności, jednostki i społeczeństwa, zważano zaś przy tym usilnie na prowadzenie w takiej grze obu tematów w sposób bezstronny i równouprawniony, tak by możliwie jak najczęściej z tezy i antytezy wywieść syntezę. W ogóle zresztą, abstrahując od genialnych przypadków, gry o zakończeniu negatywnym bądź też sceptycznym i dysharmonicznym nie były lubiane, a okresowo nawet wręcz zakazywane, co łączyło się ściśle ze znaczeniem, jakie owa gra uzyskiwała dla graczy w szczytowym okresie swego rozwoju. Stanowiła ona bowiem wyszukaną, symboliczną formę poszukiwania doskonałości, wzniosłą alchemię, jedyne w samym sobie, ponad wszelkimi mnogościami i obrazami, ducha, czyli Boga. I podobnie jak pobożni myśliciele w czasach dawniejszych ukazywali na przykład żywot wszelkiego stworzenia jako wędrówkę ku Bogu, a kres i doskonałość zróżnicowanego, widzialnego świata widzieli dopiero

w boskiej jedności, podobnie też budowały, muzykowały i filozofowały figury i formuły gry szklanych paciorków w uniwersalnym języku, zasilanym przez wszystkie nauki i sztuki, zmierzając w rozigraniu swoim ku doskonałości, ku czystemu bytowi i rzeczywistości całkowicie wypełnionej. „Realizacja” była ulubionym wyrażeniem graczy, a działalność swoją pojmowali oni jako drogę od stawania się ku istnieniu, od możliwości ku rzeczywistości. I tu niechaj nam będzie wolno raz jeszcze przypomnieć wyżej przytoczone zdania Mikołaja z Kuzy.

Sformułowania teologii chrześcijańskiej zresztą, jeśli tylko wyrażone były w sposób klasyczny i dzięki temu zdawały się przynależać do powszechnego dorobku kulturalnego, były oczywiście włączone do ludycznej mowy znaków, a niejedno z podstawowych pojęć wiary, niejeden cytat biblijny, zdanie z pism któregoś z ojców Kościoła czy z łacińskiego tekstu mszy wyrazić można było i włączyć do gry równie łatwo i dokładnie, co pewnik geometryczny lub którąś melodię Mozarta. I chyba nie będzie przesadą, jeśli ośmielimy się powiedzieć, że dla ścisłego grona prawdziwych graczy szklanych paciorków owa gra była niemal równoznaczna z nabożeństwem, mimo iż powstrzymała się od tworzenia jakiejś własnej teologii.

Lecz w walce swej o przetrwanie pośród aintelektualnych potęg światowych zarówno gracze szklanych paciorków, jak i Kościół katolicki zanadto zdani byli na siebie wzajem, aby mogli dopuścić do jakiegokolwiek pomiędzy sobą rozstrzygnięcia, mimo iż znalazłyby się liczne po temu okazje, u obu tych potęg bowiem uczciwość intelektualna i szczere dążenie do ostrych, jednoznacznych sformułowań domagały się separacji. Nigdy jednak jej nie dokonano. Rzym zadawał się zajmowaniem wobec gry raz przychylnego, raz znowu niechętnego stanowiska, niektóre bowiem najświetniejsze talenty w kongregacjach, wśród wyższego i najwyższego kleru należały również do grona graczy. Sama zaś gra, od chwili gdy ustanowiono gry publiczne oraz magistra ludzi, znajdowała się pod opieką zakonu i instytucji pedagogicznych, będących zawsze wobec Rzymu uosobieniem uprzej-

mości i rycerskości. Pius XV, który jeszcze jako kardynał był dobrym, pełnym zapału graczem szklanych paciorków, jako papież nie tylko, wzorem swych poprzedników, na zawsze z gry zrezygnował, lecz usiłował ponadto wszcząć przeciwko niej proces, i niewiele wówczas brakowało, aby jej katolikom całkowicie zabroniono. Lecz zanim do tego doszło, papież zmarł, a pewna poczytna biografia tego niewątpliwie wybitnego męża przedstawiła jego stosunek do gry paciorków szklanych jako głęboką namiętność, którą, jako papież, okiełznać potrafił jedynie wrogością.

Gra, dawniej uprawiana swobodnie przez jednostki lub w gronach koleżeńskich, choć co prawda od dłuższego już czasu życzliwie popierana przez instytucję pedagogiczną, zorganizowana została oficjalnie najpierw we Francji i w Anglii, a pozostałe kraje dość szybko poszły ich śladem. W każdym tedy kraju ustanowiono komisję do spraw gry i naczelnego jej kierownika z tytułem magistra ludzi, oficjalnie zaś, pod osobistym nadzorem owego magistra przeprowadzane gry podniesiono do rangi duchowych uroczystości. Magister pozostawał oczywiście — jak wszyscy wyżsi i najwyżsi funkcjonariusze kultury duchowej — anonimowy i prócz kilku najbliższych osób nikt nie znał prawdziwego jego imienia. Jedynie wielkie, oficjalne gry, za które odpowiedzialny był magister ludzi, miały do dyspozycji oficjalne i międzynarodowe środki przekazu, jak radio i temu podobne. Do obowiązków magistrów należało — prócz kierowania publicznymi grami — popieranie graczy i szkół gry, lecz przede wszystkim mieli oni jak najskrupulatniej czuwać nad dalszym rozwojem samej gry. I wyłącznie Światowa Komisja Magistrów ze wszystkich krajów decydowała o przyjmowaniu (co dziś ricmał się już nie zdarza) do gry nowych formuł czy znaków, o ewentualnym rozszerzeniu reguł gry, o tym, czy włączenie do niej nowych dziedzin pożądane jest, czy zbędne. Jeśli będziemy uważać grę za rodzaj uniwersalnego języka intelektualistów, komisje poszczególnych krajów pod kierownictwem swoich magistrów stanowiłyby akademie, czuwające nad zasobami, dalszym rozwojem oraz utrzymywaniem czystości tego języka.

Każda krajowa komisja posiada archiwum gry, czyli wszystkie dotychczas zbadane i dopuszczone znaki i klucze, których liczba od dawna już przewyższyła liczbę dawnych, pisarskich znaków chińskich. Na ogół za wykształcenie wstępne, wystarczające dla gracza szklanych paciorków, uchodzi końcowy egzamin jednej ze szkół wyższych, zwłaszcza zaś szkół elitarnych; na podstawie milczącej umowy zakłada się jednak i zakładało zawsze nieprzeciętne opanowanie jednej z głównych dziedzin nauki lub muzyki. Dojść kiedyś aż do godności członka komisji gry, albo nawet magistra ludzi było marzeniem niemal każdego piętnastolatka w szkołach elitarnych. Ale już w gronie doktorantów znikoma jedynie część poważnie traktowała ambicje aktywnego służenia grze szklanych paciorków i dalszemu jej rozwojowi. Natomiast wszyscy ci miłośnicy gry ćwiczyli się pilnie w jej znajomości i medytacji, tworząc podszas „wielkich” gier ów najściślejszy krąg nabożnych i oddanych słuchaczy, nadających grom publicznym ich uroczyście chałakter i chroniących je przed wypaczeniem w wyłącznie dekoracyjne akty. Dla prawdziwych graczy i miłośników magister ludzi jest władcą lub arcykapłanem, nieomal bóstwem.

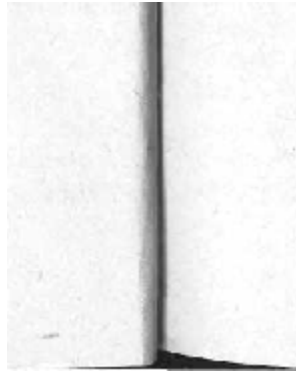
Lecz dla każdego samodzielnego gracza, a zwłaszcza dla magistra, gra szklanych paciorków jest przede wszystkim muzykowaniem o znaczeniu zbliżonym mniej więcej do tego, które niegdyś wyraził słowami Józef Knecht, pisząc o istocie muzyki klasycznej:

„Uważamy muzykę klasyczną za ekstrakt i najpełniejszy wyraz naszej kultury, ponieważ jest ona najdobitniejszym, najbardziej charakterystycznym jej gestem i przejawem. W muzyce tej posiadamy dziedzictwo antyku i chrześcijaństwa, ducha mężnej a pogodnej pobożności i niezrównanie rycerską moralność. O moralności bowiem stanowi ostatecznie każdy klasyczny gest kulturalny, każdy zredukowany do gestu wzorzec ludzkiego postępowania. Różnorodną tworzono muzykę pomiędzy rokiem 1500 i 1800, style i środki wyrazu były najróżniejsze, lecz duch, a raczej moralność, wszędzie jest jednaka. Zawsze jednaka jest postawa ludz-

ka, której wyraz stanowi muzyka klasyczna, zawsze oparta jest ona na jednakiej znajomości życia, a dąży ku zawsze jednakiej przewadze nad przypadkowością. Gest muzyki klasycznej oznacza: wiedzę o tragizmie człowieczeństwa, afirmację ludzkiego losu, męstwo, pogodę! I czy będzie to wdzięk menueta Handla lub Couperina, czy wysublimowana w czułym geście zmysłowość, jak u wielu Włochów albo u Mozarta, lub spokojna i opanowana gotowość na śmierć, jak u Bacha, zawsze brzmi w tym przekorna odwaga wobec śmierci, rycerskość, pobrzmiwa śmiech nadludzi i nieśmiertelna pogoda. Wszystko to brzmieć też powinno w naszych grach szklanych paciorków i całym naszym życiu, działalności i cierpieniach".

Słowa te zanotowane zostały przez jednego z uczniów Knechta. I nimi kończymy nasze rozważania o grze szklanych paciorków.

OPIS ŻYWOTA
MAGISTRA LUDI
JÓZEFA KNECHTA



T

POWOŁANIE

pochodzeniu Józefa Knechta nic nam nie wiadomo.

Podobnie jak wielu innych uczniów elitarnych, albo wcześniej stracił rodziców, albo też instytucja pedagogiczna wydobyla go z niekorzystnych warunków i adoptowała. W każdym razie oszczędzony mu został konflikt pomiędzy szkołą elitarną i domem rodzicielskim, ciężący na młodych latach niejednego z jemu podobnych, utrudniający wstąpienie do zakonu, a w niektórych przypadkach wypaczający charakter wielce utalentowanych młodych ludzi i czyniący go trudnym a problematycznym. Knecht należy do tych szczęśliwców, którzy zdają się urodzeni i z góry już przeznaczeni do ascezy, do zakonu i służby w instytucji pedagogicznej; a choć problematyka życia duchowego bynajmniej nie pozostała dlań obca, dane mu jednak było przeżyć bez rozgoryczenia osobistego ów tragizm, przyrodzony każdemu życiu poświęconemu sprawom ducha. I chyba nie tyle nawet sam ów tragizm nakłonił nas do poświęcenia osobowości Józefa Knechta tych naszych wnikliwych rozważań; raczej ów cichy, pogodny, wręcz promienny sposób, w jaki urzeczywistniał swój los, swój talent i swe przeznaczenie. Posiada on, jak każdy człowiek wybitny, swoje *daimonion* i swój *amor fati*, lecz *amor fati* jawi się nam wolny od posępności i fanatyzmu. Nie znamy wpraw-

F

1

!

dzie spraw ukrytych, a nie zapominamy również, iż spisy-, wanie dziejów, choćby dokonywane jak najtrzeźwiej i z najlepszą wolą rzeczowości, zawsze pozostaje literaturą, a trzecim jego wymiarem jest fikcja. Nie wiemy więc na przykład wcale — odwołując się do wielkich postaci — czy Jan Sebastian Bach lub Wolfgang Amadeusz Mozart mieli właściwie życie pogodne, czy ciężkie. Mozart ma dla nas osobliwie wzruszający i miłość budzący wdzięk wczesnej doskonałości, Bach — budującą i pocieszającą uległość wobec konieczności cierpienia i śmierci z ojcowskiej woli Boga, lecz w istocie nie wyczytujemy tego bynajmniej z ich biografii ani przekazanych tradycją szczegółów z ich prywatnego życia, ale wiemy to wyłącznie z ich dzieł, z ich muzyki. Ponadto do Bacha, którego biografię znamy, a jego wizerunek tworzymy sobie z jego muzyki, mimowiednie do-J pisujemy jeszcze pośmiertne jego losy: pozwalamy mu niejako we własnej naszej wyobraźni wiedzieć o nich już na-, przód, pozwalamy mu uśmiechać się i milczeć wobec faktu.S iż cały jego dorobek zapomniany został natychmiast po jego śmierci, a jego rękopisy przepadły jako makulatura, że zamiast niego jeden z jego synów stał się „wielkim Bachem” i zbierał laury, że dzieła jego po ponownym odkryciu znalazły się w gąszczu nieporozumień i barbarzyństwa epoki felietonu — i tak dalej. I tak samo skłonni jesteśmy przypisywać lub dorzucać we własnej fantazji żyjącemu, jeszcze i w pełni zdrowej pracy rozkwitającemu Mozartowi wiedzę o sięgającej już po niego ręce śmierci, przecucie osaczenia go przez śmierć. Tam gdzie istnieje dzieło, historyk nie może postąpić inaczej: łączy je z życiem jego twórcy jako dwie nierozdzielne połowy jednej, żywej całości. Tak postępujemy z Mozartem czy Bachem, tak też postępujemy z Knechtem, mimo iż należy on do naszej, w zasadzie nietwórczej, epoki i nie pozostawił żadnego „dzieła” przypominającego tamtych mistrzów.

Usiłując jednak odtworzyć życie Knechta, podejmujemy tym samym próbę jego interpretacji, a jeśli jako historycy ubolewać musimy głęboko, że o ostatniej części tego życia brak niemal wszelkich, prawdziwie udokumentowanych

wiadomości, odwagi w naszych poczynaniach dodaje nam okoliczność, iż właśnie ta ostatnia część życia Knechta stała się legendą. Przejmujemy ową legendę i zgadzamy się z nią, niezależnie od tego, czy jest ona, czy też nie jest jedynie pobożnym zmyśleniem. I tak samo jak nic nie wiemy o narodzinach i pochodzeniu Knechta, nie wiemy również nic o jego zgonie. Nic jednak w najmniejszym stopniu nie upoważnia nas do przypuszczenia, że mógł to być zgon przypadkowy. Widzimy jego życie — o ile jest nam znane — uszeregowane w przejrzyste sekwencje, jeśli zaś w domysłach na temat jego zgonu chętnie przyłączamy się do legendy i z wiarą ją przyjmujemy, czynimy tak dlatego, iż to, o czym owa legenda opowiada, wydaje się w pełni zgodne, jako ostatni stopień tego życia, z wszystkimi sekwencjami uprzednimi. Wyznajemy nawet, iż zanik owego życia w legendzie wydaje nam się organiczny i słuszny, podobnie jak dalsze istnienie gwiazdy, która znikła nam z oczu, czyli dla nas już „zaszła”, wcale nie wydaje się niewiarygodne. Józef Knecht osiągnął na tym świecie, na którym my, autor i czytelnicy tych zapisków, żyjemy, rzeczy najszczytniejsze, był bowiem jako magister ludzi przywódcą i wzorem dla ludzi o duchowej kulturze i intelektualnych ambicjach, wzorowo władał przejętą spuścizną duchową i pomnażał ją jako arcykapłan świętej dla każdego z nas świątyni. Nie tylko jednak osiągnął i sprawował godność mistrza, miejsce na najwyższym szczycie naszej hierarchii, przekroczył je bowiem i wyrósł z niego, wkraczając w wymiar, który my jedynie ze złości przeczuwać możemy, toteż wydaje nam się rzeczą stosowną, a życiu jego odpowiednią, żeby biografia jego również przekroczyła zwykłe rozmiary i w końcu przeszła w legendę. Przystajemy na cudowność tego faktu i cieszymy się nią, nie pragnąc wcale zbyt wnikliwie jej interpretować. Jak dalece jednak życie Knechta jest historią — a jest nią aż do pewnego, ściśle określonego dnia — pragniemy traktować je jako historię, stąd też usiłowaliśmy przekazać tradycję dokładnie tak, jak przedstawiała się ona w naszych badaniach.

Z czasów jego dzieciństwa, czyli okresu sprzed przyjęcia

go do szkół elitarnych, znamy jeden tylko fakt, doniosły jednak i o znaczeniu symbolicznym, świadczy on bowiem o pierwszym, wielkim wezwaniu *go* ku życiu duchowemu, jest pierwszym aktem jego powołania, a znamienne przy tym, iż owo pierwsze wezwanie rozległo się nie od strony nauk, lecz od strony muzyki. Biograficzny ów ułamek zawdzięczamy, jak niemal wszystkie osobiste wspomnienia o osobistym życiu Knechta, zapiskom jednego z uczniów gry szklanych paciorków, wiernego wielbiciela, który zanotował wiele wypowiedzi i opowiadań swego wielkiego nauczyciela. Knecht musiał mieć podówczas chyba ze dwanaście lub trzynaście lat i uczył się łaciny w miasteczku Berolfingen, na skraju lasu Zaber, gdzie przypuszczalnie też się urodził. Chłopiec był wprawdzie już od dłuższego czasu stypendystą szkoły łacińskiej, a rada pedagogiczna, zwłaszcza zaś nauczyciel muzyki, już dwu- czy trzykrotnie polecała go najwyższej instytucji jako kandydata do szkół elitarnych, lecz on nic o tym nie wiedział, ani razu też jeszcze nie zetknął się z elitą, a tym bardziej z mistrzami najwyższej instytucji pedagogicznej. I oto nauczyciel muzyki powiadomił go (uczył się wówczas gry na skrzypcach i lutni), iż niebawem przybędzie może do Berolfingen mistrz muzyki, aby dokonać inspekcji nauczania muzyki w szkole, Józef powinien więc pilnie ćwiczyć, by ani sobie, ani nauczycielowi nie narobić kłopotu. Wiadomość ta niesłychanie przejęła chłopca, wiedział bowiem, oczywiście, doskonale, kim jest ów mistrz muzyki, a także, iż nie przybywa on, jak na przykład mniej więcej dwa razy do roku pojawiający się inspektorowie szkolni, z wyższej jakiejś instytucji pedagogicznej, lecz jest jednym z dwunastu półbogów, jednym z dwunastu najwyższych kierowników owej czcigodnej instytucji, która jest najwyższą w kraju instancją wszystkich spraw muzycznych. Sam tedy mistrz muzyki, magister musicae we własnej osobie przybyć miał do Berolfingen! Na całym świecie jedna tylko jeszcze osoba wydawała się równie, a może bardziej nawet, legendarna i tajemnicza dla chłopięcej wyobraźni Józefa: mistrz gry szklanych paciorków. Lecz dla zapowiedzianego mistrza muzy-

ki poczuł także już z góry ogromną a trwożną cześć: wyobrażał go sobie raz jako króla, raz jako czarodzieja, to snów jako jednego z dwunastu apostołów czy legendarnych, wielkich artystów z czasów klasycznych, jak na przykład Michał Praetorius, Klaudiusz Monteverdi, J. J. Froberger lub Jan Sebastian Bach — i tyleż lękał się, co i cieszył na myśl o chwili, w której pojawi się owa gwiazda. Fakt, że oto jeden z owych półbogów i archaniołów, jeden z tych tajemniczych a wszechmocnych władców świata intelektu ma pojawić się we własnej osobie tu, w miasteczku i szkole łacińskiej, że go zobaczy, a mistrz może przemówi do niego, że ma go przeegzaminować, zganić albo pochwalić — był wielkim wydarzeniem, czymś w rodzaju cudu lub niezwykłego zjawiska na niebie; a ponadto, jak zapewniali nauczyciele, od dziesiątków lat zdarzało się po raz pierwszy, że magister musicae we własnej osobie odwiedza miasto i małą szkółkę łacińską. Chłopiec wyobrażał sobie oczekujące go przeżycia w najrozmaitszy sposób: przede wszystkim przypuszczał, że odbędzie się wielka, oficjalna uroczystość i przyjęcie, takie, jakie raz już przeżywał z okazji obejmowania urzędu przez nowego burmistrza, z orkiestrą dętą i ulicami przystrojonymi we flagi, może nawet z fajerwerkami, a koledzy Knechta również oddawali się takim marzeniom i nadziejom. Pełne radości oczekiwania chłopca tłumiła jedynie myśl, iż sam mógłby znaleźć się zbyt blisko owego wielkiego człowieka i nieznośnie się wobec niego, tego wielkiego znawcy zblamować, muzyką swoją i swymi odpowiedziami. Obawa ta była jednak nie tylko dręcząca, była także słodka, i w głębi duszy, sam przed sobą do tego się nie przyznając, uważał całą tę spodziewaną uroczystość, wraz z flagami i fajerwerkami, za znacznie mniej piękną, podniecającą, ważną i mimo wszystko cudownie radosną niż tę właśnie okoliczność, iż oto on, mały Józef Knecht, oglądać miał owego człowieka całkiem z bliska, a nawet że odrobinę także z jego powodu, z powodu Józefa, dokonuje on tych odwiedzin w Berolfingen, skoro przybywał przecie na inspekcję nauczania muzyki, a nauczyciel

muzyki najwidoczniej uważał za rzecz możliwą, że Knechta ■ również przeegzaminuje.

Być może, ba — nawet prawdopodobnie — jednak do tego nie dojdzie, to chyba niemożliwe, mistrz z pewnością co innego mieć będzie do roboty, niż kazać malcowi wygrywać sobie na skrzypcach; zapewne będzie chciał zobaczyć i posłuchać jedynie starszych, już zaawansowanych uczniów. I pełen takich myśli chłopiec wyczekiwał owego dnia, a dzień ów nadszedł i rozpoczął się od rozczarowania: na ulicach wcale nie rozległa się muzyka, z domów nie zwisały flagi ani wieńce, trzeba było, jak co dzień, wziąć książki i zeszyty i pójść zwyczajnie na lekcje, a nawet w klasie nie było ani śladu ozdób lub uroczystości, wszystko było takie, jak co dzień. Rozpoczęły się lekcje, nauczyciel był w tym samym co zawsze, powszednim ubraniu, nie wygłosił przemówienia, nawet słowem nie wspomniął o wielkim, honorowym gościu.

Ale podczas drugiej czy trzeciej lekcji coś jednak nastąpiło: zapukano do drzwi, wszedł woźny, uklonił się nauczycielowi i oznajmił, iż uczeń Józef Knecht ma przyjść za kwadrans do nauczyciela muzyki i nie zapomnieć przyzwoicie się uczesać, umyć ręce i wyczyścić paznokcie. Knecht zbladł ze strachu, chwiejnym krokiem wyszedł ze szkoły, pobiegł naprzeciw, do internatu, odłożył książki, umył się i uczesał, chwycił, drżąc, futerał ze skrzypcami i zeszyt do ćwiczeń i ze ściśniętym gardłem ruszył do klas muzycznych w przybudówce. Na schodach zastał jakiegoś podnieconego kolegę, który wskazał mu jeden z pokoiów przeznaczonych do ćwiczeń i pouczył:

■ — Tutaj masz czekać, dopóki cię nie zawołają.

Nie trwało to długo, jemu jednak wydało się wiecznością, nim wyzwolono go z tego czekania. Nikt go nie zawołał, natomiast do pokoju wszedł jakiś mężczyzna, człowiek bardzo stary — jak mu się początkowo wydało — niezbyt wysoki, siwy, o pięknej, świetlistej twarzy i przenikliwie patrzących, jasnoniebieskich oczach, których spojrzenia można się było przerazić; lecz było ono nie tylko przenikliwe, ale także pogodne; cały ów człowiek pełen był nie roześmianej

czy uśmiechniętej, ale spokojnie jaśniejącej, łagodnej pogody. Podał chłopcu rękę, kiwnął mu głową, usiadł powoli na taborecie przed starym, ćwiczebnym fortepianem i powiedział:

— Ty jesteś Józef Knecht? Twój nauczyciel jest z ciebie zadowolony, sądzę, że cię lubi. Chodź, pomuzykujemy sobie teraz trochę.

Knecht przedtem już wyjął był swoje skrzypce, starzec poddał mu A, chłopiec nastroił instrument, a później pytając i lekliwie spojrzawszy na mistrza muzyki.

— Co masz ochotę zagrać? — zapytał mistrz. ^

Uczeń nic nie zdołał wykrztusić w odpowiedzi; przepętniony był ogromnym uczuciem czci dla starca, nigdy jeszcze dotąd nie widział takiego człowieka. Z wahaniem sięgnął po nuty i podsunął je mistrzowi.

— Nie — powiedział mistrz — chciałbym, żebyś zagrał z pamięci, i nie ćwiczenie, ale coś prostego, co umiesz na pamięć, może jakąś piosenkę, którą lubisz.

Knecht był zmieszany i oczarowany ową twarzą i oczami, słowa z siebie nie mógł wydobyć, wstydził się bardzo tego zmieszania, ale powiedzieć nie potrafił nic. Mistrz nie nalegał. Jednym palcem wystukał pierwsze dźwięki pewnej melodii, pytając spoglądając na chłopca, który skinął głową i natychmiast ją radośnie jej wtórować; była to jedna ze starych pieśni, często śpiewanych w szkole.

— Jeszcze raz! — powiedział mistrz.

Knecht powtórzył melodię, starzec zaś zagrał teraz do niej drugi głos. I oto stara pieśń dwugłosowo rozległa się w małym pokoiku do ćwiczeń.

■— Jeszcze raz!

Knecht zagrał, mistrz natomiast grał teraz drugi głos, a ponadto jeszcze i trzeci. I stara, piękna pieśń zabrzmiała na trzy głosy w małym pokoiku.

— Jeszcze raz! — I mistrz zagrał do wtóru trzy głosy.

— Piękna pieśń! — cicho powiedział mistrz. — Zagrajże ją teraz w układzie altowym.

Knecht usłuchał, zagrał, a mistrz poddał mu pierwszy dźwięk, sam natomiast dołączył trzy pozostałe głosy. I nie-

ustannie powtarzał starzec: „Jeszcze raz!”, a za każdym razem brzmiało to radośniej. Knecht grał ową melodię w tenorze, zawsze przy akompaniamencie dwóch lub trzech opozycyjnych głosów. Wielokroć grali ową pieśń, wszelkie porozumiewanie się stało się już zbyt łatwe, a przy każdym powtórzeniu pieśń samoistnie wzbogacała się o ozdoby i ornamenty. Pusta, mała izdebka, pełna wesołego, porannego światła, uroczystym echem powtarzała muzyczne dźwięki.

Po chwili starzec przestał grać. — Wystarczy już? — zapytał. Knecht pokręcił głową i rozpoczął od nowa, starzec radośnie dołączył swoje trzy głosy, po czym wszystkie cztery głosy jęły ciągnąć swe delikatne, wyraziste linie, gadać ze sobą, wzajem się na sobie wspierać, krzyżować się i okręzać w pogodnych łukach lub figurach, chłopiec zaś i starzec o niczym innym już nie myśleli, oddani całkowicie tym pięknym, spokrewnionym ze sobą liniom i figurom, jakie głosy tworzyły przy swych spotkaniach, w ich sieć uwikłani muzykowali, kołysząc się z lekka, posłuszni niewidzialnemu kapelmistrzowi. Aż wreszcie mistrz, gdy melodia znów dobiegła końca, odwrócił głowę i zapytał:

— Podobało ci się to, Józefie?

Knecht spojrzał nań pełnym wdzięczności wzrokiem, z rozjaśnioną twarzą. Promieniał, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

— A wiesz już może — zapytał teraz mistrz — co to takiego fuga?

Na twarzy Knechta odmalowało się powątpiewanie. Słyszał już fugi, lecz na lekcjach jeszcze się nimi nie zajmowano.

— Dobrze — rzekł mistrz — wobec tego wytłumaczę ci. A zrozumiesz najprędzej, jeśli sami zrobimy fugę. A więc: do fugi potrzebny jest przede wszystkim temat, a tematu wcale nie potrzebujemy długo szukać, weźmiemy go z naszej pieśni.

Zagrał krótki szereg dźwięków, fragmencik owej pieśni, a zabrzmiał on, tak wykrojony, bez początku i końca, dziwacznie. Zagrał ów temat raz jeszcze, lecz poszedł już dalej: już pojawił się głos pierwszy, drugi przekształcił po-

stępowy kwintowy w kwartowy, trzeci powtórzył pierwszy o oktawę wyżej, podobnie jak czwarty powtórzył drugi, a ekspozycja zakończyła się kadencją w tonacji dominanty. Drugie przetworzenie dało swobodniejsze modulacje do tonacji innych, trzecie, ze skłonnością ku subdominancie, zakończyło się kadencją na dźwięku podstawowym. Chłopiec patrzył na mądre białe palce grającego, widział na jego skupionej twarzy spokojne odzwierciedlenie całego tego rozwoju, gdy oczy pod wpróżymkniętymi powiekami odpoczywały. Serce chłopca wzbierało czcią i miłością dla mistrza, a ucho jego nasłuchiwało fugi: wydawało mu się, że dziś po raz pierwszy słyszy muzykę, wyczuwał poza tym, p^ozwykłym powstającym utworem muzycznym ducha, uszczęśliwiająca harmonię prawa i wolności, służby i władania, poddawał się i ślubował temu duchowi i temu mistrzowi; podczas tych minut widział siebie i świat cały wiedzionych, uporządkowanych i wyjaśnionych przez ducha muzyki, a gdy gra dobiegła końca, widział uwielbianego władcę i czarodzieja, schylonego jeszcze przez krótki moment, z wpróżymkniętymi powiekami nad klawiaturą, z twarzą rozjaśnioną cichym, wewnętrznym blaskiem, i nie wiedział, czy powinien radować się błogością owych chwil, czy płakać, że już minęły. Lecz wówczas starzec powoli wstał z taboretu, przenikliwie, a jednocześnie z niewysłowioną życzliwością spojrział na chłopca swymi pogodnymi, błękitnymi oczami i powiedział:

— Nigdzie nie można zaprzyjaźnić się tak łatwo dwóm ludziom, jak przy muzykowaniu. Piękna to rzecz. I mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, ty i ja. A może także nauczysz się robić fugi, Józefie?

Z tymi słowy podał mu rękę i odszedł, a przy drzwiach odwrócił się raz jeszcze i pożegnał chłopca spojrzeniem oraz lekkim, uprzejmym skłonieniem głowy.

Wiele lat później opowiadał Knecht swemu uczniowi: gdy wyszedł z owego budynku, miasto i świat wydały mu się znacznie bardziej odmienione i zaczarowane, niż gdyby ozdobione były sztandarami, wieńcami, wstęgami i fajerkami. Przeżył oto akt powołania, który z pewnością na-

zwać można sakramentem; unaocznienie i powabne rozwarcie się świata ideału znanego dotychczas jego młodemu umysłowi po części jedynie ze słyszenia, a po części z płomień-nych marzeń. I oto świat ten istniał nie tylko gdzieś w oddali; w przeszłości lub przyszłości, nie, był tu i był żywy, promieniował, wysyłał posłów, apostołów, posłańców, ludzi takich jak ów stary magister, który zresztą, jak skłonny był mniemać Józef, właściwie wcale nie był jeszcze taki stary. I z tego właśnie świata, za pośrednictwem jednego z owych czcigodnych posłańców, dosięgło także i jego, skromnego ucznia szkoły łacińskiej, wezwanie i powołanie! Takie właśnie znaczenie miało dlań to przeżycie i wiele tygodni minęło, zanim naprawdę zrozumiał i przekonał się, że magiczny akt tej uświęconej godziny - miał też swój ścisły odpowiednik w świecie realnym, że powołanie było nie tylko uszczęśliwieniem i wezwaniem w głębi własnej jego duszy i sumienia, lecz również darem i wezwaniem od władz ziemskich. Na dłuższą metę nie dało się bowiem ukryć, że odwiedziny mistrza muzyki nie były ani przypadkiem, ani też zwyczajną inspekcją szkolną. Natomiast nazwisko Knechta od dłuższego już czasu, na podstawie relacji jego nauczycieli, figurowało na listach uczniów, którzy wydawali się godni kształcenia w szkołach elitarnych albo przynajmniej polecani byli w tym sensie najwyższej instancji. A ponieważ ów chłopiec, Knecht, chwalony był nie tylko jako latynista i dobry charakter, lecz także specjalnie jeszcze polecany i wychwalany przez nauczyciela muzyki, mistrz muzyki podjął się przy okazji jakiejś służbowej podróży wykroić sobie parę godzin na Berolfingen i przyjrzeć się owemu uczniowi. Nie zależało mu przy tym szczególnie ani na łacinie, ani też na sprawności palców (w tym względzie polegał na świadectwach nauczycieli, na których przestudiowanie poświęcił jednak całą godzinę), lecz na sprawdzeniu, czy chłopiec, jego cała natura, przejawia zdolności i nadaje się na muzykanta w wyższym rozumieniu tego słowa, czy zdolny jest do entuzjazmu, podporządkowania się, do głębokiego szacunku i pełnienia służby kultowej. Na ogół, i ze zrozumiałych przyczyn, nauczyciele

publicznych szkół średnich bynajmniej nie szafowali polecaniem uczniów do „elity”, lecz mimo to zdarzały się niekiedy przypadki poparcia, wynikające z mniej lub bardziej nieczystych intencji: nierzadko też jakiś nauczyciel nie dość dalekowzroczny polecał jednego ze swych ulubionych uczniów, który prócz pilności, ambicji i roztropnej postawy wobec nauczycieli niewiele posiadał zalet. Tego typu uczniów mistrz muzyki szczególnie właśnie nie cierpiał, doskonale umiał dostrzec, czy egzaminowany zdaje sobie sprawę z tego, że oto rozstrzyga się teraz jego przyszłość i kariera, i biada uczniowi, który występował wobec niego nazbyt zřęcznie, nazbyt świadomie i mądrze, czy nawet ośmielał się mu schlebiać: w niektórych przypadkach zostawał odrzucony, zanim jeszcze jakikolwiek egzamin się rozpoczął.

Lecz uczeń Knecht spodobał się staremu mistrzowi muzyki, bardzo mu się spodobał, jeszcze podczas dalszej podróży wspominał go z przyjemnością; nie wpisał sobie na jego temat do zeszytu żadnych notatek ani świadectw, zabrał ze sobą jedynie wspomnienie o tym rześkim, skromnym chłopcu, a po powrocie własnoręcznie wpisał jego nazwisko na listę uczniów, uznanych za godnych przyjęcia i przeegzaminowanych osobiście przez jednego z członków najwyższej instytucji.

O lidcie tej — wśród uczniów szkoły łacińskiej nazywanej „złotą księgą”, lecz niekiedy określanej też bez szacunku mianem „katalogu karierowiczów” — sływał już Józef czasami w szkole, i to w najróżniejszy sposób. Gdy który z nauczycieli wspominał o owej liście, choćby tylko po to, sby jakimuś uczniowi dowieść, że chłopak taki jak on nigdy, oczywiście, nawet myśleć nie może o tym, by zająć tak daleko — w głosie jego pobrzmiwał ton uroczysty, pełen szacunku, z przymieszką napuszoności. Lecz gdy uczniowie rozmawiali kiedykolwiek o katalogu karierowiczów, czynili to najczęściej w sposób wzgardliwie impertynencki i z nieco przesadną obojętnością. Pewnego razu usłyszał Józef jednego z uczniów mówiącego: „Ach, co mi tam, pluję na ten idiotyczny katalog karierowiczów! Kto doprawdy coś wart, nie znajdzie się w nim, to pewne jak w banku.

Belfry umieszczają tam tylko największych **kujonów i wazeliniarzy**".

Po pięknym przeżyciu nadszedł okres osobliwy. Józef początkowo nie miał pojęcia, że należy teraz do *electi*, do *flos iuventutis*, jak nazywano w zakonie uczniów elitarnych; na razie wcale też nie myślał o praktycznych skutkach i namacalnych następstwach owego przeżycia na własny los i dzień powszedni, choć wtedy dla nauczycieli był już wyróżnionym i odchodzącym, sam odczuwał swe powołanie jedynie jako własne, wewnętrzne przeżycie. Dokonało ono zresztą i w ten sposób głębokich zmian w jego życiu. Bo choć .owa godzina spędzona z czarodziejem spełniła lub przynajmniej przybliżyła tylko to wszystko, co i tak przeczuwał już we własnym sercu, jednak Wskutek niej właśnie dokonało się wyraźne oddzielenie dnia wczorajszego od dzisiejszego, teraźniejszości od przyszłości, tak jak u człowieka, który budząc się ze snu w tym samym otoczeniu, gdzie we śnie przebywał, wątpić już nie może w swe przebudzenie. Istnieje wiele sposobów i rodzajów powołania, sedno jednak i sens tego przeżycia są zawsze jednakie: dusza zostaje przez nie zbudzona, odmieniona, a siły jej wzmożone wskutek tego, iż oto zamiast marzeń i przeczuć wewnętrznych pojawia się nagle zew z zewnątrz, ingeruje w nie fragment rzeczywistości. Tutaj owym fragmentem rzeczywistości była postać mistrza: ów mistrz muzyki, znany dotychczas tylko jako daleka, czcigodna i półboska postać, ów archanioł z najwyższych niebios, pojawił się w ludzkiej osobie, miał wszechwiedzące, błękitne oczy, usiadł na taborecie przy ćwiczebnym fortepianie, muzykował z Józefem, muzykował cudownie i niemal bez słów pokazał mu, czym właściwie jest muzyka, pobłogosławił go i znowu zniknął. A Knecht na razie niezdolny był nawet do rozmyślań o tym, co jeszcze może z tego wszystkiego powstać i wyniknąć, gdyż za bardzo wypełniony był i przejęty bezpośrednim, wewnętrznym echem owego przeżycia. Niczym młoda roślina, rozwijająca się dotychczas cichutko i nieśmiało, która w pewnej chwili zaczyna gwałtownie oddychać i rosnać, jak gdyby w momencie cudu uświadomiła sobie nagle

prawa swojej postaci i ze wszystkich sił dążyć ją do ich wypełnienia, tak chłopiec, z chwilą gdy dotknęła go ręka czarodzieja, zaczął usilnie i szybko zbierać i natężyć swe siły, poczuł się odmieniony, czuł, że rośnie, wyczuwał nowe napięcia, nowe harmonie pomiędzy sobą i światem, potrafił niekiedy rozwiązywać w dziedzinie muzyki, matematyki, łaciny zadania niedostępne jeszcze dla jego wieku i kolegów, czując się wówczas zdolnym do wszelkich osiągnięć, choć w innych chwilach znów wszystko zapominał i z nie znaną sobie dotychczas miękkością i oddaniem snuć zaczynał marzenia, słuchać wiatru i deszczu, wpatrywać się w kwiat jakiś lub wodę przepływającą w rzece, nic nie rozumując, przeczuwając wszystko, przejęty uczuciem życzliwości, ciekawości, chęcią zrozumienia, odciągany od własnego ja ku sprawom innym, ku światu, ku tajemnicy i sakramentowi, ku boleśnie pięknej grze zjawisk.

Tak, poczynając się od wnętrza i narastając aż ku zewnętrznemu i wzajemnemu potwierdzeniu spraw wewnętrznych i zewnętrznych, dokonało się u Józefa Knechta powołanie w doskonałej czystości; przebiegł wszystkie jego stopnie, zakosztował wszelkich jego uszczęśliwień i zatrwożeń. Szlachetny ów proces, nie zakłócany nagłymi ujawnieniami ani niedyskrecjami, przebiegał jako typowa młodzieńcza historia każdej szlachetnej duszy, a siły wewnętrzne i zewnętrzne działały harmonijnie, równomiernie i narastały, wzajem do siebie się zbliżając. Gdy u kresu owego rozwoju uczeń pojął swoją sytuację — zrozumiał, że wszyscy zdają sobie sprawę z zewnętrznych jego losów i spodziewają się lada chwila jego odejścia; gdy spostrzegł, iż nauczyciele traktują go jak kolegę, wręcz jak gościa honorowego, współkoledzy natomiast na poły odnoszą się doń z podziwem lub zazdrością, na poły zaś unikają go czy nawet odtrącają nieufnie, gdy ujrzał, że kilku przeciwników wyszydza go i nienawidzi, a dotychczasowi przyjaciele opuszczają i stopniowo zostaje od nich coraz bardziej oddzielony — we wnętrzu jego od dawna już dokonał się taki sam proces odrywania się i izolacji: sam czuł od wewnątrz, iż nauczyciele stawali się dlań coraz bardziej kolegami, nie

przełożonymi, a dawni przyjaciele już nie nadążającymi za nim towarzyszami pewnego tylko odcinka drogi; w szkole swojej i mieście nie czuł się już wśród równych sobie i na właściwym miejscu, wszystko to było obecnie przesiąknięte utajoną śmiercią, fluidem nierealności i przeszłości, przekształciło się w prowizorium, w znoszoną szatę, nigdzie już należycie na nim nie leżącą. I owo wyrastanie z tak dotychczas harmonijnych i kochanych stron rodzinnych, wydobywanie się z nieprzynależnej doń już i nieodpowiedniej dlań formy życia, ów, przerywany jedynie godzinami najwyższego uszczęśliwienia i promiennego samopoczucia, żywot człowieka zegnającego się, odwoływanego — stały się dla niego pod koniec wielką męczarnią, ledwo już znoszonym uciskiem i cierpieniem, wszystko go bowiem opuszczało, a nie miał przy tym pewności, czy to nie on właściwie je opuszcza, czy nie z własnej winy, wskutek ambicji, zarozumiałstwa, pychy, niewierności i braku miłości doświadcza tego obumierania i wyobcowania z miłego mu dotąd świata, do którego przywykł. Spośród udręczeń, jakie przynosi ze sobą prawdziwe powołanie, te właśnie są najbardziej gorzkie. Ten bowiem, kto powołanie przyjmuje, odbiera nie tylko dar i rozkaz, lecz bierze także na siebie coś w rodzaju winy, podobnie jak żołnierz wywołany z koleżeńskich szeregów i awansowany na oficera tym godniej-
szy jest tego awansu, im bardziej opłaca go poczuciem winy, a nawet wyrzutami sumienia wobec kolegów.

Lecz Knechtowi przeznaczone było przeżyć ów rozwój bez przeszkód i w pełnej niewinności: i gdy w końcu rada pedagogiczna powiadomiła go o wyróżnieniu i rychłym już przyjęciu go do szkół elitarnych, poczuł się tym zrazu całkowicie zaskoczony, choć już w chwilę później nowina ta wydała mu się od dawna znana i oczekiwana. Dopiero teraz przypomniał sobie, iż tu i ówdzie, od tygodni już, wykrzykiwano za nim, jak wyzwisko, słówko „electus” lub „elitarniak”. Docierało ono do niego jednak zaledwie połowicznie i nigdy nie tłumaczył go sobie inaczej niż kpina. Odnosił wrażenie, że bynajmniej nie zamierzano zwać go „electus”, tylko: „Ty, który w pysze swojej uważasz się za

wybrańca!" Cierpiał niekiedy ogromnie z racji tych wybuchów uczucia obcości pomiędzy sobą i kolegami, lecz w istocie sam nigdy za elekta się nie uważał: powołanie uświadamiał sobie nie jako wywyższenie, lecz jedynie jako zew i udoskonalenie wewnętrzne. Wszelako, czyż mimo wszystko nie wiedział o tym, nie przeczuwał zawsze, nie czuł po stokróć? I oto chwila dojrzała, jego zachwycenia zostały potwierdzone i usprawiedliwione, cierpienia miały sens, wolno mu było zrzucić nieznośnie starą i zbyt ciasną szatę, gdyż nowa leżała już dłoń w pogotowiu.

Wraz z przyjęciem do elity życie Knechta przeniesione zostało na inną płaszczyznę; dokonał się pierwszy, decydujący krok w jego rozwoju. Bynajmniej nie u wszystkich uczniów elitarnych bywa tak, że urzędowe ich przyjęcie do elity zbiega się z wewnętrznym przeżyciem powołania. Jest to łaska lub, banalnie rzecz wyrażając, szczęśliwy przypadek. Komu się on przydarzy, tego życie naznaczone znakiem dodatnim, tak samo jak znak ten posiada ten, kogo szczęśliwy przypadek obdarzył szczególnie cennymi walorami ciała i duszy. "Większość uczniów elitarnych, ba, niemal wszyscy odczuwają wprawdzie swój wybór jako wielkie szczęście, jako wyróżnienie, z którego czują się dumni, a bardzo wielu spośród nich uprzednio już żarliwie pragnęło tego wyróżnienia. Lecz przejście z pospolitej, rodzimej szkoły do szkół Kastaiii przychodzi jednak większości owych wybrańców z trudem większym, niż się spodziewali, przynosząc niejednemu nieoczekiwane rozczarowania. Przejście to jest przede wszystkim dla wszystkich uczniów, którzy w swych domach rodzicielskich byli szczęśliwi i kochani, nader ciężkim pożegnaniem i rezygnacją, dlatego też, zwłaszcza w ciągu dwóch pierwszych lat szkoły elitarniej, dochodzi do dość wielu przeniesień powrotnych, których powodem jest nie brak uzdolnień czy pilności, lecz niemożność przystosowania się do życia w internacie, a przede wszystkim do myśli o konieczności rozluźniania w przyszłości coraz bardziej wszelkich związków z rodziną i stronami ojczystymi, by w końcu nie znać i nie respektować już żadnej innej przynależności prócz przynależności do zakonu. Ponadto zdarza-

ją się też niekiedy uczniowie, dla których, właśnie na odwrót, oderwanie się od rodzinnego domu i nie cierpianej przez nich szkoły stanowi rzecz najważniejszą przy przyjęciu ich do elity; ci, uwolnieni od surowego ojca czy niemiłego nauczyciela, oddychają wprawdzie przez chwilę z ulgą, lecz ponieważ obiecywali sobie po owej zmianie wielką a niemożliwą odmianę całego swego życia, niebawem ogarnia ich rozczarowanie. Również prawdziwi karierowicze, wzorowi uczniowie i pedanci, nie zawsze mogli utrzymać się w Kastalii; nie dlatego, że nie potrafili sprostać studiom, lecz właśnie wśród elity nie chodziło wyłącznie o studia i zawodowe świadectwa, dążono tam również do celów pedagogicznych i artystycznych, wobec których ten i ów składał broń. Mimo wszystko było w owym systemie czterech wielkich szkół elitarnych, z ich licznymi pododdziałami i przybocznymi zakładami, miejsce dla najrozmaitszych talentów, ambitny zaś matematyk lub filolog, jeśli istotnie miał w sobie zadatki na uczonego, nie musiał odczuwać jako niebezpieczeństwa braku zdolności do muzyki czy filozofii. Przez czas pewien istniały nawet w Kastalii nader silne tendencje do uprawiania czystej i trzeźwej wiedzy fachowej, a prekursorzy owych tendencji byli nie tylko szyderczo i krytycznie nastawieni do „fantastów”, czyli ludzi muzycznych lub artystów, lecz przez pewien okres przeklinali wręcz i potępiali w swoim gronie wszystko, co miało związek ze sztuką, a zwłaszcza grę szklanych paciorków. Ponieważ, o ile nam wiadomo, życie Knechta w całości upłynęło w Kastalii, w owym najcichszym i najpogodniejszym okręgu górzystego naszego kraju, który dawniej — według określenia poety Goethego — nazywano także często „prowincją pedagogiczną”, pragniemy pokrótce i narażając się na niebezpieczeństwo zanudzenia czytelnika sprawami od dawna mu już znanymi, raz jeszcze naszkicować ową słynną Kastalię i strukturę jej szkół. Szkoły te, krótko zwane elitarnymi, stanowią mądry i elastyczny system odśiewu, którym posługuje się kierownictwo (tak zwana rada akademicka, złożona z dwudziestu radców, z których dziesięciu reprezentuje instytucję pedagogiczną, dziesięciu

zaś zakon) przy wyborze największych talentów ze wszystkich części i ze wszystkich kół całego kraju jako narybku dla zakonu i wszelkich ważnych urzędów w dziedzinie oświaty i wychowania. Liczne szkoły średnie w całym kraju, gimnazja i tak dalej, czy to humanistyczne, czy też przyrodniczo--techniczne, są dla przeszło dziewięćdziesięciu procent naszej uczącej się młodzieży szkołami przygotowawczymi do tak zwanych wolnych zawodów, kończą się zaś egzaminem dojrzałości wprowadzającym do wyższych uczelni, a tam, na wyższej uczelni, przechodzi się program studiów, przewidziany dla odpowiedniej dziedziny wiedzy. Jest to normalny, każdemu znany tok nauki naszej studiującej młodzieży; szkoły te mają niezbyt surowe wymagania, a w miarę możliwości pozbywają się uczniów niezdolnych. Lecz obok owych szkół, czy raczej ponad nimi, przebiega system szkół elitarnych, do których przyjmuje się na próbę jedynie uczniów wyróżniających się zdolnościami i charakterem. Dostępu do tych szkół nie dają egzaminy, elitarni uczniowie wybierani są według swobodnego uznania przez swych nauczycieli i poleceni władzom Kastalii. Pewnego dnia na przykład nauczyciel powiadamia jakiegoś jedenasto- lub dwunastolatka, iż w przyszłym półroczu będzie mógł wstąpić do jednej ze szkół kastalskich, niechże się więc zastanowi, czy czuje do tego powołanie i chęć. Jeżeli chłopiec, po upływie czasu przeznaczanego do namysłu, da odpowiedź twierdzącą, do której potrzebna jest również bezwarunkowa zgoda obojga rodziców, wówczas jedna ze szkół elitarnych przyjmuje go na próbę. Kierownicy i naczelnicy wykładowcy owych szkół (a nie, na przykład, profesorowie uniwersytetu) tworzą „instytucję pedagogiczną”, kierującą wszelkim nauczaniem i wszystkimi intelektualnymi organizacjami w całym kraju. Dla tego, kto raz stał się uczniem szkoły elitarniej, jeśli nie zawiedzie na którymś roku nauczania i nie zostanie odesłany z powrotem do szkół normalnych, przestaje już istnieć problem nauczania się określonego zawodu lub problem pracy zarobkowej, albowiem z grona uczniów szkół elitarnych rekrutuje się „zakon” oraz hierarchia uczonej instytucji, poczynając od szkolnych

nauczycieli, aż po najwyższe urzędy: dwunastu dyrektorów studiów, czyli „mistrzów”, i magistra ludzi, kierownika gry szklanych paciorków. Ostatni rok studiów w szkołach elitarnych kończą uczniowie przeważnie pomiędzy dwudziestym drugim i dwudziestym piątym rokiem życia — przyjęciem do zakonu. Od tej chwili byli uczniowie szkół elitarnych mają do dyspozycji wszystkie zakłady naukowe i instytuty badawcze zakonu oraz instytucji pedagogicznej, zarezerwowane są dla nich wyższe szkoły elitarne, biblioteki, archiwa, laboratoria i tak dalej, wraz z wielkim sztabem nauczycieli, jak również urządzeniami do gry szklanych paciorków. Kto zaś podczas lat szkolnych przejawia specjalne fachowe zdolności, do języków, filozofii, matematyki czy w którymkolwiek innym kierunku, wybrany zostaje już na wyższych stopniach szkół elitarnych i skierowany ku tym dziedzinom, które stanowią najlepszą pożywkę dla jego zdolności; większość owych uczniów zostaje zawodowymi nauczycielami w szkołach publicznych i wyższych uczelniach, pozostając, nawet gdy opuścili już Kastylię, dożywotnimi członkami zakonu, czyli zachowując ściśle przestrzegany dystans wobec „normalnych” (nie wykształconych wśród elity) i nie mogąc nigdy — chyba, że wystąpiliby z zakonu — wykonywać „wolnych” zawodów, jak na przykład lekarza, adwokata, technika, podlegają bowiem do końca życia regułom zakonnym, do których, między innymi, należy celibat i ubóstwo, lud zaś, na poły szyderczo, a na poły z szacunkiem nazywa ich „mandarynami”. W ten sposób przeważająca większość byłych uczniów szkół elitarnych znajduje ostateczne dla siebie przeznaczenie. Małą resztkę wszakże, ostatni i najsubtelniejszy wybór ze szkół kastalskich, rezerwuje się na okres nieograniczony do wolnych studiów, do kontemplatywnie-pracowitego życia duchowego. Niektórzy wysoce uzdolnieni, lecz z racji nierównego charakteru czy innych przyczyn, na przykład z powodu fizycznych mankamentów, nie nadający się na nauczycieli lub odpowiedzialne stanowiska w wyższej i niższej instancji pedagogicznej, studiują, badają lub gromadzą zbiory przez całe życie, są pensjonariuszami urzędu, a za-

sługa ich dla całej społeczności polega przeważnie na pracy czysto naukowej. Niektórzy są przydzielani jako doradcy do komisji słownikowych, archiwów, bibliotek, inni poświęcają się swojej uczoności według dewizy *l'art pour l'art*, a niejeden przez całe życie oddaje się pracom nader oderwanym, częstokroć osobliwym, jak na przykład ów Lodovicus Crudelis, który w ciągu trzydziestu lat przełożył wszystkie istniejące staroegipskie teksty zarówno na grekę, jak i na sanskryt, lub ów nieco dziwaczny Chattus Calvensis II, który w czterech potężnych, ręcznie spisanych tomach *in folio* pozostawił dzieło o „Wymowie łacińskiej w wyższych szkołach południowej Italii pod koniec dwunastego wieku”. Dzieło to pomyślane było jako część pierwsza „Historii wymowy łacińskiej od dwunastego do szesnastego stulecia”, lecz mimo tysiąca ręcznie zapisanych kart pozostało fragmentem przez nikogo nie kontynuowanej pracy. Łatwo pojąć, iż na temat takich czysto naukowych prac liczne krążą żarty, a prawdziwej ich wartości dla przyszłych epok nauki i dla całego narodu w żaden sposób nie można ocenić. Lecz mimo to nauka, podobnie jak w czasach dawniejszych sztuka, potrzebuje po prostu pewnych szeroko zakreślonych obszarów, a obecnie badacz jakiś, zgłębiający temat, którym nikt poza nim się nie interesuje, może przyswoić sobie wiedzę oddającą jego kolegom niesłychanie cenne usługi, na podobieństwo słownika albo archiwum. W miarę możliwości drukowano też uczone prace tego rodzaju. Prawdziwym uczonym pozwalano niemal całkowicie swobodnie uprawiać studia i gry, nie zrażając się faktem, iż niektóre ich prace nie przynosiły narodowi ani społeczności widomych, bezpośrednich korzyści, a nawet musiały się wydawać ludziom nieuczonym zbyt kownymi igraszkami. Niejednego z owych uczonych obdarzano ze względu na rodzaj jego studiów uśmiechkiem, nigdy jednak nie ganiono go, a tym bardziej nie ograbiano z jego przywilejów. Fakt zaś, że i wśród ludu cieszyli się oni nie tylko tolerancją, ale i szacunkiem, mimo iż wiele krążyło o nich anegdotek, łączył się z ofiarami, którymi członkowie uczonej konfraterni okupowali swoją duchową swobodę. Korzystali oni

h
j
)
'
'i
k/
j

z licznych ułatwień i skromnych przydziałów żywności, odzieży i mieszkania, mieli do dyspozycji wspaniałe biblioteki, laboratoria i zbiory, lecz w zamian za to rezygnowali nie tylko z dostatku, małżeństwa i rodziny, ale, jako społeczność zakonna, wykluczeni byli z ogólnoświatowej, świeckiej konkurencji, żadnej nie znali własności, nie mieli tytułów ani odznaczeń, a w dziedzinie materialnej musieli zadowalać się życiem nader skromnym. Jeśli ktoś pragnął roztrwonić wszystkie lata swego życia na odcyfrowanie jedyne go starego napisu, mógł to uczynić i jeszcze mu przy tym pomagano; jeśli jednak zaczynał rościć sobie pretensje do dostatków, eleganckich strojów, pieniędzy lub tytułów, natrafiał na nieugięte zakazy; ten zaś, czyje apetyty były przemożne, zwykle już za młodu powracał do „świata”, stawał się płatnym nauczycielem, szkolnym lub prywatnym, albo dziennikarzem, albo żenił się czy w inny jakiś sposób urządzał sobie życie według własnych upodobań.

Gdy chłopiec Józef Knecht musiał rozstać się z Berolfin gen, odprowadził go na dworzec nauczyciel muzyki. Pożegnanie z nim było bolesne, a serce jego wezbrało również po trochu uczuciem osamotnienia i niepewności, gdy na odjeźdźnym znikł naraz i przepadł jasno tynkowany, schodkowy szczyt starej zamkowej wieży. Niejeden inny uczeń podejmuje ową pierwszą podróż ze znacznie gwałtowniejszymi uczuciami, w rozterce i we łzach. Lecz Józef sercem swoim był już bardziej tam niż tu i zniósł owo przeżycie łatwo. A podróż trwała niedługo.

Przydzielony został do szkoły Eschholz. Obrazki przedstawiające tę szkołę oglądał już dawniej, w gabinecie swego rektora. Eschholz było największym i najmłodszym osiedlem szkolnym Kastalii, wszystkie budynki pochodziły z nowszych już czasów, w pobliżu nie było żadnego miasta, jedynie mała wieś przypominająca osadę, gęsto otoczona drzewami; za nią, szeroko, płasko a pogodnie, rozciągał się zakład, wzniesiony wokół wielkiego, pustego prostokąta, w środku którego, na wzór piątki w kostce do gry, wznosiło ku górze swe ciemne kręgle pięć okazałych drzew mamutowych. Olbrzymi plac był po części pokryty murawą, po

części piaskiem, a przedzielony jedynie dwoma wielkimi pływakami basenami z bieżącą wodą, ku którym wiodły płaskie, szerokie stopnie. U wejścia na ów słoneczny plac stał gmach szkolny, jedyna wysoka budowla wśród wszystkich tych zabudowań, dwuskrzydłowy, z pięciokolumnowym przedsionkiem przy każdym skrzydle. Wszystkie inne zabudowania, szczelnie otaczające cały plac z trzech stron, były bardzo niskie, płaskie i pozbawione ozdób, podzielone na liczne segmenty jednakowej wielkości, z których każdy miał ganek i nieduże schodki wychodzące na plac; w okienkach ganków przeważnie stały doniczki z kwiatami.

Zgodnie z kastalskim obyczajem chłopiec przyjęty został nie przez szkolnego woźnego, który zaprowadziłby go przed oblicze rektora lub jakiejś rady pedagogicznej, lecz przez kolegę, ładnego, wysokiego chłopaka, ubranego w niebieskie płótno, kilka lat starszego od Józefa; podał mu on rękę i powiedział:

— Jestem Oskar, najstarszy w domu Hellas, gdzie będziesz mieszkał, i polecono mi powitać cię i we wszystko wprowadzić. W szkole oczekują cię dopiero jutro, mamy więc sporo czasu, by we wszystkim po trochu się rozejrzeć, szybko w tym się zorientujesz. Proszę cię także, abyś przez pierwszy okres, zanim się tu nie zdomowisz, uważał mnie za swego przyjaciela i doradcę, a również i obrońcę, gdyby koledzy mieli ci kiedykolwiek dokuczać; niektórzy uważają przecież, że nowych trzeba zawsze trochę podręczyć. Ale nic złego cię nie spotka, rękę za to. A teraz zaprowadzę cię najpierw do Hellas, do naszego internatu, żebyś zobaczył, gdzie będziesz mieszkać.

W taki to tradycyjny sposób powitał nowicjusza Józefa mianowany mentorem przez kierownictwo domu Oskar, zadając sobie istotnie wiele trudu, by dobrze odegrać swą rolę; rola ta niemal zawsze sprawia seniorom przyjemność, a gdy piętnastolatek usiłuje oczarować trzynastolatka koleżeńskim, kordialnym tonem, z lekka nawet protekcyjnym, prawie zawsze mu się to udaje. Przez pierwsze dni Józef **był** traktowany przez swego mentora wyłącznie jak gość, wobec którego żywi się pragnienie, by, jeśli na przykład już nazajutrz

zechce wyjechać, zachował miłe wspomnienie o domu i gospodarzu. Józef zaprowadzony został do sypialni, którą miał dzielić z innymi chłopcami, poczęstowany sucharkami i kubkiem soku owocowego, pokazano mu też „dom Hellas”, jedną z działek mieszkalnych wielkiego prostokąta, pokazano, gdzie może w solarium powiesić swój ręcznik i w jakim kącie hodować kwiaty w doniczkach, jeśli miałby na to ochotę, a przed wieczorem zaprowadzono jeszcze do głównego pracza i do pralni, gdzie wyszukano mu i dopasowano niebieskie, płócienne ubranie. Józef od pierwszej chwili poczuł się dobrze w tym otoczeniu i chętnie dostosował się do tonu Oskara; wyczuć można było u niego zaledwie cień zmieszania, mimo iż ów starszy i od dawna już zadomowiony w Kastalii kolega był dlań, oczywiście, półbogiem. Spodobały mu się nawet niektóre jego drobne przechwałki i popis, na przykład gdy Oskar wplótł w swoje słowa pewien skomplikowany cytat grecki, po to tylko, by szybko i uprzejmie przypomnieć sobie, iż nowy, oczywiście, nie może tego jeszcze zrozumieć, naturalnie, że nie; bo i któż by tego od niego wymagał!

Życie w internacie nie było zresztą dla Józefa nowością; dostosował się do niego bez trudu. Z lat, które spędził w Eschholz, nie przekazano nam też żadnych doniosłych wydarzeń; nie mógł już być świadkiem straszliwego pożaru w szkolnym budynku. Świadczenia jego, te które zdołano jeszcze odnaleźć, wykazują najwyższe noty najczęściej w muzyce i łacinie, w matematyce i grece utrzymują się one nieco powyżej dobrej przeciętnej, a w „księdze domu” znajdujemy tu i ówdzie notatki o nim, jak na przykład: *ingenium valde capax, studia non angusta, mores probantur lub ingenium felix et profectuum avidissimum, moribus placet officiosis*. Jakich kar zaznał w Eschholz, nie da się już ustalić, rejestr kar bowiem, jak wiele innych rzeczy, padł pastwą pożaru. Pono jeden ze współuczniów zapewniał później, iż Knecht podczas czterech lat spędzonych w Eschholz był tylko jeden jedyny raz ukarany (wykluczeniem z całotygodniowej wycieczki) za to, że uparcie wzbraniał się wyjawić nazwisko kolegi, który popełnił coś zakazanego. Anegdota

•

ta brzmi wiarygodnie. Knecht niewątpliwie był zawsze dobrym kolegą i nie przejawiał nigdy służalczości względem przełożonych; mało prawdopodobne wydaje się tylko, żeby kara ta była naprawdę jedyną w ciągu całych czterech lat. Ponieważ tak mało mamy dokumentów, dotyczących pierwszych lat pobytu Knechta w szkole elitarnej, dopomożemy sobie cytatem z jego późniejszych wykładów na temat gry szklanych paciorków. Nie posiadamy wprawdzie własnych rękopisów owych wykładów Knechta dla początkujących: stenografował je jeden z jego uczniów według swobodnej jego relacji. Knecht mówi tam w pewnym miejscu o analogiach i skojarzeniach w grze szklanych paciorków i rozróżnia wśród tych ostatnich „prawowite”, czyli ogólnie zrozumiałe, oraz „prywatne”, czyli podmiotowe asocjacje. Mówi tam:

„Aby dać wam przykład takich prywatnych skojarzeń, które nie tracą prywatnej swej wartości wskutek tego, że są bezwzględnie zabronione w grze szklanych paciorków, opowiem wam o takiej asocjacji z własnych moich lat szkolnych. Miałem chyba ze czternaście lat, a działo się to na przedwiośniu, w lutym czy marcu, zaprosił mnie wtedy jeden ze szkolnych kolegów po południu na spacer, by ściąć kilka pędów dzikiego bzu, gdyż chciał ich użyć jako rur przy budowie małego młyna wodnego. Wyruszyliśmy więc, a musiał to być dzień szczególnie piękny, może jednak wydał mi się taki tylko wskutek mego własnego nastroju, gdyż przetrwał mi w pamięci i obdarzył pewnym drobnym przeżyciem. Ziemia była wilgotna, lecz wolna już do śniegu, przy strumieniach mocno zazieleniona, pączki i pierwsze rozkwitające bazy osnuwały już nagie krzaki mgiełką barw, a powietrze przesycone było wonią, zapachem pełnym życia i sprzeczności, pachniało wilgotną ziemią, gnijącymi liśćmi i młodymi pędami roślin, lada chwila czekało się już na zapach pierwszych fiołków, mimo iż wcale ich jeszcze nie było. Doszliśmy do dzikich bzów, miały malutkie pąki, lecz jeszcze ani śladu liści, a gdy odciąłem gałązkę, uderzyła we mnie mocna, gorzko-słodka woń, która zdawała się gromadzić, sumować i potęgować w sobie wszystkie inne wiosenne

aromaty. Byłem nią całkowicie odurzony, powąchałem swój nóż, powąchałem swoją rękę, powąchałem gałąź dzikiego bzu: jego sok właśnie pachniał tak przenikliwie a nieodparcie. Nie mówiliśmy o tym, ale mój kolega także długo i w zadumie wachał swą rurkę, do niego również przemawiał ów zapach. Cóż, każde przeżycie ma swoją magię, a to moje przeżycie polegało na tym, że nadchodząca wiosna, mocno i uszczęśliwiająco odczuwana już przeze mnie podczas stąpania po wilgotnych, grząskich łąkach, w zapachu ziemi i pąków, wzmogła się oto do fortissimo w woni dzikiego bzu, koncentrując się i potęgując aż do zmysłowego symbolu, do zachwycenia. I może, nawet gdyby owo drobne przeżycie miało pozostać odosobnione, nigdy już nie zapomniabym tego zapachu; a raczej każde następne spotkanie się z nim w przyszłości budziłoby we mnie zawsze prawdopodobnie aż po najstarsze lata, wspomnienie owej pierwszej chwili, w której świadomie zapach ów przeżyłem. Lecz oto dochodzi tu druga jeszcze sprawa. Znalazłem właśnie wówczas u mego nauczyciela muzyki stary tom nut ogromnie kuszący, był to tom pieśni Franciszka Schuberta. Przerzuciłem go, gdy pewnego razu musiałem dość długo czekać na nauczyciela, a on na moją prośbę pożyczył mi go na parę dni. W wolnych chwilach pogrążałem się w rozkoszach mego odkrycia, nie znałem dotychczas ani jednego utworu Schuberta i byłem nimi wówczas zupełnie oczarowany. I oto odkryłem, w dniu owego spaceru do dzikiego bzu czy też dzień później, wiosenną pieśń Schuberta *«Obudził się łagodny wiatr»*, a pierwsze akordy fortepianowego akompaniamentu ogarnęły mnie jak rozpoznanie: akordy te bowiem pachniały całkiem tak samo, jak pachniał młody, dziki bez, równie gorzko-słodko, równie mocno, intensywnie, równie pełne były przedwiośnia! I od tej chwili skojarzenie: przedwiośnie — zapach dzikiego bzu — akord Schubertowski jest dla mnie rzeczą stałą i nieodpartą; uderzając ów akord czuję natychmiast niezawodnie znowu ów cierpki roślinny zapach, a obie te rzeczy razem oznaczają przedwiośnie. Prywatne to skojarzenie stanowi dla mnie coś bardzo pięknego, coś, czego nie oddałbym za skarby świata. Lecz owo skoja-

rzenie, ów za każdym razem pojawiający się przebłysk dwóch zmysłowych przeżyć, jest moją sprawą prywatną. Daje się ona przekazać, na pewno, tak jak wam ją tu opowiedziałem. Ale przenieść się nie da. Mogę uczynić to moje skojarzenie zrozumiałym dla was, lecz nie mogę sprawić, by prywatne moje skojarzenie choćby tylko dla jednego spośród was stało się również obowiązującym znakiem, mechanizmem, nieomylnie reagującym na wywoławczy sygnał i przebiegającym zawsze w jednakowy sposób".

Jeden z kolegów Knechta, który doszedł później aż do stanowiska pierwszego archiwariusza gry szklanych paciorków, opowiadał, iż Knecht był na ogół chłopcem cichym i pogodnym, podczas muzykowania miewał niekiedy cudownie skupiony lub zachwycony wyraz twarzy, wzburzonym zaś i roznamiętnionym widywano go rzadko, najczęściej może podczas rytmicznej gry w piłkę, którą bardzo lubił. Lecz kilkakrotnie ów miły, zdrowy chłopiec zwrócił na siebie uwagę lub nawet obudził drwinę bądź też troskę; a mianowicie w paru przypadkach wydalenia uczniów, co, jak wiadomo, zwłaszcza w niższych szkołach elitarnych, często okazuje się konieczne. Gdy po raz pierwszy zdarzyło się, że jakiś kolega szkolny z jego klasy był nieobecny na lekcjach i przy zabawach, a nie pojawił się także nazajutrz i rozeszła się pogłoska, że wcale nie jest chory, lecz został wydalony i wyjechał, i że już nie powróci, Knecht nie tylko się zmartwił, lecz przez kilka dni był zupełnie wytrącony z równowagi. Sam później, wiele lat później, tak o tym powiedział: „Gdy jakiś uczeń był odsyłany z Eschholz i opuszczał nas, odczuwałem to za każdym razem jak śmiertelny wypadek. Gdyby zapytano mnie o powód mego smutku, powiedziałbym, że to współczucie dla owego nieszczęśnika, który przez lekkomyślność i opieszałość zmarnował sobie przyszłość, ale była w tym i domieszka lęku, obawy, że i ze mną może się tak kiedyś zdarzyć. Dopiero gdy przeżyłem podobne sprawy już wielekroć i wcale już nie wierzyłem, że podobny los i mnie może spotkać, jąłem na to patrzeć nieco głębiej. Teraz odczuwałem wykluczenie któregoś z wybrańców już nie tylko jak nieszczęście i karę, wiedziałem

obecnie, iż sami wydaleny w niektórych przypadkach bardzo chętnie wracali do domu. Czułem teraz, że istniał nie tylko sąd i kara, których ofiarą mógł paść ktoś lekkomyślny, lecz że »świat« tam na zewnątrz, z którego my wszyscy, wybrańcy, niegdyś przybyliśmy, bynajmniej nie przestał istnieć w tej mierze, w jakiej mnie się to wydawało, że stanowił on raczej dla niektórych wielką, pełną powabu rzeczywistość, która nęciła ich i w końcu przywoływała z powrotem. A może ów świat był taki nie tylko dla jednostek, lecz dla wszystkich, może nie było też bynajmniej takie pewne, iż ów daleki świat pociąga tak bardzo jedynie słabszych i mniej wartościowych; może owo pozorne cofnięcie, któremu ulegali, wcale nie było upadkiem i cierpieniem, lecz skokiem i wyczynem, i może właśnie my, nadal grzecznie pozostający w Eschholz, byliśmy słabi i tchórzliwi". Przekonamy się, iż myśli te jęły go nieco później absorbować w sposób niesfychanie żywy.

Wielką radością było dlań każde ponowne spotkanie z mistrzem muzyki. Przyjeżdżał on do Eschholz co najmniej raz na dwa lub trzy miesiące, odwiedzał i wizytował lekcje muzyki, przyjaźnił się też z jednym z tamtejszych nauczycieli, u którego nieraz gościł po kilka dni. Pewnego razu osobiście prowadził ostatnie próby przed wykonaniem „Nieszporów" Monteverdiego. Lecz przede wszystkim czuwał nad co zdolniejszymi uczniami muzyki, Knecht zaś należał do tych, których zaszczycał swą ojcowską przyjaźnią. Rf>z po raz spędzał z nim godzinę przy fortepianie w jednej z salek, przeznaczonych do ćwiczeń, i przerabiał z nim dzieła ulubionych swych kompozytorów lub wzorcowy jakiś przykład ze starych podręczników kompozycji. „Układać 7. mistrzem muzycznym kanon lub słuhać, jak źle skonstruowany doprowadza on *ad absurdum*, było często uroczystością albo i radością nieporównaną, niekiedy ledwo można się było powstrzymać od łez, a innym razem znowu, pękało się ze śmiechu. Z takiej prywatnej lekcji muzyki v niego wychodziło się jak po masażu i kąpeli".

Gdy okres nauki Knechta w Eschholz zbliżał się ku końcowi — miał on z blisko tuzinem innych uczniów swego

szczebla zostać przyjęty do szkoły szczebla następnego — rektor wygłosił do owych kandydatów tradycyjne przemówienie, w którym raz jeszcze wyjaśnił promowanym sens i prawa szkół kastalskich i poniekąd w imieniu zakonu nakreślił im drogę, u której kresu sami zdobędą prawo wstąpienia do zakonu. Solenna ta przemowa należy do programu święta, jakie szkoła urządza na cześć swych promowanych; są oni wówczas traktowani przez nauczycieli i współuczniów jako goście. W takie dni odbywa się zawsze jakieś starannie przygotowane wystąpienie, tym razem była to wielka kantata z siedemnastego wieku, a mistrz muzyki przybył, by osobiście jej wysłuchać. Po przemówieniu rektora, w drodze do odświętnie ozdobionej jadalni Knecht zbliżył się do mistrza z zapytaniem:

— Rektor — rzekł — opowiadał nam o tym, co dzieje się poza Kastalią, w zwykłych szkołach i na wyższych uczelniach. Powiedział, że tamci uczniowie zwracają się na swych uniwersytetach ku „wolnym” zawodom. Są to, jeśli dobrze zrozumiałem, przeważnie zawody, których my tu, w Kastalii, wcale nie znamy. Jak mam to rozumieć? Dlaczego nazywa się owe zawody „wolnymi”? I dlaczego akurat my, Kastalczycy, mamy być z nich wykluczeni?

Magister musicae odciągnął młodzieńca na bok i przystanął pod jednym z drzew mamutowych. Gdy opowiadał, chytry niemal uśmiezek sfałdował drobniutko skórę wokół jego oczu:

— Nazywasz się Knecht *, mój drogi, i może dlatego słowo „wolny” ma dla ciebie tyle uroku. Ale nie traktuj go zbyt poważnie w tym wypadku! Gdy nie-kastalczycy mówią o wolnych zawodach, słowa te brzmią może bardzo poważnie, a nawet patetycznie. My jednak pojmujemy je w sposób ironiczny. Wolność owych zawodów istnieje wprawdzie, ale jedynie w tym, że student sam sobie ów zawód wybiera. Stwarza to pozór wolności, mimo iż w większości przypadków wyboru dokonuje nie tyle uczący się, co jego rodzina, P niejeden ojciec raczej by sobie język odgryzł, niż napraw-

Knecht — sługa (niem.)

dę pozwolił synowi na ów wolny wybór. Lecz może to oszczerstwo, odrzucimy tedy to zastrzeżenie! Wolność więc istnieje, ograniczona jednak do jednego tylko, jedyne go aktu wyboru zawodu. Później już koniec wolności. Już podczas studiów na wyższej uczelni przyszły lekarz, prawnik, technik zostaje wtłoczony w nader sztywny system nauczania, który kończy się szeregiem egzaminów. Jeśli je zda, otrzymuje swój patent i może z kolei, znów ciesząc się pozorną wolnością, wykonywać swój zawód. Lecz staje się wskutek niego niewolnikiem niskich potęg, uzależniony jest od sukcesu, od pieniędzy, od własnej ambicji, własnej żądzy sławy, od tego, czy podoba się ludziom, czy nie. Musi poddawać się wyborom, musi zarabiać, uczestniczy w bezwzględnej rywalizacji kast, rodzin, partii, gazet. Ma w zamian za to swobodę zdobywania sukcesów i dostatku, a także przeistaczania się w obiekt nienawiści tych, którym się nie powiodło — lub na odwrót. Z uczniem szkół elitarnych i późniejszym członkiem zakonu rzecz ma się pod każdym względem, przeciwnie. Nie „wybiera” on sobie zawodu. Nie przypuszcza, iż lepiej zdoła ocenić własne talenty od swych nauczycieli. W granicach hierarchii pozwala zawsze ustawić się na takim miejscu i do takiej przeznaczyć funkcji, które dlań wybiorą przełożeni — o ile, oczywiście, sprawa nie przebiega odwrotnie, a cechy, talenty bądź też wady ucznia nie zmuszają nauczycieli do umieszczenia go tu lub gdzie indziej. A pośród tego pozornego braku wolności każdy electus po pierwszych swoich kursach zażywa jak największej swobody. Podczas gdy człowiek „wolnego” zawodu, aby się wykształcić w swoim fachu, musi poddać się ciasnemu i sztywnemu systemowi nauczania i sztywnym egzaminom, wolność elekta, z chwilą gdy rozpoczyna on samodzielne studia, sięga tak daleko, że istnieje wielu, którzy przez całe życie według własnego wyboru uprawiają najbardziej odległe, a często niemal dziwaczne dziedziny wiedzy, i nikt im w tym nie przeszkadza, dopóki tylko obyczajnie ich nie zwyrodnienia. Ten, kto nadaje się na nauczyciela, wykorzystywany jest jako nauczyciel, kto na wychowawcę — jako wychowawca, kto na tłumacza — jako tłumacz, i każdy jakby sam przez

się znajduje miejsce, na którym może służyć, a służąc być wolnym. A ponadto jest on jeszcze na całe życie pozbawiony owej zawodowej „wolności”, która oznacza tak straszliwą niewolę. Nic nie wie o dążeniach do pieniędzy, do sławy, do stanowiska, nie zna partii, sprzeczności pomiędzy sobą i urzędem, tym co prywatne i co publiczne, nie ma zależności od sukcesu. Widzisz tedy, synu mój: gdy mowa o wolnych zawodach, „wolność” owa brzmi raczej ironicznie.

Pożegnanie Eschholz stanowiło wyraźną granicę w *ż-f/u* Knechta. I jeśli żył dotychczas w szczęśliwym dzieciństwie?, w chętnym i niemal pozbawionym problemów podporządkowaniu się i harmonii, obecnie rozpoczął okres walki, rozwoju i trudności. Miał około siedemnastu lat, gdy zawiadomiono go, że wraz z gromadką kolegów wkrótce zostanie przeniesiony na wyższy szczebel nauczania, a dla wybranych nie było przez pewien krótki czas ważniejszego i bardziej dyskutowanego pytania nad to, do której miejscowości każdy z nich zostanie przeniesiony. Zgodnie z tradycją, każdego powiadamiano o tym dopiero w jeden z ostatnich dni przed odjazdem, a w czasie pomiędzy pożegnalną uroczystością i wyjazdem były wakacje. Podczas tych właśnie wakacji miał Knecht piękne i doniosłe przeżycie: mistrz muzyki poprosił go, by w trakcie swej pieszej wędrówki odwiedził go i był przez kilka dni jego gościem. Był to wielki, nieczęsty zaszczyt. Wraz z jednym z również promowanych kolegów — Knecht bowiem należał jeszcze do Eschholz, a uczniom tego szczebla nie wolno było podróżować samotnie — powędrował chłopak pewnego dnia wczesnym rankiem na spotkanie lasu i gór. a gdy obaj po trzygodzinnej wspinaczce w cieniu lasu dotarli na odsłonięty szczyt, ujrzeli w dole swoje Eschholz, malutkie już i łatwo dające się ogarnąć spojrzeniem, pozwalające się rozpoznać z daleka po ciemnej masie pięciu olbrzymich drzew, po przerośniętym murawą prostokacie z połyskującymi sadzawkami, po wysokim gmachu szkolnym, zabudowaniach gospodarczych, po osadzie i słynnej olszynie. Obaj młodzieńcy stali i spoglądali w dół: niejeden z nas pamięta ów uroczy widok, nie różnił się on podówczas nadmiernie od dzisiejszego, gdyż po wielkim po-

zarze odbudowano gmachy w ten sam niemal sposób, a z wysokich drzew trzy przetrwały ów pożar. Tak więc widzieli swą szkołę, swój od lat własny już dom, z którym oto niebawem mieli się rozstać, i obaj poczuli, że widok ten wzruszył ich serca.

— Wydaje mi się, że nigdy dotychczas nie widziałem naprawdę, jakie to piękne — rzekł towarzysz Józefa. — Ach, może dlatego, iż po raz pierwszy widzę to jako coś, co muszę opuścić i z czym się muszę rozstać.

— Właśnie — odparł Knecht — masz rację, i ze mną tal; jest. Lecz chociaż nawet stąd odejdziemy, właściwie i na prawdę nie opuścimy przecież Eschholz. Naprawdę opuścili je tylko ci, którzy odeszli na zawsze, ów Otto na przykład, który umiał układać tak znakomite, żartobliwe wiersze łacińskie, albo nasz Charlemagne, co tak długo potrafił pływać pod wodą, i inni. Oni naprawdę się pożegnali i oderwali. Długo już o nich nie myślałem, a teraz znowu mi się przypomnieli. Możesz się ze mnie śmiać, ale ci odszczepieńcy niają dla mnie mimo wszystko coś imponującego; podobnie jak w zbuntowanym aniele, Lucyferze, tkwi w nich jakaś wielkość. Być może, postąpili źle, a raczej niewątpliwie nawet źle uczynili, lecz mimo wszystko uczynili coś, czego dokonali, odważyli się na jakiś skok, a na to trzeba odwagi. My, pozostali, my byliśmy pilni, cierpliwi i rozsądni, lecz nie uczyniliśmy nic i nie zdobyliśmy się na żaden skok!

— Nie wiem — powiedział tamten — niektórzy z nich oni niczego nie czynili, ani się na cokolwiek zdobywali, objali się tu po prostu, dopóki ich nie odesłano. Ale może nie zupełnie cię rozumiem. Co masz na myśli, mówiąc o tym skoku?

— Mam na myśli umiejętność oderwania się, potraktowania sprawy poważnie, no, po prostu — skok! Wcale nie pragnę odskoczyć z powrotem w dawne moje strony i dawne życie, nie pociąga mnie to, już o tym niemal zapomniałem. Lecz pragnę, bym kiedyś, gdy nadejdzie chwila i gdy to będzie konieczne, mógł także oderwać się i skoczyć, tylko nie z powrotem, ku pośledniejszemu, lecz naprzód i wwyż.

— No, wwyż właśnie zmierzamy. Eschholz było jednym

szczeblem, następny będzie wyższy, a w końcu czeka nas zakon.

— Tak, ale mnie nie o to chodziło. Ruszajmy dalej, amice. wędrówka jest taka piękna, rozweseli mnie na nowo. Pomarkotnieliśmy całkiem.

W tym nastroju i w tych słowach, przekazanych nam przez owego kolegę, kryje się już zapowiedź burzliwej, młodzieńczej epoki Knechta.

Dwa dni wędrowali obaj młodzieńcy, zanim dotarli do ówczesnego miejsca pobytu mistrza muzyki w wysoko położonym Monteporcie, gdzie mistrz w dawnym jakimś klasztorze prowadził właśnie kurs dla dyrygentów. Kolega ulokowany został w domu gościnnym, Knecht natomiast otrzymał małą celkę w mieszkaniu magistra. Ledwo zdołał tam rozpakować plecak i umyć się, gdy wszedł gospodarz. Czcigodny mąż podał młodzieńcowi rękę, z leciutkim westchnieniem przysiadł na krześle i na moment zamknął oczy, jak czynił zawsze, gdy był bardzo zmęczony, po czym, życzliwie wzrok podnosząc, powiedział:

— Wybacz mi, nieszczególnym jestem gospodarzem. Przychodzisz prosto z wędrówki i pewnie jesteś zmęczony, a prawdę mówiąc i ja również czuję się zmęczony, bo dzień mam cokolwiek nazbyt pełen, lecz jeśli nie jesteś jeszcze na przykład senny, chciałbym cię zaraz na jakąś godzinę zabrać do mego pokoju. Możesz tu zostać przez dwa dni, a jutro możesz także swego towarzysza zaprosić do mego stołu, ale niestety, wiele czasu dla ciebie nie mam, dlatego muszę się zastanowić, w jaki sposób wykroić tych parę godzin, których dla ciebie potrzebuję. Może więc zaraz zacznijmy, dobrze?

Zaprowadził Knechta do dużej, sklepionej celi, gdzie me było innych sprzętów prócz starego fortepianu i dwóch krzeseł. Na nich też siedli.

— Przejdiesz niebawem na inny szczebel — powiedział mistrz. — Nauczysz się tam wielu nowych rzeczy, sporo przy tym pięknych, a wkrótce zaczniesz też już chyba próbować gry szklanych paciorków. Wszystko to piękne i ważne, jedno wszakże nad inne ważniejsze: nauczysz się medy-

i tacji. Pozornie wszyscy się tego uczą, lecz nie zawsze można
] to sprawdzić. Ja zaś pragnę, żebyś nauczył się tego rzetel-
t nie i dobrze, tak dobrze, jak muzyki; cała reszta przyjdzie
I , już później sama przez się. Dlatego chciałbym sam udzielić
I , ci dwóch czy trzech pierwszych lekcji: to było powodem
II moich zaprosin. Spróbujemy zatem pomedytować dzisiaj,
II jutro i pojutrze po godzinie na temat muzyki. Dostaniesz
teraz kubek mleka, żeby ci głód i pragnienie nie przeszkad-
zały, kolację podadzą nam dopiero później.
Zapukano do drzwi: ktoś przyniósł ów kubek mleka. — Pij
wolno, wolno — napominał mistrz — nie śpiesz się i nic
przy tym nie mów.

Knecht bardzo powoli pił chłodne mleko, naprzeciw niego
siedział czcigodny starzec, który znowu zamknął oczy; twarz
jego wydawała się raczej stara, lecz pogodna, pełna spokoju,
uśmiechał się do siebie, jak gdyby zstąpił w głąb własnych
myśli, podobnie jak człowiek zmęczony zanurza stopy w
wodzie. Promieniował spokojem. Knecht wyczuł to i sam
się uspokoił.

Magister odwrócił się teraz na krześle i położył ręce na
klawiaturze. Zagrał pewien temat i przekształcał go w po-
stępujących wariacjach, był to chyba utwór jakiegoś wło-
skiego mistrza. Poleciał swemu gościowi, by wyobraził sobie
tok owej muzyki jako taniec, jako nieprzerwany ciąg ćwiczeń
równowagi, jak sekwencję większych lub mniejszych kroków,
wyprowadzanych od centrum symetrycznej osi, " i by nie
zwracał uwagi na nic innego, prócz figury, którą tworzyły owe
kroki. Zagrał owe takty raz jeszcze, w milczeniu nad nimi
podumał, powtórzył je znowu i z rękami złożonymi na
kolanach siedział w absolutnym milczeniu, z
współprzymkniętymi oczami, bez najmniejszego ruchu, po-
wtarzając we własnym wnętrzu ową muzykę i rozpamiętując
ją. Uczeń również jął nasłuchiwać jej w swym wnętrzu, ujrzał
przed sobą fragmenty pięciolinii, widział coś, co poruszało się,
kroczyło, tańczyło, unosiło, i usiłował rozeznac ów ruch i
odczytać go, niczym krzywizny zataczane przez lecącego ptaka.
Splątały się one znów i zagubiły, musiał zaczynać od początku,
na moment opuściło go skupienie, zna-

laż się w pustce, zmieszany rozejrzał się i ujrzał cichą, zatopioną w medytacji, bladą twarz mistrza, unoszącą się w mroku, zdołał ponownie powrócić do owej duchowej przestrzeni, z której się był wymknął, znowu usłyszał rozbrzmiewającą w niej muzykę, ujrzał, jak tam kroczy, ujrzał, jak kreśli linie swych poruszeń, widział i rozmyślał o roztańczonych stopach Niewidzialnej...

Wydawało mu się, że sporo minęło czasu, zanim znowu wyśliznął się z owej przestrzeni, znów poczuł pod sobą krzesło, dostrzegł pokrytą matami kamienną posadzkę i słaby już blask zmierzchu za oknami. Poczuł, iż ktoś na niego patrzy, podniósł wzrok i ujrzał spojrzenie mistrza muzyki, który przypatrywał mu się uważnie. Mistrz skinął mu ledwo dostrzegalnie, jednym palcem zagrał pianissimo ostatnią wariację owego włoskiego utworu i powstał.

— Posiedź tu jeszcze — powiedział — ja wrócę. I raz jeszcze poszukaj w sobie tej muzyki, a uważaj na figurę! Ale nie zmuszaj się, to tylko zabawa. I jeśli zaśniesz podczas niej, to też nic nie szkodzi.

Odszedł, bo czekała na niego jeszcze jedna praca, którą pozostawił mu przepelniony dzień, bynajmniej nie łatwa, ani nie miła praca, taka na którą wcale nie miał ochoty. Wśród uczniów kursu dla dyrygentów był pewien zdolny, lecz próżny i porywczy człowiek, z którym musiał jeszcze porozmawiać, wykazać mu niewłaściwość jego postępowania, i udowodnić, że jest niesłuszne, okazać troskę, wyższość nad nim, miłość i autorytet. Westchnął. Że też nie było jakiegoś ładu ostatecznego, jakiegoś sposobu uporania się z błędami raz za takie uznanymi! Że też zawsze i nieustannie trzeba było zwalczać je na nowo, wyrywać wciąż te same chwasty! Talent bez charakteru, wirtuozeria bez hierarchii, które niegdyś, w epoce felietonu opanowały życie muzyczne, a w okresie odrodzenia muzyki zostały odrzucone i wyplenione — tu oto zieleniły się znowu i nowe wypuszczały pędy.

Gdy powrócił z tej wyprawy, by zjeść kolację razem z Józefem, zastał go milczącego, lecz rozpozgodzonego i wcale już nie zmęczonego.

— Bardzo to było piękne — powiedział rozmarzony chłopak. — Muzyka całkiem mi w tyca. wszystko zniknęło, przeobraziła się.

— Pozwól jej dalej brzmieć echem w tobie — powiedział mistrz i naprowadził go do małej izdebki, gdzie stał już przy gotowanym stole z chlebem i owocami. Zjedli, a mistrz zaprosił go, by nazajutrz asystował mu przez chwilę na kursie dyrygenckim. Zanim odszedł i odprowadził gościa do jego celi, powiedział mu jeszcze:

— Widziałeś coś podczas medytacji, muzyka pojawiła się jako figura. Spróbuj, jeśli masz ochotę, odtworzyć ją.

W gościnnej celi znalazł Knecht leżący na stole arkusz papieru i ołówki i zanim udał się na spoczynek, spróbował narysować figurę, w jaką przeistoczyła się dlań ta muzyka. Pociągnął linię i ukosem, w rytmicznych odstępach, odbiegające od niej krótkie linie boczne: przypominało to po trochu układ liści na gałązce. To, co powstało w owym rysunku, nie zadowoliło go, poczuł jednak ochotę spróbować jeszcze raz, i jeszcze, aż w końcu, bawiąc się, wygiął ową linię w koło, od którego linie boczne promieniowały podobnie jak kwiaty w kręgu wieńca. Potem wsunął się do łóżka i szybko zasnął. We śnie znalazł się znowu na szczycie owego wzgórza nad lasami, gdzie wczoraj odpoczywał z kolegą, i widział leżące pod nim, miłe Eschholz, a gdy tak spoglądał w dół, prostokąt szkolnych budynków ściągnął się w owal, potem rozsunął w koło, w wieńiec, a wieńiec ów jął się z wolna obracać, kręcił się z coraz większą szybkością, wreszcie wywinął wściekłego młyńca, pękł i rozleciał się na migocące gwiazdy.

Przy przebudzeniu nic już o tym nie wiedział, lecz gdy później, na porannym spacerze, mistrz zapytał go, czy mu się co śniło, doznał uczucia, że przeżył we śnie coś przykrego czy denerwującego, zastanowił się. odnalazł ów sen, opowiedział go i zdumiony był jego niewinnością. Mistrz słuchał uważnie.

— Czy należy zwracać uwagę na sny? — zapytał Józef. — Czy można je tłumaczyć?

Mistrz spojrział mu w oczy i odparł krótko:

— Należy zwracać uwagę na WSJJ stko, gdyż v szysiko można tłumaczyć.

Ale po przejściu kilku kroków zs pytał ojcowskim tonem:

— A do jakiej szkoły poszedłbyś najchętniej?

Teraz Józef się zaczerwienił. Szybko i cicho odpowiedział:

— Myślę, że do Waldzell.

Mistrz skinął głową:

•— Tak sobie myślałem. Znasz przecież stare porzekadło:
Gignit autem artijiciosam...

Knecht, nadal jeszcze zaczerwieniony, dokończył ów, każdemu uczniowi dobrze znany cytat: *Gignit autem artificiosam lusorum gentem Cella Silvestris*. W przekładzie: Waldzell wszakże kształtuje ludek biegły w kunszcie gry szklanych paciorków.

Starzec spojrział nań serdecznie:

— To chyba twoja droga, Józefie. Wiesz, że nie wszyscy przystają na grę szklanych paciorków. Twierdzą, że to na miastka sztuk, a gracze to beletryści, których właściwie nic można już uważać za intelektualistów, są bowiem po prostu swobodnie fantazjującymi a dyletanckimi artystami. Przekonasz się, ile w tym prawdy. Może sam w wyobrażeniach swoich o grze szklanych paciorków przypisujesz jej wiece;, niż dać potrafi, a może i odwrotnie. Gra ta ma swoje niebezpieczeństwa, to pewne. Ale właśnie dlatego ją lubimy, pdyz na bezpieczne ścieżki wysyła się jeno słabeuszy. Nigdy jednak nie powinieneś zapominać tego, co tak często ci powtarzałem: przeznaczenie nasze polega na właściwym rozróżnianiu sprzeczności; po pierwsze, mianowicie, jako sprzeczności, z kolei jednak jako biegunów jednej całości. I tak też jest z grą szklanych paciorków. Natury artystyczne rozkochane są w owej grze, ponieważ można w niej fantazjować; przedstawiciele nauk ścisłych gardzą nią — a czynią to również niektórzy muzycy — gdyż brak jej tego stopnia ścisłej dyscypliny, który osiągnąć mogą poszczególne dziedziny nauk. Dobrze, poznasz owe sprzeczności, a z czasem dokonasz odkrycia, iż nie są to przeciwieństwa przedmiotów, ale podmiotów, że na przykład fantazjujący artysta nie

dlatego unika czystej matematyki czy logiki, ponieważ coś z niej już poznał i mógłby coś o tym powiedzieć, ale dlatego, że instynktownie skłania się ku czemuś innemu. Po takich instynktownych a gwałtownych skłonnościach i niechęciach możesz niezawodnie rozpoznać pomniejsze dusze. W rzeczywistości, czyli w duszach wielkich i umysłach niezależnych, namiętności te nie istnieją. Każdy z nas jest tylko człowiekiem, jedynie próbą, jedynie drogą. Sam powinien jednak dążyć tam, gdzie doskonałość, do centrum, nie ku peryferiom. I pamiętaj: można być ścisłym logikiem czy gramatykiem, a jednocześnie być pełnym muzyki i fantazji. Można być muzykantem lub graczem szklanych paciorków, a jednocześnie być całkowicie oddanym prawu i ładowi. Człowiek, o którym myślimy i którego pragniemy, i którym stać się jest naszym celem, mógłby codziennie wymieniać wiedzę swoją lub sztukę za każdą inną, zdołałby doprowadzić do rozbłysku najbardziej kryształową logikę w grze szklanych paciorków, a w gramatyce najbardziej twórczą fantazję. Tacy powinniśmy być, aby w każdej chwili można było postawić nas na innym stanowisku i byśmy się przed tym ani bronili, ani też czuli się tym zmieszani.

— Wydaje mi się, że rozumiem — powiedział Knecht. — Ale czy ci, którzy przejawiają tak silne upodobania i awersje, nie są po prostu naturami namiętnymi, ci inni zaś spokojniejszymi i łagodniejszymi?

— Wydaje się to słuszne, a jednak słuszne nie jest — roześmiał się mistrz. — Aby nadawać się do wszystkiego i wszystkiemu sprostać, z pewnością nie potrzebuje się znaku ujemnego w dziedzinie sił duchowych, impetu i ciepła, lecz właśnie przeciwnie — znaku dodatniego. Lecz to, co na zywiasz namiętnością, nie jest siłą ducha, jeno tarcie między duszą a światem zewnętrznym. Tam, gdzie władza namiętność, nie ma znaku dodatniego przy sile pragnień i dążeń, jeno siła ta skierowana jest na pojedynczy, fałszywy cel, stąd napięcie i duszność atmosfery. Gdy najwyższa siła pożądania skierowana zostanie przez człowieka ku samemu centrum, ku prawdziwemu istnieniu, ku doskonałości, człowiek ów wydaje się spokojniejszy od tego, którym

władają namiętności, ponieważ nie zawsze dostrzega się płomień jego żaru, ponieważ podczas dyskusji na przykład nie krzyczy on ani nie wymachuje rękami. Ale powiadam ci • musi goreć i płonąć!

— Ach, gdybyż to można było stać się prawdziwie wie-
dzącym! — zawołał Knecht. — Gdybyż istniała jakaś nauka,
w Horą można by uwierzyć! Wszystko wzajem sobie prze-
czy, wszystko się mija, nigdzie nie ma pewności. Wszystko
można tłumaczyć tak, lecz można również tłumaczyć i od-
wrotnie. Całą historię świata interpretować można jako
rozwój i postęp, ale równie dobrze nie dostrzegać w niej nic,
prócz głupoty i rozkładu. Czyż nie ma prawdy? Prawdzi-
wej, obowiązującej nauki?

Mistrz nigdy dotąd nie słyszał go mówiącego tak gwałtow-
nie. Przeszedł jeszcze kawałek drogi, a potem powiedział:

— Prawda, mój kochany, istnieje! Lecz „nauka”, której
pożądasz, jakaś absolutna, doskonała i wyłącznie mądrością
obdarzająca nauka — nie istnieje. I nie powinieneś też wca-
le t°sknić do takiej doskonałej nauki, przyjacielu, lecz tyl-
ko do udoskonalenia samego siebie. Boskość jest w t o b i e ,
nie w pojęciach ani książkach. Prawdą się żyje, nie wyklada
się jej. Przygotuj się do walk, Józefie, widzę, że już się one
rozpoczęły.

W owych dniach zobaczył Józef po raz pierwszy swego
ukochanego magistra wśród powszednich zajęć i pracy i po-
dziwiał go niezmiernie, mimo iż zdołał obejrzeć zaledwie
drobną część codziennych jego zadań. Najbardziej jed-
nak ujął go mistrz tym, że tak się nim zajął, że go do siebie
zaprosił, że przy całej swej pracy ten przeciążony, często
bardzo zmęczony człowiek zdołał wykroić dla niego godzi-
ny, i nie tylko godziny! Jeśli zaś owo wprowadzenie do me-
dytacji wywarło nań tak głębokie i trwałe wrażenie, to —■
jak później zdołał ocenić — nie dzięki szczególnie subtelnej
czy osobliwej technice, tylko dzięki osobie, dzięki przykła-
dowi mistrza. Późniejsi nauczyciele, u których w następnym
roku uczył się medytacji, dawali więcej wskazówek, dokład-
niejsze pouczenia, ostrzej kontrolowali, zadawali więcej py-
tań, częściej go poprawiali. A mistrz muzyki, pewny swej

władzy nad młodzieńcem, nic niemal nie mówił, niczego J; prawie nie nauczał, właściwie podsuwał tylko tematy i prze- i wodził własnym przykładem. Knecht zauważył, iż mistrz f; często wyglądał na bardzo starego, zmęczonego, pogrążał się w sobie z wółprzymkniętymi oczami, a później umiał znowu patrzeć tak spokojnie, mocno, pogodnie i życzliwie — i nic nie zdołało przekonać go głębiej o drodze do źródeł, drodze od niepokoju ku spokojowi. Wszystkiego zaś. co mistrz miał na ten temat do powiedzenia w słowach, dowiadywał się Knecht mimochodem, to podczas krótkiego spaceru, to znów przy posiłku.

Wiemy, iż Knecht otrzymał wówczas od magistra również kilka wstępnych uwag i wskazówek, dotyczących gry szklanych paciorków, lecz żaden słowny przekaz o tym się nie dochował. Duże wrażenie wywarł na Józefie także fakt, iż gospodarz sporo zainteresowania okazywał jego towarzyszo- wi, by nie odczuwał on zbytnio, że znalazł się tu niejako na przyczepkę. Doprawdy: o wszystkim zdawał się pamiętać ten człowiek.

Krótki pobyt w Monteport, owe trzy godziny medytacji, obserwowanie kursu dyrygenckiego, kilka rozmów z mistrzem wiele dały Knechtowi; magister z nieomylną pewnością wybrał najskuteczniejszy moment na tę swoją krótką interwencję. Zaproszenie jego miało głównie na celu przekonanie młodzieńca do medytacji, lecz nie mniej ważne było samo zaproszenie, jako wyróżnienie i znak, że Knechta darzą uwagą i czegoś się po nim spodziewają: był to drugi stopień powołania. Zezwolono mu wejrzeć w głębsze rejony; albowiem gdy który z dwunastu mistrzów przywoływał do siebie tak blisko jakiegoś ucznia tego szczebla, nie było to oznaką osobistej jedynie życzliwości. Wszystko, co czynił mistrz, zawsze było czymś więcej niż osobistą jeno sprawą.

Obaj uczniowie otrzymali przy pożegnaniu drobne upominki: Józef zeszyt z dwoma przygrywkami chorałowymi Bacha, jego kolega ozdobne wydanie Horacego. Do Knechta mistrz, żegnając go, powiedział:

— Za kilka dni dowiesz się, do której szkoły cię przydzielono. Będę tam przyjeżdżał rzadziej niż do Eschholz, lecz

jeśli mi zdrowie dopisze, chyba i tam również się spotkamy. A jeśli masz ochotę, możesz raz do roku napisać do mnie list, zwłaszcza o przebiegu twych studiów muzycznych. Krytykować nauczycieli nikt ci nie zabrania, lecz mniej do tego przywiążuję wagi. Czeka cię wiele, a mam nadzieję, że nie zawiedziesz. Nasza Kastalia ma być nie tylko selekcją, przede wszystkim powinna być hierarchią, gmachem, w którym każdy kamień zdobywa swoje znaczenie jedynie dzięki całości. Z całości tej nie wiecie już nigdzie droga, a kto wstępuje wyżej i większe otrzymuje zadania, nie staje się swobodniejszy, jeno coraz bardziej obciążony odpowiedzialnością. Do widzenia, młody przyjacielu, miło mi było mieć cię tutaj.

Dwaj młodzieńcy powędrowali z powrotem, obaj byli po drodze pogodniejsi i rozmowniejsi, niż gdy szli do Montepoort, kilka dni w innym klimacie, wśród innych widoków, kontakt z innym kręgiem życia rozluźniły ich wewnętrznie, wyzwoliły nieco od Eschholz i panującego tam pożegnane nastroju, a w dwójnasób wzmogły ich żywe zainteresowanie zmianą i przyszłością. Niekiedy, podczas odpoczynków w lesie lub ponad stromymi jarami okolic Montepoort, dobywali z kieszeni drewniane fujarki i grali na dwa głosy parę pieśni. A gdy ponownie dotarli na ową wyżynę nad Eschholz, z widokiem na zakład i drzewa, rozmowa, jaką tam niegdyś prowadzili, należała już, zdawało się, do odległej przeszłości, wszystkie rzeczy uzyskały nową wymowę; ani słowem się nie odezwali, wstydząc się po trosze ówczesnych słów i uczuć, które oto tak szybko utraciły aktualność i sens.

W Eschholz już nazajutrz dowiedzieli się o swym przeznaczeniu. Knechta przeznaczono do Waldzell.

WALDZELL

aldzell wszakże kształtuje ludek biegły w kunszcie gry szklanych paciorków — brzmi stare porzekadło na temat tej słynnej szkoły. Wśród szkół kastalskich drugiego i trzeciego stopnia była ona najbardziej artystyczna, co oznacza, że jeśli w innych szkołach dominowała wyraźnie jakaś określona dziedzina wiedzy, jak na przykład w Keuperheim filologia klasyczna, w Porta arystotelesowska i scholastyczna filozofia, w Planvaste matematyka •— w Waldzell odwrotnie, tradycyjnie już pielęgnowano tendencją do uniwersalizmu i zbratania wiedzy ze sztuką, a najwyższym symbolem tej tendencji była gra szklanych paciorków. Wprawdzie i tutaj, jak we wszystkich innych szkołach, mo nuczano bynajmniej gry jako oficjalnego i obowiązkowego przedmiotu, lecz prywatne studia uczniów Waldzell były niemal wyłącznie jej poświęcone, ponadto zaś miasteczko Waldzell było też oficjalną siedzibą gry szklanych paciorków i jej urzędzeń. Tu znajdowała się słynna hala, przeznaczona na gry uroczyste, tu było też olbrzymie archiwum gry, jego urzędnicy i biblioteki, tu siedziba magistra ludzi. A choć instytucje te były zupełnie samodzielne, w żaden sposób nie połączone ze szkołą, panował w niej jednak ich duch. a w samym powietrzu owej miejscowości wyczuwało się cokolwiek uroczą atmosferę wielkich, publicznych

gier. Miasteczko dumne było niesłychanie z tego, że gości u siebie nie tylko szkołę, lecz i grę; ludność miejscowa nazywała uczniów „studentami”, a studiujących oraz gości szkoły ludycznej „lusorami”, co było zniekształceniem nazwy „lusores”. Szkoła w Waldzell była zresztą najmniejsza ze wszystkich szkół kastalskich, a liczba uczniów nigdy prawie nie przekraczała sześćdziesięciu, która to okoliczność z pewnością nadawała jej pewien szczególny, arystokratyczny charakter, wskazując na nią jako na coś wyjątkowego, na najściślejszą elitę w gronie samej elity; istotnie, z czci-godnej tej szkoły wyszło w ciągu ostatnich dziesiątków lat sporo magistrów i wszyscy gracze szklanych paciorków. Owa świetna opinia Waldzell była jednak niejednolita: tu i ówdzie rozlegały się głosy, że ludzie z Waldzell to zarozumiałe pięknoduchy i rozpieszczone królewiątka, do nicse-go poza grą szklanych paciorków niezdatne; w wielu in-nych szkołach panowała okresami moda wyrażania się o Waldzell złośliwie i z goryczą, lecz właśnie ostrość owych dowcipów i krytyk dowodzi, że istniały przyczyny takiej zazdrości i zawiści. Słowem: przeniesienie do Waldzell było rodzajem wyróżnienia, a Józef Knecht wiedział o tym i, mi-mo iż nie był ambitny w wulgarnym znaczeniu tego słowa, przyjął przecież owo odznaczenie z radosną dumą.

Wraz z gromadką kolegów dotarł do Waldzell w pieszej wędrówce; pełen wielkich nadziei i gotowości przeszedł Bramę Południową i natychmiast ujęty został i oczarowany prastarym, brunatnym miasteczkiem i potężnym, rozległym, byłym klasztorem cystersów, gdzie mieściła się szkoła. Za-nim jeszcze otrzymał nową odzież, zaraz po powitalnym po-częstunku w szkolnej portierni, sam ruszył w drogę, by po-znać nowe slrony, znalazł ścieżkę wiodącą po resztkach dawnych murów miejskich przez rzekę, zatrzymał się na łukowatym moście, nasłuchując wody szumiącej w jazie u młyna, szedł lipową aleją w dół, obok cmentarza, ujrzał i rozpoznał za wysokimi żywopłotami Vicus Lusorum, małe, osobne miasteczko graczy szklanych paciorków: halę, prze-7naczoną na uroczystości, archiwum, sale wykładowe, do-my dla gości i nauczycieli. Zobaczył człowieka wychodzące-

go z jednego z owych domów w stroju gracza szklanych paciorków i pomyślał sobie, iż jest to jeden z owych legendarnych lusores, może nawet sam magister ludzi. Potężnie odczuwał urok owej atmosfery; wszystko wydawało się tu stare, czcigodne, uświęcone, obarczone tradycją, było się tutaj już' nieco bliżej centrum niż w Eschholz. A wracając z dzielnicy gry szklanych paciorków, odczuł Knecht inne jeszcze uroki, mniej może czcigodne, lecz nie mniej podniecające. Było to miasteczko, kawałek świeckiego świata, pełne handlu i ruchu, psów i dzieci, zapachów ze sklepów i warsztatów, z brodatymi obywatelami i grubymi kobietami za drzwiami owych sklepów, z rozbawionymi, rozkrzyżczanymi dziećmi, drwiąco spoglądającymi dziewczętami. Wiele rzeczy przypomniało tu Józefowi dawne, odległe światy, Berolfingen, chociaż sądził, że o wszystkim tym już zapomniał. Lecz oto głębsze warstwy jego duszy jęły dawać odzew na to wszystko: na obrazy, dźwięki, zapachy. Mniej cichy może niż w Eschhoiz, lecz bogatszy i barwniejszy świat zdawał się tutaj nań czekać.

Szkoła stanowiła wprawdzie na razie dokładną kontynuację poprzedniej, choć doszło kilka nowych przedmiotów. Nic tu nie było prawdziwie nowego, prócz ćwiczeń w medytacji, a ich przedsmak dał mu już przecież także poznać mistrz muzyki. Chętnie poddał się medytacji, nie dostrzegając w niej na razie niczego więcej prócz mile odprężającej zabawy. Dopiero później nieco — a będziemy pamiętać o tym — miał na podstawie własnych przeżyć pojąć właściwą i wysoką jej wartość. Przełożonym szkoły w Waldzell był wzbudzający nieco lęku oryginał, Otto Zbinden, mający wówczas już około sześćdziesiątki; jego to pióra, notowane pięknym a gwałtownym pismem, są notatki na temat ucznia Józefa Knechta, do których mieliśmy wgląd. Lecz ciekawość młodzieńca budzili początkowo nie tyle nauczyciele, ile współpracownicy. Zwłaszcza z dwoma z nich nawiązał żywe, bogato udokumentowane kontakty i wymianę myśli. Jeden, z którym zaprzyjaźnił się już w pierwszych miesiącach, Carlo Ferromonte (osiągnął on później jako zastępca mistrza muzyki drugą od góry rangę w instytucji), był

z Knechtem w jednym wieku; zawdzięczamy mu, między innymi, historię stylów muzyki na lutnię w szesnastym stuleciu. W szkole nazywano go „ryżojadem” i ceniono jako miłego towarzysza zabaw; przyjaźń jego z Józefem rozpoczęła się od rozmów o muzyce, a doprowadziła do wieloletnich wspólnych studiów i ćwiczeń, o których wiemy częściowo z nielicznych, lecz bogatych w treść listów Knechta do mistrza muzyki. W pierwszym z owych listów Knecht nazywa Ferromonte „specjalistą i znawcą muzyki o bogatej ornamentyce, ozdobach, trelach eta”, grał z nim Couperina, Purceła i innych mistrzów z przełomu siedemnastego i osiemnastego wieku. W jednym ze swych listów Knecht szczegółowo pisze o owych ćwiczeniach i o tej muzyce, „gdzie w niektórych utworach nad każdą niemal nutą znajduje się ozdobnik”. „A gdy się tak przez kilka godzin — pisze dalej — wygrywa same tylko przedbitki, pełne tryle i mordenty, palce są jakby naładowane elektrycznością”. ■ W muzyce czynił istotnie wielkie postępy, w drugim czy trzecim roku pobytu w Waldzell czytał i grał dość biegle zapisy nutowe, klucze, abrewiatury i cyfrowania basowe wszystkich wieków i stylów, a w królestwie muzyki europejskiej — na ile została do naszych czasów zachowana — zdomowił się w ów szczególny sposób, wywodzący się z rzemiosła, a nie gardzący pieczołowitą troską i pielęgnowaniem elementu zmysłowego i techniki, by dotrzeć do spraw ducha. I właśnie ów zapał dla zmysłowego elementu, jego wyśiłki, by ze zmysłowości, z dźwięków, z sensacji słuchowych w różnych stylach muzycznych odczytać ich ducha, niezmiernie długo wstrzymywały Knechta od zajęcia się wstępnym szczeblem gry szklanych paciorków. Później, w swoich wykładach, powiedział kiedyś: „Ten, kto zna muzykę jedynie z ekstraktów, jakie wydestylowała z niej gra szklanych paciorków, może być dobrym graczem szklanych paciorków, lecz muzykiem bynajmniej jeszcze nie jest, a prawdopodobnie nie jest też historykiem. Muzyka bowiem nie składa się wyłącznie tylko z owych czysto duchowych wibracji i figuracji, jakie zdołaliśmy z niej wyabstrahować, przez wszystkie wieki składała się na nią przede wszystkim

radość z elementu zmysłowego, z przepływu oddechu, uderzania taktu, z zabarwień, tarć i podniet powstających przy zmieszaniu głosów i współbrzmieniu instrumentów. Oczywiście, duch jest rzeczą główną i wynajdywanie nowych instrumentów czy odmiana starych, wprowadzanie nowych tonacji i nowych, konstruktywnych a harmonic?nych reguł czy zakazów jest zawsze jedynie zewnętrznym gestem, oodobnie jak suoje czy mody różnych narodów stanowią ich stronę zewnętrzną; lecz trzeba intensywnie starać się pojąć owe zewnętrzne, zmysłowe cechy i zakosztować ich, rby na ich podstawie móc zrozumieć epoki i style. Muzykę robi się z pomocą rąk i palców, ust i płuc, a nie wyłącznie tylko rozumu, kto zaś umie wprawdzie czytać nuty, lecz nie opanował w sposób doskonały ani jednego instrumentu, nie powinien w ogóle zabierać głosu w sprawach muzyki. I tak samo też historii muzyki nie należy bynajmniej pojmować jedynie na podstawie abstrakcyjnych dziejów styiu, gdyż na przykład okresy upadku muzyki pozostałyby całkowicie niezrozumiałe, gdybyśmy za każdym razem nie rozeznawali w nich przewagi elementu zmysłowego i ilościowego nad duchowym".

Przez pewien czas wydawało się, że Knecht postanowił zostać wyłącznie muzykiem; wszystkie przedmioty nadobowiązkowe, a wśród nich wstępne wprowadzenie w grę szklanych paciorków, zaniedbywał na rzecz muzyki tak bardzo, iż pod koniec pierwszego semestru przełożony wezwał go na poważną rozmowę. Uczeń Knecht nie dał się jednak onieśmielić i trwał uparcie na stanowisku praw uczniowskich. Podobno powiedział przełożonemu: „Jeśli opuszczę się w jednym z oficjalnych, obowiązkowych przedmiotów, macie prawo mnie zganić; ale nie dałem żadnego powodu do takiej nagany. Mam natomiast prawo poświęcać trzy czwarte albo nawet i cztery czwarte mego wolnego czasu na muzykę. Powołuję się na statuty".^Przełożony Zbinden był na tyle mądry, że nie nalegał, choć oczywiście zapamiętał sobie tego ucznia i ponoć przez czas dłuższy traktował go z chłodną surowością.

Osobliwy ów okres w szkolnym życiu Knechta trwał z gó-

ją rok, chyba około półtora" roku: normalne, choć bynajmniej nie świetne świadczenia oraz spokojna, a — jak wydaje się z owego incydentu z przełożonym — po trosze zmieszana z uporem rezerwa, żadnych szczególnie wyraźnych przyjaźni, natomiast ów niezwykle namiętny zapal do muzyki oraz unikanie wszelkich niemal przedmiotów nadobowiązkowych, również tedy i gry szklanych paciorków. Niektóre cechy tego młodzieńczego portretu są niewątpliwie oznaką okresu dojrzewania; Knecht w tym okresie prawdopodobnie przypadkowo tylko i nieufnie spotykał się z płcią odmienną, zapewne też — jak wielu innych uczniów z Eschholz, tych którzy w domu nie mieli siostr — był bardzo nieśmiały. Czytał wiele, zwłaszcza filozofów niemieckich_N Leibniza, Kanta oraz romantyków, spośród których szczególnie i najmocniej pociągał go Hegel.

Musimy teraz nieco bardziej szczegółowo wspomnieć o drugim uczniu, który odegrał w okresie życia Knechta w / Waldzell znaczną rolę: o wolnym słuchaczu, zwanym Plinio ' Designori. Był on hospitantem, czyli przebiegał przez szkoły elitarne na prawach gościa, nie mając zamiaru pozostania *na stałe* w prowincji pedagogicznej ani wstąpienia do zakonu. Hospitanci tacy istnieli zawsze, co prawda bardzo nieliczni, instytucja pedagogiczna bowiem nie zabiegała, oczywiście, o kształcenie uczniów, którzy po upływie czasu, przeznaczonego na naukę w szkołach elitarnych, zamierzali powrócić do domu rodzicielskiego i do świata. Było jednak w kraju kilka starych, a dla Kastalii, w okresie jej zakładania, wielce zasłużonych patrycjuszowskich rodzin, w których istniał do dziś jeszcze nie ze szczętem wymarły obyczaj posyłania w każdym pokoleniu jednego syna, jeśli posiadał odpowiednie zdolności, jako gościa na wychowanie ' do szkół elitarnych; prawo do tego stało się już w kilku owych rodzinach tradycją. Hospitanci ci zaś, mimo iż pod każdym względem podlegali tym samym regułom co wszyscy uczniowie szkół elitarnych, tworzyli pośród uczniowskiej wspólnoty wyjątek, już choćby dlatego, że nie oddalali się, na podobieństwo pozostałych, rok po roku coraz bardziej od rodzin swoich i stron ojczystych, lecz spędzali tam wszyst-

kie wakacje, a w gronie kolegów zawsze pozostawali obcymi i gośćmi, zachowywali bowiem rodzime obyczaje i sposób myślenia. Czekał na nich rodzinny dom, kariera, określony zawód i małżeństwo, a tylko niesłychanie rzadko zdarzało się, że taki hospitant, przejęty atmosferą prowincji, w końcu, za zezwoleniem rodziny, pozostawał jednak w Kastalii i wstępował do zakonu. Natomiast coraz to więcej wybitnych i znanych w dziejach naszego kraju mężów stanu było za młodu hospitantami, a w czasach, kiedy opinia publiczna z tych czy innych powodów krytycznie odnosiła się do szkół elitarnych i zakonu, usilnie występowało w ich obronie.

Takim więc hospitantem był Plinio Designori, z którym nieco młodszy od niego Józef Knecht spotkał się w Waldzell. Był to młodzieniec niezwykle utalentowany, świetny zwłaszcza mówca i dyskutant, człowiek zapalczywy i nieco niespokojny, który wielu trosk przysparzał przełożonemu Zbindenowi, gdyż jako uczeń sprawował się wprawdzie dobrze i ganić go nie było za co, lecz bynajmniej nie starał się zapomnieć o swej wyjątkowej sytuacji hospitanta i dostosować się możliwie niepostrzeżenie do otoczenia, tylko otwarcie i wojowniczo przyznawał się do niekastalskiego, świeckiego światopoglądu. Było rzeczą nieuniknioną, iż między tymi dwoma uczniami nawiązał się szczególnie kontakt: obaj byli nieprzeciętnie zdolni i powołani, co uczyniło ich braćmi, podczas gdy pod każdym innym względem stanowili przeciwieństwo. I potrzebny by był nauczyciel o niezwykłej przenikliwości i umiejętnościach, aby z powstającego tu zadania wyciągnąć kwintesencję, a według zasad dialektyki umożliwić nieustannie pomiędzy i ponad owymi sprzecznościami syntezę. Przełożonemu Zbindenowi nie zabrakłoby tu ani talentu, ani chęci, nie należał on do tych nauczycieli, dla których geniusze są niewygodni, brak mu było jednak w owym przypadku rzeczy najważniejszej: zaufania obu uczniów. Plinio, który upodobał sobie rolę outsidera i rewolucjonisty, bardzo się zawsze pilnował wobec przełożonego; z Józefem Knechtem zaś doszło, niestety, do owego przykrego starcia z racji nadobowiązkowych

przedmiotów, on więc także nie poszedłby do Zbindena po radę. Na szczęście był jednak mistrz muzyki. Do niego zwrócił się Knecht z prośbą o radę i pomoc, a ów stary i mądry muzyk poważnie zajął się sprawą i, jak się przekonamy, po mistrzowsku pokierował całą grą. W rękach tego mistrza największe niebezpieczeństwo i największa pokusa w życiu Knechta przeistoczyły się w zaszczytne zadanie, Józef zaś zadaniu temu sprostał. Wewnętrzne natomiast dzieje tej przyjaznej wrogości między Józefem i Pliniem czy też owej muzyki na dwa tematy, albo dialektycznej gry dwóch umysłów, przebiegały mniej więcej w następujący sposób:

Pierwszym, który zwrócił na siebie uwagę partnera i przyciągnął go ku sobie, był, oczywiście, Designori. Był on nie tylko starszy, nie tylko ładny, ognisty i wymowny, lecz przede wszystkim był kimś „z zewnątrz”, nie był Kastalczykiem, był kimś ze świata, człowiekiem, który miał ojca, matkę, wujków, ciotki, rodzeństwo, kimś, dla kogo Kastalia ze wszystkimi swymi prawami, tradycjami i ideałami stanowiła jedynie etap, fragment drogi, postój, wyraźnym terminem określony. Dla tego białego kruka Kastalia nie była światem, dla niego Waldzell było szkołą jak każda inna, dla niego powrót do „świata” nie był hańbą ani karą, czekał nań nie zakon, lecz czekała kariera, małżeństwo, polityka, słowem całe to „realne życie”, o którym każdy Kastalczyk pragnął potajemnie dowiedzieć się czegoś więcej, „świat” bowiem był dla niego tym samym, co niegdyś dla pokutnika czy mnicha: — czymś pośledniejszym wprawdzie i zakazanym, lecz nie mniej tajemniczym, uwodzicielskim i fascynującym. Plinio zaś nie robił bynajmniej tajemnicy ze swojej przynależności do świata, wcale się jej nie wstydził, był z niej dumny. Z na poły jeszcze chłopięcym i teatralnym, lecz na poły już świadomie odczuwanym zapałem podkreślał swoją inność, wykorzystując każdą okazję, by przeciwstawić swoje świeckie poglądy i zasady kastalskim i by wysławiać je jako lepsze, słuszniejsze, bardziej ludzkie i zgodne z naturą. Używał przy tym często takich określeń, jak „natura” oraz „zdrowy, ludzki rozsądek”, przeciwstawiając

je spaczonemu i od życia odwróconemu duchowi szkoły, nie szczędził też bynajmniej frazesów i wielkich słów, lecz był dostatecznie mądry i miał dość dobrego smaku, by nie zadowalać się prostackimi prowokacjami, lecz dostosowywać się możliwie do form dyskusji obowiązujących w Waldzell. Pragnął bronić „świata” i naiwnego życia w sporze z „zarozumiałym i scholastycznym intelektualizmem” Kastalii, ale chciał także pokazać, iż potrafi czynić to posługując się bronią przeciwnika; nie chciał bynajmniej okazać się barbarzyńcą tratującym ślepo wszystkie kwiaty w ogrodzie duchowej kultury.

Józef Knecht niejednokrotnie już przystawał jako milczący, choć uważny słuchacz przy jakiejś małej grupce uczniów, której ośrodkiem był przemawiający Designori. Z ciekawością, zdumieniem i lękiem słuchał padających z ust mówcy zdań, w których druzgocącej krytyce poddawano wszystko to, co w Kastalii było autorytetem i świętością, w którym podważano i w wątpliwość podawano lub oimieszano to, w co sam wierzył. Spostrzegł wprawdzie, że bynajmniej nie wszyscy słuchacze brali owe tyrady poważnie, niektórzy przysłuchiwali się im najwyraźniej jedynie dla zabawy, tak jak się słucha jarmarcznych krzykaczy; często też słyszał repliki, w których ataki Plinia albo ironizowano, albo poważnie już odpierano. Zawsze jednak zbierało się wokół owego Plinia kilku kolegów, zawsze był on ośrodkiem, niezależnie zaś od tego, czy w danej chwili znajdował oponenta, czy nie, promieniował nieustannie przyciągającą siłą i jakby pokusą. Podobnie też jak z innymi, którzy tworzyli grupki wokół rezolutnego mówcy, wysłuchując jego wywodów ze zdumieniem lub ze śmiechem, było również i z Józefem: mimo uczucia lęku, a nawet strachu, którego przy takich przemówieniach doznawał, czuł jednocześnie, iż pociągają go one w jakiś niesamowity sposób, nie tylko dlatego, że były zabawne, nie, zdawało się, że obchodzą go zupełnie poważnie. Nie przytakiwał wprawdzie wewnętrznie śmiałemu mówcy, lecz ukazywały mu się wątpliwości, o których istnieniu czy samej ich możliwości tylko wystarczyło się dowiadywać, żeby cierpieć. Nie był to po-

czątkowo wielki ból, jedynie lekkie poruszenie i niepokój, pomieszane uczucie gwałtownego porywu i wyrzutów sumienia.

Nadejść jednak musiała i nadeszła chwila, w której Designori spostrzegł, że ma wśród swoich słuchaczy jednego, dla którego jego słowa oznaczają coś więcej niż tylko pobudzającą czy gorszącą rozrywkę i zaspokojenie ochoty do dyskusji; milczącego, jasnowłosego chłopaka, ładnego, subtelnego, lecz o dość nieśmiałym wyglądzie kolegę, który zaczerwienił się — doprawdy — i zmieszany dawał skąpe odpowiedzi, gdy Plinio życzliwie doń się zwrócił. Chłopak xen widocznie chodzi za mną już od dawna, pomyślał Designori, postanawiając wynagrodzić go za to jakimś przyjaznym gestem i pozyskać sobie całkowicie; zaprosił go, by po południu przyszedł do jego pokoju w odwiedziny. Lecz nie tak łatwo było zjednać sobie tego nieśmiałego i nieprzystępnego chłopaka. Plinio przekonał się ze zdumieniem, że zaczął on unikać go, nie chciał mu udzielić żadnych wyjaśnień, a zaproszenia też nie przyjął; to z kolei podrażniło starszego: jął od owego dnia zabiegać o względy milczącego Józefa, początkowo chyba tylko z miłości własnej, później już poważnie, wyczuł tu bowiem partnera, może przyszłego przyjaciela, a może przeciwnika. Nieustannie widział, że Józef pojawia się w jego pobliżu, czuł jego intensywne nasłuchiwanie, lecz gdy tylko chciał się doń zbliżyć, nieśmiały chłopak zawsze się wycofywał.

Zachowanie to miało swoje przyczyny. Józef od dawna już wyczuł, że od tamtego chłopca czeka go coś ważnego, może pięknego, jakieś rozszerzenie dotychczasowych horyzontów, wiedza, wyjaśnienie, może także pokusa i niebezpieczeństwo, w każdym razie coś, z czym trzeba się zmierzyć. Pierwszymi odruchami zwątpienia i krytycyzmu, które w nim wzbudziły przemowy Plinia, podzielił się ze swoim przyjacielem, Ferromontem, lecz tamten niewiele na to zważał, uznał Plinia za nadętego zarozumialca, którego słuchać nie warto, i wkrótce pogrzyżł się znowu w swych muzycznych ćwiczeniach. Niejasne uczucie podszeptywało Józefowi, iż przełożony był właściwą instancją, której powinien by przedło-

żyć swe wątpliwości i niepokoje, lecz od chwili owej drobnej scysji nie miał już do Zbindena serdecznego i ufego nastawienia, obawiał się, że nie zostanie zrozumiany, a jeszcze bardziej tego, że rozmowa na temat rebelianta Plinia może zostać w końcu zrozumiana przez przełożonego jako coś w rodzaju denuncjacji. W tym zmieszaniu, które wskutek prób przyjacielskiego zbliżenia ze strony Plinia stawało się coraz bardziej kłopotliwe, zwrócił się Józef do swego protektora i dobrego, opiekuńczego ducha, do mistrza muzyki w długim, bardzo długim liście, który zachował się do naszych czasów. Pisał tam między innymi: „Nie jest dla mnie jeszcze jasne, czy Plinio ma nadzieję na pozyskanie we mnie kogoś, kto podziela jego poglądy, czy tylko partnera do rozmów. Ufam, iż chodzi mu o to ostatnie, gdyż nawrócić się na jego poglądy byłoby równoznaczne ze zdradą i ze zniszczeniem mojego życia, zakorzenionego już *gr?eciez* w Kastalii; nie mam na zewnątrz rodziców ani przyjaciół, do których mógłbym powrócić, gdybym kiedyś doprawdy miał tego zapragnąć. Lecz nawet jeśli pozbawione wszelkiego szacunku przemowy Plinia nie mają na celu nawracania ani wpływania na mnie, czuję się nimi zakłopotany. Albowiem, chcąc być wobec pana, czcigodny mistrzu, całkiem szczerzy, przyznać muszę, że w sposobie myślenia Plinia spotykam się z czymś, na co nie mogę po prostu odpowiedzieć »Nie«, apeluje on do jakiegoś głosu we mnie, nader często skłonnego do przyznania mu racji. Zapewne jest to głos natury, a stanowi on jaskrawą sprzeczność z moim wychowaniem i przyjętym u nas światopoglądem. Gdy Plinio nazywa nauczycieli naszych i mistrzów kastą kapłańską, a nas, uczniów, wodzoną na pasku i wykastrowaną trzodą, są to, oczywiście, określenia przesadne i ordynarne, lecz może kryją w sobie jednak jakąś szczyptę prawdy, inaczej nie zdołałyby tak mnie zaniepokoić. Plinio potrafi mówić tak zdumiewające i zniechęcające rzeczy. Na przykład: że gra paciorków szklanych stanowi regres w epokę felietonu, stanowi jedynie wyzute ze wszelkiej odpowiedzialności i granie literami, na które rozłożyliśmy języki przeróżnych dziedzin nauki i sztuki, że składa się z samych tylko skojarzeń, bawi się

zaś wyłącznie analogiami. Albo: dowodem bezwartościowości całej naszej duchowej kultury i postawy jest nasza, pełna rezygnacji, bezpłodność. Analizujemy na przykład — powiada — prawa i technikę wszelakich stylów i epok muzycznych, sami zaś nie tworzymy nowej muzyki. Czytamy i wyjaśniamy — powiada — Pindara lub Goethego, a sami wstydzimy się układać wiersze. Są to zarzuty, z których się nie mogę. A nie należą one jeszcze do najgorszych, do tych, co ranią mnie najbardziej. Gorzej bywa, gdy twierdzi on na przykład, że my, Kastalczycy, prowadzimy życie sztucznie wyhodowanych, śpiewających ptaszków, nie zarabiając na chleb, nie znając nędzy i walki życia, nie wiedząc i nic wiedzieć nie chcąc o całej tej części ludzkości, której praca i bieda są podstawą naszej luksusowej egzystencji". List zaś kończył się słowami: „Nadużyłem, być może. pańskiej dobroci i życzliwości, reverendissime, a przygotowany jestem na to, że się pan na mnie pogniewa. Lecz niechże się pan gniewa i zadaje mi pokuty, dziękuję panu za to. Rady jednak jakiejś gwałtownie potrzebuję. Obecny stan mogę utrzymać jeszcze przez moment. Ale pomóc mi, by doszedł do prawdziwego a owocnego rozwoju, nie umiem, zbyt słaby i niedoświadczony jestem na to, a — co *moż* najgorsze — nie mogę zwierzyć się naszemu panu przełożonemu, chyba iż pan sam wyraźnie mi to uczynić rozkaże. Dlatego właśnie pana obarczyłem tą sprawą, która zaczyna mi już niezmiernie ciążyć".

Bardzo cenne byłoby dla nas, gdybyśmy posiadali czar-no na białym również odpowiedź mistrza na to wołanie o pomoc. Odpowiedź jednak była ustna. Wkrótce po liście Knechta magister musicae przybył do Waldzell, by przewodniczyć w pewnym egzaminie muzycznym i przez kilka dni swojego tam pobytu jak najtroskliwiej zajął się młodym swoim przyjacielem. Wiemy o tym z późniejszych opowiadań Knechta. Nie pobrażał mu zresztą wcale. Zaczął od tego. iż przeanalizował dokładnie szkolne świadectwa Knechta, zwłaszcza zaś jego postępy w przedmiotach nadobowiązkowych, i uznał owe studia za zbyt jednostronne, pod tym względem przyznał rację przełożonemu z Waldzell, nalega-

jąc, aby i Knecht mu ją przygnał. Udzielił Knechtowi dokładnych wskazówek, jak powinien zachowywać się względem Designoriego, i nie odjechał, dopóki i ta sprawa nie została omówiona z przełożonym Zbindenem. W rezultacie zaś nie tylko stoczony został osobliwy i niezapomniany dla w, szystkich świadków pojedynk pomiędzy Designorim i Knechtem, lecz także nawiązane zostały na wskroś nowe stosunki pomiędzy tym ostatnim a jego przełożonym. Nie był to — jak i przedtem zresztą — kontakt ani serdeczny, ani tajemniczy, lecz jasny już i pozbawiony napięcia.

Rola, która obecnie przypadła Knechtowi, określiła jego życie na czas dłuższy. Pozwolono mu przyjąć przyjaźń Designoriego i wydać się na łup jego wpływów i ataków bez ingerencji i nadzoru nauczycieli. Ale zadanie, które poruczył mu mentor, polegało na bronieniu Kastalii przed jej krytykiem i na podniesieniu owego ścierania się poglądów na poziom możliwie najwyższy; oznaczało to między innymi, iż Józef musiał intensywnie przyswajać sobie i nieustannie na nowo przypominać zasady porządku panującego w Kastalii i w zakonie. Słowne pojedynki obu zaprzyjaźnionych przeciwników stały się wkrótce sławne i tłoczono się, żeby im się przysłuchiwać. Agresywny i ironiczny ton Designoriego wysubtelniał, sformułowania jego stały się ściślejsze i bardziej odpowiedzialne, krytyka bardziej rzeczowa. Plinio był dotychczas uprzywilejowany w owej walce: przybywał ze świata, dysponował jego doświadczeniem, metodami, sposobami ataku, miał także w sobie coś z jego lekko-myślności; z rozmów z dorosłymi w domu znał wszystko, co świat miał do zarzucenia Kastalii. Lecz repliki Knechta zmusiły go obecnie do zrozumienia, iż wprawdzie niezgorzej zna świat, lepiej niż jakikolwiek Kastalczyk, nie zna jednak samej Kastalii i jej ducha równie dobrze, jak ci, którzy są tu u siebie w domu, dla których Kastalia jest ojczyzną i losem. Nauczył się pojmować, a stopniowo nauczył się również przyznawać, iż jest tutaj gościem, nie domownikiem, oraz że nie tylko na zewnątrz, ale także i tutaj, w prowincji pedagogicznej, istnieją wielowiekowe doświadczenia i oczywistości, że i tu istnieje pewna tradycja, a na-

wet „natura”, którą znał zaledwie częściowo, a która ustami swego rzecznika, Józefa Knechta, domagała się dla siebie szacunku. Knecht natomiast, aby móc sprostać swej roli apologety, zmuszony był studiami, medytacją i panowaniem nad sobą coraz wyraźniej i wnikliwiej przyswajając i uświadamiając sobie to, czego obrony się podjął. W retoryce przewagę miał Designori, poza wrodzonym ogniem i ambicją przychodziło mu tu w sukurs obycie ze światem i spryt, nawet bowiem ponosząc porażkę umiał jeszcze myśleć o słuchaczach i zapewnić sobie honorowy lub przynajmniej dowcipny odwrót, podczas gdy Knecht, skoro przeciwnik przyparł go do muru, potrafił na przykład powiedzieć tylko: „Nad tym muszę się jeszcze zastanowić, Plinio. Zaczekaj parę dni, przypomnę ci później o tym”.

Lecz choć wzajemne ich stosunki uzyskały dfeecznie godną formę, a dla uczestników i słuchaczy ich dysputy[^] stały się nieodzownym elementem ówczesnego życia szkolnego w Waldzell, dla samego Knechta cały ów konflikt i udręka niemal wcale się nie zmniejszyły. Mocą wysokiej miary zaufania i odpowiedzialności, jakimi go obarczono, sprostał swemu zadaniu, a dowodem siły i sprawności jego natury jest fakt, że podołał mu bez wyraźnej dla siebie szkody. W cichości ducha jednak wiele musiał wycierpieć. Jeśli czuł przyjaźń dla Plinia, żywił ją przecież nie tylko dla ujmującego i dowcipnego kolegi, dla obytego w świecie i obrotowego w mowie Plinia, ale nie mniej i dla owego obcego świata, który reprezentował ten jego przyjaciel i przeciwnik, świata, który poznał czy który nauczył się przeczuwać z jego właśnie postaci, jego słów i gestów, dla tego tak zwanego realnego świata, w którym istniały czule matki i dzieci, głodni i przytułki dla ubogich, gazety i walki wyborcze, dla tego prymitywnego, choć jednocześnie wyrafinowanego świrta, do którego Plinio powracał podczas wszystkich wakacji, by odwiedzać rodziców i rodzeństwo, zalecać się do dziewcząt, uczestniczyć w zebraniach robotniczych lub gościć w eleganckich klubach, podczas gdy Knecht pozostawał w Kastalii, chodził z kolegami na wycieczki lub pływał, ćwiczył Ricercari Froberga albo czytał Hegla.

Dla Józefa nie ulegało kwestii, że należy do Kastalii i czyni słusznie, wiodąc kastalski żywot, czyli życie bez rodziny, bez pewnych legendarnych rozrywek, bez gazet, lecz także życie bez nędzy i głodu — zresztą i Plinio, który tak usilnie wymawiał uczniom szkół elitarnych ich egzystencję trutni, nigdy dotychczas nie głodował ani sam na chleb nie zarabiał. Nie, ów świat Plinia nie był lepszy ani słuszniej szy. Lecz był, egzystował, a także, jak Knecht wiedział z historii powszechnej, istniał zawsze i zawsze też podobny był do dzisiejszego, wiele zaś ludów w ogóle nie znało innego, nie miało pojęcia o szkołach elitarnych i prowincji pedagogicznej, o zakonie, mistrzach i grze szklanych paciorków. Przeważająca większość ludzi na całym świecie żyła inaczej, niż zwykło się żyć w Kastalii, prościej, prymitywniej, niebezpieczniej, nieporządniej. I ów prymitywny świat przyrodzony był każdemu człowiekowi, czuło się go po trosze we własnym sercu, trochę za nim ciekawości, trochę tęsknoty, trochę dla niego współczucia. Zadanie polegało na tym, żeby mu oddać sprawiedliwość, zachować dlań we własnym sercu coś w rodzaju patriotyzmu, a mimo to z powrotem ku niemu się nie cofnąć. Albowiem obok niego i ponad nim istniał świat drugi, kastalski, duchowy, sztuczny, uporządkowany, bardziej chroniony, lecz nieustannego nadzoru i ćwiczenia wymagający świat, czyli hierarchia. I rzeczą słuszną powinno być służenie jej, jednak bez krzywdzenia przy tym owego innego świata ani tym bardziej bez pogardy dla niego, a także bez zerkania ku niemu z niejasnym jakimś pożądaniem czy tęsknotą. Mały bowiem kastalski światek służył przecie tamtemu wielkiemu światu, dawał mu nauczycieli, książki, metody, troszczył się o zachowanie w czystości funkcji intelektualnych i moralności, otwarty był w postaci szkoły i schronienia dla tej nielicznej garstki ludzi, którzy wydawali się przeznaczeni na to, żeby życie swoje poświęcić duchowi i prawdzie. Dlaczegoż jednak oba te światy najwidoczniej nie żyły w harmonii i braterstwie obok siebie i ze sobą, dlaczego nie można było obu ich w sobie pomieścić i połączyć?

Jedna z nieczęstych wizyt mistrza muzyki przypadła pew-

nego razu na okres, w którym Józef, znękany i zmęczony swym zadaniem, z wielkim już tylko trudem utrzymywał równowagę. Mistrz zdołał to wywnioskować z niektórych aluzji młodzieńca, ale znacznie wyraźniej odczytać wszystko z jego przemęczonego wyglądu, niespokojnych spojrzeń, nieco roztargnionego zachowania. Chcąc rzecz zbadać, zadał kilka pytań, natrafił na niechęć i opory, zrezygnował z wypytywania i, poważnie już teraz zatroskany, zabrał Józefa do małej ćwiczebnej salki pod pretekstem, iż chce przekazać mu pewne niewielkie odkrycie z dziedziny historii muzyki. Kazał mu przynieść i nastroić klawikord i uwikłał go w tak długie *privalissimum* na temat powstawania formy sonatowej, aż uczeń po trochu zapomniał o swych kłopotach i w odprężeniu, z wdzięcznością oddał się słuchaniu jego słów i gry. Mistrz cierpliwie ofiarował mu sporo swego czasu, chcąc, by powrócił do stanu gotowości i chłonności, których bralf u niego dostrzegł. Gdy zaś to się udało, gdy skończył swój wykład, a na zakończenie zagrał jedną z sonat Gabriele'go, powstał, jął powoli chodzić tam i na powrót po małej izdebce i opowiadać:

— Przed wielu laty niesłuchanie intensywnie zajmowałem się tą sonatą. Działo się to w czasach moich swobodnych studiów, zanim jeszcze powołany zostałem na nauczyciela, a później na mistrza muzyki. Żywiłem podówczas ambicję opracowania dziejów sonaty od nowej strony, ale nadszedł czas, kiedy nie tylko nie posuwałem się naprzód, lecz coraz bardziej i bardziej wątpić zaczynałem, czy wszystkie te muzyczne i historyczne badania mają w ogóle jakikolwiek sens, czy doprawdy są czymś więcej, niż jeno pustą igraszką nierobów i błyskotliwą, artystyczno-intelektualną namiastką prawdziwego, rzetelnie przeżytego życia. Krótko mówiąc, musiałem przejść przez jeden z tych kryzysów, w których wszelkie studia, wszelkie intelektualne wysiłki, wszystko w ogóle, co duchowe, staje się dla nas wątpliwe i pozbawione wartości i podczas których skłonni jesteśmy zazdrościć każdemu orzącemu chłopu, każdej parce zakochanych czule wieczorem gruchających, a nawet każdemu ptakowi, co na drzewie śpiewa, i konikowi polnemu, co w

trawie cyka, bo wszyscy oni wydają nam się naturalni, szczęśliwi i pełnią życia się cieszący, a nic nie wiemy o ich trudach, niebezpieczeństwach i cierpieniach. Słowem, straciłem niemal równowagę, a nie był to bynajmniej stan przyjemny, był wręcz trudny do zniesienia. Wynajdywałem sobie najdziwniejsze możliwości ucieczki i wyzwolenia się, myślałem o tym, by jako muzykant ruszyć w szeroki świat i przygrywać do tańca ludziom na weselach, gdyby zaś, jak w starych powieściach, pojawił się jakiś zagraniczny werbownik, zachęcając mnie do włożenia munduru i do udziału z jakąkolwiek armią w jakiegokolwiek wojnie, wyruszyłbym z nim natychmiast. I zdarzyło się to, co często zdarza się w takich stanach: zagubiłem się tak dalece, że sam nie mogłem się już z tym uporać i potrzebowałem pomocy.

Przystanął na chwilę i jął śmiać się bezgłośnie. A potem mówił dalej:

— Oczywiście, zgodnie z przepisami, miałem naukowego doradcę i oczywiście byłoby rzeczą rozsądną i słuszną, a także było to moim obowiązkiem, zasięgnąć u niego rady. Lecz tak już właśnie jest, Józefie, właśnie wtedy, gdy wpada się w tarapaty i zbacza z drogi i najbardziej potrzebuje się pokierowania, właśnie wtedy czuje się największą niechęć do powrotu na zwykłą drogę i do szukania zwykłego kierunku. Mój naukowy doradca nie był zadowolony z mego ostatniego kwartalnego sprawozdania, robił mi poważne wymówki, ja jednak sądziłem, iż znajduję się na drodze do nowych odkryć i trochę za złe mu miałem owe wyrzuty. Słowem, nie miałem ochoty pójść do niego, nie miałem ochoty ukorzyć się i przyznać, że to on ma rację. Kolegom moim także nie chciałem się zwierzyć, lecz w sąsiedztwie mym mieszkał pewien dziwak, którego znałem jedynie z widzenia i pogłosek, sanskrytolog o przydomku „joga”. W pewnej chwili, gdy stan mój dokuczył mi już wręcz nieznośnie, poszedłem do tego człowieka, którego samotną i osobliwą postać również często mijałem z uśmiechem, co i potajemnie podziwiałem. Odwiedziłem go w jego celi, chciałem doń przemówić, ale zastałem go zatopionego w medytacji, w rytualnej postawie hinduskiej, był więc nieosiągalny, z leciutkim uśmie-

chem unosił się w sferze całkowitego oderwania i nie mogłem uczynić nic innego, jak tylko przystanąć przy drzwiach i czekać, aż z owej kontemplacji powróci. Trwało to bardzo długo, trwało godzinę i dwie godziny, w końcu zmęczyło mnie i osunąłem się na podłogę; siedziałem tam wsparty o ścianę i czekałem dalej. Wreszcie ujrzałem, że człowiek ów budzi się powoli, poruszył trochę głową, przeciągnął się, wolniutko wyprostował skrzyżowane nogi, a gdy już zabierał się do wstania, spojrzenie jego padło na mnie. „Czego chcesz?“, zapytał. Powstałem i bez namysłu, niezbyt nawet wiedząc, co mówię, powiedziałem: „To sonaty Andrea Gabrielego“. On wstał już całkiem, posadził mnie na jednym swoim krześle, sam przysiadł na krawędzi stołu i rzekł: „Gabrieli? A cóż on ci tymi swoimi sonatami uczynił?“ Zacząłem opowiadać mu, co się ze mną dzieje, spowiadać się. Wypytywał mnie z dokładnością, która wydała mi się pedantyczna, o moje dzieje, o studia nad Gabrielim i sonatą, chciał wiedzieć, o której wstaję, jak długo czytam, ile czasu muzykę ję, o jakich porach jadam i udaję się na spoczynek. Zwierzyłem się mu, a nawet mu się narzuciłem, musiałem wtedy znosić jego pytania i udzielać na nie odpowiedzi, ale mnie one zawstydzaly, wnikały bowiem coraz bardziej nieubłaganie w szczegóły, przeanalizowane zostało całe moje życie duchowe i moralne ostatnich tygodni i miesięcy. Potem joga zamilkł nagle, a gdy nie mogłem tego pojąć, wzruszył ramionami i powiedział: „Czyż sam nie widzisz, gdzie tkwi błąd?“ Nie, nie widziałem. On zaś ze zdumiewającą dokładnością powtórzył teraz wszystko, co wydobył ze mnie pytaniami, cofając się aż do pierwszych objawów zmęczenia, wstrętu i duchowej obstrukcji, i dowiódł mi, iż coś podobnego przytrafić się mogło jedynie człowiekowi niezbyt gwałtownie korzystającemu ze swobody studiów i że czas najwyższy, abym odnalazł z obcą pomocą i własnymi siłami kontrolę nad samym sobą, którą utraciłem. Wykazał mi, że skoro pozwoliłem sobie zrezygnować z regularnych ćwiczeń w medytacji, powinienem był już przy pierwszych oznakach złych tego skutków przypomnieć sobie o tym zaniedbaniu i zaraz je naprawić. I miał absolutną rację. Nie tylko bo-

wiem zaniechałem- od dłuższego już czasu medytacji — nie miałem na nią czasu, byłem zawsze zbyt zniechęcony i roz-targniony lub zbyt przejęty i podniecony mymi studiami — lecz z czasem zatraciłem nawet całkowicie świadomość tego stałego już grzechu zaniechania i teraz dopiero, gdy niemal się już załamał i pogrążył w rozpacz, ktoś inny musiał mi o nim przypomnieć. I doprawdy niezmiernie wiele wysiłku kosztowało mnie wyrwanie się z tego zaniedbania, musiałem powrócić do szkolnych, początkowych ćwiczeń w medytacji, by stopniowo dopiero ponownie przyswoić sobie zdolność skupienia się i rozpamiętywania.

Magister skończył swój spacer po pokoju lekkim westchnieniem i słowami:

— Tak to wówczas ze mną było i nawet dziś, mówiąc o tym, czuję się nieco zawstydzony. Ale tak właśnie jest, Józefie: im więcej od siebie wymagamy czy też im więcej aktualne nasze zadanie od nas wymaga, tym bardziej zda ni jesteśmy na szukanie źródła siły w medytacji, na nieustannie odnawianie godzenia umysłu z duszą. Im bardziej zaś — a miałbym na to sporo przykładów — absorbuje nas jakieś zadanie, to podniecając i pobudzając, to znów nużąc i przytłaczając, tym łatwiej stać się może, iż zaniedbamy owo źródło, podobnie jak przy zatopieniu się w jakiejś umysłowej pracy łatwo skłonny bywa człowiek do zaniedbywania ciała i jego pielęgnacji. Ludzie prawdziwie wielcy w dziejach świata wszyscy albo umieli medytować, albo też nieświadomie znali drogę wiodącą ku temu właśnie celowi, do którego medytacja nas prowadzi. Inni zaś, nawet najzdolniejsi i najsilniejsi, wszyscy w końcu ponieśli klęskę i porażkę, ponieważ ich zadanie czy też ambitne marzenie tak nimi owładnęło, tak ich opętało i opętanymi czyniło, że utracili zdolność do nieustannego odrywania się od tego, co aktualne, i do zachowywania dystansu. No, znasz to przecież, uczymy się tego już podczas pierwszych ćwiczeń. Lecz dopiero gdy raz zgubi się drogę, widać, jak nieubłagana to prawda. Tak, nieubłagana to prawda.

Opowiadanie to wywarło na Józefie dostateczne wrażenie, aby zwiertzył niebezpieczeństwo, w jakim sam się znalazł,

i aby z nową gorliwością poddał się ćwiczeniom. Głęboko też wzruszył go fakt, iż mistrz po raz pierwszy ukazał mu fragment swego na wskroś osobistego życia z czasów młodości i studiów; po raz pierwszy zrozumiał, że nawet półbóg i mistrz mógł być niegdyś młody i mógł być zabłądzić na bezdroża. Z wdzięcznością odczuł, jak wiele zaufania okazał mu ów mąż czcigodny swoim wyznaniem. Można było błądzić, znużyć się, popełniać błędy i wykraczać przeciwko przepisom, a jednak znowu z tym wszystkim się uporać, odnaleźć drogę i zostać jeszcze w końcu mistrzem. Przewyciężył kryzys.

W ciągu owych dwóch czy trzech lat przyjaźni Plinia z Józefem szkoła w Waldzell przeżywała widowisko tej wojowniczej zażyłości niczym dramat, w którym każdy po trochu uczestniczył — od przełożonego aż po najmłodszego ucznia. Dwa światy, dwie zasady ucieleśniły się w Knechcie i Designorim, jeden z nich pobudzał drugiego, każda dyskusja przeistaczała się w uroczyste, reprezentatywne igrzyska, interesujące wszystkich. I jak Plinio z każdych wakacji, z każdego zetknięcia się ze swą macierzystą glebą przywoził nowe siły, tak Józef czerpał je z każdej chwili rozmyślenia, z każdej lektury, każdego ćwiczenia w medytacji, każdego kolejnego spotkania z magistrem musicae, stawał się coraz bardziej zdalny do roli przedstawiciela i obrońcy Kastalii. Niegdyś, jeszcze jako dziecko, przeżył pierwsze powołanie. Teraz doznał powołania drugiego, a owe lata wykuły zeń i ukształtowały doskonałego Kastal-czyka. Od dawna ukończył był także pierwszy kurs gry szklanych paciorków i już wówczas, podczas wakacji i pod . kontrolą jednego z kierowników gry, zaczynał projektować własne gry szklanych paciorków. I tu właśnie odkrył jedno z najobfitszych źródeł radości i odprężenia; od czasu jego namiętnych ćwiczeń na klawesynie i klawikordzie z Car-lem Ferromontem nic nie sprawiało mu tak wielkiej satysfakcji, nic go tak nie orzeźwiało, nie wzmacniało i uszczęśliwiało, jak owe pierwsze wyprawy w gwiazdzisty świat gry szklanych paciorków. Z tych właśnie lat pochodzą wiersze młodego Józefa

Knechta, które zachowały się w odpisach Ferromontego; być może, iż było ich więcej niż tylko te, które do nas dotarły, należy też przypuszczać, że wiersze te, spośród których najwcześniejsze powstały jeszcze przed wprowadzeniem Knechta w grę szklanych paciorków, przyczyniły się także do właściwego odegrania jego roli i do przetrwania krytycznych lat. Każdy czytelnik odkryje tu i ówdzie w tych po części kunsztownych, po części najwyraźniej w pośpiechu spisywanych wierszach ślady głębokiego wstrząsu i kryzysu, jaki Knecht przechodził wówczas pod wpływem Plinia. W niejednej linijce pobrzmiewa tam głębokie zaniepokojenie, zasadnicze zwątpienie w siebie i w sens własnego istnienia, dopiero w wierszu pod tytułem *Gra szklanych paciorków* udało mu się wyrazić nabożne oddanie. Pewne ustępstwa na rzecz świata Plinia i spora doza buntu przeciw niektórym regułom kastalskim kryją się już w samym fakcie, że Józef owe wiersze napisał, a nawet pokazywał je przy okazji wielu kolegom. Kastalia bowiem rezygnowała na ogół z tworzenia dzieł sztuki (również kompozycje muzyczne znało się tam i tolerowało jedynie w postaci ćwiczeń ściśle określonych stylistycznie), a już układanie wierszy uchodziło tam za wręcz niemożliwe, najśmieszniejsze i najbardziej wzgardy godne zajęcie. Wiersze owe nie są tedy zabawą, wycinankami i ozdóbkami uprawianymi jeno dla zabicia czasu; wysokiego trzeba było napięcia, żeby pobudzić tę twórczość, a także wiele uporów i odwagi, żeby wiersze te w ogóle napisać i przyznać się do nich.

Wspomnieć także należy, iż również Plinio Designori pod wpływem swego antagonisty przeszedł wielkie przemiany, i to nie tylko w sensie uszlachetnienia swych metod walki. Widział, jak w koleżeńskej a wojowniczej wymianie zdań w owych latach szkolnych antagonistą jego rozwija się nieustannie i staje się doskonałym Kastalczykiem, coraz widoczniej i żywiej ujawniał mu się w osobie przyjaciela duch prowincji, a przy tym podobnie jak sam zaraził Knechta atmosferą swojego świata, aż do pewnego stopnia fermentu, tak i on wchłaniał aurę kastalską i ulegał jej urokowi i wpływom. W ostatnim roku pobytu w szkole, po dwugo-

dzinnej dyspacie o ideałach życia zakonnego i jego niebezpieczeństwach, stoczonej w obecności najwyższej klasy gry szklanych paciorków, Plinio zabrał Józefa na spacer i uczynił "mu wówczas wyznanie, które cytujemy według jednego z listów Ferromontego:

— Wiem, oczywiście, od dawna, Józefie, że nie jesteś owym nabożnym i wierzącym graczem szklanych paciorków i świętym tej prowincji, którego rolę tak znakomicie odgrywasz. Obaj stoimy na eksponowanym miejscu w tej walce i obaj dobrze chyba wiemy, iż to, przeciwko czemu każdy z nas walczy, ma swoją rację bytu i swe niezaprzeczalne wartości. Ty stoisz po stronie wysokiej kultury intelektu, ja po stronie naturalnego życia. W naszej walce nauczyłeś się tropić i brać na muszkę niebezpieczeństwa tego naturalnego życia, zadanie twoje polega na wykazywaniu, jak owo naiwne życie, pozbawione dyscypliny duchowej, przekształcać, się musi w bagno, staczać ku zezwierzeceniu i niżej jeszcze. Ja znów z kolei nieustannie muszę przypominać, jak ryzykowne, niebezpieczne, a w końcu bezpłodne jest życie, nastawione wyłącznie na intelekt. Dobrze, każdy broni tego, w czego wyższość wierzy, ty — ducha, ja — natury. Lecz nie miej mi tego za złe, odnoszę niekiedy wrażenie, że istotnie uważasz mnie naiwnie za coś w rodzaju wroga waszej kastalskiej postawy, za człowieka, dla którego w gruncie rzeczy wasze studia, ćwiczenia i gry są tylko bzdurą, mimo iż z tych czy innych przyczyn przez pewien czas bierze w nich udział. Ach, mój drogi, jakże bardzo byś się mylił, gdybyś istotnie tak myślał! Pragnę • ci wyznać, że żywię do waszej hierarchii wręcz szaleńczą miłość, że często zachwyca mnie ona i wabi niczym samo szczęście. Pragnę ci też powiedzieć, że przed paru miesiącami, gdy krótko byłem w domu, u rodziców, miałem przeprowadzić z ojcem i osiągnąłem to, że pozwolił mi zostać Kastalczykiem i wstąpić do zakonu, jeśli będę tego pragnął i zdecyduję tak po skończeniu szkoły; a byłem szczęśliwy, gdy wreszcie wyraził na to zgodę. No, cóż, od niedawna wiem jednak, że z tej zgody nie uczynię użytku. O, nie dlatego, że straciłem na to ochotę! Ale coraz lepiej i lepiej

widzę, iż pozostanie wśród was byłoby ucieczką, może przyzwolitą, szlachetną ucieczką, ale ucieczką. Wróć więc i zostanę człowiekiem świeckim. Ale takim, który pozostanie wdzięczny waszej Kastalii, uprawiać będzie nadal niejedno z waszych ćwiczeń i co roku wraz z wami uroczyście będzie obchodzić wielką grę szklanych paciorków.

Knecht, głęboko wzruszony, powtórzył swemu przyjacielowi Ferromontemu wyznanie Plinia. Ferromonte zaś dorzucił do tej relacji w swoim liście te jeszcze słowa: „Dla mnie, muzyka, owo wyznanie Plinia, wobec którego nie zawsze byłem sprawiedliwy, było czymś w rodzaju przeżycia muzycznego. Sprzeczność: świat i duch, bądź też przeciwieństwo: Plinio i Józef — wysublimowały się w moich oczach i z walki dwóch antagonistycznych zasad powstał jeden koncert”.

Gdy Plinio ukończył czteroletnią edukację i miał już wracać do domu, przyniósł przełożonemu list swego ojca, w którym zapraszał on Józefa Knechta na wakacje. Był to pomysł niezwykle. Udzielano tu wprawdzie nawet dość często urlopów na podróże poza prowincję pedagogiczną, głównie zresztą na studia, ale, mimo wszystko urlop taki był zawsze czymś wyjątkowym, przyznawanym jedynie starszym, bardziej już doświadczonym studentom, nigdy zaś uczniom. Przełożony Zbinden uznał jednak owo zaproszenie, przychodzące od członka tak szacownej rodziny, za bardzo ważne, nie dał więc sam odpowiedzi, lecz przedłożył je kierownictwu instancji pedagogicznej, która też zaraz odpowiedziała lakonicznym „Nie”. Przyjaciele musieli się rozstać.

— Spróbujemy później raz jeszcze cię zaprosić — powiedział Plinio. — Kiedyś musi się nam udać. A ty musisz choć raz zobaczyć mój dom rodzinny i moich bliskich i przekonać się, że i my jesteśmy ludźmi, a nie byle jaką hołotą, złożoną z przedstawicieli świata i interesów. Bardzo mi będzie ciebie brakowało. A postaraj się, Józefie, szybko dojść wysoko w tej skomplikowanej Kastalii; nadajesz się wprawdzie doskonale na członka hierarchii, lecz, moim zdaniem, na przekór twemu nazwisku, raczej na dygnitarza

niż na famulusa. Przepowiadam ci wielką przyszłość: zostaniesz pewnego dnia magistrem i zaliczony będziesz do czcigodnych.

Józef smutno na niego spojrział.

— Kpij sobie! — powiedział, walcząc ze wzruszeniem, jakie go ogarnęło przy pożegnaniu. — Nie jestem tak ambitny jak ty i jeśli dojdę kiedykolwiek do jakiegoś stanowiska, to ty od dawna już będziesz prezydentem albo burmistrzem, profesorem wyższej uczelni albo radcą stanu. Myśl o nas życzliwie, Plinio, o nas i o całej Kastalii, nie stań się dla nas całkiem obcy! Tam, na zewnątrz, muszą przecież też żyć ludzie, którzy wiedzą coś więcej o Kastalii, nie tylko dowcipy, jakie tam na nasz temat układają.

Uścisnęli sobie ręce i Plinio odjechał. Nastąpiła teraz wokół Józefa wielka cisza, na cały ostatni rok jego pobytu w Waldzell, jego wyczerpująca funkcja, poniekąd publiczna, nagle ustała, Kastalia nie potrzebowała już obrońcy. Swój wolny czas poświęcał tego roku Knecht przeważnie grze szklanych paciorków, pociągającej go coraz bardziej. Zeszycik z tego okresu, w którym zapisywał swe uwagi na temat znaczenia i teorii gry, rozpoczyna się od zdania: „Całe życie fizyczne i duchowe jest zjawiskiem dynamicznym, a gra szklanych paciorków ujmuje tylko estetyczną stronę tego zjawiska, ukazuje je mianowicie głównie jako obraz procesów rytmicznych”.

LATA STUDIÓW

Józef Knecht miał już oto około dwudziestu czterech lat. Wraz ze zwolnieniem z Waldzell skończył się dlań okres szkolny i rozpoczęły się lata swobodnych studiów; z wyjątkiem niewinnych chłopięcych czasów spędzonych w Eschholz, były to chyba najpogodniejsze i najszcześniejsze lata jego życia. Zawsze zresztą na nowo cudowna i wzruszająco piękna jest swobodna, młodzieńcza żądza odkrywania i zdobywania, gdy chłopak wyzwolony z przymusu szkolnego wyrusza po raz pierwszy na spotkanie bezkresnych, intelektualnych horyzontów, gdy nie rozwiało mu się jeszcze ani jedno złudzenie, nie zbudziły się w nim wątpliwości ani co do własnej zdolności do bezgranicznego oddania się sprawom świata duchowego, ani co do tego świata nieograniczoności. I właśnie dla talentów w rodzaju Józefa Knechta, nie wtłaczanych już wcześniej przez jedno tylko wyraźne uzdolnienie w granice jakiejś fachowej dziedziny, lecz zmierzających z natury swojej ku całości, ku syntezie i powszechności, owa wiosna swobodnych studiów jest często okresem intensywnie odczuwanego szczęścia, niemal upojenia; bez duchowej higieny ćwiczeń w medytacji i bez łagodnej kontroli instytucji pedagogicznej wolność ta byłaby dla takich talentów poważnym niebezpieczeństwem; dla wielu z nich byłaby wręcz fatalna, podobnie jak w epo-

kach poprzedzających dzisiejszy nasz ład, w prekastalskich stuleciach była nią dla niezliczonych a wielkich talentów. W owych zamierzonych czasach roilo się wręcz na wyższych uczelniach od młodych faustycznych natur, które z rozwiniętymi żaglami wyruszały na szerokie morze nauki i akademickiej swobody i ulegały wszelkim żeglarskim katastrofom, były bowiem nieposkromione i dyletanckie; sam Faust jest przecież pierwowzorem genialnego dyletanta i jego tragizmu. Lecz w Kastalii duchowa swoboda studiujących jest jeszcze nieskończenie większa niż ta, która we wcześniejszych epokach panowała kiedykolwiek na uniwersytetach, wybór bowiem studiów jest tu znacznie bogatszy, a ponadto nie ma w Kastalii skrępowania względami materialnymi, ambicją, lękiem, ubóstwem rodziców, widokami na zarobek i karierę. W akademiach, seminariach, bibliotekach, archiwach, laboratoriach prowincji pedagogicznej wszyscy studenci mają te same widoki na przyszłość, są idealnie równi sobie; hierarchia uznaje wyłącznie stopniowanie oparte na przymiotach intelektu i charakteru. Natomiast materialne i intelektualne swobody, pokusy i niebezpieczeństwa, których ofiarą pada na świeckich uczelniach wyższych tak wielu utalentowanych ludzi, w Kastalii prawie nie istnieją; jest i tu wprawdzie dość jeszcze demonizmu i zaślepienia — gdzież egzystencja ludzka jest od nich wolna? — ale student kastalski pozbawiony został mimo wszystko niektórych możliwości wykolejenia się, rozczarowania i upadku. Nie może się tu zdarzyć ani by wpaść w nałóg pijaństwa, ani też by strwonił lata młodości w buńczucznych albo tajemnie spiskujących związkach, tak charakterystycznych dla niektórych studenckich pokoleń dawnych lat, ani by odkrył pewnego dnia, iż świadectwo dojrzałości uprawniające go do podjęcia studiów było omyłką, gdyż dopiero teraz natrafia oto na luki w wykształceniu, których nie da się już uzupełnić; ład kastalski chroni go przed wszystkimi tymi przeciwnościami. Nie grozi mu też, by roztrwonił siły na kobiety lub ekscesy sportowe. Co się tyczy kobiet, student kastalski nie zna ani małżeństwa, wraz z jego ponętami i niebezpieczeństwami,

ani pruderii niejednej z minionych już epok, pruderii, która albo zmuszała studenta do ascezy, albo skazywała go na kontakty z mniej lub bardziej sprzedajnymi, nierządymi kobietami. Ponieważ dla Kastalczyka nie istnieje małżeństwo, nie obowiązuje go również zorientowana na stan małżeński etyka miłosna. W prowincji panuje obyczaj, iż córki mieszczańskie nie nazbyt wcześnie wychodzą za mąż, a w latach przed ślubem student i uczonec cenią szczególnie są przez nie jako kochankowie; nie pyta taki o pochodzenie i majątek, przywykł stawiać zalety umysłu co najmniej na tym samym poziomie co zalety ciała, ma przeważnie fantazję i humor, a ponieważ nie ma pieniędzy, płacić musi większym zapalem niż inni. W Kastalii miłość ze studentem nie pyta: a czy on się ze mną ożeni? Nie, nie ożeni się. Wprawdzie i takie wypadki też się już, istotnie, zdarzały; od czasu do czasu, choć rzadko, elitarny jakiś student powracał przez małżeństwo do mieszczańskiego świata, rezygnował z Kastalii i z zakonu. Lecz kilka takich przypadków odszczepieństwa to w dziejach szkół i zakonu za ledwie ciekawostki.

Stopień swobody i samodzielnej decyzji, jakim dysponuje uczeń elitarny po ukończeniu szkół przygotowawczych, we wszystkich dziedzinach nauki i badań jest istotnie nader wysoki. Wolność ta — jeśli zdolności i zainteresowania nie są już od samego początku ciasne — ograniczona jest jedynie obowiązkiem do przedkładania na każde półrocze planu studiów, nad którego wykonaniem łagodnie czuwają instancje kierownicze. Dla wszechstronnie utalentowanych i zainteresowanych — a do nich należał Knecht — pierwszych kilka lat studiów ma dzięki tej daleko idącej swobodzie coś cudownie wabiącego i zachwycającego. Urząd bowiem właśnie tym wszechstronnie zainteresowanym, jeśli nie zaczną po prostu się wałkonić, pozostawia rajską niemal swobodę; uczeń może wedle swego upodobania rozglądać się we wszelkich dziedzinach wiedzy, mieszać ze sobą najróżniejsze z nich, zakochać się w sześciu lub ośmiu gałęziach nauki jednocześnie lub też od samego początku trzymać się ściślejszego już wyboru; poza przestrzeganiem

ogólnych zasad życiowych i moralnych obowiązujących w prowincji i w zakonie, nie żąda się od niego niczego więcej, prócz składania raz do roku sprawozdania z wysłuchanych wykładów, z lektury i pracy w instytucjach. Ścisłjsza kontrola i badanie osiągnięć zaczynają się dopiero wówczas, gdy uczęszcza on na specjalistyczne kursy i seminaria, do których programu wchodzi również gra szklanych paciorków i zajęcia w wyższej szkole muzycznej; tutaj, co zresztą jest zrozumiałe samo przez się, każdy ze studiujących musi się już zgłaszać na oficjalne egzaminy i wykonywać prace, zadane przez kierownika seminarium. Ale nikt go do tych kursów nie zmusza, może według upodobania przez całe semestry, przez całe lata przesiadywać jedynie w bibliotekach i słuchać wykładów. Studenci, którzy długo namyślają się nad wyborem jakiejś dziedziny wiedzy, odwołują wprawdzie wskutek tego chwile przyjęcia ich do zakonu, lecz te ich wędrówki przez wszelkie możliwe dziedziny nauk i studiów są chętnie tolerowane, a nawet popierane. A prócz należytej postawy moralnej nie wymaga się od nich niczego, z wyjątkiem spisywania co roku „życiorysu”. Temu to staremu, częstokroć wyszydzanemu obyczajowi zawdzięczamy trzy życiorysy Knechta spisane podczas lat jego studiów. Nie są więc one, jak owe wiersze powstałe w Waldzell, wyłącznie dobrowolną i nieoficjalną, a nawet potajemną i mniej lub bardziej zakazaną odmianą działalności literackiej, lecz pracą oficjalną i normalną. Już w najwcześniejszych czasach istnienia prowincji pedagogicznej pojawił się zwyczaj nakłaniania młodszych, czyli nie przyjętych jeszcze do zakonu, studentów do spisywania co pewien czas szczególnego rodzaju pracy czy ćwiczenia stylistycznego, mianowicie tak zwanego „życiorysu”, fikcyjnej a w dowolnie obraną, dawniejszą epokę przeniesionej autobiografii. Zadanie ucznia polegało na przeniesieniu się w otoczenie, kulturę i duchowy klimat jakiegokolwiek z wcześniejszych epok i na wymyśleniu w niej odpowiedniej dla siebie egzystencji; w zależności od czasu i mody preferowano to Rzym cesarski, to Francję w siedemnastym lub Italię w piętnastym wieku, to Ateny Peryklesa, to znowu

Austrię w epoce Mozarta, a u filologów zakorzenił się zwyczaj, że pisali te biograficzne powieści językiem i stylem kraju oraz epoki, w której się one rozgrywały; bywały to niekiedy wręcz wirtuozerskie życiorysy w stylu papieskiej kurii rzymskiej około 1200 roku, w klasztornej łacinie, w języku włoskim z epoki „Stu nowel”, francuszczyźnie Montaigne'a, barokowej niemczyźnie Schwana von Boberfelda. W tej swobodnej, rozigranej formie przetrwała jeszcze resztką dawnej, azjatyckiej wiary w nowe wcielenia i wędrówkę dusz; wszyscy nauczyciele i uczniowie obeznani byli z poglądem, iż obecną ich egzystencję mogły być poprzedzać inne, w innych ciałach, innych czasach, innych warunkach. Nie była to wprawdzie jakaś wiara w ścisłym znaczeniu tego słowa, bynajmniej też nie jakaś doktryna; było to jedynie ćwiczenie, igraszki sił wyobraźni, przedstawiającej sobie własne ja w odmiennej sytuacji i okolicznościach. Umysł ćwiczy się wówczas, podobnie jak podczas licznych, krytycznych seminariów ze stylistyki, a często również i podczas gry szklanych paciorków, w ostrożnym wnikaniu w minione już kultury, epoki i kraje, a człowiek uczy się uważać własną osobę za maskę, za nietrwałą szatę entelechii. Zwyczaj pisania takich życiorysów miał swój urok i sporo też zalet, inaczej z pewnością nie zachowałyby się tak długo. Wcale liczna była zresztą gromada studentów, którzy nie tylko mniej lub bardziej wierzyli w reinkarnację, lecz także w prawdziwość własnych, wyimaginowanych życiorysów. Gdyż, oczywiście, większość owych wyimaginowanych, poprzednich egzystencji była nie tylko ćwiczeniem stylistycznym i studium historycznym, lecz również marzeniem i autoportretem w powiększeniu; autorzy przeważającej części tych życiorysów ukazywali siebie obleczonych w taki kostium i taki charakter, jaki był ich pragnieniem i ideałem, w którym chcieli być oglądani, który pragnęli urzeczywistnić. Ponadto życiorysy te były też niezłym pomysłem pedagogicznym, legalnym ujściem dla charakterystycznej w młodzięcym wieku potrzeby poetyzowania. I choć od całych już pokoleń poważne zajmowanie się pisaniem wierszy było potępione, a zastąpione po

części nauką, po części grą szklanych paciorków, właściwy młodym pęd do zajęć artystyczno-literackich nie został zduszony, a skłonności te znalazły dozwolone pole do popisu w owych życiorysach, urastających często do rozmiarów małych powieści. Niejeden z autorów stawał też wówczas zapewne pierwsze kroki w poznawaniu samego siebie. Zdarzało się zresztą często — a spotykało z przyjazną wyrozumiałością nauczycieli — iż studiujący wyzyskiwali swe życiorysy do snucia krytycznych lub rewolucyjnych wywodów na temat współczesnego świata i Kastalii. Ale ponadto prace te, właśnie w okresie, gdy studenci cieszyli się największą wolnością i nie podlegali ścisłej kontroli, były dla nauczycieli nader pouczające, dając im nieraz zdumiewająco dokładne informacje o duchowym i moralnym życiu oraz samopoczuciu autorów.

Zachowały się trzy takie życiorysy Józefa Knechta; przełożymy je w brzmieniu dosłownym, a uważamy, że są one chyba najwartościowszą częścią naszej książki. Na temat tego, czy napisał on tylko te trzy życiorysy, czy ten lub ów z nich nie zaginął, snuć można jedynie rozmaite przypuszczenia. Z pewnością wiemy tylko, iż gdy Knecht wręczył swój trzeci, „hinduski”, życiorys, kancelaria instytucji pedagogicznej zaleciła mu, by ewentualny następny jeszcze życiorys przeniósł w jakąś historycznie bliższą i lepiej udokumentowaną epokę, a zatroszczył się też bardziej o szczegóły historyczne. Z opowiadań i listów wiemy, że istotnie podjął on jeszcze potem wstępne studia do życiorysu z osiemnastego wieku. Chciał w nim wystąpić jako teolog ze Szwabii, który służbę duchową zamienia później na muzykę, jest zaś uczniem Johanna Albrechta Bengela, przyjacielem Oetingera, oraz przez czas pewien gościem gminy Zinzendorf. Wiemy, iż Knecht czytał podówczas mnóstwo starej, po części bardzo dawnej literatury na temat praw kościelnych, pietyzmu i Zinzendorfu, liturgii i muzyki kościelnej owych czasów i robił z niej wyciągi. Wiemy również, że był wręcz zakochany w postaci magicznego prałata Oetingera, a dla magistra Bengela żywił też szczerą miłość i cześć głęboką — kazał sobie specjalnie sfotografować

jego portret i przez pewien czas trzymał ową fotografię na biurku — rzetelnie także zabiegał o oddanie należyciego hołdu Zinzendorf, które tyleż go interesowało, co i odstręczało. W końcu poniechał tej pracy, zadowolony z tego, czego się przy niej nauczył, oświadczając jednak, iż nie czuje się na siłach zrobić z tych materiałów życiorysu, gdyż poczynił zbyt wiele ubocznych studiów i nazbierał mnóstwo szczegółów. Wypowiedź ta uprawnia nas całkowicie do traktowania owych trzech wspomnianych życiorysów raczej jako tworów i wyznań człowieka o temperamencie pisarskim i szlachetnym charakterze niż jako prac uczonego, co, jak sądzimy, bynajmniej nie pomniejsza ich wartości.

Knecht wszakże, prócz swobody ucznia wypuszczonego w dziedzinie samodzielnie wybranych studiów, cieszył się innego jeszcze rodzaju swobodą i odprężeniem. Był bowiem przecież nie tylko wychowankiem, jak wszyscy, nie tylko podlegał programowi ścisłego szkolenia, dokładnego planu dnia, troskliwej kontroli i obserwacji nauczycieli i nie tylko znosił wszelkie trudy życia ucznia elitarnego. Obok tego wszystkiego był, wskutek swych kontaktów z Pliniem, nosicielem pewnej misji i odpowiedzialności, po części umysłowo i duchowo pobudzającej, po części obciążającej go aż po granice wytrzymałości, misji tyleż aktywnej, co reprezentatywnej, odpowiedzialności przerastającej w istocie jego wiek i siły, której, choć często poważnie zagrożony, sprostać był w stanie jedynie dzięki ogromowi silnej woli i zdolności, a której i tak nie potrafiłby doprowadzić do końca bez wielkiej, z oddali przychodzącej pomocy mistrza muzyki. Widzimy go, dwudziestoczteroletniego mniej więcej, u kresu niezwyklej szkolnych lat spędzonych w Waldzell, wprowadzanie nad wiek dojrzałego i nieco przemęczonego, lecz, o dziwo, nie wykazującego żadnego widocznego uszczerbku. Ale jak głęboko cała jego istota obarczona była ową misją i ciężarem, a nawet jak bliska załamania, na ten temat brak nam wprowadzanie bezpośrednich świadectw, lecz pojmujemy to, rozpatrując sposób, w jaki wyrosły już ze szkół Józef czynił użytek z wywalczonej i z pewnością często-kroć gorąco upragnionej wolności. On, który podczas ostat-

nich swych szkolnych lat stał na tak eksponowanym miejscu i należał już niejako do życia publicznego, później natomiast i całkowicie z niego się wycofał; a nawet, kiedy się podąża śladami jego ówczesnego życia, odnosi się wrażenie, iż najchętniej byłby się uczynił niewidzialnym, żadne bowiem otoczenie i towarzystwo nie wydawało mu się dość bezpieczne, żadna forma egzystencji dość prywatna. Tak też i na kilka długich i burzliwych listów Designoriego zrazu odpowiadał, choć krótko i niechętnie, później zaś już wcale. Słynny uczeń Knecht znikł i nie było już sposobu odnalezienia go; jedynie w Waldzell nadal kwitła jego sława i stał się tam z czasem niemal legendą.

Tak tedy na początku swych lat studenckich ze wspomnianych już powodów Józef unikał Waldzell, wskutek czego zrezygnował też na razie z wyższych i najwyższych kursów gry szklanych paciorków. A mimo to, czyli mimo iż powierzchowny obserwator mógłby być wówczas stwierdzić u Knechta uderzające zaniedbanie gry szklanych paciorków, wiemy że przeciwnie, cały, pozornie kapryśny i pozbawiony związku, a w każdym razie raczej niezwykle tok swobodnych jego studiów odbywał się pod wpływem gry szklanych paciorków i z powrotem do niej i do służby owej grze doprowadził. Wspominamy o tym w sposób nieco bardziej szczegółowy, ponieważ jest to niezmiernie charakterystyczne: Józef Knecht korzystał ze swej swobody studiów w sposób najosobliwszy, najbardziej uparty, zdumiewający i młodzieńczo genialny. Podczas lat spędzonych w Waldzell przeszedł, jak wszyscy, oficjalne wprowadzenie w grę szklanych paciorków oraz kurs powtórkowy, potem, w ciągu ostatniego roku szkolnego, w gronie przyjaciół, ciesząc się już wówczas opinią dobrego gracza, tak gwałtownie uległ atrakcyjności owej gry, że po ukończeniu dalszego jeszcze kursu i jeszcze jako uczeń elitarny, przyjęty został do kręgu graczy drugiego stopnia, co było nieczęstym doprawdy wyróżnieniem.

Fritzowi Tegulariusowi, przyjacielowi swemu, koledze z oficjalnego kursu powtórkowego i późniejszemu pomocnikowi zwierzył się Knecht w kilka lat później z pewnego

przeżycia, które nie tylko zadecydowało o jego przeznaczeniu na gracza szklanych paciorków, ale ponadto wywarło największy wpływ na tok jego studiów. Zachował się ów list, wspomniany zaś jego fragment brzmi następująco:

„Pozwól, że przypomnę pewien konkretny dzień i pewną określoną grę z czasów, gdyśmy, przydzieleni obaj do tej samej grupy, tak gorliwie pracowali nad pierwszymi naszymi dyspozycjami do gry szklanych paciorków. Kierownik naszej grupy udzielił nam kilku wskazówek i podsunął do wyboru najróżniejsze tematy; zajmowaliśmy się wówczas właśnie kłopotliwym przejściem od astronomii, matematyki i fizyki do nauk filologicznych i historycznych, ów kierownik zaś był istnym wirtuozem w zastawianiu pułapek na nas, żądnych wiedzy nowicjuszy i w zwabianiu nas na śliskie drogi niedopuszczalnych analogii i abstrakcji; podsuwał nam prosto w ręce różne powabne, etymologiczne i językowe igraszki porównawcze, a nie lada miał uciechę, gdy któryś z nas dał się na nie nabrać. Obliczaliśmy aż do znużenia długość sylab greckich, by nagle utracić grunt pod nogami, gdy stawaliśmy wobec możliwości, a nawet konieczności skandowania akcentowanego zamiast metrycznego, i tym podobnie. Kierownik od strony formalnej prowadził owe zajęcia świetnie i na wskroś poprawnie, choć w duchu, który nie całkiem był dla mnie miły, ukazywał nam błędne ścieżki i kusił do błędnych spekulacji, w dobrej wprawdzie intencji zapoznania nas z niebezpieczeństwami, lecz po trosze też i po to, aby nas, głupich chłopców, wyśmiać i właśnie najgorliwszym przydać do ich zapалу możliwie najwięcej sceptycyzmu. Niemniej właśnie pod jego przewodnictwem i w czasie jednego z tych jego zawiłych, a zwodzących doświadczeń, podczas gdy usiłowaliśmy lęklonie i po omacku naszkicować jakiś, choćby w połowie przydatny, problem ludyczny, nagle i w jednej chwili pojąłem sens i wielkość naszej gry i wstrząśnięty zostałem do głębi. Dokonywaliśmy wówczas sekcji pewnego historycznego problemu językowego, z bliska niejako przypatrując się szczytowemu momentowi i okresowi świetności danego języka, przebywając wraz z nim w kilka minut drogę, na

której przejście on sam kilku potrzebował stuleci, mną zaś potężnie wstrząsnęło owo zjawisko przemijania: jak oto przed oczami naszymi rozkwita tak skomplikowany, stary, czcigodny, w ciągu wielu pokoleń powoli konstruowany organizm, a kwiat ów zawiera już w sobie zalążek rozkładu, cały ów rozważnie rozczłonkowany gmach zaczyna zapadać się, wynaturzać, chwiejnie zmierzać ku zagładzie — a jednocześnie dreszczem i radosnym przerażeniem przejęła mnie myśl, iż rozkład i śmierć owego języka jednak nie wiodły ku nicości, że jego młodość, rozkwit i upadek zachowane są w naszej pamięci, w naszej wiedzy o nim i jego dziejach, oraz że żyje on nadal w znakach i wzorach naukowych, jak również w tajemnych formułach gry szklanych paciorków, i w każdej chwili znów może zostać zrekonstruowany. Zrozumiałem nagle, iż w języku, a przynajmniej w duchu gry szklanych paciorków ma istotnie wszystkoogarniające znaczenie, że każdy symbol i każda kombinacja symboli wiodą nie tu czy gdzie indziej, nie ku poszczególnym przykładom, eksperymentom i dowodom, lecz ku centrum, ku tajemnicy i najtajniejszej głębi świata, ku prawiedzy. Każde przejście od dur do moll w jakiejś sonacie, każde przekształcenie się jakiegoś mitu czy kultu, każde klasyczne sformułowanie artystyczne, rozważane w prawdziwie medytatywny sposób jest, jak pojąłem w olśnieniu owej chwili, nie czym innym, jeno bezpośrednią drogą do wnętrza tajemnicy świata, gdzie w nieustannych nawrotach wdechu i wydechu, pomiędzy niebem i ziemią, pomiędzy Yin i Yang wiekuiście dokonuje się świętość. Uczestniczyłem wprawdzie wówczas już parokrotnie jako słuchacz w kilku dobrze skonstruowanych i dobrze też przeprowadzonych grach szklanych paciorków, a dane było mi zaznać przy tym niejednego wielkiego uniesienia i niejednej uszczęśliwiającej myśli, lecz dotychczas zawsze skłonny byłem jednak do powątpiewania w wartość i rangę samej > gry. W końcu przecież każde dobrze rozwiązane zadanie matematyczne może dać intelektowi zadowolenie, wszelka , dobra muzyka może, przy słuchaniu, a bardziej jeszcze przy graniu jej, podnosić duszę i niezmiernie ją rozszerzać, a

u szelka nabożna medytacja może uspokoić serce i nastroić je na jeden ton z wszechświatem; lecz właśnie dlatego — tak brzmiały moje wątpliwości — gra szklanych paciorków jest może jedynie formalnym kunsztem, umiejętnością docwipną, przemyślną kombinatoryką, a wówczas lepiej by było nie uprawiać jej, lecz zająć się czystą matematyką i dobrą muzyką. Ale teraz po raz pierwszy sam usłyszałem wewnętrzny głos owej gry, dotarł do mnie i przemknął mnie jej sens, i od tej chwili wierzę, iż nasza królewska gra jest doprawdy jakąś *lingua sacra*, jakąś mową uświęconą i boską. Przypomnisz to sobie, ponieważ sam wówczas zauważyłeś, że dokonała się we mnie jakaś przemiana, że jakiś zew do mnie doszedł. Mogę porównać go jedynie z owym niezapomnianym wezwaniem, które niegdyś przekształciło i podniosło moje serce i życie, gdy jako młody chłopiec egzaminowany byłem przez magistra musicae i powołany do Kastalii. Zauważyłeś to, wyczułem to wówczas doskonale, chociaż nie powiedziałeś o tym ani słowa; i dziś więcej już o tym nie mówmy. Ale mam jeszcze do ciebie prośbę, a chcąc ci ją wytłumaczyć, muszę powiedzieć ci coś, czego nikt prócz ciebie nie wie i wiedzieć nie powinien, mianowicie, iż obecne moje arcyróżne studia nie wynikają z kaprysu, lecz przeciwnie, oparte są na pewnym, wyraźnie określonym planie. Przypominasz sobie zapewne, przynajmniej w najogólniejszych zarysach, owo ćwiczenie w grze szklanych paciorków, które jako uczniowie trzeciego kursu konstruowaliśmy z pomocą nauczyciela i w trakcie którego posłyszałem ów głos i przeżyłem powołanie moje na lusora. Otóż owa ćwiczebna gra, która rozpoczęła się rytmiczną analizą tematu do fugi i w której środku znajdowała się rzekoma sentencja Kung-tsy, cała ta gra, od początku do końca jest obecnie przedmiotem moich studiów, to znaczy, że przedzieram się roboczo przez każdą jej część, tłumaczę ją z języka ludycznego z powrotem na język pierwotny, na matematykę, ornamentykę, chiński, grecki itd. Chcę przynajmniej ten jeden jedyny raz w życiu fachowo przestudiować całą treść jednej gry szklanych paciorków i zrekonstruować ją; z pierwszą częścią już się upo-

rałem, a zużyłem na to dwa lata. Oczywiście kosztować mnie to będzie jeszcze parę lat. Ale skoro mamy przecie w Kastalii tę naszą słynną swobodę studiów, chcę wykorzystać ją w ten właśnie sposób. Zastrzeżenie przeciwko temu znam. Większość naszych nauczycieli orzekłaby: my w ciągu paru stuleci wynaleźliśmy i rozbudowali grę szklanych paciorków jako uniwersalny język i metodę wyrażania wszelkich intelektualnych i artystycznych wartości i pojęć oraz sprowadzenia ich do wspólnego mianownika. A ty oto przychodzisz i masz zamiar sprawdzać, czy to prawda! Poświęcisz na to całe swoje życie i będziesz tego żałował. No, cóż. całego życia na to nie poświęcę, a mam nadzieję, że i żałować nie będę. A teraz moja prośba: ponieważ pracujesz obecnie w archiwum gry, ja zaś z pewnych specjalnych powodów pragnąłbym przez dłuższy jeszcze czas unikać Waldzell, chciałbym, żebyś od czasu do czasu odpowiadał mi na kilka pytań, czyli przekazywał mi każdorazowo, w nie skróconej postaci, oficjalne klucze i znaki dla najróżniejszych tematów z archiwum. Liczę na ciebie, a liczę też na to, że z kolei zwrócisz się również do mnie, gdy tylko będę mógł ci w zamian wyświadczyć jakąkolwiek przysługę".

Może na tym miejscu właśnie warto przytoczyć także inny fragment z listów Knechta, odnoszący się do gry szklanych paciorków, mimo iż list ów do mistrza muzyki napisany został co najmniej w rok czy nawet dwa lata później.

„Wydaje mi się ■— pisał Knecht do swego opiekuna — że można być wcale dobrym graczem szklanych paciorków, nawet wirtuozem, ba, nawet całkiem sprawnym magistrem ludzi, nie przeczuwając nawet właściwej tajemnicy tej gry i jej ostatecznego sensu. A chyba i tak zdarzyć się może, iż właśnie człowiek przeczuwający i wiedzący, gdy stanie się specjalistą w grze szklanych paciorków albo jej kierownikiem, niebezpieczniejszy będzie dla niej od innych. Wewnętrzna bowiem strona, ezoteryka tej gry, zmierza, jak wszelka ezoteryka, ku jedności i całości, w głębinę, gdzie jeno wiekuiste tchnienie same sobą dostatecznie w wie-

kuistym introitus i exitus włada. Ten zaś, kto w samym sobie przeżyłby do końca sens owej gry, nie byłby już właściwie lusorem, nie przestawałby już z wielorakością, nie byłby już zdolny do radości z wynalazków, konstrukcji i kombinacji, poznałby bowiem całkiem inną rozkosz i radość. A ponieważ wydaje mi się, iż bliski jestem sensu gry szklanych paciorków, lepiej będzie dla mnie i dla innych, jeśli nie uczynię gry moim zawodem, lecz przerzucę się raczej na muzykę".

Mistrz muzyki, bardzo na ogół oszczędny w pisaniu listów, był najwidoczniej zaniepokojony tą wypowiedzią i odwzajemnił się zycziwym ostrzeżeniem:

„Dobrze, że sam nie wymagasz od mistrza gry, by był »ezoterykiem« w twym rozumieniu tego słowa, mam bowiem nadzieję, że powiedziałeś to bez ironii. Mistrz gry lub "nauczyciel, który przede wszystkim troszczyłby się o to, czy doprawdy znalazł się dostatecznie blisko ^najbardziej wewnętrznego sensu«, byłby bardzo złym nauczycielem. Ja na przykład, szczerze mówiąc, nigdy w życiu nie powiedziałem moim uczniom ani słowa o »sensie« muzyki, bo jeśli takowy istnieje, to obejdzie się beze mnie. Pilnie natomiast zawsze zważałem na to, żeby uczniowie moi jak najdokładniej liczyli swe ósemki i szesnastki. Czymkolwiek -tedy będziesz: nauczycielem, uczonym lub muzykiem, odczuwaj dla »sensu« szacunek, lecz nie sądz, że można go nauczyć. Historiozofowie, pragnąc nauczyć »sensu«, zepsuli niegdyś połowę dziejów świata, zapoczątkowali epokę felietonu i stali się współwinni wielkiego przelewu krwi. Gdybym miał nawet wprowadzać uczniów w Homera albo w tragików greckich, także nie usiłowałbym sugerować im, że poezja jest wyrazem boskości, lecz starałbym się udostępnić im ową poezję przez dokładne poznanie jej środków językowych i metrycznych. Rzeczą nauczyciela i uczonego jest badanie środków oraz pielęgnowanie tradycji i utrzymywanie w czystości metod, a nie pobudzanie i przyspieszanie owych niewyraźalnych już przeżyć, zastrzeżonych dla wybrańców — choć często ponoszą oni klęskę i są ofiarami".

Korespondencja Knechta z owych lat, która była albo w ogóle skąpa, albo częściowo zaginęła, nie zawiera już później wzmianek o grze szklanych paciorków, ani o „ezoterycznym” jej pojmowaniu; największa i najlepiej zachowana część owej korespondencji, wymiana listów z Ferromontem, dotyczy niemal wyłącznie zagadnień muzycznych i analizy muzycznego stylu.

Tak więc w owym osobliwym zygzaku, utworzonym przez tok studiów Knechta a stanowiącym jedynie dokładną kopię i wieloletnią pracę nad jednym, jedynym schematem gry, widzimy realizujący się stopniowo, a dobitnie określony sens i zamiar. Aby przyswoić sobie treść tego jedyne go schematu, który niegdyś, jeszcze jako uczniowie, skomponowali w celach ćwiczebnych w ciągu paru dni i który odczytać można było w języku gry szklanych paciorków w ciągu kwadransa, pracował Knecht całe lata, przesiadywał w salach wykładowych i bibliotekach, studiował Frobergera i Aleksandra Scarlattiiego, fugi i budowę sonaty, powtarzał matematykę, uczył się chińskiego, przerobił system figur dźwiękowych i teorię Feustela o odniesieniach skali barw do tonacji muzycznych. Zadajemy sobie pytanie, czemu wybrał tę żmudną, upartą, a przede wszystkim samotną drogę, skoro ostatecznym jego celem (poza granicami Kastalii określono by to jako wybór zawodu) była niewątpliwie gra szklanych paciorków. Gdyby jako hospitant, nieobowiązująco na razie, wstąpił do jednego z instytutów Vicus Lusorum, osiedla graczy szklanych paciorków w Waldzell, ułatwiono by mu wszelkie studia specjalistyczne dotyczące gry, każdej chwili udzielano by mu rad i informacji odnośnie do poszczególnych zagadnień, a ponadto mógłby studiować w gronie kolegów współzawodniczących z nim, zamiast męczyć się samotnie, czując się zapewne często jak na dobrowolnym wygnaniu. No, cóż, poszedł swoją drogą. Przypuszczamy, że unikał Waldzell nie tylko dlatego, że chciał możliwie dokładnie zatrzeć w sobie samym i w innych wspomnienie roli, jaką odegrał tam niegdyś jako uczeń, ale również i dlatego, aby nie wpaść w społeczności graczy szklanych paciorków jeszcze raz w podobną

rolę. Czuł bowiem chyba w sobie od tamtych czasów coś w rodzaju przeznaczenia, predestynacji do reprezentowania i przewodzenia, czynił tedy, co tylko mógł, żeby przechytzyć ów prześladowający go los. Wyczuwał już z góry ciężar odpowiedzialności, czuł ją już teraz wobec swoich kolegów z Waldzell, którzy się nim zachwycali, a których unikał, a zwłaszcza czuł ją wobec Tegulariusa, o którym instynktownie wiedział, iż gotów za nim w ogień skoczyć. Szukał tedy ukrycia i kontemplacji, podczas gdy los chciał go pchnąć na widok publiczny, do przodu. Tak mniej więcej wyobrażamy sobie jego ówczesne samopoczucie. Lecz był jeszcze jeden ważny powód czy impuls, odstrasżający go od ogólnie przyjętego toku studiów na wyższych uczelniach gry szklanych paciorków i czyniący zeń outsidera, był to mianowicie nieprzearty pęd do badań, którego podłożem były jego dawne wątpliwości co do gry szklanych paciorków. Oczywiście, doświadczył już i poznał smak tego, iż grę tę rozgrywać można w najwyższym i świętym zrozumieniu, lecz widział również, iż większość graczy i uczniów, a nawet część kierowników i nauczycieli, nie byli to bynajmniej gracze w owym szczytowym i świętym znaczeniu, a w języku ludycznym dostrzegali nie *lingua sacra*, lecz coś w rodzaju dowcipnej stenografii lub interesującego kunsztu i uprawiali ją jak intelektualny sport albo ambicjonalne współzawodnictwo. Owszem, jak świadczy jego list do mistrza muzyki, przeczuwał już także, iż nie zawsze poszukiwanie ostatecznego sensu określa jakość gry, że gra wymaga również ezoteryki, że jest ona również nauką, techniką oraz instytucją społeczną. Słowem, istniały tu wątpliwości i sprzeczności, gra była zagadnieniem życiowym, stała się na razie wielką, zasadniczą sprawą jego życia, on zaś bynajmniej nie pragnął, aby życzliwi duszpasterze ułatwiali mu tę jego walkę lub bagatelizowali ją przyjaznym a odwracającym uwagę nauczycielskim uśmiechem.

Mógł, oczywiście, spośród dziesiątków tysięcy już rozegranych i miliona możliwych gier wybrać dowolnie każdą za podstawę swoich studiów. Wiedział o tym, lecz za punkt wyjścia obrał ów przypadkowy, przez niego samego i jego

kolegów na szkolnym kursie wykombinowany plan. Była to gra, przy której po raz pierwszy pojął sens wszystkich gier szklanych paciorków i doświadczył powołania na lusura. W latach owych towarzyszył mu schemat owej gry, zanotowany w powszechnie przyjętej stenografii. W tych określeniach, kluczach, sygnaturach i abrewiaturach języka ludycznego utrwalał tu wzór matematyki astronomicznej, ówdzie zasada konstrukcji dawnej sonaty, to znów sentencja Kungfutsy, i tak dalej. Czytelnik, nie znający może gry szklanych paciorków, powinien wyobrazić sobie ów schemat ludyczny na podobieństwo na przykład schematu partii szachów, z tym tylko zastrzeżeniem, iż znaczenie figur, możliwości ich wzajemnych stosunków i wzajemnego na siebie oddziaływania zostały tu pomyślane w sposób wieloraki, a każdej figurze, każdej konstelacji, każdemu szachowemu posunięciu przypisać należałoby prawdziwą, symbolicznie określoną przez to właśnie posunięcie, przez tę konfigurację treść. Otóż studenckie lata Knechta poświęcone były nie tylko najdokładniejszemu poznawaniu treści, zasad, dzieł i systemów zawartych w planie gry i przemierzaniu wstecz w tym czasie drogi, wiodącej przez różne kultury, nauki, języki, sztuki stulecia; w nie mniejszej mierze postawił on sobie zadanie, nie znane żadnemu z jego nauczycieli: najdokładniejszego zweryfikowania na tych obiektach systemów oraz możliwości wyrazu kunsztu gry szklanych paciorków.

Rezultat przekazujemy już naprzód: tu i ówdzie znalazł Knecht jakąś lukę, jakiś niedobór, w sumie jednak nasza gra szklanych paciorków musiała się ostać wobec wytrwałych jego badań, inaczej bowiem chyba by do niej w końcu nie powrócił.

Gdybyśmy pisali tu studium z dziedziny historii kultury, niejedno miejsce i niejedna scena z okresu lat studenckich Knechta okazałyby się z pewnością godne opisanie. Przedkładał on, jeśli tylko było to możliwe, takie miejscowości, gdzie mógł pracować sam albo z nader nieliczną garstką współpracowników, a do niektórych tych miejsc zachował pełne wdzięczności przywiązanie. Często przebywał w Mon-

teport, niekiedy jako gość mistrza muzyki, niekiedy jako uczestnik jakiegoś seminarium z historii muzyki. Dwukrotnie odnajdujemy go w Hirsland, siedzibie kierownictwa zakonu, jako uczestnika „wielkiego ćwiczenia”, dwunastu dni postów i medytacji. Ze szczególną radością, a nawet czułością opowiadał później swoim najbliższym o Gaju Bambusowym, uroczej pustelni, miejscu jego studiów nad I Ging. Zaznał tam, nie tylko decydujących objawień i przeżyć, lecz także, wiedziony cudownym jakimś przecuciem czy opatrnością, znalazł jedyną w swoim rodzaju okolicę i niezwyklego człowieka, mianowicie tak zwanego Starszego Brata, twórcę i mieszkańca chińskiej pustelni, Gaju Bambusowego. I wydaje się nam wskazane opisać nieco bardziej szczegółowo ów najosobliwszy epizod z czasów jego studiów.

Knecht rozpoczął naukę języka chińskiego i studiowanie klasyków chińskich w słynnym instytucie wschodnioazjatyckim, od całych już pokoleń przyłączonym do szkolnego osiedla filologii starożytnej Sanct Urban. Czynił tam szybkie postępy w czytaniu i pisaniu, zaprzyjaźnił się też z kilku pracującymi tam Chińczykami i nauczył na pamięć kilku pieśni Szi Kinga, gdy w drugim roku swojego pobytu jął coraz bardziej intensywnie interesować się I Ging, Księgą Przemian. Chińczycy, na jego nalegania, udzielili mu wprawdzie różnych informacji, lecz w istotę sprawy nie wprowadzili, nauczyciela tego przedmiotu w instytucie nie było, a gdy Knecht nieustannie ponawiał prośbę, by wystarano mu się o nauczyciela, który by gruntownie zajął się i nim, I Gingiem, opowiedziano mu o Starszym Bracie i jego pustelni. Knecht spostrzegł już od pewnego czasu, że wskutek swych zainteresowań Księgą Przemian zmierza ku dziedzinie, o której w instytucie niewiele chciano wiedzieć, stał się tedy w dociekaniach swoich ostrożniej szy, a gdy starał się o dalsze informacje na temat legendarnego Starszego Brata, nie ukrywano przed nim, iż pustelnik ów cieszy się wprawdzie niejakim szacunkiem, a nawet sławą, lecz uważany jest raczej za dziwaka niż za uczonego. Poczul, że tutaj sam musi sobie pomóc, doprowadził pewną pracę seminaryjną,

którą właśnie zaczął, jak najszybciej do końca i pożegnał się. Pieszko ruszył ku okolicom, w których tajemniczy ów człowiek założył niegdyś swój Gaj Bambusowy: może mędrzec i mistrz, a może głupiec. Dowiedział się o nim mniej więcej tylko tyle: Człowiek ten był przed około dwudziestu pięciu laty najbardziej obiecującym studentem wydziału sinologii, zdawał się urodzony i powołany do tych studiów, prześcigał najlepszych nauczycieli, czy to rodowitych Chińczyków, czy ludzi z Zachodu, w technice pisania pędzelkiem i w odcyfrowywaniu starych pism, zwracał jednak nieco nadmiernie na siebie uwagę wskutek gorliwości, z jaką zewnętrznie nawet usiłował zrobić z siebie Chińczyka. Tak więc na przykład uparcie zwracał się do wszystkich przełożonych, od kierownika seminarium aż do mistrzów, nie wymieniając ich tytułu i używając przepisowego „wy”, lecz słowami: „mój starszy bracie”, które to określenie, jako szydercze przezwisko, przyłgnęło w końcu do niego samego. Szczególną troskliwością otaczał grę przepowiedni I Ging, którą uprawiał po mistrzowsku z pomocą tradycyjnej wiązki łądyg krwawnika. Ulubioną jego księgą, po starych komentarzach do Księgi Przepowiedni, była Czuang Tsy. Najwidoczniej już wówczas wyczuć się dawał duch sinologicznego wydziału instytutu, racjonalistyczny i raczej przeciwny mistycyzmowi, za ściśle konfucjański uchodzić pragnący, taki, jakim go poznał i Knecht, Starszy Brat bowiem pewnego dnia opuścił ów instytut, który zresztą gotów był go zatrzymać jako nauczyciela-specjalistę, i zaopatrzony w pędzelki, miseczkę tuszu oraz dwie czy trzy książki, wyruszył na wędrowną. Dotarł na południe kraju, gościł raz tu, raz ówdzie u braci zakonnych, znalazł miejsce odpowiednie na pustelnię, wskutek uparcie składanych podań i ustnych prośb uzyskał zarówno od władz świeckich, jak i od zakonu prawo zalesienia owego miejsca i żył tam odtąd jako osadnik w urzędzonej na starochińską modłę idylli, niekiedy wyśmiewany jako dziwak, niekiedy czczony jako coś w rodzaju świętego, w zgodzie ze sobą i światem, spędzając swe dni na medytacji i przepisywaniu starych zwojów, jeśli nie

absorbowały go akurat prace w Gaju Bambusowym, chroniącym przed północnym wiatrem mały, starannie założony, chiński ogródek.

Tam więc powędrował Józef Knecht, często odpoczywając i zachwycając się krajobrazem, który ukazał mu się po przekroczeniu górskich przełęczy od południa, błękitny, wonny, ze słonecznymi tarasami winnic, brunatnymi murkami pełnymi jaszczurek, dostojnymi zagajnikami kasztanowymi, jędrna mieszanka okolic południowych i wysokogórskich. Gdy dotarł do Gaju Bambusowego, było późne popołudnie; wszedł i w przedziwnym ogrodzie ujrzał ze zdumieniem chińską altanę; z drewnianej rury tryskała źródłana woda i spływając żwirowym łożyskiem nappełniała pobliski zbiornik, w którego szczelinach rozrastały się przeróżne ziele, a w cichej, przejrzystej wodzie pływało kilka złotych karp. Spokojnie, delikatnie kołysały się piórka bambusu na smukłych, silnych łodygach, murawę poprzerywały kamienne płyty, na których można było odczytać napisy w stylu klasycznym. Wąty człowiek, odziany w szarozółte płótno, w okularach na niebieskich, wyczekujących oczach podniósł się znad grządki kwiatów, nad którą był przykucnął i wolno szedł naprzeciw gościowi; bez niechęci, ale z ową cokolwiek niezręczną nieśmiałością, jaka cechuje niekiedy odludków i samotników, zwrócił na Knechta pytające spojrzenie i czekał, co ma on do powiedzenia. Józef nie bez skrępowania wypowiedział chińskie słowa, jakie przygotował sobie na powitanie:

— Młody uczeń pozwala sobie złożyć uszanowanie Starszemu Bratu.

— Witam należycie wyedukowanego gościa — odparł Starszy Brat — zawsze chętnie widzę młodego kolegę, przybywającego na czarkę herbaty i miłą, krótką rozmowę, a nocne posłanie, jeśli go pragnie, także się dla niego znajdzie.

Knecht złożył ukłon koato i podziękował, został zaprowadzony do domku i poczęstowany herbatą; potem pokazano mu ogród, kamienie z napisami, sadzawkę, złote rybki, podano nawet ich wiek. Aż do wieczery siedzieli obaj pod

rozwianymi bambusami, wymieniając uprzejmości, wersety pieśni i sentencje klasyków, podziwiając kwiaty i napawając się różanym blaskiem przygasającej na górskich szczytach wieczornej zorzy. Potem wrócili do domu. Starszy Brat przyniósł chleb i owoce, na małym piecyku upiekł dla siebie i gościa po jednym doskonałym podplomyku, a gdy zjedli, zapytał studenta o cel jego odwiedzin po niemiecku, a ten po niemiecku też opowiedział, jak tutaj się dostał i jakie są jego zamiary: pozostać tu mianowicie tak długo, jak Starszy Brat pozwoli i zostać jego uczniem.

— Jutro o tym pomówimy — powiedział pustelnik, przygotowując posłanie dla gościa.

Knecht usiadł nazajutrz nad wodą, obok złotych rybek, spoglądał w głąb owego małego, chłodnego świata mroku i światła i uroczo igrających barw, gdzie w ciemnobłękitnej zieleni i atramentowej pomroce kołysały się pozłociste ciała, a od czasu do czasu, właśnie gdy cały świat wydawał się zaczarowany i na zawsze pogrążony we śnie i zaklęty w marzeniach sennych — łagodnym, miękkim, elastycznym a przecież przerażającym ruchem wyrzucały kryształowe i złote błyskawice poprzez senną ciemność. Knecht patrzył w głąb, coraz bardziej w myślach zatopiony, raczej rozmarzony niż kontemplujący, i nie poczuł, że Starszy Brat cichymi krokami wyszedł z domu, przystanął i długo obserwował swego pogrążonego w dumaniach gościa. A gdy Józef otrząsając się wreszcie z zadumy wstał, tamtego już nie było, choć niebawem głos jego z wnętrza domu poprosił na herbatę. Wymienili krótkie pozdrowienie, pili herbatę, siedzieli i słyszeli dźwięczący w porannej ciszy melodią wieczności cienki, źródłany strumyczek. Potem pustelnik wstał, jął krzątać się po nieregularnie zbudowanej izbie, chwilami, przymrużając oczy, oglądał się na Knechta i nagle zapytał:

— Czyś gotów wzuć buty swoje i odejść stąd znowu?

Knecht zawahał się, a potem odpowiedział:

— Gotów jestem, jeśli tak być musi.

— A gdyby zdarzyć się miało, że przez czas krótki po zostaniesz tutaj, czyś gotów być posłuszny i zachowywać się tak cicho jak złota rybka?

Student znowu przytaknął.

— Dobrze — rzekł Starszy Brat. — Teraz ułożę pałeczki i zapytam wyroczni.

I podczas gdy Knecht siedział, przypatrując się z równie wielkim szacunkiem, jak ciekawością, cichutko „jak złota rybka”, tamten przyniósł drewniany kubek, podobny raczej do kołczanu i wyjął z niego garść pałeczek; były to łądygi, krwawnika; przeliczył je uważnie, część wiązki odłożył z powrotem do naczynia, jedną łądygę odsunął nar bok, pozostałe podzielił na dwie wiązki jednakiej wielkości, trzymając jedną w lewej ręce, a końcami czułych palców prawej ręki wyciągając drobne, malutkie wiązeczki z drugiej, przeliczył je, odłożył na bok, aż pozostało już tylko kilka łądyg, które zacisnął między dwoma palcami lewej ręki. I gdy tak, w rytualnym przeliczeniu, zredukował jedną wiązkę do paru zaledwie łądyg, podjął z drugą wiązką tę samą procedurę. Odliczone łądygi odkładał, ponownie zabrał się do obu wiązek, po kolei liczył, zaciskał drobne resztki wiązek pomiędzy dwoma palcami, wszystko to zaś czyniły owe palce z oszczędnym, cichym pośpiechem i wyglądało to jak jakaś tajemna, ścisłymi regułami obwarowana, tysiącrotnie ćwiczona i do wirtuozerii doprowadzona gra zręczności. Gdy zagrał ją już tak wiele razy, pozostały trzy malutkie wiązki, z liczby łądyg w nich odczytał jakiś znak, który spiczastym pędzelkiem wymalował na małej kartce. I oto cały ów skomplikowany proces rozpoczął się od nowa, pałeczki podzielone zostały na dwie równe wiązki, znowu zaczęło się liczenie, odkładanie pałeczek, wciskanie ich pomiędzy palce, aż w końcu znowu pozostały trzy malutkie wiązki, których rezultatem był drugi znak. Tanecznie rozhuśtane łądyżki uderzały o siebie z cichutkim, suchym klekotem, zmieniały swe miejsca, tworzyły wiązki, zostawały rozdzielone, przeliczone na nowo, pałeczki poruszały się rytmicznie, z upiorną pewnością. Przy końcu każdej takiej procedury palec wypisywał znak, w końcu zaś dodatnie i ujemne znaki stanęły w sześciu liniijkach jedne nad drugimi. łądygi zostały pozbierane i troskliwie umieszczone z powrotem w pojemniku, mag przykucnął na ziemi na macie z sitowia, a przed sobą

na kartce miał wypisany wynik poszukiwanej wyroczni; któremu przypatrywał się długo, w milczeniu.

— To znak Mong — powiedział wreszcie. — Znak ten nosi nazwę „głupota młodzieńcza”. Wyżej góra, niżej woda, wyżej Gen, niżej Kan. U stóp góry tryska źródło, symbol młodości. A wyrocznia brzmi:

Głupota młodzieńcza odnosi sukces.
Nie ja szukam młodego głupca,
Młody głupiec szuka mnie.
Przy pierwszej wyroczni udzielę wiadomości.
Jeśli zapyta kilkakrotnie, będzie to natręctwem.
Gdy będzie natrętny, nie udzielę wiadomości.
Wytrwałość sprzyja.

Knecht w uwadze i napięciu aż oddech wstrzymał. W ciszy, jaka nastąpiła, westchnął bezwiednie a głęboko. Pytać nie śmiał. Ale wydawało mu się, że zrozumiał: młody głupiec przybył, wolno mu było pozostać. I jeszcze gdy trwał zaabsorbowany i oczarowany wspaniałą, marionetkową grą pałców i pałeczek, której przyglądał się tak długo, a która wydawała się tak przekonująca i rozumna, mimo iż nie sposób było odgadnąć jej sensu, pojął jej rezultat. Wyrocznia przemówiła i zdecydowała na jego korzyść.

Nie opisywalibyśmy tak szczegółowo tego epizodu, gdyby sam Knecht wielokrotnie i z niejaką przyjemnością nie opowiadał go swym przyjaciółom i uczniom. Teraz jednak powracamy do naszej rzeczowej relacji. Knecht przez wiele miesięcy przebywał w Gaju Bambusowym i nauczył się manipulować łądogami krwawnika w sposób niemal równie doskonały, co jego nauczyciel. Ów zaś codziennie ćwiczył z nim przez godzinę liczenie pałeczek, wprowadzał go w gramatykę i symbolikę języka wyroczni, kazał mu ćwiczyć się w pisaniu i uczeniu się na pamięć sześćdziesięciu czterech znaków, czytał mu wyjątki ze starych komentarzy, a w szczególnie dobre dni opowiadał mu od czasu do czasu jakąś historię z Czuang Tsy. Ponadto uczeń ćwiczył się w pielęgnowaniu ogródka, myciu pędzelków, rozcieraniu tuszu, nauczył się też gotować zupę i herbatę, zbierać chrust,

zważać na pogodę i posługiwać się chińskim kalenda. *lem*. Lecz nieczęsto podejmowane przezeń próby włączenia ów ich skąpych rozmów również gry szklanych paciorków i muzyki żadnych absolutnie nie dawały rezultatów, wydawały się albo kierowane do przygłuchego, albo też zbywane były pobłażliwym uśmiechem bądź kwitowane sentencją, jak na przykład: „z wielkiej chmury nie ma deszczu” lub „szlachetny jest bez skazy”. Gdy jednak Knecht kazał sobie przysłać z Monteport mały klawikord i codziennie godzinę na nim grał, sprzeciwu nie usłyszał. Pewnego razu wyznał Knecht swemu nauczycielowi, iż pragnąłby dojść do tego, by móc wbudować system I Ging w grę szklanych paciorków. Starszy Brat roześmiał się.

— Nuże! — zawołał. — Przekonasz się. Zasadzić na tym świecie ładny bambusowy ogródek, owszem, można. Lecz wydaje mi się wątpliwe, aby ogrodnikowi udało się wbudować świat w swój bambusowy gaik.

Dość o tym. Nadmienmy tylko jeszcze, iż kilka lat później, gdy Knecht był już w Waldzell wielce cenioną osobą i zaprosił Starszego Brata, aby objął tam stanowisko nauczyciela, ten nic na to nie odpowiedział.

Józef Knecht często określał później owe miesiące swojego życia w Gaju Bambusowym nie tylko jako okres szczególnie szczęśliwy, lecz często także nazywał je „początkiem swego przebudzenia”, w ogóle zresztą od owych czasów częściej pojawia się w jego wypowiedziach obraz przebudzenia, o podobnym, choć bynajmniej nie jednakowym znaczeniu, jak to, które łączył uprzednio z obrazem powołania. Przy puszczać należy, iż każde „przebudzenie” oznaczać ma po znanie samego siebie oraz miejsca, na którym znalazł się w granicach ładu kastalskiego i wszelkiego w ogóle ludzkiego ładu, lecz wydaje się nam, że akcent coraz bardziej przesuwa się tu na poznawanie siebie, w tym sensie, iż Knecht od początku „przebudzenia” coraz bardziej zbliżał się do przecucia swej szczególnej, wyjątkowej pozycji i przeznaczenia, podczas gdy pojęcia i kategorie tradycyjnej, ogólnej i specjalnej, kastalskiej hierarchii stawały się dlań coraz bardziej względne.

Studia chińskie nie zostały bynajmniej zakończone owy.,i pobytem w Gaju Bambusowym, trwały nadal, Knecht zaś zabiegał zwłaszcza o poznanie starej chińskiej muzyki. U wszystkich dawniejszych pisarzy chińskich natrafiał na pochwałę muzyki jako jednego z prażródeł wszelkiego ładu, obyczajowości, zdrowia i piękna, a tak szerokie i etyczne pojmowanie muzyki znane mu już było od dawna, dzięki mistrzowi muzycznemu, stanowiącemu wręcz jego uosobienie. Nie rezygnując z zasadniczego planu swoich studiów, który znamy z owego listu do Fritza Tegulariusa, Knecht zamasyście i energicznie rwał naprzód wszędzie, gdzie tylko zwietrzył coś dla siebie ważnego, czyli tam gdzie zdawało mu się, droga „przebudzenia”, na którą już wkroczył, wiedzie dalej. Jeden z pozytywnych rezultatów okresu jego nauki u Starszego Brata polegał na tym, iż przewyciężył swą płochliwość względem powrotu do Waldzell: co roku brał tam obecnie udział w jednym z wyższych jakichś kursów i stał się już oto, sam właściwie nie wiedząc, jak do tego doszło, osobistością, traktowaną w Vicus Lusorum z uznaniem i zainteresowaniem; należał do owych najbardziej wewnętrznych i najczulszych organów samego sedna gry, do owej grupy anonimowych, wytrawnych graczy, w rękach których spoczywa w tamtym czasie los albo co najmniej kierunek i moda gry. Owa grupa graczy, w której nie brak też było urzędników zakładów gry, choć nie dominowali oni bynajmniej, zajęta była głównie w kilku ustronnych, cichych pomieszczeniach archiwum gry krytycznym jej studiowaniem, walką o wciągnięcie do gry nowych tematycznych dziedzin lub o ich niedopuszczenie, formułowaniem sądów za albo przeciw niektórym, stale się zmieniającym kierunkom i upodobaniom formalnym, technicznym i elementom sportowym gry szklanych paciorków; każdy z zadomowionych tam był wirtuozem gry, każdy był doskonale znany wszystkim pozostałym z talentów swych i właściwości, atmosfera była tam podobna do atmosfery jakiegoś ministerstwa lub klubu arystokratycznego, gdzie spotykają się i poznają ludzie sprawujący władzę i odpowiedzialni za dzień jutrzejszy i pojutrzejszy. Panował tu

przytłumiony, wypolerowany ton. gdzie nie okazywano żywionych ambicji, gdzie uwaga i krytycyzm wyostrzone były aż do przesady- Owa elita narybku z Vicus Lusorum uważana była przez wielu Kastalczyków, a także przez niektórych ludzi z zewnątrz, z kraju, za sam kwiat kastalskiej tradycji, za śmietankę ekskluzywnie arystokratycznego intelektu, toteż niejeden młodzieniec, pełen ambicji, przez całe lata marzył o tym, by kiedyś do niej należeć. Ale dla innych z kolei ów wybrany krąg pretendentów do wyższych godności w grze szklanych paciorków był czymś zniechęcającym i ^degenerowanym, kliką zadzierających nosa nierobów, rozigrzonych intelektualnie geniuszy, pozbawionych poczucia życia i rzeczywistości, zarozumiałą, a w istocie pasywną społecznością elegantów i karierowiczów, których jedynym zajęciem i jedyną treścią życia była zabawa, jałowe 9 egoistyczne uciechy umysłu.

Knecht do obu tych poglądów odnosił się obojętnie; nic «o nie obchodziło, czy w plotkach studenckich wysławiany będzie jako cudowne zjawisko, czy wykpiwany jako parweniusz i karierowicz. Ważne dlań były jedynie jego studia, a wszystkie one teraz odnosiły się do samej gry. Ponadto ważne dlań było może jedno jeszcze pytanie, czy mianowicie gra stanowi doprawdy najwyższe osiągnięcie Kasta-lii i czy warto dla niej poświęcić życie. Albowiem wątpliwości jego bynajmniej jeszcze nie umilkły wraz z wgrzaniem się w coraz to głębiej ukryte tajemnice reguł i możliwości gry, z zadomowieniem się w barwnych labiryntach archiwum i w rozległym a zawitym świecie symboliki ludzkiej; doświadczył już w sobie, iż wiara i zwątpienie zależą od siebie, że warunkują się wzajemnie jak wdech i wydech, a wraz z postępami we wszelkich dziedzinach mikrokosmosu gry wzmogła się też, oczywiście, jego zdolność postrzegania i wrażliwość na wszystko, co w grze było problematyczne. Idylla w Gaju Bambusowym może na krótko uspokoiła go lub zmyliła: przykład Starszego Brata pokazał mu, iż mimo wszystko istniały możliwości wyjścia z całej tej problematyki, można się było, na przykład jak tamten, przemienić w Chińczyka, odizolować za ogrod-

v;ym żywopłotem i żyć w zadowalająco piękny, wręcz doskonały sposób. Można było stać się także Pitagorejczykiem albo mnichem, albo scholastykiem — lecz był to wybieg, rezygnacja z powszechności, dostępna i dozwolona jedynie nielicznym, rezygnacja z dnia dzisiejszego i jutrzejszego na rzecz doskonałości, ale już minionej, była wysublimowanym rodzajem ucieczki i Knecht w porę już wyczuł, że nie jego to droga. Ale jakaż była jego droga? Wiedział, że poza wielkimi i leniem do muzyki i gry szklanych paciorków istnieją w nim inne jeszcze siły, pewna niezależność wewnętrzna, znaczne wyczucie własnej wartości, które wprawdzie nie zabraniało mu ani nie utrudniało służby, lecz domagało się od niego, by służył jedynie najwyższemu ponu. I owa siła, niezależność, poczucie własnej wartości stanowiły nie tylko pewne cechy jego portretu, skierowane były nie tylko do wnętrza, działały także i na zewnątrz. Józef Knecht już w latach szkolnych. Zwłaszcza zaś w owym okresie swojej rywalizacji z Pliniem Designori, przekonywał się niejednokrotnie, iż niektórzy koledzy, i ci w jednym z nim wieku, i przede wszystkim ci młodszy, nie tylko lubili go i zabiegali o jego przyjaźń, lecz przejawiali skłonność do poddawania się jego władzy, pytania go o radę, ulegania jego wpływowi, a doświadczenia takie powtarzały się od owych czasów wielokrotnie. Owe doświadczenia miały pewną nader przyjemną i pochlebną stronę: syciły ambicję i umacniały pewność siebie. Ale miały też stronę całkiem inną, ponurą i straszną, gdyż już sama skłonność do spoglądania z góry na tych spragnionych rady. Kieimku i przykładu kolegów, na ich słabość, brak poczucia własnej wartości i godności, a także pojawiająca się niekiedy tajemna rozkosz zrobienia z nich (przynajmniej w myślach) powolnych niewolników, miała w sobie coś zakazanego i brzydkiego. A ponadto podczas owych kontaktów z Pliniem przekonał się, jak wielką odpowiedzialnością, wysiłkiem i obciążeniem wewnętrznym płaci się za każde świetne i reprezentacyjne stanowisko; wiedział również, jak ciężko było niekiedy mistrzowi muzyki sprawować swą funkcję. Piękne to było i ponętne mieć władzę nad ludźmi i możliwość błyszczenia, lecz kryło to w sobie także demonizm i niebez-

pieczeństwo; dzieje świata składały się **przecież** z nieprzerwanego szeregu władców, wodzów, działaczy i dowódców, którzy — nie licząc niesłychanie rzadkich wyjątków — wszyscy pięknie zaczęli, a źle kończyli, którzy wszyscy, rzekomo przynajmniej, w imię dobra dążyli do władzy, aby później, opętani i oszołomieni ową władzą, ukochać ją dla niej samej. Chodziło tedy o to, aby tę daną mu od natury siłę uświęcić i uczynić zbawienną przez to, że odda się ją w służbę hierarchii; było to dlań oczywiste od samego początku. Ale gdzież było miejsce, na którym siły jego najlepiej mogły służyć i owocować? Zdolność przyciągania innych, zwłaszcza młodszych, i wywierania na nich większego lub mniejszego wpływu, cenna byłaby dla oficera lub polityka, ale tu, w Kastalii, nie było dla niej miejsca, tutaj tego rodzaju zdolności przydatne były właściwie tylko dla nauczyciela i wychowawcy, a właśnie do takich zajęć czuł Knecht w sobie niewiele ochoty. Gdyby wszystko pójść mogło jedynie według jego własnej woli, przedkładałby życie niezależnego uczonego nad wszelkie inne — chyba że zostałby graczem szklanych paciorków. I tak oto stanął znów przed dawnym, dręczącym pytaniem: czy gra ta była doprawdy najwyższym osiągnięciem, królową ducha? Czy mimo wszystko nie była w końcu tylko grą? Czy istotnie warta była całkowitego oddania i dożywotniej służby? Słynna owa gra rozpoczęła się niegdyś, przed wielu pokoleniami, jako rodzaj namiastki sztuki, obecnie zaś, przynajmniej dla wielu, stopniowo stawać się zaczynała czymś w rodzaju religii, okazją do skupienia się, duchowego uniesienia i pobożności dla wysoko ukształtowanych umysłów. Widzimy, iż toczył się oto w Knechcie stary spór etyki i estetyki. A nigdy w pełni nie wypowiedziane, choć nigdy też całkiem nie milknące pytanie było tym samym, które tak mrocznie i groźnie wylaniało się niekiedy z uczniowskich jego wierszy w Waldzell, dotyczyło zaś nie tylko gry szklanych paciorków, dotyczyło w ogóle Kastalii.

Właśnie w okresie, gdy sprawy te dręczyły go niezmiernie i gdy we snach przeżywał często dysputy w Designorim, przydarzyło mu się pewnego razu, gdy przechodził przez

jeden z obszernych dziedziców miasteczka graczy w Waldzell, że ktoś za nim głosem, który nie od razu rozpoznał, a który jednak wydawał mu się znajomy, donośnie zawołał jego imię. Gdy się odwrócił, ujrzał wysokiego młodzieńca z bródką, szybko ku niemu biegnącego. Był to Plinio, a Józef w przypływie wspomnień i czułości serdecznie go powitał. Umówili się na wieczór. Plinio, który dawno już ukończył studia na świeckich wyższych uczelniach i był już urzędnikiem, przyjechał jako gość na krótki urlop na jeden z kursów gry paciorków szklanych, podobny do tego, który już przed paru laty był ukończył. Lecz wieczorne spotkanie obu przyjaciół wprawiło niebawem w kłopot. Plinio był tutaj hospitantem, tolerowanym dyletantem z zewnątrz, który wprawdzie z wielkim zapałem uczestniczył w swym kursie, ale był to kurs dla obcych i amatorów, dystans był tedy zbyt wielki: siedział bowiem naprzeciw specjalisty i wtajemniczonego, który oględnością swoją i uprzejmym podzieleniem zainteresowań przyjaciela dla gry szklanych paciorków musiał mu na dodatek dać odczuć, iż nie jest on tutaj kolegą, jeno dzieckiem szukającym rozrywki na peryferiach pewnej nauki, której tamten zgłębił największe tajniki. Knecht usiłował odwrócić rozmowę od gry, prosząc Plinia, by opowiedział mu o swym urzędzie, swojej pracy i swym życiu na zewnątrz. W tej dziedzinie Józef z kolei był zapóźnionym w rozwoju dzieckiem, zadającym naiwne pytania i oględnie pouczanym przez tamtego. Plinio był prawnikiem, dążył do zdobycia wpływów politycznych, miał właśnie zamiar zaręczyć się z córką przywódcy pewnej partii, przemawiał językiem, który Józef rozumiał zaledwie połowicznie, wiele często powracających tu wyrażen brzmiało dlań pusto, a przynajmniej nie miało dla niego żadnego znaczenia. Lecz mimo wszystko można się było zorientować, iż Plinio tam, w swoim świecie, coś znaczy, należycie jest z nim obeznany i ma ambitne cele. Ale owe dwa światy, które niegdyś, dziesięć lat temu, w osobach obu młodzieńców zetknęły się i badały wzajemnie z ciekawością, a nie bez sympatii, teraz były już wyraźnie od siebie oddzielone, nie

do pogodzenia, obce. Przyznać wprawdzie należało, iż ów ówiatowiec i polityk zachował pewne przywiązanie do Kastalii i już po raz drugi poświęcał urlop na grę szklanych paciorków; lecz w końcu, myślał Józef, niewielka by była różnica, gdyby on, Knecht, znalazł się pewnego dnia w urzędowym okręgu Plinia i jako zaciekawiony gość pozwolił sobie pokazać parę posiedzeń sądowych, kilka fabryk lub dobroczynnych instytucji. Rozczarowani byli obaj. Knecht stwierdził, że dawny przyjaciel stał się bardziej prostacki i powierzchowny, Dasignori natomiast uznał swego byłego kolegę za zarozumialca, pogrążonego w ekskluzywnym uduchowieniu i ezoteryce, wydał mu się on „intelektualistą ?b-solutnym”, zachwyconym wyłącznie sobą i swoim sportem. Obaj jednak wykazali sporo dobrej woli, a Designori potrafił niejedno opowiedzieć o swoich studiach i egzaminach. O podróżach do Anglii i na południe, o zebraniach politycznych, o parlamencie. Raz powiedział również coś, co za brzmiało jak groźba lub ostrzeżenie, rzekł bowiem:

— Zobaczysz, niebawem nastaną niespokojne czasy, może i wojna, a wcale nie wykluczone, że cała wasza kastalska egzystencja znów będzie poważnie zakwestionowana.

Józef nie potraktował tych słów zbyt poważnie, zapytał tylko:

— A ty, Plinio? Będziesz za, czy też przeciw Kastalii?

— Ach — odparł z wymuszonym uśmiechem Plinio. — Mnie chyba nikt o zdanie pytać nie będzie. A poza tym, oczywiście, jestem za niezakłóconym, dalszym istnieć; sm Kastalii, inaczej bym tu przecież nie przybył. Ale minio wszystko, choć materialne wasze wymagania są tak skromne, Kastalia kosztuje kraj nasz corocznie sporą sumę.

— Tak — zaśmiał się Józef. — Suma ta, jak mi powiedziano, wynosi mniej więcej jedną dziesiątą tego, co kraj nasz w wojowniczym stuleciu wydawał rocznie na broń i amunicję.

Spotkali się jeszcze kilkakrotnie, a im bardziej przybliżał się koniec kursu Plinia, tym usilniej prześcigali się w uprzejmościach. Obaj jednak odczuli ulgę, gdy minęły owe dwa czy trzy tygodnie i Plinio wyjechał.

Mistrzem gry szklanych paciorków był podówczas Tomasz von der Trave, człowiek sławny, znający wiele krajów i obyty w świecie, pojednawczy i niezwykle uprzejmy wobec każdego, kto się doń zbliżał, lecz w zagadnieniach gry odznaczający się najczujniejszą, ascetyczną surowością, pracowity niezmiernie, czego nawet nie przeczuwali ci, którzy znali go jedynie od strony reprezentacyjnej, widując go na przykład tylko w uroczystych szatach jako kierownika wielkich gier albo podczas przyjęć na cześć zagranicznych delegacji. Zarzucano mu, że jest chłodnym, wręcz zimnym człowiekiem intelektu, zaledwie uprzejmie odnoszącym się do zagadnień artystycznych, a wśród młodych, entuzjastycznych wielbicieli gry szklanych paciorków słyszało się o nim niekiedy raczej ujemne opinie — błędne opinie, gdyż choć me był entuzjastą i podczas wielkich, publicznych gier usiłował w miarę możliwości nie tykać doniosłych a podniecających tematów, jego świetnie skonstruowane formalnie nieprześcignione gry ujawniały przecieź znawcom intymną znajomość ukrytych problemów świata ludycznego.

Magister ludzi polecił pewnego dnia zaprosić do siebie Józefa Knechta, przyjął go w swoim mieszkaniu, w stroju domowym, i zapytał, czy byłoby dlań możliwe i przyjemne odwiedzać go w ciągu następnych dni na pół godziny, zawsze o tej samej porze dnia. Knecht nigdy jeszcze nie był u niego sam i ze zdziwieniem przyjął ów rozkaz. Na dzisiaj mistrz podsunął mu obszerne pismo, propozycję, którą otrzymał od pewnego organisty, jedną z owych niezliczonych propozycji, których badanie należy do prac najwyższego urzędu gier. Są to przeważnie prośby o przyjęcie nowego materiału do archiwum: Ktoś na przykład opracował nader dokładnie historię madrygału, a w rozwoju stylistycznym dostrzegł pewną krzywą, którą odnotował muzycznie i matematycznie, aby można ją było włączyć do językowych zasobów gry; inny przebadał rytmiczne właściwości łaciny JuJiusza Cezara i odkrył w niej niezwykle uderzające zbieżności z rezultatem znanych dociekań, dotyczących interwałów w bizantyjskim śpiewie kościelnym; albo znowu jakiś marzyciel wynalazł nową kabałę dla pisma nutowego w

piętnastym stuleciu; nie wspominając już nawet o gwałtownych listach pomylnych eksperymentatorów, którzy na przykład z porównania horoskopów Goethego i Spinozy potrafili wyciągać najbardziej zdumiewające wnioski, a często-króć dołączali bardzo nieraz ładnie i przejrzyście wyglądające, wielobarwne rysunki geometryczne. Knecht gorliwie zajął się dzisiejszym podaniem, sam już niejednokrotnie myślał o podobnych propozycjach, chociaż ich nie przysłał; każdy przecież aktywny gracz szklanych paciorków marzy o nieustannym rozszerzaniu dziedzin gry, iżby w końcu cały świat objęły, a raczej dokonuje owych rozszerzeń ■ we własnej wyobraźni, jak również w prywatnych swych ćwiczeniach gry szklanych paciorków, pragnąc, aby te spośród nich, które wydają mu się udatne, mogły z prywatnych przekształcić się w oficjalne. Właściwie ostateczna finezja gry prywatnej u wysoko wykształconych graczy na tym bowiem szczególnie polega, iż panują oni tak dalece nad wyrażającymi, nazywającymi i kształt nadającymi siłami ludycznych reguł, że mogą do dowolnej gry o obiektywnych i historycznych wartościach włączać również wyobrażenia jednorazowe na wskroś indywidualne. Pewien ceniony botanik wyraził to kiedyś w zabawny sposób, mówiąc: „W grze szklanych paciorków możliwe musi być wszystko, nawet to, że na przykład pojedyncza roślina zacznie z panem Linneuszem rozmawiać po łacinie”.

Knecht pomagał tedy magistrowi w analizowaniu nadesłanego schematu; pół godziny minęło szybko, nazajutrz zgłosił się punktualnie i przychodził tak co dzień przez dwa tygodnie, by sam na sam pracować przez pół godziny z magistrem ludzi. Już w pierwszych dniach uderzyło go, iż magister kazał mu starannie, krytycznie i aż do końca opracowywać nawet zupełnie bezwartościowe podania, których bezużyteczność widać było na pierwszy rzut oka; dziwiło go, że mistrz ma na to czas, i stopniowo zaczął pojmować, iż nie chodzi tutaj ani o oddawanie przysług mistrzowi, ani o ujmowanie mu nieco roboty, lecz **że prace te, choć same** przez się konieczne, miały jednak przede wszystkim dawać xnu okazję do jak najstaranniejszego, najuprzejmiejszego

pizeegzatninowania jego samego, młodego adepta. Stało się więc coś podobnego jak niegdyś, gdy jeszcze był chłopcem, pr?y pojawieniu się mistrza muzyki: poznał to nagle również po zachowaniu się swoich kolegów, stali się bardziej onieśmieleni, większy zachowywali względem niego dystans, niekiedy okazywali mu szacunek z przymieszką ironii; przygotowywało się coś i Józef to czuł, ale było to mniej uszczęśliwiająca niż wówczas.

Pc ostatnim posiedzeniu mistrz gry szklanych paciorków powiedział swym nieco wysokim, uprzejmym głosem, swą nader dokładnie akcentowaną mową i bez cienia emfazy:

— Wystarczy, jutro już nie potrzebujesz przychodzić, sprawa nasza została na razie zakończona, choć co prawda niebawem znowu będę cię musiał potrudzić. Bardzo ci dziękuję za współpracę, była dla mnie cenna. A poza tym sądzę, iż powinieneś teraz złożyć podanie o przyjęcie do zakonu ; nie napotkasz trudności, powiadomiłem już zwierzchność zakonną. — I, wstając, dorzucił jeszcze: — Przy okazji jeszcze słówko, prawdopodobnie i ty także, jak większość dobrych graczy szklanych paciorków za młodu, skłaniasz się niekiedy ku temu, by wykorzystywać naszą grę jako rodzaj instrumentu do filozofowania. Same moje słowa cię z tego nie wyleczą, lecz powiem mimo to: Filozofować powinno się jedynie przy pomocy właściwych, czyli filozoficznych środków. A nasza gra nie jest ani filozofią, ani religią, jest osobną dyscypliną i charakterem swym najbardziej jest spokrewniona ze sztuką, jest sztuką *sui generis*. Przestrzegając tego można większe poczynić postępy niż wówczas, kiedy się to pojmie dopiero po stu porażkach. Filozof Kant — mało już dzisiaj znany, choć tęga to była głowa — powiedział o teologicznym filozofowaniu, iż jest ono „cz?rnoksięską latarnią urojeń”. A naszej gry szklanych paciorków przemieniać nam w coś podobnego nie wolno.

Józef był zaskoczony, a hamując swe podniecenie nieomal mimo uszu puścił tę ostatnią przestrogę. Błyskawicznie przeniknęła go myśl: słowa te oznaczają kres jego wolności, zakończenie okresu studiów, przyjęcie do zakonu i rychłe już zaszeregowanie go do hierarchii. Podziękował z głębokim

ukłonem i co prędzej udał się do zakonnej-kancelarii w Wäldzell, gdzie w istocie znalazł już swe nazwisko wpisane na listę kandydatów. Jak wszyscy studenci jego szczebla, znał Knecht już dość dokładnie reguły zakonu i przypomniał sobie przepis, iż każdy z jego członków sprawujący jakiś urząd wyższej rangi upoważniony jest do dokonywania przyjęć. Wyraził tedy prośbę, aby ceremonii tej dokonać mógł mistrz muzyki, otrzymał legitymację i krótki urlop i nazajutrz pojechał do opiekuna swego i przyjaciela do Montepont. Zastał czcigodnego starca cokolwiek cierpiącego, lecz przywitany został z radością.

— Zjawiasz się jak na zawołanie — powiedział starzec — Niebawem nie miałbym już prawa przyjęcia cię jako młodszego brata do zakonu. Mam bowiem zamiar złożyć mój urząd i zaakceptowano już moje zwolnienie.

Sama ceremonia była prosta. Następnego dnia mistrz muzyki, jak tego wymagały statuty, poprosił dwóch braci za-tronnych na świadków, Knecht zaś otrzymał już uprzednio jedno zdanie z reguł zakonnych jako temat do ćwiczenia w medytacji. Było to zdanie następujące: „Jeśli wysoki urząd powoła cię na jakieś stanowisko, wiedz: wszelkie wstępowanie po urzędowych szczeblach nie jest krokiem ku wolności, lecz ku związaniu. Im większa urzędowa władza, tym związane głębsze. Im silniejsza osobowość, tym bardziej potępiana samowola”. Później zebrano się w celi muzycznej magistra, tej samej, gdzie Knecht zaznał niegdyś pierwszego wprowadzenia w sztukę medytacji; mistrz polecił inicjantowi zagrać na cześć owej chwili jedno z preludów chorałowych Bacha, po czym jeden ze świadków odczytał skróconą wersję zakonnej reguły, a mistrz muzyki Esm zadał rytualne pytanie i odebrał śluby od swego młodszego przyjaciela. Ofiarował mu ponadto jeszcze całą godzinę, siedzieli w ogrodzie i mistrz udzielał mu przyjaznych wskazówek, w jaki sposób powinien przyswoić sobie regułę zakonu i żyć według niej.

— To pięknie — powiedział — iż w chwili, gdy ja odchodzę, ty wkraczasz w ową lukę, tak, jak gdybym miał syna, który w przyszłości zamiast mnie spełniać będzie powin-

ność. — A gdy ujrzał, że twarz Józefa posmutniała, dodał: — Nc. nie trap się, ja też się nie trapię. Bardzo jestem zmęczony i cieszę się na wolny czas, którym zamierzam się rozkoszować, a ty również, mam nadzieję, będziesz mógł często brać udział w tej rozkoszy. A przy następnym naszym spotkaniu mów mi już „ty”. Dopóki byłem na stanowisku, nie mogłem ci tego zaproponować.

I odprawił go z owym ujmującym za serce uśmiechem, który Józef znał już oto od dwudziestu lat.

Knecht szybko powrócił do Waldzell, otrzymał stamtąd bowiem tylko trzy dni urlopu. Ledwo wrócił, zawołano go do magistra ludzi, który powitał go z koleżeńskim ożywieniem i złożył mu gratulacje z racji przyjęcia do zakonu.

— Abyśmy stali się już w pełni kolegami i towarzyszami pracy — mówił dalej — brak mi już tylko zaszeregowania cię na określone miejsce w naszej strukturze.

Józef jtrochę się przestraszył. Oto miał więc utracić swoją wolność.

— Ach — rzekł nieśmiało — mam nadzieję, że przydani się na jakimś skromnym miejscu. Lecz wyznam wam otwarcie, iż spodziewałem się, że przez czas pewien będę mógł jeszcze swobodnie studiować.

Magister mocno spojrział mu w oczy ze swym mądrym, nieco ironicznym uśmiechem:

•— Czas pewien, powiadasz, ale ileż to czasu?

Knecht zaśmiał się, zmieszany:

— Doprawdy, nie wiem.

•—■ Tak sobie też myślałem! — potwierdził mistrz. — Mówisz jeszcze studenckim językiem i myślisz studenckimi pojęciami, Józefie Knechcie, co, owszem, jest w porządku, lecz już bardzo niedługo w porządku nie będzie, gdyż potrzebujemy ciebie. Wiesz, że i później, a nawet na najwyższych stanowiskach naszego urzędu otrzymywać możesz urlopy na studia, jeśli tylko zdołasz przekonać urząd o wartości owych studiów; mój poprzednik i nauczyciel na przykład dostał jeszcze jako magister ludzi i stary już człowiek cały rok urlopu na archiwalne swoje studia w Londynie. Prosił o to i przyznano mu go. Ale urlop ten otrzymał nie na „pewien

czas", tylko na określoną liczbę miesięcy, tygodni i dni. I z tym będziesz się musiał na przyszłość liczyć. A teraz mam dla ciebie propozycję: potrzebujemy odpowiedziałnego a nie znanego jeszcze poza naszym kręgiem człowieka do pewnej specjalnej misji.

Chodziło o zlecenie następujące: klasztor benedyktynów Mariafels, jedna z najstarszych instytucji naukowych w kraju, utrzymujący z Kastalią przyjazne stosunki i od dziesiątków lat oddany grze szklanych paciorków, prosił o przekazanie mu na pewien czas młodego nauczyciela w celu wprowadzenia w grę oraz pokierowania kilku już zaawansowanymi graczami w klasztorze, a wybór magistra padł tu na Józefa Knechta. Dlatego Tomasz von der Trave tak wnikliwie go egzaminował i dlatego przyspieszył jego przyjęcie do zakonu.

od pewnymi względami życie Knechta ułożyło się znowu podobnie, jak niegdyś w jego szkółce łacińskiej po wizycie mistrza muzycznego. O tym, że powołanie do Ma-riafels jest szczególnym wyróżnieniem i znacznym krokiem naprzód na szczeblach hierarchicznej drabiny, Józef bynajmniej nie myślał; mógł to jednak, okiem mimo wszystko już znacznie czujniejszym niż wówczas, odczytać wyraźnie z zachowania i postępowania swoich kolegów. Jeśli od pewnego czasu należał pośród elity graczy szklanych paciorków do najściślejszego jej kręgu, został obecnie, dzięki temu niezwykle zleceniu, wyróżniony ze wszystkich jako ktoś, na kogo zwierzchność zwróciła oczy i którym ma zamiar się posłużyć. Wczorajsi koledzy i współzawodnicy nie zaczęli go wprawdzie unikać, nie stali się też niemili, gdyż nie pozwalały na to nader wytworne obyczaje panujące w tym arcyarystokratycznym kręgu, lecz powstał pewien dystans: wczorajszy kolega mógł stać się pojutrze przełożonym, a na tego rodzaju stopniowanie i różnicowanie wzajemnych stosunków odpowiadał ów krąg najsubtelniejszymi drgnięciami i nadawał im wyraz.

Wyjątek stanowił Fritz Tegularius, którego obok Ferro-montego nazwać możemy chyba najwierniejszym przyjacielem w życiu Józefa Knechta. Ów z racji swoich talentów do

najwyższych celów przeznaczony, ale z braku zdrowia, równowagi i wiary w siebie mocno upośledzony człowiek był w tym samym wieku co Knecht, a więc w okresie przyjęcia Józefa do zakonu miał około trzydziestu czterech lat; spotkał on go po raz pierwszy mniej więcej przed dziesięciu laty na jakimś kursie gry szklanych paciorków, a Knecht wyczuł wówczas, jak bardzo łąnął do niego ów cichy, nieco melancholijny chłopak. Swym wyostrzonym, choć nie uświadomionym wówczas jeszcze wycuciem ludzi, które już wtedy go cechowało, pochwycił Józef także istotę i rodzaj owej miłości: była to przyjaźń, gotowa do bezwarunkowego oddania i podporządkowania się, przepojona nieomal religijnym uwielbieniem, lecz przyćmiona wewnętrzną subtelnością, poczuciem wewnętrznego tragizmu i utrzymywana w ryzach. Knecht, przewrażliwiony wtedy jeszcze i wstrząśnięty epoką Designoriego, a nawet nauczony nieufności, z konsekwentną surowością trzymał owego Tegulariusa na dystans, chociaż sam także czuł pociąg do tego interesującego, niezwyklego kolegi. Za charakterystykę niechaj nam posłuży kartka z tajnych, urzędowych notatek Knechta, które wiele lat później prowadził na wyłączny użytek najwyższej instancji. Czytamy tam:

„Tegularius. Osobiście zaprzyjaźniony z referentem. Uczeń wielokrotnie wyróżniany w Keuperheim, dobry filolog klasyczny, o dużych zainteresowaniach filozoficznych, pracował nad Leibnizem, Bolzanem, później Platonem. Najzdolniejszy i najświetniejszy gracz szklanych paciorków, jakiego znam. Byłby predestynowany na magistra ludzi, gdyby w związku z wątłym zdrowiem charakter jego nie czynił go do funkcji tej absolutnie niezdatnym. T. nigdy nie wolno dojsć do jakiegoś kierowniczego, reprezentatywnego lub organizacyjnego stanowiska, byłoby to nieszczęściem dla niego i dla urzędu. Niedomogi jego przejawiają się fizycznie w stanach depresji, okresach bezsenności i w bólach nerwowych, psychicznie okresowo w melancholii, gwałtownej potrzebie samotności, lęku przed obowiązkami i odpowiedzialnością, przypuszczalnie również w myślach o samobójstwie. Tak ciężko upośledzony, człowiek ten utrzymuje się medytacją

i wielką dyscypliną wewnętrzną dzielnie w ryzach, do tego stopnia, iż większość ludzi z jego otoczenia nie ma nawet pojęcia, jak poważnie cierpi, zauważając jedynie ogromną jego nieśmiałość i zamknięcie w sobie. T. nie nadaje się tedy, niestety, do kierowania wyższymi urzędami, lecz w Vicus Lusorum jest to mimo to klejnot i skarb, absolutnie niezastąpiony. Technikę gry naszej opanował tak, jak wielki muzyk swój instrument, na ślepo utrafia w najsubtelniejsze odcienie, a jako nauczyciel także jest godzien uwagi. Na wyższych i najwyższych kursach powtórkowych — dla niższych bowiem szkoda mi go — nie mógłbym się już chyba bez niego obejść; w jedyny w swoim rodzaju sposób analizuje próbne gry młodzików, nigdy ich jednak nie zniechęcając, umie wytropić wszelkie ich chwytły, bezbłędnie wynajduje i demaskuje wszystko, co naśladowane lub co stanowi jedynie dekorację, a nawet w dobrze pomyślanej, lecz niepewnej jeszcze i nadmiernie kompozycją skazanej grze odnajduje *źródła* błędów i ujawnia je, niczym doskonale, anatomiczne preparaty. Owo bezstronne i ostre spojrzenie przy analizowaniu i korygowaniu zapewnia mu przede wszystkim szacunek uczniów i kolegów, gotowych poza tym mocno w niego wątpić, wskutek jego niepewnego i nierównego, wstydliwie nieśmiałego sposobu bycia. To, co powiedziałem o genialności T. jako gracza szklanych paciorków, którego gra nie ma sobie równych, pragnąłbym zilustrować przykładem. W pierwszym okresie mojej z nim przyjaźni, gdy obaj niewiele już znajdowaliśmy na kursach okazji do nauczania się czegokolwiek w dziedzinie techniki, pozwolił mi on pewnego razu, w przyływie szczególnego zaufania, zajrzeć do kilku gier, które podówczas skomponował. Na pierwszy rzut oka stwierdziłem w nich świetną inwencję, a także jakąś nowość i oryginalność stylu, poprosiłem więc o te zanotowane już schematy do dalszych studiów i znalazłem w owych kompozycjach ludycznych, prawdziwych poematach, coś tak zdumiewającego i jedynego w swoim rodzaju, iż wydaje mi się, że nie wolno mi tego tutaj przemilczeć. Gry te były małymi dramatami o niemal wyłącznie monologicznej strukturze, a odzwierciedlały tyleż

zagrożone, co i genialne życie ich autora, niczym doskonały autoportret. Nie tylko toczyły się dialektyczne koncerty i spory pomiędzy różnymi tematami i grupami tematów, na których opierała się gra i których sekwencje i przeciwstawienia były niezmiernie błyskotliwe, lecz także doprowadzono syntezę i harmonizację przeciwstawnych głosów do ostateczności nie w pospolity, klasyczny sposób, ale harmonizacja ta doznawała szeregu załamania, zatrzymywała się za każdym razem, jakby znużona i zrozpaczona, przed rozwiązaniem i ginęła w dźwiękach, pełnych pytań i wątpliwości. Gry owe uzyskały skutek tego nie tylko przejmującą chromatykę, na jaką, o ile mi wiadomo, nikt dotąd się nie odważył, lecz stawały się również wyrazem tragicznego zwątpienia i rezygnacji, symbolicznym stwierdzeniem problematyczności wszelkiego intelektualnego wysiłku. A przy tym w uduchowieniu swoim, jak również techniczno-ludycznej kaligrafii i doskonałości, były one tak niebywale piękne, że można było nad nimi zapłakać. Każda z tych gier dążyła na wskroś szczerze i poważnie do rozwiązania i w końcu z tak szlachetnym wyrzeczeniem z rozwiązania tego rezygnowała, iż przypominało to doskonałą elegię o metrowości wszelkiego piękna i problematyczności, zawsze przecie ukrytej we wszystkich szczytnych, duchowych celach. Item Tegularius, jeśli przeżyje mnie lub czas sprawowania przeze mnie urzędu, godzien jest polecenia jako skarb niezmiernie delikatny, cenny, lecz zagrożony. Powinien korzystać z jak największej swobody, a rady jego należy słuchać we wszystkich ważnych zagadnieniach gry. Nigdy jednak nie trzeba powierzać uczniów jego wyłącznej opiece".

Osobliwy ów człowiek stał się z biegiem lat prawdziwym przyjacielem Knechta. Był on Józefowi, w którym prócz intelektu podziwiał także coś w rodzaju władczej natury, wzruszająco oddany i wiele wiadomości, jakie mamy o Knechcie, przez niego zostało przekazanych. W najściślejszym kręgu graczy szklanych paciorków był on może jedynym, który nie zazdrościł swemu przyjacielowi powierzono mu zadania, jedynym zaś na pewno, dla którego od-

wołanie Knechta na czas nieokreślony było głębokim, nieznośnym niemal bólem i stratą.

Sam Józef natomiast, gdy tylko przewyciężył niejakię przerażenie z racji tak nagłej utraty swej umiłowanej swobody, odczuwał nowy ów stan radośnie, czuł ochotę do podróży, ochotę do pracy i ciekawość obcego świata, w który go wysłano. Młodemu braciszki zakonnemu nie dano zresztą od razu wyjechać do Mariafels; najpierw wsadzono go na trzy tygodnie do „policji”. Tak nazywano wśród studentów ów niewielki wydział w aparacie instytucji pedagogicznej, który nazwać by można jej departamentem politycznym lub jej ministerstwem spraw zagranicznych, gdyby nie były to zbyt gromkie nazwy dla małej rzeczy. Nauczono go tam wytycznych, przeznaczonych dla braci zakonnych, i sposobu ich zachowania się na zewnątrz, w świecie, a pan Dubois, przełożony owego urzędu, niemal codziennie osobiście poświęcał mu całą godzinę. Sumiennemu temu człowiekowi wydawało się bowiem ryzykowne wysyłanie na taką zewnętrzną placówkę kogoś jeszcze niedoświadczonego i całkowicie nie znającego świata; nie ukrywał też bynajmniej, iż potępił decyzję mistrza gry szklanych paciorków, i zdawał swe wysiłki, by z życzliwą troskliwością uświadomić młodemu zakonemu bratu o zagrażających mu w świecie niebezpieczeństwach i wskazać mu środki skutecznego ich zwalczania. A ta rzetelna, iście ojcowska troskliwość przełożonego spotkała się z dobrą wolą młodemu człowiekowi, gotowego do przyjęcia pouczeń, w sposób tak szczęśliwy, iż Józef Knecht podczas owych godzin wprowadzania go w reguły obcowania ze światem doprawdy przypadł do serca swemu nauczycielowi, który w końcu uspokojony i z pełnym zaufaniem mógł zwolnić go do pełnienia jego misji. Usiłował nawet, raczej z życzliwości niż z racji politycznych, przekazać mu także osobiście coś w rodzaju zadania. Pan Dubois, już jako jeden z nielicznych „polityków” Kastalii, należał do owej bardzo niewielkiej grupki urzędników, których studia i myśli poświęcone były przeważnie zagadnieniom państwowoprawnym i gospodarczym życia Kastalii, jej stosunkom ze światem zewnętrznym i jej od niego za-

leżności. Przeważająca większość Kastalczyków, urzędnicy tak samo jak uczeni i studiujący, żyła w swej pedagogicznej prowincji i w swym zakonie jak w ustabilizowanym, wiekuistym i na wskroś oczywistym świecie, o którym wiedzieli wprawdzie, iż nie istniał zawsze, że kiedyś powstał, miano wicie w czasach największej nędzy, powoli i wśród zacieklej walk pod koniec wojowniczej epoki, zarówno wskutek ascetycznego i heroicznego opamiętania się i wysiłku intelektualistów, jak i dzięki głębokiej potrzebie ładu, norm, rozsądku, prawa i umiaru wyczerpanych, wykrwawionych i wyniszczonych narodów. Wiedzieli o tym, znali też funkcję wszelkich na świecie zakonów i „prowincji”: wstrzymywanie się od rządzenia i konkurencji, a zapewnienie w zamian stałości i trwałości duchowych fundamentów wszelkich praw i miar. Lecz tego, iż ów porządek rzeczy sam przez się bynajmniej nie jest zrozumiały, że zakłada on uprzednie istnienie pewnej harmonii pomiędzy duchem i światem, której zakłócenie w każdej chwili jest możliwe, że dzieje świata, najogólniej rozpatrywane, bynajmniej nie dążą ku temu, czego pragnąć należy, co rozumne i piękne, ani też tego nie popierają, co najwyżej od czasu do czasu tolerując jedynie to wszystko jako wyjątek, tego nie wiedzieli, a tajemna problematyka ich kastalskiej egzystencji była w istocie nie znana niemal wszystkim Kastalczykom, a pozostawiana właśnie staraniom owych nielicznych, politycznych umysłów, z których jednym był przełożony Dubois. Od niego to. od Dubois, zdobywszy jego zaufanie, dowiedział się Knecht wstępnie o politycznych podstawach Kastalii, co początkowo wydało mu się raczej nieinteresujące i odstręczające, podobnie jak większości jego zakonnych braci, później jednak obudziło w jego pamięci ową uwagę Designoriego o możliwościach zagrożenia Kastalii, wraz z nią cały ów pozornie od dawna już zapomniany i przewyższony gorzki posmak młodzieńczych jego dysput z Pliniem, po czym stało się to dlań nagle niesłychanie ważne, jako pewien stopień na drodze jego ku przebudzeniu.

Dubois pod koniec ostatniego ich spotkania powiedział mu:

— Wydaje mi się, że teraz mogę ci już pozwolić wyruszyć. Będziesz ściśle przestrzegał zlecenia, jakie dał ci czcigodny magister ludzi, a nie mniej ściśle także zasad postępowania, jakie my tutaj ci przekazaliśmy. Miło mi było pomóc ci; przekonasz się, że owe trzy tygodnie, które cię tu przetrzymaliśmy, nie były zmarnowane. A gdybyś kiedykolwiek miał ochotę dać mi dowód twego zadowolenia z mych informacji i z naszej znajomości, wskażę ci ku niemu drogę. Pojedziesz do klasztoru benedyktynów, a jeśli pobcdziesz tam przez czas pewien i pozyskasz zaufanie patrów, usłyszysz także zapewne w gronie tych czcigodnych mężów oraz ich gości rozmowy polityczne i odczujesz ich polityczne nastroje. Gdybyś przy okazji zechciał o tym mnie powiadomić, byłbym ci wdzięczny. Zrozum mnie należycie: nie powinieneś uważać się bynajmniej za coś w rodzaju szpiega ani nadużywać okazanego ci przez patrów zaufania. Nie powinieneś przekazywać mi jakiegokolwiek informacji, na którą nie pozwoli ci sumienie. Ale rękę ci za to, że owe ewentualne informacje przyjmiemy do wiadomości i wykorzystamy jedynie w interesie naszego zakonu i Kastalii. Nie jesteśmy prawdziwymi politykami i żadnej nie mamy władzy, lecz także uzależnieni jesteśmy od świata, który potrzebuje nas lub toleruje. I w pewnych okolicznościach pożyteczna może być dla nas wiadomość, kiedy jakiś mąż stanu odwiedza jakiś klasztor albo kiedy papież uważany jest za chorego, albo pojawiają się nowi kandydaci na liście przyszłych kardynałów. Nie jesteśmy zdani na twoje informacje, mamy rozmaite źródła, ale jeszcze jedno małe źródelko więcej nie zawadzi. Idź teraz, nie musisz już dzisiaj odpowiedzieć „tak” ani „nie” na tę moją propozycję. I nic sobie nie postanawiaj, prócz dobrego spełnienia urzędowej swojej misji przede wszystkim i przyniesienia nam zaszczytu u owych duchownych. Życzę ci dobrej drogi.

W Księdze Przemian, którą Knecht, przed rozpoczęciem swojej podróży i przeprowadziwszy całą ceremonię z łodygami krwawnika, o radę zapytał, natrafił na znak Li, oznaczający „wędrowca”, wraz z wyrocznią: „Powodzenie przez

małość. Dla wędrowca wytrwałość zbawienna". Na drugiej pozycji znalazł szóstkę i odczytał w Księdze wykładnię:

Wędrowiec przybywa do gospody.
Dobytek swój ma przy sobie. Csiąga
wytrwałość młodego sługi.

Pożegnanie było pogodne, jedynie ostatnia rozmowa z Te-gulariusem była dla nich obu ciężką próbą wytrzymałości. Fritz zadał sobie gwałt, trwając, jak zamrożony, w narzu-conym sobie chłodzie; wraz z przyjacielem odchodziło od nie-go najlepsze, co posiadał. Natura Knechta nie pozwalała mu na tak namiętne, a zwłaszcza tak wyłączone przywiąza-nie do jednego tylko przyjaciela, od biedy mógł obyc się i bez przyjaciół, potrafił też bez **zahamowań zwrócić** pro-mień swojej sympatii ku nowym obiektom i ludziom. Po-żegnanie to nie było dlań niepowetowaną stratą, ale znał już podówczas na tyle swego przyjaciela, by wiedzieć, jak wielkim wstrząsem i próbą było to rozstanie dla niego i by się o niego martwić. Często już zastanawiał się nad zagad-nieniem przyjaźni, pewnego razu rozmawiał też na ten te-mat z mistrzem muzyki i do pewnego stopnia nauczył się już również krytycznie a obiektywnie patrzeć na własne przeżycia i uczucia. Uświadomił sobie przy tym, że fascyno-wały go nie tylko, a przynajmniej nie wyłącznie, wielkie zdolności tamtego, budząc w nim coś w rodzaju namięt-ności, lecz właśnie połączenie owych zdolności z tak cięż-kim upośledzeniem, tak wielką ułomnością, oraz że jedno-stronność i wyłączność tej miłości ma nie tylko wdzięk i po-wab, lecz również niebezpieczną stronę: mianowicie kryje w sobie pokusę okazywania niekiedy swej władzy tamtemu, słabszemu, choć mocniej kochającemu. Aż do ostatniej chwili narzucił sobie w owej przyjaźni wielką rezerwę i zdyscypli-nowanie. A w życiu Knechta tamten, mimo iż tak mu był mi-ły, nie uzyskałby głębszego znaczenia, gdyby zażyłość z nim z tym delikatnym zafascynowanym silniejszym i pewniej-szym siebie przyjacielem nie nauczyła go o własnej atrakcyj-ności i o władzy, jaka dana mu była nad niektórymi ludźmi. Nauczył się wyczuwać, iż ta władza przyciągania wpływa-

nia na innych w zasadniczy sposób należy do talentu nauczyciela i wychowawcy oraz że kryje ona niebezpieczeństwa, a nakłada odpowiedzialność. Tegularius był przecież tylko jednym z wielu, Knecht bowiem narażony był na wiele przymilnych spojrzeń. Jednocześnie zaś coraz wyraźniej i bardziej świadomie odczuwał w ciągu ostatniego roku niesłychanie napiętą atmosferę, w jakiej żył w wiosce ludycznej. Należał tam do oficjalnie nie istniejącego, lecz nader ostro odgraniczzonego kręgu czy też stanu, do najściślejzego, wybranego grona kandydatów i repentów gry szklanych paciorków, grona, z którego przyciągano wprawdzie tego czy owego do prac pomocniczych u magistra, u archiwariusza czy przy kursach gry, lecz z którego nikt nie zostawał rozkazem przeniesiony w sferę niższych albo średnich urzędników czy nauczycieli; ludzie ci stanowili bowiem rezerwę dla obsady stanowisk kierowniczych. Znano się tu nawzajem, doskonale, aż nazbyt dokładnie, nie istniały tu już Drawie pomyłki co do talentów, charakterów i osiągnięć. I właśnie dlatego, że tutaj, wśród owych repentów studiów ludycznych i aspirantów do wyższych godności, każdy był osobowością silną, nieprzeciętną i godną uwagi, każdy z racji osiągnięć swoich, wiedzy i świadectw w pierwszym stał rzędzie, właśnie dlatego owe cechy i zabarwienia charakterów, predestynujące danego pretendenta na przywódcę i człowieka sukcesu, odgrywały szczególnie wielką, u/aż.ii obserwowaną rolę. Trochę mniej lub więcej ambicji, dobrych manier, wzrostu lub prezencji, odrobina więcej lub mniej uroku, wpływu na młodszych lub na zwierzchność, uprzejmości — miała tu niezmiernie znaczenie i mogła zdecydować przy współzawodnictwie. I tak jak na przykład Frltz Tegularius był jedynie tolerowany w tym kręgu, należał do niego jako gość tylko, niejako na jego peryferiach, ponieważ najwyraźniej nie posiadał daru władania, Knecht był w najbardziej wewnętrznej jego warstwie. Młodzież lgnęła do niego i uwielbiała go z racji jego świeżości i na wskroś jeszcze młodzieńczego wdzięku, pozornie dającego przystęp namiętnościom, nieprzekupnego, choć również dziecinnie nieodpowiedzialnego, a więc czegoś w rodzaju nie-

winności. Przełożeni natomiast cenili raczej drugą stronę tej niewinności: jego niemal całkowity brak ambicji i marzeń o karierze.

W ostatnich czasach uświadomił sobie Knecht owe wpływy swojej osobowości: najpierw te, które sięgały w dół, a dopiero stopniowo, na samym końcu, także i te, które sięgały -wzwyż, a gdy się za siebie obejrzał, już ze stanowiska człowieka, który się ocknął, widział, że obie owe linie przebiegają przez całe jego życie i kształtują je, sięgają aż ku epoce, w której był chłopcem: zapobiegliwa przyjaźń, jaką ofiarowywali mu rówieśnicy i młodsi, oraz życzliwa uwaga, z jaką traktowało go wiciu przełożonych. Istniały też wyjątki, jak choćby rektor Zbinden, ale w zamian także i takie wyróżnienia, jak opieka mistrza muzyki, ostatnio zaś również pana Dubois i magistra ludzi. Wszystko to było jednoznaczne, a mimo to Knecht nigdy nie chciał całkowicie tego dostrzec i uznać. Najwidoczniej pisane mu było wszędzie bez wysiłku, niejako automatycznie dostawać się do elity, znajdować pełnych podziwu przyjaciół i wysoko postawionych opiekunów; droga jego polegała na tym, iż nie wolno mu było spocząć w cieniu u podstaw hierarchii, lecz nieustannie należało zbliżać się do jej szczytów i do jasnego blasku, który je opromieniał. Nie zostanie podwładnym ani prywatnym uczonym, jeno władcą. Fakt zaś, że spostrzegł to później niż inni, w podobnej będący sytuacji, nie tylko dodawał mu nieopisanego wdzięku, lecz także otaczał aurą niewinności. Dlaczegoż jednak dostrzegł to tak późno, a nawet z taką niechęcią? Ponieważ bynajmniej do tego wszystkiego nie dążył i nie chciał tego, ponieważ władanie nie było dlań potrzebą, a rozkazywanie — przyjemnością, ponieważ znacznie bardziej pożyłkował życia kontemplacyjnego niż aktywnego i czułby się zadowolony, gdyby pozostać mógł przez wiele jeszcze lat, jeśli nie przez całe życie, niepozornym studentem, ciekawym a czcigodnym pielgrzymem w świecie minionych świętości, katedr muzyki, ogrodów i lasów, przeróżnych mitologii, języków i idei. Teraz, gdy ujrzał, że nieubłagane wtrącono go w *vita activa*, znacznie silniej niż dotychczas odczuł napięcie dążeń, współzawod-

nictwa i ambicji w swym otoczeniu, **odczuł, iż niewinność** jego została zagrożona i nie zdoła jej już zachować. Zrozumiał, iż musi oto chcieć i zaakceptować to, co bez jego woli zostało mu przydzielone i przeznaczone, by przewyciężyć uczucie osaczenia i tęsknotę za utraconą swobodą ostatnich dziesięciu lat, a ponieważ w głębi duszy nie całkiem czuł się jeszcze do tego gotowy, odczuł jako wybawienie tymczasowe rozstanie z Waldzell i prowincją i podróż w szeroki świat.

Opactwo i klasztor Mariafels przez wiele stuleci swego istnienia współtworzyło dzieje Zachodu i współdoświadczało ich, przeżywając okresy rozkwitu, upadki, ponowne narodziny i kolejne depresje, a w pewnych epokach i w różnych dziedzinach bywało też słynne i świetne. Niegdyś będąc sławną siedzibą scholastycznej uczoneści i kunsztu polemicznego, a dziś jeszcze posiadając potężną bibliotekę średniowiecznych dzieł teologicznych, doszedł ów klasztor po okresach uwiadu i gnuśności do nowej świetności, tym razem dzięki uprawianiu muzyki, dzięki swemu sławnemu chórowi oraz mszom i oratoriom pisany i wykonywany przez ojców zakonnych. Od dawnych tych czasów istniała tutaj nadal jeszcze piękna tradycja muzyczna, z pół tuzina skrzyń z orzechowego drewna, pełnych rękopisów nut, oraz najpiękniejsze w kraju organy. Z kolei nadeszła polityczna epoka tego klasztoru: i ona również pozostawiła pewną sprawność i tradycję. W okresach okropnego wojowniczego zdziczenia Mariafels stawało się niejednokrotnie maleńką oazą rozsądku i opamiętania, gdzie co lepsze głowy wojujących ze sobą stron ostrożnie poszukiwały siebie wzajem, usiłując doszukać się możliwości porozumienia, a pewnego razu — był to ostatni, szczytowy punkt w jego historii — stał się Mariafels miejscem narodzin pewnego traktatu pokojowego, który na moment zaspokoił tęsknotę wyczerpanych narodów. Gdy potem nowa nastąpiła era i założona została Kastalia, klasztor zachował się wyczekująco, a nawet niechętnie, prawdopodobnie zasięgnąwszy uprzednio w tej materii wskazówek w Rzymie. Podanie instytucji pedagogicznej z prośbą o gościnę dla pewnego uczonego, który

chciał przez czas pewien pracować w scholastycznej bibliotece klasztoru, zosłało uprzejmie odrzucone, na równi z zaproszeniem przedstawiciela Mariafels na pewną konferencję o historii muzyki. Dopiero od czasów opata Piusa, który jeszcze w podeszłym wieku żywo zaczął interesować się grą szklanych paciorków, nawiązano kontakty i wymianę, które z czasem przekształciły się w niezbyt wprawdzie ożywione, lecz przyjazne stosunki. Wymieniano książki, udzie-lr.no sobie nawzajem gościny; opiekun Knechta, mistrz muzyki, także spędził za młodu kilka tygodni w Mariafels, kopiując tam nuty z rękopisów i grając na słynnych organach. Józef wiedział o tym i cieszył się na pobyt w owym miejscu, o którym mistrz nieraz mu z radością opowiadał. Powitano go, na przekór jego przewidywaniom, z taką ostentacją i uprzejmością, iż poczuł się tym niemal zmieszany. Po raz pierwszy zresztą zdarzyło się, że Kastalia oddawała do dyspozycji klasztoru na czas nieokreślony nauczyciela gry szklanych paciorków z kręgu elity. U przełożonego Dubois nauczył się Józef, aby zwłaszcza w pierwszym okresie występowania w roli gościa traktować siebie nie jako osobę, lecz jako przedstawiciela Kastalii, a uprzejmości, jak również ewentualną rezerwę przyjmować do wiadomości wyłącznie w tej roli i w tym samym duchu na nie odpowiadać; to pomogło mu przezwyciężyć początkowe skrępowanie. Opanował również chwilowe uczucie obcości i obawy oraz lekkie podniecenie w ciągu pierwszych nocy, podczas których niewiele zaznał snu, a ponieważ opat Gerwazy okazywał mu prostą i dobroduszną życzliwość, szybko poczuł się dobrze w nowym otoczeniu. Cieszyła go świeżość i siła surowego, górskiego krajobrazu, jego strone, skalne ściany i soczyste pastwiska, pełne dorodnego bydła; uszczęśliwiała go potęga i rozległość starych gmachów, z których wyczytać można było dzieje wielu stuleci, urzekało piękno i pełna prostoty wygoda mieszkania: dwóch pokoi na górnym piętrze długiego skrzydła, przeznaczonego dla gości; przyjemnie mu było zwiedzać to okazałe miasteczko z dwoma kościołami, krużgankami, archiwum, biblioteką, mieszkaniem opata, licznymi dziedzińcami, rozbu-

dowanymi oborami pełnymi dobrze utrzymanego bydła, tryskającymi fontannami, ogromnymi, sklepieniami piwnicami na wina i owoce, z dwoma refektarzami, słynną salą kapituły, starannie pielęgnowanymi ogrodami, a także warsztatami świeckich braci: bednarza, szewca, krawca i kowala, tworzącymi małe osiedle wokół największego dziedzińca. Już miał dostęp do biblioteki, już organista pokazał mu wspaniałe organy i zezwolił na nich grać, a niemało wabiły go też skrzynie pełne nut, wiedział bowiem, iż czeka tam wiele nie publikowanych, częściowo w ogóle jeszcze nie znanych rękopisów muzycznych z wcześniejszych epok.

Nie wyglądało na to, aby w klasztorze z niecierpliwością oczekiwano rozpoczęcia przezeń pełnienia urzędowych funkcji; nie tylko wiele dni, lecz nawet tygodni upłynęło, zanim zainteresowano się poważnie właściwym celem jego tutaj "pobytu. Wprawdzie już od pierwszego dnia niektórzy ojcowie, a zwłaszcza sam opat, chętnie rozmawiali z Józefem o grze szklanych paciorków, ale nie było jeszcze mowy o nauce ani jakiegokolwiek innej, systematycznej działalności. Poza tym zaobserwował Knecht w trybie życia, jego stylu i w tonie rozmów ojców duchownych pewne, nie znane mu dotąd tempo, pewną czcigodną powolność, dobroduszną cierpliwość, opartą na długim oddechu, które przejawiali wszyscy ojcowie, nawet ci, którzy osobiście nie byli bynajmniej pozbawieni temperamentu. Był to duch ich zakonu, był to tysiącletni oddech prastarego, uprzywilejowanego, w szczęściu i nieszczęściu setki razy wypróbowanego ładu, a tenże duch społeczności, w której uczestniczyli tak, jak każda pszczoła uczestniczy w losach i przeżyciach swojego roju, śpi jego snem, ma udział w jego cierpieniach, drga jego drganiem. W porównaniu z kasztalskim stylem życia ów benedyktyński wydał się Knechtowi na pierwszy rzut oka mniej uduchowiony, mniej ruchliwy i wyostrozony, mniej aktywny, bardziej natomiast zrównoważony, mniej ulegający wpływom, starszy, bardziej wypróbowany; wydawało mu się, iż rządzi tutaj sens i duch, który od dawna już ponownie stał się naturą. Z ciekawo-

ścią i wielkim zainteresowaniem, a także wielkim podziwem pozwolił Knecht oddziaływać na siebie owemu klasztornemu życiu, życiu, które w czasach, kiedy nie było wcale jeszcze Kastalii, istniało już niemal zupełnie takie samo, jak dzisiaj, miało już wówczas półtora tysiąca lat i tak bardzo odpowiadało kontemplacyjnej stronie natury Knechta. Był gościem, honorowano go, honorowano znacznie ponad powinność i oczekiwania, lecz czuł wyraźnie, że wszystko to jest tylko formą i ususem, a nie dotyczy ani jego osoby, ani ducha Kastalii, ani gry szklanych paciorków i jest przejawem majestatycznej uprzejmości wielkiego a starego mocarstwa względem młodszego. Był na to przygotowany jedynie częściowo, a po pewnym czasie, mimo wszelkich wygod życia w Mariafels, poczuł się tak niepewnie, że poprosił swe władze o dokładniejsze przepisy zachowania się. Magister ludzi osobiście napisał doń kilka słów.

„Nie przejmuj się — pisał — że na studia swoje **nad** życiem tamtejszym poświęcisz nieokreśloną ilość czasu. Wykorzystuj każdy dzień, ucz się, staraj się **być lubianym** i użytecznym, jeśli takie dążenia twoje uwzględnić tam zechcą, ale się nie narzucaj, nigdy też nie rób wrażenia bardziej zniecierpliwionego albo mającego mniej czasu niż twoi gospodarze. **I** nawet **gdyby przez cały rok traktować** cię mieli tak, jakbyś pierwszy dopiero dzień gościł w ich domu, przyjmuj to ze spokojem i zachowuj się w taki sposób, jakby ci na dwóch czy dziesięciu nawet **latach wcale** nie zależało. Potraktuj to jako współzawodnictwo w ćwiczeniu cierpliwości. Starannie oddawaj się medytacji! A jeśli nuży cię bezczynność, przeznacz sobie **co dzień parę** godzin, nie więcej niż cztery, na regularną pracę, na przykład na studiowanie lub kopiowanie rękopisów. Lecz nie sprawiaj wrażenia człowieka zapracowanego, miej czas dla każdego, kto będzie miał ochotę z tobą pogawędzić”.

Knecht trzymał się tych wskazań i niebawem poczuł się znów swobodniej. Dotychczas zbyt wiele myślał o swym zleceniu nauczania amatorów gry szklanych paciorków, które nadawało pewien tytuł jego tutejszej misji, **podczas**

gdy zakonni ojcowie traktowali go jako wysłannika zaprzyjaźnionego mocarstwa, którego utrzymywać należy w jak najlepszym nastroju. A gdy opat Gerwazy w końcu przypomniał sobie o owym zleceniu i przyprowadził mu na razie kilku zaledwie ojców, którzy zostali już wstępnie wprowadzeni w kunszt gry szklanych paciorków i z którymi miał oto odbyć kurs prowadzący ich dalej, okazało się, ku zdumieniu i początkowemu też niemałemu rozczarowaniu Knechta, iż kultura owej szlachetnej gry w tym gościnnym przybytku była niesłychanie powierzchowna i dyletancka, wszystko zaś wskazywało na to, że zadowolano się tu nader skromną wiedzą ludyczną. W ślad za tym zrozumiał powoli również i coś innego: iż prawdopodobnie przysłano go tutaj wcale nie z powodu gry szklanych paciorków i uprawiania tego kunsztu w klasztorze. Zadanie zachęcenia tych kilku, opieszale zainteresowanie ową grą przejawiających ojców, rozszerzenia ich elementarnych wiadomości i udzielenia im pomocy w uzyskaniu satysfakcji skromnego sportowego wyczynu było łatwe, zbyt łatwe, a sprostałby mu każdy inny kandydat lusor, choćby nawet bardzo jeszcze daleki od elity. A zatem owa nauka nie mogła być właściwym celem jego misji. I zaczął rozumieć, iż mniej chyba myślano o tym, by nauczał innych, a raczej wysłano go, by sam się uczył.

Co prawda właśnie wówczas, gdy wydało mu się, iż przejrzał tę intencję, autorytet jego w klasztorze nagle się umocnił, a dzięki temu wzrosła też pewność siebie Knechta, który mimo wszelkich uroków i wygod swej roli gościa odczuwał już chwilami swój pobyt tutaj niemal jako karne przeniesienie. Lecz oto pewnego dnia, niechący, w rozmowie z opatem wplątała mu się jakaś aluzja do chińskiego I Gingu; opat nastawił uszu, zadał kilka pytań, a gdy stwierdził, że jego gość jest tak nadspodziewanie obyty z chińszczyzną i Księgą Przemian, nie zdołał ukryć swej radości. Żywił bowiem szczególne upodobanie do I Gingu, a choć nie rozumiał po chińsku i wiedza jego o owej księdze wyroczeni i o innych tajemnicach chińskich nacechowana była tą samą nieszkodliwą powierzchownością, którą

obecni mieszkańcy klasztoru zdawali się zadowalać we wszystkich swoich naukowych zainteresowaniach, można było jednak zauważyć, iż ów mądry i w porównaniu ze swym gościem jakże doświadczony, obeznany ze światem człowiek doprawdy ma jakiś kontakt z duchem starochińskiej mądrej nauki o 'życiu i państwie. Wynikła stąd niesłychanie żywa rozmowa, która po raz pierwszy przełamała granice uprzejmi aj rezerwy, panującej dotychczas pomiędzy gospodarzem i gościem, i doprowadziła do tego, że Knecht poproszony został o udzielanie czcigodnemu opatowi dwa razy w tygodniu lekcji I Ginga.

Gdy tak stosunek Knechta do opata i gospodarza stał się żywszy i aktywniejszy, gdy rozwijała się pomyślnie koleżeńską przyjaźń z organistą, a małe zakonne państwko, w którym żył, stopniowo stawało się Józefowi coraz lepiej znane, jęła. też przybliżać się ku swemu spełnieniu obietnica wyroczni, której rady zasięgał przed wyjazdem z Ka-slalii. Obiecana mu bowiem została, wędrowcowi, dobytek swój przy sobie noszącemu, nie tylko gospoda, do której trafi, lecz także „wytrwałość młodego sługi". A fakt, iż owa obietnica rozwijać się zaczynała w spełnienie, przyjmować mógł ów wędrowiec za dobry znak, za znak, że istotnie „dobytek swój nosi przy sobie", że nawet z dala od szkół, nauczycieli, kolegów, opiekunów i pomocników, z dala od macierzystej, krzepiącej i pomocnej atmosfery Kastalii, nosi w sobie ducha i siły, z pomocą których idzie na spotkanie aktywnego i wartościowego życia. Zapowiedziany „młody sługa" pojawił się przed nim mianowicie w postaci duchownego alumna, imieniem Antoni, a choć sam ów młodzieniec nie odegrał żadnej roli w życiu Józefa Knechta, był on podówczas, w owym okresie osobliwie dwoistym, w nastrojem wypełnionej, pierwszej epoce pobytu w klasztorze, wskazówką, zwiastunem czegoś nowego i większego, orędownikiem nadchodzących wydarzeń. Antoni, młodzieniec milczący, lecz o płomiennym a inteligentnym spojrzeniu, dojrzały już niemal do przyjęcia w grono mnichów, dość często spotykał gracza szklanych paciorków, którego pochodzenie i kunszt wydawały mu się bardzo tajemnicze,

podczas gdy reszta niewielkiej gromadki uczniów w oddzielnym, a dla gościa niedostępnym skrzydle była mu niemal nie znana, najwyraźniej też trzymana od niego z daleka. Uczestniczyć w kursie ludycznym uczniom zabroniono. Lecz ów Antoni miał kilka razy w tygodniu służbę jako pomocnik w bibliotece; tu spotykał go Knecht, niekiedy zaś dochodziło nawet do rozmów między nimi; Knecht przekonywał się zaś coraz bardziej, iż ów młodzieniec o ciemnych, pałających oczach pod mocno zarysowanymi, czarnymi brwiami oddany rnu był w ten sam pelen uwielbienia i gotowości do usług, młodzieńczo-uczniowski sposób, z jakim jakże często się już spotykł, a który od dawna już, mimo iż za każdym razem miał ochotę go uniknąć, unnał za żywy i bardzo ważny element w zakonnym życiu. Tutaj, w klasztorze, postanowił Knecht okazywać podwójną rezerwę; wykroczeniem przeciwko prawom gościnności wydawała mu się próba wpływania na tego chłopaka, poddanego jeszcze duchowej edukacji; wiedział też doskonale, iż młodzieniec podlega nader surowemu nakazowi czystości, wskutek którego, jak mu się zdawało, ów stan chłopięcej adoracji mógł stać się dlań niebezpieczniejszy. W każdym razie musiał Knecht unikać wszelkiej okazji mogącej wywołać zgorszenie i odpowiednio też postępował.

W bibliotece, jedynym miejscu, gdzie częściej spotykał owego Antoniego, zawarł również znajomość z człowiekiem, którego początkowo ledwo zauważył z racji jego niepozornej postaci; z czasem przecież poznał go lepiej i przez całe życie kochał go odtąd ze czcią pełną wdzięczności, tak jak chyba tylko starego mistrza muzyki. Był to pater Jakub, najwybitniejszy chyba kronikarz zakonu benedyktynów, liczący wówczas około sześćdziesięciu lat, wychudzony człowiek z jastrzębią głową na długiej żylastej szyi, z twarzą, która widziana od przodu, głównie chyba dlatego, że nader rzadko na ludzi spozierał, miała w sobie coś martwego, wygasłego, lecz której profil, o śmiało wygiętej linii czoła, głębokim wcięciu u nasady nosa, ostro zarysowanym, orlim nosie i nieco przykrótkiej, choć z ujmującą czystością zaokrąglonej brodzie, świadczył o wyrobionej i oryginalnej

osobowości. Cichy ów starzec, który zresztą przy bliższym poznaniu okazywał niezwykle temperament, miał swój własny, zawsze książkami, rękopisami i mapami pokryty stół w mniejszym, wewnętrznym pomieszczeniu biblioteki i wydawało się, że w owym, tak bezcenne księgi posiadającym klasztorze, jest jedynym poważnie pracującym uczonym. Zresztą właśnie ów nowicjusz Antoni zwrócił niechcący uwagę Knechta na ojca Jakuba. Józef Knecht zauważył, że owo wewnętrzne pomieszczenie biblioteki, gdzie uczony miął swój stół do pracy, uważane było niemal za prywatny gabinet, do którego wchodziłi nieliczni tylko użytkownicy biblioteki, i to w razie skrajnej konieczności, a i wówczas po cichutku, z szacunkiem i na palcach, mimo iż pracujący tam pater wcale nie sprawiał wrażenia, że należy do ludzi, którym łatwo można przeszkodzić. Knecht, oczywiście, jął niebawem również przestrzegać tych samych względów i już dzięki temu pracowity ów starzec stał się obiektem raczej niedostępnym dla jego obserwacji. Lecz oto pewnego dnia ojciec Jakub *kazał* Antoniemu przynieść sobie kilka książek, a gdy ten wrócił z owego wewnętrznego pomieszczenia, Knecht zauważył, iż zatrzymał się na moment w otwartych drzwiach, spojrzał na zatopio- j nego w pracy przy swoim stole starca, z rozmarzonym wyrazem czei i podziwu, zmieszonym z owym uczuciem niemal czulej troskliwości i gotowości do pomocy, jakie dobra z natury młodzież przejawia niekiedy względem ludzi starych, wątłych i z sił już wyczerpanych. Knecht początkowo ucieszył się tym widokiem, który jest piękny już sam przez się, a który ponadto wykazał mu, że Antoni zdolny jest, bez fizycznego zakochania się, darzyć uwielbieniem starszych, których podziwia. Lecz już w następnym momencie nasunęła się Józefowi ironiczna myśl, której się niemal zawstydził, pomyślał bowiem: jakże marnie przedstawiać się musi uczoność w tej instytucji, skoro jedyny, poważnie pracujący uczony w owym domu oglądany jest przez młodych ze zdumieniem, niczym stwór legendarny lub baśniowe jakieś zwierzę. Lecz mimo wszystko owe niemal czule spojrzenie uwielbienia i czci, jakie Antoni rzucił na starca,

otworzyło oczy Knechta na postać uczonego ojca, a spozierając później sam od czasu do czasu w jego stronę odkrył rzymski jego profil, stopniowo jał też zauważać i inne jeszcze cechy ojca Jakuba, zdające się świadczyć o nieprzeciętnym umyśle i charakterze. O tym, że jest on historykiem i uchodzi za najbardziej wnikliwego znawcę dziejów zakonu benedyktynów, Józef wiedział już wcześniej.

Pewnego dnia pater ów sam zagadnął Knechta; w głosie jego nie było śladu owej jowialności, z namysłem podkreślonej zyczliwości i ostentacyjnej pogody dobrego wujaszka, która zdawała się należeć do stylu i tonu tego domu. Poprosił Józefa, żeby po nieszpórach odwiedził go w jego pokoju.

— Nie znajdzie pan we mnie wprawdzie — powiedział cichym, niemal nieśmiałym głosem, lecz akcentując słowa ? cudowną dokładnością — ani znawcy historii Kastalii, ani — tym bardziej — gracza szklanych paciorków, lecz skoro, jak się wydaje, oba nasze zakony, tak bardzo różne, coraz bardziej się ze sobą zaprzyjaźniają, nie chciałbym się z tego wykluczyć, a ze swej strony pragnąłbym także odnieść niekiedy z pańskiego tutaj pobytu trochę korzyści.

Mówił z absolutną powagą, ale cichy głos i stara, mądra twarz nadawały jego aż nazbyt uprzejmym słowom ową migotliwą wieloznaczność, cudownie oscylującą pomiędzy powagą i ironią, dewocją i lekką drwiną, patosem i zabawieniem, jaką wyczuć można na przykład w grze uprzejmości i cierpliwości, złożonej z nieustannych pokłonów, podczas witania się ze sobą dwóch świętych albo dwóch ksiąząt Kościoła. Ta, tak dobrze mu od Chińczyków znana mieszanina wyniosłości i drwiny, mądrości i osobliwej ceremonialności, podziałała na Józefa niczym balsam: teraz dcpjero zdał sobie sprawę z faktu, iż tonu tego — Tomasz, mistrz gry szklanych paciorków, władał nim również po mistrzowsku — od dłuższego czasu już nie słyszał; wdzięczny i uradowany przyjął to zaproszenie. A gdy pod wieczór odnalazł ustronne mieszkanie ojca Jakuba na końcu cichego bocznego skrzydła i jał się zastanawiać, do których drzwi zapukać, usłyszał, zaskoczony, muzykę fortepianową.

Zaczął nasłuchiwać: była to jedna z sonat PureeUa, grana bezpretensjonalnie i bez wirtuozerii, lecz rytmicznie i czysto; przejmująco, radośnie brzmiała ta prosta, szczerze pogodna muzyka i słodkie jej trójdźwięki, przypominając Józefowi lata w Waldzell, gdy z przyjacielem swoim, Ferromontem, ćwiczył tego rodzaju utwory na różnych instrumentach. Słuchając z przyjemnością, doczekał zakończenia owej sonaty, brzmiącej w tym cichym, mrocznym korytarzu tak samotnie, w oderwaniu od świata, tek dzielnie i niewinnie, tak dziecinnie i jednocześnie władczo, jak wszelka dobra muzyka pośród nie odkupionego milczenia świata. Zapukał do drzwi, pater Jakub zawołał „Proszę!” i powitał go z właściwą sobie, skromną godnością; przy małym pianinie płonęły jeszcze dwie świece. Tak, odparł pater Jakub na zapytanie Knechta, gra co wieczór przez pół godziny, albo i przez całą, kończy codziennie swą pracę o zmroku, a w godzinach poprzedzających udanie się na spoczynek rezygnuje z czytania i pisania. Zaczęli mówić o muzyce, o Purcellu, Handlu, prastarym zwyczaju uprawiania muzyki wśród benedyktynów, w zakonie na wskroś artystycznym, którego dzieje Knecht niezmiernie chciał poznać. Rozmowa stała się ożywiona, zatraçała o setki spraw, historyczna wiedza tego starca wydawała się zaiste cudowna, lecz nie przeczył on, że niezbyt go zajmowała i interesowała historia Kastalii, myśli kastalskiej i tamtejszego za konu, nie ukrywał też bynajmniej krytycznego swego nastawienia do tej Kastalii, której „zakon” uważał za naśladownictwo kongregacji chrześcijańskich, w istocie zaś za naśladownictwo bluźniercze, ponieważ zakon kastalski nie ma przecież fundamentu w jakiegokolwiek religii, jakimkolwiek Bogu ani Kościele. Knecht pozostał pełnym uszanowania słuchaczem tej krytyki, pozwolił sobie jedynie wyrazić zastrzeżenie, że prócz poglądów benedyktyńskich i rzymskokatolickich mogą na temat religii, Boga i Kościoła istnieć — i istniały przecież — inne też poglądy, którym nie można odmówić ani czystości pragnień oraz dążeń, ani głębokiego wpływu na życie duchowe.

— Słusznie — rzekł Jakub. — Myśli pan przy tym, mię-

dzy innymi, o protestantach. Nie zdołali oni utrzymać religii ani Kościoła, ale w pewnych okresach okazali wiele odwagi i ludzi mieli znakomitych. Było kilka takich lat w moim życiu, gdy różne próby pogodzenia się wrogich sobie wyznań chrześcijańskich i Kościołów należały do ulubionych przedmiotów moich studiów, zwłaszcza epoka około 1700 roku, gdzie znajdujemy ludzi takich, jak filozofa i matematyka Leibniza, a potem tego dziwnego hrabiego Zinzendorfa, zabiegających o pojednanie owych zwaśnionych braci. W ogóle zresztą wiek osiemnasty, choć duch jego wydać się może często tak powierzchowny i dyletancki, od strony dziejów intelektu niezmiernie jest interesujący i dwuznaczny i właśnie protestanci tego okresu bardzo mnie interesowali. Odkryłem tam kiedyś pewnego filologa, nauczyciela i pedagoga wielkiego formatu, zresztą szwabskiego pietystę, człowieka, którego wpływy moralne udowodnić się dają wyraźnie jeszcze po pełnych dwustu latach — ale zbaczamy tu w inną dziedzinę; powróćmy do kwestii prawowitości i historycznego posłannictwa zakonów właściwych...

— Ach, nie — zawołał Józef Knecht. — Niechże pan za trzyma się jeszcze, proszę, przy tym nauczycielu, o którym właśnie chciał pan mówić, wydaje mi się, że niemal go tów odgadnąć, kto to.

— Niechże pan zgaduje.

— Początkowo myślałem o Franokem z Hallense, ale że „musi to być Szwab, nikt inny na myśl mi nie przychodzi jeno Johann Albrecht Bengel.

Rozległ się śmiech i blask radości rozjaśnił twarz uczonogo.

— Zdumiewa mnie pan, mój drogi — wykrzyknął żywo — gdyż właśnie o Benglu myślałem. Skądże pan o nim wie? Czyżby w tej waszej zdumiewającej prowincji znajomość tak odległych i zapomnianych spraw i nazwisk była rzeczą powszechną? Zapewniam pana: gdyby zechciał pan przepytać wszystkich ojców, nauczycieli i uczniów naszego klasztoru, a nawet jeszcze kilka ostatnich ich pokoleń, ani jeden nie znalazłby tego nazwiska.

— W Kastalii także znało je niewielu, nikt może prócz mnie i dwóch moich przyjaciół. Zajmowałem się niegdyś dla prywatnych jedynie celów studiami nad wiekiem osiem nastym i kręgiem pietysłów i wówczas zwróciłem uwagę na paru szwabskich teologów, którzy wzbudzili we mnie szacunek i podziw, a wśród nich zwłaszcza na Bengla, który wydawał mi się wówczas ideałem nauczyciela i kierownika młodzieży. Tak byłem oczarowany tym człowiekiem, że dałem sobie nawet sfotografować jego portret ze starej jakiejś książki i przez pewien czas wisiał on u mnie nad biurkiem.

Pater śmiał się ciągle jeszcze:

— Spotykamy się oto pod osobliwymi auspicjami — stwierdził. — Dziwne jest już to, że i pan, i ja natknęliśmy się w naszych studiach na tego zapomnianego człowieka. Ale może jeszcze dziwniejsze, że owemu szwabskiemu protestantowi udało się wywrzeć wpływ jednocześnie niemal na benedyktyna i na kastalskiego gracza szklanych paciorków. Waszą grę szklanych paciorków wyobrażam sobie zresztą jako kunszt, do którego trzeba wiele wyobraźni, i dziwię się, że tak arcytrzeźwy człowiek jak Bengel pa na właśnie mógł tak bardzo pociągać.

Knecht także się teraz pogodnie roześmiał.

— No, cóż — odparł. — Jeśli przypomina pan sobie wie loletnie studia, jakie Bengel prowadził nad Objawieniem świętego Jana, i jego system wykładania prorocत्व zawar tych w tej księdze, musi pan przecież przyznać, że przy jacielowi naszemu nie całkiem obcy był też biegun zupeł nie od trzeźwości przeciwny.

— Zgoda — przystał rozweselony pater. — A jak pan sobie tłumaczy takie przeciwieństwo?

— Gdyby mi pan zechciał pozwolić na żart, powiedział bym: tym, czego brakowało Benglowi i czego, nieświado mie a usilnie, poszukiwał i pożywał, była gra szklanych paciorków. Zaliczam go bowiem do utajonych prekursorów i praojców naszej gry.

Jakub ostrożnie i znowu już poważniejąc, zapytał:

— Nieco śmiało wydaje mi się anektowanie akurat Bengla

dla waszego drzewa genealogicznego... A czym pan to uzasadnia?

— Był to żart, ale żart dający się obronić. Bengel jeszcze za młodu, zanim zaabsorbowała go wielka praca nad Biblią, przekazał swym przyjaciółom pewien plan, twierdząc, iż ma nadzieję uporządkować i zawrzeć w jednym, encyklopedycznym dziele wszelką wiedzę swojej epoki w ujęciu symetrycznym i synoptycznym, skierowanym ku jednemu centrum. A wszak nic to innego niż to, co czyni gra szklanych paciorków.

— To myśl encyklopedyczna, którą igrało całe osiemnaste stulecie — zawołał pater.

— Owszem — potwierdził Józef. — Ale Bengel dążył nie tylko do uporządkowania wszelkich dziedzin wiedzy i badań obok siebie, lecz do wzajemnego ich połączenia, do ładu organicznego, wyruszył na poszukiwanie generalnego, wspólnego mianownika. A to stanowi jedną z elementarnych idei gry szklanych paciorków. Chciałbym nawet stwierdzić coś więcej, mianowicie: Gdyby Bengel posiadał system, podobny do naszej gry, oszczędzone by mu zostało prawdopodobnie to wielkie błąkanie się po manowcach, wraz z przeliczaniem liczb proroczych i całym zwiastowaniem Antychrysta i Tysiącletniego Królestwa. Bengel nie potrafił w pełni znaleźć dla najrozmaitszych talentów, które w sobie łączył, wytęsknionego kierunku ku wspólnemu celowi, tak więc matematyczne jego zdolności, połączone z przenikliwością filologiczną, dały ów cudacznie zaciekłości i fantastyki zmieszany „ład czasowy”, który zajmował go przez kilka lat.

— Dobrze chociaż — rzekł Jakub — iż nie jest pan historykiem, gdyż doprawdy skłonny pan bywa do fantazjowania. Ale rozumiem, o co panu chodzi; pedantem jestem jedynie we własnej dziedzinie wiedzy.

Długa zrobiła się ta rozmowa, wynikło z niej wzajemne poznanie się i coś w rodzaju przyjaźni pomiędzy obu partnerami. Uczonemu wydało się czymś więcej niż przypadkiem, a przynajmniej dość osobliwym przypadkiem, iż obaj, on z racji swych benedyktyńskich, a młodszy,

Knecht, z racji kastalskich powiązań, dokonali tego samego odkrycia i odnaleźli tego ubogiego, wirtemberskiego, klasztornego preceptora, człowieka równie czulego serca, co skalnej mocy, w równym stopniu rozmarzonego, co i trzeźwego; musiało tedy istnieć coś, co łączyło ich obu, skoro ten sam niepozorny magnes tak silnie na nich oddziałał. I poczynając od owego wieczoru, który rozpoczął się sonatą Purcella, doprawdy coś takiego powstało, nawiązała się więź pomiędzy nimi. Jakub cieszył się wymianą myśli z tym wyszkolonym, a chłonnym jeszcze, młodym umysłem, nieczęsto bowiem przeżywał taką radość, a dla Knechta kontakt z historykiem i edukacja u niego, jaką oto rozpoczął, były nowym szczeblem na owej drodze ku przebudzeniu, za jaką uważał własne życie. Krótko mówiąc: nauczył się dzięki owemu benedyktynowi historii, zaczął pojmować prawidłowości i sprzeczności badań historycznych i dziejopisarstwa, a ponadto, w ciągu następnych lat, widzieć zaczął teraźniejszość i własne życie jako rzeczywistość historyczną.

Rozmowy ich rozrastały się często do rozmiarów prawdziwych dysput, ataków i obrony, choć początkowo raczej pater Jakub większą przejawiał agresywność. Im lepiej poznawać zaczynał umysł swego młodego przyjaciela, tyra bardziej żałował, iż tak wiele obiecujący młody człowiek wyrósł bez dyscypliny wychowania religijnego, wychowany jedynie w pozornej dyscyplinie formacji intelektualno-estetycznej. Wszystko, cokolwiek miał do zarzucenia sposobowi myślenia Knechta, przypisywał owemu „modernistycznemu” duchowi Kastalii, jego oderwaniu od rzeczywistości, jego skłonności ku ludycznym abstrakcjom. Tam zaś, gdzie Knecht nieoczekiwanie zdumiewał go poglądami i wypowiedziami zbliżonymi do własnego jego sposobu myślenia, starzec triumfował, ucieszony, iż dobra natura młodego jego przyjaciela stawiała tak silny opór kastalskiemu wychowaniu. Józef nader spokojnie przyjmował ową krytykę Kastalii, tam zaś, gdzie wydawało mu się, że starzec zbyt daleko posuwa się już w swym zacietrzewieniu, chłodno odpierał jego ataki. Wśród krytycznych wypowiedzi ojca

Jakuba były nawet i takie, którym Józef po części musiał przyznawać słusność; pod pewnym względem zmienił zresztą zasadniczo w czasie pobytu w Mariafels swe poglądy na temat Kastalii. Chodziło mianowicie o stosunek kastalskiej formacji umysłowej do dziejów świata, o to, co pater nazywał „absolutnym brakiem zmysłu historycznego”.

— Wy, matematycy i gracze szklanych paciorków — mawiał — wydestylowaliście sobie dzieje powszechne, stały się one już wyłącznie złożone z historii intelektu i sztuki; historia wasza jest bezkrwista i nierealna; orientujecie się doskonale w kwestii upadku konstrukcji zdania łacińskiego w drugim czy trzecim wieku, a nie macie pojęcia o Aleksandrze, Cezarze czy Jezusie Chrystusie. Traktujecie dzieje świata tak, jak matematyk matematykę, w której istnieją jedynie prawa i wzory, lecz nie ma rzeczywistości, zła ani dobra, czasu, nie ma wczoraj ani jutra, jedynie wiekuJsta, płaska, matematyczna terażniejszość.

— Ale jakże zajmować się historią, nie wprowadzając do niej ładu? — zapytał Knecht.

— Naturalnie, że trzeba wprowadzać ład do historii — grzmiał Jakub. — Wszelka nauka jest między innymi porządkowaniem, upraszczaniem, aby umysł mógł strawić, co dla niego niestrawne. Wydaje się nam, że poznaliśmy pewne prawa historii i usiłujemy uwzględnić je przy poznaniu prawdy historycznej. Podobnie jak na przykład anatom, którego przy sekcji jakiegoś ciała nie zaskakuje samo, na wskroś niespodziewane odkrycie, lecz który wskutek odnalezienia pod naskórkiem całego systemu narządów, mięśni, ścięgien i kości widzi w nim potwierdzenie schematu, jaki już zna. Lecz jeśli ów anatom dostrzega już tylko schemat, lekceważąc wskutek tego niepowtarzalną, indywidualną rzeczywistość swego obiektu, wówczas staje się Kastalczykiem, graczem szklanych paciorków i uprawia matematykę na obiekcie najmniej do tego celu przydatnym. Ten, kto rozważa dzieje, może, jeśli zechce, żywić nawet najbardziej wzruszającą, dziecinną wiarę w porządkującą siłę naszego umysłu i naszych metod, lecz mimo to i oprócz tego powinien szanować niepojętą prawdę, rzeczywistość

i niepowtarzalność wydarzeń. Historia, mój drogi, to nie zabawa ani nieodpowiedzialne igraszki. Zajmować się historią to zakładać już naprzód, iż dąży się w tej pracy do czegoś niemożliwego, a mimo to koniecznego i niesłychanie ważnego. Zajmować się historią oznacza także: oddać się na pastwę chaosu, a mimo to zachować wiarę w ład i sens. Bardzo to poważne zadanie, młodzieńcze, a może nawet tragiczne.

Spośród wypowiedzi ojca Jakuba, które Knecht przekazywał wówczas listownie swoim przyjaciółom, warto odnotować, jako charakterystyczną jeszcze jedną:

— Ludzie wielcy stanowią dla młodzieży rodziny w cieście dziejów powszechnych, należą oni też do zasadniczej ich substancji, z pewnością, a wcale nie tak łatwo i prosto, jakby się wydawać mogło, odróżnić prawdziwie wielkich od wielkości pozornych. Wielkościom pozornym ów pozór wielkości nadaje moment historyczny, odgadnięcie go i uchwycenie; nie brak też historyków i biografów, ani już wspominając o dziennikarzach, którym to odgadywanie i wychwytywanie, inaczej mówiąc: ów chwilowy sukces, wydaje się już cechą wielkości. Kapral, który z dziś na jutro staje się dyktatorem, lub kurtyzana, której uda się na chwilę zawładnąć dobrym czy złym humorem jakiegoś władcy świata, to ulubione postaci takich historyków. Natomiast idealistycznych rozbitkach, tych, co pojawili się o moment *za* wcześniej lub *za* późno. Dla mnie, choć jestem wprawdzie przede wszystkim historykiem naszego zakonu benedyktyńskiego, najbardziej pociągające, zdumiewające i godne studiów w dziejach świata są nie osoby, nie zamachy, zwycięstwa czy upadki; cała moja miłość i nienasycona ciekawość dotyczy takich zjawisk, jak na przykład nasza kongregacja, tych organizacji o niezmiernie długim życiu, w których podejmuje się próby skupienia, wychowania i przekształcenia ludzi od strony duszy i umysłu, próby nadania im — nie przez eugenikę, lecz przez wychowanie, nie przez krew, lecz przez intelekt — szlachectwa, które czyni ich zdolnymi zarówno do służby, jak i do władzy. W dziejach Greków zafascyno-

wało mnie nie ugwieżdzone herosami niebo ani natarczywe wrzaski na agorze, lecz wysiłki takie, jak na przykład pitagorejczyków lub Akademii Platońskiej; u Chińczyków mnie bardziej nie zachwyciło, jak zjawisko długowieczności systemu konfucjańskiego, a w naszej, europejskiej historii wartościami historycznymi najpierwszej jakości wydaje mi się przede wszystkim Kościół chrześcijański oraz służące mu i włączone weń zakony. Fakt, że jakiemuś awanturnikowi dopisało kiedyś szczęście i podbił on lub założył jakieś państwo, które trwa później ze dwadzieścia, pięćdziesiąt, a nawet i ze sto lat, albo że jakiś, pełen dobrych intencji, idealistycznie nastawiony król czy cesarz dążyć zacznie nagle do uczciwej polityki, lub będzie usiłował urzeczywistnić jakieś marzenia w dziedzinie kultury, albo iż pewnego razu naród jakiś czy inna społeczność, pod niesłychanym naciskiem, okazały się zdolne do dokonania niebywałych czynów lub /niesienia straszliwych cierpień, wszystko to wcale nie wydaje mi się tak interesujące, jak to, iż nieustannie podejmowano próby tworzenia takich zespołów jak nasz zakon, oraz że niektóre z owych prób zdołały się utrzymać tysiąc, a nawet dwa tysiące lat. O samym Kościele Świętym mówić nie chcę, dla nas bowiem, wierzących, znajduje się on poza granicami wszelkich dyskusji. Ale sam fakt, iż kongregacje takie, jak benedyktynów, dominikanów, a później jezuitów i tak dalej przeżyły już kilka stuleci i po upływie tych wszystkich wieków, mimo różnorodnego rozwoju, wynaturzeń, adaptacji i zadawanych im gwałtów, zdołały zachować swe oblicze, swój głos, gest i indywidualną duszę, ów fakt jest dla mnie najosobliwszym i najbardziej godnym szacunku fenomenem w historii.

Knecht podziwiał ojca Jakuba nawet w jego pełnych gniewnego uniesienia niesprawiedliwościach. A przy tym nie miał wówczas jeszcze wcale pojęcia, **kim** w istocie był pater Jakub, widział w nim wyłącznie genialnego, głębokiego uczonego, nie wiedząc, iż był to człowiek, który sam zajmował świadome miejsce w dziejach świata i pomagał je kształtować jako czołowy polityk swego zgromadzenia oraz znawca politycznej historii i współczesności, polityk, do któ-

rego z wielu stron zwracano się po informacje, rady i z prośbami o pośrednictwo. Knecht prawie przez dwa lata, aż do swego pierwszego urlopu, kontaktował się z ojcem Jakubem wyłącznie jako z uczonym, a z jego życia, działalności, sławy i wpływu znał tylko tę jedną, ku niemu zwróconą stronę. Uczony ów mąż umiał bowiem milczeć, nawet w przyjaźni, a klasztorni jego bracia umieli to również, i nawet znacznie lepiej, niż Józef się po nich spodziewał.

Po dwóch mniej więcej latach zżył się Knecht z klasztorzem już tak doskonale, jak tylko było to możliwe dla obcego i gościa. Od czasu do czasu pomagał organiście w skromnym pielęgnowaniu prastarej, czcigodnej i wielkiej tradycji w jego niewielkim, motetowym chórze. Dokonał kilku odkryć w klasztornej archiwum muzycznym i przesłał kilka kopii starych kompozycji do Waldzell, a zwłaszcza do Montepert. Zgromadził wokół siebie nieliczną klasę początkujących graczy szklanych paciorków, do których należał obecnie również, jako najgorliwszy uczeń, ów młody Antoni. Nauczył opata Gerwazego wprawdzie nie chińskiego języka, lecz jednak manipulowania łądygami krwawnika i lepszej metody rozpamiętywania wypowiedzi księgi wyroczni; opat bardzo się do Józefa przyzwyczaił, od dawna też zaniechał początkowych prób namawiania niekiedy swego gościa do wypicia wina. Sprawozdania, którymi co pół roku oficjalnie odpowiadał na pytanie mistrza gry szklanych paciorków, czy w Mariafels zadowolony są z Józefa Knechta, były hymnami pochwalnymi. W Kastalii dokładnie od tych sprawozdań sprawdzano listy lekcji i świadectw z ludycznego kursu, który Knecht prowadził; poziom jego uznano za przeciętny, wyrażano jednak zadowolenie, iż nauczyciel zdołał tak dobrze dostosować się do owego poziomu i w ogóle do obyczajów i ducha klasztoru. Najbardziej zachwycone i doprawdy zaskoczone poczuły się przecież władze Kastalii, co prawda nie dając tego poznać delegatowi, jego częstymi, poufnymi, a w końcu wręcz już przyjaznymi kontaktami ze sławnym ojcem Jakubem.

Kontakty te owocowały w różnorodny sposób, o którym,

wybiegając nieco naprzód w naszej relacji, pragniemy opowiedzieć, a przynajmniej o jednym z nich, dla Knechta najmilszym. Dojrzywał ów owoc powoli, powolutku, rósł tak ociągliwie i nieufnie jak nasiona wysokogórskich drzew posiane na dole, w żyznych nizinach: nasiona te, powierzone tłustej ziemi i wpływowi łagodnego klimatu, zachowują w sobie dziedziczną nieufność i rezerwę swych ojców, a powolne tempo wzrostu należy do dziedzicznych ich cech. Tak też ów mądry starzec, przyzwyczajony do nieufnego kontrolowania wszelkiej możliwości wywarcia na niego wpływu, ociągliwie i stopniowo tylko dopuszczał do zakorzenienia się w sobie wszystkiego, co młody jego przyjaciel, kolega z przeciwnego bieguna, przekazywał mu z ducha Kastalii, Stopniowo przecież zakiełkowało to, a z wszelkiego dobra, jakiego zaznał Knecht w tych swoich klasztornych latach, najlepsze i najcenniejsze było dlań owo skąpe, z beznadziejnych, jak Wydawało się, początków powściągliwie narastające zaufanie i otwieranie serca owego doświadczonego starca i jeszcze powolnie] przejawiane zrozumienie nie tylko dla osoby swego młodszego wielbiciela, lecz również dla wszystkiego, co stanowiło w nim cechy specyficznie kastalskie. Krok za krokiem wiódł młody, pozornie tylko adept, uczeń i słuchacz owego zakonnika, który początkowo słów „kastalski” oraz „gracz szklanych paciorków” używał jedynie z akcentem ironicznym lub wręcz jako wyzwisk — ku uznaniu, ku początkowo tolerancyjnemu, później przecie pełnemu poszanowaniu i respektowaniu także i tej intelektualnej postawy, także i tego zakonu, także i tej próby stworzenia duchowej elity. Pater przestał już zżymać się na młodość owego zakonu, który swą przeszłość dwustuletnią egzystencją nie mógł oczywiście dorównywać benedyktynom, istniejącym już półtora tysiąca lat; przestał też upatrywać w grze szklanych paciorków jedynie przejawu estetycznego pięknoduchostwa, przestał również odrzucać, jako rzecz niemożliwą, zawarcie w przyszłości przyjaźni i przymerza pomiędzy obu tymi nierównymi wiekiem zakonami. Tego, iż władze upatrywały w owym częściowym po* zyskaniu ojca Jakuba, które Józef odczuwał jako osobiste,

prywatne szczęście, najistotniejszy punkt jego osiągnięć i misji w Mariafels, Knecht przez dłuższy jeszcze czas nawet nie przeczuwał. Chwilami tylko zastanawiał się, bez skutku, nad tym, jak właściwie przedstawia się kwestia jego misji w tym klasztorze, czy w istocie robi tu cokolwiek, czy jest przydatny, czy wysłanie go tutaj, wyglądające początkowo na awans i wyróżnienie, którego mu współzawodnicy zazdrościli, nie okaże się na dłuższą metę niepozorną raczej synekurą, zepchnięciem na martwy tor. Nauczyć się czegoś można wszędzie, dlaczegóż więc i nie tutaj? Lecz w rozumieniu kastalskim ten właśnie klasztor, z wyjątkiem ojca Jakuba, wcale nie był przybytkiem ani wzorem uczoności, a Knecht też nie potrafił stwierdzić, czy wskutek izolacji pośród samych, miernych na ogół, dyletantów nie zaczyna także w grze szklanych paciorków rdzewieć i cofać się. W niepewności tej z pomocą przyszedł mu jednak jego zupełny brak dążenia do kariery, jak również mocno w nim już zakorzeniony *amor fati*. W sumie bowiem życie w roli gościa i niepozornego nauczyciela-specjalisty w ociężałym a staroświeckim klasztorze było mu miłsze niż ostatni okres w Waldzell, spędzony w gronie elity, zżeranej ambicją, i gdyby los zechciał go na przykład na zawsze już pozostawić na tym poślednim, kolonialnym stanowisku, starałby się wprawdzie zmienić to czy owo w tutejszym swoim życiu, usiłując na przykład ściągnąć tu któregoś ze swych przyjaciół lub wypraszać sobie przynajmniej raz do roku dłuższy urlop do Kastalii, lecz poza tym byłby zadowolony.

Czytelnik tego szkicu biograficznego oczekuje, być może, sprawozdania z innego rodzaju klasztornych przeżyć Knechta, mianowicie religijnych. Na ten temat ośmielamy się jedynie snuć pewne ostrożne napomknienia. Fakt, iż Knecht miał w Mariafels bliższy kontakt z religią i z praktykowanym na co dzień chrystianizmem, jest nie tylko prawdopodobny, lecz wynika nawet wyraźnie z niektórych jego późniejszych wypowiedzi; otwarte natomiast pozostawić musimy pytanie, czy i jak dalece stał się tam na przykład chrześcijaninem, ponieważ rejony te są dla badań naszych niedostępne. Miał on w sobie, prócz przestrzeganego w Ka-

stali szacunku do różnych religii, także pewien rodzaj czci, którą wolno nam chyba nazwać pobożnością, a ponadto już w szkołach, zwłaszcza zaś przy studiowaniu muzyki kościelnej, dość dobrze zapoznał się z nauką chrześcijańską i jej klasycznymi formami; znał przede wszystkim, dobrze sakrament mszy i rytuał sumy pontyfikalnej. U benedyktynów natomiast ze zdumieniem i szacunkiem ujrzał, że religia, znana mu dotychczas jedynie od strony teoretycznej i historycznej, jeszcze żyje, brał udział w licznych nabożeństwach, a od kiedy zapoznał się z pewnymi pracami ojca Jaki. ba i uległ wpływowi rozmów z nim, ujawniło mu się w całej pełni zjawisko chrystianizmu religii, która w ciągu wieków tylekroć stawała się niemodna, przestarzała, skostniała i niewspółczesna, a mimo to nieustannie czerpała ze swoich źródeł, odnawiając się przy nich i pozostawiając za sobą to, co jeszcze wczoraj było modne i zwyczajne. Nie bronił *siq* też poważnie przeciw sugestii podsuwanej mu od czasu do czasu w trakcie owych rozmów, że kultura kastalska stanowi, być może, jedynie zeświecczoną i nietrwałą, uboczną i późną formę europejskiej kultury chrześcijańskiej, przez którą z czasem zostanie znowu wessana i z powrotem zagarnięta. Niechby tak nawet i było, powiedział kiedyś Knecht do ojca Jakuba, lecz mimo to jego własne miejsce i jego służba przeznaczone mu zostały w obrębie ładu kastalskiego, nie zaś na przykład benedyktyńskiego; te.m powinien współpracować, tam się wykazać, nie troszcząc się o to, czy porządek, do którego należy, rościć sobie może pretensje do wiecznej czy choćby tylko długiej trwałości, a nawrócenie mógłby uważać jedynie za niezbyt godną formę ucieczki. W taki sam sposób służył przecież w swoje i epoce czcigodny Johann Albrecht Bengel niewielkiemu i nietrwałemu Kościołowi nie umniejszając bynajmniej wskutek tego swych zasług dla wieczności. Pobożność, czyli z wiarą pełniona służba i wierność aż do oddania życia u łącznie, możliwa jest W każdym wyznaniu i na każdym szczeblu, a jedynym sprawdzianem szczerości i wartości wszelkiej osobistej pobożności jest właśnie owa służba i owa wiara.

Gdy pobyt Knechta u ojców trwał już około dwóch lat, pojawił się pewnego razu w klasztorze gość, którego nader troskliwie utrzymywano z dala od Józefa, unikając nawet przelotnego przedstawienia go. Zaciekawiony tym Knecht snuł przeróżne domysły i obserwował pilnie nieznanego, który zatrzymał się zresztą zaledwie na kilka dni. Wydawało mu się, że duchowna szata, jaką nosił ów nieznanomy, jest chyba przebraniem. Obcy ten człowiek odbywał z opatem, a zwłaszcza z ojcem Jakubem, długie konferencje przy drzwiach zamkniętych, często odbierał ekspresowe przesyłki i sam również takie ekspediował. Knecht, który choćby z pogłosek znał polityczne kontakty i tradycje klasztoru, przypuszczał, iż gość ów jest wielkim mężem stanu w tajnej misji lub jakimś podróżującym incognito księciem; a gdy tak dumiał nad swymi obserwacjami, jął sobie i z poprzednich miesięcy przypominać takiego czy innego gościa, który teraz, z perspektywy czasu, zaczął mu się również wydawać ważny i tajemniczy. Przypomniał mu się przy tej okazji także przełożony „policji”, ów uprzejmy pan Dubois, oraz jego prośba, by od czasu do czasu zwracał uwagę na takie właśnie wydarzenia w klasztorze, a choć ciągle jeszcze nie czuł bynajmniej ochoty ani powołania do tego rodzaju sprawozdań, zaczął wyrzucać sobie, iż od tak dawna nie pisał do tego życzliwego człowieka i właściwie chyba go rozczarował. Napisał tedy do niego długi list usiłując wytłumaczyć swe milczenie i, chcąc temu listowi przydać nieco treści, wspominał w nim pokrótce o swych kontaktach z ojcem Jakubem. Nie przeczuwał nawet, jak dokładnie i przez ile ludzi list ów zostanie przeczytany.

MISJA

ierwszy pobyt Knechta w klasztorze trwał dwa lata; w okresie, o którym tutaj mowa, miał on trzydziesty siódmy rok życia. Pod koniec owej gościny w Mariafels, mniej więcej w dwa miesiące od daty długiego jego listu do przełożonego Dubois, został Józef pewnego poranka wezwany do rozmównicy opata. Pomyślał, że towarzyski ten człowiek poczuł zapewne ochotę do pogawędzenia trochę na chińskie tematy i zgłosił się natychmiast. Gerwazy wyszedł mu naprzeciw z listem w ręku.

— Zaszczycono mnie pewnym zleceniem dla pana, mój szanowny — zawołał wesóło na swój pogodnie protekcyjny sposób i zaraz też niemal wpadł w ton kpiąco ironiczny, jaki przyjął się pomiędzy zakonem duchownym i kastalskim, stanowiąc wyraz nie w pełni jeszcze wyjaśnionych, acz przyjaznych stosunków, w istocie zaś był wynalazkiem ojca Jakuba. — Nawiasem mówiąc, zaimponował mi wasz magister ludzi! Ależ on potrafi pisać listy! Do mnie napisał po łacinie, ów *dominus*, Bóg raczy zresztą wiedzieć, czemu; z wami, Kastalczykami, cokolwiek robicie, nigdy nie wiadomo, czy macie zamiar wyświadczyć przez to grzeczność, czy wykpić, uhonorować, czy też pouczyć. Tedy czcigodny ów *dominus* po łacinie do mnie napisał, i to w takiej łacinie, jaką nikt w całym naszym zakonie teraz by już posłużyć

się nie zdołał, najwyżej może z wyjątkiem ojca Jakuba. Łacina to jakby wprost ze szkoły Cicerona, a przecie z należyte wyważoną, drobną przymieszką wonnej łaciny kościelnej, co do której, oczywiście, znów nie wiadomo, czy stanowić ma naiwne pochlebstwo dla nas, klechów, czy ironię, czy też powstała po prostu z nieposkromionego popędu do zabawy, stylizacji i dekoracji. Pisze mi więc czcigodny ów mąż, iż uważa się tam za rzecz pożądaną zobaczyć znowu i uściskać pana, a także stwierdzić, jak dalece pobyt wśród nas, półbarbarzyńców, podziałał na pana deprawująco pod względem moralności i stylu. Słowem, jeśli należycie zrozumiałem to obszerne a kunsztowne dzieło literackie, przyznano panu urlop, mnie zaś prosi się o odesłanie mojego gościa z powrotem do Waldzell na czas nieokreślony, nie na zawsze jednak, rychły bowiem pański powrót, jeśli będzie on nam miły, przewidziano już także. No, cóż, zechce pan wybaczyć, daleko mi oczywiście do należytej interpretacji wszystkich finezji pisma. Magister Tomasz wcale się też zapewne tego po mnie nie spodziewał. Ten oto liścik mam panu przekazać, a teraz może pan odejść i zastanowić się, czy i kiedy pragnie pan jechać. Brak nam pana będzie, mój drogi, a nie omieszkamy, gdyby pan nazbyt długo miał być nieobecny, reklamować pana znowu u pańskich władz.

W liście przekazanym Knechtowi instytucja powiadamiła go krótko, że zarówno dla odpoczynku, jak również w celu rozmówienia się z najwyższymi przełożonymi udzielono mu urlopu i że oczekuje się go niebawem w Waldzell. Nie powinien przy tym — jeśli opat wyraźnie tego nie zażąda — czuć się skrępowany koniecznością zakończenia bieżącego kursu gry szklanych paciorków dla początkujących. Stary mistrz muzyki prosił, aby przekazano mu jego pozdrowienia. Odczytując te słowa. Józaf zdumiał się i zastanowił: w jaki sposób magister ludzi, autor listu, uzyskać mógł prośbę o przekazanie tych pozdrowień, wcale zresztą nie pasujących do urzędowego pisma? Musiała widocznie odbyć się jakaś konferencja całej zwierzchności, z udziałem również starych mistrzów. No, cóż, nic go nie obchodziły posiedzenia i decyzje instytucji pedagogicznej; lecz osobliwie po-

ruszyło go to pozdrowienie, zabrzmiało mu dziwnie a koleżeńsko. I niezależnie od tematu owej możliwej konferencji, pozdrowienie to świadczyło, iż najwyższe władze przy tej okazji mówiły także o Józefie Knechcie. Czyżby czekało go coś nowego? Czy miał zostać odwołany? I czy wyniknie z tego awans, czy degradacja? Ale list mówił tylko o urlopie. Tak, na ów urlop cieszył się szczerze, miałby największą ochotę wyruszyć już nazajutrz. Musiał jednak pożegnać się przynajmniej ze swymi uczniami i pozostawić im pewne wskazówki. Antoni bardzo się zmartwił jego wyjazdem. A niektórym ojcom także winien złożyć pożegnalne wizyty. Pomyślał z kolei o Jakubie i niemal ze zdziwieniem odczuł w głębi duszy lekki ból, poruszenie, które mówiło mu, iż bardziej przyłgnął sercem do Mariafels, niż sobie sam uświadamiał. Brak mu było tutaj wielu rzeczy, do których przywykł i które były mu drogie, a w ciągu owych dwóch lat Kastalia łąła się w jego wyobraźni jeszcze piękniejsza wskutek oddalenia i wyrzeczeń; ale w tej chwili pojął wyraźnie iż to, co otrzymał w osobie ojca Jakuba, było niezastąpione, i że będzie mu tego brakować w Kaslalii. Jaśniej wskutek tego uświadomił sobie również to wszystko, czego się tu nauczył i co tutaj przeżył, i ogarnęła go pełna ufności radość na myśl o podróży do Waldzell, o spotkaniu, grze szklanych paciorków i wakacjach, choć radość ta byłaby mniejsza, gdyby nie miał pewności powrotu.

Pod wpływem, nagłego odruchu poszedł do ojca Jakuba, opowiedział o swym odwołaniu na urlop i o tym, jak był zaskoczony, iż poza radością z powrotu i powitania, poczuł też w sobie radość na myśl o powrocie, a ponieważ owa radość odnosi się przede wszystkim do niego, wielbionego ojca, zdobywa się oto na odwagę i zwraca się do niego z wielką prośbą: by, mianowicie, po powrocie zechciał go trochę pouczyć, choćby przez godzinę czy dwie tygodniowo. Jakub roześmiał się i zajmując pozycję obronną, znów jął formułować przepiękne a drwiące komplementy na temat niedościgle wszechstronnej kastalskiej edukacji, wobec której on, prostaczek zakonny, musi jeno trwać w milczącym podziwieniu, a ze zdumienia aż głową kręcić; lecz Józef spostrzegł

już, że to wzbranianie się nie było poważne, a gdy podawał mu rękę na pożegnanie, pater powiedział mu życzliwie, aby się nie martwił z powodu swojej prośby, chętnie bowiem uczyni dlań wszystko, co w jego mocy, i najserdeczniej się z nim pożegnał.

Rśdośnie ruszył tedy Józef w rodzinne strony, na wakacje, przekonany w głębi serca, że czas, który spędził w klasztorze, nie poszedł na marne. Przy odjeździe miał uczucie, że jest chłopcem, choć wkrótce już musiał stwierdzić, iż nie tylko chłopcem, ale nawet młodzieńcem bynajmniej już jest; spostrzegł to po uczuciu zawstydzenia i wewnętrznego oporu, jakie odezwało się w nim, gdy chciał jakimś gestem, okrzykiem, dziecinadą wyrazić swój nastrój swobody i sztubackiej, wakacyjnej szczęśliwości. Nie, to, co niegdyś byłoby sarno przez się zrozumiałe i wyzwajające, okrzyk szczęścia, aż ku ptakom na drzewach, głośno zaintonowana marszowa pieśń, roztańczenie się w swobodnych rytmach • — teraz już nie uchodziło, wydałoby się sztywne i sztuczne, byłoby głupie i naiwne. Poczul, że jest mężczyzną, młodym w sercu i pełnym młodych sił, lecz niezdolnym już do oddawania się nastrojowi chwili, już nie swobodnym, lecz czujnym, skrepowanym i zobowiązanym — wskutek czego? Wskutek stanowiska? Wskutek konieczności reprezentowania wobec braci zakonnej swego kraju i swego zakonu? Nie, wpływ wywierał tu sam zakon, hierarchia, w którą — jak stwierdził przy tej nagłej samoanalizie — wrósł oto w sposób niepojęty, albo może został w nią wbudowany, odpowiedzialność, ogarnięcie go przez coś powszechnego a wyższego, co było w stanie sprawić, iż niejeden młodzik może wydać się starcem, a starzec młodzieńcem, co trzymało człowieka, wspierało, a jednocześnie ograbiało z wolności, niczym palik, do którego przywiązuje się młode drzewko, co pozbawiało niewinności, choć jednocześnie domagało się przecież coraz większej czystości.

W Monteport pozdrowił starego mistrza muzyki, który sam niegdyś, za młodu, był gościem w Mariafels i studiował tam muzykę benedyktyńską, obecnie zaś wypytywał go o wiele rzeczy. Zastał go cokolwiek wprawdzie przygasłego

i odwróconego od świata, ale z wyglądu silniejszego i pogodniejszego niż przy ostatnim ich spotkaniu: zmęczenie znikło z jego rysów od chwili, kiedy złożył swój urząd, stał się może nie młodszy, lecz piękniejszy i subtelniejszy. Knechta uderzyło, że wypytywał go o organy, szafy pełne nut i o śpiew chóru w Mariafels, chciał także wiedzieć, czy nadal rośnie drzewo w ogródcu, ale nie przejawiał najmniejszego zaciekawienia kursem gry szklanych paciorków, celem urlopu Józefa, jego działalnością w klasztorze. Mimo to starzec powiedział mu przy pożegnaniu coś, co okazało się dlań cenne.

■— Doszły mnie słuchy — rzekł jakby żartobliwym tonem •— że stałeś się czymś w rodzaju dyplomaty. Nie jest to właściwie piękny zawód, lecz, zdaje się, że są z ciebie zadowoleni. Myśl sobie o tym, co zechcesz! Lecz jeśli nie jest twoją ambicją pozostać w tym zawodzie na zawsze, to miej się na baczności, Józefie; wydaje mi się bowiem, że chcą cię omotać. Broń się, masz do tego prawo. Nie, o nic nie pytaj, ani słowa więcej ci nie powiem. Sam zobaczysz.

Pomimo tej przestrogi, tkwiącej w nim jak cierni, Józef poczuł przy swym przyjeździe do Waldzell tak silną radość z powrotu do kraju i domu, jak nigdy dotąd; wydawało mu się, że owo Waldzell jest nie tylko jego ojczyzną i miejscem najpiękniejszym na świecie, lecz że przez czas jego nieobecności stało się jeszcze piękniejsze i bardziej interesujące, a może to on nowe ma teraz oczy i przywiózł ze sobą spotęgowaną siłę widzenia. A odnosiło się to nie tylko do bram, wież, drzew i rzeki, dziedzińców i sal, postaci i dobrze znanych twarzy; podczas urlopu czuł też tę spotęgowaną chłonność dla ducha Waldzell, dla zakonu i gry szklanych paciorków, czuł dla nich wzmożone a pełne wdzięczności zrozumienie człowieka, który powrócił, wiele już podróżował, stał się dojrzały i mądrzejszy.

— Mam wrażenie — rzekł do przyjaciela swojego, Tegulariusa, na zakończenie swej pochwalnej pieśni ku czci Waldzell i Kastalii — mam wrażenie, jakbym wszystkie lata tutaj spędził we śnie, szczęśliwy wprawdzie, lecz pozbawiony świadomości, i jakbym teraz oto się obudził i zo-

baczył wszystko jasno i ostro, potwierdzone jako rzeczywistość. Że też dwa lata pobytu na obczyźnie potrafią tak wyostrzyć wzrok!

Rozkoszował się swoim urlopem jak świętem, zwłaszcza zaś zabawami i dyskusjami w koleżeńskim gronie, w Vicus Lusorum wśród elity; ponownym spotkaniem z przyjaciółmi i z *genius loci* Waldzell. Lecz ten jego wspaniały nastrój szczęścia i radości rozkwitł dopiero w pełni gdy po raz pierwszy przyjął go mistrz gry szklanych paciorków, aż do tej chwili bowiem radość jego pomieszana była jeszcze z obawą.

Magister ludzi zadał mu mniej pytań, niż się Knecht spodziewał, ledwo wspomniął o kursie gry dla początkujących i o studiach Józefa w archiwum muzycznym, a jedynie na temat ojca Jakuba nigdy nie dość mu było wiadomości, nieustannie nawracał do niego w rozmowie, ciągle domagał się, by Józef opowiedział mu o nim jeszcze więcej. Knecht zorientował się, że są zadowoleni, a nawet bardzo zadowoleni zarówno z niego, jak i z jego misji u benedyktynów; poznał to nie tylko z wielkiej życzliwości mistrza, lecz może bardziej jeszcze z zachowania się pana Dubois, do którego magister zaraz dalej go posłał.

— Znakomicie wywiązałeś się ze swego zadania — orzekł ten, dorzucając z cichym śmiechem: — Doprawdy, nie okazałem wówczas dobrego instynktu, odradzając wysłanie ciebie do tego klasztoru. A fakt, że prócz opata zdołałeś sobie zjednać wielkiego ojca Jakuba i przychylniej nastroić go do Kastalii, to więcej, o wiele więcej, niż ktokolwiek śmiał się spodziewać.

Dwa dni później mistrz gry szklanych paciorków zaprosił Knechta, wraz z Dubois oraz z obecnym przełożonym elitarniej szkoły w Waldzell, następcą Zbindena, na obiad, a podczas godzinnej rozmowy po posiłku pojawił się też niespodziewanie nowy mistrz muzyki oraz archiwariusz zakonu, czyli dwaj dalsi członkowie władz najwyższych; a jeden z nich zabrał go jeszcze ze sobą do domu, przeznaczonego dla gości, na długą rozmowę. Zaproszenie to po raz pierwszy i w sposób wyraźny dla wszystkich wysunęło Knechta

do najściślejszego kręgu kandydatów do wysokich stanowisk, wznosząc też niebawem pomiędzy nim a elitarną grupą graczy wyraźnie wyczuwalną barierę, którą Józef przy swej wzmożonej czujności przykro odczuł. Udzielono mu zresztą czterotygodniowego urlopu i dano używaną ogólnie przez urzędników legitymację do domów prowincji, przeznaczonych dla gości. A choć nie obarczono go żadnymi zobowiązaniami, nawet obowiązkiem meldowania się, zdołał zauważyć, iż jest obserwowany, skoro bowiem naprawdę złożył kilka wizyt i odbył parę wycieczek, na przykład do Keuperheim, do Hirsland i do instytutu wschodnioazjatyckiego, otrzymał wkrótce również i tam zaproszenia od najwyższych miejscowych urzędów; i w ciągu tych kilku tygodni zapoznał się doprawdy z całą najwyższą instancją zakonu oraz z większością magistrów i kierowników studiów. Gdyby nie było tych nader oficjalnych zaproszeń i znajomości, wycieczki owe byłyby dla Knechta jakby powrotem do świata i swobód jego lat studenckich. Ograniczał je jednak, głównie ze względu na Tegulariusa, który ciężko przeżywał każdą przerwę w ich ponownym spotkaniu, lecz także z uwagi na grę szklanych paciorków, gdyż zależało mu bardzo na ponownym uczestniczeniu tutaj w najnowszych ćwiczeniach, na ustawianiu problemów i wykazaniu swej sprawności, w czym Tegularius świadczył mu nieocenione usługi. Drugi z bliskich jego przyjaciół, Ferromonte, należał do sztabu nowego mistrza muzyki i w owym czasie zdołał go spotkać zaledwie dwa razy; zastał go zapracowanego i uszczęśliwionego pracą; miał przed sobą wielkie zadanie w historii muzyki, mianowicie udowodnienie trwania elementów muzyki greckiej w tańcach i ludowych pieśniach krajów bałkańskich; pełen ochoty do zwierzeń, opowiedział przyjacielowi o najnowszych swoich pracach i odkryciach; dotyczyły one epoki stopniowego schyłku muzyki barokowej, mniej więcej od końca osiemnastego wieku, oraz wtrągnięcia nowej muzycznej substancji od strony słowiańskiej muzyki ludowej.

Większą część tego odświętnego, wakacyjnego czasu spędzał jednak Knecht w Waldzell przy grze szklanych paciorków.

ków; powtarzał z Fritzem Tegulariusem jego notatki z *privatissimum*, ze ścisłych ćwiczeń, jakie magister prowadził w ciągu dwóch ostatnich semestrów dla zaawansowanych i po dwuletnim wyrzeczeniu wszystkimi siłami powracał znowu do owego szlachetnego, ludycznego świata, którego urok wydawał mu się tak nierozdzielnie i nieodzownie związany z całym jego życiem, jak urok muzyki.

Magister ludzi dopiero w ostatnich dniach tego urlopu jął ■znowu powracać w rozmowie do misji Józefa w Mariafels oraz do najbliższej jego przyszłości i zadań. Najpierw w luźnej gawędzie, później już poważniej i wnikliwiej, opowiedział Józefowi o planie zwierzchności, na którym większości magistrów oraz panu Dubois niezmiernie zależy, mianowicie o planie zorganizowania w przyszłości stałego przedstawicielstwa Kastalii przy Stolicy Apostolskiej w Rzymie.

— Nadeszła już — wywodził w swój ujmujący a formalnie nieskazitelny sposób mistrz Tomasz — lub co najmniej bliska jest historyczna chwila przerzucenia mostu pomiędzy Rzymem i zakonem; w razie ewentualnych przyszłych zagrożeń Rzym i zakon mieć będą niewątpliwie wspólnych nieprzyjaciół, staną się naturalnymi sprzymierzeńcami, jednym połączonymi losem, zresztą dotychczasowy stan rzeczy na dłuższą metę utrzymać się nie da, jest właściwie nie do przyjęcia, żeby dwie te światowe potęgi, których historycznym zadaniem jest zachowanie i kultywowanie intelektu i pokoju, żyły nadal tak obok siebie, niemal sobie obce. Kościół Rzymski, mimo ciężkich strat, przetrwał wstrząsy i kryzysy ostatniej wielkiej epoki wojennej, odnowił się przez nią i oczyścił, podczas gdy ówczesne świeckie ośrodki wiedzy i nauki uległy zagładzie wraz z upadkiem całej kultury; dopiero na ich gruzach powstał zakon i idea Kastalii. Już choćby dlatego i z racji czcigodnego wieku przyznać należy Kościołowi pierwszeństwo: jest on starszą, szacowniejszą, w liczniejszych i sroższych burzach ostałą potęgą. Najpierw jednak chodzi o to, aby w Kościele Rzymskim obudzić i kultywować świadomość pokrewieństwa obu potęg i wzajemnej ich od siebie zależności we wszelkich ewentualnych przyszłych kryzysach.

(Tu Knecht pomyślał: „Och, a więc do Rzymu chcą mnie wysłać i może nawet na zawsze!”, a pamiętając o ostrzeżeniu starego mistrza muzyki, przygotował się wewnętrznie do obrony).

Mistrz Tomasz mówił dalej:

Ważny krok w tym, przez Kastalię od dawna już upragnionym rozwoju dokonany został misją Knechta w Mariafels. Misja ta, która w zasadzie była jedynie próbą, gestem uprzejmości nie zobowiązującym do niczego, podjęta została bez ubocznych intencji, na zaproszenie tamtejszego partnera, w innym bowiem wypadku nie obarczono by nią, oczywiście, jakiegoś absolutnie nie wyrobionego politycznie lu-sora szklanych paciorków, lecz na przykład jakiegoś młodszego urzędnika ze sfery pana Dubois. Lecz oto owa próba owa drobna a niewinna misja przyniosła zdumiewająco dobry rezultat, dzięki niej bowiem jeden z czołowych umysłów współczesnego katolicyzmu, pater Jakub, zapoznał się nieco bliżej z duchem Kastalii i ma obecnie o tym duchu, do którego był dotychczas na wskroś negatywnie nastawiony, wyobrażenie nieco korzystniejsze. Józefowi Knechtowi wyraża się wdzięczność za rolę, jaką przy tym odegrał. Na tym bowiem polega sens i sukces jego misji i pod tym kątem widzenia należy też nadal rozpatrywać i prowadzić nie tylko całą próbę zbliżenia, lecz zwłaszcza posłannictwo i pracę Knechta. Udzielono mu urlopu, który, jeśli sobie Józef tego *yczy*, będzie można jeszcze trochę przedłużyć, rozmawiano z nim i zapoznano z większością członków najwyższej instancji, zwierzchność okazała mu swe zaufanie i poleciła oto jemu, mistrzowi gry szklanych paciorków, odesłać Knechta z zadaniem specjalnym, oraz z rozszerzonymi kompetencjami z powrotem do Mariafels', gdzie, na szczęście, pewien być może życzliwego przyjęcia.

Mistrz przerwał, jakby chcąc dać swemu słuchaczowi czas na jakieś pytanie, lecz ten jedynie uprzejmym gestem dał do zrozumienia, że słucha uważnie i pojmuje, o co chodzi.

— Zlecenie, jakie mam ci przekazać — rzekł tedy mistrz ■— jest więc następujące: planujemy utworzenie, wcześniej czy później, stałego przedstawicielstwa naszego

zakonu przy Watykanie, jeśli tylko by się dało, na zasadzie wzajemności. Jako młodszy, gotowi jesteśmy przyjąć wobec Rzymu postawę wprawdzie nie poddaną, lecz pełną bardzo głębokiego szacunku, chętnie też zajmiemy drugie miejsce, jemu pozostawiając pierwsze. Być może — ani mnie, ani panu Dubois nic o tym nie wiadomo — papież gotów byłby przyjąć propozycję naszą już dzisiaj; nie możemy jednak dopuścić do odmowy Rzymu. A jednego tylko znam człowieka, którego głos ma w Rzymie doniosłość ogromną: ojca Jakuba. Twoja zaś misja polega na tym, że masz powrócić do klasztoru benedyktynów, żyć tam jak dotychczas, studiować, prowadzić niewinny kurs gry szklanych paciorków, a przy tym całą uwagę i troskliwość skierować na to, aby stopniowo zdobywać dla nas ojca Jakuba, a także, by przyrzekł ci on popieranie naszego zamiaru w Rzymie. Tym razem więc cel ostateczny twojej misji jest ściśle określony. Ile czasu trzeba ci będzie na to, żeby go osiągnąć, to kwestia uboczna; sądzimy, że potrwa to co najmniej jeszcze rok, lecz mogą być i dwa lata lub nawet i więcej. Znasz przecie benedyktyńską powolność i nauczyłeś się do niej dostosowywać. Pod żadnym pozorem nie wolno nam okazać niecierpliwości i łączywości, cała ta sprawa dojrzeć musi niejako sama przez się, rozumiesz? Mam nadzieję, że zgadzasz się na tę misję, i proszę cię o szczerze wypowiedzenie wszelkich zastrzeżeń, jakie byś ewentualnie chciał poczynić. Jeśli chcesz, możemy ci dać nawet kilka dni do namysłu.

Knecht, którego zlecenie to po kilku uprzednio już przeprowadzanych rozmowach bynajmniej nie zaskoczyło, oświadczył, że czasu do namysłu nie potrzebuje i posłusznie przyjął polecenie, dodał wszakże:

•— Wiecie, iż misje tego rodzaju udają się najlepiej wówczas, gdy człowiek nimi obarczony nie musi przy tym zwalczać własnych wewnętrznych zahamowań i oporów. Wobec samej misji oporów nie czuję, pojmuję jej doniosłość i ufam, że zdołam jej sprostać. Lecz niejaką obawę i przygnębienie odczuwam z powodu mojej przyszłości: bądźcież tak *dobrzy*, magistrze, i zechciejcie wysłuchać mej na wskroś osobistej, egoistycznej prośby i mego wyznania. Jestem, jak wam

wiadomo, graczem szklanych paciorków, lecz oto wskutek wysłania mnie do ojców straciłem w studiach moich pełne dwa lata, a teraz dojdzie do nich co najmniej dalszy jeszcze rok, a prawdopodobnie nawet więcej. Nie zdołałem wzbogacić swojej wiedzy i zaniedbałem kunszt. Otóż nie chciałyby cofnąć się jeszcze bardziej. Dlatego też proszę o częste, choć krótkie urlopy do Waldzell i o stały kontakt radiowy z wykładami i ćwiczeniami specjalnymi waszego seminarium dla zaawansowanych.

— Chętnie się na to zgadzam — zawołał mistrz, a w tonie jego brzmiała już nutka pożegnania, gdy nagle Knecht podniósł głos i dodał jeszcze, iż obawia się, że jeśli owa misja w Mariafels powiedzie mu się, zostanie na przykład wysłany do Rzymu albo w inny sposób nadal będzie używany do służby dyplomatycznej.

— A takie widoki ■— zakończył — przygnębiałyby mnie i hamowały mnie w moich usiłowaniach w klasztorze. Nad wyraz bowiem niepożądane byłoby dla mnie odsunięcie na stałe do służby dyplomatycznej.

Magister zmarszczył brwi i z przyganą podniósł palec:

— Mówisz o odsunięciu, a doprawdy niefortunnie wybrałeś to określenie, nikt tu bowiem ani przez moment o żadnym odsuwaniu nie myślał, raczej o wyróżnieniu, o swansie. Nie jestem upoważniony do udzielania ci informacji czy dawania obietnic w sprawie późniejszej twojej służby. Od biedy mogę jednak zrozumieć twe zastrzeżenia, a przy puszczałnie będę ci też mógł dopomóc, jeśli obawy twoje miałyby istotnie okazać się słuszne. A teraz słuchaj: posiadasz poniekąd dar zdobywania popularności i sympatii, ktoś niechętny mógłby cię nazwać niemal uwodzicielem i prawdopodobnie ten właśnie twój dar skłonił zwierzchność do dwukrotnego wysłania cię do klasztoru. Ale nie nadużywaj owego daru, Józefie, i nie usiłuj także podbijać ceny swoich powodzeń. Jeśli poszczęści ci się z ojcem Jakubem, wówczas będzie to odpowiedni moment, żeby zwrócić się do zwierzchności z prośbą osobistą. Dziś wydaje mi się to przedwczesne. Daj mi znać, gdy gotów już będziesz do podróży.

Józef w milczeniu przyjął owe słowa, chwytając raczej

ukryty w nim ton przychylności niż nagany, i wkrótce potem odjechał znowu do Mariafels.

Odczuł tam dobroczynny wpływ pewności, jaką daje wyraźnie określone zlecenie. A ponadto było to zlecenie ważne i zaszczytne, pod pewnym zaś względem zbiegało się z najskrytszymi pragnieniami jego samego: przebywać możliwie jak najwięcej z ojcem Jakubem i pozyskać jego przyjaźń. O tym, że nowa jego misja traktowana jest tutaj poważnie, a on sam wyższą uzyskał rangę, świadczyła inna już nieco postawa wobec niego klasztornych dostojników, zwłaszcza zaś opata; byli nie mniej życzliwi, ale o wyraźnie wyczuwalny stopień bardziej niż uprzednio pełni szacunku. Józef nie był już tylko młodym gościem, bez jakiegokolwiek rangi, któremu okazuje się uprzejmość z racji jego pochodzenia i przychylności dla jego osoby; przyjmowany był teraz raczej jak wyższy urzędnik kastalski i traktowany mniej więcej jak pełnomocny ambasador. Nie był już ślepy na tego rodzaju sprawy i wyciągnął z tego odpowiednie wnioski.

U ojca Jakuba nie zdołał wprawdzie odkryć żadnej zmiany w zachowaniu: przyjaźń i radość, z jaką go pater powitał, a także fakt, że nie czekając na prośbę czy przypomnienie Knechta zaraz o uzgodnionej wcześniej, wspólnej pracy napomknął, wzruszyły Józefa głęboko. Plan jego pracy i dnia ukształtował się obecnie zupełnie inaczej niż przed urlopem. W planie tym kurs gry szklanych paciorków bynajmniej nie znajdował się tym razem na pierwszym miejscu, a o studiach jego w archiwum muzycznym, jak również o koleżeńskej współpracy z organistą, w ogóle nie było mowy. Na pierwszym miejscu znalazła się teraz nauka u ojca Jakuba, kształcenie się w kilku dyscyplinach historycznych jednocześnie, pater bowiem wprowadzał ulubionego swego ucznia nie tylko w prehistorię i wczesne dzieje zakonu benedyktynów, lecz również w umiejętność korzystania z wczesnych średniowiecznych źródeł, ponadto zaś, podczas specjalnie na ten cel przeznaczonej godziny, czytał wraz z nim oryginalny tekst pewnego starego kronikarza. Ojcu Jakubowi podobało się, iż Knecht błagał go usilnie, by i mło-

demu Antoniemu wolno było w tych naukach uczestniczyć, z łatwością jednak zdołał go przekonać, że osoba trzecia, nawet pełna najlepszych chęci, hamująco wpływać będzie na tego rodzaju prywatne nauczanie; tak tedy Antoni, który pojęcia nie miał o wstawiennictwie Knechta, zaproszony został jedynie do uczestniczenia w czytaniu tekstów starego kronikarza i czuł się z tego powodu niesłychanie uszczęśliwiony. Godziny te stanowiły dla młodego brata, o którego dalszym życiu nic już nie wiemy, niewątpliwie wyróżnienie, rozkosz i silniejszy bodziec; wolno mu było w roli słuchacza i młodego rekruta uczestniczyć po trosze w pracy i wzajemnej wymianie myśli dwóch najczystszych intelektów i najbardziej oryginalnych umysłów owej epoki. Obowiązki Knechta wobec ojca Jakuba polegały z kolei na stałym, następującym zawsze tuż po lekcjach epigrafiki i korzystania ze źródeł, wprowadzeniu go w dzieje i strukturę Kastalii oraz w przewodnie myśli gry szklanych paciorków, przy czym uczeń przekształcał się w nauczyciela, czcigodny zaś nauczyciel stawał się uważnym słuchaczem, a częstokroć krytykiem, którego wątpliwości nader trudno rozwiązać właściwymi odpowiedziami. Nieufność ojca Jakuba do mentalności kastalskiej nie słabła ani na chwilę: nie znajdując w niej bowiem właściwie postawy religijnej, powątpiewał, by zdolna była i godna wychować człowieka, którego można by traktować poważnie, choć przecie miał przed sobą, w osobie Knechta, tak szlachetny rezultat owego wychowania. I nawet wówczas jeszcze, gdy już od dawna — jeśli to w ogóle było możliwe — dzięki nauce i przykładowi Knechta doznał czegoś w rodzaju nawrócenia i od dawna też gotów był już poprzeć zbliżenie się Kastalii do Rzymu, nieufność ta nigdy całkiem w nim nie wygasła; notatki Knechta obfitują w mnóstwo drastycznych, na gorąco w danym momencie spisywanych tego przykładów, spośród których jeden tu przytaczamy:

Pater: Wy, Kastalczycy, jesteście wielkimi uczonymi i estetami, mierzycie wagę samogłoski w jakimś starym wierszu i formułę tę łączycie z wzorem toru pewnej planety. To urocze, ale to zabawa. Zabawą jest przecież także naj-

większa wasza tajemnica i symbol, gra szklanych paciorków. Chcę również uznać, iż podjęliście próbę podniesienia owej pięknej gry do rangi niemal sakramentu lub przynajmniej środka uświęcającego. Lecz sakramenty z wysiłków takich nie powstają: zabawa pozostaje zabawą.

Józef: Sądźcie, ojcze, iż brak nam fundamentu teologii?

Pater: Ach, nie mówmy tu o teologii, zanadto jesteście jeszcze od niej oddaleni. Przydałyby się wam już pewne prostsze fundamenty, na przykład antropologia, prawdziwa nauka i prawdziwa wiedza o człowieku. Nie znacie go bowiem, nie znacie człowieka ani jego zwierzęcości, ani jego postaci na obraz i podobieństwo Boga. Znacie jedynie Kastalczyka, twór szczególnie, kastę, wydelikacyony okaz hodowlany.

Nader szczęśliwym przypadkiem było dla Knechta, iż w ciągu owych godzin otwierało się przed nim dogodnie a szerokie pole dla jego zadania, pozyskania ojca Jakuba dla Kastalii i przekonania go o wartości przymierza z nią. Miał wskutek tego sytuację tak doskonale odpowiadającą wszystkiemu, czego tylko można było sobie życzyć i wymarzyć, iż wkrótce już ją przy tym odczuwać coś na kształt skrupułów, zawstydzające bowiem i niegodne wydawało mu się, że czcigodny mąż siedzi oto, pełen ufności, naprzeciw niego lub wraz z nim przechadza się po krużganku, a jest przecież jednocześnie celem i przedmiotem tajnych politycznych zamiarów i interesów. Knecht nie potrafiłby długo znosić w milczeniu tej sytuacji i zastanawiał się już tylko nad formą, jaką nadać powinien zdemaskowaniu samego siebie, gdy oto, ku jego zaskoczeniu, starzec go uprzedził.

— Drogi przyjacielu — rzekł pewnego dnia, jakby mimochodem — znaleźliśmy oto nad wyraz przyjemny i, jak się spodziewani, również owocny sposób wymiany. Oba zajęcia, które przez całe życie były dla mnie najmiłsze: uczenie się i nauczanie innych, połączyły się w tych wspólnych godzinach naszej pracy w nową, piękną kombinację; dla mnie nastąpiło to przy tym w odpowiednim momencie, gdyż zaczynam się starzec i nie potrafiłbym doprawdy wymyślić dla siebie lepszej, bardziej odświeżającej kuracji nad te

wzajemne nasze studia. Co się mnie tyczy, niechybnie jestem stroną odnoszącą zysk w tej wymianie. Natomiast nie jestem już tak pewien, czy i pan, drogi przyjacielu, a zwłaszcza czy ludzie, których pan jest wysłannikiem i którym pan służy, tak wiele przy tej okazji zyskać mogą, jak może się spodziewają. Chciałbym zapobiec późniejszym rozczarowaniom, a ponadto pragnąłbym, by w kontaktach pomiędzy nami nie było nieudomówień, dlatego proszę pozwolić mi, staremu praktykowi, na jedno pytanie: o pobycie pańskim w naszym klasztoru, mimo iż tak mi on miły, często jaż, oczywiście, rozmyślałem. Do niedawna jeszcze, mianowicie do ostatniego pańskiego urlopu, miałem wrażenie, iż cel i sens pańskiego u nas pobytu i dla pana nie były całkowicie jasne. Czy słuszne były te moje obserwacje? Gdy Knecht przytaknął, starzec mówił dalej:

— Dobrze. Lecz od chwili powrotu pana z urlopu zmieniło się to. Nie nękają pana już myśli ani domysły co do celu pańskiego tutaj pobytu, lecz wie pan, o co chodzi. Prawda? Dobrze, odgadłem tedy trafnie. A zapewne nie mylę się też w mych przypuszczeniach co do celu pańskiego tu przebywania. Ma pan do spełnienia pewną dyplomatyczną misję, a nie dotyczy ona ani naszego klasztoru, ani naszego opata, tylko dotyczy mnie. Widzi pan, że niezbyt wiele z tej pańskiej tajemnicy pozostaje. Chcąc całkowicie wyjaśnić sytuację, czynię oto ostatni krok i radzę panu powierzyć mi też całą resztę tej tajemnicy. A więc na czym polega pańskie zadanie?

Knecht zerwał się i stał oto przed ojcem Jakubem zaskoczony, zmieszany, niemal przerażony:

— Ojciec ma rację — zawołał — lecz przynosząc mi ulgę, zawstydzając jednocześnie, uprzedzając mnie. Od pewnego czasu zastanawiałem się już, w jaki sposób nadać naszym kontaktom ową jasność, którą ojciec oto tak szybko ustanowił. Całe szczęście, że moja prośba o udzielanie mi nauk i umowa nasza na temat wprowadzenia mnie w dziedzinę waszej wiedzy przypadły jeszcze na czas przed moim urlopem, inaczej bowiem mogłoby doprawdy wydawać się, iż wszystko

to było z mej strony jedynie dyplomacją, a studia nasze tylko pretekstem!

Starzec uspokoił go życzliwie:

— Chciałem jedynie dopomóc nam obu w posunięciu się o krok naprzód. Czystość pańskich zamiarów nie wymaga żadnych zapewnień. Jeśli zaś, wyprzedzając pana, nie wprowadziłem niczego, czego by pan sam nie pragnął, tedy wszystko w porządku. — A na temat misji Knechta, której treść ten mu teraz wyjawiał, starzec rzekł:

— Wy, panowie z Kastalii, jesteście nie genialnymi wprawdzie, lecz całkiem znośnymi dyplomatami, a ponadto szczęście wam sprzyja. Nad misją pańską zastanowię się jeszcze w spokoju, decyzja moja zaś po części zależeć będzie od tego, jak dalece uda się panu wprowadzić mnie w kastalską waszą konstytucję i w świat kastalskich poglądów i sprawić, by stały się one dla mnie możliwe do przyjęcia. Lecz nie spieszmy się z tym.

Widząc, iż Knecht nadal jest jeszcze nieco zmieszany, ojciec Jakub zaśmiał się oschle i dorzucił:

— Może pan, jeśli pan chce, uznać moje postępowanie za coś w rodzaju nauki. Jesteśmy obsj dyploamatami, a spotkanie ich zawsze jest walką, nawet jeśli przybiera przyjazną formę. W naszej walce ja byłem w danej chwili słabszy, inicjatywa wymknęła mi się z rąk. Pan wiedział więc ode mnie. Ale oto teraz szansę się wyrównały. Szachowe posunięcie udało się, a zatem było słuszne.

Knechtowi wydawało się cenne i ważne pozyskać ojca Jakuba dla zamierzeń władz kastalskich, lecz znacznie jeszcze ważniejsze — nauczyć się od niego, ile się tylko da, a ze swej strony stać się dla tego uczonego i wiele mogącego człowieka niezawodnym przewodnikiem po kastalskim świecie. Od różnych swych przyjaciół i uczniów doznawał Knecht wielu przejawów zazdrości, tak właśnie, jak zwykło się ludziom wyjątkowym zazdrościć nie tylko wewnętrznej ich wielkości i energii, lecz również pozornego szczęścia i pozornego uprzywilejowania przez los. Pomniejsze jednostki widzą u większych to, co same dostrzec potrafią, a kariera i wyniesienie Józefa Knechta istotnie wydawały się każde-

mu obserwatorowi czymś niezwykle świetnym, szybkim, pozornie pozbawionym też wysiłku, można więc było doznać pokusy określenia tej epoki jego życia mianem szczęścia. Lecz nie zamierzamy podejmować próby wyjaśnienia owego „szczęścia” w sposób racjonalny czy moralny jako przyczynowego skutku okoliczności zewnętrznych, ani jako swojej nagrody za szczególną jego cnotliwość. Szczęście nie ma nic wspólnego z rozumem ani moralnością, z istoty swojej jest ono czymś magicznym, przynależnym do wczesnego, młodocianego etapu rozwoju ludzkości. Naiwny szczęściarz, obdarowany przez dobre wióźki i rozpieszczany przez bogów, nie jest tematem odpowiednim dla racjonalnych rozważań, a wskutek tego nie nadaje się też do badań biograficznych, stanowi symbol i znajduje się poza granicami tego, co ośbiste i historyczne. A mimo to istnieją ludzie wybitni, z których życia nie da się wykluczyć „szczęścia” z myślowych rozważań, choćby polegało ono jedynie na tym, iż oni sami i właściwe dla nich zadanie istotnie odnajdują się i spotykają zarówno pod względem biograficznym, jak historycznym, że urodzeni oni zostali nie za wcześnie, lecz również i nie za późno; i do nich zdaje się należał Knecht. Tak tedy życie jego, przynajmniej przez pewien czas, sprawia wrażenie, jaby wszystko, czego zapragnął, przychodziło mu bez najmniejszego trudu. Nie zamierzamy negować tej strony jego życia ani jej zacierać, lecz rozumowo moglibyśmy wyjaśnić ją jedynie z pomocą metody biograficznej, która nie jest naszą metodą, nie należy też do pożądaných i dozwolonych w Kastalii, mianowicie z pomocą nieograniczonego niemal wnikania w sprawy najściślej osobiste i prywatne, sprawy choroby i zdrowia, w wahania i meandry życia i samopoczucia. Przekonani jesteśmy, iż taki, niemożliwy dla nas do przyjęcia, rodzaj biografii, doprowadziłby nas do stwierdzenia całkowitej równowagi pomiędzy „szczęściem” Knechta i jego cierpieniami, lecz mimo to zafałszowałby wizerunek jego postaci i losu.

Dosyć dygresji. Mówiliśmy o tym, iż wiele ludzi znających Knechta lub też takich, którzy jedynie o nim słyszeli, zazdrościło mu. Lecz pomniejszym istotom nic chyba w ży-

ciu Józefa nie wydawało się tak godne zazdrości, jak jego kontakt ze starym benedyktyńcem, będący jednocześnie stosunkiem ucznia i nauczyciela, braniem i daniem, pozyskiwaniem i poddawaniem się, przyjaźnią i jednocześnie serdeczną, roboczą wspólnotą. Knecht sam zresztą od chwili zjednięcia sobie Starszego Brata w Gaju Bambusowym nie czuł się jeszcze nigdy tak uszczęśliwiony żadną swoją konkieta, żadną też tak bardzo wyróżniony i zawstydzony jednocześnie, obdarowany i pobudzony. I niemal każdy z późniejszych ulubionych jego uczniów potwierdzał, jak często, chętnie i radośnie wspominał on ojca Jakuba. U niego bowiem nauczył się czegoś, czego w ówczesnej Kastalii chyba by się nauczyć nie mógł: przyswoił sobie nie tylko ogólną wiedzę o metodach i sposobach historycznej nauki i badań, przeszedł nie tylko przez pierwsze ćwiczenie w posługiwaniu się nimi, lecz, co znacznie ważniejsze, poznał historię nie jako dziedzinę wiedzy, lecz jako rzeczywistość, jako życie, z czym połączone było odpowiednie przekształcenie i wzmożenie życia własnego w historii. Od zwykłego uczonego nie mógłby się tego nauczyć. Jakub jednak był nie tylko wizjonerem i mędrcem sięgającym daleko poza granice uczoneści. Był ponadto jeszcze człowiekiem przeżywającym i współtworzącym, a miejsca, na którym go los postawił, nie wykorzystywał na to, by wygrzewać się wygodnie w kontemplacyjnej jeno egzystencji, lecz pozwalał wichrom świata przewiewać swą pracownię uczonego, nędze zaś i przecucia swojej epoki wpuścił do własnego serca, współuczestniczył w wydarzeniach swoich czasów, stał się współwinny i współodpowiedzialny, miał do czynienia nie tylko z ogarnianiem, porządkowaniem i wyjaśnianiem dawno minionych już wydarzeń i nie tylko z ideami, ale w stopniu nie mniejszym z oporem ludzi i materii. Uważany był — na równi ze swym współpracownikiem i adwersarzem, pewnym niedawno zmarłym jezuitą — za właściwego twórcę dyplomatycznej i moralnej siły i wysokiego uznania politycznego, jakie Kościół Rzymski zdołał odzyskać po okresie rezygnacji i wielkiej słabości. A chociaż w rozmowach pomiędzy nauczycielem i ucz-

niem nigdy prawie nie było mowy o aktualności politycznej — uniemożliwiało to nie tylko wyćwiczenie ojca Jakuba w milczeniu i rezerwie, lecz w równej mierze także nieśmiałość młodszego partnera obawiającego się wciągnięcia w sferę spraw dyplomatycznych i politycznych — stanowisko i działalność polityczna benedyktyna tak dalece przeniknęły jego sposób rozważania historii świata, iż z każdego jego poglądu, z każdego wejrzenia w kłębowisko światowych przetargów przemawiał również głos polityka-praktyka, nie powodowanego wprawdzie ambicją ani też nie intrygującego, nie regenta i przywódcy, nie karierowicza, ale doradcy i pośrednika, człowieka, którego aktywność zlagodzona jest mądrością, dążenia — głębokim zrozumieniem niedostatków i trudności istoty ludzkiej, któremu jednak jego sława, doświadczenie, znajomość ludzi i sytuacji, a nie na ostatku także własna bezinteresowność i integralność osobowości dawały znaczną władzę. Knecht, przybywając do Mariafels, nic o tym wszystkim nie wiedział, nie znał podówczas nawet imienia ojca Jakuba. Większość mieszkańców Kastalii żyła w takiej niewinności i nieświadomości politycznej, jaka nierzadko charakteryzowała także stan uczonych i we wcześniejszych epokach; nie posiadano tam czynnych politycznych praw ani obowiązków, gazet niemal nie oglądano; a jeśli taka była postawa i nawyk przeciętnego Kastalczyka, to wśród graczy szklanych paciorków nieśmiałość względem aktualnych wydarzeń, polityki, gazety była jeszcze większa: chętnie uważali się oni bowiem za właściwą elitę i śmietankę prowincji, usilnie zabiegając o to, by nic nie zamącało rozcieńczonej, wysublimowanej atmosfery ich artyslyczno-naukowej egzystencji. Knecht, przybywając do klasztoru po raz pierwszy, nie pojawił się przecież także jako nosiciel dyplomatycznego zlecenia, lecz jedynie jako nauczyciel gry szklanych paciorków, i nie posiadał innych politycznych wiadomości prócz tych, które pan Dubois przyswoił mu w ciągu kilku tygodni. Dzisiaj wiedział wprawdzie znacznie więcej niż wówczas, lecz bynajmniej nie pozbył się charakterystycznego dla każdego mieszkańca Waldzell wstrętu do zajmowania się aktualną

polityką. I choć dzięki kontaktom z ojcem **Jakubem** znacznie rozwinął się i wyedukował pod względem **politycznym**, nie stało się to jednak wskutek jego własnej **potrzeby w tym** kierunku — tak jak na przykład w dziedzinie historii, którą interesował się wręcz zachłannie — lecz nastąpiło jakby mimochodem, ponieważ było nieuniknione.

Knecht, chcąc być należycie przygotowanym i sprostać w pełni szacownemu swemu zadaniu, iż oto pater dzięki jego wykładom *de rebus castaliensibus* miał przekształcić się w ucznia, przywiózł ze sobą z Waldzell literaturę na temat konstytucji i dziejów prowincji, systemu szkół elitarnych oraz historii rozwoju gry szklanych paciorków. Niektóre z owych książek — a od tych czasów już do nich nie zaglądał — przysłużyły mu się już przed dwudziestu laty podczas walk z Plinio Designorim; inne, do których wówczas nie dawano mu jeszcze dostępu, ponieważ napisane były specjalnie dla urzędników Kastalii, przeczytał dopiero teraz. Wskutek tego więc w tym samym czasie, gdy dziedziny jego studiów tak znacznie się rozszerzyły, zmuszony był na nowo rozpatrzyć, zreasumować i umocnić własne swoje podstawy historyczno-intelektualne. Podejmując próbę ukazania ojcu Jakubowi istoty zakonu i całego systemu kastalskiego w sposób możliwie najbardziej jasny i prosty, natknął się Józef niebawem — gdyż inaczej stać się nie mogło — na najsłabszy punkt zarówno swego własnego, jak w ogóle kastalskiego wykształcenia: okazało się, iż sytuacja w dziejach świata, która niegdyś umożliwiła powstanie zakonu, i wszystko, co później wskutek tego wynikło, wyobrazalna była dla Knechta jedynie w postaci schematycznego, nikłego obrazu, pozbawionego wyrazistości i ładu. Dlatego też — i ponieważ pater nie był bynajmniej biernym uczniem — doszło do wzmożonej współpracy i nader żywej wymiany: gdy Józef usiłował wyklądać dzieje swego kastalskiego zakonu, ojciec Jakub pomagał mu w należytych widzeniu i przeżywaniu różnych stron owej historii i w odnajdywaniu jej korzeni w ogólnych dziejach świata i państw. Przekonamy się, iż te intensywne spory, częstokroć wskutek temperamentu ojca Jakuba przekształcające się w najgwałtowniejsze dys-

kusje, jeszcze po wielu latach okazały się owocne i w żywy sposób oddziaływały na Knechta aż po kres jego życia. Całe natomiast późniejsze zachowanie ojca Jakuba świadczyło o tym, jak — z drugiej strony — on sam uważnie śledził wywody Knechta i jak dalece poznać i uznać zdołał dzięki nim Kastalię; istniejące po dzień dzisiejszy porozumienie pomiędzy Rzymem i Kastalią, które rozpoczęło się od życzliwej neutralności i sporadycznej wymiany naukowej, a w niektórych okresach rozrastało do prawdziwej współpracy i przymierza — zawdzięczamy obu tym ludziom. Ojciec Jakub zapragnął nawet — choć z początku protestował przeciwko temu z uśmiechem — by wprowadzono go w końcu także w teorię gry szklanych paciorków, czuł bowiem, iż tam szukać należy tajemnicy zakonu i niejako jego wiary czy też religii, a skoro już zdecydował się wtargnąć w ów dotychczas znany mu jedynie z pogłosek i niezbyt mu miły świat, ruszył we właściwy sobie, tyleż sprytny, co i pełen rozsądku, sposób ku jego centrum, i jeśli nawet nie stał się graczem szklanych paciorków — o wiele za stary był zresztą na to — duch owej gry, a także duch samego zakonu, nigdy chyba dotąd nie uzyskały poza Kastalią równie poważnego i wartościowego przyjaciela, jak ów wielki benedyktyn.

Od czasu do czasu, gdy Knecht żegnał się z nim po jakimś okresie wspólnych prac, dawał mu ojciec Jakub do zrozumienia, że danego wieczoru będzie go u siebie oczekiwał prywatnie; po trudach lekcji i po napięciu dyskusji następowały wówczas godziny pełne spokoju. Józef często pojawiał się z klawikordem lub skrzypcami, starzec z kolei zasiadał do fortepianu przy łagodnym świetle jednej tylko świecy, której słodki zapach wosku wypełniał izbę na równi z muzyką Corelliego, Scarlattiego, Telemanna czy Bacha, jaką grywali na przemian albo i wspólnie. Starzec wcześniej udawał się na spoczynek, podczas gdy Knecht, pokrzepiony tym małym, wieczornym nabożeństwem muzycznym, przeciągał czas swojej pracy długo w noc, aż po granicę, dozwoloną przez dyscyplinę.

W tym bowiem okresie zajmował się Knecht, poza uczeniem się u ojca Jakuba i nauczaniem, poza opieszale prowa-

dzonym kursem gry w klasztorze i odbywającym się od czasu do czasu chińskim kolokwium z opatem Gerwazym, inną jeszcze, nader obszerną pracą: uczestniczył — czego ostatnio dwukrotnie był zaniechał — w dorocznym konkursie elity w Waldzell. W konkursie tym trzeba było na podstawie trzech do czterech wyznaczonych głównych tematów opracować projekty gier szklanych paciorków, a szczególną wartość miały nowe, śmiałe i oryginalne powiązania owych tematów, przy jednoczesnym zachowaniu najwyższej czystości i przejrzystości formalnej; przy tej, jedynej zresztą, okazji wolno było współzawodnikom nawet naruszać kanony, czyli posługiwać się także nowymi, dotychczas nie włączonymi jeszcze do oficjalnego kodeksu i skarbca hieroglifów szyframi. Konkurs ów był dzięki temu — obok wielkich, publicznych gier sakralnych — najbardziej sensacyjnym wydarzeniem we wsi ludycznej, stawał się także konkurencją najwięcej obiecujących kandydatów, usiłujących wynaleźć nowe znaki ludyczne; najszczytniejsze i nader rzadko przyznawane wyróżnienie zwycięzcy w tym współzawodnictwie polegało na tym, iż nie tylko gra jego wykonywana była uroczyście jako najlepsza gra kandydacka w danym roku, lecz ponadto uznawano proponowane przez niego wzbogacenie gramatyki i zasobów słownictwa gry, przyjmując je do ludycznego archiwum i języka. Niegdyś, przed około dwudziestu pięciu laty, wielki Tomasz von der Trave obecny magister ludzi, dostąpił tego rzadkiego zaszczytu dzięki nowym swoim abrewiaturom dla alchemicznych symboli kręgu zodiakalnego, wiadomo zresztą, iż magister Tomasz i później dokonał wiele w dziedzinie poznawania alchemii i należytego jej szeregowania, jako jednej z najbogatszych w implikacje mowy tajemnej. Knecht tym razem zrezygnował jednak z zastosowania nowych wartości ludycznych, choć, wzorem wszystkich niemal kandydatów, sporo by ich miał na podorędziu, nie skorzystał także z okazji, by złożyć wyznanie wiary w psychologiczną metodę gry, która właściwie była mu bliska; skonstruował wprawdzie grę o współczesnej, indywidualnej strukturze i tematyce, lecz odznaczającą się przede wszystkim przejrzystością jasną,

klasyczną kompozycją i ściśle symetrycznym, umiarkowanie tylko ornamentowanym a nieco staroświeckim w stylu wykonaniem. Być może, iż zmusiło go do tego oddalenie od Waldzell i od archiwum gry, może też silne zaabsorbowanie studiami historycznymi, pochłaniającymi jego czas i siły, a może — świadomie lub mniej świadomie — miał chęć wystylizowania swojej gry w taki sposób, który odpowiadałby najbardziej gustom jego mistrza i przyjaciela, ojca Jakuba — tego nie wiemy.

Posłużyliśmy się określeniem „psychologiczna metoda gry”, nie w pełni może i nie od razu zrozumiałym dla każdego z naszych czytelników; za czasów Knechta było ono często używanym hasłem. W każdym chyba okresie w gronie wtajemniczonych w grę szklanych paciorków istniały pewne prądy, mody, walki oraz zmieniające się zapatrywania i poglądy, a w owych czasach spory i dyskusje odnosiły się do dwóch przede wszystkim rodzajów gry. Rozróżniano dwa typy gry: formalny i psychologiczny, a wiemy, iż Knecht, podobnie jak Tegularius, mimo że trzymał się z dala od sporów słownych, należał do zwolenników drugiego z tych rodzajów i popierał go, z tym jedynie, że wolał mówić raczej nie o „psychologicznym”, lecz o „pedagogicznym” sposobie gry. Gra formalna dążyła do stworzenia z rzeczowych treści każdej gry: matematycznych, językowych, muzycznych i tak dalej — możliwie ściślej, zwartej i doskonałej pęd względem formalnym jedności i harmonii. Gra psychologiczna natomiast poszukiwała jedności i harmonii, kosmologicznej kulisowości i doskonałości nie tyle w wyborze, układzie, sprzężeniu, połączeniu czy przeciwstawieniu treści, ile w medytacji następującej po każdym etapie gry, jej przypisując największą doniosłość. Taka psychologiczna czy — jak wolał to określić Knecht — pedagogiczna gra nie była od zewnątrz obrazem doskonałości, lecz dzięki sekwencji swoich ściśle przepisanych medytacji doprowadzała grającego do przeżywania doskonałości i boskości. „Gra, w moim rozumieniu — napisał pewnego razu Knecht do starego mistrza muzyki — ogarnia grającego po ukończonej medytacji w taki sposób, jak powierzchnia kuli ośrodek owej kuli, a po-

zostawia mu uczucie, iż z przypadkowego, poplątanego świata wyzwolić zdołał on świat absolutnej symetrii i harmonii i w siebie go wchłonął".

Ta tedy gra, którą Knecht wziął udział w wielkim konkursie, była oparta na konstrukcji formalnej, nie psychologicznej. Być może, iż Józef chciał w ten sposób dowieść przełożonym, a także samemu sobie, że mimo pobytu w Mariafels i swojej misji dyplomatycznej nie utracił jako gracz szklanych paciorków niczego ze sprawności, elastyczności, elegancji i wirtuozerii — i zaiste, udało mu się tego dowieść. Ostateczne wykonanie i przepisanie na czysto projektu swojej gry powierzył, jako że można było tego dokonać jedynie w archiwum ludycznym w Waldzell, przyj arielowi swemu, Tegulariusowi, który zresztą sam także należał do grona uczestników konkursu. Zdołał też własnoręcznie przekazać mu owe papiery i omówić je z nim, przejrzeni nawet wspólnie cały projekt, ponieważ Knechtowi udało się ściągnąć Fritza na trzy dni do siebie, do klasztoru: magister Tomasz po raz pierwszy spełnił tę, dwukrotnie już do niego kierowaną, prośbę. Tegularius, mimo iż bardzo ucieszył się z tej wizyty, ogromną też pałał ciekawością, jednak jako przybysz z kastalskiej samotni czuł się tu niesłychanie obco: wrażliwy — niemal zachorował pod naporem tak wielu egzotycznych dlań wrażeń, w otoczeniu miłych wprawdzie, lecz prostych, zdrowych, po trosze także i rubasznym ludzi, z których żaden nie potrafiłby przejąć się jego myślami, troskami czy problemami.

— Żyjesz tutaj na obcej planecie — powiedział Knechtowi, ja zaś nie mogę pojąć i podziwiam cię, żeś już trzy lata tu wytrzymał. Ci twoi ojcowie są dla mnie niesłychanie uprzejmi, ale wszystko mnie tutaj odstrasza i odpycha, nic na spotkanie mi nie wychodzi, nic nie jest samo przez się zrozumiałe, niczego nie można sobie bez oporów i cierpień przyswoić; czułbym się jak w piekle, gdybym musiał spędzić tu dwa tygodnie.

Knecht miał kłopoty z przyjacielem, z przykrością też, po raz pierwszy w roli widza, zaobserwował ową obcość pomiędzy obu zakonami i światami, poczuł też, iż przewrażliwiony

Tegularius wskutek bojaźliwej swej bezradności nie wywarł tutaj dobrego wrażenia. Lecz wspólnie, starannie i krytycznie, przejrżeli oba projekty swych gier, przeznaczonych na konkurs, Knecht zaś, gdy w godzinę później przechodził do innego skrzydła, do ojca Jakuba lub na jakiś posiłek, również doznawał uczucia, iż oto z rodzinnego kraju przeniesiony został nagle w kraj inny, o całkiem innej ziemi i powietrzu, innym klimacie i innych gwiazdach. Po wyjeździe Fritza Knecht spróbował sprowokować ojca Jakuba do wyjawienia, jakie wrażenie sprawił na nim jego przyjaciel.

— Mam nadzieję ■— powiedział Jakub — iż większość Kastalczyków podobna jest raczej do pana niż do pańskiego przyjaciela. W jego osobie ukazał nam pan nie znany, prze rafinowany, słabowity, a przy tym — jak się obawiam — tak że i cokolwiek zarozumiały gatunek człowieka. Wolę już na dal trzymać się pana, inaczej stałbym się względem waszej *species* niesprawiedliwy. Ten wrażliwy, przemądrzały i nerwowy nieborak potrafiłby człowieka znowu zniechęcić do całej waszej prowincji.

■— No, cóż — odparł Knecht — w ciągu stuleci chyba też i pośród benedyktynów zjawiał się niekiedy jakiś chorowity, fizycznie słaby, lecz intelektualnie mimo to pełnowartościowy człowiek, podobny do mego przyjaciela. Zapewne nie było mądrze zapraszać go tutaj, gdzie wszyscy mają wzrok wyostrzony na jego słabości, nie potrafią jednak w żaden sposób dostrzec jego wielkich zalet. Lecz mnie oddał on swym przybyciem wielką przyjacielską usługę.

Po czym opowiedział ojcu Jakubowi o swym udziale w konkursie. Pater zaś cieszył się, że Knecht tak broni przyjaciela.

— Słuszna odpowiedź! — zaśmiał się życzliwie. — Ale wydaje się, że ma pan tylko takich przyjaciół, z którymi przestawać nie jest zbyt łatwo. — Napawał się przez chwilę mieszaniami Knechta i zdziwionym wyrazem jego twarzy, po czym dorzucił od niechcienia: — Tym razem myślę o kimś innym. Czy ma pan nowe jakieś wiadomości od swego przyjaciela, Plinia Designori?

Józef zdumiał się jeszcze bardziej i, absolutnie zaskoczony,

poprosił o wyjaśnienia. Rzec miała się następująco: Designori opowiedział się w pewnym politycznym artykule polemicznym bardzo gwałtownie po stronie antyklerykalizmu, atakując przy tym nader energicznie samego ojca Jakuba. Ów zaś uzyskał od swoich przyjaciół z prasy katolickiej informacje o Designorim, które wspominały również jego łąta szkolne w Kastalii oraz powszechnie znany kontakt z Knechtem. Józef poprosił o artykuł Plinia, chciał go przeczytać; wynikła z tego pierwsza rozmowa z ojcem Jakubem na aktualne tematy polityczne, po której niewiele już podobnych rozmów nastąpiło, „osobliwego, a niemal przerażającego doznałem uczucia” — napisał do Ferromontego — widząc nagle naszego Plinia, a także, na dodatek, i siebie na światowej arenie politycznej; o takiej możliwości nigdy dotychczas nie myślałem”. Ojciec Jakub wyrażał się zresztą raczej z uznaniem o owej polemicznej pracy Plinia, a w każdym razie nie czuł się nią bynajmniej urażony: chwalił styl Designoriego, stwierdzał, iż widać doskonale, że pochodzi on ze szkoły elitarnej, zazwyczaj bowiem zadowolano się w aktualnej polityce znacznie niższym poziomem intelektualnym.

Od swego przyjaciela, Ferromontego, otrzymał Knecht podówczas odpis pierwszej części jego, później tak słynnej, pracy, a przesyłka opatrzona była tytułem: „Wchłonięcie i wykorzystanie ludowej muzyki słowiańskiej przez artystyczną muzykę niemiecką od czasów Józefa Haydna”. W liście, którym Knecht odpowiedział na ową przesyłkę, czytamy między innymi:

„Wyciągnąłeś ze swych studiów, w których niegdyś przez czas pewien wolno mi było ci towarzyszyć, na wskroś treściwe wnioski: oba rozdziały o Schubercie, zwłaszcza o kwartetach, należą do naj celniej szych, jakie znam, we współcześnie pisanej historii muzyki. Pomyśl czasem o mnie; daleko mi do takiego żniwa, jakie się tobie szczęśliwie zebrać udało. I chociaż mogę czuć się prawdziwie zadowolony z tu-tejszej mojej egzystencji — moja misja w Mariafels chyba się powiodła — odczuwam chwilami przygnębienie z racji tak długiej już nieobecności w prowincji i w kręgu Waldzell, do

którego przecie należą. Uczę się tu wiele, niesłuchanie wiele, lecz przybywa mi tu nie pewności i zawodowej przydatności, jeno mnóstwa nowych problemów. Wprawdzie rozszerzyły się także moje horyzonty. Spokojniejszy czuję się też teraz w porównaniu z niepewnością, obcością, brakiem ufności, pogody i wiary we własne siły i z innymi przykrymi uczuciami, jakich często doświadczałem, zwłaszcza podczas pierwszych dwóch lat, które tu spędziłem; niedawno był tutaj Tegularius, trzy dni tylko, lecz mimo iż tak bardzo cieszył się na spotkanie ze mną i był taki ciekawy Mariafels, już następnego dnia wytrzymać prawie nie mógł, tak dalece czuł się tu przygnębiony i obcy. A ponieważ klasztor jest przecie także raczej odosobnionym, spokojnym i przyjaznym dla intelektu miejscem, bynajmniej nie przypominającym więzienia, koszar lub fabryki, wnioskuje na podstawie własnych doświadczeń, iż my, mieszkańcy naszej miłej prowincji, znacznie bardziej jesteśmy wrażliwi i rozpieszczeni, niż nam się wydaje".

W tym właśnie czasie, z którego pochodzi ów list do Carla, Knecht zdołał nakłonić ojca Jakuba do wyrażenia w krótkim piśmie do kierownictwa zakonu kastalskiego zgody w wiadomej kwestii dyplomatycznej, zgody połączonej jednak z prośbą, aby zechciano pozostawić w Mariafels jeszcze przez czas pewien „powszechnie tutaj lubianego gracza szklanych paciorków, Józefa Knechta”, który zaszczyca ojca Jakuba prywatnymi wykładami *de rebus castaliensibus*. W Kastalii uznano, oczywiście, spełnienie owej prośby za zaszczyt. Knecht natomiast, który niedawno jeszcze przekonany był, iż znacznie oddalony jest od swojego „żniwa”, otrzymał podpisane przez kierownictwo zakonu i pana Dubois pismo z wyrazami uznania za wypełnienie misji. W arcyurzędowym owym dokumencie najważniejsze i najradośniejsze wydało mu się w danej chwili (o czym niemal z triumfem doniósł w krótkim liściku Fritzowi) krótkie zdanie, stwierdzające, iż zakon poinformowany został przez mistrza gry szklanych paciorków o jego pragnieniu powrotu do Vicus Lusorum i skłonny jest uwzględnić owo życzenie, z chwilą gdy Knecht zakończy obecną swą misję. Józef od-

czytał to zdanie także ojcu Jakubowi, wyznając mu, jak ogromnie się z niego cieszy, wyznając teraz również, jak bardzo bał się, iż może na zawsze wygnany zostanie z Kastalii i wysłany do Rzymu. Ojciec Jakub odparł ze śmiechem:

— Tak, przyjacielu, charakterystyczne to dla zakonów, iż chce się raczej żyć na ich łonie niżli na peryferiach czy zgoła na wygnaniu. Może pan spokojnie zapomnieć o tej odrobinie polityki, w której nieczystym poblizu się pan tutaj znalazł, gdyż politykiem pan nie jest. Ale historii nie powinien się pan sprzeniewierzyć, nawet gdyby miała na zawsze pozostać dla pana dziedziną jedynie uboczną, uprawianą po amatorsku. Na historyka bowiem pan by się nadawał. A teraz skorzystajmy jeszcze ze siebie nawzajem, dopóki pana tutaj mam.

Z pozwolenia na częste odwiedzanie Waldzell Józef Knecht, zdaje się, niewiele korzystał; wysłuchał jednak przez radio ćwiczebnego seminarium, a także niektórych wykładów i gier. Tak tedy również z oddalenia, siedząc w swym eleganckim gościnnym pokoju w klasztorze, brał udział w owej uroczystości, podczas której w wielkiej auli Vicus Lusorum ogłaszano wyniki konkursu. Sam złożył nie nazbyt osobistą, wcale też nie rewolucyjną, choć wytworną i na wskroś elegancką pracę, którą miano ocenić, liczył tedy na pochwalne wyróżnienie lub trzecią albo nawet drugą nagrodę. Z zaskoczeniem usłyszał jednak, iż przyznano mu nagrodę pierwszą, a zanim zdumienie zdołało przekształcić się w nim w radość, spiker urzędu magistra ludzi czytał już dalej swym pięknym niskim głosem, wymieniając Tegulariusa jako laureata drugiej nagrody. Wzruszające, wspaniałe było to zaiste przeżycie, iż oto oni obaj, ręka w rękę, wychodzili z konkursu jako uwieńczeni zwycięzcy! Knecht zerwał się, dalej już nie słuchając, zbiegł po schodach i przez dudniące echem dormitoria wypadł na dwór. W liście do starego mistrza muzyki, pisanego przez Józefa w owych dniach, czytamy:

„Bardzo jestem szczęśliwy, o czcigodny, co chyba możesz sobie wyobrazić. Najpierw przeprowadzenie mojej misji

i zaszczytne jej uznanie przez kierownictwo zakonu, wraz z tak dla mnie ważnymi widokami na rychły powrót do ojczyzny, do przyjaciół, i gry szklanych paciorków, zamiast dalszej służby dyplomatycznej, a oto teraz ta pierwsza nagroda za grę, w której stronę formalną wielu wprawdzie dołożyłem starań, lecz z uzasadnionych przyczyn nie wyzyskałem bynajmniej wszystkich swoich możliwości, ponadto zaś jeszcze radość, iż mogłem podzielić ów sukces z przyjacielem — doprawdy, sporo to, jak na jeden raz. Szczęśliwy jestem, owszem, lecz nie mógłbym rzec, że jestem uradowany. W tak krótkim czasie, a może mnie tylko krótkim się on wydaje, spełnień tych jest ■— w moim wewnętrznym przekonaniu — zbyt wiele i zbyt nagle do nich doszedłem; wdzięczność moja zmieszana jest z uczuciem pewnego lęku, tak jakby brakowało już jednej tylko kropli w wypełnionym po brzegi naczyniu, aby wszystkie te sukcesy znów stały się problematyczne. Lecz, proszę, traktuj te wynurzenia jako niewypowiedziane: każdego słowa tu już za wiele". Przekonamy się, iż owo po brzegi wypełnione naczynie przyjąć miało niebawem więcej niż jedną tylko kroplę. Lecz przez krótki okres, dzielący go od tej chwili, Józef Knecht przeżywał swe szczęście zmieszane z lękiem tak intensywnie i z takim uniesieniem, jak gdyby przeczuwał już oczekującą go wielką zmianę. Dla ojca Jakuba owych parę miesięcy było także okresem szczęśliwym, uskrzydłonym. Żał mu było, że utraci już wkrótce tego ucznia i kolegę, usiłował tedy już podczas godzin pracy, a bardziej jeszcze w swobodnych rozmowach dać i przekazać mu w spadku jak najwięcej tego wszystkiego, co w pracowitym, a pełnym przemyśleń życiu zdołał zrozumieć z wyżyn i nizin życia poszczególnych ludzi i całych narodów. Niekiedy rozmawiał również z Knechtem o treści i skutkach jego misji, o możliwościach i znaczeniu przyjaznych stosunków i politycznego pojednania pomiędzy Rzymem a Kastalią, zalecając mu przestudiowanie owej epoki, której owocem było zarówno założenie zakonu kastalskiego, jak i stopniowe wydobywanie się Rzymu z okresu upokarzających doświadczeń. Polecił mu również dwa dzieła na temat reformacji i rozbitcia

Kościół w szesnastym wieku, usilnie przy tym jednak nakładając go do studiowania przede wszystkim bezpośrednich źródeł i do ograniczenia się za każdym razem do możliwych do ogarnięcia dziedzin częściowych, bez rozczuwiania się w grubych tomiskach historii powszechnej; bynajmniej też nie ukrywał głębokiej swej nieufności do wszelkiej historiozofii.

MAGISTER LUDI

Knecht postanowił przesunąć termin ostatecznego swojego powrotu do Waldzell na wiosnę, na okres wielkiej, publicznej gry szklanych paciorków, zwanej *ludus anniversarius* albo *solemnis*. Szczytowy okres przesławnych dziejów owych dorocznych gier, trwających wiele tygodni i odwiedzanych przez dygnitarzy i reprezentantów z całego świata, przeminął już wprawdzie i należał do historii, lecz wiosenne konferencje, połączone z uroczystą, przeważnie dziesięć do czternastu dni trwającą grą stanowiły wielkie, doroczne wydarzenie dla całej Kastalii, święto nie pozbawione również wielkiego znaczenia religijnego i moralnego, jednoczyło bowiem przedstawicieli wszystkich, nie zawsze całkowicie zgodnych dążeń całej prowincji jako symbol harmonii: egoizmy poszczególnych dyscyplin zawierały na ów czas pokój, budziło się też wspomnienie jedności, górującej nad ich różnorodnością. Dla wierzących miało owo święto sakramentalną siłę prawdziwego uświęcenia, dla ateistów stanowiło co najmniej namiastkę religii, zarówno dla jednych zaś, jak i dla drugich, było kąpielą w czystych źródłach piękna. Podobnie „Pasje” Jana Sebastiana Bacha stanowiły niegdyś — nie tyle w okresie ich powstania, co w stuleciu następnym po ich ponownym odkryciu — dla wykonawców i słuchaczy po części prawdzi-

wie religijny, uświęcający akt, a po części nabożeństwo i namiastkę religii, dla wszystkich razem natomiast uroczyste manifestacje sztuki i twórczego ducha.

Uzyskanie zgody dla swojej decyzji zarówno mnichów, jak i rodzimej zwierzchności nie kosztowało Knechta wiele trudu. Nie wj^obrażał sobie jeszcze, jaka będzie jego sytuacja po ponownym zaszeregowaniu do grona małej republiki Vicus Lusorum, przypuszczał jednak, iż niedługo w tej sytuacji go pozostawią, lecz nader szybko obarczą i zaszczycą jakimś urzędem lub zleceniem. Na razie cieszył się na powrót w ojczyste strony, na przyjaciół, na zbliżającą się uroczystość, rozkoszował się ostatnimi dniami obcowania z ojcem Jakubem, uprzejmie i z humorem przyjmując fakt, iż opat i zakon uczcili go jeszcze na pożegnanie wielu przejawami życzliwości. Odjechał później z tego miejsca, które już zdążył polubić, nie bez żalu żegnając się z nim, a także z pozostającym za nim odcinkiem życia, lecz nastrojony już odświętnie wskutek szeregu ćwiczeń kontemplacyjnych poprzedzających uroczystą grę, którym oddawał się wprawdzie bez kierownictwa i kolegów, lecz w najściślejszej zgodzie z obowiązującymi przepisami. Na nastrój jego nie wpłynął ujemnie fakt, iż nie udało mu się namówić ojca Jakuba, aby przyjął od dawna już przekazane uroczyście przez magistra ludzi zaproszenie na ową doroczną grę i wspólną podróż, pojmował pełną rezerwy postawę starego antykalczyka, sam zaś czuł się wskutek tego na moment zwolniony ze wszystkich obowiązków i restrykcji, gotów do oddania się w pełni przygotowaniom do oczekującego go święta.

Lecz z uroczystościami rzecz ma się niekiedy osobliwie. Prawdziwe święto — z wyjątkiem fatalnej interwencji wyższej mocy — nigdy właściwie nie może okazać się całkiem nieudane; dla człowieka pobożnego procesja nawet w potokach deszczu zachowa sakralny swój charakter, uczta świąteczna nawet przypalona nie zdoła go rozczarować, tak tedy i dla graczy szklanych paciorków każda doroczna gra jest uroczysta i niejako uświęcona. A mimo to, o czym wie każdy z nas, istnieją święta i gry, podczas których wszyst-

kie **szczegóły zharmonizowane są ze sobą, wzajemnie się uświetniają, uskrzydłają i podnoszą**, podobnie jak niektóre występy teatralne czy muzyczne, które bez wyraźnej przyczyny, cudem jakby, przeistaczają się w szczytne a głębokie przeżycia, podczas gdy inne, bynajmniej nie gorzej przygotowane, pozostają po prostu jedynie rzetelnymi osiągnięciami. Jeżeli zaś powstawanie owych szczytnych przeżyć uzależnione jest od stanu ducha tego, który w nich uczestniczy, Józef Knecht byłby doskonale do nich przygotowany: nie przytłoczony troskami, godnie wracający w ojczyście strony, z radością oczekiwał nadchodzących wydarzeń. *Ludus sollemnis* nie miał jednak tym razem dostąpić zaszczytu rozwinięcia się pod wpływem cudownego tchnienia w szczególnie uświęconą i promienną uroczystość. Gra owa nie stała się nawet radosna, była wyraźnie pozbawiona szczęścia, niemal nieudana. I choć mimo to wielu jej uczestników poczuło się zbudowanymi i podniesionymi na duchu, właściwi organizatorzy, odpowiedzialni za całość imprezy, czuli, jak zawsze w takich wypadkach, z tym większym a nieuchronnym rozgoryczeniem atmosferę ośpienia, bezlitosnej klęski, skrzepowania i niepowodzenia, zaciemniająca nieboskłon święta. Knecht, mimo iż oczywiście także to odczuwał i przeżył niejake rozczarowanie swych, pełnych napięcia, oczekiwań, nie należał bynajmniej do grona tych, którzy najsilniej odczuwali porażkę: mógł bowiem — ponieważ nie brał udziału w grze, nie ponosił więc za nią odpowiedzialności — w ciągu owych dni, mimo iż samemu aktowi nie dostawało rozkwitu i łaski, z uznaniem śledzić jako nabożny uczestnik kunsztownie skonstruowaną grę, oddawać się bez przeszkód medytacjom i z pełną wdzięczności pokorą doświadczać tak dobrze wszystkim gościom owych igrzysk znanej atmosfery uroczystości i ofiary, mistycznego zjednoczenia całej gminy u stóp boskości, czyli doznawać uczuć, których nawet „nieudany” uroczysty akt dostarczyć może nielicznemu kręgowi na wskroś wtajemniczonych. Lecz nawet Józef odczuł po trochu wpływ fatalnej gwiazdy przyświecającej całej tej uroczystości. Sama gra wprawdzie, plan jej i konstrukcja były, jak każda gra

mistrza Tomasza, nienaganne, było to nawet jedno z jego najbardziej wyrazistych, najprostszych i najbardziej bezpośrednich osiągnięć. Lecz wykonaniu owej gry przyświecała szczególnie feralna gwiazda, o czym w historii Waldzell dotychczas jeszcze nie zapomniano.

Knecht, przybywając tam na tydzień przed rozpoczęciem się wielkiej gry, został po zameldowaniu się w wiosce ludyczej przyjęty nie przez samego mistrza gry szklanych paciorków, lecz przez jego zastępcę, Bertrama, który powitał go uprzejmie, lecz tylko krótko i jakby z roztargnieniem zawiadomił, iż czcigodny mistrz w tych dniach właśnie zachorował, on sam zaś, Bertram, nie jest dostatecznie poinformowany o misji Knechta, aby móc przyjąć jego sprawozdanie, dlatego też Józef powinien udać się w tym celu do kierownictwa zakonu w Hirsland, tam zameldować o swoim powrocie i czekać na rozkazy przełożonych. Gdy Knecht przy pożegnaniu głosem i gestem zdradził pewne zdziwienie z racji tak chłodnego i krótkiego przyjęcia, Bertram przeprosił go. Niechże mu kolega wybaczy, że go rozczarował i pojmie niezwykłość sytuacji: zachorował magister, wielka gra odbyć się ma niebawem, a wcale jeszcze nie wiadomo, czy magister zdoła ją poprowadzić, czy też on, zastępca, będzie go musiał zastąpić. Choroba czcigodnego wypadła doprawdy w najbardziej nieodpowiedniej i trudnej chwili, Bertram bowiem gotów jest, jak zawsze, zająć się w jego zastępstwie urzędowymi sprawami, lecz na leżyte przygotowanie się w tak krótkim terminie do wielkiej gry i przejęcie jej kierownictwa chyba, jak się obawia, przekroczy jego siły.

Knecht pożałował tego wyraźnie przygnębionego i cokolwiek wytrąconego z równowagi człowieka, niemniej żałował też, że w jego oto rękach będzie może musiała spocząć odpowiedzialność za całą uroczystość. Zbyt długo nie było go już w Waldzell, by mógł zrozumieć, jak dalece uzasadniona była troska Bertrama, który, co dla zastępcy zawsze bywa najfatalniejsze, od pewnego już czasu utracił zaufanie elity, tak zwanych repentów, i istotnie znalazł się w nad wyraz trudnej sytuacji. Ze smutkiem wspominał

Knecht mistrza gry szklanych paciorków, owego bohatera formy klasycznej i ironii, doskonałego magistra i Kastalczyka; jadąc tu cieszył się, że zostanie przezeń powitany, wysłuchany i ponownie wprowadzony do niewielkiego grona graczy, może nawet na zaufane stanowisko. Pragnął gorąco oglądać celebrowanie całej tej uroczystości przez mistrza Tomasza, pracować dalej pod jego kierunkiem, zabiegać o jego uznanie, było dlań tedy bolesnym rozczarowaniem, iż ukrył się on oto za swą chorobą, a Knechta skierowano do innych instancji. Pewną rekompensatą była dlań wprawdzie pełna szacunku życzliwość, a nawet koleżeńskość, z jaką powitali go i wysłuchali sekretarz zakonu i pan Dubois. Przy pierwszej rozmowie zdołał też zaraz stwierdzić, że w owym rzymskim planie nie zamierzano się nim dalej posługiwać — przynajmniej na razie — szanując jego pragnienie stałego już powrotu do gry; tymczasem poproszono go uprzejmie o zamieszkanie w gościnnym domu Vicus Lusorum, rozejrzenie się tu po trochu na nowo i asystowanie przy dorocznej grze. Wraz z przyjacielem swym, Tegulariusem, poświęcił pierwsze dni postom i me-

* dytacji, pobożnie i z wdzięcznością uczestnicząc w owej ' osobliwej grze, którą niektórzy zachowali w tak przykrym wspomnieniu.

jj Sytuacja zastępcy magistra, zwanego również „cieniem”, jest zwłaszcza w urzędzie muzyki i wśród mistrzów gry nader osobliwa. Każdy z magistrów ma swego zastępcę, nie H wyznaczanego mu bynajmniej przez urząd, lecz którego on sam wybiera sobie z pomniejszego grona kandydatów i za którego działalność i podpis ponosi pełną odpowiedzialność. Dla kandydata jest tedy wielkim wyróżnieniem i oznaką największego zaufania, gdy zostaje mianowany przez swego magistra na jego zastępcę, uznany w ten sposób za bliskiego współpracownika i prawą rękę, sprawując za każ-

*> dym razem, gdy magister czym innym jest zajęty, jego czynności urzędowe, choć, co prawda, nie wszystkie: na przykład podczas głosowania w najwyższym urzędzie wy-

t stępować mu wolno tylko jako przekazicielowi „tak” lub „nie” w imieniu swego magistra, nigdy zaś nie może ani

przemawiać, ani wysuwać wniosków, ogranicza go też, dla ostrożności, wiele innych jeszcze przepisów. Nominacja na zastępcę, choć stawia go bardzo wysoko na miejscu bardzo eksponowanym, jest jednocześnie czymś w rodzaju odsunięcia, w urzędowej hierarchii izoluje go poniekąd jako przypadek wyjątkowy, a chociaż często powierza mu najważniejsze funkcje, gwarantuje najwyższe zaszczyty, pozbawia go równocześnie pewnych praw i możliwości, jakimi cieszy się każdy z pozostałych współzawodników. Dwa zwłaszcza punkty wyraźnie uwydatniają wyjątkową jego sytuację: zastępcą nie ponosi odpowiedzialności za swe czynności urzędowe, nie może również dalej awansować w hierarchii. Niepisane to wprawdzie prawo, lecz łatwe do odczytania z dziejów Kastalii: nigdy po śmierci czy też rezygnacji z urzędu jakiegoś magistra jego „cien” nie przesunął się na jego miejsce, mimo iż tak często go zastępował i wydawało się, że cała jego egzystencja go na następcę predestynuje. Tak jakby obyczaj pragnął wyraźnie podkreślić, że pozornie płynna, ruchoma bariera czy granica jest nieprzekraczalna; granica pomiędzy magistrzem i zastępcą jest jakby odbiciem granicy pomiędzy urzędem i osobą. Z chwilą więc, gdy jakiś Kastalczyk przyjmuje wysokie a zaufane stanowisko zastępcy, rezygnuje z widoków na to, iż sam stanie się kiedykolwiek magistrzem, na prawdziwe zjednoczenie się z urzędowymi szatami i insygniami, które tak często jako zastępcą, nosi, jednocześnie zaś zyskuje osobliwie dwuznaczne prawo do obciążania ewentualnymi błędami swego urzędowania nie siebie, lecz swego magistrza, który zań wyłącznie odpowiada. I istotnie zdarzało się już, że jakiś magister stawał się ofiarą wybranego przez siebie zastępcy, a z racji poważniejszego jakiegoś błędu przez owego zastępcę popełnionego, rezygnować musiał ze stanowiska. Nazwa, którą w Waldzell określano zastępcę mistrza gry szklanych paciorków, w doskonały sposób odpowiada osobliwemu jego stanowisku, związkom, niemal zlanemu się w jedną osobę z magistrzem, jak również jego pozornej i bezpostaciowej egzystencji. Zwą go tam „cieniem”.

Magister Tomasz von der Trave od lat już pozwalał dzia-

łać swemu „cieniowi”, imieniem **Bertram**, któremu brakowało raczej chyba szczęścia niż zdolności i dobrej woli. Był on znakomitym graczem szklanych paciorków, co zresztą rozumie się samo przez się, był również co najmniej zręcznym nauczycielem i sumiennym urzędnikiem, bezwarunkowo oddanym swemu mistrzowi; lecz mimo to w ciągu ostat-¹ nich lat był raczej nielubiany przez urzędników, miał też przeciwko sobie podrastającą, najmłodszą warstwę elity, a - ponieważ nie posiadał nieskazitelnej rycerskiej natury swego mistrza, wszystko to razem naruszało jego spokój i pewność siebie. Magister poparcia mu nie odmawiał, od lat jednak usiłował — jak mógł — uchronić go od starć z elitą, a w ogóle coraz rzadziej wystawiał go na widok publiczny, zatrudniając raczej w kancelariach i w archiwum. Ów nieskazitelny, lecz nielubiany — czy też obecnie już nielubiany — człowiek, któremu wyraźnie nie sprzyjało szczęście, ujrzał się oto nagle wskutek choroby mistrza na czele Vicus Lusorum, a gdyby istotnie przyszło mu kierować doroczną grą, na okres jej trwania byłby na najbardziej eksponowanym stanowisku w całej prowincji; zdołałby stanąć na wysokości tego zadania tylko wówczas, gdyby większość graczy szklanych paciorków, lub przynaj-, mniej większość repetentów wsparła go swoim zaufaniem, ¹ co jednak, niestety, nie nastąpiło. Tak tedy *ludus solemnus* stała się tym razem dla Waldzell ciężką próbą, niemal katastrofą.

Dopiero na dzień przed rozpoczęciem gry obwieszczono urzędowo, iż magister poważnie zachorował i nie jest w stanie gry poprowadzić. Nie wiemy, czy tak długie ukrywanie owego faktu podyktowane zostało wolą samego chorego, który, być może, aż do ostatniej chwili żywił nadzieję, że zdoła się podnieść i jednak przewodniczyć grze. Prawdopodobnie jednak zbyt był chory, aby pomyśleć o tym, jego „cień” zaś popełnił chyba błąd, pozostawiając Kastalię aż do przedostatniej chwili w niepewności co do sytuacji w Waldzell. Można by, oczywiście, sprzeczać się jeszcze o to, czy wahanie takie istotnie było błędem. Niewątpliwie bowiem zamiar był dobry: chodziło o to, aby z góry

już nie dyskredytować uroczystości i nie zrażać wielbicieli
mistrza Tomasza, zamierzających przybyć z wizytą. Gdyby
zaś wszystko poszło dobrze, gdyby pomiędzy gminą graczy
z Waldzell i Bertramem panowało zaufanie, wówczas — <
jak łatwo sobie wyobrazić — „cień” zdołałby stać się praw- '■
dziwym zastępcą, a brak magistra mógłby przejść niemal
niepostrzeżenie. Próżno jednak snuć dalsze na ten temat J
domysły; wydawało nam się jedynie godne zaznaczenia, iż J;
ów Bertram niekoniecznie musiał być tak nieodpowiedni |
czy też wręcz niegodny, jak sądziła podówczas opinia pu- i
bliczna Waldzell. Był on znacznie bardziej ofiarą niż wi
nowajcą. |
Odbył się więc, jak co roku, wielki napływ gości na ową !
uroczystą grę. Wielu przybywało nie wiedząc o chorobie
magistra, inni zaś przyjeżdżali zatroskani o jego zdrowie, ,]
przejęci niedobrym przeczuciem o sprawności przebiegu uro- J
czystości. Waldzell i pobliskie osiedla wypełniły się ludźmi, I
kierownictwo zakonu oraz instancja wychowawcza przyby- -j
ły niemal w komplecie, a z odległych części kraju i z za
granicy pojawili się także uroczyście nastroszeni podróżni,
zapełniając budynki gościnne. Jak zwykle rozpoczęto uro-
czystość wieczorem, przed samą grą, godziną medytacji,
podczas której od momentu uderzenia dzwonów cała ta
wypełniona ludźmi okolica pogrążyła się w głębokim, na
bożnym milczeniu. Nazajutrz rano nastąpiły występy mu-
zyczne oraz zapowiedź pierwszej części gry, jak również
medytacja nad obydwoma muzycznymi tematami owej czę-
ści. Bertram, w odświętnym stroju mistrza gry szklanych pa-
ciorków, występował godnie, pełen opanowania, był tylko,
bardzo blady i z dnia na dzień wydawał się bardziej zmę-
czony, cierpiący i zrezygnowany, a w ciągu dni ostatnich
doprawdy przypominał cień. Już w drugim dniu igrzysk
rozeszła się pogłoska, że stan zdrowia mistrza Tomasza po-
gorszył się, że życie jego znajduje się w niebezpieczeństwie,
wieczorem zaś tego samego dnia słychać było tu i ówdzie,
wszędzie właściwie wśród bardziej wtajemniczonych, pierw-
sze głosy stopniowo powstającej legendy o chorym mistrzu
i jego „cieniu”. Legenda ta, wywodząca się z najściślejse-

go kręgu Vicus Lusorum, z grona repentów, głosiła, iż mistrz skłonny był, a także całkowicie zdolny pełnić obowiązki kierownika gry, lecz złożył z siebie ofiarę ambicji swego „cienia”, jemu pozostawiając owo uroczyste zadanie. Lecz oto teraz, z chwilą gdy okazało się, że Bertram nie potrafi jednak sprostać w pełni wysokiej swej roli, sama zaś gra gotuje uczestnikom rozczarowanie, chory mistrz poczuł się odpowiedzialny i za grę, i za swój „cień” wraz z jego niekompetencją i postanowił odpokutować za niego ten błąd: to właśnie, nic innego, jest przyczyną tak nagłego pogorszenia się stanu jego zdrowia i wzrostu gorączki. Oczywiście nie był to jedyny sposób tłumaczenia owej legendy lecz tak wyjaśniała ją elita, co wskazywało wyraźnie, że elita, owo ambitne, podrastające pokolenie, uważa sytuację za tragiczną i nie ma bynajmniej ochoty tragizmu tego łagodzić, rozjaśniać lub upiększać. Cześć dla mistrza równa była niechęci do jego „cienia”, któremu życzone niepowodzeń i upadku, choćby nawet i sam mistrz miał je wraz z nim odpokutować. W następnym z kolei dniu słyszano opowieści, że magister z łoża boleści zaklinał pono swego zastępcę oraz dwóch seniorów spośród elity, by zachowano spokój i nie narażano całej uroczystości na niebezpieczeństwo; innego znowu dnia twierdzono, że magister podyktował swą ostatnią wolę, urzędowi zaś wymienił nazwisko człowieka, którego życzy sobie na swego następcę; padały już także nazwiska. Wraz z wieściami o stale pogarszającym się stanie zdrowia magistra krążyły te i inne pogłoski, a w odświętnej sali, jak również w domach gościnnych nastroj stawał się z dnia na dzień gorszy, mimo iż nikt nie ulegał panice do tego stopnia, aby zrezygnować z dalszego udziału w grze i wyjechać. Ciężki, ponury ucisk przytłaczał całą uroczystość, której przebieg mimo wszystko odbywał się na zewnątrz poprawnie, choć niewiele dawało się zauważać owej radości i podniosłych uczuć, jakie przy tej okazji zwykle przeżywano i jakich się tym razem spodziewano, gdy zaś w przedostatni dzień gry twórca owych igrzysk, magister Tomasz, na zawsze już zamknął oczy, a urzędowi, mimo usilnych starań, nie udało się za-

hamować rozprzestrzeniania się tej wieści — rzecz osobliwa, niektórzy uczestnicy przyjęli takie rozsąplanie węzła z uczuciem wyzwolenia. Uczniowie gry, a zwłaszcza elita, mimo iż przed zakończeniem *ludus solemnus* nie mogli ani przywdziać żałoby, ani też w najmniejszym nawet stopniu zmienić surowo przepisane przebiegu godzin, pełnych już to występów muzycznych, już to medytacji, przeżywali ostatni ów uroczysty akt i dzień w takim nastroju, jakby był on akademią żałobną ku czci uwielbianego zmarłego, stwarzając wokół przemęczonego, pobladłego z bezsenności, z na pół zamkniętymi oczami urzędującego nadal Bertrama atmosferę lodowatego osamotnienia.

Józef Knecht, choć dzięki Tegulariusowi zachował żywy jeszcze kontakt z elitą, a jako stary gracz w pełni odczuwał wszystkie te postawy i nastroje, nie pozwalał im jednak całkowicie sobą zawładnąć, a poczynając od czwartego czy piątego dnia zabronił nawet swemu przyjacielowi, Fritzowi, zwracając mu głowę wieściami o chorobie magistra; odczuwał wprawdzie i rozumiał doskonale tragiczne przyćmienie całej uroczystości, myślał o mistrzu z głęboką troską i smutkiem, o skazanym zaś jednocześnie na śmierć „cieniu”, Bertramie, z rosnącym niepokojem i współczuciem, bronił się jednak twardo i uparcie przed wpływem prawdziwych czy legendarnych wiadomości, oddawał się najściślejszej koncentracji, ćwiczeniom i tokowi pięknie skonstruowanej gry, przeżywając całe święto mimo wszelkich przyćmień i zakłóceń w poważnym i podniosłym nastroju. „Cieniowi” Bertramowi oszczędzano zwykłego pod koniec gry podejmowania gratulantów oraz władz, a dzień tradycyjnej radości wszystkich studiujących grę szklanych pa-ciorków tym razem również skreślono z programu. Natychmiast po skończonym muzycznym akcie władze zawiadomiły o zgonie magistra, a w Vicus Lusorum rozpoczęły się dni żałoby, w których uczestniczył również mieszkający w domu gościnnym Józef Knecht. Pogrzeb zasłużonego męża, do dzisiaj jeszcze cieszącego się wielkim szacunkiem, odprawiony został ze zwykłą w Kastalii prostotą. Bertram, jego „cień”, który wytężając resztki sił grał pod-

czas uroczystości trudną swoją rolę, rozumiał własne położenie. Poprosił o urlop i powędrował w góry.

W wiosce ludycznej, w całym nawet Waldzell, zapanowała żałoba. Nikt może nie utrzymywał ze zmarłym magistrzem stosunków bliskich czy wyraźnie przyjaznych, lecz wyższość i rzetelność jego nieprzeciętnej natury, wraz z jego mądrością i subtelnie wykształconym poczuciem form, uczyniła go takim reprezentantem, jakiego w istocie na wskroś demokratyczna Kastalia nigdy nie posiadała. Wszyscy byli zeń dumni. Im bardziej zaś daleki był od wszelkiej namiętności, miłości czy przyjaźni, tym łatwiej stawał się przedmiotem uwielbienia dla łaknących takiego obiektu niedorostków, godność zaś i iście książęcy jego wdzięk, które zresztą przyczyniły się do obdarzenia go na poły czułym, a na wpół kpiącym przydomkiem „ekscelencji”, nadały mu z biegiem lat mimo znacznych oporów również w radzie najwyższej, podczas posiedzeń i wspólnych prac instytucji wychowawczej, odrębne nieco stanowisko. Kwestia ponownego obsadzenia jego wysokiego urzędu była, oczywiście, gorąco dyskutowana, a nigdzie chyba goręcej niż wśród elity graczy szklanych paciorków. Funkcje urzędu magistra po odejściu „cienia”, którego upadku w owym kręgu oczekiwano, a do którego zresztą i doprowadzono, rozdzielono głosowaniem elity pomiędzy trzech prowizorycznych zastępców; oczywiście, jedynie funkcje wewnętrzne w Vicus Lusorum, a nie urzędowe w Radzie Pedagogicznej. Rada zaś, zgodnie z tradycją, nie mogła ponad trzy tygodnie pozostawiać magistra bez następcy. W razie gdy jakiś magistor, umierając lub rezygnując ze swych funkcji, wyznaczał pozbawionego konkurentów następcę, urząd ten obsadzono od razu, po jednym tylko plenarnym posiedzeniu. Tym razem potrać to jednak chyba musiało nieco dłużej.

W dniach żałoby Józef Knecht rozmawiał niekiedy ze swym przyjacielem o ukończonej grze i jej tak osobliwie mrocznym przebiegu.

— Ten zastępca, Bertram — mówił Knecht ■ — nie tylko nieźle odegrał swą rolę, czyli usiłował aż do końca być

prawdziwym magistrem, ale moim zdaniem uczynił jeszcze znacznie więcej, złożył bowiem sam siebie w ofierze temu *ludus solemnus* w swej ostatniej, najbardziej uroczystej, urzędowej czynności. Wy zaś byliście dla niego twardzi, nawet okrutni, irogliście byli bowiem uratować uroczystość i samego Bertrama, a nie uczyniliście tego, nie śmiem was sądzić, mieliście zapewne po temu powody. Ale *teraz*, gdy biedny Bertram już odszedł, wy zaś przeprowadziliście swoją wolę, powinniście okazać wielkoduszność. Musicie, gdy znów się pojawi, być dla niego życzliwi i dać mu do zrozumienia, że pojęliście jego ofiarę.

Tegularius pokręcił głową:

— Zrozumieliśmy ją — rzekł — i przyjęli. Ty miałeś szczęście, mogąc tym razem uczestniczyć w grze jako gość, a więc bezstronnie, dlatego też zapewne nie tak dokładnie ją śledziłeś. Nie, Józefie, nie będziemy już mieli okazji, by jakiegokolwiek uczucia względem Bertrama przemienić w czyn. On wie, że ofiara jego była konieczna, nie będzie więc usiłował jej odwoływać.

Knecht teraz dopiero pojął go w pełni i, zasmucony, umilkł. Przekonał się, że istotnie przeżywał owe uroczyste dni nie jako prawdziwy mieszkaniec Waldzell i kolega, lecz raczej jako gość, tak więc teraz dopiero zrozumiał, jak naprawdę rzecz się miała z ofiarą Bertrama. Dotychczas bowiem Bertram wydawał mu się człowiekiem ambitnym, który ugiał się pod ciężarem zadania ponad siły, zrezygnować musiał z dalszych swoich dążeń i postarać się zapomnieć, że był kiedyś „cieniem” jakiegoś mistrza i kierownikiem dorocznej gry. Dopiero teraz, przy ostatnich słowach swego przyjaciela — milknąc przy tym nagle — zrozumiał, iż Bertram był skazany przez swoich sędziów i że nigdy nie powróci. Pozwolono mu doprowadzić do końca uroczystą grę, tyle tylko go wspomagając, by wszystko przebiegło bez skandalu, ale nie dlatego, by chronić jego osobę, lecz aby chronić Waldzell.

Stanowisko „cienia” wymagało bowiem nie tylko pełnego zaufania magistra — którego Bertrainowi nie zabrakło — lecz nie mniejszego zaufania elity, a tego właśnie nie zdo-

łał on, niestety, zachować. Jeśli tedy popełnił jakiś błąd, nie stała za nim hierarchia, aby go osłaniać jako swego pana i wzór. Jeśli zaś nie był uznawany przez swoich dawnych kolegów, nie wspierał go żaden autorytet, a jego koledzy, repetenci, stawali się jego sędziami. Jeśli zaś oni byli nieugięci, „cień” musiał być zniszczony. I rzeczywiście Bertram nie powrócił już ze swej górskiej wycieczki, po pewnym czasie zaś zaczęto opowiadać, że zabił się, spadając z jakiejś stromej skalnej ściany. Dalej już o tym nie mówiono. A tymczasem codziennie pojawiali się w wiosce ludycznej wysocy i najwyżsi urzędnicy kierownictwa zakonu i instytucji wychowawczej, co chwila też odwoływano poszczególnych przedstawicieli elity i urzędników na przesłuchania, na których temat mówiono to lub owo jedynie w kręgu elity. Józef Knecht był również często odwoływany i wypytywany; raz przez dwóch panów z kierownictwa zakonu, raz przez magistra filologii, potem przez pana Dubois i jeszcze raz przez dwu magistrów. Tegularius, którego także wołano, aby udzielał różnych informacji, był mile podniecony i dowcipkował na temat nastrojów przypominających jego zdaniem konklawe. Józef już podczas dni gry spostrzegł doskonale, jak niewiele pozostało z jego dawnych, ścisłych związków z elitą, a podczas okresu „konklawe” jeszcze wyraźniej dano mu to odczuć. Nie tylko mieszkał jak obcy w domu gościnnym, a najwyżsi dostojnicy zwracali się doń jak do kogoś całkowicie im równego; sama elita, repetenci, nie przyjęła go bynajmniej po koleżeńsku i z ufnością, lecz z uprzejmością pełną drwiny, lub co najmniej wyczekującego chłodu; odsunęła się od niego już wówczas, gdy wezwany został do Mariafels, co zresztą było naturalne i słuszne: ten, kto zrobił krok dzielący swobodę od służby, grono studentów czy repetentów od hierarchii, nie był już kolegą, ale stawał na drodze wiodącej ku władzy i wysokim, dostojnym, nie należał już do elity, wiedzieć też musiał, że będzie ona na razie krytycznie do niego nastawiona. Tak działo się z każdym w jego sytuacji. Tyle tylko, że on właśnie odczuł w tym czasie ów dystans i chłód szczególnie silnie, po pierwsze dlatego, że elita, osie-

rocona i mająca otrzymać nowego magistra, mocniej jeszcze zacieśniła swe szeregi i stanęła w pozycji obronnej, po drugie zaś także i dlatego, że jej zdecydowanie i nieustępliwość tak ostro ujawniły się w losach „cienia” Bertrama.

Pewnego wieczoru przybiegł do domu gości niesłuchanie podniecony Tegularias, odnalazł Józefa, wciągnął go do jakiejś pustej komórki, zamknął drzwi i wybuchnął:

— Józefie! Józefie! O, Boże, powinienem był to przeczuć, powinienem wiedzieć, wcale to przecież prawdopodobne... Ach, aż mi się w głowie mąci, ani wiem, czy powinienem się cieszyć.

I oto on, najlepiej znający wszelkie źródła informacji w wiosce ludycznej, relacjonował z zapalem: oto bardziej niż prawdopodobne, oto prawie już pewne, że mistrzem gry szklanych paciorków wybrany zostanie Józef Knecht. Kierownik archiwum, którego tak wielu uważało za predestynowanego na następcę mistrza Tomasza, już od przedwczoraj najwyraźniej wyłączony został ze ściślejszych wyborów, a spośród trzech kandydatów elity, których nazwiska dotychczas znajdowały się na czele wszystkich ankiet, ani jeden nie cieszy się widocznie szczególnym poparciem czy poleceniem któregoś z magistrów bądź też kierownictwa zakonu, podczas gdy za Knechtem opowiedzieli się dwaj członkowie kierownictwa zakonu i pan Dubois, a do nich dołączył się jeszcze doniosły głos starego mistrza muzyki, u którego, co dokładnie wiadomo, pojawiło się w tych dniach osobiście kilku magistrów.

— Józefie, zrobisz cię magistrem — wykrzyknął gwałtownie raz jeszcze, ale przyjaciel położył mu rękę na ustach.

Józef w pierwszej chwili był takim przypuszczeniem prawie tak samo zaskoczony i przejęty jak Fiitz, wydało mu się ono absolutnie niemożliwe, lecz już w momencie, gdy przyjaciel jął opowiadać o opiniach panujących w wiosce ludycznej na temat sytuacji i przebiegu całego „konklowe”, zaczął rozumieć, iż to nie pomyłka. Poczuł w swej duszy coś na kształt zgody, doznał uczucia, jak gdyby wiedział już o tym, oczekiwał tego, jest to bowiem coś naturalnego i słusznego. Położył tedy podnieconemu koledze

rękę na ustach, spojrział nań ostro, strofująco, jakby z nagle powstałego dystansu, z dali, i rzekł:

— Nie gadajże tyle, *amice*; nie chcę znać tych plotek. Idź do swoich kolegów.

Tegularius, mimo iż tyle jeszcze chciał powiedzieć, zamilkł pod tym spojrzeniem, którym oto objął go nowy jakiś, jeszcze nie znany człowiek, zamilkł natychmiast, zbladł i wyszedł. Opowiadał potem, że dziwny spokój i chłód Knechta odczuł początkowo jak uderzenie, jak obrazę, jak policzek, jako zdradę ich dawnej zażyłości i przyjaźni, jako ledwo zrozumiałe podkreślenie i wyprzedzenie niebawem go oczekującego stanowiska najwyższego przełożonego. Dopiero odchodząc ■—• odszedł bowiem doprawdy jak pobity — jął pojmować sens tego niezapomnianego spojrzenia, tego dalekiego, królewskiego, niemniej przecież i cierpiącego spojrzenia, i zrozumiał, że przyjaciel jego przyjął to, co mu przypadło, nie z dumą, lecz w pokorze. Musiał też — jak opowiadał — przypomnieć sobie pełen zadumy wzrok Józefa Knechta i ton głębokiego współczucia w jego głosie, gdy niedawno wypytywał się o Bertrama i mówił o jego ofierze. Całkiem tak, jak gdyby i on miał zamiar, na podobieństwo owego „cienia”, poświęcić się i zginąć, dumnie i pokornie jednocześnie, wzniosie, i z oddaniem, tak bardzo samotna, na przyjęcie losu gotowa była twarz, którą ku niemu zwrócił, jakby nagle przeobraził się w pomnik wszystkich, kiedykolwiek istniejących magistrów Kastalii. „Idź do swoich kolegów”, powiedział. A więc już w owej sekundzie, w której po raz pierwszy dowiedział się o nowej swej godności, on, nigdy całkowicie pojąć się nie dający, zaszeregował się i ujrzał świat z całkiem nowego punktu, przestał już być kolegą, nigdy też więcej nim nie będzie.

Knecht mógł zapewne przewidzieć lub przynajmniej uważać za możliwą albo i prawdopodobną tę swoją nominację, to ostatnie i najwyższe powołanie; a mimo to i tym razem zaskoczyło go ono i niemal przeraziło. Mogłem to odgadnąć — powiedział sobie później, uśmiechając się na wspomnienie przejętego Tegulariusa, który wprowadził nominacji

tej także nie spodziewał się od samego początku, lecz mimo to na wiele dni przed decyzją i ogłoszeniem zdołał ją obliczyć i przepowiedzieć. Nic w istocie nie przemawiało przeciwko wybraniu Józefa do najwyższej instancji, prócz, chyba, jego młodego wieku; większość jego kolegów objęła swój wysoki urząd mając przynajmniej czterdzieści pięć albo i pięćdziesiąt lat, podczas gdy Józef miał zaledwie czterdziestkę. Lecz nie istniało przecież prawo, zabraniające tak wczesnej nominacji.

I

Gdy tedy Fritz zaskoczył przyjaciela rezultatem swych obserwacji i kombinacji, obserwacji wypróbowanego już gracza z kręgu elity, znającego do najdrobniejszych szczegółów zawily aparat małej gminy w Waldzell, Knecht pojął natychmiast, iż tamten ma rację, od razu też zrozumiał swój wybór, swój los i przyjął go, lecz w pierwszym odruchu na tę nowinę odpędził przyjaciela słowami, iż „nic o tych plotkach wiedzieć nie chce”. Ledwie jednak tamten, dotknięty i niemal obrażony, odszedł, Józef udał się do miejsca medytacji, żeby się skupić, a rozważania jego dotyczyły pewnego wspomnienia, które w owej chwili ogarnęło go z niezmierną siłą. Miał przed sobą wizję pustej izdebki i stojącego w niej fortepianu, przez okno padało chłodne i jasne światło poranka, a w drzwiach izdebki pojawiał się piękny, miły człowiek, starszy już człowiek, o posiwiałych włosach, o twarzy jasnej, pełnej dobroci i godności; on sam natomiast, Józef, był małym uczniem-łacinikiem, który w tej izdebce, na pół strwożony, na pół uszczęśliwiony, czekał na przybycie mistrza muzyki i teraz go właśnie po raz pierwszy zobaczył, czcigodnego mistrza z legendarnej prowincji szkół elity i magistrów, który przybył, żeby pokazać mu, czym jest muzyka, potem zaś krok za krokiem wprowadzał go i przyjął wreszcie do swej prowincji, swego królestwa, do elity i do zakonu, którego kolegą i bratem stał się oto, podczas gdy starzec odłożył swą czarodziejską różdżkę czy też berło, przemieniając się w życzliwie milczącego, zawsze jeszcze dobrotliwego, zawsze czcigodnego, zawsze tajemniczego męża, którego wzrok przykład ogarniał całe życie Józefa, który zawsze prze-

wyższał go wiekiem, kilkoma stopniami życia, bezmiarem godności, a jednocześnie skromności, mistrzostwa i tajemniczości, zawsze też jednak, jako wzór jego i patron, łagodnie zmuszał do naśladownictwa, podobnie jak wschodząca czy zachodząca gwiazda wiedzie za sobą swych braci. Dopóki Knecht mimo woli ulegał sile tej wizji, która, podobnie jak we snach, powstawała pod wpływem początkowego odprężenia, dwa przede wszystkim wyobrażenia, dwa obrazy czy też symbole, dwie jakby przypowieści wynurzały się z niej i trwały. W jednym z nich Knecht jako chłopiec kroczył poprzez różne przejścia za idącym przed nim mistrzem, który wyprzedzał go jako przewodnik, a za każdym razem, gdy odwracał się ukazując twarz, stawał się starszy, bardziej milczący i czcigodny, szybko zbliżając się do idealnego wizerunku ponadczasowej mądrości i godności, podczas gdy on sam, Józef Knecht, pełen oddania i posłuszeństwa, kroczył za owym wzorem, zawsze jednak pozostając tym samym chłopcem, z racji czego na przemian to się wstydził, to znowu radował, a nawet czuł coś w rodzaju upartej satysfakcji. Drugi zaś obraz był taki: scena w izdebce z fortepianem, wkraczanie starca podchodzącego ku chłopcu, powtarza się nieustannie, niezliczoną ilość razy; mistrz i chłopiec szli jeden za drugim, jakby pociągani na drutach przez jakiś mechanizm, tak iż niebawem nie można już było rozeznaczyć, który z nich prowadzi, a który za rum podąża, stary czy młody. Niekiedy wydawało się, że młodziak okazuje starcowi, jego czcigodnemu autorytetowi, posłuszeństwo i uszanowanie; lecz wkrótce najwyraźniej wyprzedzająca go, lekka postać młodości, początków, pogody, zmuszała starca do kornego, pełnego adoracji podążania za nią. I przypatrując się temu bezsensownie-sensownemu wizyjnemu biegowi w kółko Knecht czuł się we własnym sercu raz identyczny ze starcem, raz znowu z chłopcem, raz był wielbicielem, innym razem znowu wielbionym, raz przewodnikiem, raz tym, który posłusznie za przewodnikiem dąży, a w trakcie tych ulotnych przemian nastąpiła też chwila, w której był jednym i drugim, mistrzem i żaczkiem jednocześnie, a może nawet stał ponad nimi, był inicjatorem,

kierownikiem i widzem tego biegu, **bez** rezultatu a w **kół-**ko toczącego się wyścigu pomiędzy starością i młodością, wyścigu, który z mieszanymi uczuciami, to zwalniał, to znowu do największego popędzał pośpiechu. A z tego stadium nowe się ■ rozwinęło wyobrażenie, symbol już raczej niż sen, pojęcie już raczej niż obraz, mianowicie wyobrażenie czy zrozumienie, iż ów sensownie-bezsensowny bieg w kółko, bieg mistrza i ucznia, to zabieganie mądrości o młodość, a młodości o mądrość, ta bezkresna, nieopisanie lekka gra jest symbolem Kastalii, w ogóle sama grą życia, w którą bez kresu wpływa wszystko, podzielone na starość i młodość, dzień i noc, Yang i Yin. Stąd też medytujący znalazł drogę ze świata wizji ku spokojowi, a po długotrwałym rozmyślaniu powrócił wzmocniony i pełen pogody.

Gdy w kilka dni później kierownictwo zakonu rozkazało mu przybyć, udał się tam spokojny, przyjmując braterskie pozdrowienia najwyższych dostojników — podanie ręki i ledwo tylko zaznaczone objęcie — z opanowaniem i pełną pogody ducha powagą. Powiadomiono go o nominacji na mistrza gry szklanych paciorków, rozkazano też stawić się pojutrze na inwestyturę i zaprzysiężenie w hali gier uroczystych, w tej samej sali, w której niedawno jeszcze zastępca zmarłego mistrza zakończył niczym przyozdobione złotem zwierzę ofiarne — owe przygnębiające uroczystości. Dzień wolny, przed inwestyturą, przeznaczony był na do-¹kładne i z rytualnymi medytacjami połączone przestudiowanie formuły przysięgi oraz „małej reguły magistrów” pod kierunkiem i nadzorem dwóch najwyższych dostojników, tym razem byli nimi kanclerz zakonu i magister mathematicae; podczas południowej, na odpoczynek przewidzianej przerwy w ciągu tego nader męczącego dnia Józef żywo przypomniał sobie chwilę swego przyjęcia do zakonu i poprzedzającą ją naukę przygotowawczą, której udzielał mu mistrz muzyki. Ale tym razem rytuał przyjęcia nie wprowadzał go, jak setki innych co roku, przez szeroką bramę do wielkiego zgromadzenia: wkraczał oto przez ucho igielne do najwyższego i najściślejszego grona, do kręgu mistrzów. Staremu mistrzowi muzyki wyznał później, że

tego dnia w ciągu intensywnego badania samego siebie, dręczyła go jedna myśl, śmieszny wręcz i błahy pomysł: otóż bał się chwili, w której jeden z magistrów zechce może dać mu do zrozumienia, w jak niezwykle młodym wieku przypada mu w udziale ta godność. Całkiem serio zwalczać musiał ów lęk, ową myśl pełną dziecinnej próżności, a także ochotę, aby w razie gdy istotnie paść miała jakaś aluzja do jego wieku, odpowiedzieć: „Dajcież mi się tedy spokojnie zestarzeć, nigdy przecież do tego wywyższenia nie dążyłem”. Dalsze jednak badanie samego siebie wykazało mu, iż podświadoma myśl o nominacji i pragnienie jej nie musiały być tak bardzo od niego dalekie; przyznał się do tego wobec samego siebie, uznał próżność tego zamysłu i odrzucił go i w istocie, ani owego dnia, ani też później żaden z kolegów nie przypominał mu jego wieku.

Lecz tym gorliwiej omawiano i krytykowano wybór nowego mistrza wśród tych współkandydatów, do których grona Knecht dotychczas należał. Nie miał wprawdzie zdecydowanych przeciwników, miał jednak konkurentów, a wśród nich kilku takich, którzy wiekiem nad nim górowali, w tym zaś gronie bynajmniej nie zamierzano uznać jego wyboru bez walki i dowodów wytrwałości, a przynajmniej bez czasu na niezwykle dokładną i krytyczną obserwację. Objęcie stanowiska i pierwszy okres urzędowania są w każdym prawie wypadku drogą nowego magistra przez ogień czyścicowy.

Inwestytura mistrza nie jest uroczystością publiczną, prócz najwyższej instancji wychowawczej i kierownictwa zakonu uczestniczy w niej jedynie część starszych uczniów, kandydaci oraz urzędnicy tej właśnie dyscypliny, która nowego magistra otrzymuje. Podczas uroczystości w wielkiej sali mistrz gry szklanych paciorków miał złożyć urzędową przysięgę, przyjąć od urzędu insygnia władzy, składające się z kilku kluczy i pieczęci, oraz dać się przez przedstawiciela kierownictwa zakonu przybrać w ornat, uroczystą zwierzchnią szatę, którą magister nosić musi podczas największych uroczystości, przede wszystkim przy celebrowaniu dorocznych igrzysk. Aktowi takiemu nie dostaje

wprawdzie szumu i lekkiego uniesienia świąt publicznych, z natury swojej jest on ceremonialny i raczej oschły, natomiast sama już obecność wszystkich przedstawicieli obu najwyższych instancji przydaje mu niezwyklej godności. Mała republika graczy szklanych paciorków otrzymuje oto nowego pana, który ma jej przewodzić i reprezentować ją we władzach ogólnych, a jest to wydarzenie ważne i nieczęste; choćby nawet uczniowie i młodszy studenci nie w pełni jeszcze jego doniosłość pojmowali, w całej uroczystości widząc jedynie ceremoniał i radość dla oczu, wszyscy pozostali uczestnicy świadomi są owej doniosłości, a wystarczająco również ze społecznością swoją zrośnięci i do niej podobni, żeby cały ów proces przeżywać jako coś, co do własnego ich ciała i życia należy. Tym razem odświętna owa radość przyćmiona była nie tylko zgonem poprzedniego mistrza i żałobą po nim, lecz także pełnym trwogi na strojem tegorocznych gier i tragedią zastępcy, Bertrama.

Obleczenia dokonał przedstawiciel kierownictwa zakonu i najwyższy archiwista gry: wspólnie podnieśli ornat, po czym włożyli go na barki nowego mistrza gry szklanych paciorków. Krótką, uroczystą przemowę wygłosił magister grammaticae, mistrz filologii klasycznej z Keuperheim, wybrany przez elitę przedstawiciel Waldzell wręczył klucze i pieczęcie, przy organach zaś dostrzeżono postać sędziwego mistrza muzyki we własnej osobie. Przyjechał on na inwestyturę, by zobaczyć obłóczyny swego ucznia i sprawić mu miłą niespodziankę swą nieoczekiwaną obecnością, a może też, aby udzielić mu kilku rad. Starzec najchętniej wykonałby własnoręcznie uroczysty utwór, jednak nie mógł już pozwolić sobie na tak wielki wysiłek, pozostawił tedy grę organiście wioski ludycznej, a sam stanął za nim i przewracał mu kartki. Spoglądał z nabożnym uśmiechem na Józefa, widział, jak przyjmuje on ornat i klucze, słyszał, jak najpierw powtarza formułę przysięgi, a potem zwraca się w improwizowanym przemówieniu do przyszłych swych "współpracowników, urzędników i uczniów. Nigdy ów chłopiec nie wydał mu się tak uroczy i radosny jak właśnie dzisiaj, gdy przestał już niemal być Józefem, a istnieć za-

czął już tylko jako nosiciel ornatu i urzędu, kamień w koronie, filar w konstrukcji całej hierarchii. Lecz pomówić z tym swoim chłopcem, Józefem, zdołał zaledwie przez krótką chwilę. Uśmiechnął się doń pogodnie, po czym jął mu spieszenie tłumaczyć:

— Staraj się przede wszystkim dobrze przetrwać najbliższe trzy czy cztery tygodnie, wiele bowiem od ciebie wymagać będą. Zawsze pamiętaj o całości, zawsze pamiętaj, że poszczególne jakieś zaniedbanie teraz niewiele już znaczy. Musisz się całkowicie poświęcić elicie, o niczym innym nawet nie myśl. Przyślą ci dwóch ludzi do pomocy: jeden z nich, jogista Aleksander, otrzymał ode mnie instrukcję i słuchaj go uważnie, bo zna się na rzeczy. Potrzebne ci niewzruszone przekonanie, że władze najwyższe uczyniły słusznie, powołując cię w swoje szeregi: ufaj im, ufaj też ludziom, których posyłają ci do pomocy, wierz ślepo we własne siły. Natomiast elitę obdarzaj radosną a zawsze czujną nieufnością, niczego innego się ona bowiem nie spodziewa. I wygrasz, Józefie, wiem o tym.

Większość urzędowych funkcji magistra składała się z zajęć dobrze i od dawna znanych nowemu dostojnikowi, gdyż oddawał im się już jako sługa lub asystent; najważniejsze były kursy gry, poczynając od kursów dla uczniów początkujących, kursów wakacyjnych i dla dzieci, aż po ćwiczenia, wykłady i seminaria dla elity. Czynnościom tym, z wyjątkiem ostatniej, mógł bez trudu sprostać każdy świeżo mianowany magister, podczas gdy nowe funkcje, w których wyćwiczyć się nigdy nie miał sposobności, przysporzyć mu musiały znacznie więcej kłopotów i trudu. Józefowi także się tak wiodło. Najchętniej byłby zwrócił się z całym zapalem najpierw ku tym nowym, właściwym magistrów obowiązkom: ku współpracy w najwyższej radzie wychowawczej, współdziałaniu rady magistrów z kierownictwem zakonu, reprezentowaniu gry szklanych paciorków oraz *Vicus Lusorum* w urzędzie ogólnym. Palił się wprost do poznania tych nowych dziedzin działalności, do odjęcia im groźnego posmaku spraw nieznanych, ale najchętniej byłby początkowo siadł na uboczu i oddał się przez kilka ty-

godni dokładnym studiom nad konstytucją, formalnościami, protokołami posiedzeń etc. Wyjaśnień i pouczeń mógł mu w tej dziedzinie — wiedział o tym — prócz pana Dubois, udzielić najbardziej doświadczony znawca i mistrz magicznych form i tradycji, mianowicie reprezentant kielownictwa zakonu, który wprawdzie sam nie był magistrem, a więc w istocie rangą niższy był od mistrzów, lecz reżyserował wszelkie posiedzenia urzędu oraz strzegł tradycyjnego ładu, na wzór głównego ochmistrza przy książęcym dworze. Jakże chętnie poprosiłby Józef tego mądrego, doświadczonego, w uprzejmości swej zupełnie nieprzejrzystego człowieka, którego ręce przed chwilą właśnie uroczyście oblekły go w ornat, o chwilę prywatnej rozmowy, gdyby tylko mieszkał .on stałe w Waldzell, a nie w odległym jednak o pół dnia drogi Hirsland! Jakże chętnie uciekłby też Józef na chwilę do Montepont, gdzie stary mistrz muzyki wprowadziłby go we wszystkie te sprawy! Lecz nawet myśleć o tym nie było można, magister nie miał prawa do tak prywatnych i studenckich pragnień! Musiał natomiast właśnie w tym pierwszym okresie z intensywną a wyłączną starannością i oddaniem poświęcić się raczej tym właśnie funkcjom, o których mniemał, że chyba wcale mu trudu nie przysporzą. To, co przeżył podczas uroczystych igrzysk u Bertrama, kiedy widział magistra porzuconego przez własną społeczność, przez elitę, walczącego w przestrzeni pozabawionej powietrza i wskutek uduszenia ginącego, to, co sam przeczuł i co w dzień inwestytury potwierdziły słowa starca z Montepont, ujawniał mu obecnie każdy moment w dniach urzędowania i każda chwila rozmyślań nad własną sytuacją: musiał przede wszystkim poświęcić się dla elity i repetentów, dla najwyższych stopni studium, ćwiczeń seminaryjnych i dla całkowicie osobistych kontaktów z repetentami. Archiwum mógł pozostawić archiwistom, kursy początkowe nauczycielom, korespondencję sekretarzom — i niewielkie wynikały stąd straty. Natomiast elity ani na moment nie mógł pozostawić samej sobie, musiał się jej oddawać, narzucać, uczynić się dla niej niezbędnym, przekonąć ją o wartości swoich talentów, o czystości swych

intencji, zdobyć ją, zabiegać o nią, pozyskać ją, zmierzyć się z każdym z kandydatów, który po temu chęć przejawiał, a kandydatów takich bynajmniej nie brakowało. Z pomocą przychodziło mu przy tym niejedno, co przedtem wydawało mu się pozbawione większego znaczenia: mianowicie długa jego nieobecność w Waldzell i w gronie elity, dla której był teraz nieomal *homo novus*. Nawet jego przyjaźń z Tegulariusem okazała się przydatna. Tegularius bowiem, ów bystry a chorowity samotnik, najwidoczniej nie wchodził w ogóle w rachubę w rozgrywkach ambicjonalnych, sam zaś przejawiał tak niewiele dążeń do kariery, że ewentualne wyróżnienie go przez nowego magistrą nie było przyjmowane jako krzywdzenie innych. Wiele najusilniejszych starań musiał się jednak podjąć sam Knecht, aby zbadać i przeniknąć tę najwyższą, najbardziej żywą, najbardziej też wrażliwą i niespokojną warstwę świata ludycznego i zapanować nad nią, niczym jeździec nad szlachetnym rumakiem. W każdym bowiem kastalskim instytucie, nie tylko przy grze szklanych paciorków, elita wykształconych już całkowicie, choć jeszcze dalej swobodnie studiujących, jeszcze nie włączonych w służbę instytucji wychowawczej lub zakonu kandydatów, nazywanych również repelentami, stanowi gromadkę najcenniejszą i właściwą rezerwę, sam kwiat i przyszłość; wszędzie też, nie tylko w wiosce ludycznej, dumny ów skarbiec przyszłości nastrojony jest wobec nowych nauczycieli i przełożonych szorstko a krytycznie, nowej władzy najwyższej okazuje zaledwie minimum uprzejmości i posłuchu, trzeba go tedy koniecznie, wyężdżając wszystkie siły osobiście pozyskać, przekonać i pokonać, wtedy ją uzna i ochotnie już podda się nowemu kierownictwu. Knecht podjął to zadanie bez lęku, lecz mimo to zdziwił się jego trudnościom, pokonywał je jednak, wygrywał tę wyczerpującą, męczącą nawet grę, a tymczasem pozostałe jego zadania i obowiązki, o których skłonny był myśleć z z troskaniem, same jakoś odsunęły się, mniej znacznie wymagając jego uwagi; wyznał jednemu z kolegów, że pierwsze plenarne posiedzenie urzędowe, na które przybył ekstrapocztą i z którego również ekstrapocztą odjechał, przeżył

jakby we śnie, później zaś jednej nawet myśli mu poświęcić nie zdołał, tak dalece pochłonęła go doraźna praca; nawet podczas samych obrad, mimo iż ich temat interesował go i mimo iż był dość niespokojny, gdyż miał to być pierwszy jego występ w urzędzie, kilkakroć przyłapał się na tym, iż myślami jest nie tutaj, wśród kolegów, i nie przy dyskusjach, lecz w Waldzell, w owym niebiesko otynkowanym po-kcju archiwum, gdzie obecnie co trzeci dzień prowadzi seminarium z dialektyki dla pięciu tylko uczestników, a gdzie każda godzina wymagała znacznie większego napięcia i wyężenia sił niż cały pozostały dzień urzędowania, który też pizecież łatwy nie był i przed którym w żaden sposób' umknąć nie mógł, gdyż — jak mu to już zapowiedział stary mistrz muzyki — przydano mu z urzędu na pierwszy ten okres poganiacza i kontrolera, czuwającego godzina po godzinie nad przebiegiem jego dnia, udzielającego mu porad w kwestii podziału godzin, a mającego ustrzec go zarówno praed jednostronnością, jak i przed ostatecznym przemęceniem. Knecht był mu wdzięczny, lecz bardziej jeszcze wdzięczny był wysłannikowi kierownictwa zakonu, mistrzowi kunsztu medytacji, cieszącemu się wielką sławą, który zwał się Aleksander. Dbał on o to, aby mistrz, pracujący z natężeniem wszystkich sił, odprawiał codziennie po trzykroć „małe” czy też „krótkie” ćwiczenie oraz aby przebieg i określony co do minuty czas na każde z takich ćwiczeń były jak najdokładniej przestrzegane. Z nimi dwoma, z owym belfrem i kontemplacyjnym zakonnikiem, musiał Knecht codziennie, tuż przed wieczorną medytacją, oglądając się wstecz na dzień swego urzędowania, przeprowadzać jego podsumowanie, stwierdzać postępy lub porażki, „macać własny puls”, jak to określają nauczyciele medytacji, czyli badać i mierzyć samego siebie, aktualną swą sytuację, samopoczucie, stan swoich sił, nadziei i trosk, samego siebie i całodzienną swoją pracę obiektywnie oceniać, nie zabierając z sobą w noc i dzień następny spraw nie rozwiązanych. Podczas gdy repetenci częściowo z sympatią, częściowo zaś z wrogim zainteresowaniem przypatrywali się ogromnej pracy swego magistra, **nie** przepuszczając **żadnej** okazji, **aby**

go wystawić na próbę wytrzymałości, cierpliwości lub docipu, usiłując to zachęcić go do pracy, to znowu w niej przeszkadzać — wokół Tegulariusa powstała fatalna pustka. Pojmował on wprawdzie, że Knecht nie może mu obecnie poświęcać ani uwagi, ani czasu, ani myśli, ani współczucia, nie zdołał jednak uzbroić się w obojętność i odporność na owo całkowite zapomnienie, w jakie go zepchnął, tym bardziej iż wydawało się, że nie tylko z dnia na dzień utracił tego przyjaciela, ale i koledzy zaczęli przejawiać wobec niego nieufność i ledwo się doń odzywali. Nic w tym dziwnego, gdyż chociaż Tegularius nie mógł być dla ambitnych rywali poważną przeszkodą, stanowił mimo wszystko stronę, a młody magister żywił dlań przyjaźń. Knecht doskonale to wszystko sobie wyobrażał, a do obecnych jego zadań należało, aby wraz z wszelkimi innymi osobistymi i prywatnymi sprawami także i tę przyjaźń na czas pewien przerwać. Uczynił to jednak, jak później wyznał przyjacielowi, właściwie nieświadomie, nie z własnej jakby woli, po prostu zapomniawszy o przyjacielu; tak dalece uczynił z siebie narzędzie, iż sprawy prywatne, jak przyjaźń właśnie, stały się wręcz niemożliwe, jeżeli zaś gdziekolwiek, jak na przykład na owym pięciosobowym seminarium, pojawiała się przed nim twarz i postać Fritza, nie był to już Tegularius, przyjaciel, znajomy, osoba, lecz ktoś z elity, student, a raczej kandydat i repetent, przedmiot jego pracy i zadań, żołnierz z u *mii, której wyszkolenie do zwycięstwa było jego celem. Fritz zadrżał, gdy magister po raz pierwszy w ten właśnie sposób zwrócił się do niego; ze spojrzenia jego pojął, iż owa obcość i beznamietność nie są bynajmniej udane, lecz prawdziwe, choć niesamowite, i że ów człowiek przed nim, traktujący go z rzeczową uprzejmością przy wielkiej czujności intelektu nie jest już jego przyjacielem, Józefem, lecz tylko nauczycielem i badaczem, jedynie mistrzem gry szklanych paciorków, otoczonym i zamkniętym powagą i surowością swego urzędu niczym połyskującą glazurą, którą go w ogniu oblano i która na nim zastygła. Tegulariusowi wydarzył się zresztą w czasie owych gorących tygodni drobny wypadek. Znekany bezsennością, a wewnętrznie wyczerpany przeży-

ciami, dopuścił się podczas małego seminarium drobnej niegrzeczności, zwrócił się niezbyt uprzejmymi słowami nie do magistra zresztą, lecz do jednego z kolegów, który ironicznym swym tonem działał mu na nerwy. Knecht spostrzegł to natychmiast, zauważył również nadmierne rozdrażnienie Tegulariusa, niemym ruchem palca skarcił go, lecz później posiał do niego swojego mistrza medytacji, aby ten otoczył trudnego repetenta duchową opieką. Opiekę tę po wielu tygodniach wyrzeczeń pojął Tegularius jako pierwszą oznakę ponownie budzącej się przyjaźni, gdyż uznał ją za przejaw osobistej o niego troski, chętnie tedy pozwolił się kurować. W rzeczywistości jednak Knecht prawie nie zdawał sobie sprawy, komu ową troskliwość okazał, działał tu jedynie jako magister: stwierdził oto u jednego z repelentów rozdrażnienie i niewłaściwe zachowanie, pedagogicznie więc na to zareagował, ani przez moment nie traktując owego repetenta jak osoby, ani też nie dostrzegając własnego z nim kontaktu. Gdy wiele miesięcy później przyjaciel przypomniał mu ową scenę, zapewniając, że niezmiernie ucieszył się wtedy znakiem życzliwości i poczuł się pocieszony, Józef Knecht, który o całej sprawie zapomniał, milczał i pozwolił mu trwać w jego błędnym mniemaniu.

Cel w końcu został osiągnięty i walka wygrana, ale wiele zaiste pracy wymagało uporanie się z elitą, zmęczenie jej ćwiczeniami, poskromienie zbyt ambitnych, zjednanie niezdecydowanych, zaimponowanie pyszałkom; lecz oto praca została wykonana, kandydaci wioski ludycznej uznali swego mistrza i poddali mu się, nagle wszystko potoczyło się lekko, tak jakby dotychczas brakowało jedynie kropli oleju. Belfer wspólnie z Knechtem sporządził ostatni program roboczy, wyraził mu słowa uznania w imieniu urzędu i znikł; mistrz medytacji, Aleksander, również. Na miejsce porannego masażu powrócił spacer; wprawdzie o rzeczach takich, jak studia czy choćby tylko lektura ciągle jeszcze nie można było nawet myśleć, lecz w niektóre wieczory, przed pójściem spać, znowu już trochę muzykowano. Podczas następnej swej wizyty w urzędzie Knecht wyczuł wyraźnie, choć słowami nikt tego nie wyraził, że uchodzi teraz wśród

swych kolegów za wypróbowanego i równego im. Po gorączce i zapamiętaniu walki podczas owej próby ogarnął go obecnie nastrój przebudzenia, chłód i otrzeźwienie, czuł się jakby w samym sercu Kastalii, w najwyższym rzędzie hierarchii, i z osobliwą trzeźwością, niemal z rozczarowaniem stwierdzał, iż nawet tak bardzo rozrzedzonym powietrzem można jeszcze oddychać, lecz że on oddychając nim tak, jakby żadnego innego nigdy nie zaznał, absolutnie się zmienił. Okres tej twardej próby wypalił jego wnętrze tak, jak żadna inna służba, żaden inny wysiłek dotąd tego nie dokonały.

Uznanie regenta przez elitę znalazło tym razem wyraz w pewnym szczególnym geście. Gdy Knecht poczuł kres oporów, zgodę i zaufanie grona repetentów i pojął, że najcięższą próbę ma już za sobą, nadeszła dlań chwila wyboru „cienia”; istotnie, nigdy chyba bardziej nie potrzebował go, nie łaknął odciążenia niż w owym momencie po odniesionym zwycięstwie, gdy po nadludzkiej niemal próbie sił znalazł się nagle we względnej już swobodzie: niejeden już załamał się właśnie na tym odcinku drogi. Knecht zrezygnował jednak z przysługującego mu prawa wyboru spośród kandydatów, prosząc grono repetentów o wyznaczenie dlań „cienia” według ich własnego uznania. Elita, ciągle jeszcze pod wrażeniem losów Bertrama, tym poważniej potraktowała okazane jej zaufanie; po licznych posiedzeniach i anonimowych ankietach dokonała wyboru i przedstawiła magistrowi jego zastępcę, jednego z najlepszych swych ludzi, który aż do nominacji Knechta uchodził za najprawdopodobniejszego kandydata do godności mistrza.

Najtrudniejsze chwile przeminęły już tedy, wróciły spacer i muzyka, z czasem można będzie pomyśleć o lekturze, możliwa stanie się znów przyjaźń z Tegulariusem, nieczęsta wymiana listów z Ferromontem, zdarzy się niekiedy pół wolnego dnia, kiedyś może i krótki urlop, może podróż. Ale wszystkie te przyjemności przeżywać będzie kto inny, nie dotychczasowy Józef, który uważa siebie za wprawnego gracza szklanych paciorków i raczej dobrego Kastalczyka, który przecież pojęcia nie ma o samym sednie kastalskiego ła-

d! żyje tak egoistycznie, tak dziecinnie, tak niewiarygodnie prywatnie, od wszelkiej odpowiedzialności wolny. Pewnego razu przypomniał sobie ironicznie napominające słowa, które niegdyś powiedzieć mu musiał mistrz Tomasz, gdy głośno wyraził życzenie, aby przez chwilę jeszcze poświęcić się swobodnym studiom: „Chwila — jak długo ona trwa? Mówisz jeszcze językiem studenckim, Józefie”. Było to przed niewielu laty; słuchał go z podziwem, z głębokim szacunkiem, a także z przytąjonym w głębi serca przerażeniem wobec bezosobowej doskonałości i opanowania tego człowieka, czuł zaś, że Kastalia i po niego chce sięgnąć, jego także do siebie przyssać, aby może kiedyś także uczynić zeń takiego Tomasza, mistrza, regenta i sługę, narzędzie doskonałe. A oto stanął już na miejscu, na którym stał tamten, a gdy rozmawiał ze swymi repitentami, z którymś z owych mądrych, w ogniach jakże licznych prób już zahartowanych graczy i uczonych, tych pracowitych a zarozumiałych księżątek, spozierał ku niemu widząc inny, obcy, choć piękny, osobliwy, zamknięty już świat, całkiem tak samo jak niegdyś mistrz Tomasz, który zaglądał do jego osobliwego świata studenckiego.

URZĄD

* cokolwiek przejście urzędu magistra zdawało się po-ł-
czątkowo przysparzać więcej kłopotów niż korzyści,
zżerając niemal ze szczętem siły i życie osobiste, niwecząc
wszelkie nawyki i zamiłowania, pozostawiając w sercu chłod-
ną ciszę, w głowie zaś wskutek przepracowania uczucie za-
wrotu — czas, który nastąpił potem, przyniósł odpoczynek,
opamiętanie, przyzwyczajenie, a także nowe obserwacje
i przeżycia. Największym z nich, po wygranej już bitwie,
była pełna zaufania i przyjazna współpraca z elitą. Podczas
konferencji ze swym „cieniem”, przy pracy z Tegulariusem,
którego na próbę zatrudnił jako pomocnika w koresponden-
cji, przy stopniowym studiowaniu, badaniu i uzupełnianiu
świadczeń oraz innych notatek o uczniach i współpracowni-
kach, pozostawionych przez jego poprzednika, Knecht
z uczuciem szybko rosnącej miłości zżywał się z ową elitą,
którą, jak sądził, tak dobrze już poznał, lecz której istota,
podobnie jak i osobliwa natura całej wioski ludycznej i jej
rola w życiu Kastalii, teraz dopiero w pełni przed nim się
odsłoniły. Sam wprawdzie przez wiele lat należał do owej
elity i grona repetentów tej tyleż muzycznej co ambitnej
wioski ludycznej w Waldzell, czując się na wskroś jej
cząstką. Teraz przecież nie był już byle jaką jej częścią, nie
tylkołączony był z ową wspólnotą, ale czuł się jej móż-

giem,' świadomością, a także i sumieniem; nie tylko przeżywał jej koleje i losy, ale kierował nimi i ponosił za nie odpowiedzialność. W pewnej uroczystej chwili, na zakończenie kursu kształcenia nauczycieli gry dla początkujących, sam kiedyś tak to wyraził:

Kastalia to małe państwo samo w sobie, a nasz Vicus Lusorum państewko w obrębie tegoż państwa, malutka, lecz stara republika, równa rangą i równa prawem siostrom swoim, w świadomości swej przecież podnoszona i umacniana swoją artystyczną a poniekąd i sakralną funkcją. Wyodróżniono nas bowiem zadaniem ochraniać istoty świętości Kastalii, jedynej jej tajemnicy i symbolu: gry szklanych paciorków. Kastalia wychowuje znakomitych muzyków i historyków sztuki, filologów, matematyków i innych uczonych. Każdy instytut kastalski i każdy mieszkaniec Kastalii dwa tylko mieć winien cele i ideały: dokonać możliwie najdoskonalszych rzeczy w swym zawodzie, a zawód ten, jak też i samego siebie, żywym i elastycznym utrzymać dzięki temu, że stale połączony on będzie z wszystkimi innymi dyscyplinami, a z wszystkimi też szczerze zaprzyjaźniony. Ów drugi ideał, myśl o wewnętrznej jedności wszelkich intelektualnych wysiłków człowieka, myśl o uniwersalności, znalazła w znamienitej naszej grze pełny wyraz. Być może, że dla fizyka czy historyka muzyki lub innego jakiegoś uczonego konieczne okaże się w danej chwili surowe, ascetyczne wręcz trwanie przy własnej tylko dziedzinie, a rezygnacja z myśli o uniwersalnym wykształceniu korzystna dla chwilowych, specjalistycznych i najwyższych osiągnięć — lecz my, gracze szklanych paciorków, nigdy nie możemy pochwałać ani uprawiać tego ograniczenia i samowystarczalności, ponieważ naszym właśnie zadaniem jest uratowanie idei *universitas litterarum* i ochraniać najszczytniejszego jej przejawu, szlachetnej gry, przed nieustannie pojawiającą się skłonnością poszczególnych dyscyplin do samowystarczalności. Ale jakże zdołamy uratować coś, co samo nie chce zostać uratowane? I jakże zdołamy zmusić archeologów, pedagogów czy astronomów do rezygnacji z samowystarczalnej, fachowej tylko uczoneści, a nakłonić ich do

nieustannego otwierania swych okien na wszelkie inne dziedziny? Nie możemy dokonać tego przymusem, czyli przepisami, które by na przykład grę szklanych paciorków już w szkołach czyniły oficjalnym przedmiotem nauczania; nie możemy także dokonać tego przez samo jedynie przypomnienie o tym, co poprzednicy nasi przez ową grę rozumieli. Grę naszą i samych siebie wtedy tylko za niezbędne przedstawimy, gdy zawsze utrzymywać ją będziemy na wyżynie całego życia intelektualnego, gdy czujnie przyswajając sobie będziemy każde nowe osiągnięcie, każdy nowy kierunek i krąg zagadnień nauki, a uniwersalność naszą, szlachetną, choć także niebezpieczną grę myślami o jedności nieustannie na nowo, zawsze, tak uroczo, tak przekonująco, ponętnie a wdzięcznie kształtować i uprawiać będziemy, że najpoważniejszy nawet badacz i najbardziej pracowity specjalista doznawać będzie z jej strony ostrzeżeń i pokus. Wyobraźmy sobie, że oto my, gracze, przez czas pewien pracować zaczniemy z mniejszym zapalem, kursy gry dla początkujących staną się bardziej nudne i powierzchowne, w grach dla zaawansowanych uczeni specjaliści odczują brak prawdziwie pulsującego życia, intelektualnej aktualności i zainteresowań, wielka, doroczna nasza gra dwa albo i nawet trzy razy przeżyta zostanie przez gości jako pusta jeno ceremonia, martwy, niemodny, przestarzały relikwiarz przeszłości — jakże szybko skończyłaby się wówczas i gra, i my sami! Obecnie przecież nie znajdujemy się już na świetnej wyżynie, na której gra szklanych paciorków znajdowała się jeszcze w minionym pokoleniu, gdy gra doroczna trwała nie tydzień czy dwa, lecz trzy, albo nawet cztery tygodnie, stanowiąc szczytowy moment roku nie tylko dla Kastalii, lecz dla całego kraju. Dzisiaj tej dorocznej grze asystuje jeszcze przedstawiciel rządu, lecz często raczej jako znudzony gość jedynie, a niektóre miasta i stany przesyłają jeszcze swych wysłanników; pod koniec igrzysk przedstawiciele owych świeckich władz dają niekiedy, acz w uprzejmej formie, do zrozumienia, iż długi czas trwania uroczystości niejedno z miast zniechęca do wysłania reprezentanta, może więc wskazane byłoby albo znacznie skrócić całą uroczystość, albo

też w przyszłości odprawiać ją jedynie co drugi lub nawet co trzeci rok. Być może, iż gra nasza tam, w świecie, niebawem wcale już rozumiana nie będzie, że uroczystość odbywać się zacznie już tylko co pięć, co dziesięć lat lub nawet wcale. Zapobiec wszakże możemy i musimy wszelkiemu zdyskredytowaniu i zdewaluowaniu gry w jej własnej ojczyźnie, w naszej prowincji. Tu walka nasza pełna jest nadziei i nieustannie wiedzie do zwycięstwa. Codziennie przeżywamy fakt, że młodzi uczniowie elity, którzy bez zbytecznego zapału zgłosili się na swój kurs gry i ukończyli go *grzecznie*, lecz bez entuzjazmu, nagle przejęci zostają jej duchem, intelektualnymi jej możliwościami, czcigodną tradycją, siłami wstrząsającymi duszą i przekształcają się w gorliwych naszych stronników i zwolenników. Co roku też w trakcie *Ludus solemnus* widzimy znanych, wybitnych uczonych, o których wiemy, iż przez cały pracowity swój rok z góry nieco patrzą na nas, graczy szklanych paciorków, a instytutowi naszemu nie zawsze wszystkiego najlepszego życzą, którzy nagle, podczas tej wielkiej gry, coraz bardziej przejęci i urzeczeni urokami naszego kunsztu, odprężeni i uniesieni, czują, jak wraca im młodość i zapał, i żegnają nas w końcu, pokrzepieni w swych sercach, słowami pełnymi przejęcia i niemal zawstydzonej wdzięczności. Rozważmy przez chwilę środki, jakie mamy do dyspozycji, aby wypełnić nasze zadania: widzimy oto bogaty, piękny i należycie skonstruowany aparat, którego sercem i ośrodkiem jest archiwum gry, każdej godziny z wdzięcznością przez nas wykorzystywane, któremu wszyscy, od magistra i archiwariusza aż po ostatnich posługaczy, ochoczo służymy. Najlepsza i najżywsza jest w naszym instytucie stara kastalska zasada wyboru najlepszych, elity. Szkoły Kastalii gromadzą najlepszych uczniów z całego kraju i kształcą ich. Podobnie i w wiosce ludycznej staramy się wybrać najlepszych spośród tych, którzy miłością do gry są obdarzeni, zatrzymać ich i kształcić w sposób coraz bardziej doskonały, kursy nasze i seminaria przyjmują całe ich setki, pozwalając im znów odejść, najlepszych przecież kształcimy na graczy prawdziwych, na wirtuozów gry, coraz dalej i dalej, a każdy

z was wie, że w sztuce naszej, jak w każdej zresztą, nie istnieje jakakolwiek granica rozwoju, że każdy z nas, z chwilą gdy już raz należymy do elity, przez całe swoje życie pracować będzie nadal nad coraz dalszym rozwojem, wysubtelnieniem, pogłębieniem samego siebie i naszego kunsztu, niezależnie od faktu, czy należy do urzędników naszych, czy nie. Istnienie elity uważano niekiedy za luksus, twierdząc, że powinniśmy kształcić tylu tylko graczy elitarnych, ilu potrzeba dla należytego obsadzenia urzędowych stanowisk. Lecz po pierwsze urzędnicy nie są instytucją samowystarczalną, a ponadto nie każdy bynajmniej nadaje się też na urzędnika, podobnie jak nie każdy dobry filolog na nauczyciela się nadaje. My, urzędnicy, w każdym razie wiemy i czujemy doskonale, że grono repetentów stanowi nie tylko rezerwuuar utalentowanych i doświadczonych w grze ludzi, spośród których uzupełniać możemy braki i dobierać następców. Gotów byłbym rzec niemal, iż jest to uboczna jedynie funkcja elity graczy, choć w stosunku do nie znających się na rzeczy usilnie ją podkreślamy, gdy tylko mowa o sensie i prawie do istnienia naszego zakładu. Nie, repetenci to nie przede wszystkim przyszli magistrowie, kierownicy kursów, urzędnicy archiwum, oni są celem sami dla siebie, szczupłe ich grono jest właściwą ojczyzną i przyszłością gry szklanych paciorków; tu, w nielicznych sercach i mózgach, dokonuje się rozwój i dostosowanie, wzloty i starcia naszej gry z duchem czasu i z poszczególnymi dyscyplinami naukowymi. Właściwie, należycie, w pełni i w natężeniu wszystkich sił tylko tutaj nasza gra bywa grana, tu jedynie, wśród naszej elity, jest ona celem sama dla siebie i świętą służbą, nic już nie mając wspólnego z zamięłowaniem czy zawodową próżnością, nic z zarozumiałością ani z przesadami. W waszych rękach, repetenci z Waldzell, leży przyszłość gry. Jest ona bowiem sercem i samą istotą Kastalii, wy natomiast stanowicie serce naszego osiedla, sól naszej prowincji, jej ducha i jej niepokój. Nie grozi nam, aby was było zbyt wielu, aby wasz zapal był zbyt gwałtowny, namiętność dla wspaniałej gry zbyt gorąca; wzmagajcie ją tedy, wzmagajcie! Dla was, jak dla wszystkich Kastalczyków, jedno tylko'

istnieje niebezpieczeństwo, którego wszyscy i co dzień strzec się musimy. Duch prowincji naszej i zakonu ns dwóch wspiera się zasadach, na obiektywności i umiłowaniu prawdy w studiach oraz na uprawianiu medytatywnej mądrości i harmonii. Jeśli utrzymamy obie te zasady w równowadze, okażemy się ludźmi mądrymi i godnymi naszego zakonu. Miłujemy nauki, każdy swoją ich dziedzinę, lecz wiemy przecież, że oddanie się nauce niekoniecznie zdoła ochronić człowieka przed egoizmem, wadami czy śmiesznościami, historia sporo nam tu dostarcza przykładów, postać doktora Fausta stanowi literacką ilustrację owego niebezpieczeństwa. Inne wieki szukały ratunku w połączeniu intelektu z religią, badań z ascezą, w ich *universitas litterarum* rządziła teologia. U nas natomiast medytacja, wielostopniowe praktykowanie jogi, z której pomocą poskromić usiłujemy zwierzę w sobie, a diabła w nauce, gdyż mieszka on w każdej. Wiecie przecież równie dobrze jak i ja, że i w grze szklanych paciorków tkwi diabolus, który doprowadzić umie do pustej wirtuozerii, egoistycznego napawania się artystyczną próżnością, karierowiczostwa, zdobywania władzy nad innymi, a wskutek tego do nadużywania owej władzy. Dlatego potrzebne nam inne jeszcze, nie tylko intelektualne wychowanie; podporządkowaliśmy się tedy moralności zakonu, nie po to, aby nasze aktywne intelektualnie życie przekształcić w wegeta tywnie senne i nierealne, lecz przeciwnie, po to, aby umożliwić sobie najwyższe, intelektualne osiągnięcie. Nie powinniśmy z *vita activa* uciekać ku *vita contemplativa* ani na odwrót, lecz krążyć stale pomiędzy nimi, w obu z nich jak u siebie w domu się czując i w obu uczestnicząc.

Zacytowaliśmy słowa Knechta, choć zachowało się wiele podobnych jego wypowiedzi, zanotowanych przez uczniów, ponieważ te właśnie jasno wyrażają jego pojmowanie urzędu, przynajmniej w pierwszych latach kiedy go sprawował. Na fakt, iż Knecht był znakomitym nauczycielem (początkowo zresztą ku własnemu zdumieniu), wskazuje już uderzająco znaczna liczba jego zapisanych i przekazanych nam wykładów. Do odkryć i niespodzianek z wysokim jego urzę-

dem związanych należało już od samego początku, że nauczanie tyle sprawiało mu radości i szło mu tak łatwo. Nie podejrzewałby tego, dotychczas bowiem nigdy właściwie do nauczycielskiej działalności nie tęsknił. Oczywiście, jak Każdy z grona elity, już jako starszy student otrzymywał niekiedy krótkie zlecenia dydaktyczne, wykładał jako zastępca na kursach gry szklanych paciorków różnych stopni. częściej jeszcze służył za korepetytora uczestnikom takich kursów, swoboda studiów jednak i samotne koncentrowanie się na ówczesnych dziedzinach, które studiował, tak były mu ważne i miłe, iż, choć już wówczas zręczny i lubiany jako nauczyciel, zlecenia takie traktował raczej jak niepożądane przeszkody. W końcu i w klasztorze benedyktynów prowadził przecież kursy, lecz nie miały one większego znaczenia, również dla niego samego; tam bowiem nauka u ojca Jakuba i kontakt z nim sprawiły, że wszelkie inne prace wydały mu się sprawami ubocznymi. Najsilniejszym jego dążeniem było podówczas uczyć się, chłonać, być dobrym uczniem, kształcić się — tego pragnął wtedy przede wszystkim. Lecz oto z ucznia stał się nauczycielem, i głównie jako nauczyciel uporał się z wielkim zadaniem pierwszego okresu swego urzędowania, wygrał walkę o autorytet i ścisłą identyfikację osoby z urzędem. Odkrył przy tym radość przeszczepiania wartości duchowych, które sam zdobył, na innych, obserwując przy tym nowe formy ich wyrazu i promieniowania, a więc radość z nauczania, a także radość z walki z osobowościami uczniów i studentów, ze zdobywania autorytetu i kierowania innymi, czyli radość z wychowywania. Nigdy obu tych procesów nie rozdzielał, a podczas swego magistrowania nie tylko wykształcił sporo dobrych i wręcz znakomitych graczy szklanych paciorków, ale też znaczną część swych uczniów rozwinął wspaniale swym przykładem i wzorem, napomnieniami, surową cierpliwością, siłą swej osobowości, czyniąc z nich ludzi i charaktery najlepsze, na jakie ich tylko stać było.

Przy tym zaś, o ile antycypować nam tu wolno, dokonał charakterystycznego doświadczenia. W początkach swej urzędowej działalności miał do czynienia wyłącznie z elitą.

2 najwyższą warstwą swych uczniów, ze studentami i repetentami, z których niejeden dorównywał mu wiekiem, wszyscy zaś byli już należycie wykształconymi graczami. Dopiero stopniowo, gdy już był pewien elity, jął powoli a ostrożnie, z roku na rok, pozbawiać ją sił swoich i czasu, aż pod koniec przez długie okresy mógł niemal całkowicie powierzać ją pieczy swych zaufanych współpracowników. Proces ów trwał całe lata, a Knecht z roku na rok docierał w swych wykładach, kursach i ćwiczeniach do coraz dalszych, młodszych warstw studenckich, w końcu zaś nawet, co nader rzadko czynił magister ludzi, kilkakrotnie osobiście poprowadził kursy dla początkujących, uczniów zatem jeszcze, nie studentów. Przy tym zaś, im młodszy byli i im mniej umieli, tym większą odczuwał radość z uczenia ich. Niekiedy, w ciągu tych lat, sprawiało mu wprost przykrość i kosztowało wiele wysiłku odrywanie się od tych młodych i najmłodszych i powrót do studentów czy nawet do elity. A czasami pragnął wręcz cofnąć się dalej jeszcze, popróbować swych sił na jeszcze młodszych, takich, dla których w ogóle nie organizowano kursów ani gier szklanych paciorków; pragnął na przykład uczyć przez pewien czas małych chłopców łaciny, śpiewu albo algebry, gdzie atmosfera była znacznie mniej intelektualna niż na najbardziej nawet początkowym kursie gry szklanych paciorków, lecz gdzie zetknąłby się z bardziej jeszcze otwartymi, łatwymi do uczenia i wychowywania uczniami, gdzie dydaktyka i pedagogika jeszcze ściślej były ze sobą złączone. W ciągu dwóch ostatnich lat swego magistrowania dwakroć w listach określił siebie jako „nauczyciela”, przypominając, iż tytuł magister ludzi, od całych pokoleń oznaczający w Kastalii już tylko „mistrza gry”, pierwotnie był po prostu nazwą nauczyciela.

O spełnieniu takich nauczycielskich marzeń nie mogło być, oczywiście, mowy, marzeniami pozostawały jeno, podobnymi do tych, w których ktoś sobie w szary i chłodny zimowy dzień błękitne niebo upalnego lata wyobraża. Dla Knechta nie było już innej drogi, obowiązki jego określał urząd, lecz ponieważ urząd ów w szerokim raczej stopniu własnemu jego poczuciu odpowiedzialności powierzał spo-

sób, w jaki te obowiązki zamierza wypełniać, z biegiem lat, początkowo chyba całkiem nieświadomie, zwracać ją stopniowo swe zainteresowanie głównie ku sprawom wychowawczym i ku najwcześniejszym, dostępnym dlań granicom wieku. Im był starszy, tym bardziej pociągała go młodzież. Tak przynajmniej dzisiaj stwierdzić możemy. Wówczas bowiem krytykowi z trudem przyszłoby w jego sposobie sprawowania urzędu wykryć gdziekolwiek coś na kształt szczególnych upodobań czy samowoli. Urząd zresztą zmuszał go nieustannie do powracania ku elicie, a nawet w okresach, gdy całkiem niemal pozostawiał seminaria i archiwa pomocnikom swym i „cieniowi”, długotrwałe prace, jak na przykład doroczne konkursy gry lub przygotowania do gry publicznej wymagały odeń żywego, codziennego kontaktu z elitą. Do przyjaciela swego, Fritza, powiedział kiedyś żartem:

— Bywali władcy udręczeni przez całe życie nieszczęśliwą miłością do swych poddanych. Serce ciągnęło ich ku chłopom, pasterzom, rzemieślnikom, ku nauczycielom i uczniom, lecz nader rzadko oglądali ich na oczy, zawsze otoczeni swoimi ministrami i oficerami, którzy niczym mur tkwili pomiędzy nimi i ludem. Taki też jest los magistra. Rwie się do ludzi, a widuje tylko kolegów, rwie się do uczniów i dzieci, a ogląda jedynie studentów i przedstawicieli elity.

Lecz daleko wybiegliśmy naprzód, powracamy tedy teraz do pierwszych lat urzędowania Knechta. Po zdobyciu pożądanego kontaktu z elitą musiał on przede wszystkim zapewnić sobie, jako życzliwy, lecz czujny władca, przychylność urzędników archiwum, przestudiować również i rozważyć strukturę kancelarii; nieustannie też nadchodziło mnóstwo listów, ciągle także posiedzenia i okólniki władz ogólnych wzywały go do obowiązków i zadań, które nowicjuszowi nie zawsze łatwo było należycie pojąć i sklasyfikować. Często dotyczyły one zagadnień, które interesowały poszczególne wydziały piowineji i wzbudzały w nich zazdrość, choćby sp«raw kompetencyjnych, Knecht zaś stopniowo dopiero, choć ze wzrastającym podziwem jął poj-

mować tajne a potężne funkcje zakonu, ożywczej duszy państwa kastalskiego i czujnego strażnika jego konstytucji.

Tak tedy upłynęły surowe, pracą przepelnione miesiące, podczas których w myślach Józefa Knechta krztyny miejsca nie stało dla Tegulariusa; na wpół instynktownie jedynie niejedną pracę poruczał przyjacielowi, by uchronić go przed nadmiarem wolnego czasu. Fritz utracił kolegę, w ciągu jednej nocy przeistoczył się on w pana i najwyższego przełożonego, do którego nie miał już bynajmniej prywatnego dostępu, którego musiał słuchać, a zwracać się doń per „Wy” i „Wasza Wielebność”. Wszystko jednak, co magister mu czynić nakazywał, Fritz przyjmował za oznakę osobistej troski i myśli, a jako nieco kapryśny samotnik czuł się, wskutek wywyższenia przyjaciela i podnieconego nastroju całej elity, po części bardzo przejęty, po części zaś, w sposób całkiem mu odpowiadający, wskutek zleconych mu prac — ożywiony; w każdym razie lepiej znosił swą całkowicie zmienioną sytuację, niż sam mógł przypuścić w owej chwili, kiedy to Knecht, na wiadomość, iż przeznaczony został na mistrza gry szklanych paciorków, od siebie go oddalił. Był też na tyle mądry i współczujący, że dostrzegł, a przynajmniej wyczuł, niesłychany wysiłek i próbę sił, które przyjaciel jego przetrwać musiał w tym okresie: widział go, jak stoi w ogniu i jak go ogień ów przepala, wszystko zaś, co uczuciowo przy takiej okazji przeżyć było można, przeżył sam silniej zapewne niż doświadczany Knecht. Tegularius dokładał największych starań przy spełnianiu zleceń, otrzymywanych od magistra, jeśli zaś kiedykolwiek poważnie ubolewał nad własną słabością oraz brakiem odpowiedzialności i zdolności do urzędowania, odczuwając to jako wadę, to właśnie wówczas, gdy z całej duszy pragnął stanąć jako pomocnik, jako urzędnik, jako „cień” u boku uwielbianego przyjaciela i przyjść mu z pomocą.

Bukowe lasy wokół Waldzell jęły się już czerwienić, gdy Knecht pewnego dnia zabrał ze sobą do ogródka magistrów, położonego obok jego mieszkania, malutką książeczkę; do tego małego, ślicznego ogródka, który zmarły mistrz Tomasz tak ogromnie lubił i swą horacjańską ręką miłośnika czę-

sto sam pielęgnował, ogródka, który Knecht, jak wszyscy zresztą uczniowie i studenci, wyobrażał sobie niegdyś jako azyl czcigodny, uświęcone miejsce odpoczynku i skupienia mistrza, czarowny przylądek Muz i Tusculum, a który tak rzadko odwiedzał, z chwilą gdy sam stał się tu magistrem i panem i którym nigdy niemal dotąd w spokoju się nie nacieszył. Teraz wyszedł też tylko na kwadrans po obiedzie, pozwalając sobie za ledwie na przejście beztrąsko kilku kroków pomiędzy wysokimi krzewami i pnączami, pośród których jego poprzednik rozmieścił też sporo wiecznie zielonych roślin południowych. Później zaś, ponieważ w cieniu było już chłodno, przeniósł lekki, trzciniowy fotelik na nasłonecznione miejsce, usiadł i otworzył przyniesioną książeczkę.- Był to „Kieszonkowy kalendarz magistra ludzi”, napisany przed siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu laty przez ówczesnego gracza szklanych paciorków, Ludwika Wassermalera i odtąd opatrywany przez każdego z jego następców pewnymi aktualnymi poprawkami, skreśleniami lub uzupełnieniami. Kalendarz ów pomyślany był jako *vademecum* dla magistrów jeszcze niedoświadczonych, w pierwszych latach ich urzędowania, i prowadzić ich miał przez cały urzędowy rok z tygodnia w tydzień, podsuwać najważniejsze obowiązki, niekiedy tylko w postaci haseł, niekiedy dając dokładny ich opis i opatrując osobistymi radami. Knecht odszukał kartkę na tydzień bieżący i uważnie ją przeczytał. Nie znalazł tam nic nieoczekiwanego ani też szczególnie pilnego, ale na końcu owego akapitu pojawiły się słowa:

„Zaczynaj teraz stopniowo kierować myśli swoje ku przyszłej dorocznej grze. Wydaje się, że to wcześnie, a może ci się nawet wydawać za wcześnie. A jednak radzę ci: jeśli nie masz już w głowie planu gry, nie przepuść od tej chwili ani tygodnia, a przynajmniej ani miesiąca, myśli swych ku grze przyszłej nie zwracając. Zapisz sobie swoje pomysły, co pewien czas też przez wolne pół godziny rozpatruj schemat gry klasycznej, zabieraj go nawet z sobą w ewentualne służbowe podróże. Przygotowuj się nie przymuszaniem siebie do dobrych pomysłów, lecz w ten sposób, że od tej chwili częściej na ten temat myśleć będziesz, pamiętając, że w następ-

nych miesiącach czeka cię piękne, uroczyste zadanie, dla którego nieustannie winienesz umacniać się, skupiać i w nastrój wprawiać należyty".

Słowa te zostały napisane jakie trzy pokolenia temu przez mądrego starca i mistrza swego kunsztu, nadto zaś w okresie gdy gra szklanych paciorków osiągnęła pod względem formalnym bodaj szczyty kultury, uzyskała bowiem wówczas delikatność i bogatą ornamentykę wykonania, podobnie jak na przykład w późnym gotyku czy epoce rokoka osiągnęła ją sztuka budowlana i dekoracyjna; przez dwadzieścia lat była to doprawdy jakby gra szklanych paciorków, pozornie jakby szklana, w treść uboga, pozornie też pełna kokieterii, pozornie aż nazbyt śmiała, pełna delikatnych ozdobników, taneczne, nawet taniec na linie przypominające bujanie w niezmiernie zróżnicowanych rytmach; byli gracze, którzy wspominali ów dawny styl niczym utracony czarodziejski klucz; inni zaś stwierdzali, iż styl ten był przeładowany ozdobami, dekadentki i w ich odczuciu niemęski. Jeden z mistrzów i współtwórców owego stylu był tym właśnie, który spisał należyte przemyślane, życzliwe rady i napomnienia w kalendarzu dla magistrów, gdy zaś Józef Knecht uważnie drugi i trzeci raz odczytał jego słowa, poczuł miłe, radosne poruszenie serca, ogarnął go nastrój, który, jak mu się wydawało, jeden jedyny raz tylko odczuł dotychczas; gdy się zastanowił, pojął, że było to podczas medytacji przed jego inwestyturą, że był to nastrój, który ogarnął go przy wizji owej osobliwej wędrowki, korowodu, w którym występował mistrz muzyki i Józef, mistrz i początkujący uczeń, starzec i młodzik. Stary, sędziwy już człowiek spisał był niegdyś owe słowa, myśląc: „Nie przepust an: tygodnia...”, a także , nie przymuszaj się do dobrych pomysłów". Był to człowiek, który przez co najmniej dwadzieścia lat, a może dłużej, sprawował wysoki urząd mistrza gry, który w epoce rozigranego rokoka miał niewątpliwie do czynienia z niesłychanie rozpieszczoną i pewną siebie elitą, który wynalazł i celebrował przeszło dwadzieścia, podówczas jeszcze całe cztery tygodnie trwających, znakomitych dorocznych gier, człowiek stary, dla którego co

roku powracające zadanie skomponowania wielkiej, solennej gry od dawna już nie było jedynie wielkim zaszczytem i radością, lecz raczej ciężarem i trudem niezmiernym, zadaniem, do którego trzeba samego siebie nastroić, przekonać, a także nieco i zachęcić. Knecht czuł względem tego mądrego starca i doświadczonego doradcy nie tylko cześć, pełną wdzięczności, kalendarz jego bowiem był dlań już częstokroć cennym przewodnikiem, lecz także radosną, niemal wesołą i siły swojej pewną przewagę, przewagę młodości. Wśród wielu bowiem trosk mistrza gry szklanych paciorków, które zdołał już poznać, ta jedna przecież nie istniała: nigdy bowiem nie było za wcześnie myśleć o dorocznej grze, nigdy skupienie i radość tego zadania nie były dostateczne, nie mogło też nigdy zabraknąć ani chęci do gry, ani pomysłów. Nie, Knecht, który w ciągu tych ostatnich miesięcy miał niekiedy wrażenie, że jest już raczej stary, poczuł się w owej chwili młody i silny. Nie mógł jednak zbyt długo oddawać się temu pięknemu uczuciu i rozkoszować się nim, gdyż krótka przerwa na odpoczynek już niemal minęła. Lecz piękne i radosne uczucie nie opuszczało go, zabrał je ze sobą, tak tedy krótki moment wytchnienia w ogródku magistrów i czytanie kalendarza coś przecież zrodziły, coś mu ofiarowały. Nie tylko odprężenie i chwilę intensywnego radosnego poczucia własnego życia, lecz również dwa pomysły, które w tejże minucie przybrały już postać decyzji. Po pierwsze: postanowił, jeśli sam stanie się kiedyś zmęczony i stary, zrezygnować ze swego urzędu w momencie, w którym po raz pierwszy odczuje komponowanie dorocznej gry jako uciążliwy obowiązek, a pomysłów do niej znacznie mu brakować. Po drugie: zamierzył już niebawem rozpocząć prace przygotowawcze do swej pierwszej, dorocznej gry, a na kolegę i pierwszego pomocnika przy tej pracy zdecydował powołać ku sobie Tegulariusa, co dla przyjaciela byłoby zadośćuczynieniem i radością, dla niego samego natomiast pierwszą próbą nadania nowej formy tej zmarłej na razie przyjaźni. Tegularius bowiem nie mógł tu sam dać pretekstu ani podjąć inicjatywy: musiała ona wyjść od niego, od magistra.

Przyjaciel miałby zresztą przy tej okazji sporo roboty. Od czasów Mariafels nosił się już bowiem Knecht z projektem pewnej gry szklanych paciorków, który zamierzał urzeczywistnić przy pierwszej swojej uroczystej grze na stanowiska magistra. Zasadą owej gry — na tym polegał ów piękny pomysł — struktury jej i rozmiarów miał być dawny, konfucjański, rytualny schemat budowy chińskiego domu, jego układ według stron świata, bramy, ściana duchów, proporcje i przeznaczenie zabudowań i podwórców, podporządkowanie ich poszczególnym ciałom niebieskim, kalendarzowi, życiu rodzinnemu, a ponadto symbolika i zasady stylu ogrodowego. Niegdyś, podczas studiowania pewnego komentarza do I Ging, mityczny układ i znaczenie owej zasady wydały mu się wyrazistą, a szczególnie piękną metaforą kosmosu i miejsca człowieka w świecie, stwierdził też, że prastary, mityczny duch ludowej tradycji takiej budowy domu pięknie i ściśle łączy się ze spekulatywnie-uczonym duchem mandarynów i magistrów. Często też i z wielkim zamiłowaniem, choć żadnych przy tym nie robiąc notatek, zajmował się Knecht w myślach planem tej gry, wreszcie nosił już w sobie gotowy cały jej układ i dopiero od chwili objęcia urzędu sprawą tą interesować się przestał. Teraz jednak postanowił oprzeć na tej chińskiej idei całą uroczystą grę, Fritz zaś, jeśli zdoła pojąć ducha tych zamysłów, powinien rozpocząć studia nad rozbudowaniem ich i przygotować ich przeniesienie na język gry. Jedną tylko była tu przeszkoda: Tegularius nie znał chińskiego, a było dlań za późno na podjęcie nauki tego języka. Lecz według wskazówek, których po części udzieliłby mu Knecht, a po części instytut studiów wschodnioazjatyckich, Tegularius mógł z pomocą literatury doskonale przeniknąć magiczną symbolikę domu chińskiego, gdyż nie szło tu przecież o filologię. Mimo wszystko trzeba było na to sporo czasu, zwłaszcza dla człowieka rozpieszczonego i nie co dzień skłonnego do roboty, a takim właśnie człowiekiem był jego przyjaciel, dobrze tedy byłoby zaraz zabrać się do pracy: a zatem, jak stwierdził Knecht z uśmiechem, mile zaskoczony, ostrożny starszy pan z kalendarza miał całkowitą rację.

Już nazajutrz, ponieważ godziny przyjęć właśnie bardzo wcześniej się skończyły, kazał wezwać do siebie Tegulariusa. Ów przyszedł, złożył pokłon z podkreślonym nieco wyrazem oddania i pokory, do czego przyzwyczaił się wobec Knechta i poczuł się niesłychanie zdumiony, gdy mistrz, zazwyczaj tak lakoniczny i oszczędny w słowach, z niejakim rozbawieniem głową mu skinął, pytając:

— Przypominasz sobie jeszcze, jak to w studenckich naszych latach stoczyliśmy coś w rodzaju sprzeczki, w której nie udało mi się nawrócić ciebie na moje poglądy? Chodziło wówczas o kwestię wartości i doniosłości studiów wschodnioazjatyckich, zwłaszcza zaś chińskich, a ja chciałem cię nakłonić, iżbyś też na czas pewien zasiadł w instytucie i nauczył się chińskiego. *Tak, pamiętasz? No, cóż, dzisiaj raz jeszcze żałuję, że nie zdołałem cię wówczas przekonać. Świetnie by było, gdybyś znał teraz chiński! Moglibyśmy dokonać wspólnie cudownej pracy.

I tak droczył się z przyjacielem przez chwilę jeszcze, w oczekiwaniu go trzymając, aż zamysł swój wreszcie wyjaśnił: chce niebawem przystąpić do przygotowania wielkiej gry, Fritz zaś, jeśli sprawi mu to przyjemność, wykonać ma większą część owych prac, podobnie jak wówczas, gdy pomógł przygotowywać konkursową grę Knechta na uroczystość, kiedy sam Knecht przebywał u benedyktynów. Fritz spojrzał nań niemal z niedowierzaniem, zaskoczony niezmiernie i w nader przyjemny sposób poruszony samym już żywym tonem i uśmiechniętą twarzą przyjaciela, którego znał przecież teraz tylko jako magistra i pana. Wzruszony i uradowany, poczuł nie tylko zaufanie i zaszczyt, jakie kryły się w owej propozycji, lecz pojął i pochwycił główne znaczenie tego pięknego gestu: była to bowiem próba zalecenia, próba ponownego otwarcia drzwi, które zamknęły się pomiędzy nim i przyjacielem. Zastrzeżenia Knechta, odnoszące się do jego niezajomości języka chińskiego, potraktował Fritz lekko, natychmiast deklarując swą gotowość do pomocy Wielebnemu oraz wszelkim przygotowaniom do jego gry.

— Dobrze — odparł magister. — Przyjmuję twą obiet-

nicę. Będziemy tedy w pewnych godzinach znowu towarzyszami pracy i studiów, jak niegdyś, w tych odległych, wydaje się, czasach, kiedy to niejedną grę wspólnie opracowaliśmy i toczyli. Cieszy mnie to, Tegulariusie. A teraz musisz przede wszystkim pojąć należycie ideę, na której grę chcę skonstruować. Musisz zrozumieć, czym jest chiński dom i co oznaczają zasady jego budowy. Dem ci polecenie do instytutu wschodnioazjatyckiego, tam ci pomogą. Albo —■ przyszedł mi do głowy inny jeszcze, ładniejszy pomysł — możemy spróbować zwrócić się do Starszego Brata, tego człowieka w Gaju Bambusowym, o którym tyle ci wówczas opowiadałem. Być może, iż jest poniżej jego godności zadawać się z kimś, kto nie rozumie chińskiego, a może jest to zbyt wielka przeszkoda, lecz spróbować mimo to powinniśmy. Jeśli bowiem człowiek ten zechce, to zdoła na pewno zrobić z ciebie Chińczyka.

Wysłano tedy list do Starszego Brata, serdecznie zapraszający go, aby na czas pewien zechciał przybyć do Waldzell jako gość mistrza gry szklanych paciorków, któremu urząd jego na składanie wizyt czasu nie pozostawia; lisiwyjaśniał również, o jaką to przysługę zamierza go się prosić. Chińczyk jednak nie opuścił swego Bambusowego Gaju, posłaniec przyniósł tylko od niego liścik, w którym wymalowanymi tuszem znakami chińskimi donosił:

„Zaszczytem byłoby oglądać wielkiego męża. Chodzenie wiedzie jednak do przeszkód. Na ofiarę użyć dwóch miseczek. Wielce Czcigodnego pozdrawia Młodszy”.

Knecht tedy, choć nie bez trudu, zdołał nakłonić przyjaciela, aby sam wyruszył do Gaju Bambusowego, poprosić o przyjęcie i naukę. Ale niewielka ta podróż rezultatu nie przyniosła. Pustelnik w gaju przyjął Tegulariusa z niemal uniżoną uprzejmością, nie odpowiadał wszakże na jego pytanie inaczej niż grzecznie sentencjami w języku chińskim. I nie zaprosił go do pozostania mimo wymalowanego na pięknym papierze wspaniałego listu polecającego magistra ludzi. Nic więc nie wskórawszy i raczej w złym humorze powrócił Fritz do Waldzell. przynosząc w darze dla magistra kartkę, na której wymalowany był stary werset nad złotą

rybką, sam zaś musiał jednak szukać pomocy w Instytucie Studiów Wschodnioazjatyckich. Tu polecenia Knechta lepszy odniosły skutek; petentowi, wysłannikowi magistra, okazano jak najdalej idącą pomoc, wkrótce też zdołał się on t^{ak} doskonale zorientować w temacie, jak tylko było to bez znajomości chińskiego możliwe, tyle też zaznał radości z racji pomysłu Knechta, by ową symbolikę domu uczynić fundamentem całego planu, że dzięki niej zdołał przeboleć 'awód, jaki go spotkał w Bambusowym Gaju i zapomnieć o nim.

Knecht, gdy Wysłuchał sprawozdania Tegulariusa z jego odwiedzin u Starszego Brata, potem zaś gdy w samotności przeczytał werset ze złotą rybką, poczuł się znowu otoczony atmosferą owego człowieka i wspomnieniami o swym pobycie w jego chacie, przy rozwianych bambusach i łodygach krwawnika, i to w sposób niezwykle intensywny, były to bowiem jednocześnie wspomnienia o swobodzie, wolnym czasie, okresie studenckim, barwnym rajem młodości. Jak stanowczo ów dzielny a dziwaczny pustelnik umiał się wycofać, żyć swobodnie, jak dokładnie ów cichy, bambusowy gaj krył go przed światem, jak mocno i głęboko żyć on potrafił w swojej czystej, pedantycznej a mądrej chińszczyźnie, która stała się już drugą jego naturą, jaki otaczał go zwarty, skoncentrowany, zagęszczony urok życia jak we śnie, rok po roku, dziesięciolecie po dziesięcioleciu: ogród swój uczynił Chinami, chatę świątynią, ryby bóstwami, samego siebie zaś mędrce! Knecht z westchnieniem oderwał się od tych myśli. On inną poszedł drogą, a raczej go nią poprowadzono, teraz chodziło jedynie o to, aby tą wskazaną mu drogą iść prosto i wiernie, nie porównując jej z drogami innych.

Wspólnie z Tegulariusem szkicował i komponował w wolnych, zaoszczędzonych godzinach swą grę, całą pracę przygotowawczą pozostawiając archiwum, a pierwszy i drugi zrzepis przyjacielowi. Wraz z nową treścią przyjaźń ich nabrała nowego życia i nowych, innych niż dawniej kształtów; gra, nad którą pracowali, została dzięki właściwościom i subtelnej fantazji dziwaka Fritza urozmaicona i odmieniona. Fritz

należał do tych nigdy nie zadowolonych, a przecież zadowalających się małym ludzi, którzy w niespokojnej krzątaninie, mnóstwem drobnych, łagodnych ruchów poprawiają całymi godzinami już to bukiet świeżo zerwanych kwiatów, już to nakryty do śniadania stół, choć każdemu innemu człowiekowi wydają się one gotowe i na wskroś doskonałe, a z najdrobniejszej nawet pracy potrafią uczynić czule a pilnie wypełniane, całodzienne zajęcie. W latach następnych już tak pozostało: wielka, solenna gra była za każdym razem pracą dwóch ludzi, dla Tegulariusa zaś satysfakcja była tu podwójna, mógł bowiem w tak ważnej sprawie okazać się swojemu przyjacielowi i mistrzowi użytecznym, nawet niezbędnym, w publicznym zaś wykonaniu gry uczestniczyć jako jej anonimowy wprawdzie, lecz całej elicie doskonale znany współtwórca.

Późną jesienią tego pierwszego roku urzędowania, podczas gdy przyjaciel jego zajęty był jeszcze studiami chińskimi, magister natrafił pewnego dnia podczas szybkiego przeglądania zapisów w dzienniku swej kancelarii na notatkę :

„Student Petrus z Monteport przybywa, polecony przez magistra musicae, przekazuje specjalne pozdrowienia od starego mistrza muzyki, prosi o mieszkanie i dopuszczenie do archiwum. Umieszczony został w domu gościnnym dla studentów”.

Cóż, studenta wraz z jego podaniem mógł magister spokojnie poruczyć archiwistom, powszednia to była sprawa. Ale „specjalne pozdrowienia od starego mistrza muzyki” jego tylko mogły dotyczyć. Kazał więc wezwać owego studenta: był to młodzieniec o wyglądzie zapalczywym i zarazem ponurym, milczący przy tym, a najwyraźniej należący do elity z Monteport. przynajmniej odnosiło się wrażenie, że audyencja u magistra była dlań rzeczą zwyczajną. Knecht zapytał, co kazał mu przekazać stary mistrz muzyki.

— Pozdrowienia — odparł student. —_ Bardzo serdeczne i pełne szacunku pozdrowienia dla was, Wielebny, a także zaproszenie.

Knecht poprosił gościa, aby usiadł. Młodzieniec, starannie dobierając słów, mówił dalej:

— Czcigodny mistrz zlecił mi, jako rzekłem, przekazać wam przy tej okazji pozdrowienia. Zaznaczył to, iż pragnął by niebawem, możliwie najwcześniej, raz chociaż was u siebie zobaczyć. Zaprasza was, a raczej prosi, abyście go w najbliższym czasie odwiedzili, pod warunkiem, oczywiście, iż wizyta ta da się połączyć z jakąś podróżą służbową, i nie na zbyt wiele czasu wam zajmie. Tak mniej więcej brzmiało jego polecenie.

Knecht badawczo przyjrzał się młodzieńcowi: należał on z pewnością do ulubieńców' starca. Ostrożnie zadał pytanie:

— A jak długo zamierzasz przebywać u nas w archiwum, *studiose*?

W odpowiedzi usłyszał:

— Dokładnie tak długo, Wielebny, aż ujrzę, że podróż do Monteport podejmujecie.

Knecht zastanowił się.

— Dobrze — rzekł wreszcie. — A czemu nie przekazałeś mi tego, co stary mistrz zlecił ci powtórzyć, w dokładnym brzmieniu jego słów, jak by spodziewać się należało?

Petrus uparcie odpowiadał spojrzeniem na wzrok Knechta i powoli, ostrożnie szukając słów, jakby mówić miał w obcym języku wyjaśnił:

—• Nie ma zlecenia. Wielebny, ani dokładnego brzmienia tych słów. Znacie czcigodnego mojego mistrza i wiecie, iż był on zawsze człowiekiem niezwykle skromnym. W Monteport opowiadają, że w czasach jego młodości, gdy jeszcze był repetentem, lecz wśród całej elity uchodził już za predestynowanego na mistrza muzyki, nadała mu owa elita kpiące przezwisko „wielkiego skromnisia”. No, cóż, ta jego skromność, a nie mniej i pobożność, gotowość do usług, liczenia się z innymi i cierpliwość zwiększyły się jeszcze, gdy się postarzał, szczególnie zaś od chwili, gdy złożył swój urząd. Wiecie o tym. niewątpliwie lepiej ode mnie. Skromność ta nie pozwoliłaby mu prosić na przykład waszą wielebność o odwiedzinę, choćby ich nawet jak najgoręcej pragnął. Tak tedy, *domine*, nie zostałem zaszczycony tego rodzaju zlece-

niem, choć mimo to postąpiłem tak, jakby mi go udzielono. Jeśli to błąd, waszą już będzie sprawą uznać niebyłe owo zlecenie za naprawdę niebyłe. Knecht uśmiechnął się lekko.

— A twoja praca w archiwum gry, *carlssime*? Czyż była tylko pretekstem?

— O, nie. Mam tam zrobić wyciąg z wielu kluczy, a więc i tak musiałbym w najbliższym czasie apelować do waszej gościnności. Lecz wydało mi się wskazane raczej przyspieszyć nieco tę niewielką podróż.

— Doskonale — skinął głową magister, poważniejąc już znowu całkowicie. — A czy pytanie o przyczynę tego przyspieszenia jest dozwolone?

Młodzieniec na chwilę przymknął oczy, mocno zmarszczył czoło, jakby pytanie to dręczyło go niezmiernie. Potem zwrócił znowu swe mocne, badawcze, krytyczne spojrzenie na twarz magistra.

— Na pytanie to nie można udzielić odpowiedzi, chyba że zechcecie jeszcze ściślej je sformułować.

— Dobrze więc — zawołał Knecht. — Czy samopoczucie starego mistrza jest złe, czy budzi ono niepokój?

Student, mimo iż mistrz mówił z największym spokojem, zauważył jego pełną serdeczności troskę o starca; po raz pierwszy od początku rozmowy pojawił się w jego nieco ponurym spojrzeniu promyk życzliwości, głos zabrzmiał też nieco bardziej bezpośrednio i milej, tak jakby zamierzał wreszcie szczerze się wywiązać ze swego zadania.

— Panie magistrze — rzekł — bądźcie spokojni, samopoczucie Wielce Czcigodnego bynajmniej złe nie jest, był on zawsze człowiekiem bardzo zdrowym i jest nim nadal jeszcze, mimo iż wiek sędziwy, oczywiście, znacznie go osłabił. Nie jest więc tak, żeby jego wygląd miał się wyraźnie zmienić czy też żeby sił z nagłą ubyć mu miało; robi małe ćwiczenia, codziennie trochę muzykuje, a jeszcze do niedawna miał dwóch uczniów, którzyin lekcji przy organach udzielał, początkujących zaledwie, bo zawsze najchętniej otaczał się najmłodszymi. Lecz fakt, iż przed paru tygodniami nawet tych dwóch ostatnich uczniów oddał, jest już jednak pewnym

symptodem, na który zwróciłem uwagę, i od tej chwili jałem Czcigodnego nieco pilniej obserwować i zastanawiać się nad nim — i to są przyczyny mojego tutaj pobytu. Jeśli cokolwiek uprawnia mnie do takich myśli i poczynań, to okoliczność, iż sam byłem dawniej uczniem starego mistrza, uczniem niejako ulubionym, jeśli wolno mi tak to określić, i że następca jego od roku już mnie właśnie przydzielił mu na famulusa i towarzysza, zlecając mi pieczę nad jego zdrowiem. Bardzo miłe było mi to zlecenie, dla nikogo bowiem nie czuję tak wielkiego szacunku i przywiązania, jak dla tego mojego starego nauczyciela i opiekuna. On to otworzył przede mną tajemnice muzyki i uczynił mnie zdolnym do służenia jej; a jeśli co jeszcze ponadto uzyskać zdołałem w myśleniu, zamiłowaniu ładu, w dojrzałości i porządku wewnętrznym, to także od niego pochodzi i jego jest dziełem. Tak więc od prawie roku z nim razem mieszkam, zajęty wprawdzie pewnymi studiami i kursami, zawsze jednak gotowy do jego dyspozycji, towarzyszę mu przy stole, asystuję na spacerach, a także przy muzykowaniu, nocą zas sąsiaduję z nim przez ścianę. Przy tak bliskim współżyciu mogę bardzo dokładnie obserwować stadia — no, rzecz chyba muszę, stadia jego starzenia się, fizycznego starzenia; niektórzy moi koledzy robią pełne współczucia albo i szydercze uwagi na temat osobliwej służby, która człowieka tak młodego jak ja czyni sługą i towarzyszem życia bardzo starego człowieka. Nie wiedzą oni jednak, a prócz mnie nikt chyba dokładnie nie wie, jaki wiek przypadnie mistrzowi osiągnąć, gdy tak ciało jego stopniowo coraz słabsze i ułomniejsze się staje, gdy coraz mniej przyjmuje pokarmu i coraz bardziej zmęczony z niewielkich swych spacerów powraca, me będąc przy tym przecie chory, i gdy tak w ciszy swego sędziwego wieku coraz bardziej staje się samym tylko duchem, samą nabożnością, godnością i prostotą. Jeśli służba moja, famulusa czy też pielęgniarsza, natrafia na pewne trudności, polegają one na tym jedynie, iż Czcigodny bynajmniej nie chce być obsługiwany i pielęgnowany, że chciałby zawsze tylko dawać, a nigdy nie brać. •— Dziękuję ci — rzekł Knecht. — Miło mi wiedzieć, że

tak oddany i wdzięczny uczeń przebywa przy Czcigodnym. Ale teraz powiedzże mi wreszcie wyraźnie, skoro nie mówisz na zlecenie twego pana, czemu wizyta moja w Montepart tak ci leży na sercu?

— Pytaliście przedtem z z troskaniem o zdrowie starego ^v mistrza muzyki — odparł młodzieniec. — Najwidoczniej więc prośba moja wzbudziła w was myśl, że może jest on chory i może istotnie czas już najwyższy, aby raz jeszcze go odwiedzić. No, cóż, wydaje mi się, że czas to już najwyższy. Czcigodny nie wydaje się wprawdzie bliski kresu, lecz jego sposób żegnania się z tym światem jest raczej osobliwy. Tak na przykład od paru już miesięcy całkiem niemal odzwyczyił się od mówienia, a choć zawsze wolał mowę krótką od długiej, obecnie doszedł do takich skrótów i takiego milczenia, że mnie one nieco przerażają. Gdy coraz częściej przydarzało się, że kiedym się do niego zwracał czy o coś *pyiał*, pozostawiał mnie bez odpowiedzi, sądziłem początkowo, że słuch jego słabnąć zaczyna, lecz on słyszy równie dobrze jak dawniej, przeprowadziłem w tym względzie wiele prób. Musiałem tedy przyjąć, że po prostu jest roztargniony i uwagi jakoś już skupić nie potrafi. Ale i to nie jest wystarczające. Raczej bowiem znajduje się on od dłuższego już czasu niejako w drodze i niecałkiem pośród nas żyje, lecz coraz bardziej i bardziej w swym własnym świecie; coraz też rzadziej kogoś odwiedza lub do siebie mu przyjść pozwala, prócz mnie nikogo teraz całymi dniami nie widuje. A od nr m^{ntu} kiedy się to zaczęło, to stronienie i już-tu-nieprzebywanie, od tej chwili starałem się przyprowadzić mu raz jeszcze tych kilku przyjaciół, o których wiem, że najbardziej ich kochał. Jeśli zechcielibyście go odwiedzić, *domine*, uczynilibyście niewątpliwie wielką radość waszemu staremu przyjacielowi, pewien tego jestem, a sami zastalibyście jeszcze poniekąd tego samego człowieka, któregoście szanowali i kochali. Za kilka miesięcy, a może już za parę tygodni radość jego z was i reakcja jego na wasze przybycie byłyby znacznie mniejsze, a możliwe nawet, że wcale was by nie poznał albo przynajmniej uwagi na was już nie zwrócił.

Knecht powstał, podszedł do okna i stał tam przez chwilę

wyglądając, chłonąc powietrze. Gdy znowu odwrócił się do studenta, ów wstał już z krzesła, jak gdyby uważał audyencję za skończoną. Magister podał mu rękę:

— Raz jeszcze dziękuję, Petrus — rzekł. — Wiesz zapewne, że magister wiele ma obowiązków. Nie mogę tak po prostu włożyć kapelusza i wyjechać, tizeba najpierw wszystko podzielić i umożliwić. Mam nadzieję, że do pojutra z tym się uporam. Czy wystarczy ci to i czy zdołasz do tej pory zakończyć swoje prace w archiwum? Tak? W takim razie każe cię wezwać, gdy będzie już czas.

Istotnie Knecht wyjechał kilka dni później w asyście Petrusa do Monteport. Gdy weszli do pawilonu, w którym pośród ogrodów mieszkał stary magister, do uroczego, pełnego niezmiernego spokoju przybytku, posłyszeli z pokoju w głębi muzykę, delikatną, cieniutką, w takcie jednak równo utrzymaną, niesłychanie pogodną muzykę; starzec siedział tam grając dwoma palcami dwugłosową melodię — Knecht poznał natychmiast, że pochodzić ona musi z jednej z ksiąg Bicinii z końca szesnastego wieku. Stanęli, czekając. Nastanie cisza, po czym Petrus zawołał do swego mistrza, że oto wrócił i przywiózł ze sobą gościa. Starzec pojawił się we drzwiach, witając ich spojrzeniem. Ów powitalny, powszechnie lubiany uśmiech mistrza muzyki pełen był zawsze dziecięco otwartej i promiennej życzliwości i serdeczności; Józef Knecht zobaczył go po raz pierwszy przed niemal trzydziestu laty i otworzył, ofiarował swoje serce temu życzliwemu człowiekowi w trwożnie-uszczęśliwiającej chwili poranka w pokoju muzycznym; odtąd często i za każdym razem z głęboką radością i osobliwym wzruszeniem widywał ten uśmiech, a podczas gdy szpakowate włosy miłego mistrza stopniowo stawały się siwe i stopniowo też białe, podczas gdy głos jego był coraz cichszy, uścisk dłoni słabszy, chód coraz trudniejszy, uśmiech jego nie utracił nic ze swej jasności, wdzięku, czystości i serdeczności. A tym razem przyjaciel i uczeń ujrzał rzecz nie ulegającą wątpliwości: promienne i czułe wezwanie tego uśmiechu na starczej twarzy, na której coraz bardziej płwiałały z biegiem lat niebieskie oczy i łagodna różowość policzków, nie było tylko tym daw-

nym, wielokroć już widzianym wezwaniem, stało się też bardziej przejmujące, tajemnicze i intensywne. Teraz dopiero, przy powitaniu, Knecht pojął, na czym w istocie polegała prośba studenta Petrusa i jak bardzo on sam, który sądził, iż z racji owej prośby składa ofiarę, jest w tym wypadku obdarowany.

Przyjaciel jego, Carlo Ferromonte, którego odwiedził w kilka godzin później — był on wówczas bibliotekarzem w słynnej muzycznej bibliotece Monteporl — jeden z pierwszych o tym usłyszał. Rozmowę, jaką wtedy odbyli, utrwalił on później w liście.

— Stary nasz mistrz muzyki — rzekł Knecht — był przecie twoim nauczycielem i bardzo go kochałeś, czy często właściwie teraz go widzisz?

— Nie — odparł Carlo. — Czyli, oczywiście, widuję go nierzadko, na przykład, kiedy odbywa swój spacer, a ja akurat idę z biblioteki, lecz nie rozmawiałem z nim już od miesięcy. Coraz bardziej i bardziej wycofuje się on ze wszystkiego i chyba towarzystwa już nie znosi. Przedtem miał zawsze jakiś wieczór dla ludzi takich jak ja, dla dawnych swoich repetentów, tych, którzy są teraz w Monteporl urzędnikami, ale to już od roku mniej więcej skończyło się, a fakt, że pojechał wówczas na waszą inwestyturę do Waldzell, zduriał nas wszystkich niepomiarownie.

— Tak — powiedział Knecht — lecz jeśli jednak widujesz go niekiedy, czy nie dostrzegłeś w nim żadnych zmian?

— O, tak, myślicie tu zapewne o jego dobrym wyglądzie, jego pogodzie, o jego osobliwym promieniowaniu. Oczywiście, że zauważyliśmy to. I w miarę, jak jego siły zanikają, pogoda ta nieustannie wzrasta. My już przywykliśmy do tego, was jednak musiało to zaskoczyć.

— Famulus jego, Petrus — zawołał Knecht — widuje go znacznie częściej niż ty, a przecież nie przywykł, jak to na zywiesz, do tego. Przyjechał, z należytym, oczywiście, uzasadnieniem, specjalnie do Waldzell, aby nakłonić mnie do tych odwiedzin. Co o nim sądzisz?

— O Petrusie? Całkiem dobry z niego znawca muzyki, raczej zresztą z gatunku pedantów niż geniuszy, przyciężki

trochę czy raczej może ocięzwały człek. Staremu mistrzowi muzyki oddany jest całkowicie i życie by za niego oddał. Wydaje mi się, iż służba temu uwielbianemu panu i bogu wypełnia go całego, jest nią wręcz opętany. A wy nie odnieśliście również takiego wrażenia?

■— Opętany? Ba, ale ten młody człowiek nie jest, jak mi się wydaje, po prostu opętany miłością, nie jest zwyczajnie zakochany w starym nauczycielu, nie czyni z niego bóstwa, opętany jest raczej i oczarowany istotnym, prawdziwym zjawiskiem, które lepiej dostrzega czy też lepiej swoim uczuciem pojmuje niż wy, pozostali. Chcę ci opowiedzieć, jak ja to ujrzałem. A więc przyszedłem dzisiaj do starego magistra, którego nie widziałem już od pół roku, a sądząc z aluzji jego famulusa niczego sobie po tych odwiedzinach nie obiecywałem lub bardzo niewiele; przestraszyłem się po prostu, że człowiek ten może nas niebawem nagle opuścić i chciałem go raz przynajmniej jeszcze zobaczyć. Gdy mnie poznał i przywitał, twarz jego rozjaśniła się, nie powiedział jednak ani słowa, wymienił tylko moje imię i podał mi rękę, a ten ruch i ta ręka także wydały mi się promieniące, on cały promieniał, a może tylko jego oczy, białe włosy i jasna skóra promieniały cichym, chłodnym blaskiem. Siadłem obok niego, studenta odesłał jednym spojrzeniem, i oto rozpoczęła się najosobliwsza rozmowa, jaką kiedykolwiek przeżyłem. Początkowo wprawdzie bardzo mi się to wszystko wydawało obce, przykre, a także trochę zawstydzające, gdyż nieustannie na nowo zwracałem się do niego, zadawałem pytania, on zaś żadnej nie dawał odpowiedzi, patrzył tylko, i nie mogłem rozeznaczyć, czy pytania moje i informacje docierają do niego inaczej jakoś niż tylko jako przykre szmery. Czułem się zmieszany, rozczarowany i zmęczony, wydawałem się sobie niepotrzebny i natrętny, cokolwiek bowiem mówiłem do mistrza, otrzymywałem w odpowiedzi jeno uśmiech i krótkie spojrzenie. O, gdyby spojrzenia te nie były tak pełne życzliwości i serdeczności, pomyśleć bym musiał, iż starzec niewątpliwie natrzęsa się ze mnie, z mych opowieści i pytań, z całego niepotrzebnego trudu mojej podróży i odwiedzin u niego. No, w istocie coś ta-

kiego kryło się też w tym jego milczeniu i uśmiechu, były one rzeczywiście samoobroną i napomnieniem, ale w inny zupełnie sposób, na innej płaszczyźnie i w innym stopniu niż na przykład szydercze słowa. Musiałem najpierw ustać i całkowicie poniechać mych, jak mi się wydawało, cierpliwych a uprzejmych prób nawiązania rozmowy, zanim zacząłem pojmować, że starzec z łatwością zdołałby się uporać ze stokroć nawet większą od mojej cierpliwością, wytrwałością i uprzejmością. Być może, że wszystko to trwało jedynie kwadrans czy pół godziny, mnie wydało się połową dnia, byłem już smutny, zmęczony i zniechęcony, w ustach mi zaschło i zacząłem żałować mojej podróży. Tu oto siedział czcigodny mąż, mój opiekun i przyjaciel, który, od kiedy myśleć potrafię, posiadał całe moje serce i zaufanie, ani jednego nawet słowa mojego nigdy nie pozostawił bez odpowiedzi, siedział tu oto i słuchał moich słów, a może mnie i nie słyszał, i całkowicie ukrył się za swym promieniowaniem i swym uśmiechem, za swoją złotą maską, nieosiągalny już z innego świata, gdzie rządzą inne prawa, wszystko zaś, co powiedzieć chciałem od siebie, z naszego świata w jego świat słowami przekazać, spływało po nim niczym deszcz po kamieniu. Wreszcie — a straciłem już wszelką nadzieję — przebił ten zaczarowany mur, wreszcie dopomógł mi, wreszcie powiedział coś! Jedyne to było zdanie, jakie dziś od niego usłyszałem: „Zmęczysz się, Józefie”, powiedział cicho tym swoim głosem pełnym wzruszającej życzliwości i troskliwości, który znasz. I to było wszystko. „Zmęczysz się, Józefie”. Tak, jakby przez długi czas przypatrywał mi się podczas zbyt wyczerpującej pracy i chciał mnie oto upomnieć. Wypowiedział te słowa z pewnym trudem, jakby od dawna już warg swoich do mówienia nie używał. Jednocześnie położył rękę na moim ramieniu, była lekka jak motyl, przenikliwie spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się. W tej chwili zostałem zwyciężony. Coś z tego pogodnego spokoju, jego cierpliwości i ciszy przeszło na mnie, nagle też ogarnęło mnie zrozumienie dla tego starca i dla zmiany, jaka w jego osobowości zaszła — odwrócenia się od ludzi ku ciszy, od słów ku muzyce, od myśli ku jedności. Zrozumiałem, co mi

oto zostało ofiarowane, zrozumiałem też teraz dopiero ów uśmiech i promieniowanie: święty, doskonały, pozwalał mi oto godzinę jedną uczestniczyć w swoim blasku, a ja, nędzny, chciałem z nim rozmawiać, pytania mu zadawać i przywieść ku konwersacji. Dzięki Bogu, w porę jeszcze to pojąłem. Mógł być mnie przecież także odprawić i w ten sposób na zawsze odrzucić. A wówczas pozbawiony zostałbym najosobliwszego i najwspanialszego przeżycia, jakie kiedykolwiek poznałem.

— Widzę — stwierdził w zadumie Ferromonte — żeście w starym naszym mistrzu muzyki dostrzegli coś na kształt świętego, a dobrze, że to wy właśnie wspominać mi o tym. Wyznam, że od każdego innego z niezmierną nieufnością przyjąłbym taką opowieść. Jestem w zasadzie daleki od zamiłowań do mistyki, a jako muzyk i historyk żywię szczególne, pedantyczne upodobanie do czystych kategorii. Ponieważ zaś my w Kastalii nie stanowimy ani chrześcijańskiej kongregacji, ani też taoistycznego czy hinduskiego klasztoru, wydaje mi się zaliczanie kogokolwiek spośród nas do świętych, a więc do kategorii czysto religijnej, jest właściwie niedopuszczalne, toteż komu innemu, nie tobie — wybaczyć, nie wam, *domine* — poczytałbym to za błąd. Wydaje mi się jednak, iż nie zechcecie chyba wszcząć procesu beatyfikacyjnego na cześć naszego czcigodnego, starego magistra; zresztą w zakonie naszym brak kompetentnego do takich spraw urzędu. Nie, nie przerywajcie mi, proszę, mówię poważnie, bynajmniej nie mam zamiaru żartować. Opowiedzieliście mi pewne przeżycie, a wyznać muszę, iż zawstydziło mnie ono nieco, ponieważ opisany przez was fenomen nie uszedł wprawdzie całkowicie uwagi ani mojej, ani moich kolegów z Monteport, ale przyjęliśmy go po prostu tylko do wiadomości, a niewiele mu poświęcili myśli. Przypominam sobie powody tego mojego niedopatrzenia i obojętności. Fakt, iż przemiana starego mistrza wydała się wam tak wyraźna, niemal sensacyjna, podczas gdy ja ledwo ją zauważyłem, da się, oczywiście, wyjaśnić tym, że przemiana ta nasunęła się przed oczy wasze nieoczekiwanie, jako gotowy już rezultat, a ja byłem świadkiem powolnego jej roz-

woju. Stary mistrz, którego oglądaliście przed miesiącami, i dzisiejszy są niezmiernie od siebie różni, podczas gdy my, sąsiedzi, od jednego spotkania do drugiego natrafialiśmy na ledwo dostrzegalne zmiany. Lecz wyznaję, że takie wyjaśnienie mi nie wystarcza. Jeśli przed oczami naszymi dokonuje się coś w rodzaju cudu, choćby nawet bardzo cicho i powoli, powinniśmy, jeśli nie jesteśmy uprzedzonymi, silnie się tym wzruszyć, niż mnie to przejąć zdołało. I tu dochodzę do przyczyny mej obojętności: nie byłem właśnie nieuprzedzony. Zjawiska tego nie dostrzegłem, ponieważ dostrzec go nie chciałem. Zauważyłem, jak każdy zresztą, wzrastającą rezerwę i milczenie naszego Czcigodnego i jednocześnie wzmagającą się jego życzliwość, coraz silniejszą i nadmysłową już promienną jego oblicza, gdy przy spotkaniu w milczeniu na pozdrowienie moje odpowiadał. Sam to zauważyłem i każdy, oczywiście, spostrzeża to również. Ale wzbraniałem się przed dostrzeżeniem w tym czegoś więcej, a wzbraniałem się nie z braku szacunku dla starego magistra, lecz po części z niechęci do kultu jednostki i do każdego uwielbienia w ogóle, po części zaś z niechęci do takiego uwielbienia w tym szczególnym przypadku, byłem bowiem przeciwny tego rodzaju kultowi, jaki student Petrus z mistrzem swoim i bóstwem uprawia. I podczas opowieści waszej w pełni to sobie uświadomiłem.

— Okólna — zaśmiał się Knecht — to była droga, abyś sobie jednocześnie uświadomił również niechęć do biednego Petrusa. Ale jak teraz sprawa się przedstawia? Czy ja również jestem egzaltowanym mistykiem? Czy też uprawiam ów zabroniony kult jednostki i świętych? Czy też może wobec mnie przyznasz się do tego, do czego się wobec studenta przyznać nie chciałeś, mianowicie, że oglądaliśmy i przeżyli coś prawdziwego i realnego, nie marzenie bynajmniej ani fantazję?

— Oczywiście, że przyznam to wobec was — powoli i z zastanowieniem odparł Carlo — nikt w przeżycie wasze ani też piękność i pogodę starego mistrza, który tak nieprawdopodobnie do ludzi uśmiechać się potrafi, wątpić nie będzie. Ale pytanie brzmi: gdzie umieścimy to zjawisko, jak

je nazwiemy, jak wytłumaczymy? Brzmi to po belfersku, lecz my, Kastalczycy, jesteśmy przecież nauczycielami, a skoro pragnę wasze i nasze przeżycie zaklasyfikować i nazwać, pragnę uczynić tak nie dlatego, że z pomocą abstrakcji i uogólnień chciałbym zniweczyć jego realność i piękno, lecz dlatego, iż chcę możliwie jasno i wyraźnie utrwalić je i odnotować. Gdy podczas podróży słyszę gdzieś chłopca albo dziecko, nucących melodię, której dotąd nie znałem i usiłuję natychmiast i jak tylko się da najdokładniej w nutach tę melodię zapisać, nie jest to odrzucanie ani odrzucanie, lecz uczczenie i uwiecznienie tego mojego przeżycia.

Knecht skinął mu życzliwie głową:

— Carlo — rzekł — ogromna szkoda, że teraz tak rzadko widywać się możemy. Nie wszyscy przyjaciele z młodych lat odnajdują się przy każdym spotkaniu. Przyszedłem opowiedzieć ci o starym magistrze, ponieważ jesteś tutaj jedynym człowiekiem, na którego współudziale i współwiedzy mi zależy. Tobie jednak pozostawić muszę, co z tą opowieścią zrobisz i jak zechcesz nazwać ów stan błogości naszego mistrza. Cieszyłbym się, gdybyś też zechciał go kiedy odwiedzić i choć przez chwilę w jego aurze przebywać. Jego stan łaski, doskonałości, starczej mądrości, błogości czy jak tam inaczej go nazwać zechcemy, należy, być może, do życia religijnego; chociaż bowiem my, Kastalczycy, nie mamy religii ani Kościoła, pobożność przecie znamy, a właśnie stary nasz mistrz muzyki był zawsze człowiekiem na wskroś pobożnym. A istnieją przecież relacje o obdarzonych łaską, doskonałych, promieniejących i zachwyconych w wielu religiach, czemużby i nasza, kastalska pobożność do takiego rozkwitu dojść choć raz nie miała? Późno już, spać powinienem iść, bo jutro wczesnym rankiem muszę wyjeżdżać. Mam nadzieję powrócić tu niebawem. Ale pozwól mi jeszcze króciutko opowiedzieć ową historię do końca! A więc gdy powiedział do mnie: „Zmęczysz się”, udało mi się wreszcie zrezygnować z wysiłków nawiązania rozmowy i nie tylko zachować milczenie, lecz i wolę własną odwrócić od błędnego celu, od chęci przebadania tego milczka słowami i rozmową i wykorzystania go. I od chwili, gdy zrezygnowałem, pozost-

stawiając resztę tamtemu, wszystko samo już jakby poszło. Określenia moje możesz później dowolnie zastąpić innymi, lecz teraz wysłuchaj mnie, nawet jeśli wydam ci się nieścisły lub mieszać będę kategorie. Byłem u starca z godzinę czy półtorej, a nie potrafię powiedzieć ci, co pomiędzy nim a mną zaszło, czy też do jakiej doszło wymiany. Słowa żadne w tym czasie nie padły. Poczułem tylko, z chwilą gdy złamany już został mój opór, że włączył mnie on w swój pokój i jasność swoją, pogoda i cudowny spokój otoczyły nas obu. I chociaż świadomie, z własnej woli nie oddałem się wówczas medytacji, stan ów przypominał poniekąd jakąś szczególnie szczęśliwą i uszczęśliwiającą medytację, której tematem byłoby życie starego mistrza. Widziałem i czułem go i cały przebieg jego życia od owej chwili, gdy ze mną, chłopcem jeszcze, po raz pierwszy się spotkał, aż do chwili obecnej. Było to życie pełne oddania i pracy, wolne jednak od przymusu, wolne od ambicji, ale pełne muzyki. A rozwijało się ono tak, jakby on, muzykiem i mistrzem muzyki się stając, wybrał muzykę jako jedną z dróg wiodących ku najwyższemu celowi człowieka, ku wolności wewnętrznej, czystości i doskonałości, i jakby odtąd nic innego nie czynił, jeno pozwalał muzyce coraz bardziej siebie przenikać, przemieniać, oczyszczać, począwszy od zręcznych a mądrych jego rąk klawesynisty i bogatej, ogromnej pamięci muzycznej, aż po wszystkie części i narządy jego ciała i duszy, aż po uderzenia pulsu i oddech, aż po sen i marzenia senne, i teraz był już tylko symbolem czy może raczej zjawiskiem, uosobieniem muzyki. Przynajmniej wszystko, co z niego promieniowało czy też pomiędzy nim a mną falowało niczym rytmiczny oddech, odczuwałem tylko jako muzykę, jakąś całkowicie już zdematerializowaną, ezoteryczną muzykę, wchłaniającą każdego, kto przekroczy ów zaczarowany krąg, niczym wielogłosowa pieśń wchłania nowo wchodzący do niej głos. Niemuzykowi łaska ta ujawniłaby się może w innych obrazach, astronom ujrzałby tutaj może siebie w postaci księżycy krążącego wokół planet, filolog zaś usłyszałby, iż ktoś zwraca się do niego w jakimś pierwotnym, ma-

gicznym, wszystko oznaczającym języku. Dość już, żegnam cię. Wielka to była dla mnie radość, Carlo.

Epizod ów opisaliśmy nieco bardziej szczegółowo, ponieważ mistrz muzyki zajmował tak ważne miejsce w życiu i sercu Knechta; nakłoniła czy też przywiodła nas ku temu ta jeszcze okoliczność, iż rozmowa Knechta z Ferromontem dotarła do nas w postaci własnoręcznego zapisu tego ostatniego, w liście. O „beatyfikacji” starego mistrza muzyki sprawozdanie to jest z pewnością najwcześniejsze i najbardziej wiarygodne, później bowiem aż nazbyt wiele było na ten temat legend i wyjaśnień.

J

DWA BIEGUNY

-|~x oroczna gra, znana dziś jeszcze pod nazwą „gry domu § J chińskiego" i częstokroć cytowana, przyniosła Knechtowi i jego przyjacielowi bogaty plon ich pracy, Kastalii zaś i urzędowi pozwoliła stwierdzić, iż powołanie Knechta na najwyższe stanowisko było na wskroś słuszne. Waldzell, wioska ludyczna i elita znowu przeżyły satysfakcję świetnej a podniosłej uroczystości, gra doroczna od dawna bowiem nie była tak wielkim wydarzeniem jak tym razem, gdy najmłodszy i najczęściej wspominany magister miał po raz pierwszy wystąpić całkiem publicznie i dać dowody swej kompetencji, a ponadto jeszcze samo Waldzell skompensować musiało odniesioną w roku ubiegłym porażkę i niepowodzenie. Tym razem nikt nie leżał zmożony chorobą, nie było też onieśmiałego zastępcy, który by lękliwie przewodniczył wielkiej ceremonii, otoczony lodowatym chłodem czującej a nieufnej i źle mu życzącej elity, wspierany jedynie przez zdenerwowanych urzędników, wiernie wprawdzie, lecz w sposób pozbawiony polotu. Bezszelestnie, niedostępnie, całkowicie w roli arcykapłana, w biel i złoto przyodzianej głównej postaci na uroczystej szachownicy symboli, celebrował magister dzieło własne i przyjaciela; promieniując spokojem, siłą i godnością, niedosiężny dla głosu profanów, pojawił się w wielkiej sali w otoczeniu licznych mi-

nistrantów, otwierając akt po akcie swojej gry rytualnymi gestami, lśniącym, złotym rysikiem wypisując delikatnie znak po znaku na małej tabliczce, przed którą stał, a niebawem te same znaki pojawiły się też w szyfrach gry, powiększone stokrotnie, na ogromnej tablicy ściennej w głębi sali, sylabizowane szeptem przez tysiąc głosów, wywoływane donośnie przez mówców, natomiast przez służbę łączności wysyłane na cały kraj i na cały świat; gdy zaś pod koniec pierwszego aktu wywołał na tablicy wzór cały ów akt streszczający, po czym, przybierając wdzięczną a imponującą postawę, podał przepisy medytacji, położył rylec, usiadł i sam przykład dając w pozycji należytej oddał się owej medytacji, wówczas nie tylko w wielkiej sali, w wiosce ludycznej i Kastalii, lecz także i na zewnątrz, w niejednym z krajów świata wyznawcy gry szklanych paciorków w skupieniu do tejże medytacji zasiedli, trwając w niej do chwili, gdy magister w sali powstał znowu. Wszystko odbywało się tak, jak już wielokroć, a przecież wszystko było nowe i poruszało serca. Abstrakcyjny, pozornie ponadczasowy świat owej gry był dość elastyczny, aby setką odcieni reagować na intelekt, głos, temperament i pismo danej osobowości, a osobowość ta wystarczająco wielka była i pełna kultury, by zamysłów swoich nie uważać za ważniejsze od nienaruszalnych, własnych kanonów gry; pomocnicy i współgrający, czyli elita, posłuszni byli jak dobrze wyćwiczeni żołnierze, a przecież każdy z nich, choćby tylko wspólnie z innymi, wykonywał pokłony lub pomagał w obsłudze zasłon otaczających medytującego mistrza, zdawał się wieść grę własną i własnym ożywioną natchnieniem. Z tłumu natomiast, z ciżby całą salę i całe Waldzell wypełniającej gminy, z tysiąca dusz, które kroczyły śladem mistrza fantastyczno--hieratycznym pochodem poprzez bezkresne, wielowymiarowe wyobrażeniowe przestrzenie gry, dobywał się podstawowy akord całej uroczystości, głęboki a dudniący bas dzwonów, dla bardziej dziecinnych członków gminy stanowiący najwspanialsze i jedyne niemal podczas tej uroczystości przeżycie, doznawany jednak z dreszczem pełnym czci także przez doświadczonych wirtuozów gry i krytyków z grona

elity, od ministrantów i urzędników aż po samego kierownika i mistrza.

Wielkie to było święto, a czuli to i głosili także wysłannicy z zewnątrz, niejeden też nowicjusz został w tych dniach na zawsze dla gry szklanych paciorków pozyskany. Osobliwie brzmią jednak słowa, w których Józef Knecht po zakończeniu tych dziesięciodniowych uroczystości zawarł przed przyjacielem swoim, Tegulariusem, swe przeżycie:

— Możemy być zadowoleni ■— rzekł. — Tak, Kastalia i gra szklanych paciorków to rzeczy cudowne, są one czymś niemal doskonałym. Lecz są nimi może nadmiernie, są może zbyt piękne; tak piękne, że trudno się im przypatrywać i nie lękać się o nie. Przykro pomyśleć, że kiedyś, jak wszystko, przeminąć muszą. A przecież myśleć o tym trzeba.

Te przekazane nam słowa zmuszają biografę do przybliżenia się ku najtrudniejszej i najtajniejszej części jego zadania, od której chętnie przez chwilę wolałby jeszcze trzymać się z dala, by najpierw ze spokojem i przyjemnością, jaką jasne i jednoznaczne sytuacje sprawiają temu, kto je opisuje, doprowadzić do końca swe sprawozdanie o sukcesach Knechta, wzorowym sprawowaniu przezeń urzędu i świetnym apogeum jego życia. Błędem jednak i nieprzyzwoistością względem naszego tematu wydałoby się nam nierozeznanie i niewykazanie już teraz dualizmu czy też biegunowości w osobie i życiu czcigodnego mistrza, choć nikomu się one jeszcze, z wyjątkiem Tegulariusa, nie ujawniły. Zadaniem naszym będzie więc od tej chwili raczej przyjąć i zaakceptować ów rozłam, czy też może nieustannie pulsującą polaryzację, w duszy Knechta, jako właściwą a charakterystyczną cechę jego osobowości. Nietrudno bowiem byłoby autorowi, który uznałby za rzecz dozwoloną opisać żywot jakiegoś kastalskiego magistra wyłącznie na zasadzie życiorysu świętego *ad rumorem gloriam Castaliae*, ukształtować relację z magisterskich lat Józefa Knechta, z jedynym wyjątkiem ostatnich momentów, jako absolutnie gloryfikujące wyliczenie zasług, wypełnionych obowiązków oraz sukcesów. Życie i okres urzędowania każdego z mistrzów gry szklanych paciorków, nie wykluczając choćby magistra Ludwika Was-

sermalera z najbardziej grze przychylniej epoki w Waldzell, nie może wydać się oczom historyka trzymającego się jedynie udokumentowanych faktów bardziej doskonałe i pochwały godne niż życie i okres urzędowania magistra Knechta. A przecież ów okres urzędowania zakończył się w sposób absolutnie niezwykły, budząc sensację, a nawet w odczuciu niektórych mający posmak skandalu, koniec ten zaś nie był ani przypadkiem, ani też wypadkiem nieszczęśliwym, lecz przyszedł jako całkiem logiczny wynik, a do zadania naszego należy również wykazanie, iż bynajmniej nie stoi on w sprzeczności ze świetnymi a pochwały godnymi osiągnięciami i sukcesami Czcigodnego. Knecht był bowiem wielkim i wzorowym zarządcą i przedstawicielem wysokiego swojego stanowiska, nieposzlakowanym mistrzem gry szklanych paciorków. Widział jednak i odczuwał świetność Kastalii, której służył, jako wielkość niebezpieczną a zanikającą; nie żył tam bez przeczuć czy zastrzeżeń, jak znakomita większość jego współkastalczyków, lecz znał pochodzenie i dzieje Kastalii, odczuwał ją jako fakt historyczny, poddany działaniu czasu i jego bezlitosną siłą opływany i wstrząsany. Takie przebudzenie się ku żywemu odczuwaniu historii oraz traktowaniu własnej osoby i działalności jak komórki, współuczestniczącej i współcierającej się w nurcie stawania się i przemian, dojrzało w nim i doszło do jego świadomości dzięki studiom historycznym i pod wpływem wielkiego ojca Jakuba, choć zadatki i załączki tej postawy dawno już w nirn istniały, ten zaś, dla kogo osobowość Józefa Knechta stała się doprawdy żywa, kto istotnie natrafił na trop cech szczególnych i sensu owego życia, z łatwością zadatki owe i załączki odnaleźć zdoła.

Ow człowiek, który w jeden z najbardziej promiennych dni swego życia, pod koniec pierwszej swojej uroczystej gry, po niezwykle udanym i pełnym ekspresji wyrażeniu ducha Kastalii powiedział: „Przykro pomyśleć, że Kastolia i gra szklanych paciorków kiedyś przeminąć muszą — a przecież trzeba o tym myśleć”, ów człowiek od samego początku, nawet gdy wiele brak mu było jeszcze, aby stać się wtajemniczonym w historię, miał w sobie poczucie świata

i znał dobrze przemijalność wszystkiego, co dokonane, a także względność wszystkiego, co duch ludzki stworzył. Jeśli cofniemy się do jego lat chłopięcych i szkolnych, natrafimy na wiadomość, że za każdym razem, gdy z Eschholz znikał jeden z współuczniów, ponieważ zawiódł nauczycieli i został ponownie odesłany z elity do zwykłych szkół, Knecht odczuwał głęboki niepokój i przygnębienie. Tradycja nie przekazała, aby którykolwiek z tak odprawionych miał być osobście zaprzyjaźniony z młodym Knechtem; a więc nie eliminowanie i znikanie jakiejś osoby tak go podniecało i napełniało bólem, pełnym lęku. Było to raczej lekkie naruszenie dziecinnej jego wiary w trwałość ładu kastalskiego i kastalskiej doskonałości i ono sprawiało mu ból. Fakt, że mogli istnieć chłopcy i młodzieńcy, których spotkała łaska i szczęście przyjęcia do elitarnych szkół prowincji, oni zaś tę łaskę zawiedli i odrzucili, był dla niego, który swe powołanie traktował ze świętą powagą, czymś wstrząsającym, dowodem siły niekastalskiego świata. Być może także — gdyż udowodnić się tego nie da — iż wydarzenia takie budziły w chłopcu pierwsze wątpliwości w dotychczas przyjmowaną bez zastrzeżeń nieomylną instytucję wychowawczą, bo wszak to owa instytucja sprowadzała co pewien czas do Kastalii uczniów, których się po pewnym znów czasie musiała pozbywać. Lecz niezależnie od tego, czy i taka myśl, najpierwszy więc odruch krytyki względem autorytetu, towarzyszyła tym doznaniom, czy nie, chłopiec za każdym razem przeżywał wykołajenie się i odprawienie jakiegoś ucznia elitarnego nie tylko jako nieszczęście, lecz nadto też jako nieprzyzwoistość, jako brzydką plamę, w którą się wpatrywał, zarzut jej czyniąc już z samego faktu, że istniała, a całą Kastalię obarczając za to współodpowiedzialnością. Na tym, wydaje się nam, polegało owo uczucie wstrząsu i zamętu, którego uczeń Knecht w takich razach doznawał. Istniał bowiem na zewnątrz, za granicami prowincji, jakiś świat i jakieś ludzkie życie, sprzeczne z Kastalią i jej prawami, nie mieszczące się w tutejszym ładzie i porządku, nie dające się ani poskromić, ani wysublimować. I, oczywiście, wiedział o istnieniu takiego innego świata także we włas-

nym sercu. On także miał popędy, fantazje i zachcianki, sprzeczne z prawami, którym podlegał, popędy, które pokroić mógł jedynie stopniowo i w ciężkim trudzie. Popędy te mogły więc u niektórych uczniów stać się tak silne, że opierały się wszelkim napomnieniom i karom, wiodąc tych, co im ulegali, z elitarnego świata Kastalii z powrotem w ów inny świat, gdzie panowały nie ład i rozwój intelektu, lecz po prostu naturalne odruchy, a który zabiegającemu o cnoty kastalskie wydawać się musiał raz światem złym, podziemnym, a innym znowu razem uwodzicielsko wabiącym placem gry i zabaw. Od całych już pokoleń wiele młodych sumień zrozumiało pojęcie grzechu w tej właśnie, kastalskiej formie. Knecht zaś w wiele lat później, jako człowiek dorosły i rozmiłowany w historii, miał dokładniej pojąć, że historia bez materiałów i dynamiki owego grzesznego świata egoizmu i ulegania popędom powstać nie może, że nawet tak sublimowane twory jak zakon kastalski zrodzone zostały z tych brudnych odmętów i kiedyś na nowo przez nie wchłonięte zostaną. Kastalia tedy była zasadniczą przyczyną wszelkich silnych wzruszeń, dążeń i wstrząsów w życiu Knechta, a nigdy nie była ona dlań tylko problemem myślowym, lecz zawsze czymś, co go najgłębiej obchodziło i za co, czuł, że ponosi także odpowiedzialność. Należał to tych natur, które potrafią zachorować, długo się męczyć i umrzeć widząc, jak choruje i cierpi umiłowana idea, w którą wierzyli, ukochana ojczyzna i społeczność.

Dalej śledzimy tę nić i natrafiamy na pierwszy okres pobytu Knechta w Waldzell, ostatnie jego uczniowskie lata i pełne znaczenia spotkanie z gościnnie tylko przebywającym w szkole Designorim, które w odpowiednim miejscu opisaliśmy ze szczegółami. Owo spotkanie płomiennego zwoleńnika kastalskiego ideału ze światowym dzieckiem, imieniem Plinio, stanowiło nie tylko gwałtowne, długo później jeszcze wpływ wywierające, lecz także doniosłe, głębokie i metaforyczne przeżycie dla ucznia Knechta. Zmuszony został bowiem wówczas do odegrania tyleż doniosłej, co i męczącej roli, która, choć niby przypadkowa, tak bardzo od-

powiadała całej jego osobowości, iż ma się niemal ochotę rzec, że całe jego późniejsze życie jest nieustannym roli tej powtarzaniem, coraz bardziej doskonałym w nią wrastaniem, mianowicie roli obrońcy i reprezentanta Kastalii; ponownie w dziesięć prawie lat później rolę tę odegrać musiał względem ojca Jakuba, do końca zaś grał, jako mistrz gry szklanych paciorków, rolę obrońcy i reprezentanta zakonu i praw jego, nieustannie i z serca gotowego i usiłującego przecież uczyć się od swego przeciwnika, a popierać nie zamknięcie się najszczelniejsze i sztywną izolację Kastalii, lecz żywe jej współgranie i dyskusję ze światem zewnętrznym. Co w intelektualnej i oratorskiej konkurencji z Designorim było jeszcze po części igraszką, później, względem tak poważnego przeciwnika i przyjaciela, Jakuba, stało się zadaniem poważnym, a wobec obu tych konkurentów ostał się Knecht, wzrósł dzięki nim, nauczył się od nich wiele, w walce o wymianie nie mniej dał, niżli wziął, w obu też przypadkach wprawdzie nie pokonał swych przeciwników, co zresztą od początku celem jego nie było, lecz zdołał zmusić ich do pełnego szacunku uznania zarówno jego osoby, jak też przezeń reprezentowanej zasady i ideału. Nawet gdyby starcie z uczonym benedyktynem nie doprowadziło bezpośrednio do owego praktycznego rezultatu, do utworzenia wpół oficjalnej reprezentacji Kastalii przy Stolicy Apostolskiej, miałoby ono większą wartość, niż większość Kastalczyków przeczuwała.

Zarówno dzięki konkurencyjnej przyjaźni z Plinio Designorim, jak i z mądrym, starym patrem uzyskał Knecht, który poza tym żadnych z pozakastalskim światem stosunków nie utrzymywał, pewną znajomość czy raczej przecucie owego świata, jakie w Kastalii z pewnością niewielu tylko posiadało. Z wyjątkiem jego pobytu w Mariafels, który wszak również nie mógł zapewnić mu poznania właściwego życia świeckiego, nigdy nie oglądał Knecht tego świeckiego życia i nie brał w nim udziału, prócz wczesnego dzieciństwa; lecz przez Designoriego, przez Jakuba i dzięki studiowaniu historii zdobył przecucie rzeczywistości, głównie na intuicji oparte i nader nikłym doświadczeniem

uzupełniane przecucie, które jednak uczyniło go mądrzejszym i bardziej na świat otwartym niż była większość jego kastalskich współobywateli, urzędów też prawie nie wykluczając. Był zawsze i pozostał prawdziwym i wiernym Kastalczykiem, nigdy jednak nie zapominał, iż Kastalia jest jedynie częścią, małą cząstką świata, choćby nawet najcenniejszą i najmiłszą.

A jakże się rzecz miała z jego przyjaźnią z Fritzem Tegulariusem, człowiekiem o tak trudnym i problematycznym charakterze, świetnym artystą gry szklanych paciorków, rozpieszczonym a trwożliwym Kastalczykiem, któremu podczas jego krótkiej wizyty w Mariafels, wśród krzepkich benedyktynów, tak było źle i trudno, iż zapewniał, że ani tygodnia tam nie wytrzyma, a przyjaciela swego, który znakomicie wytrzymał tam dwa lata, z tej właśnie racji niezmiernie podziwiał? Na temat tej przyjaźni rozmyślaliśmy wiele; niektóre z owych myśli odrzucić później przyszło, niektóre wydawały się rozsądne, a wszystkie odnosiły się do kwestii, co mianowicie stanowiło korzenie i sens tej wieloletniej przyjaźni. Przede wszystkim nie wolno nam zapominać, że we wszystkich przyjaźniach Knechta, może z wyjątkiem benedyktyna, nie on był stroną poszukującą, zabiegającą i potrzebującą. Przeciwnie, to on właśnie przyciągał, on był podziwiany, jemu zazdrozczono, jego kochano po prostu z racji jego arystokratycznej postawy, poczynając zaś od pewnego stopnia swego „przebudzenia” on sam świadomy już był tego daru. Tak więc już w pierwszych latach studenckich był również podziwiany przez Tegulariusa, który zabiegał o jego względy, podczas gdy Knecht nie dopuszczał go nigdy zbyt blisko do siebie. Pewne oznaki jednak wskazują, że również oddany był przyjacielowi. Sądzić możemy przecie, że nie tylko niezwykle talent owego człowieka, jego bezgraniczna, zwłaszcza zaś na wszelkie zagadnienia gry szklanych paciorków otwarta, genialność miała w sobie dla Knechta coś pociągającego. Jego stała i poważne zainteresowanie dotyczyło nie tylko wielkich zdolności przyjaciela, lecz i jego błędów, jego chorowitości, tego wszystkiego właśnie, co inni mieszkańcy Waldzell uważali

za nieznośną przeszkodę. Tegularius bowiem, ów osobliwy człek, był tak dalece Kastalczykiem, cały sposób jego egzystencji był tak nie do pomyślenia poza prowincją, tak bardzo wymagał jej atmosfery i poziomu umysłowego, że gdyby nie te z nim trudności i nie jego dziwactwa, można by go nazwać arcy-Kastalczykiem. A mimo to ów arcy-Kastalczyk nie pasował do kolegów, nie był lubiany ani przez nich, ani przez urzędników i przełożonych, przeszkadzał nieustannie, stale budził zgorszenie i bez ochrony i opieki swego dzielnego, mądrego przyjaciela zmarniałby zapewne już wcześniej. To, co nazywano jego chorobą, było w rzeczywistości wadą, nieprzystojnością, wypaczeniem charakteru, była to mianowicie na wskroś niehierarchiczna, całkowicie indywidualistyczna postawa i sposób bycia; podporządkowywał się regulaminowi na tyle tylko, ile było konieczne, aby go w ogóle można ścierpieć w zakonie. Był, owszem, dobrym, a nawet świetnym Kastalczykiem, ponieważ miał umysł wszechstronny, i w naukach, i w kunszcie gry szklanych paciorków niez mordowanie i nienasycenie pracowity; lecz nader średnim, a nawet złym był Kastalczykiem ze względu na swój charakter, ustosunkowanie się do hierarchii i moralności zakonu. Największa jego wada polegała na stałym lekceważeniu i zaniedbywaniu medytacji, której sensem jest podporządkowanie jednostki, a której sumienne odprawianie zdołałoby go z pewnością wyleczyć z nerwowej choroby, gdyż w poszczególnych przypadkach zawsze tak właśnie ona nań oddziaływała, gdy po okresie złego prowadzenia się, nadmiernego podniecenia lub melancholii zmuszony był przez przełożonych do odbywania za karę surowych ćwiczeń pod nadzorem; był to zresztą środek, ■do którego nawet życzliwy mu i oszczędzający go Knecht częstokroć musiał się uciekać. Nie, Tegularius był upartym, kapryśnym, nieskłonny do poważnego podporządkowania się charakterem; pełen wprawdzie zawsze żywości umysłu i w chwilach gorących dysput, gdy tryskał swym pełnym pesymizmu humorem, a nikt powstrzymać się nie mógł od podziwiania śmiałości i ponurej częstokroć wspaniałości jego pomysłów wręcz urzekających — lecz w istocie był nie-

uleczalnie chory, ponieważ wcale nie pragnął wyleczenia, nie dbał bynajmniej o podporządkowanie się i harmonię, nie kochał nic prócz własnej wolności, swego wiecznego studenckiego życia, wolał też na całą resztę swych dni pozostać cierpiącym, nieobliczalnym i upartym samotnikiem, genialnym błaznem i nihilistą, niż pójść drogą włączenia do hierarchii i dotrzeć do spokoju. Za nic sobie miał spokój, za nic też hierarchię, a z nagan i osamotnienia też niewiele sobie robił. Niewygodną był więc i niestrawną częścią wspólnoty, której ideałem jest ład i harmonia! Ale dzięki tym właśnie trudnościom, dzięki temu, iż był tak niestrawny, stanowił w owym uporządkowanym małym świecie nieustanny żywy niepokój, wyrzut, napomnienie i ostrzeżenie, pobudzał do nowych, śmiałych, zakazanych i zuchwałych myśli, jak rogaty i krnąbrny baran pośród stada. I dzięki temu właśnie, sądzimy, pozyskał mimo wszystko tego przyjaciela. W stosunku Knechta do niego odgrywało też oczywiście pewną rolę i współczucie, odwołanie się zagrożonego i przeważnie nieszczęśliwego do rycerskich uczuć przyjaciela. Lecz to nie wystarczyłoby już — po wyniesieniu Knechta do godności mistrza, pośród życia urzędowego, przeładowanego pracą, obowiązkami i odpowiedzialnością — do utrzymania owej przyjaźni. Sądzimy, iż Knechtowi ów Tegularius był równie potrzebny i ważny, jak Designori i pater w Mariafels, był on mianowicie na równi z tamtymi dwoma, elementem budzącym, okienkiem otwartym na nowe widoki. Wydaje się nam, że Knecht w tym osobliwym przyjacielu wyczuł, a z czasem też świadomie już w nim uznał przedstawiciela pewnego typu, który nie istniał poza nim, niejako prekursora typu Kastalczyka, jaki z czasem mógłby się być ukształtować, gdyby życie Kastalii nie zostało wzmocnione i odmłodzone nowymi impulsami. Tegularius, jak większość samotnych geniuszów, był prekursorem. Żył istotnie w jakiejś nieistniejącej jeszcze, lecz już jutro powstać mogącej Kastalii, w jakiejś Kastalii przed światem jeszcze zamkniętej; wewnętrznie przecież, wskutek starości i rozluźnienia medytatywnej moralności zakonu, już wynaturzonej. Żył w świe-

cie, gdzie zawsze możliwe były jeszcze najwyższe wloty duchowe i najpełniejsze oddanie wysokim wartościom, lecz gdzie niezwykle rozwinięty i swobodnie igrający intelekt nie miał już innych celów, poza samotnym rozkoszowaniem się nadmiernie wypielęgowanymi talentami. Tegularius był dla Knechta jednocześnie uosobieniem owych najwyższych kastalskich zdolności i znakiem, ostrzegającym o demoralizacji i zagładzie Kastalii. Cudowne to było i wspa- niałe, że istniał ów Fritz. Lecz rozsypaniu się Kastalu w jakieś królestwo marzeń, zaludnione samymi tylko Tegulariusami, należało zapobiec. Niebezpieczeństwo takiego obrotu rzeczy wprawdzie było jeszcze dalekie, ale istniało. Kastalia, którą znał Knecht, mogłaby zaledwie nieco jeszcze wyżej wzniesć mury swej eleganckiej izolacji, pogodzić się jeszcze tylko z rozkładem zakonnego ładu i upadkiem hierarchicznej moralności, a Tegularius przestałby już wówczas być dziwacznym samotnikiem, stałby się zaś reprezentantem wynaturzonej i do upadku zmierzającej Kastalii. Fakt, iż możliwości, a nawet początek lub skłonność do upadku takiego istnieją, ta najważniejsza świadomość i troska magistra Knechta zapewne obudziłyby się w nim znacznie później, lub nawet wcale, gdyby tuż obok niego poznany przezeń najdokładniej, nie żył ów Kastalczyk przyszłości; dla czujności Knechta był on objawem i napomnieniem, podobnie jak dla mądrego lekarza byłby nimi ów pierwszy, kto zapadł na nie znaną jeszcze chorobę. A Fritz nie był człowiekiem przeciętnym, był arystokratą i człowiekiem niesłychanie zdolnym. Czyż ta nie znana jeszcze, w prekursorze Tegulariusie po raz pierwszy manifestująca się choroba zaczęła się kiedyś szerzyć i zmieniać obraz kastalskiego człowieka? Gdyby prowincja i zakon przyjęły tę wynaturzoną, chorobliwą postać, przyszli Kastalczycy bynajmniej nie staliby się samymi Tegulariusami, nie posiadaliby jego wspaniałych talentów, melancholijnego geniuszu, niespokojnie migotliwej, artystycznej namiętności, natomiast większość odziedziczyłaby jedynie jego niesolidność, jego skłonność do igraszek, brak opanowania i zmysłu społecznego.

W chwilach zatroskania Knecht przeżywał może te ponure wizje i przecucia, a przewyciężenie ich, po części przez medytację, a po części przez wzmocnioną aktywność, z pewnością wiele go sił kosztowało.

Właśnie zresztą przykład Tegulariusa daje nam szczególnie piękny a pouczający dowód, w jaki sposób usiłował Knecht opanować wszystko, co problematyczne, trudne i chorobliwe, i jak nigdy tego nie wymijał. Bez jego czujności, toskliwości i pedagogicznego kierunku nie tylko je^o zagrożony przyjaciel zmarniałby zapewne wcześniej, lecz niewątpliwie doszłoby też za jego przyczyną do nie kończących się nigdy zatargów i nieprzyjemności w całym Vicus Lusorum, czego zresztą już od chwili jego przynależności do elity graczy bynajmniej nie brakowało. Kunszt, z jakim, magister potrafił nie tylko utrzymać przyjaciela swojego w ryzach, ale nadto wykorzystać jego talenty w służbie gry szklanych paciorków i rozwinąć je aż do szlachetnych osiągnięć, cierpliwość i ostrożność, z jaką znosił jego dziwactwa i humory, pokonując je niestrudzonym apelowaniem do wszystkiego, co w przyjacielu było wartościowe — podziwiać musimy jako iście mistrzowską umiejętność postępowania z ludźmi. Piękne by to zresztą było zadanie i do zdumiewających może wniosków doprowadzające — a całkiem poważnie pragnęlibyśmy poruczyć je któremuś z naszych historyków gry szklanych paciorków ■— przestudować raz doroczne gry z okresu urzędowania Knechta z punktu widzenia ich stylistycznych właściwości i dać dokładną ich analizę; owe dostojne, a przy tym iskrzące się mnóstwem uroczych sformułowań i pomysłów, wspaniałe, rytmicznie jakże oryginalne, a mimo to od wszelkiej zarozumiałej wirtuozerii dalekie gry, których plan zasadniczy i konstrukcja, na równi z kierowaniem kolejnością medytacji, stanowiły wyłączną intelektualną zasługę Knecht?, podczas gdy wyczelowanie i drobiazgowo opracowanie technicznych szczegółów gry było przeważnie owocem pracy jego współpracownika, Tegulariusa. Gry te mogły zaginąć i popaść w zapomnienie, choć życie i działalność Knechta nie utraciłyby wskutek tego dla przyszłych pokoleń zbyt

wiele powabu ani siły oddziaływania. Na szczęście jednak nie zaginęły, zapisane są i przechowywane jak wszystkie oficjalne gry i nie spoczywają bynajmniej martwo w archiwum, lecz nadal jeszcze żyją w tradycji, studiowane są przez młodzież studencką i służą jako szczególnie lubiane przykłady na niejednym kursie i niejednym seminarium gry. A żyje w nich też dalej ów współpracownik, który bez nich zostałby albo zapomniany albo też byłby już tylko dziwaczną, w niejednej jeszcze anegdocie kołatającą niczym upiór postacią z dawnych lat. Tak tedy Knecht, umiejąc znaleźć dla swego trudnego do zaszeregowania przyjaciela, Fritza, odpowiednie miejsce i odpowiednie pole działalności, zdołał wzbogacić duchowy skarbiec i historię Waldzell o cenne wartości, zapewniając jednocześnie pamięci przyjaciela niejaką trwałość. Przypominamy przy tej okazji, iż przy swoich staraniach o przyjaciela wielki ów pedagog doskonale wykorzystał najlepszy środek wychowawczego oddziaływania. Środkiem tym była miłość i podziw, które żywił dlań przyjaciel. Ów podziw i miłość, uwielbienie dla silnej a pełnej harmonii osobowości Knechta, dla jego pańskości, spotykał Knecht nie tylko u Fritza, lecz także u wielu innych współtowarzyszy i uczniów, zawsze zaś raczej *m. nich* niż na wysokiej godności swego urzędu opierał swój autorytet i władzę, sprawując ją mimo swej dobrotliwej i zgodnej natury wobec wielu. Czuł bowiem dobrze, ile zdziałać może słowo iiznania czy zachęty, a jak wpływa chłodna rezerwa i skąpienie uwagi. Jeden z najgorliwszych jego uczniów znacznie później kiedyś opowiadał, jak to Knecht niegdyś przez cały tydzień słowa doń nie przemówił, ani na kursie, ani na seminarium, udawał, że go nie dostrzeża, traktował go jak powietrze, a była to najsurowsza i najskuteczniejsza kara w ciągu wszystkich lat jego studiów.

Rozważania te i wspomnienia uznaliśmy za konieczne, by doprowadzić czytelnika naszego biograficznego szkicu do zrozumienia w tym właśnie miejscu obu, biegunowo przeciwnych a zasadniczych tendencji w osobowości Knechta oraz, z chwilą gdy zaznajomił się z naszym opisem aż

do tego punktu, przygotować go do ostatnich faz owego bogatego życiorysu. Te podstawowe tendencje czy też bieguny jego życia, jego Yin i Yang, była to z jednej strony tendencja do zachowywania, do wierności, do altruistycznej służby hierarchii, z drugiej zaś strony dążenie do „przebudzenia”, do postępowania naprzód, chwytania i pojmowania rzeczywistości. Dla wierzącego, gotowego do służby Józefa Knechta zakon, Kastalia i gra szklanych paciorków były czymś świętym i niewątpliwie cennym; dla tego zaś, który się budził, dążył naprzód i patrzył daleko, były one, niezależnie od swych wartości, tworam wywalczonymi, zmiennymi, na niebezpieczeństwo starzenia się, jałowienia i rozkładu narażonymi, tworam, których sama idea była dlań wprawdzie nienaruszona i święta, lecz których stan aktualny uważał za tymczasowy i wymagający krytyki. Służył duchowej społeczności, której sens i siły podziwiał, lecz której zagrożenie dostrzegał; dostrzegał je w skłonności do traktowania siebie jako celu ostatecznego w zapominaniu o swym zadaniu i o potrzebie współpracy z całym krajem i światem, wreszcie we wspaniałym, lecz coraz to bardziej na bezpłodność skazanym odrywaniu się od życia. Niebezpieczeństwo to przeczuwał już w owych wczesnych latach, gdy długo i z lękiem ociążał się przed całkowitym oddaniem się w służbę gry szklanych paciorków, ujawniało mu się ono coraz wyraźniej w dyskusjach z mnichami, zwłaszcza z ojcem Jakubem, mimo iż tak dzielnie bronił przed nimi Kastalii; od chwili zaś, gdy powrócił do Waldzell i zo stał magistrem ludzi, dostrzegał owo niebezpieczeństwo stale i w różnych konkretnych przejawach: w wiernej, lecz ode rwanej od świata i czysto formalnie prowadzonej pracy wielu urzędowych placówek i własnych swoich urzędników, w inteligentnej, lecz jakże pełnej zarożumiałości grupie specjalistów, swych repetentów w Waldzell, a nie na ostatku także w równie wruszającej, co i przerażającej postaci swego Tegulariusa. Po zakończeniu trudnego pierwszego roku swego urzędowania, w którym ani odrobiny czasu na życie prywatne znaleźć nie zdołał, powrócił też Knecht do studiów historycznych, po raz pierwszy jął z otwartymi

oczami badać dzieje Kastalii, i zdobył przy tym przeświadczenie, że stan prowincji bynajmniej nie jest taki, za jaki go ona sama uważać chciała, że mianowicie stosunki jej ze światem zewnętrznym, wzajemne wpływy pomiędzy nią a życiem, polityką oraz oświatą kraju od dziesiątków lat zaczęły już zanikać. Instytucja pedagogiczna zabierała jeszcze wprawdzie głos w kwestiach szkolnictwa i oświaty w radzie związkowej, prowincja ofiarowywała również krajowi nadal jeszcze dobrych nauczycieli, a we wszystkich nauki dotyczących spraw miała znaczny autorytet, lecz wszystko to razem nabrało już charakteru mechanicznego nawyku. Coraz rzadziej i z mniejszym zapałem zgłaszali się dobrowolnie młodzieńcy z różnych grup elitarnych Kastalii do pracy w szkolnictwie *extra muros*, coraz rzadziej też zwracały się urzędy lub poszczególne osoby z kraju po radę do Kastalii, której zdania w dawniejszych czasach zasięgano chętnie i słuchano na przykład w ważnych sprawach sądowych. Porównując poziom wykształcenia Kastalii i kraju, przekonać się było można, iż bynajmniej się one do siebie nie przybliżają, przeciwnie raczej w sposób fatalny się oddalają; im bardziej wypielęgowane, zróżnicowane, wychuchane stawało się intelektualne życie Kastalii, tym silniejszą tendencję przejawiał świat do pozostawiania prowincji samej sobie i traktowania jej już nie jako konieczności i chleba powszedniego, lecz jako obcego ciała, z którego można być wprawdzie po trochu dumnym, niczym z jakiegoś cennego, starożytnego zabytku, nie chciał też zeń na razie rezygnować ani go oddawać, lecz chętnie trzymał się w należytych od niego dystansie i przypisywał mu, nic w istocie o nim dokładnie nie wiedząc, mentalność, moralność i ambicje nie przystosowane już do prawdziwego, aktywnego życia. Zainteresowanie współobywateli życiem prowincji pedagogicznej, ich udział w jej instytucjach, zwłaszcza zaś w grze szklanych paciorków, zanikły w równej mierze, co i udział Kastalczyków w życiu i losach kraju. Knecht od dawna już pojął, że na tym właśnie polega błąd, a martwiło go, że jako mistrz gry szklanych paciorków w swojej wiosce ludycznej ma do czynienia wyłącznie z Ka-

stalczykami i specjalistami. Stąd jego dążenie do coraz poważniejszego zajmowania się kursami dla początkujących i pragnienie posiadania możliwie najmłodszych uczniów — im młodsi bowiem byli, tym silniej też złączeni jeszcze byli z całym światem i życiem, tym mniej wytresowani i wyspecjalizowani. Często odczuwał palącą tęsknotę do świata, do ludzi, do życia naiwnego — jeśli ono jeszcze tam, na zewnątrz, w nie znanych okolicach istniało. Coś z owej tęsknoty i owego poczucia pustki, życia w nazbyt rozcieńczonej atmosferze, każdy z nas niekiedy odczuwa, a instytucja wychowawcza zna również tę trudność, przynajmniej zaczynała co pewien czas szukać środków, którymi mogłaby jej zapobiec i usiłowała brak ów wyrównać wzmożeniem ćwiczeń fizycznych i gier, a także próbami podejmowania przeróżnych prac ręcznych i ogrodowych. Jeśli obserwacje nasze są słuszne, to ostatnio pojawiła się w kierownictwie zakonu także tendencja do likwidowania niektórych specjalności naukowych, uznanych za nadmiernie już wyrafinowane, w celu intensyfikacji praktyk medytacyjnych. Nie trzeba być sceptykiem, czarnowidzem ani też złym bratem zakonnym, aby przyznać Józefowi Knechtowi rację, skoro już znacznie wcześniej od nas dojrzał starzenie się naszej republiki i potrzebę odnowienia pod niejednym względem jej skomplikowanego i jakże wrażliwego aparatu.

Znajdujemy Knechta, jak już wspominaliśmy, od drugiego roku jego urzędowania ponownie zwróconego ku studiom historycznym; zajmował się on mianowicie, poza dziejami Kastalii, głównie lekturą wszystkich wielkich i małych prac, które pater Jakub napisał o zakonie benedyktynów. Wraz z panem Dubois oraz pewnym filologiem z Keuperheim, zawsze w roli sekretarza obecnym na urzędowych posiedzeniach, znalazł też Józef okazję do wykorzystania tych swoich historycznych zainteresowań w rozmowach, a nawet do pobudzenia ich na nowo, co zawsze było dlań ożywcze i radosne. W codziennym jego otoczeniu brak było, niestety, takiej okazji, a prawdziwym uosobieniem niechęci owego otoczenia do jakiegokolwiek zajmo-

wania się historią była osoba jego przyjaciela, Fritza, Znaleźliśmy między innymi kartkę z zapisem rozmowy, w której Tegularius namiętnie dowodził, iż dzieje Kastalii są przedmiotem absolutnie niegodnym studiów. Oczywiście: można w sposób inteligentny i zabawny, a gdy zajdzie potrzeba również nader patetyczny, wyjaśnić historię czy historiozofię, jest to rozrywka podobna do innych dziedzin filozofii, a on nic nie ma przeciw temu, jeśli ktoś pragnie tym się bawić. Lecz rzecz sama, przedmiot owej zabawy, mianowicie historia, jest czymś tak brzydkim, a jednocześnie tak szablonowym i diabelskim, równie ohydny jak nudny, że nie jest on w stanie pojąć, jak można się nią zajmować. Treść jej stanowi przecież wyłącznie egoizm ludzki oraz wiecznie jednaka, wiecznie siebie przeceniająca i siebie tylko gloryfikująca walka o władzę, o materialną, brutalną, zwierzęcą władzę, o coś takiego więc, co w świecie wyobraźniowym Kastalczyka bądź nie istnieje, bądź też najmniejszej nawet wartości nie posiada. Historia świata to bezkresna, nudna a nieciekawa relacja o gwałceniu słabszych przez silniejszych, a łączenie właściwej, prawdziwej historii, ponadczasowej historii intelektu z ową starą jak świat i głupią szarpaniną ambicjonerów o władzę i karierowiczów o miejsce pod słońcem czy też nawet próby wyjaśniania tej szarpaniny, są już właściwie zdradą ducha, a przypominają mu pewną w dziewiętnastym czy dwudziestym wieku bardzo rozpowszechnioną sektę, o której mu kiedyś opowiadano, a której członkowie zupełnie serio wierzyli, iż ofiary, składane bogom przez starożytne ludy wraz z samymi owymi bogami, ich świątyniami i wraz z mitami o nich były, na równi z innymi pięknymi rzeczami, skutkiem dającego się realnie obliczyć niedoboru lub też nadmiaru pożywienia i pracy, rezultatami napięcia dającego się wykalkulować z płacy i ceny chleba, a iż sztuki i religie są jedynie fasadami, nazywanymi ideologiami, które unoszą się ponad wyłącznie głodem i żarciem zajętej ludzkością. Knecht, którego bawiła ta rozmowa, zapytał od niechcienia, czy historia intelektu, kultury, sztuki nie jest rów-

niez historią i czy nie wykazuje jednak pewnych związków z resztą dziejów.

— Nie — gwałtownie wykrzyknął jego przyjaciel. — Tę właśnie zaprzeczam. Historia świata to bieg na wyścigi w czasie, pęd do zysków, władzy, skarbów, chodzi w niej zawsze o to, komu wystarczy siły, szczęścia lub podłości, by nie przegapić odpowiedniego momentu. Akt intelektu, kultury, sztuki jest natomiast właśnie rzeczą przeciwną, jest za każdym razem wyłamaniem się z niewoli czasu, przesłiznięciem się człowieka z bagna popędów i ociążałości na inną płaszczyznę, w ponadczasowość, uwolnienie się od czasu, w boskość, absolutnie ahistoryczną i z historią sprzeczną..

Knecht słuchał go z przyjemnością, zachęcając do dalszych jeszcze, bynajmniej humoru nie pozbawionych wybuchów, po czym zakończył rozmowę rzuconą od niechcenia uwagą:

— Chylę czoło przed twoim umiłowaniem ducha i jego czynów! Tylko że twór duchowy jest w istocie czymś, w czym prawdziwie uczestniczyć nie możemy, jak to niejeden mniema. Dialog Platona, fraza chorałowa Heinricha Isaaca i wszystko, co nazywamy czynem duchowym lub dziełem sztuki czy obiektywizacją intelektu, to skutki ostateczne, końcowe rezultaty walki o oczyszczenie i wyzwolenie; to wszystko jest może, jak to nazywasz, wyłamywaniem się z czasu w obszar ponadczasowy, ale w większości wypadków te właśnie dzieła są najdoskonalsze, które niczego już nawet przeczuć nie pozwalają z walk i zapasów, jakie je poprzedzały. Wielkie to szczęście, że mamy takie dzieła, a my, Kształczycy, wyłącznie niemal nimi żyjemy, nie jesteśmy już twórcami, reproduujemy je, a przebywamy stale w tamtej właśnie strefie, czasu ani walk już nie znającej, złożonej z owych właśnie dzieł, bez których wcale byśmy jej nie znali. A w uduchowieniu czy, jeśli wolisz, abstrahowaniu posuwamy się dalej jeszcze: w naszej grze szklanych paciorków rozkładamy na części dzieła artystów i mędrców, dobywamy z nich zasady stylu, schematy form. wysublimowane wyjaśnienia, operując owymi abstrakcjami, jakby to były cegły. No, cóż, wszystko to bardzo piękne i nikt ci tego nie kwestionuje. Ale nie każdy może przez ca-

ie życie oddychać wyłącznie abstrakcjami, jeść je i pić. Historia góruje pod pewnym względem nad tym, co repetent z Waldzell uznaje za godne jego zainteresowań: ma do czynienia z rzeczywistością. Abstrakcje są przepiękne, ale ja opowiadam się za tym, że trzeba również oddychać powietrzem i jeść chleb.

Knecht od czasu do czasu zdobywał się na krótką wizytę u sędziwego mistrza muzyki. Dostojny starzec, którego siły zanikały teraz już wyraźnie i który już od dawna całkowicie od mówienia się odzwyczyił, aż do ostatniej chwili trwał w swym stanie pogodnego skupienia. Nie był chory, a śmierć jego nie była właściwie umieraniem, była w istocie jeno postępującą dematerializacją, zanikaniem cielesnej substancji i funkcji organicznych, podczas gdy życie skupiało się w sposób coraz bardziej wyłączny w spojrzeniu jego oczu i w cichym promieniowaniu zapadającej się, starczej twarzy. Dla większości mieszkańców Monteport było to zjawisko znane i z szacunkiem oglądane, lecz tylko niewielu, jak Knechtowi, Ferromontemu i młodemu Petrusowi dane było coś w rodzaju współuczestniczenia w tym zachodzie i w przygasającym blasku czystego, służbie dla innych poświęconego życia. Im kilku jedynie, gdy skupieni i przygotowani wchodzili do małej izdebki, gdzie w fotelu siedział stary mistrz, udawało się przeniknąć w ów łagodny blask dematerializacji, wyczuć istniejącą tu już bez słów doskonałość i przebywać jakby w zasięgu niewidzialnych promieni i przez kilka, szczęściem ich napełniających chwil w kryształowej sferze owej duszy, uczestnicząc w nieziemskiej muzyce, powracając potem z oczyszczonym a pokrzepionym sercem w dzień powszedni jakby z wysokiego górskiego szczytu. Nadszedł dzień, w którym Knecht otrzymał wiadomość o śmierci starego mistrza, pojechał tam spiesźnie i znalazł go łagodnie uśpionego, leżącego na swym posłaniu, z twarzyczką drobną, nikłą, zapadniętą w ciszę, pełną spokoju arabeskę, w magiczną figurę, już odczytać się nie dającą, przecież jakby opowiadającą o uśmiechu i szczęściu doskonałym. Nad grobem po mistrzu muzyki i po Ferromontem przemówił także Knecht, mówił zaś nie o wspaniałość-

ciach muzyki, nie o wielkim nauczycielu, nie o dobrotliwie mądrym najstarszym członku najwyższego urzędu, mówił jedynie o łasce jego wieku i śmierci, o nieśmiertelnym pięknie ducha, które się w nim objawiło towarzyszom dni ostatnich.

Wiemy z licznych wypowiedzi, iż Knecht pragnął opisać życie starego mistrza, lecz niestety urząd jego nie pozostawiał mu na to czasu. Nauczył się też coraz mniej miejsca przeznaczać na własne życzenia. Jednemu ze swych repetentów powiedział kiedyś:

— Szkoda, że wy, studenci, nieświadomi jesteście bogactwa i luksusu, w jakim żyjecie. Ale i ze mną tak było, gdy jeszcze byłem studentem. Studiuje człowiek, pracuje, nie obją się po próżnicy, sądzi, iż może uważać siebie za pracowitego, lecz nie czuje niemal, co mógłby zrobić, w jak przerozmaity sposób wykorzystać ową wolność. A potem jawi się nagle wezwanie od urzędu, człowiek okazuje się potrzebny, otrzymuje zlecenie nauczania, misję jakąś lub stanowisko, awansuje na wyższe i oto niespodzianie, uwikłany jest już w całą sieć przeróżnych zadań i obowiązków, sieć tym gęstsza i ciasniejsza, im bardziej w niej miotać się zaczyna. W istocie każde z tych zadań jest drobne, lecz każde trzeba przecie wykonać w odpowiedniej chwili, a dzień urzędowania ma zawsze więcej zadań niżli godzin. I tak jest dobrze, inaczej być nie powinno. Ale gdy się tak "pomiędzy salą wykładową, archiwum, kancelarią, audytorium, posiedzeniami, urzędowymi podróżami wspomni choć przez chwilę ową wolność, którą się miało i utraciło, ową swobodę wykonywania prac nie zleconych, nie ograniczonych, szeroko zakrojonych studiów, wówczas przez moment można za nią zatęsknić niezmiernie i wyobrazić sobie, iż gdyby uzyskało się ją raz jeszcze, można by wszelkie jej radości i możliwości wyzyskać aż do dna.

Knecht nadzwyczaj subtelnie wyczuwał przydatność uczniów swych i urzędników do służby dla hierarchii, przy każdym zadaniu i każdej obsadzie ostrożnie dobierał ludzi, a świadectwa i charakterystyki, które w księgach swoich zapisywał, wykazują wielką pewność oceny człowieka i cha-

rakteru. Chętnie też zasięgano jego rady co do oceny i postępowania z charakterami trudnymi. Był tam na przykład ów student Petrus, ostatni, ulubiony uczeń starego mistrza muzyki. Młodzieniec ten, swego rodzaju cichy fanatyk, aż do samego końca należycie się sprawował w osobliwej roli towarzysza, pielęgniarza i pełnego uwielbienia ucznia czcigodnego starca. Lecz gdy rola ta wraz ze śmiercią starego magistra w naturalny sposób się skończyła, Petrus wpadł najpierw w melancholię i żalobę, co rozumiano i przez czas pewien tolerowano, lecz których przejawy jęły niebawem przysparzać ówczesnemu władcy Monteport, mistrzowi muzyki Ludwikowi, poważnych kłopotów. Petrus uparł się mianowicie, że mieszkać będzie nadal w pawilonie, gdzie schronił się na starość zmarły, pilnował tego domku i umeblowania, a porządek utrzymywał w nim równie starannie jak dawniej, uważał go jednak, zwłaszcza bawialnię, pokój, w którym zmarł stary mistrz, wraz z jego fotelem, łóżem śmierci i klawesynem, za nietykalną, strzeżoną przezeń świętość, a prócz starannej pieczy nad tymi relikwiami jedno tylko jeszcze znał zajęcie i obowiązek: pielęgnowanie grobu, w którym spoczywał jego umiłowany mistrz. Uznał, iż powołany został do poświęcenia życia stałemu kultowi zmarłego w miejscach o nim przypominających, że powinien strzec tych świętych miejsc niczym strażnik świątyni, i że być może, staną się one nawet miejscami pielgrzymek. W pierwszych dniach po pogrzebie odmawiał przyjmowania jakichkolwiek pokarmów, potem zaś ograniczył się do równie nikłych i rzadkich posiłków jak te, którymi ostatnio zadawał się stary mistrz; i wydawało się, że w ten właśnie sposób postanowił chyba pójść śladem czcigodnego starca i zaraz po nim sam także umrzeć. Lecz ponieważ nie mógł długo tego wytrzymać, przyjął z kolei postawę mającą potwierdzać jego funkcję opiekuna domu i grobu, wiecznego kustosa tych miejsc pamiątkowych. Z wszystkiego tego wynikało jasno, iż młodzieniec ów, uparty zresztą w ogóle, a od dłuższego czasu korzystający ponadto z wyjątkowej, a bardzo dlań ponętnej pozycji, postanowił w ten sposób ową wyjątkową pozycję utrzymać i bynajmniej **nie** zamie-

rzał powracać do powszedniej służby, czując może zresztą, że przekracza ona jego siły. „Ów Petrus natomiast, który przydzielony został byłemu staremu mistrzowi, zwariował”, czytamy krótkie a chłodne zdanie w pewnym bileciku Ferronmontego.

Student muzyki z Montepert nic wprawdzie nie obchodził magistra z Waldzell, nie był on za niego odpowiedzialny, niewątpliwie nie czuł też potrzeby wtrącania się do spraw Montepert i przysparzania samemu sobie roboty. Lecz nieszczęsny Petrus, którego siłą musiano wreszcie usunąć z pawilonu, wcale się nie uspokoił, a w smutku swym i wzburzeniu wpadł w stan takiej izolacji i oderwania od rzeczywistości, iż nie można już było zastosować względem niego postępowania, podejmowanego zazwyczaj w wypadkach łamania dyscypliny, a ponieważ jego przełożony wiedział o życzliwości, jaką dlań żywił Knecht, z kancelarii miasta muzyki wystosowano do niego prośbę o radę i interwencję, podczas gdy samego Petrusa uznano na razie za chorego i trzymano pod obserwacją w jednej z cel na oddziale chorych. Knecht niechętnie raczej zajął się tą trudną sprawą, z chwilą jednak, gdy już zaczął o niej myśleć i zdecydował się na udzielenie pomocy, wziął mocno całą tę kwestię w swoje ręce. Zaproponował, że na próbę weźmie Petrusa do siebie, pod warunkiem, że traktować go się będzie jak całkiem zdrowego i pozwoli mu się także samodzielnie odbyć podróż; dołączył krótkie, życzliwe zaproszenie dla młodzieńca, w którym prosił go — jeśli praca mu pozwoli — o krótkie odwiedziny, napomykając przy tym, że spodziewają się tu uzyskać od niego parę cennych informacji o ostatnich dniach życia starego mistrza muzyki. Lekarz z Montepert ościągłiwie dał swoją zgodę, przekazano studentowi zaproszenie, a ponieważ — jak słusznie przypuszczał Knecht — młodzieńcowi temu, tak rozpaczliwie uwikłanemu w okropną sytuację nic nie było miłsze ani przydatniejsze niż szybkie opuszczenie miejsca tarapatów, Petrus niebawem zgodził się na podróż, zjadł bez protestów prawdziwy posiłek, otrzymał kartę podróżną i ruszył w drogę. Do Waldzell przybył w niezłym stanie, na zlecenie Knechta ignoro-

wano tam jego gwałtowność i nerwowość, umieszczono go pośród gości archiwum; stwierdził, że nie traktują go ani jak winowajcy, ani jak chorego, ani też jak człowieka, który w jakikolwiek sposób znalazł się poza granicami obowiązującego ładu, a nie był aż tak bardzo chory, by nie docenić tej przyjemnej atmosfery i nie wykorzystać nastęrczającej się okazji powrotu do życia. Przez wiele tygodni swego pobytu dokuczył jeszcze wprawdzie mocno magistrowi, który przydzielał mu stale kontrolowane, pozorne tylko zajęcie: notatki na temat ostatnich ćwiczeń i studiów muzycznych jego mistrza, a ponadto kazał, aby go w archiwum systematycznie nakłaniano do świadczenia tam drobnych przysług, proszono na przykład, aby, jeśli czas mu pozwoli, do tej czy innej pracy ręki przyłożył, ponieważ wszyscy są właśnie bardzo zajęci, a brak sił pomocniczych. Słowem, wykojeńcowi dopomóżono w powrocie na właściwą drogę, a gdy się już uspokoił i najwyraźniej okazywał ochotę podporządkowania się, dopiero wtedy jął Knecht w krótkich rozmowach oddziaływać nań wychowawczo już bezpośrednio i ostatecznie wydobywać z mylnego mniemania, iż bałwochwalcza cześć, jaką oddaje zmarłemu, może być rzeczą świętą, a w Kastalii możliwą. Ponieważ biedak nie mógł jednak przewyciężyć swego lęku przed powrotem do Montepert, wystarano się dlań, gdy zdawał się już wyleczony, o zlecenie wyruszenia w roli pomocnika nauczyciela muzyki do jednej z niższych szkół elitarnych, gdzie sprawował się zresztą całkiem przyzwoicie.

Niejeden jeszcze przykład takiej wychowawczej i duszpasterskiej działalności Knechta można by przytoczyć, nie brak bowiem młodych studentów, którzy dzięki potężnemu wpływowi jego osobowości w podobny sposób zdobyli zostali dla życia w duchu prawdziwie kastalskim, co niegdyś sam Knecht przez mistrza muzyki. Wszystkie te przykłady nie ukazują nam magistra ludzi jako charakteru powikłanego, wszystkie też są świadectwem jego zdrowia i równowagi. Lecz serdeczna troskliwość Czcigodnego o skryte i zagrożone charaktery, choćby Petrusa **czy Tegulariusa**, zdaje się wskazywać na szczególną czujność i wrażliwość w tego

rodzaju przypadłościach lub schorzeniach Kastalczyków, na pewną, od pierwszego przebudzenia nigdy już nie uśpioną uwagę względem spraw i niebezpieczeństw, ukrytych w życiu Kastalii. Chęć — wskutek lekkomyślności lub wygody — niedostrzegania tych niebezpieczeństw, którą przejawia niemal większość naszych współobywateli, nie licowała absolutnie z przejrzystą a odważną jego naturą, zapewne też i taktyka większości jego kolegów w urzędzie, świadomych wprawdzie istnienia owych niebezpieczeństw, z zasady przecież traktujących je jako nie istniejące, nie była nigdy jego taktyką. Widział i znał je, czy przynajmniej niektóre spośród nich, a jego znajomość wczesnych dziejów Kastalii ukazywała mu życie pośród tych niebezpieczeństw jako walkę, każąc mu to narażone na niebezpieczeństwa życie kochać i akceptować, podczas gdy tak wielu Kastalczyków wspólnotę swoją i życie w niej uważa wyłącznie za idyllę. Również z dzieł ojca Jakuba na temat zakonu benedyktyńskiego poznał Knecht zakon jako wspólnotę wojującą, pobożność zaś jako postawę bojową. „Nie ma — rzekł kiedyś — wyższego, szlachetnego życia bez znajomości diabłów i demonów i bez nieustannej z nimi walki”.

Zdeklarowane przyjaźnie pomiędzy najwyższymi dostojnikami zdarzają się u nas nader rzadko, nie dziwimy się tedy, że Knecht w pierwszych latach swego urzędowania z żadnym ze swych kolegów takiego kontaktu nie nawiązał. Wiele sympatii żywił dla starożytnego filologa w Keuperheim, niezmierny miał szacunek dla kierownictwa zakonu, lecz w sferze tej wszystkie sprawy prywatne i osobiste są niemal całkowicie wykluczone i zobiektywizowane tak dalece, że poza współpracą urzędową niemożliwe jest prawie poważniejsze zbliżenie czy przyjaźń. A jednak i to jeszcze miał przeżyć.

Nie mamy do dyspozycji tajnego archiwum instytucji wychowawczej ; o postawie i działalności Knechta na zebraniach i podczas głosowań wiemy jedynie to, co wywnioskować można z przypadkowych jego na ten temat wypowiedzi do przyjaciół. Wydaje się, że na posiedzeniach tych nie zawsze równie wytrwale milczał, co w pierwszym okresie swe-

go magistrowania, lecz też i nader rzadko głos zabierał, chyba, że sam był inicjatorem i wnioskodawcą. Poświadczono natomiast zostało wyraźnie, że bardzo szybko przyswoił sobie ów ton, powszechnie panujący w obcowaniu na szczytach naszej hierarchii, a także subtelność, bogactwo inwencji i radosne rozigranie, jakie przy przestrzeganiu tych form wykazywał. Jak wiadomo, szczyty naszej hierarchii, magistrowie i przedstawiciele kierownictwa zakonu obcują ze sobą według starannie przestrzeganych prawideł pewnego ceremonialnego stylu, lecz poza tym panuje wśród nich, choć nie potrafimy powiedzieć od kiedy, skłonność, lub może tajemny przepis czy reguła gry, nakazująca tym surowszą i staranniej wyczelowaną uprzejmość, im większe są różnice zdań i im ważniejsze są problemy sporne, o których jest mowa. Zapewne ta z dawnych tradycji wywodząca się uprzejmość prócz innych funkcji, jakie spełniać może, pełni również i przede wszystkim funkcję zasady ochronnej: wyszukanie uprzejmy ton dyskusji nie tylko ochrania dyskutujących przed uleganiem namiętnościom i pozwala im zachować postawę na wskroś nieskazitelną, ale strzeże ponadto i broni godności zakonu i urzędu, osłaniając je szatami ceremoniału i welonami świętości; tak tedy owa przez studentów częstokroć wykpiwana sztuka komplementowania ma swój głęboki sens. Przed epoką Knechta poprzednik jego, magister Tomasz von der Trave, był szczególnie podziwianym mistrzem tego kunsztu. Knechta trudno nazwać tu właściwie jego następcą, a jeszcze trudniej naśladowcą, był on bowiem raczej uczniem Chińczyków i jego rodzaj kurtuazji mniej był gryzący i ironiczny. Lecz i on uchodził wśród swoich kolegów za niedościgniony wzór uprzejmości.

ROZMOWA

szkicu naszym dotarliśmy obecnie do punktu, w którym uwaga nasza skupia się całkowicie na przebiegu życia mistrza w jego ostatnich latach, które doprowadziły go do rozstania się z urzędem i prowincją, do jego przejścia w inny krąg spraw i do zgonu. Mimo iż do chwili tego rozstania sprawował on urząd z wiernością wzorową i aż do ostatniego dnia cieszył się miłością i zaufaniem swych uczniów i współpracowników, rezygnujemy w relacji naszej z opisywania dalszego ciągu tego urzędowania, teraz właśnie, gdy w samym sednie owego urzędu widzimy go już znużonym i zwróconym ku innym celom. Przekroczył Knecht krąg możliwości, jakie ów urząd dawał rozwojowi jego sił, a doszedł do takiego miejsca, w którym natury wielkie opuszczają drogę tradycji i posłusznego podporządkowania się, ufają zaś najwyższemu, nazwać się nie dającym mocom, próbują czegoś nowego, nie wytyczonego jeszcze i dotąd przez nikogo nie przeżytego i ponoszą za to odpowiedzialność.

Knecht, gdy sobie to uświadomił, starannie i trzeźwo, zbadał własną sytuację i możliwość jej zmiany. W niezwykle młodym wieku dotarł na tę wyżynę, którą zdolny i ambitny Kastalczyk wyobraża sobie jako godną dążenia i pragnień, a dotarł tam nie wskutek ambicji i wysiłków, lecz bez ubie-

gania się i rozmyślnego przygotowywania, niemal wbrew własnej woli, gdyż niepozorne, samodzielne, żadnym urzędowym obowiązkom nie podporządkowane życie uczonego lepiej odpowiadało jego pragnieniom. Spośród szlachetnych dóbr i uprawnień, które przypadły mu wraz z jego godnością, nie wszystkie cenił jednak i nie wszystkie wysoko, niektóre z wyróżnień i pełnomocnictw już po krótkim okresie urzędowania wydały mu się wręcz nieznośne. Zwłaszcza współpracę polityczną i administracyjną w najwyższym urzędzie odczuwał zawsze jako ciężar, niemniej jednak sumiennie jej się stale poświęcał. A także najistotniejsze, najbardziej charakterystyczne zadanie związane z jego stanowiskiem, czyli przyciąganie wybranej gromadki doskonałych graczy szklanych paciorków, choć niekiedy ogromną mu sprawiało radość i choć gromadka ta niezmiernie była dumna ze swego mistrza, było dlań chyba na dłuższą metę raczej ciężarem niż przyjemnością. Radością i zadowoleniem napawało go nauczanie i wychowywanie, a doświadczył przy tym, że zarówno radość, jak i osiągnięcia tym większe były, im młodszy byli jego uczniowie, tak iż odczuwał jako wyrzeczenie i ofiarę, że na stanowisku swym nie mógł kierować dziećmi i chłopcami, lecz jedynie młodzieńcami i ludźmi dorosłymi. Były jednak inne jeszcze rozważania, doświadczenia i stwierdzenia, które z biegiem lat jego magistratury nastroić go zdołały krytycznie względem własnej działalności i względem panujących w Waldzell stosunków, a już przynajmniej do odczuwania swego stanowiska jako wielkiej przeszkody w rozwoju swych największych i najwydajniej owocujących zdolności. Niektóre z tych spraw zna każdy z nas, niektórych tylko się domyślamy. Również i zagadnienie, czy magister Knecht w dążeniu swoim do uwolnienia się od ciężaru stanowiska, w swym pragnieniu bardziej niepozornej, lecz i bardziej intensywnej pracy, w swej krytyce panujących w Kastalii stosunków miał właściwie rację, czy należy patrzeć na niego jak na opiekuna i śmiałego bojownika, czy też na coś w rodzaju buntownika albo nawet dezertera — także i to pytanie pragniemy pozostawić w spokoju, aż nadto bowiem już nad nim dyskutowano; spór na

ten temat podzielił na pewien czas Waldzell, a nawet całą prowincję, na dwa obozy i dotąd jeszcze całkiem nie wygasł. A chociaż wyznajemy, iż należymy do grona wdzięcznych wielbicieli wielkiego magistra, stanowiska w tej kwestii zajmować nie chcemy; synteza z tego starcia się opinii i ocen osoby i życia Józefa Knechta od dawna już przecież się tworzy. My zaś nie chcielibyśmy osądzać ani nawracać, lecz możliwie bezstronnie opowiedzieć historię o kresie czcigodnego naszego mistrza. Nie jest to jednak właściwie historia i wolelibyśmy raczej nazwać ją legendą, relacją, powstałą z informacji prawdziwych i samych tylko pogłosek, tak właśnie, jak — wypływając ze źródeł jasnych i ciemnych — krąży oto ona pośród nas, młodszych obywateli prowincji.

W okresie, gdy myśli Józefa Knechta jęły już zajmować się poszukiwaniem drogi ku wolności, ujrzał on niespodziewanie tak dobrze niegdyś znaną, lecz od tego czasu na poły zapomnianą już postać z okresu swojej młodości, Plinia Designori. Ów uczeń, przebywający tu niegdyś jako gość jedynie, syn starej a dla prowincji zasłużonej rodziny, jako poseł, a także jako pisarz polityczny znaczny wpływ wywierający, pojawił się nieoczekiwanie pewnego dnia w urzędowej misji w najwyższym urzędzie prowincji. Odbły się bowiem, jak zwykle co parę lat, nowe wybory rządowej komisji kontroli budżetu kastalskiego, a Designori był jednym z członków owej komisji. Gdy po raz pierwszy wystąpił w tej roli na posiedzeniu w domu kierownictwa zakonu w Hirsland, obecny był tam również mistrz gry szklanych paciorków; spotkanie to wywarło na nim wielkie wrażenie, nie pozostało też bez skutków; wiemy na ten temat sporo od Tegulariusa, a także od samego Designoriego, który w owym niezupełnie dla nas jasnym okresie życia magistra stał się niebawem znowu jego przyjacielem, a nawet zaufanym. Przy tym pierwszym po dziesiątkach lat ponownym spotkaniu, po tak długim okresie zapomnienia, przewodniczący zebrania, jak zwykle, przedstawił magistrum panów ze świeżo wybranej komisji państwowej. Gdy mistrz nasz posłyszał nazwisko Designoriego, poczuł zasko-

czenie a nawet zawstydzenie, na pierwszy rzut oka bowiem nie poznał niewidzianego od tak wielu lat towarzysza młodości. A gdy obecnie, rezygnując z oficjalnej formuły pozdrowienia i ukłonu, przyjaźnie doń wyciągnął ręką, uważnie spojrzął mu w oczy, usiłując dojść, jakie to zmiany przyczynić się mogły do tego, iż on, stary przyjaciel, rozpoznać go nie zdołał. Również i podczas konferencji częstokroć zatrzymywał spojrzenie na tak niegdyś znajomej twarzy. Designori zwrócił się zresztą do niego „wy”, dodając tytuł magistra, i Knecht dwukrotnie prosić go musiał, zanim tamten zdecydował się wreszcie posłużyć dawnym jego mianem i mówić doń po imieniu.

Knecht znał Plinia jako młodzieńca gwałtownego i wesołego, bezpośredniego i świetnego, dobrego ucznia, a jednocześnie młodego światowca, który czuł swoją przewagę nad nieznającymi świata młodymi Kastalczykami, a często bawiło go nawet drażnienie ich. Był on może niewolny od próżności, lecz z natury otwarty, wielkoduszny, dla większości rówieśników interesujący, pociągający, miły, a dla niektórych wręcz olśniewający dzięki pięknej postawie, swobodnemu obejściu i atmosferze, która go jako hospitaanta i dziecko świata otaczała. Wiele lat później, pod koniec swego okresu studenckiego, spotkał go Knecht znowu, a wówczas wydał mu się płaski, pospolity i całkowicie dawnego swego uroku pozbawiony; rozczarował go. Rozeszli się chłodno, zmieszani. Lecz oto teraz wydał mu się znów zupełnie inny. Przede wszystkim wydawało się, że całkowicie odrzucił czy też postradał młodość swoją i żywość, radosną bezpośredniość, chęć do sporów i wymiany myśli, aktywną, zaradną i na zewnątrz zwróconą naturę. Podobnie jak przy spotkaniu dawnego przyjaciela bynajmniej uwagi jego na siebie nie zwrócił ani też pierwszy go nie powitał, jak jeszcze po wymienieniu swych imion nie tykał magistra, a po serdecznej prośbie, by tak uczynił, opornie jeno do niej się zastosował, tak też w postawie swojej, w spojrzeniu, sposobie mówienia, w rysach twarzy i ruchach przejawiał teraz zamiast dawnej wojowniczości, otwartości i polotu pewną rezerwę i przygnębienie, oszczędność, **coś** w rodzaju przy-

głuszenia czy skrępowania, a może tylko zmęczenie. Urok jego młodości zgasł i w tym zmęczeniu zatonął, a jednocześnie zatarły się też niektóre cechy powierzchowności, świadczące o nazbyt ostentacyjnej światowości; ich także już nie było. Cały ów człowiek, lecz przede wszystkim jego twarz, wydawał się teraz napiętnowany, po części zniszczony, po części uszlachetniony wyrazem cierpienia. I podczas gdy mistrz gry szklanych paciorków słuchał obrad, część jego uwagi stale zwracała się ku temu zjawisku, zmuszając go do rozmyślenia, jakie też cierpienie mogło tak opanować i naznaczyć tego żywego, pięknego i radującego się życiem człowieka. Cierpienie to wydawało mu się obce, nie znane, im bardziej zaś oddawał się tym myślowym poszukiwaniom, tym silniej odczuwał pełen sympatii i współczucia pociąg ku cierpiącemu, a z owymi uczuciami miłości i litości mieszało się nikłe wrażenie, jakby coś był winien temu smutnemu przyjacielowi młodych lat, jakby coś powinien mu wynagrodzić. Gdy zaś tak snuł domysły na temat przyczyny smutku Plinia, to znowu je odrzucał, nasunęła mu się myśl, iż cierpienie widoczne na jego twarzy nie jest pospolitej natury, jest to szlachetne, tragiczne może cierpienie, a wyraz tej twarzy świadczy o czymś, co nie znane jest w Kastalii, przypominał też sobie, że widywał niekiedy podobny wyraz na twarzach niekastalskich, u ludzi ze świata, choć co prawda nigdy nie był on tam tak silny i przejmujący. Również z portretów ludzi dawniej żyjących znał ów wyraz, z wizerunków niektórych uczonych lub artystów, z których wyczytać można było wzruszający, na poły chorobliwy, na poły losem przeznaczony smutek, osamotnienie i bezradność. Dla magistra, odznaczającego się tak subtelnym, artystycznym wyczuciem tajemnic wyrazu i tak czujnym instynktem pedagogicznym wobec charakterów, istniały już od dawna pewne cechy fizjonomiczne, którym, nie układając ich w żaden system, po prostu ufał; i tak na przykład istniał dlań specyficznie kastalski i specyficznie świecki sposób śmiechu, uśmiechu i wesołości, jak również specyficznie świecki sposób cierpienia czy smutku. I ten właśnie świecki smutek zdawał się dostrzegać na twarzy Designoriego, tak silny,

tak wyrazisty, jakby twarzy tej przeznaczone było reprezentować wiele innych, ujawniać ich utajone choroby i cierpienia. Knecht poczuł się tą twarzą zaniepokojony i przejęty. Wydało mu się doniosłe, że oto świat wysłał tutaj teraz jego utraconego przyjaciela, że oto oni obaj, Plinio i Józef, jak niegdyś podczas słownych swych utarczek w szkole, **tak** tu już naprawdę i w sposób obowiązujący stali się reprezentantami: jeden świata, drugi zaś zakonu; lecz jeszcze ważniejsze i bardziej symboliczne wydało mu się to, że na tej samotnej, smutkiem ocienionej twarzy świat nie przysyłał bynajmniej do Kastalii ani swego śmiechu, radości życia, uciechy z władzy, ani swej rubaszości, lecz troski swoje i cierpienia. Również i to dawało mu do myślenia — wcale zresztą nie czuł się tym urażony, że Designori raczej go unika niż szuka, powoli dopiero i z największymi oporami poddając się i otwierając. A ponadto, co zresztą Knechtowi dopomogło, jego szkolny kolega, sam wychowany w Kastalii, nie był bynajmniej trudnym, zręcznym czy też wręcz niezwykłym członkiem swojej, tak dla Kastalii ważnej komisji — gdyż i takich tu już widywano — należał natomiast do wielbicieli zakonu i mecenasów prowincji i mógł niejedną wyświadczyć jej przysługę. Z gry szklanych paciorków co prawda od wielu już lat zrezygnował.

Nie umiemy dokładniej opowiedzieć, w jaki sposób zdołał magister odzyskać stopniowo zaufanie przyjaciela; każdy z nas, znając pełną spokoju pogodę i serdeczną uprzejmość mistrza, może sobie to wyobrazić na swój sposób. Knecht nie ustawał w zabieganiu o Plinia, a któż by mu na dłuższą metę oprzeć się zdołał, gdy poważnie podejmował takie starania?

W końcu, kilka miesięcy po tym pierwszym spotkaniu, Designori przyjął wielekroć przez Knechta ponawiane zaproszenie odwiedzenia Waldzell i obaj wyruszyli w pewien chmurny a wietrzny dzień jesienny, po południu, poprzez nieustannie na przemian w blaskach i cieniach zanurzone okolice dawnych, szkolnych lat ku miejscu starej swej przyjaźni. Knecht pełen łagodnej pogody, jego gość i towarzysz milczący, lecz niespokojny, na podobieństwo pustych już

pól, pośród słońca i cienia, wstrząsany dreszczem radości ze spotkania i smutku z racji, iż stał się tu już tak obcy. W pobliżu osiedla wysiedli i pieszo już szli po dawnych drogach, którymi jako uczniowie wspólnie chadzali, przypominając sobie różnych kolegów i nauczycieli, i niejedną też z ówczesnych swych rozmów. Designori pozostał przez jeden dzień gościem Knechta, który obiecał mu, iż przez cały ów dzień pozwoli mu asystować sobie w roli widza przy wszystkich pracach i czynnościach urzędowych. Pod koniec owego dnia — gość chciał nazajutrz wczesnym rankiem wyjechać — siedzieli razem, we dwóch tylko, w bawialni Knechta, bliscy sobie, niemal jak dawniej. Dzień ten, podczas którego obcy mógł godzina po godzinie obserwować pracę magistra, wywarł na nim wielkie wrażenie. I tego właśnie wieczoru odbyli ze sobą rozmowę, którą Designori natychmiast po swym powrocie do domu zapisał. Chociaż zawiera ona częściowo również i nieważne sprawy, a przerwywa obiektywną naszą relację w sposób, który niejednemu z czytelników wydać się może przeszkodą, pragniemy jednak odtworzyć ją tak, jak Designori ją zanotował.

— Chciałem ci pokazać tak wiele — mówił magister — a jednak dokonać tego nie zdołałem. Na przykład mój ładny ogród; przypominasz sobie jeszcze „ogród magistrów” i sadzonki mistrza Tomasza? — Tak, i wiele jeszcze innych rzeczy. Mam nadzieję, że i na to znajdzie się jeszcze sposobny dzień i chwila. Lecz mimo wszystko mogłeś od wczoraj wypróbować trwałość pewnych wspomnień, a także zdobyć niejaki wyobrażenie o mych urzędowych obowiązkach i dniu moim powszednim.

— Wdzięczny ci jestem za to — odparł Plinlo. — D^o piero na nowo przeczuwać zacząłem, czym w istocie jest wasza prowincja i jak osobliwe a wielkie tajemnice w sobie kryje, chociaż przez lata mej nieobecności też znacznie więcej o was myślałem, niż byś przypuszczał. Pozwoliłeś mi dzisiaj wejrzeć w urząd i życie swoje, Józefie, a mam nadzieję, że nie było to po raz ostatni i że często jeszcze zdołamy po mówić o tym, co tu widziałem, a o czym dzisiaj mówić jeszcze nie mogę. Czuję natomiast, że zaufanie twoje i mnie zo-

bowiązuje, wiem, że dotychczasowa moja skrytość musiała wydać ci się dziwna. No, cóż, chyba i ty kiedyś mnie odwiedzisz, aby się przekonać, gdzie mieszkam. Dzisiaj niewiele tylko mogę ci o tym opowiedzieć, tyle zaledwie, abyś znowu orientował się w moich sprawach, a i mnie samemu rozmowa taka, choć będzie ona jednocześnie wstydem i karą, z pewnością nieco ulgi przyniesie.

Wiesz, że pochodzę ze starej, dla kraju zasłużonej, a z prowincją waszą zaprzyjaźnionej rodziny, konserwatywnej rodziny właścicieli dóbr ziemskich i wyższych urzędników. Lecz patrz: już nawet ta prosta informacja stawia mnie przed przepaścią, która mnie od ciebie oddziela! Powiedziałem „rodzina”, sądząc, iż wyrażam w tym słowie coś prostego, zrozumiałego samo przez się i jednoznacznego, lecz czyż doprawdy tak jest? Wy, w prowincji, macie swoje zakony i swoją hierarchię, ale rodziny nie macie, nie wiecie, czym ona jest, czym są węzły krwi i wspólne pochodzenie, a pojęcia nawet nie macie o tajemnych a potężnych urokach i siłach tego, co zwie się rodziną. No, tak chyba bywa zwykle z większością słów i pojęć, w których wyrazić można nasze życie: te, które ważne są dla nas, nie są nimi dla was, bardzo wiele z nich jest dla was wprost niezrozumiałych, inne zaś oznaczają coś całkiem innego niż dla nas. Jakże tu ze sobą mówić! Patrz, gdy mówisz ze mną, wygląda to tak, jakby zwracał się do mnie cudzoziemiec, którego języka nauczyłem się za młodu i sam nim mówiłem, tedy większą część z tego, co mówi, pojmuję! Lecz odwrotnie nie jest już tak samo: gdy ja mówię do ciebie, ty słyszysz język, którego wyrażenia znane ci są tylko w połowie, a którego subtelności i odcieni wcale nie rozumiesz, a słuchasz historii z życia człowieka, z formy pewnej egzystencji, która twoją nie jest; większość tych spraw gdyby nawet miały cię one zainteresować, pozostanie dla ciebie obca, w połowie najwyżej zrozumiała. Przypominasz sobie liczne nasze starcia oratorskie i rozmowy w okresie lat szkolnych: z mojej strony były one przede wszystkim próbą — jedną z wielu — pogodzenia świata i języka waszej prowincji z moim światem i moim językiem. Tyś był ze wszystkich najbardziej otwar-

ty, chętny i najuczciwszy ze wszystkich, z którymi kiedykolwiek próby takie podejmowałem; dzielnie walczyłeś o prawa Kastalii, nie będąc przy tym jednak obojętnym wobec innego, mojego świata i jego praw i wcale nimi nie gardząc. Zbliżyliśmy się wówczas bardzo. No, ale o tym później jeszcze mówić będziemy.

Ponieważ na chwilę zamilkł i zadumał się, Knecht odezwał się oględnie:

— Może nie jest aż tak źle z tą niemożliwością zrozumienia. Oczywiście: dwa narody czy dwa języki nigdy nie zdają się tak dokładnie i głęboko porozumieć, jak dwóch poszczególnych ludzi, należących do tego samego narodu i języka. Pomiędzy ludźmi jednego narodu i języka też zresztą wznoszą się bariery, utrudniające pełną informację i pełne wzajemne zrozumienie: bariery wykształcenia, wychowania, uzdolnień, indywidualności. Można twierdzić, iż w zasadzie każdy człowiek na ziemi może porozumieć się z drugim człowiekiem, ale można też twierdzić, iż w ogóle nie ma na całym świecie dwóch ludzi, pomiędzy którymi możliwe jest prawdziwe, pełne, intymne porozumienie i przekaz — a przy tym pierwsze twierdzenie jest równie prawdziwe, jak drugie. Oto Yin i Yang, dzień i noc; oba mają rację, o nich obu należy w odpowiednim czasie przypominać, ja zaś przyznaję ci słusność o tyle, że sam, oczywiście, także nie wierzę, abyśmy obaj zdołali się kiedykolwiek całkowicie i bez reszty porozumieć. Choćbyś jednak ty był człowiekiem Zachodu, ja zaś Chińczykiem, choćbyśmy różnymi mówili językami, to przy dobrej woli bardzo wiele zdołamy sobie przekazać, a poza tym, co ściśle przekazać można, zdołamy jeszcze bardzo wiele o sobie wzajem odgadnąć i wyczuć. A w każdym razie spróbujemy.

Designori skinął głową i mówił dalej:

— Chcę najpierw dać ci garść faktów, które znać musisz, chcąc choć trochę zorientować się w mojej sytuacji. A zatem najpierw jest rodzina, ta najwyższa władza w życiu młodego człowieka, czy uznaje ją, czy też nie. Dobrze z nią żyłem, dopóki byłem hospitantem waszej elitarnej szkoły. Przez cały rok miałem u was należytą opiekę, a podczas wa-

kacji hołubiono mnie i rozpieszczano w domu, byłem bowiem jedynakiem. Do matki czułem tkliwą, wręcz namiętą miłość, rozstanie z nią było jedynym bólem, jakiego doznawałem przy odjeździe. Z ojcem moje stosunki były chłodniejsze, choć przyjazne, przynajmniej w całym okresie lat moich chłopięcych i młodzieńczych, które u was spędziłem; był to stary wielbiciel Kastalii, dumny z tego, że widzi oto, jak kształcą mnie w elitarnych szkołach i wtajemniczają w sprawy tak szczytne, jak gra szklanych paciorków. Owe wakacje w domu były często doprawdy radosne i odświętne, znaliśmy się z rodziną poniekąd już tylko w odświętnych strojach. Czasami, wyjeżdżając na wakacje, żałowałem was, pozostających, że nie wiecie nic o takim szczęściu. Nie potrzebuję zresztą opowiadać wiele o owych czasach, znałem mnie przecie lepiej niż ktokolwiek inny. Byłem już prawie Kastalczykiem, nieco bardziej skłaniającym się do świata, topornym i może też bardziej powierzchownym, lecz pełnym szczęścia i zapału, lekkości i entuzjazmu. Był to najszczęśliwszy okres mojego życia, czego co prawda wówczas nawet nie przeczuwałem, albowiem w czasie lat spędzonych w Waldzell spodziewałem się szczęścia i szczytów życia dopiero wtedy, gdy zwolniony z waszych szkół powrócę do domu i z pomocą nabytej u was wyższości cały tamten świat zdobędę. Lecz zamiast tego zaraz po pożegnaniu z tobą rozpoczął się dla mnie czas prób, trwający do dzisiaj, a także walki, z której nie wyszedłem zwycięzcą. Ojczyzna bowiem, do której powróciłem, nie był to tym razem już tylko mój dom rodzinny, nie czekała też bynajmniej na chwilę, gdy będzie mogła wziąć mnie w ramiona i uznać moją doskonałość nabytą w Waldzell; nawet rodzinny dom przyniósł niebawem rozczarowanie, nieporozumienia i trudności. Dość długo trwało, zanim to spostrzegłem, chroniła mnie bowiem naiwna ufność, chłopięca wiara w siebie, a także od was przywieziona, zakonna moralność, czyli nawyk medytacji. Lecz ileż rozczarowań przyniosła, jak bardzo odarła ze złudzeń wyższa uczelnia, gdzie studiować chciałem zagadnienia polityczne! Atmosfera, panująca pośród studentów, poziom ich wykształcenia i rozrywek, osobowość nie-

których profesorów, jakże odbijało to wszystko od tego, do czego się wśród was przyzwyczailem! Pamiętasz, jak niegdyś broniłem naszego świata przed waszym, wygłaszając przy tym istne hymny pochwalne na cześć niezłomnego a naiwnego życia. Jeśli zasłużyłem z tej racji na karę, przyjacielu, to istotnie ciężko zostałem ukarany. Albowiem to naiwne, niewinne, instynktami jeno kierowane życie, ta dziecięcość i nie wytresowana genialność może nawet gdzieś i były, może pośród chłopów lub rzemieślników, albo jeszcze gdzie indziej, lecz mnie nie udało się ich odnaleźć ani tym bardziej w nich uczestniczyć. Przypominasz sobie zapewne również, jak nlocno w swoich przemówieniach krytykowałem wywyższanie się i napuszoność Kastalczyków, zarozumiałej i zniewieściałej kasty, pełnej sekciarskiego ducha i elitarniej pychy. Lecz cóż: ludzie ze świata nie mniej byli dumni ze swoich złych manier, lichego wykształcenia, prostackiego i hałaśliwego humoru, głupawego a sprytnego ograniczania się do praktycznych, egoistycznych celów; wydawali się sobie równie wartościowi, mili Bogu i przez niego wybrani w tej swojej małostkowej naturalności, co najbardziej nawet afektowany, wzorowy uczeń z Waldzell. Śmiali się ze mnie albo poklepywali mnie po ramieniu, niektórzy natomiast odpowiadali na to, co we mnie kastalskie i obce, nieskrywaną, jawną nienawiścią, jaką czuje pospółstwo do wszystkiego co wyższe, tak, iż postanowiłem uznać ową nienawiść za wyróżnienie.

Designori zrobił krótką pauzę i spojrzał na Knechta, niepewny, czy go nie męczy. Spojrzenie jego napotkało wzrok przyjaciela i znalazło w nim głęboką uwagę i życzliwość, które ułagodziły go i uspokoiły. Widział, iż Knecht pilnie chłonie jego wynurzenia, nie słuchał tak, jak zwykle się słuchać pogawędki lub nawet interesującego opowiadania, lecz z wyłącznością i oddaniem, z jakimi człowiek koncentruje się przy medytacji, a przy tym ze szczerą, serdeczną życzliwością, której wyraz w jego spojrzeniu wzruszył Plinia, gdyż wydał mu się czuły i niemal dziecinny; ogarnęło go też prawie zdumienie na widok takiego wyrazu twarzy u człowieka, którego różnorodne całodzienne prace, urzędo-

wą mądrość i autorytet przez cały ów dzień podziwiał. Z ulgą więc ciągnął dalej:

— Nie wiem, czy życie moje było bezużytecznym jeno nieporozumieniem, czy też ma może sens. Jeśliby sens mieć miało, to chyba taki tylko, że oto jeden, konkretny człowiek naszych czasów przeżył i pojął najwyraźniej i najboleśniej, jak bardzo oddaliła się Kastalia od swego kraju macierzystego czy, jeśli wolisz, i odwrotnie: jak dalece nasz kraj obcy stał się i niewierny najszlachetniejszej swej prowincji i jej duchowi, jak ogromna jest w kraju naszym przepaść pomiędzy ciałem i duszą, ideałem i rzeczywistością, jak mało wzajem wiedzą one o sobie i jak mało chcą wiedzieć. Jeśli miałem w życiu jakikolwiek ideał czy zadanie, polegały one właśnie na tym, aby z własnej osoby uczynić syntezę obu tych zasad, stać się pomiędzy nimi pośrednikiem, tłumaczem i rozjemcą. Spróbowałem tego i odniosłem porażkę. A że nie mogę ci przecież opowiedzieć całego mego życia, i nie zdołałbyś też wszystkiego zrozumieć, chcę ukazać ci jedną tylko sytuację, charakterystyczną dla tej mojej porażki. Po rozpoczęciu moich studiów na wyższej uczelni trudność polegała nie tyle na tym, by uporać się z docinkami lub przejawami wrogości, których nie szczędzono mi jako Kastalczykowi i wzorowemu młodzianowi. Tych kilku spośród nowych kolegów, dla których fakt mego pochodzenia ze szkół elitarnych był wyróżnieniem i sensacją, sprawiało mi nawet więcej jeszcze kłopotu i w większe wprawiało zmieszanie. Nie, trudnością główną, a nawet niemożliwością było pragnienie prowadzenia na świecie nadal własnego życia w duchu kastalskim. Początkowo niemal tego nie zauważałem, przestrzegałem tych reguł, których się u was nauczyłem, a przez dłuższy czas wydawało mi się, że i tutaj są one na miejscu, że krzepią mnie i ochraniają, zachowują moją żywość i zdrowie duchowe, umacniają mnie w postanowieniu, czyli w chęci samotnego i samodzielnego przetrwania lat studenckich na sposób kastalski, zaspokajają mój głód wiedzy, a nie pozwalają, aby ktoś zmusił mnie do takiego trybu studiów, który nic innego nie ma na celu, jak w możliwie najkrótszym czasie przygotować studenta

możliwie najgruntowniej do specjalistycznego zawodu, dzięki któremu zarobi on na chleb, a zabić w nim wszelkie przecucie wolności i powszechności. Ochrona jednak, której przydała mi Kastalia, okazała się wątpliwa i niebezpieczna, nie chciałem bowiem rezygnować i jak pustelnik strzec jedynie spokoju własnej duszy i potrzebnego do medytacji skupienia umysłu, chciałem przecież podbić świat, zrozumieć go, zmusić, by i on mnie zrozumiał, zaakceptować go i, jeśli to możliwe, odnowić i ulepszyć, chciałem we własnej osobie połączyć i pogodzić ze sobą Kastalię i świat. Gdy po jakimś rozczarowaniu, sporze, w chwili podniecenia wycofywałem się w medytację, była to początkowo za każdym razem rozkosz, odprężenie, głęboki oddech, powrót ku dobrym i życzliwym mocom. Z czasem jednak spostrzegłem, że to właśnie, te rozmyślania, dbałość o duszę i ćwiczenia duchowe tak mnie izolują, czynią mnie dla innych tak niemile obcym, mnie zaś samemu uniemożliwiają ich prawdziwe zrozumienie. Tych innych, ludzi ze świata, zrozumieć prawdziwie zdołałem jedynie — jak się przekonałem — gdy znowu stanę się takim, jak oni, gdy niczym nad nimi górować nie będę, nawet tym szukaniem ucieczki w rozmyślaniach. Oczywiście, możliwe jest także, iż upiększam cały ów proces, przedstawiając go w ten właśnie sposób. Być mogło, albo prawdopodobnie po prostu było tak, że nie mając wokół jednakowo wykształconych i podobnie myślących kolegów, pozbawiony kontroli nauczycieli, pozbawiony także ochronnej i zbawiennej atmosfery Waldzell, stopniowo traçałem dyscyplinę, że stawałem się gnuśny i nieuważny, wpadałem w niedbalstwo, co potem, w phwilaeh wyrzutów sumienia, tym tłumaczyłem. Niedbalstwo jest po prostu jednym z atrybutów tego świata, a akceptując je, przybliżałem się do zrozumienia mego otoczenia. Wobec ciebie nie zależy mi bynajmniej na upiększaniu, lecz nie chciałbym również zaprzeczać ani ukrywać, że zadawałem sobie wiele trudu, dążyłem i walczyłem, tam nawet^{gdzie} popełniałem błędy. Traktowałem to wszystko poważnie. Lecz niezależnie od tego, czy owa próba podporządkowania się w sposób pełen zrozumienia i sensu dolegała jedynie na własnym moim

wyobrażeniu, czy nie, nastąpiła w każdym razie rzecz naturalna: świat okazał się silniejszy ode mnie i jał powoli pokonywać mnie i wchłaniać; było doprawdy tak, jakby świat zamierzał wziąć mnie za słowo i całkowicie do siebie przystosować, ów świat, którego słusność, naiwność, siłę i życiową przewagę tak niezmiernie wychwalałem podczas dysput naszych w Waldzell i tak ich przed twoją logiką broniłem. Przypominasz sobie.

A teraz przypomnieć ci muszę coś innego, o czym zapewne od dawna już zapomniałeś, ponieważ nie miało to dla ciebie znaczenia. Dla mnie znaczyło jednak bardzo wiele, dla mnie było ważne, ważne i straszliwe. Moje lata studenckie przeminęły, przystosowałem się, byłem zwyciężony, lecz bynajmniej nie całkowicie, w głębi duszy bowiem nadal jeszcze uważałem, że należę do was, mniemałem też, że pewnych przystosowań i przekształceń dokonałem raczej z życiowego sprytu i dobrowolnie, a nie jako pokonany. Tak tedy zachowałem również pewne nawyki i potrzeby młodych swoich lat, pośród nich i grę szklanych paciorków, co zapewne niewiele miało sensu, ponieważ bez stałych ćwiczeń i stałego kontaktu z równym sobie, zwłaszcza zaś wytrawniejszymi, współtowarzyszami nie można się niczego nauczyć; samotna gra może to zastąpić jedynie w tym samym stopniu, co monolog prawdziwą, rzetelną rozmowę. Nie widząc więc właściwie, jak się rzecz ma ze mną, z moim kunsztem gry, wykształceniem i pozycją ucznia szkoły elitarnej, usiłowałem ratować owe dobra albo przynajmniej ich część, a gdy któremuś z ówczesnych moich przyjaciół — próbowali oni wprawdzie zabierać głos na temat gry szklanych paciorków, nie mieli jednak pojęcia o jej duchu — szkicowałem schemat takiej gry lub analizowałem jakąś jej frazę, mogło się to owym całkowitym ignorantom wydawać doprawdy chyba podobne do czarów. W trzecim czy czwartym roku studiów wziąłem udział w kursie gry w Waldzell, ponowne spotkanie z tą okolicą, miasteczkiem, starą naszą szkołą " wioską ludyczną sprawiło mi bolesną radość, lecz ciebie *lam*. wówczas nie było, studiowałeś wtedy gdzieś w Monteport czy Keuperheim, uchodząc za ambitnego samot-

nika. Mój kurs gry był jedynie kursem wakacyjnym przeznaczonym dla nas, biednych ludzi ze świata i dyletantów, a mimo to wiele mi trudu przysporzył i dumny się poczułem, otrzymując na zakończenie pospolitą „trójkę”, ów stopień „dostateczny” na świadectwie gry, akurat wystarczający, by temu, kto go otrzyma, umożliwił ponowne uczestniczenie w następnym wakacyjnym kursie.

I oto, znów kilka lat później, raz jeszcze zebrałem siły, zgłosiłem się na kurs wakacyjny, prowadzony przez twego poprzednika, starałem się też uczynić wszystko, aby możliwie godnie zaprezentować się w Waldzell. Raz jeszcze przejrzałem dawne moje zeszyty z ćwiczeniami, spróbowałem również przypomnieć sobie po trochu ćwiczenie w koncentracji, słowem, na miarę skromnych moich możliwości, ćwiczyłem się, nastrojałem i skupiałem przed tym kursem tak, jak czynić to zwykł prawdziwy gracz szklanych paciorków przed wielką doroczną grą. Tak więc przybyłem do Waldzell, gdzie, po kilkuletniej przerwie, poczułem się jeszcze bardziej obcy, lecz jednocześnie i bardziej oczarowany, tak jakbym powracał do pięknej, utraconej ojczyzny, której mową niezbyt już jednak biegle władam. I tym razem, spełniło się też gorące moje pragnienie spotkania raz jeszcze ciebie. Czy potrafisz to sobie przypomnieć, Józefie?

Knecht z powagą spojrzał mu w oczy, skinął głową i uśmiechnął się lekko, słowa jednak nie wyrzekł.

— Dobrze — mówił dalej Designori — a więc przypominasz sobie. Ale cóż sobie właściwie przypominasz? Przełotne spotkanie z dawnym szkolnym kolegą, krótkie i pełne rozczarowania; idzie się potem dalej i więcej się już o nim nie myśli, chyba że po dziesiątkach lat tamten w niegrzeszny sposób o sprawie przypomni. Prawda, że tak właśnie jest? Bo czyż było inaczej, czyż było to dla ciebie czymś więcej?

Choć widocznie ze wszystkich sił starał się zapanować nad sobą, widać było, iż popadł w wielkie podniecenie, rozładować chciał najwyraźniej coś, co nagromadziło się przez wiele lat i z czym nie potrafił się uporać.

— Wybiegasz naprzód — bardzo ostrożnie powiedział

Knecht. — Pomówimy o tym, czym to dla mnie było, gdy na mnie przyjdzie kolej i ja zacznę zdawać relację. A teraz ty masz głos, Plinio. Widzę, że owo spotkanie nie było dla ciebie przyjemne. Dla mnie też ono takie podówczas było. A teraz opowiadaj dalej, co się wtedy działo. I mów absolutnie szczerze!

— Spróbuję — mruknął Plinio. — Nie mam przecież zamiaru robić ci jakichkolwiek wyrzutów. Muszę też stwierdzić, że zachowałeś się wówczas względem mnie całkiem poprawnie, nawet więcej niż poprawnie. Gdy przyjąłem obecne twoje zaproszenie tu, do Waldzell, którego od czasów owego drugiego kursu wakacyjnego nigdy już nie oglądałem, a nawet już w chwili, gdy przyjąłem wybór na członka komisji w Kastalii, postanowiłem się z tobą zobaczyć i o ówczesnym przeżyciu porozmawiać, niezależnie od tego, czy przyjemne to będzie dla nas obu, czy nie. Lecz będę mówić dalej. Przybyłem na ów kurs i zostałem zakwaterowany w domu dla gości. Uczestnicy kursu byli wszyscy niemal w moim wieku, niektórzy zaś nawet znacznie starsi; było nas najwyżej ze dwudziestu, przeważnie Kastalczyków, lecz byli to albo źli, obojętni czy też mocno zaniedbani gracze szklanych paciorków, albo też nowicjusze, którym dopiero tak późno przyszła ochot* zapoznać się choć trochę z ową grą; ulgę mi sprawiło, że nie znałem nikogo z nich. Chociaż kierownik naszego kursu, jeden z pomocników archiwum, wszelkich dokładał starań i bardzo był wobec nas życzliwy, rzecz cała niemal od samego początku miała charakter jakiejś drugorzędnej a bezużytecznej szkółki, jakby karnego kursu, którego całkiem przypadkowo dobrani uczestnicy, tak samo jak i nauczyciele, nie wierzyli w jego sens i powodzenie, mimo iż nikt do tego się nie przyznawał. Można było zadać sobie ze zdumieniem pytanie, po cóż ta garstka ludzi połączyła się i dobrowolnie uprawia coś, na co sił jej nie wystarcza, jej zainteresowania bowiem nie są dość silne, aby ją do wytrwałości i ofiar nakłonić, i czemuż to uczony specjalista zgodził się udzielać lekcji tym ludziom, zajmować ich ćwiczeniami, po których sam niewielkich musiał oczekiwać sukcesów. Nie wiedziałem wtedy, a dopiero znacznie

później dowiedziałem się od ludzi bardziej doświadczonych, że miałem z owym kursem szczególnego pecha, że zaledwie trochę odmieniony zestaw uczestników mógłby był uczynić go interesującym, pożytecznym, a nawet zapał wzbudzającym. Częstokroć, jak mi później powiedziano, wystarczy dwóch uczestników, którzy wzajemnie się pobudzają bądź też którzy znali się już i wcześniej się do siebie zbliżyli, aby kursowi takiemu, wraz z wszystkimi jego uczestnikami i nauczycielem przydać polotu i wnieść go na wyższy poziom. Jesteś wszak mistrzem gry szklanych paciorków, znać tedy musisz te sprawy. No, cóż. lecz ja miałem pecha, brak było takiej drobnej, ożywczej komórki w przypadkowym naszym gronie, nie doszło do ocieplenia atmosfery, do wyższych wzlotów, był to i pozostał słabutki, powtórkowy kurs dla dorosłych uczniów. Dni przemijały, a z każdym z nich wzrastało rozczarowanie. Lecz przecież prócz gry szklanych paciorków było jeszcze i Waldzell, dla mnie miejsce świętych, troskliwie pielęgnowanych wspomnień, a gdy kurs gry zawiodł, pozostawała mi jeszcze radość z powrotu w rodzime strony, kontakt z dawnymi kolegami, może nawet i spotkanie z tym właśnie kolegą, o którym najwięcej i najsilniejszych zachowałem wspomnień, który bardziej niż ktokolwiek inny reprezentował dla mnie całą naszą Kastalię: z tobą, Józefie. Gdybym spotkał znów paru towarzyszy moich młodych i szkolnych lat, gdybym podczas spacerów po pięknej, łak umiłowanej okolicy odnalazł dobre duchy mej młodości, gdybyś i ty zechciał znów zbliżyć się do mnie, a w rozmowach naszych, jak niegdyś, gdyby dojsć mogło znowu do dyskusji, nie tyle nawet pomiędzy tobą i mną, ile pomiędzy problemem Kastalii i mną samym, wówczas nie żal by mi było wakacji, wówczas pogodziłbym się chętnie z nieudanym kursem i wszystkim innym

Dwaj moi szkolni koledzy, na których najpierw się nakłamałem, należeli do obojętnych: z radością pokleпали mnie po ramieniu, zadając dziecinne pytania na temat legendarnego życia w świecie. Następni jednak nie byli już tak obojętni: należeli do wioski ludycznej i do młodszej elity, nie zadawali naiwnych pytań, kłaniali mi się tylko, gdy spoty-

kaliśmy się w jednym z pomieszczeń świętego twego przybytku, nie mogąc się wyminąć, z kąśliwą, cokolwiek przesadną uprzejmością, raczej może nawet kordialnością, na wszystkie sposoby podkreślając nadmiar swych zajęć przy ważnych a niedostępnych mi sprawach, brak czasu, ciekawość, zainteresowanie, a także chęć odnowienia dawnej znajomości. No, cóż, nie narzucałem się im, dawałem im spokój, pozostawiałem ich w tym olimpijskim, pogodnym, drwiącym, kastalskim spokoju. Spoglądałem na nich i na ich pracowity a pogodny dzień niczym więzień przez kraty lub tak, jak ludzie biedni, zgłodniaли a ciemiężeni patrzą na bogaczy i arystokratów, pogodnych, ładnych, wykształconych, dobrze wychowanych ludzi, należycie wypoczętych, z wypielęgnowanymi rękami i twarzami.

I oto pojawiłeś się ty, Józefie, a nowa nadzieja obudziła się we mnie, gdy cię ujrzałem. Szedłeś przez podwórze, poznałem cię z tyłu po chodzie i zaraz zawołałem cię po imieniu. „Nareszcie jakiś człowiek! — pomyślałem sobie — nareszcie przyjaciel, może i przeciwnik, lecz taki, z którym można mówić, arcykastalczyk wprawdzie, ale taki, w którym cechy kastalskie nie zastygły w maskę ani w pancerz, człowiek, ktoś, kto zrozumie!” Musiałeś spostrzec, jak bardzo się ucieszyłem i jak wiele się po tobie spodziewałem, istotnie też z niezmierną odniosłeś się do mnie grzecznością. Poznałeś mnie jeszcze, coś dla ciebie jeszcze znaczyłem, sprawiło ci radość oglądanie znowu mojej twarzy. Tak więc nie ograniczyło się to wszystko do krótkiego radosnego powitania na podwórzu, lecz zaprosiłeś mnie i poświęciłeś, ofiarowałeś mi cały wieczór. Ale, drogi Knechcie, cóż to był za wieczór! Jakże męczyliśmy się obaj, by sprawić wrażenie ludzi należycie pogodnych i należycie uprzejmych, by niemal po koleżeńsku do siebie się odnosić, z jakimże trudem wlekleśmy kulejącą naszą rozmowę od jednego tematu ku drugiemu! Choć inni byli względem mnie obojętni, ta sprawa z tobą była gorsza, to pełne wysiłku a bezowocne zabieganie o istniejącą kiedyś przyjaźń bolało znacznie bardziej. Wieczór ów ostatecznie położył kres moim złudzeniom, wyjaśniono mi oto bezwzględnie, że nie jestem już

kolegą równorzędnym w dążeniach, nie jestem już Kastalczykiem, człowiekiem na pewnym określonym poziomie, lecz natrętnie narzucającym się niezgułą, obcym, niewykształconym, a fakt, że uczyniono to w formie tak pięknej i poprawnej, że niecierpliwość i rozczarowanie zostały przy tym tak znakomicie zamaskowane, wydał mi się w tym wszystkim najgorszy. Gdybyś mnie łajał i czynił mi wyrzuty, gdybyś oskarżał mnie: „Cóż się z tobą, przyjacielu, stało, jakże mogłeś tak się zaniedbać?” — byłbym szczęśliwy i lody zostałyby przełamane. Ale nic takiego nie zaszło. Przekonałem się, że oto już koniec z moją Kastalią, koniec z moją miłością do was i z moimi studiami gry szklanych paciorków, koniec koleżeńskich naszych stosunków. Repetent Knecht przyjął uciążliwą moją wizytę w Waldzell, męczył się i nudził ze mną przez cały wieczór i w absolutnie nieskazitelnej formie, pośród licznych komplementów za drzwi mnie wyprawił.

Designori, walcząc ze wzburzeniem, przerwał i z udręczonym wyrazem twarzy podniósł oczy ku magistrowi. Ow zaś, całkiem zamieniony w słuch, siedział, sam w najmniejszym nawet stopniu nie wzburzony, i patrzył na swego starego przyjaciela z uśmiechem pełnym życzliwego zainteresowania. A ponieważ Plinio nie mówił dalej, Knecht ogarnął go spojrzeniem dobrotliwym, z wyrazem satysfakcji, nawet rozbawienia, które przyjaciel jego z ponurą miną przez minutę lub dłużej nawet wytrzymywał.

•—■ Śmiejesz się? — wykrzyknął potem Plinio gwałtownie, choć bez gniewu. — Śmiejesz się? Uważasz to wszystko za słuszne?

— Muszę powiedzieć — uśmiechnął się Knecht — że znakomicie rzecz całą przedstawiłeś, po prostu świetnie, dokładnie tak bowiem było, jak to opisałeś, a może nawet jeszcze ów odcień urazy i oskarżenia w twoim głosie był potrzebny, aby tak to ukazać i ową scenę w pełni mi znów uzmysłowić. A także, choć, niestety, najwidoczniej patrzysz na całą tę sprawę jeszcze po trochu dawnymi oczami i z jakimiś jej szczegółami dotąd się nie uporałeś, obiektywnie trafnie opowiedziałeś całą tę swoją historię, historię dwóch

młodzieńców w przykłej nieco sytuacji, w której obaj musieli trochę udawać, a z których jeden, ty mianowicie, popełnił błąd, ukrywając prawdziwy, poważny swój ból w owej sytuacji pod pozorami animuszu, zamiast zerwać maskę. Po trochu wydaje się nawet, że i dziś jeszcze przypisujesz niepowodzenie tego spotkania raczej mnie niż sobie, mimo iż od ciebie przede wszystkim zmiana sytuacji zależała. Czyś doprawdy tego nie pojął? Lecz opisałeś to wszystko wyśmienicie, rzec muszę. Doprawdy na nowo odczułem znowu całą przygnębiającą a nieskładną atmosferę tego dziwnego wieczoru, chwilami wydawało mi się, iż znów walczyć muszę o zachowanie właściwej postawy i trochę się za nas obu wstydzilem. Tak, wszystko w twojej relacji jest na wskroś ścisłe. Prawdziwa to przyjemność słuchać takiego opowiadania.

— No — odezwał się Plinio, nieco zdziwiony, a w głosie jego pobrzmiwał jeszcze ton nieufności i urazy — dobrze, że przynajmniej jednemu z nas opowiadanie moje sprawiło przyjemność. Bo trzeba ci wiedzieć, że mnie o przyjemność wcale tu nie chodziło.

— Ale teraz — rzekł Knecht — teraz widzisz przecie, jak pogodnie potraktować możemy tę historię, bynajmniej zresztą zaszczytu żadnemu z nas nie przynoszącą? Śmiać się z niej możemy.

— śmiać? A niby dlaczego?

— Dlatego, że historia eks-Kastalczyka Plinia, który za biega o grę szklanych paciorków i o uznanie ze strony dawnych kolegów, przebrzmiała już i ostatecznie została zakończona, podobnie jak i tamta o uprzejmym repetencie Knechcie, który mimo wszelkich w Kastalii obowiązujących form tak dalece nie umiał ukryć swego skrępowania wobec nie spodzianie go nachodzącego Plinia, że dziś, po tak wielu latach, ukazać nu je można wyraziście, jak w lusirze. Raz jeszcze powtarzam, Plinio, znakomitą masz pamięć, znakomicie opowiadałeś, ja bym tak nie potrafił. Szczęście to dla nas, iż cała ta historia jest już tak całkowicie zakończona i śmiać się z niej możemy!

Designoii był zupełnie zdezorientowany. Przyjmował

wprawdzie dobry humor magistra jako coś przyjemnego i serdecznego, niezmiernie dalekiego od cienia drwiny, czuł także, że za tą wesołością kryje się wielka powaga, lecz podczas opowiadania odżyła w nim zbyt boleśnie cała gorycz owego przeżycia, a miało ono tak wyraźny charakter spowiedzi, że nie od razu gotów był zmienić ton.

— Zapominasz może jednak — odezwał się z wahaniem, choć już na poły przekonany — iż to, co opowiadałem, nie było dla mnie tym samym, co dla ciebie. Dla ciebie była to bowiem najwyżej nieprzyjemność, dla mnie natomiast klęska i załamanie, zresztą także i początek pewnych ważnych zmian w życiu. Gdym wówczas, ledwo kurs się skończył, opuścił Waldzell, postanowiłem nigdy już tu nie wracać, bliski zaś byłem zniechęcenia Kastalii i was wszystkich. Straciłem złudzenie, zrozumiałem, że już do was nie należę, może zresztą już dawniej nie tak całkiem do was należałem, jak to sobie wyobrażałem, a niewiele brakowało, abym stał się renegatem i zdeklarowanym waszym wrogiem.

Przyjaciel spojrział nań pogodnie, a zarazem przenikliwie.

— Zapewne — rzekł. ■ — I wszystko to, mam nadzieję, nie bawem też jeszcze opowiesz. Ale dziś, wydaje mi się, sytuacja nasza jest następująca: we wczesnej młodości byliśmy przyjaciółmi, zostaliśmy rozdzieleni i poszliśmy nader różnymi drogami; później spotkaliśmy się znowu, a było to podczas feralnego kursu wakacyjnego, stałeś się wówczas na poły, a może już całkiem, światowcem, ja zaś nieco zarozumiałym i usilnie form kastalskich przestrzegającym mieszkańcem Waldzell, a dzisiaj przypomnieliśmy sobie to pełne rozczarowań, zawstydzające spotkanie. Ujrzeliśmy ponownie samych siebie i ówczesne skrępowanie nasze i mogliśmy znieść ów widok, a śmiać się możemy z niego, gdyż dziś wszystko jest już inne. Nie zamierzam też ukrywać, iż wrażenie, jakie na mnie wtedy wywarłeś, doprawdy w wielkie mnie wprawiło zmieszanie, było to bowiem na wskroś nieprzyjemne, negatywne wrażenie, nie wiedziałem absolutnie, co z tobą zrobić, wydałeś mi się nieoczekiwanie, zdumiewająco, a także drażniąco niedojrzałym, gruboskórnym, świeckim. Byłem sam młodym Kastalczykiem, który nie znał

świata i właściwie znać go nie chciał, ty zaś, cóż, ty byłeś młodzieńcem obcym, tak dalece, iż doprawdy nie mogłem pojąć, po co nas taki odwiedza i bierze udział w kursie gry, wydawało się bowiem, żeś nie zachował już nawet śladu cech ucznia elitarnego. Drażniłeś wówczas moje nerwy tak samo, jak ja twoje. Ja bowiem musiałem oczywiście wydać ci się zarozumiałym obywatelem Waldzell, bez jakichkolwiek zasług, usilnie zabiegającym o zachowanie należytego dystansu pomiędzy sobą a niekastalczykiem i dyletantem w grze. Ty natomiast wydawałeś mi się czymś w rodzaju barbarzyńcy lub półinteligenta, który zdawał się rościć sobie natrętne a niczym nieusprawiedliwione, sentymentalne pretensje do mego zainteresowania i przyjaźni. Broniliśmy się przed sobą, niewiele brakowało, abyśmy się zaczęli nienawidzić. Nic innego też zrobić nie mogliśmy, jak tylko się rozejść, ponieważ żaden nie mógł drugiemu nic dać, żaden też nie był w stanie innemu sprostać. Lecz dzisiaj, Plinio, możemy odnowić to wstydliwie pogrzebane wspomnienie i śmiać się z owej sceny i z nas samych, dziś bowiem spotkaliśmy się inni, z całkiem też innymi zamiarami i możliwościami, bez sentymentalizmu, bez tłumionej zazdrości i nienawiści, bez zarozumiałości ponieważ, od dawna jesteśmy już obaj dorosłymi mężczyznami.

Designori uśmiechnął się z ulgą. Lecz zapytał jeszcze:

— Ale czy doprawdy jesteśmy tego pewni? Dobrą wolę bowiem mieliśmy w końcu i wówczas.

— A pewnie! — roześmiał się Knecht, — I dzięki tej naszej dobrej woli nieznośnie się męczyliśmy i wysilali. Nie znosiliśmy się wówczas, instynktownie, każdemu z nas ten drugi wydawał się obcy, nieznajomy, przykry i wstrętny, a jedynie wyimaginowane poczucie obowiązku i wspólnoty zmusiło nas do odgrywania przez cały wieczór wysiłonej komedii. Uświadomiłem to sobie już wkrótce po twojej w życiu. Ani dawna przyjaźń, ani rola byłych przeciwników nie została przez żadnego z nas jeszcze wtedy przewyciężona. I zamiast pozwolić jej zamrzeć, przekonani byliśmy, iż należy ją odgrzebać i w jakiś sposób kontynuować. Czu-

liśmy się jakoś względem niej zadłużeni, nie bardzo wiedząc, w jaki sposób spłacić ów dług. Czyż nie tak było?

— Wydaje mi się — stwierdził w zadumie Plinio — żeś ty i dzisiaj pozostał nieco nazbyt uprzejmy. Powiadasz „my”, ale to nie my obaj szukaliśmy wówczas siebie i znaleźć nie mogli. Szukanie i miłość do mnie wyłącznie należały, tak samo jak rozczarowanie i cierpienie. Cóż bowiem, pytam cię, zmieniło się w twoim życiu po tym naszym spotkaniu? Nic! Dla mnie było to natomiast bolesne i głębokie cięcie i dlatego nie potrafię przyłączyć się do śmiechu, którym ty całą tę sprawę kwitujesz.

— Wybacz — załagodził Knecht. — Być może pospieszyłem się nadmiernie. Mam jednak nadzieję z czasem doprowadzić do tego, że do mego śmiechu się przyłączysz. Masz rację, zraniony zostałeś wówczas, nie przeze mnie wprawdzie, jak sądziłeś i nadal jeszcze zdaje się przypuszczasz, lecz z pewnością wskutek oddalenia i obcości pomiędzy wami i Kastalią; choć podczas szkolnej naszej przyjaźni wydawało nam się obu, żeśmy ową przepaść zasypali, lecz oto nagle rozwarła się ona znowu przed nami, przeraźliwie szeroka i głęboka. Jeśli zaś mnie osobiście winę tu przypisujesz, proszę, żebyś całkiem szczerze oskarżenie swoje wypowiedział.

— Ach, nie było to nigdy oskarżenie. Raczej skarga. Nie słuchałeś jej wówczas, a wydaje mi się, że i dziś nie chcesz jej słyszeć. Odpowiedziałeś na nią wówczas uśmiechem i po prawności i dziś w ten sam sposób odpowiadasz.

Plinio, choć wyczuwał przyjaźń i głęboką życzliwość w spojrzeniu mistrza, nie mógł powstrzymać się od podkreślenia tych właśnie spraw, czuł bowiem, że raz wreszcie zrzucić musi z siebie ów tak długo i boleśnie dźwigany ciężar.

Knecht nie zmienił wyrazu twarzy. Podumał chwilę, w końcu zaś ostrożnie się odezwał:

— Chyba dopiero teraz zaczynam cię rozumieć, przyja cielu. Może masz słuszność i należy także i na ten temat pomówić. Chciałbym tylko uprzedzić cię najpierw, że właś ciwie wtedy tylko miałbyś prawo spodziewać się po mnie zrozumienia tego, co nazywasz skargą, gdybyś ową skargę

rzeczywiście też wypowiedział. Lecz było tak, że podczas wieczornej owej rozmowy w domu dla gości bynajmniej się nie skarżyłeś, natomiast, podobnie zresztą jak i ja, występowałeś możliwie dziarsko i z animuszem, podobnie jak ja odgrywałeś rolę człowieka nieskazitelnego, który na nic nie ma zamiaru się uskarżać. Potajemnie przecież, jak teraz słyszę, spodziewałeś się, że jednak dotrze do mnie utajona twoja skarga i że za maską dostrzegę prawdziwe twoje oblicze. No, cóż, niektóre rzeczy zdołałem wówczas, owszem, zauważyć, choć, oczywiście, bynajmniej nie wszystkie. Lecz jakże nie dotykając twojej dumy miałem ci dać do zi ogumienia, że się o ciebie martwię, że ci współczuję? I cóż by to pomogło, gdybym wyciągnął do ciebie rękę, skoro ta moja ręka była pusta, nic nie miałem ci do dania, ani rady, ani pociechy, ani przyjaźni, skoro drogi nasze tak całkowicie się rozeszły? Owszem, ukryte twoje smutki i nieszczęścia, które skrywałeś za dziarską swoją postawą, wydały mi się wówczas uciążliwe i przykre, prawdę mówiąc nawet odpychające, kryła się w nich bowiem pretensja do zrozumienia i współczucia, bynajmniej nie licująca z twym zachowaniem; było w tym coś natrętnego i dziecinnego — tak mi się wydawało — a przyczyniło się to jedynie do ochłodzenia moich uczuć. Przejawiałeś roszczenia do koleżeństwa ze mną, chciałeś być Kastalczykiem i graczem szklanych paciorków, a wydawałeś się przy tym tak nieopanowany, tak zagubiony w egoizmie! Tak oceniłem cię wówczas: spostrzegłem bowiem doskonale, że z cech kastalskich nic niemal w tobie nie pozostało i najwyraźniej zapomniałeś zasadniczych nawet reguł. Dobrze, nie moja to była rzecz. Lecz po cóż w takim razie przyjeżdżałeś do Waldzell i chciałeś witać nas jako swoich kolegów? To właśnie, jak już mówiłem, gniew we mnie i niechęć budziło i miałeś wówczas całkowitą słuszność, tłumacząc sobie nadmierną moją uprzejmość jako protest. Tak, instynktownie cię odrzucałem, ale nie dlatego, żeś był dzieckiem świata, lecz dlatego, żeś rościł sobie pretensje do tego, b}r uchodzić za Kastalczyka. I gdy po tak wielu latach pojawiłeś się oto znowu, nic z Kastalii w tobie wyczuć się już nie dawało; wyglądałeś po świecku, nió-

wieś jak ktoś z zewnątrz, a szczególnie obcy wydał mi się w twojej twarzy wyraz smutku, troski i nieszczęścia; lecz wszystko: twoja postawa, twoje słowa, nawet i twój smutek jeszcze podobały mi się, były piękne, pasowały do ciebie. były ciębie godne, nic z tego mi nie przeszkadzało, mogłem cię zaakceptować i zaaprobować bez cienia jakiegokolwiek wewnętrznego sprzeciwu, tym razem nie trzeba było nadmiaru uprzejmości i należytej postawy, toteż od razu jak przyjaciel wyszedłem ci naprzeciw, starając się okazać ci miłość i współczucie. Tym razem raczej odwrotnie rzecz się miała niż dawniej, tym razem było raczej tak, że to ja starałem się i zabiegałem o ciebie, podczas gdyś ty zachowywał ogromną rezerwę, choć co prawda już sam fakt twego pojawienia się w naszej prowincji i zainteresowania się jałosami uznałem w głębi duszy za akt przywiązania i wierności. No, a w końcu nie odrzuciłeś moich starań, doszliśmy już do tego, że zwierzymy się sobie wzajem, mam tedy nadzieję, iż zdołamy odnowić naszą starą przyjaźń.

Powiedziałeś przed chwilą, że to młodzieńcze spotkanie było dla ciebie czymś bolesnym, lecz dla mnie nie miało znaczenia. Nie sprzecajmy się na ten temat, może masz rację. Lecz obecne nasze spotkanie, *amice*, bynajmniej nie jest pozbawione dla mnie znaczenia, oznacza o wiele więcej, niż potrafię ci dzisiaj powiedzieć i niż sam kiedykolwiek przypuścić zdołasz. Krótko mówiąc jest ono dla mnie tylko powrotem utraconego przyjaciela, a dzięki temu zmartwychwstaniem dawnych czasów z nową siłą i w nowej postaci. Jest ono dla mnie przede wszystkim wezwaniem, wyjściem naprzeciw, otwiera mi drogę na wasz świat, ponownie stawia mnie wobec dawnego problemu jakiejś syntezy pomiędzy wami i nami, a przychodzi to, chcę ci powiedzieć, w odpowiedniej chwili. Zew ów tym razem nie zastaje mnie głuchym, jestem bardziej nawet nań czujny, niż byłem kiedykolwiek, ponieważ w istocie nie zaskoczył mnie wcale, nie wydaje mi się obcy i przychodzący z zewnątrz, względem czego można się otworzyć albo też i zamknąć, lecz pojawia się jak gdyby ze mnie samego, stanowi odpowiedź na niezmiernie silne i narastające pragnienie, na pewne dą-

żenią i tęsknoty we mnie samym. Lecz o tym innym j/azem, późno już, a obaj potrzebujemy odpoczynku.

Mówiłeś uprzednio o mojej wesołości i twoim smutku, sądząc, jak mi się wydaje, że nie sprostam temu, co swoją „skargą” nazywasz, nawet i dzisiaj nie sprostam, skoro na ową skargę odpowiadam uśmiechem. I oto coś, czego właściwie nie rozumiem. Dlaczegoż nie można wysłuchać skargi z pogodą, dlaczego trzeba na nią, zamiast uśmiechem, odpowiadać smutkiem? Z tego, żeś ze swymi troskami i ciężarami znowu przybył do Kastalii i do mnie, mogę chyba wnioskować, iż może właśnie na naszej pogodzie po trosze ci zależy. Lecz jeśli nie chcę naśladować twego smutku i obarczenia, jeśli nie wolno mi dać się nimi zarazić, nie oznacza to bynajmniej jeszcze, że ich nie uznaję czy nie traktuję poważnie. Twarz, którą nosisz, a którą ukształtowało życie twoje i twój los w świecie, w pełni uznaję, przystoi ci ona. należy do ciebie, miła mi jest i godna szacunku, choć mam nadzieję oglądać jeszcze na niej zmiany. Przeczuwać za ledwie mogę, skąd się ona bierze, później opowiesz mi lub przemilczysz tyle z tego, ile uznasz za stosowne. Dostrzec mogę jedynie, że ciężkie masz chyba życie. Lecz dlaczego sądzisz, że tobie i ciężarom twoim sprawiedliwości oddać ani nie chcę, ani nie mogę?

Designori miał znowu twarz posępną:

— Niekiedy — stwierdził z rezygnacją — wydaje mi się, jakbyśmy mieli nie tylko dwa różne sposoby wyrażania się i dwa języki, które za ledwie aluzyjnie tłumaczyć można z jednego na drugi, ale nawet jakbyśmy byli w ogóle i na wskroś różnymi istotami, które nigdy zrozumieć się nie zdołają. Coraz bardziej też wątpliwe mi się wydaje, aby można ustalić, który z nas jest właściwie prawdziwym i w pełni wartościowym człowiekiem, wy, czy też my, czy w ogóle jeden z nas. Był czas, że podnosiłem oczy ku wam, ludziom zakonu i graczom szklanych paciorków, ze czcią, niesłychanym poczuciem niższości i zazdrością, niczym ku wiecznie pogodnym, wiecznie rozigranym i rozkoszującym się własną egzystencją, a dla cierpień niedostępnym bogom i nadludziom. W innych okresach wydawaliście mi się na prze-

mian to godni zazdrości, to znowu współczucia lub wzdargdy, jak kastraci, sztucznie w wiekuistym dzieciństwie utrzymywani, dziecięcy i dziecinni w waszym pozbawionym wszelkich namiętności, czyściutko ogrodzonym, należycie wysprzątanym świecie przedszkola i zabawy, gdzie starannie każdy nosek się ociera, wszelkie zaś niezdrowe odruchy uczuć czy myśli łagodzi się i tłumi, gdzie przez całe życie uczestniczy się w grzecznych, niegroźnych i bezkrwawych grach, każdy zaś zakłócający przejaw życia, każde wielkie uczucie, każdą prawdziwą namiętność, każde wzburzenie serca natychmiast się medytatywną terapią kontroluje, przygina i niweluje. Czyż to nie sztucznie wysterylizowany, po belfersku przystrzyżony świat, półświat już tylko, świat pozorny, w którym oto tchórzliwie wegetujecie, świat bez wad i namiętności, bez głodu, bez soków i soli, świat bez rodziny, bez matek i dzieci, a niemal też bez kobiet! Życie instynktów jest poskromione medytacją, niebezpieczne, karkołomne a pełne odpowiedzialności sprawy, jak gospodarkę, prawo, politykę, od całych już pokoleń pozostawiono innym, tchórzliwie i bez nadmiaru uciążliwych obowiązków wiecie się tu pasożytniczy żywot, z obawy przed nudą zajmując się z zapalem uczonymi specjalnościami, licząc sylaby i litery, muzykując i grając w grę szklanych paciorków, podczas gdy na zewnątrz, w brudnych odmętach świata biedni, zapędzeni ludzie pędzą prawdziwe życie i wykonują prawdziwą pracę.

Knecht słuchał go z niestrudzoną i życzliwą uwagą.

— Drogi przyjacielu — rzekł spokojnie — jakże mi te słowa twoje przypomniały szkolne nasze lata i ówczesny twój zapal bojowy! Tyle tylko, że dziś nie gram już tej samej roli co wówczas: zadanie moje nie polega dzisiaj na obionie zakonu i prowincji przed twymi atakami, cieszę się też. iż trudne owo zadanie, przy którym raz już nadmiernie się namęczyłem, tym razem nic mnie nie obchodzi. Właśnie bowiem na te wspaniałe szturmy, jak ten, któryś znowu przed chwilą przypuścił, trudno cokolwiek odpowiedzieć. Mówisz na przykład o ludziach, którzy tam, na zewnątrz „pędzą prawdziwe życie i wykonują prawdziwą pra-

cę". Brzmi to tak absolutnie i pięknie, i rzewnie, niemal jak aksjomat, a gdyby ktoś chciał z tym walczyć, musiałby stać się wprost niegrzecznym i przypomnieć mówcy, że przecież własna jego „prawdziwa praca” po części potóga na współudziale w komisji dla dobra i zachowania Kastalii. Lecz porzućmy na chwilę żarty! Ze słów twoich i z twojego tonu wnoszę, że nadal jeszcze masz serce pełne nienawiści do nas, lecz jednocześnie pełne też rozpaczliwej ku nam miłości, pełne zazdrości czy tęsknoty. Jesteśmy dla ciebie tchórzami, pasożytami lub dziećmi bawiącym się w przedszkolu, choć niekiedy widziałeś w nas również wiecznie pogodnych bogów. Jeden tylko, jak mi się zdaje, wniosek ze słów twoich wyciągnąć mogę: za smutek twój, nieszczęście twoje, czy jak tam nazwać to zechcemy, Kastalia chyba winy nie ponosi, musi się ono wywodzić skądinąd. Gdybyśmy bowiem my, Kastalczyki, byli tu winni, zastrzeżenia i wyrzuty twoje nie byłyby z pewnością dziś jeszcze takie same, jak w dyskusjach za naszych chłopięcych lat. W późniejszych rozmowach opowiesz mi więcej jeszcze, a nie wątpię, że znajdziemy jakąś drogę, by uczynić cię szczęśliwszym i pogodniejszym albo przynajmniej by stosunek twój względem Kastalii swobodniej i milej ukształtował. O ile dotychczas zorientować się mogłem masz do nas i do Kastalii, a wskutek tego również do własnej młodości i szkolnych lat, stosunek błędny, hamujący a sentymentalny, duszę własną rozczepiłeś bowiem na część kastalską i świecką, a nadmiernie dręczysz się sprawami, za które żadnej nie ponosisz odpowiedzialności. Być może jednak, iż inne z kolei sprawy traktujesz zbyt lekko, choć właśnie za nie ponosisz odpowiedzialność. Przypuszczam, że od dłuższego już czasu nie odprawiałeś ćwiczeń medytacyjnych. Prawda?

Designori zaśmiał się z przymusem:

— Jakże bystry jesteś, *domine!* Od dłuższego czasu, powiadasz? Wiele, wiele lat już upłynęło od chwili gdy zrezygnowałem z czarów medytacji. Jakże to troszczysz się o mnie nagle! Wówczas, gdyście mi tutaj w Waldzell, podczas mego wakacyjnego kursu okazali tak wiele uprzejmości i po-

gardy i gdybyście zabieganie moje o waszą przyjaźń tak elegancko odtrącili, wtedy wyjechałem stąd z postanowieniem, by raz na zawsze skończyć ze wszystkim, co kastalskie we mnie. I od owych czasów zrezygnowałem z gry szklanych paciorków, nie oddawałem się już także medytacji, a nawet muzyki przez dłuższy czas nie znośłem. Znalazłem natomiast nowych towarzyszy, którzy jęli udzielać mi lekcji w uciechach światowych. Piliśmy razem i oddawali się rozpuście, wypróbowaliśmy wszelkie możliwe narkotyki, wszystko zaś, co przyzwoite, godne szacunku, idealne, oplwaliśmy i wykpiłi. W tak wielkim nasileniu wszystko to, oczywiście, długo nie trwało, lecz czasu tego wystarczyło, by zetrzeć ze mnie ze szczętem resztki kastalskiego poloru. A kiedy później, po latach już, stwierdzałem niekiedy, iż szalałem nadmiernie i niektóre techniki medytacji bardzo by mi się mogły przydać, nazbyt już byłem pyszny, by łsa nowo je podjąć.

— Nazbyt pyszny? — cicho zapytał Knecht.

— Tak, nazbyt pyszny. Zanurzyłem się tymczasem w świecie i stałem się człowiekiem świeckim. Niczym innym me chciałem być, jeno jednym z nich, żyć jedynie ich życiem, ich namiętnym, dziecinnym, okrutnym, nieopanowanym, między szczęściem i trwogą chybocącem się życiem; odrzucałem zaś z pogardą myśl, by waszymi środkami przynieść sobie nieco ulgi i uprzywilejowane zająć stanowisko.

Magister spojrział nań bystro:

— I wytrzymałaś to przez wiele lat? Nie uciekałaś się do innych środków, żeby się z tym uporać?

— O, owszem — przyznał Plinio. — Czyniłem to i dziś jeszcze czynię. Bywają okresy, w których znowu piję, s przeważnie też, aby móc zasnąć, potrzebuję różnych środków oszalamiających.

Knecht, jakby pod wpływem nagłego zmęczenia, na sekundę przymknął oczy, lecz potem na nowo wpatrzył się w przyjaciela. W milczeniu spoglądał na jego twarz, najpierw badawczo i poważnie, stopniowo jednak coraz łagodniej, przyjaźniej i pogodniej. Designori zanotował, iż nigdy dotąd nie spotkał takiego spojrzenia ludzkich oczu,

które byłyby jednocześnie tak badawcze i pełne miłości, tak niewinne i tak osądzające, tak promiennie przyjazne i tak wszechwiedzące. Przyznaje, iż spojrzenie to początkowo go drażniło i wprawiało w zmieszanie, potem uspokoiło, stopniowo zaś łagodną przemocą pokonało. Usiłował jednak^bronić się jeszcze.

— Powiedziałeś — rzekł — iż znasz sposoby, aby uczynić mnie szczęśliwszym i pogodniejszym. Ale wcale nie pytasz, czy właściwie tego pragnę.

— No, cóż — zaśmiał się Józef Knecht — jeśli możemy jakiegoś człowieka uczynić szczęśliwszym i pogodniejszym, powinniśmy dokonać tego w każdym wypadku, niezależnie od tego, czy prosi nas o to, czy nie. A jakże byś miał nie szukać tego i nie pragnąć? Po to przecież tu siedzisz, po to znaleźliśmy się tu znów naprzeciw siebie, po to do nas wróciłeś. Nienawidzisz Kastalii, gardzisz nią, o wiele za dumny jesteś ze swojej świadomości i swego smutku, by chcieć je złagodzić odrobiną rozsądku i medytacji — a przecie tajemna, nieposkromiona tęsknota za nami i naszą pogodą wiodła cię i ciągnęła przez wszystkie te lata, póki tu nie wróciłeś i nie zostałeś zmuszony do podjęcia z nami owej próby raz jeszcze. A mówię ci, żeś tym razem przy był w porę, w okresie, kiedy i ja zatęskniłem niezmiernie do jakiegoś wezwania z waszego świata, do jakiejś otwierającej się furtki. Ale o tym już innym razem! Zwierzyłeś mi się z niejednego, przyjacielu, dziękuję ci za to, a prze konasz się, że i ja z wielu rzeczy przed tobą się wypowiadam. Późno już, wyjeżdżasz jutro rano, mnie zaś czeka znowu dzień urzędowania, musimy tedy niebawem pójść spać. Kwadrans tylko podaruj mi jeszcze, proszę.

Wstał, podszedł ku oknu i patrzył w górę, gdzie pomiędzy rozwianymi chmurami widać było wszędzie pasma bardzo czystego nocnego nieba, pełnego gwiazd. A ponieważ nie zaraz powrócił, gość powstał także i stanął obok niego przy oknie. Magister stał, patrząc w górę i rytmicznie wdychając rozrzedzone a chłodne powietrze tej jesiennej nocy. Ręką wskazał na niebo:

— Spójrz — powiedział — na ten krajobraz chmur i te

pasma nieba! Na pierwszy rzut oka gotów człowiek przypuszczać, iż głębia znajduje się tam, gdzie najciemniej, zaraz spostrzeżę jednak, że wszystko, co ciemne i miękkie, to tylko chmury, wszechświat natomiast z całą swą głębią dopieje na krańcach i fiordach owych gór z obłoków złożonych się rozpoczyna, ginąc w bezmiarze, w którym uroczyscie migocą gwiazdy, dla nas, ludzi, symbole jasności i ładu. Nie tam więc głębia świata i jego tajemnic, gdzie chmury i czerń, głębia bowiem tam, gdzie jasność i pogoda. Jeśli mi wolno, proszę cię: popatrz przed położeniem się do snu przez chwilę jeszcze na owe zatoki i cieśniny morskie pośród licznych gwiazd, a nie odtrącaj myśli ani marzeń, które ci przy tym nasunąć się mogą.

Serce Plinia zadrgało, choć nie wiedział: bólem czy też szczęściem. Przypomnił sobie, że podobnymi słowami, przed niepamiętnym już niemal czasem, w pięknym, pogodnym a wczesnym okresie jego uczniowskiego życia w Waldzell zachęcano go do pierwszych ćwiczeń medytacyjnych.

— I pozwól mi powiedzieć jeszcze słówko — podjął cichym głosem mistrz gry szklanych paciorków. — Tak bardzo chciałbym opowiedzieć ci jeszcze choć trochę o pogodzie, o tej pogodzie gwiazd i ducha, a także o naszym, kastalskim rodzaju pogody. Niechęć czujesz do radości, zapewne dlatego, że iść musiałeś drogą smutku, a teraz wszelka jasność i dobry humor, zwłaszcza zaś nasze, kastalskie, wydają ci się dziecinne i płytkie, a także tchórzliwe, wydają ci się ucieczką przed okropnościami i przepaściami rzeczywistości w jasny, uporządkowany należycie świat samych już tylko form i formuł, samych abstrakcji i gładzizm. Lecz, drogi mój a smutny, choćby ucieczki takie doprawdy się zdarzały, choćby nie brak było Kastalczyków tchórzliwych, bojaźliwych, samymi jedynie formułkami igrających, choćby nawet oni i byli wśród nas większością — prawdziwej radości, pogodzie niebios i ducha, uszczerbku to w jej świetności i wartości nie czyni. Tym spośród nas, którzy łatwo znajdują zadowolenie, a pogodni są tylko z pozoru, przeciwstawiają się inni ludzie i całe ludzkie pokolenia, których Pogoda nie jest powierzchowną igraszką, ale powagą i głę-

bią. Jednego z nich znałem, był to dawny nasz mistrz muzyki, którego sam niegdyś widywałem w Waldzell czasami; człowiek ten w ciągu ostatnich lat swego życia posiadał cnotę pogody w tak znacznym stopniu, że promieniowała zeń jak światło ze słońca, że w postaci życzliwości, radości życia, dobrego humoru, ufności i zaufania przechodziła ona na wszystkich dookoła, we wszystkich też dalej promieniejąc, we wszystkich tych, którzy prawdziwie blask jej wchłonęli i pozwolili się nim przeniknąć. Ja również oświecony zostałem jego blaskiem, mnie również udzielił on nieco swej jasności i promienistości serca, a także naszemu Ferromontemu i niejednemu innemu jeszcze. Osiągnięcie takiej pogody jest dla mnie, a wraz ze mną dla wielu, celem najwyższym i najszlachetniejszym. Znajdziesz ową pogodę także u niektórych ojców z kierownictwa zakonu. A pogoda ta nie jest ani igraszką, ani upodobaniem w samym sobie, jest najwyższą świadomością i miłością, jest afirmacją wszelkiej rzeczywistości, czuwaniem na skraju wszelkich głębin i przepaści, jest cnotą rycerzy i świętych, cnotą niezniszczalną, która wraz z wiekiem i przybliżaniem się śmierci stale jeno wzrasta. Jest ona tajemnicą piękną i właściwą substancją wszelkiej sztuki. Poeta, który cuda i potworności Życia taneczną miarą swych wierszy opiewa, muzyk, co pozwala im rozbrzmiewać w postaci czystej współczesności, jest szafarzem światła, pomnaża radość i jasność na ziemi, nawet jeśli nas najpierw wiedzie przez łzy i ból. Może ów poeta, którego wiersze tak nas zachwycają, jest smutnym samotnikiem, może i muzyk ów był posępnym marzycielem, lecz także i wówczas dzieło jego uczestniczy w radości gwiazd i bogów. To, co nam daje, nie jest już jego mrokiem, cierpieniem czy trwogą, to kropla czystego światła, wiekuistej radości. Nawet gdy całe narody czy języki zgłębić usiłują głębinę świata przez mity, kosmogonie, religie, radość ta jest ostatecznym i najwyższym celem, który mogą osiągnąć. Przypominasz sobie starych Hindusów, nauczyciel nasz w Waldzell niegdyś tak o nich pięknie opowiadał: to naród cierpień, frasunków, pokuty, ascezy, lecz ostatnie, największe płody jego ducha były pogodne i jasne,

Dogodny jest uśmiech tych, co świat przewyciężyli, i Buddów, pogodne są postaci tych przepastnie głębokich mitologii. Świat — jak go owe mity przedstawiają — w początkach swych rozpoczyna się na sposób boski, szczęśliwy, promienny i piękny jak wiosna — oto wiek złoty; potem jednak zapada w chorobę, marnieje coraz to bardziej, dziczeje i podupada, a u kresu czterech, coraz to niżej spadających epok, dojrzewa on już do chwili, w której zdeptać go i zniszczyć może roześmiany, tańczący Sziwa — lecz na tym się nie kończy, zaczyna się bowiem na nowo od uśmiechu śniącego Wisznu, który rozigranymi rękami tworzy nowy, młody, piękny i promienny świat. Cudowne to: ów naród, wyrozumiały i do cierpienia jak żaden niemal inny zdolny, z przerażeniem i ze wstydem przypatrywał się okropnym igraszkom historii świata, temu wiecznie się obracającemu kołu chciwości i cierpienia, ujrzał i zrozumiał ułomność wszelkiego stworzenia, chciwość i diabelstwo człowieka, a jednocześnie głęboką jego tęsknotę do czystości i harmonii, i znalazł dla całego piękna i tragizmu stworzeń te wspaniałe przypowieści o stworzeniu świata i rozkładzie tego, co stworzone, o potężnym Sziwa, który świat doskonały, tańcząc, na szątki rozbija, i o uśmiechniętym Wisznu, który spoczywa, drzemiąc, a ze złocistych, boskich snów każe, w rozigraniu swym, powstać nowemu światu.

Co zaś tyczy się naszej własnej, kastalskiej radości, może stanowi ona jedynie późną i drobną odmianę owej radości wielkiej, lecz jest to odmiana na wskroś rzetelna. Uczoność nie zawsze i nie wszędzie bywała pogodna, chociaż nią być powinna. U nas stanowi ona kult prawdy, ściśle z kultem piękna połączony, a ponadto z medytatywną troską o duszę, nigdy więc całkiem radości utracić nie może. Nasza gra szklanych paciorków natomiast łączy w sobie wszystkie trzy zasady: naukę, kult piękna i medytację, tak tedy prawdziwy gracz szklanych paciorków powinien być przepojony radością, niczym dojrzały owoc słodkim sokiem, przede wszystkim zaś winien mieć w sobie pogodę muzyki, która nie czym innym jest, jeno odwagą, pogodnym a uśmiechniętym kroczeniem i tańcem poprzez sam środek okropności

i płomieni świata, uroczystym składaniem ofiary. I o ten rodzaj pogody zabiegałem, odkąd jako uczeń i student jąłem pośród przeczuć ją pojmować, a nie wyrzeknę się jej nawet w nieszczęściu i cierpieniu.

Spać teraz pójdziemy, a jutro rano już wyjeżdżasz. Wróc niebawem, opowiedz mi więcej o sobie, a ja także ci opowiem i dowiesz się, że także i w Waldzell, i w życiu magistra istnieją wątpliwości, rozczarowania, a nawet rozpacz i opętanie. Ale teraz do snu muzyka ci w uszach dźwięczeć powinna. Spojrzenie w niebo pełne gwiazd i słuchanie muzyki przed udaniem się na spoczynek to znacznie lepsze niż te twoje środki nasenne.

Knecht usiadł i zagrał ostrożnie, bardzo cichutko jedną tylko część sonaty Purcella, ulubionego utworu ojca Jakuba. Niczym krople złotego światła padały owe dźwięki w ciszę, tak cichutko, że usłyszeć można było jeszcze pośród nich przyśpiew starego źródelka płynącego na podwórzu. Łagodnie i surowo, oszczędnie i słodko spotykały się i krzyżowały głosy wdzięcznej muzyki, odważnie a pogodnie kroczyły pięknym swym korowodem przez nicość czasu i przez przemijanie, rozszerzając na krótką chwilę swego trwania ów pokój i nocną godzinę, czyniąc je wielkimi jak świat, a gdy Józef Knecht pożegnał swego gościa, ten miał twarz zmienioną i rozjaśnioną i jednocześnie łyzy w oczach.

PRZYGOTOWANIA

Knechtowi udało się przełamać lody, żywy i obu ich orzeźwiający kontakt rozpoczął się pomiędzy nim i Designorim. Człowiek ów, od wielu już lat żyjący w pełnej rezygnacji melancholii, istotnie tęsknił do uleczenia, do jasności, do kastalskiej pogody, i to przywiodło go z powrotem do prowincji pedagogicznej. Pojawiał się teraz częściej, nawet bez zleceń czy spraw urzędowych, z zazdrosną nieufnością obserwowany przez Tegulariusa, a magister Knecht wiedział już niebawem o nim i jego życiu wszystko, co było mu potrzebne. Życie Designoriego nie było tak niezwykle ani też tak skomplikowane, jak to jął przypuszczać Knecht z pierwszych jego wynurzeń. Plinio przeżył już za młodu znane nam rozczarowanie i upokorzenie swojej entuzjastycznej a żądnej czynów natury, nie stał się pośrednikiem pomiędzy światem i Kastalią i bynajmniej ich nie pogodził, lecz przekształcił się w osamotnionego, posępnego dziwaka, nie doprowadzając też do syntezy świeckich i kastalskich części swego pochodzenia i charakteru. A przecież nie był po prostu rozbitkiem, lecz w porażkach i rezygnacji mimo wszystko zdobył własne oblicze i los szczególny. Wydaje się, że wychowanie kastalskie bynajmniej nie przyniosło mu korzyści, początkowo przynajmniej przysparzało mu jedynie konfliktów i rozczarowań, przyniosło głębokie, trudne

przy jego naturze do wytrzymania opuszczenie i osamotnienie. Wydawało się, jakby, raz już wkroczywszy na tę cierniową drogę samotnika, nie dostosowanego, musiał i on sam jeszcze dokonywać przeróżnych rzeczy, żeby się całkiem odseparować i powiększyć swoje trudności. Mianowicie już jako student jął przeciwstawiać się swojej rodzinie, a przede wszystkim ojcu. Ów zaś, mimo iż w polityce nie zaliczał się do właściwych przywódców, przez całe życie, wzorem wszystkich Designorich, był podporą konserwatywnej i wiernej rządowi polityki i partii, był wrogiem wszelkich nowinek, przeciwnikiem wszelkich roszczeń ludzi pokrzywdzonych do praw i udziałów, nieufnie odnosił się do pospolitaków bez rangi i nazwiska, dochowywał natomiast wierności starymu porządkowi i gotów był na ofiary dla wszystkiego, co wydawało mu się uświęcone i prawe. Tak tedy sam nie odczuwając potrzeb religijnych, był przyjacielem Kościoła, zajadle, dla zasady stawiał opór — mimo iż zmysłu sprawiedliwości, życzliwości ani chęci do niesienia pomocy i świadczenia dobrych uczynków wcale mu nie brakowało —• wszelkim dążeniom dzierżawców gruntu, którzy dążyli do poprawy swej sytuacji. Upór ów usprawiedliwiał z pozorną logiką hasłami i programem swojej partii, w rzeczywistości jednak nie powodował się przekonaniem ani poglądami, lecz ślepą wiernością dla swego stanu i tradycji swego rodu, gdyż pewna rycerskość i cześć rycerska, a także podkreślane lekceważenie dla wszystkiego, co współczesne, nowe i postępowe, znamienne były dla jego charakteru.

Człowieka tego syn rozczarował tedy, rozdrażnił i rozgorczył tym, że jako student zbliżył się do pewnej wyraźnie opozycyjnej, modernistycznej partii i do niej się przyłączył. Powstało bowiem wówczas młode, lewicowe skrzydło starej, burżuazyjno-liberalnej partii, pod przewodnictwem Veragutha, publicysty, posła i ludowego trybuna, osiągnącego wielkie a wspaniałe efekty, pełnego temperamentu, a chwilami także nieco samym sobą zachwyconego i wzruszonego, przyjaciela ludu i bohatera wolności, którego zabiegi o zjed-

nianie młodzieży akademickiej publicznymi wystąpieniami w miastach, gdzie znajdowały się wyższe uczelnie, nie pozostały bez skutków, a w gronie innych, pełnych entuzjazmu zwolenników i słuchaczy przywiodło doń także Plinia Designoriego. Młodzieniec ten, rozczarowany wyższą uczelnią, poszukujący oparcia i czegoś, co zdołałoby mu zastąpić nieistotną już dlań moralność Kastalii, nowego jakiegoś ideału i programu, dał się porwać wystąpieniom Veragutha, podziwiał jego entuzjazm i zapał bojowy, jego dowcip, oskarżycielską postawę, piękną postać i wymowę, przyłączył się więc do grupy studentów, utworzonej ze słuchaczy Veragutha i propagujących jego partię i jej cele. Gdy ojciec Plinia dowiedział się o tym, wyruszył niebawem do syna, po raz pierwszy zrobił mu w niesłychanym gniewie wściekłą awanturę, zarzucił mu spiski, zdradę ojca, rodziny i rodowych tradycji, rozkazując krótko natychmiast ie błędy naprawić i zerwać kontakt z Veraguthem i jego partią. Nie był to jednak odpowiedni sposób wpływania na młodziana, któremu własna postawa urosła nagle do rangi męczeństwa. Plinio oparł się piorunującemu ojcu, oświadczając, że nie po to przez dziesięć lat uczęszczał do szkoły elitarnej, a przez lat parę na uniwersytet, aby oto rezygnować z własnych poglądów i ocen, a swoje przekonania o państwie, gospodarce i sprawiedliwości kazać sobie wpajać i dyktować przez ograniczonych a zarozumiałych, na włościach swoich osiadłych baronów. Przydała mu się przy tym szkoła Veragutha, który, wzorem wielkich trybunów, nigdy ani wspominał o własnych lub stanowych interesach i niczego w świecie osiągnąć nie pragnął prócz czystej, absolutnej sprawiedliwości i humanitarności. Stary Designori wybuchnął gorzkim śmiechem i poprosił syna, aby przynajmniej studia ukończył, zanim wtrącać się zacznie do spraw męskich i wyobrażać sobie, iż na temat ludzkiego życia i sprawiedliwości wie cokolwiek więcej, niż czcigodne pokolenia szlacheckich rodów, których sam jest jakże zmarniałym już potomkiem i tak niegodnie oto je zdradza. Pokłócili się, zacietrzewili i każdon słowem coraz bardziej się obrażali, aż wreszcie stary, jak gdyby ujrzał nagle własną, gniewem

wykrzywioną twarz w lustrze, zamilkł, ochłonął w zawstydzeniu i odszedł, nic już nie mówiąc. Od tej chwili dawne, naiwne a ufne stosunki Plinia z domem rodzinnym nigdy już nie powróciły, nie tylko bowiem pozostał nadal wierny swej grupie i nowemu jej liberalizmowi, lecz jeszcze przed zakończeniem studiów stał się bezpośrednim uczniem, pomocnikiem i współpracownikiem Veragutha, kilka lat później zaś jego zięciem. Jeśli tedy już wychowanie w szkołach elitarnych czy przynajmniej trudności w powrotnym przywykaniu do świata i ojczystych stron naruszyły równowagę duszy Plinia i wypełniły całe jego życie nader absorbującymi problemami, to nowe kontakty sprawiły, iż znalazł się w krańcowo eksponowanej, zawilej i trudnej sytuacji. Zdobył przy tym niewątpliwie pewne wartości, mianowicie coś w rodzaju wiary, przekonania polityczne i przynależność partyjną, odpowiadające jego młodzieńczej potrzebie sprawiedliwości i postępu, a w osobie Veragutha nauczyciela, przewodnika i starszego przyjaciela, którego na razie bezkrytycznie podziwiał i kochał, który zaś, wydawało się, potizebuje go i ceni, zdobył także kierunek i cel, pracę i życiowe zadanie. Nie było to mało, lecz drogo przyszło za to zapłacić. Choć młody człowiek pogodził się z utratą swej naturalnej i odziedziczonej pozycji w ojcowskim domu i wśród przedstawicieli swego stanu, choć z męczeńską, fanatyczną niemal radością znieść umiał wygnanie z uprzywilejowanej kasty i jej wrogość, pozostawało sporo jeszcze spraw, z którymi nie potrafił się całkowicie uporać, a zwłaszcza nie umiał dać sobie rady z gryzącą go rmyślą, że zadał ból swej ukochanej matce, postawił ją w nader trudnej i przykłej sytuacji pomiędzy ojcem a sobą, a zapewne też przyczynił się wskutek tego do skrócenia jej życia. Zmarła wkrótce po jego ślubie; po jej śmierci Plinio wcale już prawie nie zaglądał do ojcowskiego domu, sam zaś dom, starą, rodową siedzibę, po śmierci ojca sprzedał.

Istnieją natury gotowe pozycję swoją w życiu, urząd jakiś, małżeństwo czy zawód, opłacone licznymi ofiarami, właśnie z racji tych ofiar tak pokochać i tak zżyć się z nią, że daje im szczęście i zadowala całkowicie. U Designoriego

rzecz miała się inaczej. Pozostał wprawdzie wierny swej partii i jej przywódcom, swej politycznej drodze i działalności, swemu małżeństwu i swym ideałom, lecz z biegiem czasu to wszystko stało się dlań równie problematyczne, jak stała się też z czasem cała jego własna istota. Polityczny i światopoglądowy entuzjazm jego młodości uspokoił się, walka o prawa i w ich imieniu dawała na dłuższą metę tak samo niewiele szczęścia, jak cierpienia i ofiary znoszone w imię własnego uporu, dołączyły się do tego doświadczenia i rozczarowania w życiu zawodowym; w końcu jął wątpić, czy doprawdy jedynie walka o prawdę i prawo uczyniła zeń zwolennika Veragutha, czy też — w połowie przynajmniej — nie dokonały tego sztuka oratorska i postawa trybuna ludowego tamtego, jego urok i zręczność w publicznych wystąpieniach, dźwięczne brzmienie głosu, wspaniały, męski śmiech oraz mądrość i piękność jego córki. Coraz bardziej wątpliwe wydawało mu się też, czy stary Designori ze swą wiernością dla swego stanu i surowością wobec dzierżawców naprawdę mniej szlachetne zajmował stanowisko, wątpliwe ponadto wydało mu się, czy w ogóle istnieje coś takiego, jak dobro i zło, prawo i bezprawie, czy w końcu głos własnego sumienia nie jest jedynym prawdziwym sędzią; jeśliby zaś tak było, to on, Pli-nio, właśnie nie miał racji, żył bowiem nie w szczęściu, spokoju i afirmacji, w pewności i zaufaniu, lecz w niepewności, zwątpieniu i wyrzutach sumienia. Małżeństwo jego nie było wprawdzie, najogólniej rzecz wyrażając, nieszczęśliwe, nie było też omyłką, lecz mimo to nie brakło w nim spięć, komplikacji i przeciwności: było może czymś najlepszym z tego, co miał, lecz spokoju, szczęścia i niewinności, uczucia czystego sumienia, którego mu tak bardzo brakowało, nie przyniosło mu, wymagało natomiast wiele wyrozumiałości i opanowania, kosztowało wiele wysiłku, a nawet ładny i utalentowany synek, mały Tito, stał się już wcześniej powodem walk i dyplomatycznych rozgrywek, zabiegów o jego uczucie i zazdrości, aż wreszcie, przez oboje rodziców nadmiernie kochane i rozpieszczane, dziecko coraz to silniej jęło skłaniać się ku matce i zaczęło stawać

po jej stronie. Był to ostatni i, wydaje się, najbardziej gorzki **ból** i największa strata w życiu Designoriego. Nie złamał go, zdołał go bowiem przewyciężyć i zachować właściwą postawę; była to postawa pełna godności i powagi, posępna i melancholijna.

Podczas gdy Knecht dowiadywał się tego wszystkiego od przyjaciela stopniowo, przy różnych wizytach i spotkaniach, sam także zaczął mu opowiadać wiele o własnych doświadczeniach i problemach, nigdy nie pozwalając tamtemu znaleźć się w sytuacji człowieka, który oto wypowiadał się, ale wraz ze zmianą pory i nastroju znowu tego żałuje i chciałby wszystko cofnąć, lecz podtrzymywał i umacniał zaufanie Plinia własną otwartością i oddaniem. Stopniowo tedy życie jego otwarło się przed przyjacielem, pozornie proste i prostolinijne, wzorowe i uregulowane ramami jasno skonstruowanej hierarchii, kariera pełna powodzenia i uznania, a mimo to życie raczej ciężkie, pełne ofiar i bardzo samotne, jeśli zaś nawet wiele jego spraw niezrozumiałych było dla człowieka z zewnątrz, główne nurty i zasadnicze nastroje mógł on przecież pojąć, niczego zaś tak dobrze nie rozumiał i nie wyczuwał, jak tęsknoty Knechta do młodości, do młodych, nie wypaczonych jeszcze nauką uczniów, do skromnej działalności, bez blasku i wiecznego przymusu reprezentacji, na przykład do pracy nauczyciela łaciny lub muzyki w jednej ze szkół niższych. Całkowicie zgodne ze stylem leczniczo-artystycznej metody wychowawczej Knechta było to, że nie tylko zdobył tego pacjenta swoją wielką otwartością, lecz podsunął mu także przekonanie, iż może mu się on stać pomocny i użyteczny i zachęcał go, by istotnie takim się okazał. W istocie, Designori zdołał pod niejednym względem przydać się magistrowi, mniej może w sprawie zasadniczej, a głównie w zaspokajaniu jego ciekawości i głodu wiedzy na temat niezliczonych szczegółów życia świeckiego.

Dlaczego Knecht podjął się niełatwego zadania nauczania swego pełnego melancholii przyjaciela z młodych lat ponownie śmiechu i uśmiechu i czy odgrywała przy tym też pewną rolę myśl, iż tamten może mu się przysłużyć i oka-

zać użytecznym — nie wiemy. Designori, który sam przede wszystkim wiedzieć o tym powinien, nie sądził tak. Opowiadał później:

— Gdy usiłowałem zdać sobie sprawę z tego, w jaki sposób przyjaciel mój, Knecht, jał wywierać swój wpływ na człowieka tak zrezygnowanego i zamkniętego w sobie jak ja, przekonywałem się coraz wyraźniej, że polegało to głównie na czarach, a także, przyznać muszę, na szelmostwach. Był to bowiem szelma znacznie większy, niż jego ludzie przeczuwali, pełen uciechy, pełen dowcipu, pełen sprytu i radości ze swych czarów, z udawania, z niespodzianego znikania i pojawiania się. Sądzę, że już w pierwszej chwili mojego pojawienia się w urzędzie kastalskim postanowił mnie schwytać, wpłynąć na mnie na swój sposób, czyli obudzić i w lepszy stan wprowadzić. A przynajmniej zaraz w tej pierwszej chwili starał się mnie zdobyć. Czemu to czynił, czemu się mną obarczał, powiedzieć nie potrafię. Mam wrażenie, że ludzie jego pokroju robią to przeważnie nieświadomie, jak gdyby odruchowo, czują, że stanęli oto wobec jakiegoś zadania, słyszą wezwanie kogoś, kto wpadł w biedę, i bez namysłu wezwania tego słuchają. Znalazł mnie nieufnym i nieśmiałym, bynajmniej nie gotowym paść mu w ramiona czy prosić go jeszcze o pomoc; znalazł mnie swego niegdyś tak otwartego i pełnego zaufania przyjaciela, rozczarowanym i zamkniętym w sobie, a ta przeszkoda, ta wcale nie błaha trudność chyba właśnie była dlań bodźcem. Nie ustępował przed moim oporem, wreszcie więc osiągnął to, czego chciał. A użył przy tym iście artystycznego chwytu, jakby kontakt nasz był wzajemny, jakby siła moja dorównywała jego siłom, wartość moja jego wartości, jakby w nim również, podobnie jak i we mnie była potrzeba czyjejs pomocy. Już podczas pierwszej dłuższej rozmowy dał mi do zrozumienia, że czekał na coś podobnego do mego przybycia, że nawet za tym tęsknił, stopniowo zaś wtajemniczył mnie w swój plan złożenia ur[^]du i [^]p[^]sz-ezenia prowincji, stałe przy tym zaznaczając, jak bardzo liczy przy tym na moją radę, moją pomoc i dyskrecję, ponieważ nie ma tam, na świecie, żadnego doświadczenia

i oprócz mnie ani jednego przyjaciela. Wyznaję, iż chętnie tego słuchałem i że w ten sposób szybko wzbudził we mnie pełne zaufanie, że to oddało mnie niejako w jego ifęce; wierzyłem mu absolutnie. Lecz później, z biegiem czasu, wydało mi się to wszystko znowu bardzo wątpliwe i nieprawdopodobne, nie umiałbym przy tym powiedzieć, czy i jak dalece naprawdę czegoś się po mnie spodziewał ani czy sposób, w jaki usiłował mnie usidlić, był niewinny czy przewrotny, naiwny czy podstępny, szczery czy sztuczny i wyrafinowany. Zanadto nade mną górował i zbyt wiele dobrego mi wyświadczył, abym ośmielił się w ogóle przystąpić do takich badań. W każdym razie dzisiaj uważam ową fikcję, jakoby sytuację własną uznał za podobną do mojej, jakoby też w równej mierze był uzależniony od mojej sympatii i gotowości pomocy, co ja od jego, jedynie za grzecznośćkę, ujmującą i miłą, którą mnie oplatał; nie umiałbym jedynie powiedzieć, jak dalece gra jego była świadoma, przemyślana i rozmyślna, jak dalece zaś, mimo wszystko, naiwna i naturalna. Magister Józef był bowiem wielkim artystą; z jednej strony trudno było mu się oprzeć pragnieniu wychowywania, leczenia i wspomagania, a także rozwijania, że środki temu wszystkiemu służące były mu już niemal obojętne, z drugiej przecie strony nie potrafił najmniejszej nawet rzeczy dokonać bez pełnego oddania się danej sprawie. Pewne jest jeno, że zajął się mną wówczas jak przyjaciel, a także jak wielki lekarz i przewodnik, że nie wypuścił mnie już, a w końcu na tyle rozbudził i uleczył, na ile to w ogóle było możliwe. Dziwne zaś, choć całkowicie z jego naturą zgodne, że podczas gdy udawał, iż potrzebna mu moja pomoc przy wymykaniu się z urzędu, podczas gdy ze spokojem, a często nawet z potakiwaniem wysłuchiwał mych często prymitywnych i naiwnych krytyk, wątpliwości, a nawet obelg pod adresem Kastalii, podczas gdy sam walczył, żeby się z owej Kastalii wyzwolić, w istocie i naprawdę z powrotem do niej mnie zwabił i przywiódł, ponownie nakłonił mnie do medytacji, z pomocą muzyki i rozmyślań kastalskich, pogody kastalskiej i kastalskiej dzielności wychował mnie i przekształcił, mnie, któ-

ry mimo mojej ku wam tęsknoty byłem tak akastalski i antykastalski, znowu wam wrócił, a nieszczęśliwą moją miłość ku wam szczęśliwą uczynił.

Tak rzekł Designori, a miał zapewne powody do swej pełnej podziwu wdzięczności. Chociaż bowiem niezbyt może trudno naszymi od dawna wypróbowanymi metodami wychować chłopców czy młodzieńców do zakonnego stylu życia, ale dla człowieka, który zbliżał się już do pięćdziesiątki, zadanie to było niesłychanie trudne, nawet jeśli ów człowiek miał wiele dobrej woli. Designori nie stał się, oczywiście, pełnym ani tym bardziej wzorowym Kastalczykiem. Lecz to, co sobie Knecht postanowił, udało mu się wykonać: zmiękczyć upór, usunąć gorzki ciężar smutku, zbliżyć znowu tę nadmiernie wrażliwą i onieśmiałą już duszę ku pogodzie i harmonii, a złe nawyki zastąpić dobrymi. Oczywiście, mistrz gry szklanych paciorków nie mógł sam zająć się mnóstwem drobiazgów, przy pracy takiej koniecznych; użył więc dla tego honorowego gościa całego aparatu i wszystkich sił zarówno Waldzell, jak i zakonu, a na czas pewien przydzielił nawet Pliniowi mistrza medytacji z Hirsland, siedziby kierownictwa zakonu, który pojechał wraz z nim do domu, aby sprawować stałą kontrolę nad jego ćwiczeniami. Lecz cały plan i kierunek pozostały w rękach Knechta.

W ósmym dopiero roku swego magistrowania skorzystał Knecht po raz pierwszy z tylekroć ponawianego zaproszenia przyjaciela i odwiedził go w jego domu, w stolicy. Z pozwoleniem kierownictwa zakonu, którego przełożony, Aleksander, bliski był jego sercu, poświęcił pewien świąteczny dzień na tę wizytę, po której wiele sobie obiecywał, a z którą mimo to od roku nieustannie zwlekał, po części dlatego, iż chciał się najpierw upewnić co do swego przyjaciela, po części zaś chyba pod wpływem naturalnego lęku, był to wszak bowiem pierwszy jego krok w ów świat zewnętrzny, skąd przyjaciel jego, Plinio, przyniósł tak obciążający smutek, a który miał dlań tak wiele ważnych tajemnic. Zastał nowoczesny dom, który jego przyjaciel nabył za starą siedzibę Designorich, prowadzony przez okaza-

łą, bardzo mądrą i pełną rezerwy panią, a z ową panią robił z kolei, co tylko chciał, jej ładny, nader hałaśliwy i raczej niegrzeczny synek, wokół którego wydawało się, wszystko się tutaj kręciło, a który od matki chyba nauczył się wyzywającej i zarozumiałej, nieco nawet upokarzającej postawy wobec ojca. Atmosfera tego domu była zresztą pełna chłodu i nieufności względem Kastalii, lecz ani matka, ani syn nie zdołali długo stawiać oporu osobowości magistrza, którego urząd był ponadto otoczony aurą tajemnicy, świętości i legendy. W każdym jednak razie ta pierwsza wizyta była niezmiernie sztywna i wymuszona. Knecht zachował postawę obserwatora, wyczekiwał i milczał; pani powitała go z chłodną, formalną uprzejmością i z widocznym wewnętrznym oporem, mniej więcej tak, jak przybywającego na kwatery wysokiego oficera wrogiej armii; synek Tito był najmniej ze wszystkich skrupowany, może był już zresztą niejednokrotnie obserwatorem lub rozbawionym świadkiem podobnych sytuacji, które umiał należycie wykorzystać. Ojciec jego, wydawało się, raczej odgrywał rolę pana domu, niż był nim w istocie. Pomiedzy nim a jego żoną panował ton łagodnej, ostrożnej, nieco bojaźliwej, jak gdyby na palcach stąpającej uprzejmości, którym zresztą kobieta posługiwała się znacznie swobodniej i naturalniej niż mąż. Wobec syna ojciec starał się przybierać ton koleżeński, co chłopiec albo wykorzystywał, albo w arogancki sposób odrzucał. Słowem, było to spotkanie z trudem podtrzymywane, pełne poczucia winy, przebiegało w dusznej atmosferze tłumionych popędów, pełne obaw przed zakłóceniem czy wybuchem, pełne spięć, styl zaś zachowania się i mówienia, jak i styl całego tego domu był ■ nieco zbyt starannie wypielęgnowany i wymuszony, tak jakby usiłowano wznieść tu możliwie silną i szczelną tamę ochronną przed ewentualnym włamaniem czy napaścią. I jeszcze jedną obserwację zapamiętał Knecht: znaczna część zdobytej na nowo pogody znikła znów z twarzy Plinia; on, który czy w Waldzell, czy w domu kierownictwa zakonu w Hirsland, zdawało się, całkiem niemal zatracił już cały swój smutek i przygnębienie, tu, we własnym domu, ponownie

znikał w cieniu, wzbudzając tym zarówno krytykę, jak i współczucie. Dom był piękny, świadczył o bogactwie i zbytku, każde pomieszczenie urządzone w nim zostało w zgodzie z jego rozmiarami, każde stanowiło miły akord dwu lub trzech barw, tu i ówdzie widać było cenne dzieła sztuki; Knecht rozglądał się z przyjemnością, lecz wszystkie te wspaniałości wydały mu się w końcu odrobinę zbyt piękne, zbyt doskonałe i obmyślane, nic tu nie powstawało, nie działo się, nie odnawiało, poczuł też, iż również piękno tych pokoi i przedmiotów istnieje jako zakłęcie, jako gest wywołujący ochronę, że owe pokoje, obrazy, wazony, kwiaty otaczają i asystują jakiemuś życiu tęskniącemu do piękna i harmonii, a nie mogącemu osiągnąć ich inaczej niż tylko poprzez pielęgnowanie tak zharmonizowanego otoczenia.

W okresie, który nastąpił po tej wizycie, z której wyniósł częściowo niezbyt miłe wrażenia, posłał Knecht swemu przyjacielowi nauczyciela medytacji do domu. Odkąd bowiem spędził cały dzień w tak osobliwie napiętej i naładowanej atmosferze tego domu, zdobył wiele wiadomości, jakich wcale nie pragnął, lecz sporo także takich, których mu brakowało i których ze względu na przyjaciela poszukiwał. A sprawa nie zakończyła się na tej pierwszej wizycie, powtórzona ona bowiem została jeszcze kilkakrotnie i doprowadziła do rozmów na temat wychowania małego Tita, w których i jego matka żywo uczestniczyła. Magister zdobył stopniowo zaufanie i sympatię tej mądrej i nieufnej kobiety. Gdy raz, półżartem, powiedział, że szkoda, iż synek jej nie został w porę wysłany na wychowanie do Kastalii, potraktowała tę uwagę poważnie, jak wyrzut, i zaczęła się bronić: bardzo przecież wątpliwe, czy Tito zostałby tam naprawdę przyjęty, zdolności wprowadzić mu wyścierca, lecz trudny jest do prowadzenia, a wtrącać się w taki sposób w życie chłopca wbrew jego własnej woli nigdy by sobie nie pozwoliła, wszak ta sama próba z jego ojcem wcale się niegdyś nie okazała szczęśliwa. Ponadto oboje z mężem ani myślą wykorzystywać dla swego syna przywilej starego rodu Designorich, skoro zerwali przecież stosunki z ojcem Plinia i całą tradycją tej starej rodziny. Na

koniec zaś dodała z bolesnym uśmiechem, że nawet w całym innym okolicznościach nie zdołałyby się rozstać ze swoim dzieckiem, prócz niego bowiem nie ma niczego, co by jej życiu nadawało wartość. O tej mimowiednej raczej, nie z rozmysłu wypowiedzianej uwadze rozmyślał Knecht bardzo wiele. A więc piękny dom, w którym wszystko było tak wytworne, wspaniałe i właściwie dobrane, mąż, polityka i partia, dziedzictwo uwielbianego niegdyś przez nią ojca, wszystko to razem nie wystarczało, aby życiu jej nadać wartość i sens, skoro tylko dziecko uczynić to mogło. I wołała raczej przystać na to, aby dziecko to wzrastało w złych, szkodliwych warunkach, które miało w owym domu i w jej małżeństwie, niż dla jego dobra z nim się rozstać. Zdumiewające wyznanie z ust tak mądrej, pozornie tak chłodnej intelektualistki. Knecht nie mógł jej pomóc tak bezpośrednio, jak jej mężowi, ani też na myśl mu nawet przyszło, by pomocy takiej próbować. Lecz wskutek nieczęstych jego wizyt, a także dzięki temu, iż Plinio znajdował się pod jego wpływem, doszło do pewnego umiarkowania i opamiętania w powikłanych a dziwacznych stosunkach, które panowały w owym domu. Dla samego magistra natomiast, podczas gdy za każdym razem zyskiwał w domu Designorich więcej autorytetu i wpływu, życie tych ludzi świeckich, im lepiej je poznawał, obfitować zaczynało w coraz to więcej zagadek. Lecz o wizytach jego w stolicy i o tym, co tam oglądał i przeżywał, wiemy bardzo mało, zadowolić tedy się musimy tym, co tu zostało zaznaczone. Do przełożonego kierownictwa zakonu w Hirsland Knecht nie zbliżył się dotąd bardziej, niż tego wymagały urzędowe funkcje. Widywał go chyba tylko podczas tych plenarnych posiedzeń instytucji pedagogicznej, które odbywały się w Hirsland, a wtedy przełożony wykonywał też przeważnie tylko formalne raczej i dekoratywne czynności urzędowe, witając i żegnając kolegów, podczas gdy główna praca kierowania całym posiedzeniem przypadła mówcy. Dotychczasowy przełożony, w okresie obejmowania urzędu przez Knechta człowiek już sędziwy, szanowany był wprawdzie niezmiernie przez magistra ludzi, nigdy jednak nie dawał

mu okazji do zmniejszenia dystansu, nie był dlań już niemal człowiekiem i osobą, lecz unosił się jak arcykapłan, jak symbol skupienia i godności, jak milczący szczyt i korona nad konstrukcją całego urzędu i całej hierarchii. Czcigodny ów mąż zmarł, a na jego miejsce wybrał zakon nowego przełożonego, Aleksandra. Aleksander był tym właśnie mistrzem medytacji, którego przed laty kierownictwo zakonu przydało naszemu Józefowi Knechtowi na pierwszy okres jego urzędowania, a od owych czasów magister podziwiał i z wielką wdzięcznością kochał owego wzorowego zakonika, lecz i tamten również zdołał w tym okresie tak dobrze poznać z bliska osobowość i sposób bycia mistrza gry szklanych paciorków, który co dzień był wówczas przedmiotem jego troski i niejako penitentem, że zdołał go pokochać. Ukrytą tę przyjaźń uświadomili sobie nagle obaj i urzeczywistnili od momentu, w którym Aleksander stał się kolegą Knechta i prezydentem urzędu, teraz bowiem znowu częściej się widywali i wspólną mieli do wykonania robotę. Brak było wprawdzie owej przyjaźni powszedniości, podobnie jak nie dostawało jej również wspólnych przeżyć młodzieńczych, była to bowiem kolegiatna sympatia pomiędzy osobami postawionymi wysoko, a przejawy jej ograniczały się do odrobiny cieplejszego powitania i pożegnania, szybszego i bezbłędnego wzajemnego zrozumienia, niekiedy zaś jeszcze do kilkuminutowej pogawędki podczas przerw w posiedzeniach.

Lecz choć zgodnie z konstytucją przełożony kierownictwa zakonu, zwany także mistrzem zakonnym, nie był wyżej postawiony od kolegów swoich, magistrów, tradycja wynosiła go ponad nich, gdyż według niej mistrz zakonny przewodniczyć musiał na wszelkich posiedzeniach najwyższego urzędu, im bardziej zaś medytatywny i mnisi stawał się zakon w ciągu ostatnich dziesiątków lat, tym bardziej rósł autorytet zakonnego mistrza — co prawda jedynie w granicach hierarchii i prowincji, nie na zewnątrz. W instytucji pedagogicznej przełożony zakonu i mistrz gry szklanych paciorków stawali się coraz bardziej i bardziej dwoma właściwymi przedstawicielami i reprezentantami ducha

kastalskiego; wobec prastarych, z prekastalskich epok przejętych dyscyplin, takich jak gramatyka, astronomia, matematyka czy muzyka, oparty na medytacji intelektualizm i gra szklanych paciorków stanowiły istotnie najbardziej dla Kastalii charakterystyczne wartości. Nie było tedy pozbawione znaczenia, że dwaj obecni reprezentanci i kierownicy tej społeczności żywili przyjaźń dla siebie, była ona bowiem dla nich obu potwierdzeniem i wywyższeniem ich godności, przydawała ciepła i zadowolenia ich życiu, stanowiła dodatkowy bodziec przy wypełnianiu ich zadań: wzorowej i personifikacji sakralnych dóbr i najtajniejszych sił Kastalii w tych dwóch osobach. Dla Knechta była owa przyjaźń jeszcze jedną więzią z Kastalią i przeciwwagą wzrastającej w nim tendencji do zrezygnowania z tego wszystkiego i wyrwania się w inną, nową sferę życia. Lecz mimo to tendencja owa niepowstrzymanie w nim rosła. Z chwilą, gdy w pełni ją sobie uświadomił — a nastąpiło to już chyba w j szóstym czy siódmym roku jego magistrowania — umocniła się ona jeszcze, on zaś, człowiek „przebudzenia”, bez j opoiów włączył ją w ramy świadomego swego życia i myśli. Wydaje się nam, iż stwierdzić możemy, że chyba od tej pory oswoił się już z myślą o nadchodzącym rozstaniu z urzędem swoim i prowincją — niekiedy w taki sposób, w jaki więzień wierzy, że wydostanie się na wolność, niekiedy znowu tak, jak człowiek ciężko chory pojmuje nieuchronność śmierci. W owej pierwszej rozmowie z odzyskanym towarzyszem młodych lat, Pliniem, po raz pierwszy też wyraził tę myśl w słowach, być może, iż po to tylko, aby pozyskać milczącego i zamkniętego w sobie przyjaciela, może jednak również po to, aby pierwszym tym zwierzeniem się innemu człowiekowi na temat nowego swego przebudzenia, nowego nastawienia do życia zdobyć współnika, po raz pierwszy skierować swoje myśli na zewnątrz, po raz pierwszy zastanowić się nad możliwościami ich urzeczywistnienia. W dalszych rozmowach z Designorim pragnienie Knechta, aby rzec się obecnej swojej egzystencji i odważyć się na skok w nową przyszłość, przybrało już postać decyzji. A tymczasem troskliwie rozszerzał jesz-

cze swą przyjaźń z Pliniem, przywiązanym teraz do niego - już nie tylko uczuciem podziwu, lecz w równej mierze i wdzięczności rekonwalescenta, uleczonego, gdyż przyjaźń ta była dlań pomostem ku życiu świeckiemu, ku licznym zagadkom, jakie krył w sobie świat zewnętrzny.

Dziwić nas nie powinno, że przyjacielowi swemu, Tegulariusowi, magister Knecht bardzo późno dopiero pozwolił wejrzeć w swą tajemnicę i w swój plan wyrwania się. Choć bowiem tak starannie a życzliwie kształtował każdą ze swych przyjaźni, umiał także samodzielnie i dyplomatycznie orientować się w nich i kierować nimi. Lecz oto wraz z ponownym pojawieniem się Plinia w życiu Knechta, Fritz dostrzegł w nim rywala, nowego, choć starego przecież przyjaciela, roszczonego sobie prawa do zainteresowań i serca magistra, ów zaś chyba nie był nawet zdziwiony, że Tegularius odpowiedział na to początkowo gwałtowną zazdrością; przez czas pewien nawet, czyli aż do momentu, w którym całkowicie zdołał pozyskać i odpowiednio ocenić Designoriego, magistrów mogła się postawa Tegulariusa, pełna urazy i rezerwy, wydać nawet pożądana. Na dłuższą metę jednak ważniejsze okazały się inne sprawy. W jaki sposób zdoła człowiekowi takiemu jak Tegularius wyjaśnić i usprawiedliwić swoje pragnienie spokojnego wycofania się z Waldzell i z godności magistra? Z chwilą bowiem, gdy Knecht opuści Waldzell, przyjaciel utraci go już na zawsze; nie ma co myśleć o tym, aby zabrać Tegulariusa na ową wąską, niebezpieczną ścieżkę, jaka się przed Knechtem otwierała, nawet gdyby wbrew oczekiwaniom przejawiał na to dość odwagi i ochoty. Magister czekał tedy, zastanawiał się i zwlekał niezmiernie długo, zanim wtajemniczył Fritza w swe zamiary. W końcu jednak zrobił to, gdy już decyzja odejścia od dawna w nim dojrzała. Zbyt niezgodne z jego naturą byłoby pozostawianie przyjaciela aż do końca w nieświadomości, układanie planów czy podejmowanie kroków, których skutki po części i na niego spadną, niejako za jego plecami. Może chciał nawet uczynić go, podobnie jak Plinia, nie tylko współnikiem tych planów, lecz nadto jeszcze prawdziwym lub tylko urojonym pomocnikiem

i współwykonawcą, ponieważ aktywność ułatwia uporanie się z każdą sytuacją.

Przyjaciel Knechta znał już, oczywiście, od dawna myśli jego o zagładzie zagrażającej Kastalii, o tyle tylko zresztą, o ile magister miał ochotę mu je przekazywać, on zaś pojąć je potrafił. I do tych myśli nawiązał Józef, zdecydowawszy się na zwierzenia wobec Tegulariusa. Wbrew jego oczekiwaniom, co wielką mu przyniosło ulgę, Fritz nie przyjął tych poufnych informacji tragicznie; przeciwnie: wieść o tym, iż magister złożyć zamierza swój urząd, otrząsnąć pył Kastalii ze swoich stóp i że wybiera życie zgodne z własnym planem, zdawała się podniecać go w przyjemny sposób, nawet po trochu bawić. Jako samotnik, wrogi wszelkim normom, Tegularius stał zawsze po stronie jednostki, a przeciw urzędowi; zawsze też z łatwością można go było nakłonić do dowcipnego zwalczania oficjalnych władz, do droczenia się z nimi, przechytrzenia ich. Taką też drogę wskazał Knechtowi, który oddychając z ulgą i śmiejąc się w głębi serca, zaakceptował te reakcje przyjaciela. Pozostawił go w mniemaniu, iż chodzi tu o coś w rodzaju figla, jaki wypłatać zamierza urzędowi i biurokratom, w figlu tym przyznając Tegulariusowi rolę współnika, pomocnika i współspiskowca. Należało teraz opracować podanie magistratu do urzędu, zawierające całą listę przyczyn, które go skłaniają do rezygnacji ze stanowiska — wraz z przyczyn tych wyjaśnieniem — a przygotowanie i zredagowanie tego podania miało być głównie zadaniem Tegulariusa. Przede wszystkim miał on sobie przyswoić historyczne poglądy Knechta na powstanie, rozwój oraz obecny stan Kastalii, z kolei zebrać szerszy jeszcze materiał historyczny, a na jego podstawie udokumentować życzenia i propozycje. Fritz nie żywił, zdaje się, niechęci do tego, iż musi zająć się dziedziną dotąd przezeń negowaną i pogardzaną, czyli historią. Knecht zaś co prędzej udzielił mu odpowiednich wskazówek. I tak oto Tegularius z zapałem i wytrwałością, która miała zawsze w samotnych a ubocznych zajęciach, pogrążył się w nowym swym zadaniu. Będąc zakamieniałym indywidualistą, znajdował w owych studiach osobliwą, cierpką

przyjemność, miały mu one bowiem dopomóc w udowodnieniu hierarchii i najwyższym jej dostojnikom przeróżnych ich wad i niedociągnięć, a co najmniej ich rozdrażnić.

Józef Knecht nie brał udziału w owej przyjemności, niezbyt też wierzył w powodzenie studiów, które podjął Tegularius. Postanowił wyzwolić się z więzów swej obecnej sytuacji, uwolnić się, aby wypełnić zadania, o których wiedział, iż nań czekają; jasno jednak pojmował, że ani nie zdoła przekonać urzędu racjonalnymi argumentami, ani też zrzucić choćby części tego, co sam musi wykonać, na Fritza. Bardzo mu jednak było na rękę, iż ten zajęty jest i uwagę ma odwróconą przez cały czas, który spędzić jeszcze musi w jego pobliżu. Gdy przy następnym spotkaniu opowiadał o tym Plinio Designoriemu, dorzucił:

— Przyjaciel Tegularius jest oto zajęty i dostał odszkodowanie za to, co, jak mu się wydawało, utracił z racji twego powrotu. Z zazdrości już się prawie wyleczył, a praca nad ową akcją dla mnie, a przeciw moim kolegom dobrze mu robi, tak, iż jest niemal szczęśliwy. Ale nie sądz, Plinio, że obiecuję sobie cokolwiek po tej jego akcji prócz tego tylko, że dobrze wpływa ona na Fritza samego. Absolutnie nieprawdopodobne jest, aby najwyższy nasz urząd zaakceptował planowane przeze mnie podanie; jest to nawet niemożliwe; odpowie mi w najlepszym wypadku jedynie łagodnie karcącym napomnieniem. Pomiędzy zamiarami moimi a ich urzeczywistnieniem stoi podstawowe prawo całej naszej hierarchii, zresztą urząd, który zwalnia swego mistrza gry szklanych paciorków, choćby nawet na podstawie jak najbardziej przekonującego podania, i przydziela mu jakąś pracę poza granicami Kastalii, wcale by mi się nie podobał. Ponadto kierownikiem zakonu jest mistrz Aleksander, człowiek, którego ugiąć niepodobna. Nie, nie, tę walkę sam już będę musiał stoczyć. Ale pozwólmy najpierw Tegulariusowi ćwiczyć się w bystrości! Nic przez to, prócz odrobiny czasu, nie stracimy, ale nieco czasu potrzebuję przecież, aby wszystko zostawić tu tak uporządkowane, by odejście moje żadnej szkody Waldzell nie wyrządziło. Musisz mi jednak tymczasem poszukać już tam, u was, ja-

kiegoś mieszkania i pracy, choćby jak najskromniejszych, w ostateczności zadowolę się nawet miejscem nuczyciela muzyki, chodzi tylko o odskocznnię, o początek.

Designori stwierdził, że znajdują się takie możliwości, a gdy chwila właściwa nadejdzie, dom jego otwarty będzie dla przyjaciela na czas nieograniczony. Lecz Knechta propozycja ta bynajmniej nie ucieszyła.

— Nie — powiedział. — Na gościa się nie nadaję. Muszę mieć pracę. A ponadto pobyt w twoim domu, choć taki on piękny, gdyby się ponad kilka dni przeciągnął, przysporzył by tam jeszcze tylko trudności i spięć. Wiele mam do ciebie zaufania, a żona twoja też życzliwie już przywykła do mych odwiedzin, lecz wszystko to nabrałoby natychmiast innego wyrazu, gdybym okazał się już nie gościem i magi strem ludzi, lecz zbiegiem i rezydentem.

— Zbyt chyba drobiazgowo do tego podchodzisz — odparł Plinio. — Z wszelką pewnością spodziewać się możesz, iż z chwilą, gdy stąd wreszcie się wyzwolisz i zamieszkas w stolicy, bardzo szybko zajmiesz odpowiednie stanowisko, przynajmniej profesora wyższej uczelni. Ale wiesz przecież, że wszystkie takie sprawy wymagają czasu, ja zaś dopiero wtedy zdołam coś dla ciebie zrobić, gdy dokona się już twoje stąd odejście.

— Oczywiście — zgodził się magister. — Lecz do tej chwili decyzja moja musi pozostać tajemnicą. Nie mogę od dać się do dyspozycji waszych władz, zanim tutejsza moja władza nie zostanie powiadomiona i nie wyda decyzji; to zrozumiałe. Lecz na razie wcale nie poszukuję urzędowego stanowiska. Potrzeby moje są małe, mniejsze nawet, niż sobie zapewne potrafisz wyobrazić. Potrzebny mi jakiś po koik i chleb powszedni, lecz przede wszystkim praca i ja kieś zadanie nauczycielskie, wychowawcze, potrzebny mi jeden uczeń lub nawet kilku, przy których żyć będę i których będę wychowywać; o wyższej zaś uczelni myślę do prawdy na ostatku, równie bowiem chętnie — nie, znacznie chętniej — byłbym nauczycielem domowym jakiegoś chłopca czy czymś w tym rodzaju. To bowiem, czego szukam i potrzebuję, to proste, naturalne zadanie: szukam człowie-

ka, który mnie potrzebuje. A powołanie na wyższą uczelnię od samego początku włączyłoby mnie już znowu w tradycyjny, uświęcony i zmechanizowany aparat urzędniczy, a ja pragnę czegoś wręcz przeciwnego.

Designori wyraził wreszcie z pewnym ociąganiem prośbę, z którą dość długo już się nosił:

— Miałbym dla ciebie pewną propozycję — rzekł — a proszę cię, żebyś przynajmniej jej wysłuchał i życzliwie ją rozważył. Może ją zdołasz przyjąć, wówczas i mnie wyświadcysz przysługę. Od pierwszego dnia, w którym byłem tu twoim gościem, dopomogłeś mi już w wielu sprawach. Po znałeś również moje życie i mój dom i wiesz, jak tam wszystko wygląda. Nie wygląda dobrze, lecz przecież lepiej niż dawniej. Ale najtrudniejsze są moje stosunki z synem. Jest rozpieszczony, arogancki, stworzył sobie uprzywilejowaną a chronioną pozycję w domu, co zresztą zalecano mu i ułatwiano jeszcze w latach, gdy jako dziecko był otaczany względami zarówno przez matkę, jak i przeze mnie. Potem zdecydowanie opowiedział się po stronie matki, mnie zaś stopniowo pozbawiono wszelkich skutecznych metod pedagogicznych. Pogodziłem się z tym., tak samo zresztą jak z całym moim, nieco zbakierowanym życiem. Zrezygnowałem. Lecz teraz, gdy dzięki twojej pomocy po trochu już ozdrowiałem, nabrałem też na nowo nadziei. Widzisz, do czego zmierzam: wiele obiecywałem sobie po tym, gdyby Tito, który i tak zresztą ma trudności w szkole, dostał na czas pewien wychowawcę i nauczyciela. Egoistyczna to prośba, wiem o tym, nie wiem natomiast, czy zadanie takie wydałoby ci się pociągające. Ale ośmieliłeś mnie do głośnego wypowiedzenia tej propozycji.

Knecht uśmiechnął się i podał mu rękę.

— Dziękuję ci, Plinio. Żadna inna propozycja nie zdołałaby bardziej mnie ucieszyć. Brak jeszcze tylko zgody twojej żony. A ponadto musielibyście oboje zdecydować się na to, aby początkowo całkowicie pozostawić mi waszego syna. Aby bowiem w pełni nad nim zapanować, trzeba wykluczyć codzienne wpływy domu rodzicielskiego. Musisz po rozmawiać na ten temat z żoną i doprowadzić do tego, by

zaakceptowała ten warunek. Lecz podejź do sprawy ostrożnie, nie spieszcie się!

— Sądysz — zapytał Designori — że zdołasz coś zrobić z Titem?

— O, tak, czemuż by nie? Dobrej jest rasy i dobrych właściwości po obojgu rodzicach, brak tu jedynie harmonii wszystkich sił. Zadaniem moim, które chętnie podejmę, będzie obudzenie w nim pragnienia takiej harmonii, raczej wzmocnienia, a w końcu uświadomienia mu owych pragnień.

Tak tedy Józef Knecht wiedział, że obaj jego przyjaciele, choć każdy z nich w całkiem inny sposób, zajęci byli jego sprawą. Podczas gdy Designori omawiał w stolicy z żoną nowe swoje plany i usiłował namówić ją na ich przyjęcie, Tegularius siedział w Waldzell w jednej z roboczych cel biblioteki, gromadząc według wskazówek Knechta materiały do planowanego pisma. Magister zwabił go przedkładając mu w owej bibliotece lekturą na nie byle jaką przynętę: Fritz Tegularius, gardzący historią, wgrzyzał się w dzieje wojowniczej epoki i wręcz się w nich zakochał. Będąc ponadto niezmiernie pracowitym, tam, gdzie się dobrze bawił, gromadził ze wzrastającym zapalem charakterystyczne dla owej epoki anegdoty z mrocznych początków istnienia zakonu, a nazbierał ich tak wiele, iż przyjaciel jego, gdy mu po wielu miesiącach swą pracę przedłożył, zdołał przejrzeć za ledwie dziesiątą ich część.

W okresie tym Knecht odwiedził kilkakrotnie stolicę. Pani Designori nabierała doń coraz większego zaufania, zwykle tak zresztą bywa, że człowiek zdrowy i pełen harmonii łatwo znajduje dostęp do ludzi obciążonych i skomplikowanych, niebawem więc dała się zjednać dla mężowskiego planu. Na temat Tita wiemy, że podczas jednej z wizyt magistra powiadomił go nieco beczelnie, iż nie życzy sobie, by zwracał się do niego po imieniu, ponieważ wszyscy, nawet nauczyciel w szkole, mówią doń „proszę pana”. Knecht uprzejmie podziękował mu za uwagę i przeprosił, opowiadając, iż w jego prowincji nauczyciele mówią „ty” do wszystkich uczniów i studentów, nawet do takich, któ-

-rzy od dawna już są dorośli. A po obiedzie poprosił chłopca aby przeszedł się z nim chwilkę i pokazał mu miasto. Jj_a spacerze zaprowadził go Tito także na piękną ulicę staro-
rego miasta, gdzie w zwartym niemal szeregu wznosiły się wielowiekowe domy wytwornych i bogatych rodzin patrycjuszowskich. Przed jednym z tych solidnych, wąskich a wysokich budynków Tito przystanął, wskazał na tarczę, umieszczoną nad portalem, i zapytał:

— Zna pan to? — A gdy Knecht zaprzeczył, dodał: — To herb Designorich, a to stara, rodzinna nasza siedziba, przez trzysta lat należała do rodu. A my siedzimy w tym nijakim, pospolitym domostwie tylko dlatego, że mój ojciec po śmierci dziadka wpadł nagle na pomysł sprzedania tego pięknego, czcigodnego, rodzinnego domu i zbudowania sobie modnej siedziby, która zresztą teraz nie jest już wcale taka modna. Potrafi pan pojąć coś podobnego?

— A panu żal tego starego domu? — życzliwie zapytał Knecht, gdy zaś Tito namiętnie potwierdził, powtarzając swoje pytanie: „Potrafi pan pojąć coś podobnego”, Knecht dorzucił: — Pojąć można wszystko, gdy się rzecz należycie oświetli. Stary dom to piękna sprawa, gdyby zaś ów nowy stał obok, a on mógł wybierać, zapewne wybrałby stary. Tak, stare domy piękne są i czcigodne, zwłaszcza piękne tak, jak ten tutaj. Lecz samemu zbudować dom jest też rzeczą piękną, jeśli zaś młody ambitny człowiek ma do wyboru: albo wygodnie i ulegle zasiąść w gotowym już gnieździe, albo zbudować sobie całkiem nowe, pojąć można do skonała, iż gotów także wybrać budowanie. Znając zaś pańskiego ojca, a znałem go, gdy jeszcze był w pana wieku, namiętny i gwałtowny, wiem, że sprzedanie i utrata tego domu nikogo chyba bardziej nie zabolęła niż jego. Wpadł w wielki konflikt ze swoim ojcem i całą rodziną i wydaje się, że wychowanie go u nas, w Kastalii, nie było dlań zupełnie odpowiednie, w każdym zaś razie nie zdołało ustrzec S^o przed jakąś gwałtownością i porywcznością. I jednym z tych nieprzemyślanych należycie czynów była chyba sprzedaż tego domu. Podeptał tym tradycje rodzinne, wole całą przeszłość i zależność, chciał im wypowiedzieć

wojnę, co wydawałoby mi się całkiem zrozumiałe. Lecz człowiek bywa dziwny, a zatem i całkiem inny pomysł nie wydałby mi się bynajmniej nieprawdopodobny, mianowicie myśl, że sprzedawca tego starego domu chciał sprzedaż tą zadać ból nie tylko rodzinie, lecz przede wszystkim samemu sobie. Rodzina go rozczarowała, wysłała do naszych elitarnych szkół, kazała go tam na nasz sposób wychować, potem zaś, po powrocie, jęła stawiać mu żądania, zadania i wymagania, którym nie był w stanie sprostać. Lecz dalej nie chciałbym już się posuwać w psychologicznym wyjaśnianiu tej sprawy. W każdym razie historia sprzedaży tego domu pokazuje, jak wielka jest siła konfliktów pomiędzy ojcami i synami, owa nienawiść, owa w nienawiść zmieniająca się miłość. U natur żywych a zdolnych konflikt ten pojawia się niemal zawsze, historia całego świata pełna jest jego przykładów. A ponadto mogę sobie z łatwością wyobrazić jakiegoś późniejszego młodego Designoriego, który za cel swego życia uzna odzyskanie za wszelką cenę owego rodzinnego domu.

— No — zawołał Tito — a nie przyznałby mu pan gdyby tak zrobił?

— ■ Nie chciałbym mianować się jego sędzią, mój panie. Jeśli jakiś późniejszy Designori uświadomi sobie wielkość swojego rodu, a także obowiązków, które z tego wynikają, jeśli siłami swymi służyć będzie miastu, państwu, narodowi, prawu i dobroczynności, a taki się przy tym stanie mocny, że prócz tego zdoła również jeszcze ów dom odkupić, okaże się on człowiekiem godnym szacunku i zdejmie przed nim kapelusz. Lecz jeśli żadnego innego celu w życiu mieć on nie będzie prócz właśnie odkupienia owego domu, to będzie po prostu opętancem i zakochanym, człowiekiem, którym władają namiętności, prawdopodobnie też takim, który nigdy nie pojął znaczenia młodzieńczych konfliktów z ojcem i obnosił się z nimi przez całe życie, także jako dorosły już mężczyzna. Możemy go zrozumieć, a nawet pożałować, ale sławy domowi swemu nie przysporzy. Piękne to, gdy jakaś rodzina czuje się związana miłością ze starym domem, jednak odmłodzenie i wielkość za-

wsze stąd ku niej przychodzą, że synowie jej służą celom więk^{sz}y^m nie tylko rodzinnym.

Tito, choć podczas tego spaceru uważnie i raczej chętnie wysłuchiwał słów gościa swojego ojca, przy innych okazjach okazywał mu znowu nieufność i upór, wyczuwając w owym człowieku, którego oboje jego. zazwyczaj tak niezgodnych, rodziców zdawało się tak bardzo cenić, jakąś siłę, która mogłaby okazać się niebezpieczna dla własnej jego, rozkapryszonej niezależności, i był niekiedy wyraźnie dla niego niegrzeczny, choć później za każdym razem żałował tego, usiłując winę swoją naprawić, czuł bowiem sam do siebie urazę, że tak się zbłądził względem pełnej pogody uprzejmości, która niczym połyskliwy pancerz otaczała magistra. W głębi swego niedoświadczonego, a cokolwiek też zdziaczego serca czuł także, iż jest to właśnie człowiek, którego można by pokochać, a nawet czcić.

Odczuł to zwłaszcza w ciągu pewnej półgodziny, gdy zastał Knechta samego, czekającego na jego ojca, któremu przeszkodziły jakieś sprawy. Wchodząc do pokoju ujrzał Tito, że gość siedzi nieruchomo, z na pół przymkniętymi oczami, w posągowej postawie, i że promieniuje w tej swojej medytacji spokojem i ciszą, tak iż chłopiec mimo woli przyciszył krok i na palcach chciał już wymknąć się za drzwi. Lecz oto siedzący otworzył oczy, przywitał go życzliwie, wstał i wskazując na stojący w pokoju fortepian za-Pytał go, czy lubi muzykę.

Tak, odparł Tito, wprawdzie od dłuższego już czasu nie bierze lekcji muzyki, ani też już nie ćwiczy, bo w szkole nienadzwyczajnie nie mu się wiedzie i belfry srodze mu tam dokuczają, lecz słuchanie muzyki zawsze sprawiało mu Przyjemność. Knecht otworzył fortepian, usiadł przy nim, stwierdził, że instrument jest nastrojony, i zagrał pewne Andante Scarlattiego, które w tych dniach wybrał właśnie jako podstawę do ćwiczenia gry szklanych paciorków. Potem przerwał, a ponieważ widział, że chłopiec słucha uważnie i z ciekawością, jął w krótkich słowach wyjaśniać mu, °o się mniej więcej w takim ćwiczeniu gry szklanych paciorków dzieje, rozłożył ową muzykę na części, ukazał kil-

ka rodzajów analizy, jakie do niej można zastosować, wskazał również drogi, wiodące do przenoszenia muzyki na hieroglify gry. Tito po raz pierwszy ujrzał mistrza nie w roli gościa, nie jako słynnego uczonego, przeciw któremu buntował się, gdyż go wielkością swą przytłaczał, lecz zobaczył go podczas pracy: człowieka, który wyuczył się pewnej nader subtelnej i ścisłej sztuki i po mistrzowsku ją teraz wykonywał, sztuki, której sens Tito zaledwie mógł wyczuć, lecz która, wydawało mu się, wymaga pełnego i całkowitego oddania. W swej osobistej godności chłopak poczuł Łię mile pogłaskany, oto uważa go się za dorosłego i wystarczająco rozzębionego, aby budzić w nim zainteresowanie dla tak zawiłych problemów. Przycichł i w ciągu owej pół godziny zaczął przeczuwać, z jakich to źródeł bierze się pogoda i niezmacony spokój tego osobliwego człowieka.

Urzędowa działalność Knechta była w tym ostatnim okresie niemal równie intensywna jak niegdyś, w trudnym okresie obejmowania przezeń urzędu. Zależało mu na pozostawieniu wszystkich dzieł swoich obowiązków we wzorowym porządku. Cel ów osiągnął zresztą, mimo iż chybił jednocześnie innego celu, mianowicie ukazania własnej osoby jako zbędnej lub łatwo dającej się zastąpić. Na najwyższych naszych urzędach zawsze niemal tak jest: magister unosi się prawie jak szczytowa jakaś ozdoba, jak samo już tylko *insignium*, nad arcyskomplikowaną i różnorodną dziedziną swojej władzy; szybko przychodzi i odchodzi, lekki, niczym jakiś życzliwy duch, tu powie słówko, tam potakującą skinię głową, ruchem zaledwie zaznaczy jakieś zlecenie i już go nie ma, już jest przy następnym, gra na aparacie urzędowym jak muzykant na swym instrumencie, wydaje się, że wcale wysilać, a prawie też i namyślać się przy tym nie potrzebuje i że wszystko biegnie tak, jak biec powinno. Lecz każdy urzędnik w aparacie wie, co to znaczy, gdy magister wyjedzie albo zachoruje, co oznacza konieczność zastąpienia go choćby przez parę godzin czy przez jeden tylko dzień! I Knecht, raz jeszcze badawczo przebiegając całe to małe państewko, Vicus Lusorum zwane, szczególnie starając się przy tym, by niepostrzeżenie przygotować

swego „cienia” do konieczności całkowitego, prawdziwego ^{gas} tąpienia go już niebawem, mógł jednocześnie stwierdzić, jak bardzo oderwało się i oddaliło od tego wszystkiego Jego serce, jak przestała już uszczęśliwiać go i zajmować świetność tego w najdrobniejszych szczegółach należycie przemyślanego świątka. Widział Waldzell i magisterski swój urząd niemal już jako coś, co za sobą pozostawił, jako krąg, który już przeszedł, który dał mu i nauczył go wiele, lecz żadnych nowych sił ani czynów wykrzesać już z niego nie zdoła. Coraz jaśniej jął też pojmować w owym okresie stopniowego odrywania się i pożegnania, że właściwa przyczyna jego alienacji i pragnienia odejścia polega chyba nie na świadomości niebezpieczeństw zagrażających Kastalii i nie na trosce o jej przyszłość, lecz że istnieje po prostu jakaś pusta, nie wykorzystana dotąd część jego samego, jego serca, jego duszy, domagająca się oto swych praw i wypełnienia.

Raz jeszcze przestudiował dokładnie w tym czasie reguły i statuty zakonu i przekonał się, że ucieczka jego z prowincji nie jest w istocie tak trudna, tak niemal niemożliwa do osiągnięcia, jak początkowo sobie wyobrażał. Wolno mu było z racji skrupułów własnego sumienia złożyć swój urząd, a także opuścić zakon, albowiem śluby zakonne nie były dożywotnie, chociaż bardzo rzadko ktoś z członków zakonu, nigdy zaś dotychczas jakikolwiek przedstawiciel najwyższego urzędu ze swobody tej korzystał. Nie, tym co sprawiało, iż krok ów tak mu się wydawał trudny, była nie surowość prawa, lecz sam duch hierarchii, lojalność i wierność przysiędze, które żywił we własnym sercu. Oczywiście, nie miał zamiaru wymykać się po kryjomu, przygotowywał skomplikowane podanie, aby otrzymać wolność, a szkolarz Tegularius aż palce sobie ścierał przy spisywaniu materiałów na nie przeznaczonych. Lecz sam Knecht w powodzenie takiego podania nie wierzył. Zaczną go ugłaskiwać, napominać, zaofiarują mu może urlop wypoczynkowy w Mariafels, gdzie zmarł niedawno pater Jakobus, albo nawet w Rzymie. Ale go nie wypuszczą — to z każdą chwilą wydawało mu się Pewniejsze. Bo wypuszczenie go byłoby sprzeczne z całą tra-

dycją zakonu. I gdyby urząd na to przystał, stwierdziłby jednocześnie, iż roszczenia Knechta są usprawiedliwione, przyznałby, iż życie w Kastalii. a nadto jeszcze na tak wysokim stanowisku, może w pewnych warunkach nie wystai - czać człowiekowi, oznaczając dlań rezygnację i niewolę.

rs bliżamy się do końca naszej opowieści. Jak już wspomnieliśmy, wiedza nasza o tym końcu jest niepełna i ma raczej charakter legendy niż historycznej relacji. Musimy się tym zadowolić. Tym przyjemniej nam jednak, że ów przedostatni rozdział życiorysu Knechta wypełnić możemy autentycznym dokumentem, mianowicie owym obszernym pismem, w którym sam mistrz gry szklanych paciorków przedkłada urzędowi przyczyny swojej decyzji, prosząc go o zwolnienie ze stanowiska.

Należy przy tym wprawdzie powiedzieć, iż Józef Knecht nie tylko, jak to od dawna już wiemy, nie wierzył w powodzenie tego z tak wielkim trudem przygotowywanego pisma, lecz nawet, gdy wreszcie odpowiednia chwila nadeszła, najchętniej by wcale już nie pisał ani nie wręczał swego „podania”. Działo się z nim to, co ze wszystkimi ludźmi, którzy sprawują naturalną, początkowo też nie uświadamianą sobie władzę nad innymi: władzy takiej nie sprawuje się bez skutków dla samego władcy, a choć magister cieszył się z pozyskania dla swych zamiarów przyjaciela swojego, Tegalariusa, w ten właśnie sposób, że uczynił go pomocnikiem swoim i współpracownikiem, fakty obecnie silniejsze się stały od jego własnych pragnień i myśli. Pozyskał czy też skusił Fritza do pracy, w której wartość już sam jej inicjator

wierzyć przestał; gdy wreszcie jednak przyjaciel mu -i przyniósł, odwołać jej ani też odłożyć i nie wykorzystać j i; nie mógł, nie raniąc przy tym i nie rozczarowując przyjacielą, któremu dzięki tej pracy chciał ułatwić rozstanie. W - daje się nam, że Knechtowi odpowiadałaby raczej w ty czasie możliwość złożenia po prostu swego urzędu i oznajmienia, iż występuje z zakonu, a nie okrężna, w oczach jego j niemal komedię przypominająca droga owego „podania”. Ze względu na przyjaciela raz jeszcze postarał się jedni '- zapanować nad własną niecierpliwością.

Ciekawe byłoby zapewne zapoznać się z rękopisem pr co witego Tegulariusa. Składał się on głównie z materiałów historycznych, zebranych w celach dowodowych, a przynajmniej ilustracyjnych, nie mylimy się chyba jednak, przypuszczając, iż zawierał też niejedno celnie a dowcipnie sformułowane słówko krytyki pod adresem hierarchii, a to kij świata i jego dziejów. Lecz gdyby nawet ów, w ciągu wielu miesięcy niezwykle pilnej pracy sporządzony manuskrypt miał, co zresztą całkiem możliwe, dotychczas istnieć, a d^ nas mógł być dostępny, musielibyśmy zrezygnować z przekazania jego treści, ponieważ książka nasza nie jest miejscem odpowiednim dla tego rodzaju publikacji.

Dla nas ważne jest jedynie pytanie, w jaki sposób magster ludzi zużytkował pracę swego przyjaciela. Gdy mu ją ó ". uroczyście wręczył, Knecht przyjął wszystko ze słowatr' serdecznej podziękii, a także uznania, wiedząc zaś, że spraw/ tym przyjacielowi radość, poprosił go nadto, aby mu Lę piv - cę przeczytał. I oto przez wiele dni siadywał teraz Tegul~rius po pół godziny w ogródku magistra, było bowiem la" z satysfakcją odczytując mu liczne kartki, z jakich skład się ów manuskrypt, a czytanie to było dość często przerywane głośnym śmiechem obu. Dobrze to były dni dla Tegulariusa. Lecz Knecht potem odchodził i, wykorzystując niekfsre fragmenty rękopisu przyjaciela, sporządzał swoje pisrr do urzędu, które przekazujemy w brzmieniu dosłownych a do którego wszelkie komentarze są już zbędne.

Przeróżne powody skłoniły mnie, magistra ludi, do przekazania tej szczególnej prośby urzędowi w tym osobnym i niejako bardziej prywatnym piśmie, zamiast włączyć ją w solenne me sprawozdanie. Pismo to dołączam wprawdzie do kolejnego oficjalnego sprawozdania, oczekuję też oficjalnego załatwienia go, lecz uważam je raczej za coś w rodzaju koleżeńskiego okólnika do wszystkich współmagistrów.

Do obowiązków magistra należy powiadamianie urzędu o przeszkodach lub niebezpieczeństwach, uniemożliwiających mu zgodne z regułą wypełnianie jego funkcji. Funkcjom moim zaś zagraża (lub tak mi się wydaje), choć staram się stanowisku swemu służyć ze wszystkich mych sił, niebezpieczeństwo, ukryte w mej własnej osobie, choć nie wyłącznie z niej tylko się wywodzące. Sam przynajmniej uważam moralne zagrożenie, czyli osłabienie osobistej przydatności mojej, jako mistrza gry szklanych paciorków, jednocześnie za obiektywne i poza osobą moją istniejące niebezpieczeństwo. Krótko mówiąc: wątpię jałem w me zdolności do należytego sprawowania mego stanowiska, ponieważ waż sam mój urząd i grę szklanych paciorków, którą uprawiać winienem, uznać muszę za zagrożone. Zamiarem ni niejszego pisma jest ukazanie urzędowi, iż wspomniane niebezpieczeństwo istnieje i że właśnie to niebezpieczeństwo z chwilą gdy raz już je rozeznałem, usilnie wzywa mnie i powołuje na miejsce inne niż to, na którym oto stoję. Niechaj mi wolno będzie jaśniej ową sytuację w przypowieści wyrazić: oto gdzieś na podstryszku siedzi człek, nad zawiłą, uczoną pracą pochylony, a spostrzega, iż na dole, w domu owym, pożar wybuchnąć musiał. Człek taki nie będzie się zastanawiać, czy jego to sprawa, czy nie powinien raczej ta belek swoich na czysto przepisywać, jeno zbiegnie po schodach i postara się dom ów uratować. Tak tedy i ja na jednym z najwyższych pięter kastalskiej naszej budowli siedzę. Śfą szklanych paciorków zajęty, delikatnymi a wrażliwymi instrumentami przy pracy mej się posługując, lecz oto nos własny ostrzega mnie, iż gdzieś tam, na dole

pożar wybuchł, że cała budowla nasza zagrożona jest i znajduje się w niebezpieczeństwie i że nie analizowaniem muzyki ani ustalaniem rozmaitych reguł gry zajmować mam się teraz, lecz pędzić tam, skąd dym bucha.

Instytucja Kastalii, zakon nasz, nauki nasze i szkoły, wraz z grą szklanych paciorków i wszystkim innym, wydają się większości członków zakonnej naszej braci równie oczywiste, jak każdemu człowiekowi powietrze, którym oddycha, i ziemia, na której stoi. Mało kto dopuszcza myśli, iż tego powietrza i ziemi tej mogłoby nie być, iż pewnego dnia powietrza nam zabraknąć by mogło lub ziemia mogłaby zniknąć spod nóg naszych. Żyjemy szczęśliwie i pod należytą opieką w małym, czystym a pogodnym światku, większość z nas zaś, jakkolwiek dziwne się to wydawać może, żyje także fikcją, iż świat ów istniał zawsze i na nim zostaliśmy zrodzeni. Sam przeżyłem młodsze moje lata w tym, jakże miłym, ułudzeniu, choć przecie znałem też jednocześnie rzeczywistość, wiedząc, że nie urodziłem się w Kastalii, tylko przysłany tu zostałem przez instytucje i tu wychowany, oraz że Kastalia, zakon, urząd, szkoły, archiwa i gra szklanych paciorków bynajmniej nie zawsze istniały ani też są dziełem natury, lecz stanowią późny, szlachetny, a na równi z.e wszystkim, co stworzone, przemijaniu podległy twór ludzkiej woli. Wszystko to wiedziałem, lecz nie było to dla mnie rzeczywiste, po prostu nie myślałem o tym, pomijałem to, a wiem, iż więcej niż trzy czwarte spośród nas żyć i umierać będzie w owym osobliwym, acz miłym złudzeniu.

Lecz podobnie jak istniały wieki i tysiąclecia bez zakonu i bez Kastalii, w przyszłości także epoki takie znów istnieć będą. A jeśli dzisiaj przypominam kolegom swoim i czcigodnemu urzędowi o tym fakcie, o tym truizmie, wzywając ich do skierowania wzroku ku owym zagrażającym nam niebezpieczeństwom, jeśli tedy na chwilę przejmuję raczej nie lubianą i aż nazbyt łatwo kpiny budzącą rolę proroka, mentora i pokutę głoszącego kaznodziei, to gotów jestem znieść ewentualne szyderstwa, lecz mimo to żywię nadzieję, iż większość z was pismo moje aż do końca przeczyta, a nie-

którzy spośród was w pewnych punktach nawet zgodzą się ze mną- Byłoby to już wiele.

Institucja taka, jak nasza Kastalia, małe państewko intelektu, narażona jest na wewnętrzne i zewnętrzne niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwa wewnętrzne, lub przynajmniej niektóre spośród nich, znamy, obserwujemy i zwalczamy. Stale przecież odprawiamy ze szkół elitarnych poszczególnych uczniów, ponieważ odkrywamy w nich wycięć się nie dające cechy lub popędy, czyniące ich niezdarnymi i niebezpiecznymi dla naszej społeczności. Mamy nadzieję, że większość z nich nie jest z tej racy ludźmi o mniejszej wartości, tyle tylko, że nie nadają się oni do życia kastalskiego, a po powrocie do świata zdołają znaleźć odpowiedniejsze dla siebie warunki i stać się rzetelnymi obywatelami. Praktyka nasza okazała się słuszna w tym względzie, na ogół też o społeczności naszej powiedzieć możemy, iż ceni ona sobie godność swoją i dyscyplinę, sprostać umie swemu zadaniu reprezentowania warstwy najwyższej, duchowej arystokracji, i nieustannego kształcenia nowych jej członków. Zapewne też nie więcej ludzi niegodnych czy też niedbałych pośród nas żyje, niż znośne to być może i naturalne. Więcej nieco zastrzeżeń natomiast budzi już u nas zakonna zsiuzumiałość, owa pycha stanowa, do której wszelka zasada arystokracji, wszelkie uprzywilejowane stanowisko nakłania, a którą też każdej arystokracji, raz słusznie, raz niesłusznie, zazwyczaj się zarzuca. W dziejach społeczeństw wszystko obraca się zawsze wokół prób wytworzenia arystokracji, jest ona ich szczytem i koroną, a jakiś rodzaj arystokracji, rządów ludzi najlepszych, wydaje się istotnym, choć nie zawsze przyznawanym, celem i ideałem wszelkich prób tworzenia społeczeństwa. Władza — czy monarchiczna, czy też anonimowa — zawsze okazywała gotowość popierania protekcją i przywilejami powstającej arystokracji, czy to politycznej, czy jakiegokolwiek innej, rodowej lub powstałej wskutek selekcji i wychowania. Zawsze arystokracja pod tym słońcem przybierała na siłach, lecz jej uprzywilejowanie, poczynając od pewnego stopnia jej rozwoju, stawało się dla niej pokusą i doprowadzało do korupcji. Jeśli te-

dy zakon nasz potraktujemy jako arystokrację, a wobec tego zbadać też zechcemy, jak dalece postawa nasza względem całego narodu i świata usprawiedliwia odrębną naszą pozycję, jak dalece na przykład owa charakterystyczna choroba arystokracji, owa hybris, duma, pycha stanowa, poczucie wyższości, niewdzięczne pasożytnictwo już nas ogarnęło, już owładnęło nami, nasunąć się nam może sporo zastrzeżeń. Dzisiejszemu Kastalczykowi nie zbywa może na posłuszeństwie prawom zakonu, na pilności, na pełnym kultury uduchowieniu, częstokroć jednak brak mu bardzo świadomości własnego miejsca w społeczności ludu, w świecie, w dziejach świata. Czyż ma świadomość fundamentów swej egzystencji, czy wie, iż jak liść, kwiat, gałąź czy też korzeń należy do żywego organizmu, czy choćby przeczuwa, jakie to ofiary składa mu lud, gdy tak go żywi i odziewa i naukę, a także różnorodne jego studia mu umożliwia? A czy wiele się troszczy o sens naszej egzystencji i specjalnej pozycji, doprawdy realne ma wyobrażenie o celu zakonu i życia? Zgoda, istnieją wyjątki, liczne i chwalebne wyjątki — skłonny jestem jednak na wszystkie te pytania odpowiedzieć przecząco. Przeciętny bowiem Kastalczyk traktuje człowieka świeckiego a nieuczonego może bez wzdargy, bez zazdrości i zawiści, lecz jednocześnie nie uważa go za brata swegoj nie widzi w nim swego chlebodawcy ani też w najmniejszym nawet stopniu nie poczuwa się do współodpowiedzialności za to, co się tam, na zewnątrz, na świecie dzieje. Celem życia wydaje mu się uprawianie nauk dla nich riamy: lub też zgoła rozkoszne przechadzanie się po ogrodzie intelektualu, nadającego sobie pozory uniwersalności, choć wcale w pełni takim nie jest. Słowem, kastalskie wykształcenie, wysokie i szlachetne, zapewne, dla którego głęboką żywie wdzięczność, jest dla większości jego posiadaczy i przedstawicieli nie organem i instrumentem, nie jest aktywne i skierowane ku celom, nie służy świadomie czemuś większemu i głębszemu, lecz skłania się odrobinę ku rozkoszowaniu się sobą i chwaleniu siebie, ku kształceniu i kultywowaniu duchowych specjalności. Wiem, że istnieje wielu integralnych i niezwykle wartościowych Kastalczyków, którzy doprawdy

niczego, prócz służby, nie pragną: są to u nas wychowani nauczyciele, zwłaszcza ci, którzy het, na wsi, z dala od miłego klimatu i duchowego komfortu naszej prowincji, w szkołach świeckich, pośród licznych wyrzeczeń pełnią niezmiernie doniosłą służbę. Dzielni ci nauczyciele są tam, na świecie, ściśle rzecz biorąc, jedynymi spośród nas, którzy prawdziwie wypełniają cel Kastalii, a ich pracą wynagradzamy krajowi i ludowi wszelkie dobro, które nam świadczą. O tym, że najwyższym i najświętszym zadaniem naszym jest zachować krajowi i światu duchowy ich fundament, który okazał się również niezwykle skutecznym elementem moralnym, mianowicie pojęcie prawdy, na którym, między innymi, opiera się również prawo — wie wprawdzie doskonale każdy z nas, członków zakonu, lecz po zbadaniu własnej duszy większość z nas musi przyznać, że dobro świata, zachowanie duchowej czystości i rzetelności także i poza naszą, w tak pięknej czystości utrzymaną, prowincją bynajmniej nie jest dla nich najważniejsze, w ogóle zresztą jest nieważne, i że całkiem chętnie powierzamy te sprawy owym dzielnym nauczycielom tam, na zewnątrz, by przez pracę swą, pełną oddania, spłacili dług nasz względem świata, usprawiedliwiając się poniekąd, że oto my, gracze szklanych paciorków, astronomowie, muzycy czy matematycy rozkoszować się możemy naszymi przywilejami. Ze wspomnianą już pychą i duchem kastowości łączy się fakt, iż właśnie nie dość troszczymy się o to, czyśmy na te nasze przywileje własnymi osiągnięciami zasłużyli, niemało zaś spośród nas wyobraża sobie, że nawet zakonna wstrzeźliwość powszedniego naszego życia jest jakby cnotą, dla niej samej jedynie uprawianą, podczas gdy stanowi ona przecież minimalną jedynie odpłatę za to, iż kraj umożliwia nam kastalską naszą egzystencję.

Zadowolę się wskazaniem na owe wewnętrzne szkody¹ niebezpieczeństwa, nie są one bowiem błahe, choć w spokojnych czasach długo jeszcze nie zagrażałyby naszemu istnieniu. Lecz wszak my, Kastalczycy, zależni jesteśmy nie tylko od własnego rozumu i moralności, ale również, i to^w sposób istotny, od stanu całego kraju i od woli ludu. Spo-

żywamy chleb nasz, korzystamy z naszych bibliotek, rozbudowujemy archiwa nasze i szkoły — lecz jeśli lud nie zechce już dłużej umożliwić nam tego lub jeśli kraj wskutek zubożenia, wojny stanie się do tego niezdolny, w tej samej chwili nastanie kres życia naszego i studiów. I to, że kraj nasz może pewnego dnia uznać Kastalię i całą naszą kulturę za luksus, na który go już nie stać, a nawet, iż zamiast, jak dotychczas, dobrodusznie chlubić się nami, zacznie nas pewnego dnia traktować jak pasożytów i szkodników, a nawet jak zwodzicieli i wrogów — oto niebezpieczeństwa od zewnątrz nam zagrażające.

Jeśli bym chciał spróbować ukazać owe niebezpieczeństwa przeciętnemu Kastalczykowi, musiałbym chyba dokonać tego przede wszystkim za pomocą przykładów historycznych, a natrafiłbym przy tym zapewne na bierny opór, na pewną, dziecinną niemal, niewiedzę i brak zainteresowania. Zainteresowanie dziejami świata jest bowiem, jak wam wiadomo, wśród nas, Kastalczyków, nader nikłe, większości z nas zaś nie tylko brak tego zainteresowania, lecz, rzecz chciałbym, także i sprawiedliwości względem historii i szacunku dla niej. Owa z pomieszania obojętności z zarozumiałstwem powstała niechęć do zajmowania się historią świata często kociła mnie, by ją zbadać; zdołałem też stwierdzić, iż wywodzi się ona z dwóch przyczyn. Po pierwsze treści historyczne — nie mówię tu, oczywiście, o historii intelektu i kultury, którą wszak niezmiennie kultywujemy — wydają się nam niewiele warte; dzieje świata, jeśli mamy o nich jakie takie pojęcie, składają się z brutalnych walk o władzę, o dobra, o ziemię, o surowce, o pieniądze, słowem, o rzeczy materialne i ilościowe, które uznajemy za obce sferze ducha i traktujemy raczej wzgardliwie. Dla nas wiek siedemnasty jest epoką Kartezjusza, Pascala, Frobergera, Schiitza, a nie Cromwella czy Ludwika XIV. Druga zaś przyczyna naszej niechęci do dziejów świata polega na dziedzicznej i przeważnie też, jak mi się wydaje, usprawiedliwionej nieufności do pewnego sposobu rozpatrywania i spisania historii, który to sposób w dobie upadku, przed założeniem naszego zakonu, bardzo był lubiany, a do którego my od początku

krztyny zaufania nie przejawialiśmy, mianowicie do tak zwanej historiozofii, której szczytowe momenty rozkwitu, a jednocześnie najbardziej niebezpieczny wpływ znajdujemy u Hegla, która jednak w stuleciu po nim następującym doprowadzona została do najohydniejszego fałszowania historii i demoralizowania sensu prawdy. Zamiłowanie do tak zwanej historiozofii jest to, naszym zdaniem, jedna z głównych cech charakterystycznych dla epoki duchowego upadku i walk politycznych, zakrojonych na najszerszą miarę, dla okresu, który niekiedy nazywany „wiekiem wojen”, lecz najczęściej „epoką felietonu”.

Na gruzach owej epoki, z walki i przewycięzania jej ducha ■ — czy też jej złego ducha — powstała obecna nasza kultura, powstał zakon i Kastalia. Lecz skutkiem duchowej pychy odnosimy się oto do dziejów świata, zwłaszcza współczesnych, niemal tak, jak na przykład asceta czy eremita w czasach pierwszego chrześcijaństwa odnosił się do światowego teatrum. Historia wydaje się nam areną, na której ścierają się przeróżne popędy i mody, zachłanność, chciwość, żądza władzy i mordowania, przemoc, zniszczenie i wojny, ambitni ministrowie, przekupni generałowie, zrujnowane pociskami miasta, a aż nazbyt łatwo zapominamy, iż jest to jedynie jeden z jej licznych aspektów. Przede wszystkim zaś zapominamy, że sami stanowimy kawał historii, że również jesteśmy stworzeni i na obumarcie skazani natychmiast gdy stracimy zdolność do dalszego stawania się i przekształcania. Sami bowiem jesteśmy historią i współodpowiedzialność ponosimy za dzieje świata i nasze w nich miejsce. A świadomości owej odpowiedzialności właśnie brak nam bardzo.

Rzućmy okiem na własną historię, na okres powstawania dzisiejszych prowincji pedagogicznych w naszym kraju, jak też i wielu innych, na tworzenie się przeróżnych zakonów¹ hierarchii, z których zakon nasz też jest jednym, a rychło Przekonamy się, że hierarchia nasza i ojczyzna, miła nasza Kastalia, bynajmniej nie została założona przez ludzi, którzy odnoszą się do dziejów świata w sposób równie zrezygnowany i równie pełen pychy, co my. Nasi prekursorzy¹ założyciele podjęli swe dzieło z końcem ery wojen, w zni-

szczonym świecie. My przywykliśmy stosunki panujące na świecie w owej epoce, która rozpoczęła się mniej więcej od pierwszej tak zwanej wojny światowej, jednostronnie wyjaśniać tym, iż duch nic podówczas nie znaczył, a dla potężnych ówczesnych władców był jedynie drugorzędny, przy pewnych tylko okazjach wykorzystywanym środkiem bojowym, w czym dostrzegamy skutki korupcji „felietonowej”. Łatwo, oczywiście, stwierdzić aintelektualizm i brutalność, z pomocą których prowadzono wówczas walki o władzę. Jeśli nazywam je aintelektualnymi, to nie dlatego, iżbym nie dostrzegał ich potężnych osiągnięć, inteligencji i metodyczności, lecz dlatego, iż przywykliśmy do określania ducha głównie jako woli prawdy i tej definicji przestrzegamy, duch bojowy owych czasów zaś, wydawało się, zaiste, nic nie ma wspólnego ani z prawdą, ani z wolą prawdy. Nieszczęście owej epoki na tym polegało, że z niepokoju i dynamiki, wynikających z niebywale szybkiego wzrostu liczby ludzi, nie powstał jako tako choćby trwały ład moralny: pozostałe zaś resztki takiego ładu likwidowano dorrżnymi hasłami, a w trakcie ówczesnych walk natrafiamy na fakty osobliwe i straszne. Podobnie jak w dobie rozbicia Kościoła przez Lutra, przed czterystu laty, tak też i wówczas cały świat napełnił się nagle ogromnym niepokojem, wszędzie tworzyły się fronty walki, wszędzie pojawiała się nagle gorzka, śmiertelna wręcz wrogość pomiędzy młodymi i starymi, pomiędzy ojczyzną i ludzkością, tym, co czerwone, i tym, co białe, my zaś, współcześni, nie potrafimy już w ogóle zrekonstruować, a cóż dopiero pojąć i zrozumieć potęgi i wewnętrznej dynamiki owej „czerwieni” i „bieli”, istotnych treści i znaczeń wszystkich tych dewiz i zawałań bojowych; i podobnie jak w epoce Lutra, widzimy w całej Europie — ba, na połowie globu ziemskiego! — wierzących i kacerzy, młodych i starych, bojowników przeszłości i bojowników przyszłości, staczających ze sobą wściekłe boje z entuzjazmem lub rozpaczą; fronty tych walk natomiast częstokroć ukosem przecinały mapy, dzieliły narody i rodziny, nie wolno nam zaś wątpić o tym, że dla większości wówczas walczących czy przynajmniej dla ich przywódców

wszystko to miało niesłychane znaczenie, podobnie jak nie możemy też odmówić wielu przywódcom czy mówcom z owych czasów i walk niejakiej odporności i łatwowierności niejakiego, jak go wówczas nazywano, idealizmu. Wszędzie walczone, zabijano, niszczone, a wszędzie też, po obu stronach, robiono to w przeświadczeniu, że walczy się z diabłem w imię Boga.

Dla nas szaleńczy ów okres niezwykłych uniesień, dzikiej nienawiści i wręcz niewysłowionych cierpień zapadł już po trochu w zapomnienie, co zrozumieć trudno, skoro jest on przecie tak ściśle związany z powstaniem wszystkich naszych instytucji, jest ich zasadą i przyczyną. Satyryk mógłby te chęć zapomnienia przyrównać do dystrakcji, jaką przejawiają obdarzeni nowiutkim, arystokratycznym tytułem karierowicze w stosunku do pochodzenia swego i rodziców. Lecz zastanówmy się jeszcze chwilę nad ową epoką wojen. Czytałem sporo dokumentów z tego okresu, mniej przy tym interesując się podbitymi narodami i zniszczonymi miastami, co postawą intelektualistów w owym czasie. Trudno irn byio, toteż większość z nich odporności nie wykazała. Byli w tej epoce męczennicy, wśród uczonych i wśród wierzących, a męczeństwo ich i przykład nawet w owych do potworności przywykłych czasach nie pozostały bez znaczenia. Lecz mimo to — większość przedstawicieli intelektu nie zniosła nacisku czasów przemocy. Jedni spośród nich poddali się, oddając do dyspozycji ówczesnych władców swoje talenty, wiedzę i metody; znana jest wypowiedź jednego z profesorów wyższej uczelni ówczesnej w republice Massagetów: „Ile jest dwa razy dwa, ustalać może nie katedra, lecz nasz pan generał”. Inni z kolei tworzyli opozycję, dopóki tylko korzystać mogli jeszcze z połowicznej choćby osłony, i wygłaszali protesty. Pewien autor o światowej sławie miał ponoć podówczas — jak czytamy u Ziegenhalsa — w ciągu jednego tylko roku podpisać przeszło dwieście takich protestów, odezw, apelów do rozumu eta, więcej rno-^{Ze} niż ich w rzeczywistości przeczytał. Większość jednak nauczyła się milczeć, nauczyła się też głodować i marznąć,^a także zebrać i ukrywać się przed policją, wymierała przede

wcześniej, a kto umarł, temu pozostali przy życiu zazdrościli. Niesłuchanie wielu dobrowolnie śmierć sobie zadało. Doprawdy nie było już bowiem ani zaszczytem, ani przyjemnością być uczonym czy literatem: ten, kto oddał się w służbę sprawujących władzę i aktualnych haseł, miał wprawdzie stanowisko i chleb, lecz także i wzdarcie najlepszych swoich kolegów, a przeważnie też nieczyste sumienie; kto zaś służb takich odmawiał, musiał głodować, żyć wyjęty spod prawa i umierać w nędzy lub na wygnaniu. Dokonano wówczas okrutnej, niesłuchanie surowej selekcji. I nie tylko badania naukowe, jeśli nie służyły władzom lub celom wojennym, podupadły nader szybko, lecz także i szkoły. Przede wszystkim historia powszechna, przez każdy z kolejno rządzących narodów do siebie tylko i wyłącznie odnoszona, została uproszczona i przeinaczona niebywale, a historiozofia i felieton zapanowały powszechnie, również i w szkołach.

Dość tych szczegółów. Dzikie, gwałtowne były to czasy, chaotyczne, isticie babilońskie; narody i partie, starzy i młodzi, to, co czerwone i to, co białe, przestały już wzajem się rozumieć. A koniec tego wszystkiego, po ostatecznym wykrwawieniu się i wielkim zubożeniu, polegał na tym, że zbudziła się coraz bardziej rosnąca powszechna tęsknota do opamiętania, do odnalezienia wspólnego języka, do ładu, moralności, do norm, które by obowiązywały, do alfabetu i tabliczki mnożenia, nie dyktowanych już przez interesy władzy i co chwila zmienianych. Powstała ogromna potrzeba prawdy i prawa, rozsądku, przewyciężenia chaosu. Owej próżni u kresu pełnej brutalnej przemocy, a całkowicie na zewnątrz skierowanej epoki, owej niewymownie pilnej, błagalnej tęsknocie powszechnej do nowego początku i ładu zawdzięczamy naszą Kastalię i naszą egzystencję. Garstka dzielnych, na pół zagłodzonych, lecz nieugiętych, prawdziwych intelektualistów zaczęła z ascetyczną, heroiczną dyscypliną tworzyć sobie ład swój i konstytucję, jęła wszędzie w małych, najmniejszych grupkach znowu pracować, usuwać hasła i od samych podstaw konstruować na nowo ruch umysłowy, naukę, badania, oświatę. Konstrukcja ta udała

się, stopniowo z ubożutkich a heroiczych swych początków wyrastając we wspaniałą budowlę; stworzono przez wiele •już pokoleń zarówno zakon, instytucję pedagogiczną, szkoły elitarne, archiwa i zbiory, jak i szkoły zawodowe, semina-ria i grę szklanych paciorków, my zaś jesteśmy dzisiaj ty-nii, którzy jako dziedzice i użytkownicy w tym niemal aż nazbyt już przepysznym gmachu mieszkamy. I, raz jeszcze powtórzyć to trzeba, mieszkamy w nim jak nie zorientowani, wygodniccy goście, nic już wiedzieć nie chcemy o ogrom-nych ludzkich ofiarach, dzięki którym wzniesć zdołano fun-damenty naszej budowli, nic też o bolesnych doświadcze-niach, których jesteśmy dziedzicami, ani o historii świata, która ów gmach nasz wzniosła czy też tylko go tolerowała, która nadal niesie nas i toleruje, a może jeszcze i niejedne-go Kastalczyka i magistra po nas, którzy dziś żyjemy, lecz która kiedyś znowu gmach nasz obali i pochłonie, jak za-wsze obala i pochłania wszystko, czemu pozwoliła wyrosnąć. Powracam od historii, a rezultat tych rozważań i zastoso-wanie ich do dnia dzisiejszego i do nas są takie: system nasz i zakon przekroczyły już szczytowy punkt rozkwitu i szczęścia, który zagadkowy bieg powszechnych dziejów niekiedy umożliwia temu, co piękne i upragnione. Znajdujemy się w okresie upadku, który, być może, długo jeszcze trwać bę-dzie, bardzo długo, lecz nic wyższego, piękniejszego i bar-dziej upragnionego nad to, co już posiadaliśmy, spotkać nas nie może, droga nasza wiedzie bowiem w dół; historycz-nie, jak mi się wydaje, dojrzeliliśmy już do zniszczenia, które też niewątpliwie nastąpi: nie dziś, nie jutro, lecz pojutrze. Wniosek ów wysnuwam nie tylko z nazbyt moralizatorskiej oceny naszych osiągnięć i zdolności, bardziej jeszcze z racji ruchów, do których przygotowania obserwuję w zewnątrz-em świecie. Nadchodzą czasy krytyczne, wszędzie odczuć ftiożna ich zapowiedź, świat znów, raz jeszcze, pragnie prze-sunąć swój punkt ciężkości, przygotowują się przesunięcia w dziedzinie władzy, a nie dokonają się one bez wojen i Przemocy, od strony Dalekiego Wschodu nadciąga nie tylko zagrożenie pokoju, lecz także życia i wolności. I choćby kraj nasz i polityka jego trwały w neutralności, choćby ca-

ty nasz naród jednogłośnie (czego zresztą nie czyni) i wier-
nie trwać pragnął w stanie dotychczasowym, przy nas i przy
ideałach kastalskich, wszystko to będzie daremne. Już te-
raz niektórzy z członków naszego parlamentu dość wyraź-
nie mówią przy pewnych okazjach, iż Kastalia stanowi nie-
co zbyt drogi luksus dla naszego kraju. Jeśli zaś zmuszeni
zostaniemy do poważnych zbrojeń wojennych, zbrojeń
obronnych jedynie, a wkrótce już może to nastąpić, dojdzie
do wielkich oszczędności, zarządzenia te zaś, mimo całej
przychylności, jaką nam rząd okazuje, nas w znacznej mie-
rze dotkną. Dumni jesteśmy, iż zakon nasz i trwałość duch-
wej kultury, której on jest gwarancją, wymagają od kraju
stosunkowo niewielkich ofiar. W porównaniu z innymi epo-
kami, zwłaszcza wczesnym okresem felietonu, w którym
wyższe uczelnie otrzymywały wysokie dotacje, niezliczona
wręcz była liczba tajnych radców i luksusowych instytutów,
ofiary te, istotnie, są niewielkie, całkiem zaś nikłe już wy-
dają się w porównaniu z tymi, które w dobie wojen pochła-
niały zbrojenia. Lecz zbrojenia te okazać się mogą właśnie
w najbliższym czasie znów przykazaniem najpierwszym, w
parlamencie znowu dominującą rolę grać zaczną generał-
owie, jeśli zaś naród stanie wobec alternatywy poświęcenia
Kastalii czy narażenia się na niebezpieczeństwo wojny i za-
głady, wiemy dobrze, za czym się opowie. Niewątpliwie też
pojawi się wówczas wojowniczości pełna ideologia, jednając
sobie szczególnie młodzież, powstanie światopogląd hasel
i sloganów, zgodnie z którymi uczeni i uczoneść, łacina i ma-
tematyka, oświata i kult intelektu o tyle tylko istnienie swe
usprawiedliwią, o ile służyć zdołają celom wojennym.

Fala ta już nadbiega, a kiedyś nas pochłonie. Może okaże
się to dobre, a nawet konieczne. Na razie jednak jeszcze,
wielce szacowni Koledzy, przysługuje nam na miarę nasze-
go rozeznania się w rzeczywistości, na miarę przebudzenia
naszego i odwagi owa ograniczona swoboda decyzji i czynu,
jaką człowiekowi przydać zechciano, a która dzieje świata
czyni dziejami ludzi. Możemy, według woli, oczy zamknąć,
niebezpieczeństwo bowiem jest poniekąd jeszcze dalekie;
i zapewne my, obecni magistrowie, będziemy mogli jeszcze

„ż do końca spokojnie oddychać, w spokoju też lec na łożu śmierci, zanim owo niebezpieczeństwo się przybliży, a dla wszystkich stanie widoczne. Lecz ja nie chciałbym w spokoju nadal sprawować urzędu swego i uprawiać gry szklanych paciorków, zadowolony z myśli, iż to, co nadciąga, zapewne mnie już przy życiu nie zastanie. Nie; wydaje mi się natomiast konieczne przypomnieć sobie, że także i my, niepolityczni, należymy do dziejów świata i pomagamy je tworzyć. Dlatego na początku tego mojego pisma wspomniałem, że zakres funkcji mych został zawężony, a w każdym razie jest zagrożony, zapobiec bowiem temu nie mogę, że znaczną część moich trosk i myśli absorbuje owo przyszłe niebezpieczeństwo. Zabraniam wprawdzie własnej wyobraźni zajmować się pytaniami, jakie nieszczęście to przybrać by mogło formy dla nas i dla mnie. Lecz nie mogę odsunąć od siebie pytania, co powinniśmy uczynić, co ja sam uczynić powinienem, by odeprzeć to niebezpieczeństwo? I na ten temat niechaj mi wolno będzie parę słów jeszcze powiedzieć. Słowa Platona, iż uczoney, a raczej mędrzec, rządzić powinien państwem, nie mają we mnie zwolennika. Świat był podówczas młodszy. A Platon, choć był założycielem czegoś w rodzaju Kastalii, bynajmniej nie był Kastalczykiem, lecz arystokratą królewskiego rodu. My wprawdzie również jesteśmy arystokratami i arystokrację tworzymy, lecz arystokrację duchową, nie z więzów krwi się wywodzącą. Nie wierzę w to, iż ludzie zdołają kiedykolwiek wyhodować arystokratów krwi jednocześnie z arystokracją ducha, byłby to ideał arystokracji, pozostanie on jednak marzeniem. My, Kastalczycy, choć moralni z nas i wcale mądrzy ludzie, na władców się nie nadajemy; a gdyby nam rządzić przyszło, ^Rie władalibyśmy z tą siłą i naiwnością, jakich prawdziwy ^regent potrzebuje, ponadto zaś właściwa dziedzina i naj-Pierwsza troska nasza, kultywowanie wzorowego życia intelektualnego, zostałaby wówczas rychło zaniedbana. Władca nie musi bynajmniej być głupim ani brutalnym, jak niekiedy sądzą zarozumiali intelektualiści, lecz mimo to rządzący odznaczać się musi trwałą radością z racji swej na ²©wnątrz skierowanej aktywności, namiętnym utożsamia-

niem siebie z celami i dążeniami ogółu, a z **pewnością** również szybką i raczej lekkomyślną decyzją w wyborze dróg, ku powodzeniu wiodących. A wszystko to są przymioty, których uczony — mędrca — bowiem nazywać siebie nie chcemy — posiadać nie powinien i nie posiada; rozważania są przecież dla nas ważniejsze od czynów, a przy wyborze metod i środków do osiągnięcia naszych celów nauczyliśmy się postępować z jak największą skrupulatnością i nieufnością. Nie powinniśmy tedy rządzić, nie powinniśmy też zajmować się polityką. Jesteśmy specjalistami w dziedzinie badań, rozkładania na części, mierzenia, jesteśmy tymi, którzy zachowują i nieustannie na nowo badają każdy alfabet, tabliczkę mnożenia i metodę; stanowimy niejako urząd miar i wag w dziedzinie duchowej. Oczywiście pełniemy też wiele innych funkcji, potrafimy w sprzyjających okolicznościach stać się również nowatorami, odkrywcami, podróżnikami, zdobywcami, nowymi też interpretatorami, ale pierwsza i najważniejsza funkcja nasza, z racji której lud potrzebuje nas i utrzymuje, polega na utrzymywaniu w czystości wszystkich źródeł wiedzy. W handlu, polityce czy gdziekolwiek indziej sukcesem i objawem geniuszu może być przemienianie czarnego w białe, lecz u nas nie jest tak nigdy.

W epokach wcześniejszych wymagano niekiedy w burzliwych, tak zwanych „wielkich”, czasach, podczas wojen i rewolucji, od intelektualistów, aby się „upolityczniali”. Szczególnie działało się tak w późnej epoce felietonowej. Żądała ona bowiem również „upolitycznienia” lub zmilitaryzowania intelektu. Jak dzwony kościelne służyć miały za materiał dla odlewu luf armatnich, a niedojrzała jeszcze młodzież szkolna do wypełniania luk w dziesiątkowanych armiach, tak też chciano skonfiskować i odpowiednio wyzyskać ducha dla celów wojny.

Nie mogliśmy, oczywiście, uznać tego żądania. Na temat tego, że w razie konieczności jakiegoś uczonego odwołuje się z katedry lub od biurka robiąc z niego żołnierza, a także, że w odpowiednich okolicznościach może się on zgłosić do armii dobrowolnie, ponadto zaś, że w wyczerpanym wojną kraju każdy uczony powinien pod względem materialnym

poddać się skrajnym ograniczeniom, z ryzykiem głodu włącznie, słów po próżnicy tracić nie warto. Im bardziej wykształcony jest jakiś człowiek, im większymi cieszył się przywilejami, tym większe też, w chwilach nieszczęścia, składać powinien ofiary; mamy nadzieję, że kiedyś sprawa ta będzie dla każdego Kastalczyka oczywista. Jeśli jednak gotowi jesteśmy poświęcić dobrobyt nasz, naszą wygodę, życie nasze narodowi, z chwilą gdy znajdzie się on w niebezpieczeństwie, nie jest to równorzędne z gotowością naszą do poświęcenia również samego ducha, tradycji i moralności naszego intelektu interesom dnia, ludu bądź też generałów. Tchórzem ten, kto uchyla się od prac, ofiar i niebezpieczeństw, na jakie cały jego naród jest narażony. Ale tchórzem, a w nie mniejszym stopniu także zdrajcą ten, kto zasady życia duchowego zdradza dla materialnych interesów, kto na przykład gotów sprawującym władzę pozostawić decydowanie o tym, ile jest dwa razy dwa! Składanie w ofierze innym interesom, również ojczyźnie, zmysłu prawdy, intelektualnej czystości, wierności prawom i metodom ducha jest zdradą. Jeśli zaś w walce owych interesów i hasel prawda narażona zostaje na niebezpieczeństwo takiej samej dewaluacji, wynaturzenia i pogwałcenia, co poszczególne człowiek, co język, co wszelkie dziedziny sztuki, wszystko co organiczne, a także kunsztowne *legę artis* wyhodowane, wówczas jedyny nasz obowiązek polega na sprzeciwi i ratowaniu prawdy, a raczej na dążeniu ku prawdzie, stanowiącemu najwyższy artykuł naszej wiary. Uczony, który jako mówca, jako autor, jako nauczyciel świadomie mówi nieprawdę, świadomie popiera kłamstwa i fałszerstwa, wykracza nie tylko przeciw zasadom organicznym, gdyż ponadto jeszcze, wbrew wszelkim aktualnym pozorom, ^mie przysparza wcale korzyści swemu narodowi, jeno ciężką Wyrządza mu krzywdę, psuje mu powietrze i ziemię, żywność i napoje, zatruwa myśl i prawo, wspomaga zaś wszystko, co złe i wrogie, co grozi narodowi zagładą.

Kastalczyk nie powinien zatem być politykiem; w razie Konieczności poświęcać winien swoją osobę, nigdy jednak ^Rie wolno mu poświęcać wierności względem ducha. Inte-

lekt jest bowiem dobroczynny i szlachetny jedynie wtedy, gdy posłuszeństwo wobec prawdy zachowuje; z chwilą, kiedy je zdradzi, gdy odrzuci szacunek, gdy stanie się przekupny i do dowolnych granic elastyczny, w potencjalne diaboliczne się przekształca, znacznie gorsze od zwierzęcego instynktownego bestialstwa, które zawsze jeszcze ślad naturalnej niewinności zachowuje.

Rozważaniom każdego z Was, szanowni Koledzy, pozostawiam zastanawianie się nad tym, co stanowi treść obowiązków zakonu w momencie, gdy kraj i sam zakon są zagrożone. Różne tu istnieć będą poglądy. Ja również mam swoje, a zastanawiając się długo nad wszystkimi wspomnianymi tu zagadnieniami, w odniesieniu do własnej osoby doszedłem do jasnego przekonania, co dla mnie jest obowiązkiem i celem, godnym osiągnięcia. I to właśnie skłoniło mnie do osobistego tego podania, do arcyzcigodnego urzędu zwróconego, którym memoriał mój zamierzam zakończyć.

Wśród magistrów, z których składa się nasz urząd, ja, jako magister ludzi, z racji mego stanowiska najdalej chyba stoję od świata zewnętrznego. Matematyk, filolog, fizyk, pedagog i wszyscy inni magistrowie pracują w dziedzinach, wspólnych ze światem świeckim; w niekastalskich bowiem, zwykłych szkołach naszego i każdego kraju matematyka i nauka języka stanowią podstawy nauczania, również i na świeckich wyższych uczelniach uprawia się astronomię i fizykę, a ludzie absolutnie nieuczeni zajmują się muzyką; wszystkie te dyscypliny są prastare, znacznie starsze od naszego zakonu, istniały znacznie wcześniej niż on i również go przeżyją. Jedynie gra szklanych paciorków naszym jest wynalazkiem, własną naszą specjalnością, ukochaniem i igraszką, jest ona ostatnim i najbardziej zróżnicowanym przejawem nam tylko właściwego, kastalskiego rodzaju intelektu. Jednocześnie zaś jest też najcenniejszym i najmniej przydatnym, najbardziej ukochanym, lecz i najbardziej kruchym klejnotem w naszej skarbnicy. I jest też pierwszą rzeczą, która zaginie, gdy zakwestionowane zostanie dalsze istnienie Kastalii; nie tylko dlatego, że stanowi najdelikatniejsze z dóbr naszych, lecz już choćby z tej racji, iż dla

profanów jest niewątpliwie tym, z czego w Kastalii najłatwiej im zrezygnować. Jeśli chodzić będzie o zaoszczędzenie krajowi każdego zbędnego wydatku, zaczną się ograniczać szkoły elitarne, zmniejszać, a w końcu skreślać całkowicie fundusze na utrzymanie i rozwój bibliotek i zbiorów, zredukuje się nasze posiłki, nie będzie się już odnawiać naszej odzieży, lecz zachowa się nadal wszelkie główne dyscypliny naszej *Universitatis Litterarum*, z jednym wyjątkiem — gry szklanych paciorków. Matematyka potrzebna jest również do wynalazków nowych rodzajów broni, ale nikt — a zwłaszcza już nie wojskowi — uwierzyć nie zechce, aby kraj nasz i naród najmniejszą zdołał odnieść szkodę z racji zamknięcia Vicus Lusorum i zlikwidowania naszej gry. Gra szklanych paciorków stanowi najbardziej skrajną i najbardziej też zagrożoną część naszego gmachu. I być może właśnie wskutek tego magister ludzi, kierujący tą naszą najbardziej obcą światu dyscypliną, pierwszy wyczuwa owo nadchodzące trzęsienie ziemi, czy też raczej pierwszy uczuciu temu wobec urzędu daje wyraz.

Uważam tedy w razie przewrotów politycznych, a zwłaszcza wojennych, grę szklanych paciorków za zgubioną. Zmarnieje ona szybko, nawet, jeśli wiele poszczególnych osób przywiązanie do niej zachowa, i nigdy nie zostanie przywrócona. Atmosfera bowiem, która po nowej epoce wojennej nastanie, gry tej nie ścierpł. Zniknie ona tak samo, jak niektóre niezwykle wysublimowane obyczaje, znane z historii muzyki, na przykład chóry zawodowych śpiewaków około 1600 roku istniejące lub niedzielne koncerty figuralnej muzyki w kościołach około 1700 roku. Uszy ludzkie słyszały wówczas dźwięki, których żadna nauka ani żadne zaklęcie w całej ich anielsko promiennej czystości nigdy już przywrócić nie zdołają. Tak tedy i gra szklanych paciorków nie zostanie zapomniana, pozostanie wszakże bezpowrotna, ci ^{zaś}, którzy wówczas studiować zaczną jej historię, okres jej Powstawania, rozkwitu i końca, wzdychać będą i zazdrościć ^{na}m, iż wolno nam było żyć w tak spokojnym, wypielęgnowanym i czysto nastrojonym świecie ducha.

A chociaż jestem teraz magistrem ludzi, bynajmniej nie

uważam za swoje (czy też nasze) zadanie, zapobiec kresowi gry naszej lub odwlec go. Nawet to, co piękne i najpiękniejsze, przemija z chwilą, gdy stało się już historią i zjawiskiem ziemskim. Wiemy o tym, może nam być przykro z tej racji, nie możemy jednak poważnie usiłować tego zmienić, gdyż zmienić się to nie da. Gdy gra szklanych paciorków upadnie, Kastalia i świat cały poniosą stratę, lecz w danej chwili wcale prawie jej nie odczują, gdyż tak bardzo będą w dobie owego wielkiego kryzysu zajęci ratowaniem tego tylko, co da się jeszcze uratować. Można wyobrazić sobie Kastalię bez gry szklanych paciorków, lecz Kastalii pozbawionej szacunku dla prawdy i wierności dla ducha wyobrazić sobie niepodobna. Instytucja pedagogiczna może się obejść bez magistra ludzi. Ale ów „magister ludzi” oznacza przecież — o czym niemal już zapomnieliśmy — pierwotnie i w istocie swojej nie specjalność, którą tym słowem określamy. Magister ludzi to w pierwotnym znaczeniu po prostu nic innego jak nauczyciel. A nauczycieli, dobrych i dzielnych nauczycieli, kraj nasz tym bardziej będzie potrzebować, im bardziej zagrożona będzie Kastalia i im bardziej jej skarby okazywać się przestarzałe i wietrzejące. Nauczycieli bardziej nam potrzeba niż czegokolwiek innego, ludzi, którzy obudzą w młodzieży zdolność pomiaru i oceny, a wzorem dla nich będą w szacunku dla prawdy, posłuszeństwie względem ducha, w służbie słowu. A dotyczy to nie tylko i nie przede wszystkim naszych szkół elitarnych, które leż kiedyś przestaną istnieć, lecz również szkół świeckich, na zewnątrz, w których zostali wychowani i wykształceni, dopóki jeszcze giętkość zachowali i dziećmi są, obywatele i chłopci, rzemieślnicy i żołnierze, politycy, oficerowie i rządzący. Tam to znajduje się fundament duchowego życia kraju, a nie w seminariach ani w grze szklanych paciorków. Zawsze dostarczaliśmy krajowi wychowawców i nauczycieli, wspominałem już o tym: są to najlepsi spośród nas. Ale uczyć musimy znacznie więcej niż dotąd. Nie możemy już polegać na tym, że z tamtych szkół, na zewnątrz istniejących, nieustannie napływa do nas elita utalentowanych, pomagając nam w utrzymaniu naszej Kastalii. Musimy coraz bardziej

uznawać i rozszerzać ową pokorną, jakże bardzo odpowiedzialną służbę na rzecz szkół, świeckich szkół, jako najważniejsza, i najzaszczytniejszą część naszego zadania.

Tak oto doszedłem do osobistego podania, które skierować pragnąłbym do arcyszlachtetnego urzędu. Proszę niniejszym urząd o zwolnienie mnie ze stanowiska magistra ludzi i powierzenie mi tam, na zewnątrz, zwykłej szkoły, wielkiej lub małej, oraz o pozwolenie pociągnięcia za sobą całego sztabu braci zakonnych jako młodych nauczycieli, wobec których pewność mieć będę, że wiernie pomóc mi zechcą we wprowadzeniu zasad naszych w serca świeckiej młodzieży.

Uznaniu arcyszlachtetnego urzędu pozostawiam życzliwe rozpatrzenie mego podania, wraz z jego uzasadnieniem i przekazanie rni wówczas odpowiednich rozkazów.

MISTHZ GRY SZKLANYCH PACIORKÓW

Post scriptum:

Proszę mi zezwolić na przytoczenie słów czcigodnego ojca Jakuba, które zanotowałem podczas jednego z jego niezapomnianych *privatissimów*:

„Nastać mogą dni przerażenia i nędzy najgłębszej. Jeśli jednak w tej nędzy jeszcze szczęście istnieć będzie mogło, to jedynie szczęście duchowe, wstecz zwrócone — ku ratowaniu edukacji z czasów wcześniejszych, w przód obrócone — ku pogodnej a nieustraszonej reprezentacji ducha w „Poce, która inaczej całkowicie łupem materialności stać by się mogła”.

Tegularius nie wiedział, jak niewiele z jego pracy pozostało w owym piśmie; ostatniej bowiem jego wersji nie oglądał. Knecht dał mu co prawda do przeczytania dwa wcześniejsze, znacznie bardziej szczegółowe projekty. Wysłał Pismo i czekał na odpowiedź urzędu z niecierpliwością znacznie mniejszą niż jego przyjaciel. Doszedł do wniosku,¹² nie będzie już wtajemniczać Tegulariusa w dalsze swe poczynania, nakazał mu tedy milczenie w owej sprawie,

⁴ ~ Gra szklanych paciorkom

dając jedynie do zrozumienia, iż sporo czasu minie, zanim nadejdzie odpowiedź.

I gdy wreszcie, prędzej nawet, niż przypuszczał, odpowiedź owa przyszła, Tegularius niczego się o tym nie dowiedział. A pismo z Hirsland brzmiało następująco:

PRZEWIELEBNY MAGISTER LUDI W WALDZELL

WIELCE SZANOWNY KOLEGO!

Z niezwykle zainteresowaniem zapoznało się zarówno kierownictwo zakonu, jak i kolegium magistrów z Waszym ciepłym i serdecznym, a i ciekawym okólnikiem. Historyczna retrospekcja w owym piśmie, na równi z pełnym troski wybieganiem w przyszłość zaabsorbowały naszą uwagę, a z pewnością niejeden z nas nadal jeszcze rozmyślać będzie z pożytkiem dla siebie nad tymi przejmującymi, po części też i usprawiedliwionymi wywodami. Z radością i uznaniem powitaliśmy motywy Wasze, uskrzydłające Was przekonania prawdziwego i altruistycznego Kształczyka, pełne szczerzej, w drugą naturę już przekształconej miłości do naszej prowincji, do życia jej i obyczajów, miłości zatroskanej, niekiedy też nieco przełęcznionej. Z równą radością i uznaniem rozezналиśmy osobistą a chwilową nutę i nastrój owej miłości, jej gotowość do ofiar, pęd do czynu, powagę jej i zapał, heroiczne jej dążenia. Po wszystkich tych cechach rozpoznajemy charakter naszego mistrza gry szklanych paciorków, aktywną jego siłę, ogień jego i odwagę. Jakże bardzo przystoi właśnie jemu, uczniowi sławnego benedyktyna, studiować historię nie dla ostatecznego, wyłącznie uczonego celu czy poniekąd w estetycznym rozigraniu beznamiętnego obserwatora, lecz także, aby jej znajomość bezpośrednio zastosować do danej chwili, aby domagać się czynu i pomocnej gotowości! I jakże bardzo, Szanowny Kolego, odpowiada charakterowi Waszemu, iż cel osobistych pragnień Waszych jest tak skromny, że nie odczuwacie pociągu do politycznych misji ani zadań, do stanowisk wpływowych i zaszczytnych, lecz niczym innym być nie pragniecie, jeno ludi magister, nauczycielem!

Oto kilka wrażeń i myśli, które już mimowiednie nasuwają się przy pierwszym czytaniu Waszego okólnika. U większości kolegów były one takie same lub podobne. W dalszej ocenie Waszych informacji, napomnień i próśb nie zdołał jednak urząd osiągnąć tak jednolitego stanowiska. Na konferencji w tym celu zwołanej żywo omówiono zwłaszcza kwestię, jak dalece przyjąć można pogląd Wasz na temat zagrożenia naszej egzystencji, jak również zagadnienie rodzaju, rozmiarów oraz ewentualnej bliskości w czasie owych niebezpieczeństw, a większość członków doprawdy poważnie potraktowała te sprawy i wyraźnie nimi się przejęła. Lecz musimy powiadomić Was, iż w żadnej z tych kwestii większość głosów na korzyść przekonań Waszych nie padła. Uznanie uzyskała jedynie siła wyobraźni, a także szerokość ujęcia Waszych historycznych i politycznych rozważań, szczegółowo jednak ani jedno z Waszych przypuszczeń, czy może raczej prorocत्व, jak je nazwać musielibyśmy, w pełni za przekonujące uznane nie zostało. A także w kwestii, jak dalece zakon i ład kastalski współuczestniczą w zachowaniu niezwykle długiego okresu pokoju, a nadto, jak dalece mogą one zasadniczo i w ogóle uznawane być za elementy historii i stosunków politycznych, za poglądami Waszymi niewiele tylko, i to z zastrzeżeniami, się opowiedziało. Opinia większości stwierdziła, iż spokój, jaki po przeminięciu epok wojny zapanował w naszej części świata, po części przypisać należy powszechnemu wyczerpaniu i wykrwawieniu się w minionych, straszliwych wojnach, w znaczniej większej przeciw jeszcze mierze faktowi, iż świat zachodni przestał odtąd być już zapalnym punktem w dziejach świata i areną walk o hegemonię. Nie podając ani przez chwilę w wątpliwość zasług zakonu, nie można przypisywać myśli kastalskiej, myśli odnoszącej się do wysokiego kształcenia intelektu pod znakiem kontemplacyjnej, duchowej dyscypliny prawdziwie historiotwórczej siły, czyli żywego wpływu na polityczne na świecie stosunki, jako iż motyw i ambicje tego rodzaju są jak najbardziej obce całemu charakterowi i duchowi kastalskiemu. Ani dążenia, ani Przeznaczenie Kastalii — jak podkreślono w kilku bardzo

poważnych wypowiedziach na ten temat — nie zmierzają do działalności politycznej i do wywierania wpływu na pokój czy wojnę, o przeznaczeniu zaś takim już choćby z tego względu mowy być nie może, że wszystko, co kastalskie odnosi się do rozumu i w zasięgu *rationis* się odbywa, czego przecież chyba o dziejach świata powiedzieć nie można, jeśli nie chcemy popaść na powrót w teologiczno-poetyckie unieniesia historiozofii romantycznej i uznać całego aparatu morderstw i zniszczenia, potęg historię tworzących za rozumową zasadę świata. Ponadto pobieżny już nawet rzut oka na historię intelektu ujawnia, iż okresy największego rozwoju ducha nigdy w istocie nie dawały się wyjaśnić istniejącymi podówczas stosunkami politycznymi, że kultura, duch czy też dusza mają raczej własną swą historię, przebiegającą obok tak zwanych dziejów powszechnych, czyli nigdy nie ustających walk o władzę materialną, niczym druga jakaś, tajemna, bezkrwawa a święta historia. Tedy nie z „prawdziwą”, brutalną historią świata ma do czynienia nasz zakon, nigdy też zadanie jego na tym polegać nie może, by strzec historii politycznej lub nawet pomagać w jej tworzeniu.

Światowa zatem konstelacja polityczna może doprawdy być taka, jaką rysuje Wasz okólnik, albo i nie, lecz w każdym razie zakonowi nie przystoi nic innego, jak zająć wobec niej wyczekujące i cierpliwości pełne stanowisko. Dlatego też, z wyjątkiem paru przeciwnych głosów, większość zdecydowanie odrzuciła Wasze zdanie, iż konstelację tę winniśmy potraktować jako wezwanie do zajęcia aktywnej postawy. Co się tyczy Waszej oceny obecnej sytuacji świata i napomknięć Waszych o najbliższej przyszłości, to niewątpliwie wywarły one na większości kolegów pewne wrażenie, niektórym wydały się nawet wręcz sensacyjne, lecz także i w tym punkcie, choć niemal wszyscy mówcy przejawiali szacunek dla wiedzy Waszej i bystrości, nie zdołano stwierdzić większości głosów, opowiadających się za Wami. Przeciwnie, przeważała raczej skłonność do uznania Waszych na ten temat wypowiedzi za godne wprawdzie uwagi i wielce interesujące, lecz przy tym przesadnie pesymistyczne.

Głos pewien zadał również pytanie, czy nie należy uznać takiego straszenia urzędu przez jednego z jego magistrów, ukazującego mu tak ponure obrazy rzekomo nadciągających już prób i zagrożeń za niebezpieczne, nawet bezecne, a w każdym razie lekkomyślne. Oczywiście, wolno niekiedy przypominać o przemijaniu wszelkich rzeczy; każdy człowiek, a zwłaszcza wysokie i odpowiedzialne stanowisko piastujący, winien sam sobie od czasu do czasu wołać *memento mori*; lecz głosić w sposób tak uogólniający i nihilistyczny całemu stanowi magisterskiemu, całemu zakonowi i całej hierarchii bliski już rzekomo koniec jest nie tylko niegodnym zaatakowaniem spokoju duszy i wyobraźni kolegów, ale również zagrożeniem samego urzędu i toku jego wydajnej pracy. Praca każdego z magistrów bowiem w żaden sposób nie zyska na tym, iż co rano przystępować będzie do niej z myślą, że urząd jego, działalność, uczniowie, jego odpowiedzialność wobec zakonu, jego życie w Kastalii i dla niej — że wszystko to już jutro czy pojutrze zginie i istnieć przestanie. A chociaż większość głosu owego nie poparła, uzyskał on jednak niejaki poklask.

Pisemny wywód nasz jest krótki, lecz gotowi jesteśmy do przeprowadzenia rozmowy. Ze skąpej relacji naszej przekonać się już możecie, Szanowny Kolego, iż okólnik Wasz nie wywarł takiego wrażenia, jakiegoście się może po nim spodziewali. Niepowodzenie to polega zapewne głównie na przyczynach realnych, na konkretnie istniejących różnicach pomiędzy Waszymi obecnymi poglądami i pragnieniami a zdaniem większości. Lecz istnieją także przyczyny natury formalnej. Nam przynajmniej wydaje się, iż bezpośrednio, "ustne porozumienie się Wasze z kolegami przebiegłoby znacznie bardziej korzystnie i w bardziej harmonijnej atmosferze. A sądzymy też, że nie tylko pisemna forma okólnika utrudniła Wam to zadanie; znacznie bardziej wpłynął na to ^{fi}ie praktykowany u nas na ogół sposób łączenia kolegiatnej informacji z prośbą osobistą, z podaniem. Większość dopatruje się w takim połączeniu niefortunnej, nowatorskiej próby, niektórzy zaś uznali je wręcz za niedopuszczalne.

I tak oto dochodzimy do najbardziej drażliwego punktu

całej Waszej sprawy, do Waszego podania o zwolnienie ze stanowiska i o wykorzystanie osoby Waszej w szkolnictwie świeckim. Autor podania winien był z góry już wiedzieć, iż urząd na tak niespodzianie złożone, a tak osobliwie uzasadnione podanie przystać nie może, w żaden też sposób ani go pochwalić, ani przyjąć nie zdoła. Urząd udziela nań oczywiście odpowiedzi odmownej.

Cóż stałoby się z hierarchią naszą, gdyby nie istniał już zakon ani decyzja urzędu, która każdego ustawia na jego miejscu! Co stałoby się z Kastalią, gdyby każdy samowolnie oceniać chciał własną osobę, talenta i przydatność swoją i według nich stanowiska dla siebie szukać! Zalecamy mistrzowi gry szklanych paciorków pomedytować nad tym przez czas pewien, a nakazujemy mu nadal sprawować zaszczytny swój urząd, którego kierownictwo poruczyliśmy mu.

Tak oto spełniona zostaje prośba Wasza o odpowiedź na Wasze pismo. Nie mogliśmy udzielić odpowiedzi, jakiej, być może, spodziewaliście się. Nie zamierzamy jednak również przemilczać naszego uznania dla pobudzających i napominających, wartościowych treści Waszego dokumentu. Liczymy na możliwość omówienia jeszcze z Wami ustnie jego treści, i to już wkrótce, gdyż choć kierownictwo zakonu sądzi, iż może Was darzyć zaufaniem, to jednak ów punkt w piśmie Waszym, w którym wspomnienie o uszczupieniu czy też zagrożeniu Waszych kwalifikacji do dalszego sprawowania stanowiska, budzi w kierownictwie zakonu niepokój.

Knecht przeczytał to pismo bez szczególnych nadziei, lecz niesłuchanie uważnie. Mógł sobie doskonale wyobrazić, że „obudził niepokój” urzędu, na co zresztą zdawały się wskazywać inne jeszcze oznaki. Niedawno pojawił się w wiosce ludycznej jakiś gość z Hirsland, zaopatrzony w normalną legitymację i list polecający kierownictwa zakonu; poprosił o kilkudniową gościnę, rzekomo z racji prac w archiwum i bibliotece, prosił również, aby jako gość mógł posłuchać kilku wykładów Knechta; milczący i uważny, starszy ów

łęk pojawiał się we wszystkich oddziałach i salach osiedla, „tytuł o Tegulariusa, kilkakrotnie odwiedził również mieszkającego w pobliżu dyrektora szkoły elitarnej w Wald-ell Nie ulegało wątpliwości: człowiek ów był obserwatorem, wysłanym po to, aby się dowiedział, co dzieje się w wiosce ludycznej, czy można tam stwierdzić jakieś zaniedbania, czy magister jest zdrowy i na swoim miejscu, czy urzędnicy pilnie pracują, czy uczniowie nie wydają się zaniepokojeni. Gość pozostał przez cały tydzień, nie opuścił ani jednego wykładu Knechta, a jego obserwacje i ciche wszędo-byłstwo zwróciły uwagę dwóch urzędników. Kierownictwo zakonu doczekało się więc jeszcze sprawozdania tego inwi-gilatora, zanim przesało magistrowi swą odpowiedź.

Cóż tedy należało sądzić o owej odpowiedzi i kto mógł być jej autorem? Styl tego nie zdradzał, był to banalny a bezosobowy, urzędowy styl, jak tego wymagały okoliczności. Lecz przy bardziej wnikliwym badaniu pismo to ujawniło więcej cech własnych i osobistych, niż można było to zauważyć przy pierwszej jego lekturze. Podstawą całego tego dokumentu był hierarchiczny duch zakonu, sprawiedliwość i umiłowanie ładu. Widać było wyraźnie, jak niepożądane, niewygodne, a nawet przykre i zgorszenie budzące było podanie Knechta, odmowną nań odpowiedź postanowił jej autor przekazać już przy pierwszym jego przejrzeniu i niezależnie od innych opinii. Lecz obok tej odmowy i niechęci wyczuć też można było inne nastawienie i nastrój: wyraźną sympatię, podkreślanie wszystkich łagodnych a życzliwych ocen, jakie wyrażone zostały na posiedzeniu na temat podania Knechta. I Knecht nie wątpił, że autorem owej odpowiedzi był Aleksander, przełożony kierownictwa zakonu.

Dotarliśmy oto do kresu naszej drogi i mamy nadzieję, że zdołaliśmy opowiedzieć najważniejsze szczegóły życiorysu Józefa Knechta. Na temat zakończenia tego życiorysu późniejszy biograf zdoła jeszcze niewątpliwie ustalić i przekazać sporo szczegółów.

Rezygnujemy ze sporządzania własnej relacji o ostatnich i magistra, gdyż nie więcej wiemy o nich niż każdy

student z Waldzell i nic tu lepszego dokonać nie zdołalibyśmy, niż dokonała „Legenda o mistrzu gry szklanych paciorków”, która kursuje wśród nas w licznych odpisach, a której autorami jest zapewne kilku ulubionych uczniów onego. I niechaj ta legenda zakończy naszą księgę.

LEGENDA

iedy słuchamy rozmów naszych kolegów na temat zniknięcia naszego mistrza, przyczyn tegoż zniknięcia, słuszności lub niesłuszności jego decyzji i posunięć, sensowności czy też bezsensowności jego losu, przypominają nam one wywody Diodorusa Siculusa na temat prawdopodobnych przyczyn wylewów Nilu; nie tylko tedy niepotrzebne, lecz i niesłuszne wydaje się nam dorzucanie nowych jeszcze przyczynków do tej dyskusji. Zamiast niej pragniemy zachować w sercu naszym wspomnienie mistrza, który tak rychło po tajemniczym swoim wyrwaniu się w świat przeszedł w bardziej jeszcze obce a tajemnicze zaświaty. I w imię jakże drogiej nam jego pamięci odnotować pragniemy wszystko, co na temat owych wydarzeń do uszu naszych dotarło.

Mistrz, z chwilą gdy odczytał ów list, w którym urząd odmownej udzielał na jego podanie odpowiedzi, poczuł lekki dreszcz, poranne jakby uczucie rzeźkości i chłodu, wskazujące mu, że oto chwila nadeszła, a wahać się i zwlekać dłużej już nie można. Osobliwe to uczucie, które sam zwał "Przebudzeniem", znał z decydujących momentów swego życia: było to ożywcze, a jednocześnie bolesne uczucie, rozstanie i początek jednocześnie, a silnie, niczym wiosenna burza, wstrząsało jego podświadomością. Spojrzał na zega-

rek: za godzinę miał lekcję na kursie. Postanowił poświęcić tę godzinę na medytację, udał się do zacisznego ogródka magisterskiego. A gdy tam szedł, jęła mu towarzyszyć jedna linijka wiersza, jaki nagle sobie przypomniał:

Każdy bowiem początek czarem otoczony...

i wypowiedział ją głośno, nie pamiętając, u jakiego to poety niegdyś ją czytał, lecz wiersz ten odpowiadał mu, podobał mu się, wydawał się też na wskroś dostosowany do obecnego przeżycia. W ogrodzie siadł na przyprószonej pierwszymi zwiędłymi już liśćmi ławce, uregulował oddech i jął walczyć o ciszę wewnętrzną, aż z rozjaśnionym sercem zapadł w medytację, podczas której konstelacja owej godziny jego życia ułożyła się w obrazy ponadosobiste, ogólne. Lecz w drodze powrotnej do małego audytorium znowu przypomniał mu się ów wers, znów musiał się nad nim zastanowić i stwierdził, iż musiał on mieć nieco inne brzmienie. Aż nagle rozjaśniła mu się pamięć i przyszła z pomocą. Jął mówić szeptem:

W każdym początku wielki czar się chowa, Co
nas ochrania i pomaga żyć.

Dopiero pod wieczór jednak, gdy wykład na kursie dawno już się odbył, a wykonane zostały również liczne inne prace tego dnia, odkrył Knecht pochodzenie owego wiersza. Nie był to utwór jakiegoś dawnego poety, lecz znajdował się w jednym z własnych jego wierszy, które pisywał niegdyś jako uczeń i student, a kończył się słowami:

Nuże więc, żegnaj i ozdrowiej, serce!

Jeszcze tego samego wieczoru wezwał Knecht do siebie swego zastępcę, oznajmiając mu, iż nazajutrz musi wyjechać na czas nieokreślony. Przekazał mu, wraz z krótkimi! dyspozycjami, wszystkie sprawy bieżące i pożegnał go życzliwie i rzeczowo, jak zwykle przed jakąś krótką służbową\ podróżą.

Wcześniej już zrozumiał, że przyjaciela swego, Tegulariusa, opuścić musi nie wtajemniczając go ani też obciąża-

... pożegnaniem. Musiał tak postąpić nie tylko dlatego, by oszczędzić nader wrażliwego przyjaciela, lecz również, by nie narażać całego swojego planu. Tegularius pogodzi się zapewne z faktem już dokonanym i z rzeczywistością, podczas gdy niespodziewana rozmowa i scena pożegnania mogły doprowadzić go do jakiegoś nieopanowanego, przykrego wybuchu. Knecht przez chwilę myślał nawet o tym, by wyjechać w ogóle już się z nim nie widząc. Lecz gdy raz jeszcze nad tym się zastanowił, doszedł do przekonania, iż przypominałoby to zbytnio ucieczkę przed trudnościami. I choć mądre i słuszne było zaoszczędzenie przyjacielowi scen, wzburzenia, a także okazji do popełnienia głupstwa, sam magister nie miał prawa oszczędzać siebie. Pół godziny brakowało jeszcze do pory nocnej ciszy, mógł więc odwiedzić jeszcze Tegulariusa, nie przeszkadzając ani jemu, ani innym. Noc już zapadła na rozległym, wewnętrznym podwórku, gdy przezeń przechodził. Zapukał do celi przyjaciela z osobliwym uczuciem: oto ostatni raz! — i zastał go samego. Zaskoczony przy czytaniu, Tegularius powitał go radośnie, odłożył książkę i poprosił gościa, żeby usiadł.

— Przypomniał mi się dzisiaj pewien stary wiersz — jął gawędzić Knecht ■— a raczej kilka jego linijek. Wiesz może, gdzie zdołałbym odnaleźć całość?

I zacytował:

W każdym początku wielki czar się chowa...

Repetent wcale nie potrzebował wiele czasu do namysłu. Po chwili zastanowienia rozpoznał go, wstał i wydobył z pulpitu zapis wierszy Knechta, oryginalny rękopis, który tamten niegdyś mu podarował. Jął go przeglądać i wyciągnął dwie kartki z pierwszą adnotacją tego wiersza. Podał je Magistrowi:

~~ Proszę — powiedział z uśmiechem — zechce wasza wielbność z tego skorzystać. Po raz pierwszy od tak wielu lat raczyliście przypomnieć sobie o owych wierszach.

Józef Knecht uważnie a nie bez wzruszenia przyjrzał się ^{ym} kartkom. Jako student, podczas pobytu swego w insty-tucie wschodnioazjatyckim, zapisał niegdyś obie te kartki

wierszami: odległa przeszłość patrzyła z nich oto ku niemu, wszystko z nich mówiło o zapomnianym już prawie, napo, minajaco jednak i boleśnie budzącym się znowu „wczoraj” — lekko już pożółkły papier, młodzieńcze pismo, skreślenia i poprawki w tekście. Wydawało mu się, że przy pominą sobie nie tylko rok i porę roku, w których wiersze owe powstały, lecz nawet dzień i godzinę, a jednocześnie także ów nastrój, silne, pełne dumy uczucie, które wówczas przepełniało go i uszczęśliwiała i które w tych wierszach wyraził. Napisał je w ów osobliwy dzień, kiedy dostąpił duchowego przeżycia, nazwanego przezeń przebudzeniem.

Tytuł wiersza powstał najwyraźniej przed nim jeszcze, jako pierwszy jego wers. Nakreślony był wielkimi literami, pismem rozpędzonym, zamaszystym, i brzmiał: „Transcendencja!”

Później dopiero, w innym już czasie, innym nastroju i sytuacji życiowej, tytuł ów został wraz z wykrzyknikiem skreślony, a zamiast niego, cieńszymi, drobniejszymi i skromniejszymi literami umieszczono inny. Brzmiał on: „Stopnie”.

Knecht przypomniał sobie teraz znowu, jak wówczas, uskrzydłony ideą swego wiersza, rzucił owe słowo „transcendencja!” niczym zew i rozkaz, napomnienie dla samego siebie, na nowo sformułowane i umocnione postanowienie, by życie swe i pracę pod znakiem tym umieścić, uczynić je transcendencją, zdecydowanym a pogodnym przekraczaniem, wypełnianiem i pozostawianiem za sobą wszelkich przestrzeni, wszelkich dróg. Półgłosem odczytał fragment:

Węc przemierzajmy pogodne przestrzenie,
Lecz żadna niech się ojczyzną nie stanie.
Duch świata nie zna ciasnego spętania: Na
każdym stopniu większe rozszerzenie.

— Zapomniałem o tych wierszach przez te lata — powiedział — a gdy jeden z nich przypadkiem dziś mi się przypomniał, nie wiedziałem już, skąd go znam i że sam go napisałem. Jakież ci się one dziś wydają? Czy mówią ci jeszcze cokolwiek?

Tegularius zastanowił się.

— przy tym właśnie wierszu doznawałem zawsze uczuć obliwych — rzekł wreszcie. — Należy on do nielicznych waszych utworów, których właściwie nie lubiłem, w których „oś mi wadziło czy coś raziło. Ale co by to było, tego wówczas nie wiedziałem. Dziś wydaje mi się, że wiem. Wiersz wasz, Czcigodny, opatrzony jakby rozkazem wymarszu: „transcendencja!”, którego tytuł później zastąpiliście, dzięki Bogu, lepszym, nigdy mi się w istocie nie podobał, bo ma w sobie coś rozkazującego, moralizatorskiego czy też belferskiego. Gdyby można pozbawić go tego elementu czy zetrzeć zeń ów tynk, byłby jednym z najpiękniejszych waszych wierszy, teraz przekonałem się o tym na nowo. I właściwa jego treść wcale niezłe wyrażona została w tytule „Stopnie”, lecz mogliście równie dobrze — lub nawet lepiej — zatytułować go „Muzyka” albo „Istota muzyki”. Abstrahując bowiem od owej moralizatorskiej czy kaznodziejskiej postawy, jest on w istocie rozprawką o istocie muzyki czy może raczej pieśnią pochwalną na cześć muzyki, na cześć jej stałej obecności, pogody i zdecydowania, ruchliwości jej, nieustrudzonej determinacji i gotowości do dążenia coraz dalej, do opuszczania przestrzeni czy też odcinka przestrzeni, na które tylko co wkroczyła. I gdyby się na tych rozważaniach czy pieśni pochwalnej o duchu muzyki skończyło, gdybyście, najwidoczniej już wówczas pedagogicznymi ambicjami ogarnięci, nie zrobili z tego napomnienia czy kazania, wiersz ów mógłby być istnym klejnotem. Lecz w obecnej postaci wydaje mi się on nie tylko zbyt pouczający, zbyt belferski, ale Wykazuje ponadto pewien błąd w myśleniu. Mianowicie, jedynie ze względu na morał równa muzykę z samym życiem, co, chyba co najmniej wątpliwe i godne zakwestionowania, czyni z naturalnego i od wszelkich morałów wolnego Motoru, stanowiącego siłę napędową muzyki, samo „życie”, które odpowiednimi wezwaniami, rozkazami i pouczeniami Pragnie wychować nas i rozwinąć. Słowem, w wierszu tym Pewna wizja, coś jednorazowego, pięknego, wspaniałego, zafałszowane zostaje i wykorzystane w celach dydaktycznych,¹ to właśnie już od początku przeciwko niemu mnie nastrajało.

Magister słuchał owej tyrady z przyjemnością, widząc, jak przyjaciel jego mówi z coraz gorętszym wzburzeniem, które tak u niego lubił.

— Obyś miał rację! — zawołał wół żartobliwie. — Rację masz w każdym razie w tym, co mówisz na temat stosunku owego wiersza do muzyki. Owo „przemierzanie przestrzeni” i zasadnicza myśl moich wierszy wywodzą się istotnie, choć ani o tym wiedziałem, ani na to nie zwracałem uwagi, od muzyki. A czy myśl ową wypaczyłem, a wizję zafalszowałem — nie wiem; może masz rację. Gdy pisałem owe wiersze, nie mówiły one już o muzyce, ale o pewnym przeżyciu, tym mianowicie, że piękna przypowieść muzyczna ukazała mi swoją stronę moralną, stała się dla mnie przebudzeniem, napomnieniem, wezwaniem do życia. Imperatywna forma tego wiersza, która tak szczególnie nie przypadła ci do gustu, nie jest przejawem chęci rozkazywania czy pouczenia, bo rozkazy i pouczenie są wyłącznie do mnie tylko skierowane. A gdybyś już o tym doskonale nie wiedział, mógłbyś być wyczytać to z ostatniej linijki wiersza, mój drogi. Przeżyłem więc jakąś wizję wewnętrzną, pojąłem coś i zrozumiałem, a treść i morał tego przeżycia sam sobie pragnąłem przekazać i zakarbować w pamięci. I chyba dlatego też, choć nie wiedziałem o tym, sam ten wiersz w pamięci mi pozostał. A więc zły czy dobry jest ów wiersz, cel swój w każdym razie osiągnął: zew ten żył we mnie dalej i nie został zapomniany. Dzisiaj brzmi on dla mnie jak coś nowego: piękne to, acz drobne przeżycie, a twoje kpiny zepsuć mi go nie potrafią. Ale czas już iść. Jakże piękne były to czasy, miły kolego, gdy obaj, jeszcze studenci, tak często mogliśmy sobie pozwolić na łamanie regulaminu i przegadywanie całych nocy. Magistrowi tak już postępować nie wolno, a szkoda!

— Ach — mruknął Tegularius ■ — można by się na to i te raz zdobyć, jeno brak człowiekowi odwagi.

Knecht ze śmiechem położył mu rękę na ramieniu.

— Co się tyczy odwagi, mój kochany, to gotów byłbym jeszcze do płatania całkiem innych figlów. No, dobranoc, stary zrzędo!

Rozweselony, opuścił celę, spoważniał jednak znowu, gdy ogarnęła go nocna cisza pustych korytarzy i podwórców osiedla: była to powaga pożegnania. Pożegnania zawsze budzą wspomnienia, Knechta zaś ogarnęło po drodze wspomnienie owej pierwszej chwili, gdy chłopcem będąc jeszcze, świeżo przyjętym uczniem Waldzell, po raz pierwszy szedł pełen oczekiwania i nadziei przez Waldzell i Vicus Lusorum i dopiero teraz, pod chłodnymi, milczącymi wśród nocy drzewami, w otoczeniu zabudowań, poczuł z przejmującym bólem, że wszystko to ogląda po raz ostatni, po raz ostatni słyszy przycichanie i zasypianie tego za dnia tak ożywionego osiedla, po raz ostatni dostrzega błysk małego światełka nad domkiem odźwiernego, odbijającego się w źródlanej wodzie, po raz ostatni patrzy na nocne chmury, przeciągające ponad drzewami magisterskiego jego ogródka. Wolnym krokiem obchodził wszystkie drogi i zakątki wioski ludycznej, poczuł ochotę otworzenia raz jeszcze furki swego ogrodu i wejścia tam, nie miał jednak przy sobie klucza, co pomogło mu szybko opamiętać się i otrzeźwieć. Wrócił do swego mieszkania, napisał jeszcze parę listów, wśród nich także do Designoriego, zapowiadając swoje przybycie do stolicy, a potem w pełnej skupieniu medytacji wyzwoił się ze wszelkich wzruszeń owej chwili, aby rankiem mieć dość sił na ostatnią swoją pracę w Kastalii: na rozmowę z przełożonym zakonu.

Nazajutrz wstał magister o zwykłej porze, zamówił powóz i wyjechał; niewielu tylko ludzi zauważyło ten wyjazd, żadnych też nie wzbudził on domysłów. Rankiem, Przez pierwsze mgły wczesnej jesieni, jechał Knecht do Hirsland; przybył tam około południa, kazał się też zaraz zameldować u magistra Aleksandra, przełożonego kierownictwa zakonu. Miał przy sobie, owiniętą w chustę, piękną metalową szkatułkę, którą wyjął był z pewnego tajnego schowka w swej kancelarii, a która zawierała insygnia jego godności: pieczęć i klucze.

„wielkim" pokoju recepcyjnym kierownictwa zakonu to go z niejakim zdziwieniem, nigdy bowiem niemal zdarzało się, by jakiś magister pojawił się tutaj nie za-

meldowany uprzednio ani nie wzywany. Na polecenie przełożonego zakonu podano mu posiłek, po czym otworzono dla niego celę odpoczynku przy starym krużganku, powiadając, iż Przewielebny zdoła zapewne za dwie lub trzy godziny znaleźć wolną chwilę, żeby go przyjąć. Knecht kazał sobie przynieść egzemplarz reguły zakonu, usiadł, przeczytał cały ów zeszyt i po raz ostatni upewnił się, iż zamiar jego był prosty i na wskroś legalny, mimo iż nawet w tej jeszcze chwili niemożliwe wydawało mu się ujęcie w słowa właściwego jego sensu i wewnętrznej słuszności. Przypomniał sobie pewne zdanie reguły, na temat którego kazano mu niegdyś, w ostatnich dniach jego studiów i młodzieńczej swobody, medytować: było to tuż przed przyjęciem go do zakonu. Raz jeszcze odczytał to zdanie, przemyślał je i poczuł, jak bardzo odmienny jest już w tej chwili od owego, nieco bojaźliwego, młodego repetenta, którym był podówczas. „Jeśli wysoki urząd — brzmiało ono miejsce w regule —• powoła cię na jakieś stanowisko, to wiedz: wszelkie wstępowanie po stopniach urzędów nie jest krokiem ku wolności, ale ku związaniu. Im większa urzędowa władza, tym surowsza służba. Im silniejsza osobowość, tym usilniej wzbroniona samowola”. Jakże to wszystko brzmiało niegdyś jednoznacznie i definitywnie i jak ogromnie zmieniło się dlań od owych czasów, a nawet w przeciwieństwo swoje obróciło znaczenie niektórych słów, zwłaszcza tak dwuznacznych jak „związanie”, „osobowość” czy „samowola”! A jakże piękne, jasne, zwarte i niezwykle sugestywne były owe zdania, jakże umiały wydać się młodemu umysłowi absolutne, ponadczasowe i na wskroś prawdziwe! Och, i byłyby nimi z pewnością, gdyby tylko Kastalia doprawdy była też światem, całkowitym, różnorodnym, a przecie niepodzielnym, zamiast stanowić jeno światek w owym świecie lub śmiało, lecz sztucznie dokonany w nim wycinek! Gdyby ziemia była szkołą elitarną, zakon zaś wspólnotą wszystkich ludzi, a kierownictwo zakonu Bogiem, jakże doskonale byłyby wówczas owe zdania i cała reguła! Ach, gdybyż istotnie tak było, jakże wspaniałe, kwitnące i w niewinności swej piękne byłoby.

• . je! A niegdyś było tak przecież istotnie, niegdyś potra-
+■} tak na to patrzeć i tak to przeżywać: zakon i ducha
i- italskiego jako pierwiastek boski, absolutny, prowincję
'ako świat, Kastalczyków jako ludzkość, niekastalską zaś
cześć owej całości jako dziecinny jakiś świątek, przedsiónek
prowincji, ugór, na prawdziwą kulturę i wyzwolenie do-
piero czekający, który z szacunkiem spoglądał ku Kastalii
i co pewien czas przysyłał jej gości tak miłych, jak młody
Plinio.

Jakże osobliwie przedstawiała się też sytuacja jego samego,
Józefa Knechta, i jego intelektu! Czyż owej, jemu tylko
właściwej cechy pojmowania i rozumienia, przeżywania
rzeczywistości, którą określał mianem przebudzenia, w cza-
sach dawniejszych, a nawet wczoraj jeszcze nie uważał za •
stopniowe docieranie do serca świata, do sedna prawdy,
nie miał niejako za absolut, za drogę czy też postępowanie
napizód, krok za krokiem wprowadzić tylko możliwe, lecz
jako idea ciągle a prostolinijne? Czyż niegdyś, za młodu,
nie uważał za oznakę przebudzenia i postępu, bezwarun-
kowo cenną i słuszną, uznawanie wprowadzić świata ze-
wnętrznego, mianowicie w postaci Plinia, ale przy jedno-
czesnym świadomym i dokładnym zachowaniu względem
niego kastalackiego dystansu? A oznaką postępu i prawdy było
także, gdy po wielu latach zwątpienia zdecydował się na grę
szklanych paciorków i życie w Waldzell. I potem jeszcze,
gdy pozwolił się mistrzowi Tomaszowi włączyć do służby, a
mistrzowi muzyki przyczynić do przyjęcia go do zakonu, a
później uzyskać nominację na magistra. Były to wszystko
drobne albo i wielkie kroki na pozornie tylko prostej drodze
— a przecież teraz, u kresu owej drogi, bynajmniej nie
dotarł do serca świata i sedna prawdy, lecz obecne
przebudzenie było toż tylko otwarciem oczu i zorientowaniem
się w nowej sytuacji, włączeniem się w *no*-⁰a. konstelację.
I ta sama surowa, jasna, jednoznaczna a Prosta ścieżka,
która zawiodła go do Waldzell, do Maria-fels, do zakonu,
do urzędu magistra, teraz oto z nich go wyprowadzała. Szereg
owych aktów przebudzenia stanowił jednocześnie szereg
pożegnań. Kastalia, gra szklanych pa-

ciorków, godność mistrza były kolejnymi tematami, które należało przekształcić i zrealizować, przestrzenią, którą przemierzyć i przekroczyć musiał. I oto znajdowały się one już poza nim. Najwidoczniej też już niegdyś, gdy myślał i postępował w sposób wręcz przeciwny do dzisiejszych swych myśli i czynów, coś wiedział już lub przynajmniej przeczuwał z owej sprzeczności: bo czyż nad wierszem, który napisał jako student, wierszem traktującym o stopniach i pożegnaniach, nie umieścił z wykrzyknikiem słowa „Transcendencja” — przekroczenie?

Tak tedy droga jego toczyła się w kółko, czy też może na podobieństwo elipsy albo spirali, czy inaczej może jeszcze, ale nie po linii prostej, prostoliniowość należała bowiem najwyraźniej jedynie do geometrii, a nie do natury, nie do życia. Wezwaniu, ku sobie samemu zwróconemu i mającemu dodać mu odwagi, dał przecież doprawdy posłuch, nawet wówczas, gdy od dawna zapomniał już o tym wierszu i ówczesnym swym przebudzeniu, usłuchał go wprawdzie nie w pełni, nie bez ociągnięć, zwątpień, wahań i walk, lecz kroczył przecież stopień po stopniu, jedną po drugiej, przemierzał przestrzenie, odważny, skupiony i nawet pogodny, nie tak co prawda promieniejący jak stary mistrz muzyki, ale bez zmęczenia i zamącenia, bez odstępstwa i zdrady. Jeśli zaś teraz, w pojęciu Kastalii, popełnił odstępstwo i zdradę, jeśli wbrew wszelkiej moralności zakonu, pozornie na własną jedynie korzyść, a więc samowolnie, postępował, dokona tego również w duchu odwagi i muzyki, czyli utrzymując takt i pogodnie, cokolwiek by dziać się miało. Gdybyż mógł wyjaśnić i udowodnić także i innym to, co jemu samemu wydawało się tak jasne: że mianowicie owa „samowola” obecnych jego poczynań była w istocie służbą i posłuszeństwem, że szedł oto nie ku wolności, lecz ku nowym, nie znanym i niesamowitym powiązaniom; nie zbiegiem był, lecz powołanym, nie z woli własnej, lecz w posłuszeństwie, nie panem, jeno ofiarą! A jakże się przedstawiała sprawa owych cnót, pogody, utrzymywania taktu, odwagi? Pomniejszyły się, lecz nadal istniały- I jeśli nie mogło już być mowy o chodzeniu, lecz o pro-

dzeniu tylko, jeśli nie istniała samodzielna transcenden-
■ jeno przestrzeń obracająca się wokół niego, stojącego
ośrodku niej, cnoty mimo wszystko przetrwały, zachowa-
wały wartość swoją i urok, polegały na afirmacji zamiast
negacji; na posłuszeństwie zamiast uników, a może po tro-
chu i na tym, że postępował i myślał tak, jak gdyby był
panem i człowiekiem aktywnym, że przyjmował życie i ową
autosugestię, ową uludę i pozór decydowania o sobie i włas-
nej odpowiedzialności wcale ich nie badając, że po prostu
i z nie znanych przyczyn był stworzony raczej do czynów
niż do wiedzy, był bardziej ziemski niż duchowy. O, gdy-
byż można odbyć na ten temat rozmowę z ojcem Jakubem!
Myśli takie i marzenia były echem medytacji Knechta.
Przy „przebudzeniu” nie chodziło bowiem o prawdę i świa-
domość, lecz o rzeczywistość, o jej przeżycie i wytrwanie
wśród niej. W przebudzeniu nie docierało się bowiem bli-
żej sedna rzeczy, bliżej prawdy, pojmowało się jedynie,
dokonywało lub z bólem przeżywało nastawienie własnego
„ja” względem aktualnego stanu rzeczy. Nie natrafiało się
przy tym na prawa, lecz na decyzje, nie docierało się też
do sedna świata, jedynie do sedna własnej osoby. I dlatego
też wszystkie te przeżycia tak trudno było innym przeka-
zać, tak osobliwie trudne” były one do wyrażenia i sformu-
łowania: informacje z tej dziedziny życia, wydawało się,
nie należą do sfery możliwej do przekazania. A jeśli, przy-
padkiem, ktoś chociaż część tego rozumiał, musiał być ów
rozumiejący człowiekiem w podobnej sytuacji, tak samo
cierpiącym lub tak samo się budzącym. Po trochu pojął go
niegdyś Fritz Tegularius, jeszcze odrobinę dalej sięgało zro-
zumienie Plinia. Ale kogóż mógł tu jeszcze wymienić? Ni-
kogo.

Zmierch zaczął już zapadać, a Knecht był całkowicie w
myślach swoich uwikłany i zatopiony, gdy rozległo się pu-
kanie do drzwi. Ponieważ nie zaraz się ocknął i odpowie-
dział, ten, który czekał za drzwiami, trwał tak przez chwili
po czym ponownie spróbował cicho zapukać. Teraz
Knecht odpowiedział, wstał i poszedł z posłańcem, który
zaprowadził go do budynku kancelarii, a potem, bez żąd-

nego już meldowania, do gabinetu przełożonego. Mistrz Aleksander wyszedł mu naprzeciw.

— Szkoda — rzekł — że przybywacie nie zapowiedziany, dlatego też musieliście czekać. Bardzo ciekaw posłyszeć, co też was tak nagle tu sprowadza. Chyba nic złego?

Knecht się roześmiał.

— Nie, nic złego. Ale czyż doprawdy pojawiając się tak nieoczekiwanie i wcale wyobrazić sobie nie możecie, co mnie tu sprowadza?

Aleksander z powagą i troską spojrzął mu w oczy:

— No, owszem — przyznał — pomyśleć mogę sobie to i owo. Myślałem na przykład w ciągu ostatnich dni, iż sprawa tego waszego okólnika z pewnością w mniemaniu waszym nie jest jeszcze załatwiona. Urząd musiał odpowiedzieć nań krótko i w pewnym, być może, rozczarowanie wam, *domine*, przynoszącym sensie i tonie.

— Nie — odparł Józef Knecht. — W istocie chyba nie spodziewałem się czegoś innego niż to, co treść owej odpowiedzi urzędu zawiera. A co się tyczy jej tonu, to właśnie on przyjemność mi sprawił. Wydedukowałem z owego pisma, że przyniosło ono jego autorowi kłopot, niemal przykrość, i że odczuwał on potrzebę przymieszania do tej niemiłej dla mnie, a trochę i zawstydzającej odpowiedzi kilku kropel miodu, co też mu się znakomicie udało, a ja wdzięczny mu za to jestem.

— I treść owego pisma, eminencjo, przyjęliście?

— Do wiadomości, owszem, w istocie zresztą też zrozumiałem ją i uznałem. Odpowiedź ta nie mogła zresztą chyba przynieść nic innego, prócz odmowy na moje podanie, połączonej z łagodnym upomnieniem. Okólnik mój był czymś niezwykłym, a dla urzędu mocno niewygodnym, nigdy o tym nie wątpiłem. Ponadto zaś, skoro zawierał jeszcze i osobiste podanie, był też zapewne niezbyt racjonalnie sformułowany. Trudno, abym spodziewał się innej niż od mowa odpowiedzi.

— Miło nam — odezwał się nieco ostrzejszym już tonem przełożony zakonu — że tak na to patrzycie i że pismo nasze nie zdołało wobec tego boleśniej czy choćby przykro

zaskoczyć. Bardzo nam to miłe. Lecz jednej rzeczy nie
urni^{em} jeszcze. Skoro już przy pisaniu i formułowaniu
pisma — bo chyba dobrze was rozumiem? — nie w
jego skuteczność i pozytywną na nie odpo-

iey

wiedź, a nawet z góry już przeświadczeni byliście o jego
niepowodzeniu, po cóżeście ten wasz okólnik, który mimo
wszystko wielkiej przecież wymagał pracy, ukończyli, prze-
pisali na czysto i wysłali? Knecht, udzielając odpowiedzi,
patrzył nań życzliwie:

_Panie przełożony, pismo moje dwie zawierało treści,
dwa zamiary, a nie wydaje mi się, aby oba pozostały tak
całkowicie bez rezultatu i skutku. Zawierało ono osobistą
prośbę o zwolnienie ze stanowiska i wykorzystanie mojej
osoby na innym miejscu; osobistą tę prośbę wolno mi było
uważać za coś raczej drugorzędnego, każdy przecież magi-
ster powinien, jak tylko może, na dalszy plan odsuwać
swe osobiste sprawy. Prośbę tę odrzucono i z tym musia-
łem się pogodzić. Ale okólnik mój zawierał ponadto jeszcze
bardzo wiele innych rzeczy, prócz owej prośby, zawierał
mnóstwo faktów, a po części też myśli, które uważałem za
swój obowiązek przekazać do wiadomości urzędu i polecić
jego uwadze. Wszyscy magistrowie, czy też przynajmniej
większość magistrów, przeczytała te moje rozważania, by
nie rzec tu — napomnienia, a choć przeważnie, co zrozu-
miała, nader niechętnie spożywali oni ową strawę i nie-
chęcią też na nią odpowiadali, mimo wszystko czytali to
i w siebie wchłonęli, to właśnie, co sądziłem, iż muszę im
powiedzieć. Fakt, że pisma tego nie przyjęli z uznaniem,
nie jest w mym przekonaniu niepowodzeniem, nie szukałem
przecież poklasku i afirmacji, dążyłem raczej właśnie do
Wywołania wstrząsu i niepokoju. Żałowałbym niezmiernie,
gdybym z wymienionych przez was powodów zrezygnować
miał z wysłania tej mojej pracy. Niezależnie bowiem od
tego, czy większy, czy też mniejszy wywołała efekt, była,
mimo wszystko, pobudką i wezwaniem.

■ — Zapewne — ociągliwie przyznał przełożony — lecz dla
mnie nie stanowi to jeszcze wcale rozwiązania zagadki. Je-
śli zamierzaliście przekazać urzędowi napomnienia, ostrze-

żenią i pobudki, czemuż osłabiliście działanie tych waszych złotych słów czy co najmniej na takie narazili je niebezpieczeństwo, łącząc je z prywatną prośbą i ponadto jeszcze z prośbą, w której spełnienie i samą nawet możliwość spełnienia sami właściwie nie wierzyliście? Na razie ciągle jeszcze tego nie rozumiem. Lecz rzecz się zapewne wyjaśni, gdy razem wszystko to omówimy. W każdym razie na tym polega najslabszy punkt waszego okólnika: na połączeniu owej pobudki z podaniem, napomnieniem z prośbą. Nie byliście wszak zmuszeni — jak przypuszczać należy — do wykorzystania owego podania jako *vehiculum* dla ostrzegawczej waszej przemowy. Z łatwością mogliście przecież — ustnie lub pisemnie — dotrzeć do waszych kolegów, skoro uznaliście, iż potrzebują wstrząsu. A podanie poszłoby wówczas własną, urzędową drogą.

Knecht nadal patrzył nań przyjaźnie:

— Owszem — rzekł lekko. — Możliwe, iż macie słusność. Chociaż — przyjrzyjcież się raz jeszcze tej zawilej sprawie! Zarówno ostrzegawcza ta przemowa, jak i podanie, nie były czymś powszednim, zwykłym i normalnym, są jednak ze sobą już wskutek tego powiązane, że były niezwykle, a powstały z rozterki i umieściły się poza granicami konwencji. Nie jest rzeczą przyjętą ani normalną, aby jakikolwiek człowiek bez najgwałtowniejszej, zewnętrznej przyczyny jął nagle zaklinać swoich kolegów, aby przypomnieli sobie o śmiertelności swojej i problematyczności całej swej egzystencji, a nadto nie jest też rzeczą przyjętą ani normalną, aby kastalski magister ubiegał się o stanowisko nauczyciela w szkole poza granicami prowincji. I pod tym względem treści obu tych moich pism doskonale do siebie pasują. Dla czytelnika, który całe to pismo potraktowałby naprawdę poważnie, rezultat owej lektury musiałby, jak sądzę, brzmieć następująco: tu nie tylko zdziwaczały nieco człowiek przecucia swoje obwieszcza i kazania kolegom swoim wygłaszać zamierza, lecz człowiek ten, wraz z rozterką swą i myślami, mówi to wszystko na wskroś poważnie, gotów jest odrzucić stanowisko swoje, godność i przeszłość i na najskromniejszym miejscu zacząć wszystko na

wo, dość ma tej godności, spokoju, szacunku i autorytetuⁿ gnie pozbyć się ich, odrzucić je. A z rezultatu takie-____ nadal usiłuję myślowo przekształcić się w czytelnika swojego pisma — można by, jak mi się wydaje, dwa wysnuć wnioski: że autor tego moralizatorskiego kazania jest, niestety, cokolwiek pomyłony, a więc i tak już nie nadaje się na magistra, lub też: skoro autor tego niemiłego kazania najwyraźniej nie jest wariatem, lecz człowiekiem zdrowym i normalnym, musi za tymi jego kazaniem i pesymizmem kryć się coś więcej niż kaprys i dziwactwo, mianowicie jakaś rzeczywistość, jakaś prawda. Tak sobie mniej więcej wyobrażałem ów proces w głowach czytelników i przyznać muszę, iż się przy tym przeliczyłem. Zamiast by podanie i wezwanie moje wzajemnie się wspierały i umacniały, obu nie potraktowano poważnie i oba odłożono na bok. Nie jestem ani nadmiernie zasmucony owym odrzuceniem, ani też właściwie zaskoczony, w istocie bowiem, a muszę to powtórzyć, spodziewałem go się mimo wszystko, w istocie też, i z tym zgodzić się należy, na odrzucenie takie zasłużyłem. Podanie moje bowiem, w którego skuteczność nie wierzyłem, było swego rodzaju podstępem, gestem, formułką.

Twarz mistrza Aleksandra stała się jeszcze bardziej poważna, niemal posępna. Nie przerywał jednak magistrowi.

— Nie było tak — mówił dalej Knecht — abym wysyłając moje podanie poważnie żywił nadzieję na pozytywną odpowiedź i cieszył się na nią, lecz i nie tak, żebym gotów był posłusznie przyjąć odpowiedź odmowną, jako decyzję przełożonych.

— ...nie byliście gotowi przyjąć odpowiedzi waszego urzędu jako decyzji przełożonych? Czy nie przesłyszałem się, magistrze? — przerwał mu przełożony, ostro akcentując każde słowo. Najwidoczniej teraz dopiero w pełni pojął poważną sytuację.

Knecht skłonił się lekko:

— Oczywiście, nie przesłyszeliście się. Było tak, iż prawieⁿie mogłem wierzyć w powodzenie mojego podania, a mimo^{to} sądziłem, że podanie to muszę złożyć, aby zadośćuczynić

porządkowi i formom. I w ten sposób dawałem arcysr?-chetnemu urzędowi niejako do rąk możliwość załatwić n a całej tej sprawy polubownie. Jeśliby zaś urząd do ro"wiązania takiego nie okazał się skłonny, cóż, już wówczas zdecydowałem, iż nie pozwolę się uspokoić i zbyć byle czy cn, lecz będę działać.

— A działać w jaki sposób? — cichym głosem zapytał Aleksander.

— Tak, jak mi to rozum i serce nakazuje. Zdecydowa ny byłem złożyć mój urząd i podjąć pracę poza granicami Kastalii również i bez zlecenia czy urlopu, udzielonego .ni przez urząd.

Przełożony zakonu zamknął oczy i wydawało się, że już nie słucha. Knecht pojął, iż wykonuje on owo ratynkowe ćwiczenie, z którego pomocą członkowie zakonu w wypadku nagłego zagrożenia lub niebezpieczeństwa usiłują zapewnić sobie opanowanie i spokój wewnętrzny, a które polegało na dwukrotnym, bardzo długim wstrzymaniu oddechu przy pustych płucach. Ujrzał twarz tego człowieka, świadomy, iż winien jest jego przykrego położenia, twarz pobladłą nieco, potem zaś w miarę powolnego, od mięśni brzucha rozpoczynającego się wdechu nabierającą znowu barwy, ujrzał otwierające się znowu oczy tego lak wysoko przezeń cenionego, a nawet kochanego człowieka, patrzące przez moment nieruchomo i błędnie, budzące się jednak niebawem i nabierające siły; z lekkim uczuciem przerażenia widział to jasne, opanowane, zawsze w ryzach utrzymywane spojrzenie człowieka, równie wielkiego w posłuszeństwie, jak i w rozkazywaniu, zwracające się oto ku niemu, przypatrujące mu się z pełnym opanowania chłodem, ogarniające go i osądzające. Długo musiał znosić owo spojrzenie w milczeniu.

— Wydaje mi się, że teraz was zrozumiałem — powiedział wreszcie spokojnym głosem Aleksander. — Od dłuższego już czasu byliście zmęczeni stanowiskiem waszym, cz; Kastalią, czy też wreszcie udęczeni pragnieniem życia świeckiego. Postanowiliście posłuchać raczej tego nastroju! niż praw i obowiązków waszych, nie odczuwaliście też *po-*

trzeby zwierzania się nam i poszukania rady i pomocy w ikonie. Aby więc sprostać formalności i odciążyć własne sumienie, zwróciliście się do nas z tym podaniem, z podaniem, o którym wiedzieliście, że będzie dla nas nie do przyjęcia, na które moglibyście się jednak powołać wówczas, gdyby doszło do omówienia tej sprawy. Załóżmy, że mieliście określone powody tak niezwyklego waszego zachowania i że zamiary wasze były uczciwe i godne szacunku, nic zresztą innego nie potrafię sobie wyobrazić. Ale jakże się to stać mogło, że żywiąc w sercu swoim takie myśli, postanowienia i pragnienia, w głębi duszy już będąc dezertrem, zdołaliście przez czas tak długi w milczeniu trwać na waszym urzędzie i, jak się wydaje, bezbłędnie nadal go sprawować?

— Przybyłem tu — odparł z niezmienną życzliwością mistaz gry szklanych paciorków — aby omówić z wami to wszystko, odpowiedzieć wam na każde pytanie, a z chwilą gdy raz już wszedłem na ową drogę samowoli, postanowiłem nie wcześniej opuścić Hirsland i dom wasz, aż się przekonam, że choć po części zdołaliście zrozumieć sytuację moją i postępowanie.

Mistrz Aleksander opamiętał się:

— Czyż ma to znaczyć, iż spodziewacie się, że kiedykolwiek uznam za słuszne zarówno wasze postępowanie, jak i wasze plany? — zapytał po chwili wahania.

— Ach, o uznaniu wolę nie myśleć. Mam tylko nadzieję i spodziewam się, że mnie zrozumiecie i że zachowam sobie resztkę waszego szacunku, gdy stąd odejdę. Jedyne to jeszcze pożegnanie w naszej prowincji, jakiego muszę do końca. Waldzell i wioskę ludyczną opuściłem już dzisiaj na zawsze.

Aleksander znów na kilka sekund zamknął oczy. Zbyt gwałtownie spadały nań informacje tego niepojętego człowieka.

— Na zawsze? — powtórzył. — Nie macie tedy wcale już zamiaru powrócić na swój posterunek? Muszę powiedzieć, że umiecie robić niespodzianki. Jedno pytanie, jeśli wolno:

czy właściwie uważacie siebie jeszcze za mistrza gry szklanych paciorków, czy nie?

Józef Knecht sięgnął po szkatułkę, którą ze sobą przywiózł.

— Byłem nim do wczoraj — stwierdził — a sędzę, że dzisiaj zostaną już od tego uwolniony, składając urzędowi nasze ręce pieczęcie i klucze. Są one nietknięte, a także i w wiosce ludycznej, gdy udacie się tam na kontrolę, zastaniecie porządek.

Przełożony zakonu podniósł się teraz powoli z krzesła, wydawał się zmęczony i nagle postarzały.

— Na dzisiaj pozostawimy tutaj tę waszą szkatułkę —] powiedział oschle. — Jeśli zaś przyjęcie pieczęci ma być równoznaczne z jednoczesnym zwolnieniem was ze stanowiska, to i tak nie jestem tu kompetentny, musiałaby asystować przy tym co najmniej jedna trzecia całego urzędu. Tak dobrze znaliście przecież dawniej te stare obyczaje i formy, nie mogę się tak szybko przyzwyczaić do nowego waszego sposobu bycia. Może zechcecie łaskawie dać mi jeszcze nie co czasu, do jutra, zanim zaczniemy kontynuować tę naszą rozmowę?

— Jestem całkowicie do waszej dyspozycji, ekscelencjo, Znacie mnie od wielu już lat i wiecie, jak głęboki żywię dla was szacunek: zechciejcie uwierzyć, że nic się w tym względzie nie zmieniło. Jesteście jedynym człowiekiem, z którym żegnam się, opuszczając prowincję, a nie czynię tego jedynie ze względu na wysoki wasz urząd przełożonego kierownictwa zakonu. I podobnie, jak owe pieczęcie i klucze, które do rąk waszych oddałem, żywię też nadzieję, *dominę*, że po ostatecznym zakończeniu naszej rozmowy, uwolnicie mnie też z zakonnych moich ślubów.

Aleksander spojrział mu w oczy smutno i badawczo, tłu miąc westchnienie:

— Zostawcie mnie teraz samego, czcigodny. Jak na jeden dzień dość mi przysporzyliście trosk i tematu do rozmyślań; Na dzisiaj wystarczy. Jutro porozmawiamy dalej, przyjdźcie tu znowu na jaką godzinę wcześniej, nim wybije południe!

Pożegnał magistra uprzejmym gestem, a gest ów pełę:

rezygnacji i rozmyślnej uprzejmości nie do kolegi już, lecz do całkiem obcego się odnoszący bardziej od słów zabolął mistrza gry szklanych paciorków.

Famulus, który w chwilę później przyszedł, by zaprowadzić Knechta na wieczerzę, zawiódł go do stołu dla gości i zameldował, że mistrz Aleksander wycofał się na dłuższą medytację, a przypuszcza, iż pan magister również nie życzy sobie dzisiaj przebywać w towarzystwie: pokój gościny jest dlań gotowy.

Aleksander był całkowicie zaskoczony wizytą i słowami mistrza gry szklanych paciorków. Od chwili, gdy redagował odpowiedź urzędu na pismo Knechta, liczył się wprawdzie z tym, że kiedyś się on pojawi, z pewnym też niepokojem myślał o czekającej ich obu rozmowie. Lecz uważał za rzecz absolutnie niemożliwą, aby magister Knecht, zawsze będący wzorem posłuszeństwa, starannie przestrzegający właściwych form, pełen taktu i pokory, mógł się pewnego dnia pojawić przed nim nie zameldowany, samowolnie i bez uprzedniego powiadamiania urzędu porzuciwszy swe stanowisko, w tak zdumiewający sposób pogwałciwszy wszelkie tradycje i obyczaje. Zgoda: sposób bycia Knechta, ton jego i wyrażenia, jego pełna rezerwy uprzejmość bynajmniej się nie zmieniły, lecz jakże straszliwie przykra, nowa i zdumiewająca, o, jakże z gruntu niekastalska była treść i duch tego, co mówił! Nikt, widząc lub słysząc magistra ludzi, nie powziąłby podejrzenia, że to człowiek chory, przepracowany, rozdrażniony i nie w pełni władający sobą; dokładne obserwacje, które urząd niedawno wszak jeszcze kazał poczynić w Waldzell, także nie wykazały najmniejszych oznak zaburzeń, nieładu lub zamętu w życiu i pracach wioski ludycznej. A mimo to pojawił się oto tutaj ów straszny człowiek, do wczoraj jeszcze spośród Wszystkich kolegów Aleksandrowi najmiłszy, postawił szkatułkę z urzędowymi insygniami, niczym podrózną torbę, oświadczył, że przestał być magistrem, przestał być członkiem urzędu, przestał być bratem zakonnym i Kastalczykiem i wpadł jedynie na chwilę, żeby się pożegnać. Najstraszliwsza, najtrudniejsza i najohydniejsza była to sytuacja-

cja, w jaką kiedykolwiek dostał się Aleksander jako przeto- 3
żony zakonu, panował więc nad sobą z niezmiernym tru-]
dem.

A cóż dalej? Czy miał się uciec do przemocy, kazać na i
przykład osadzić magistra ludzi w honorowym areszcie i na- j
tychmiast, teraz, zaraz, tego wieczoru jeszcze wysłać piLie]
wezwanie do wszystkich członków urzędu, zwołując ich na|
naradę? Czy cokolwiek przemawiało przeciwko temu, czyi
nie był to pomysł najprostszy i najśluszniejszy? A jednak'
coś w nim samym temu się sprzeciwiało. I cóż właściwie
osiągnąć można z pomocą takich kroków? Dla magistra
Knechta jedynie upokorzenie, dla Kastalii nic zgoia, najwy-^
żej dla niego, dla przełożonego tylko, niejakie odciążenie i
ulgę w sumieniu, gdyż nie stałby już wówczas wobec
wszystkich tych ohydnych a trudnych spraw wyłącznie za|
nie odpowiedzialny. Jeśli można było w ogóle cokolwiek
zrobić jeszcze w fatalnej tej sprawie, apelować m przykład
do poczucia honoru Knechta i nakłonić go do zmiany za-
miarów, to osiągnąć dałoby się to jedynie w ro2mowie w
cztery oczy. Oni dwaj, Knecht i Aleksander, mieli stoczyć
ze sobą tę zaciętą walkę, i nikt poza nimi. A myśląc tak,
przyznać musiał przełożony Knechtowi, że w istocie postę-
puje on słusznie i szlachetnie, unikając urzędu, którego już
nie uznawał, stając jednak przed nim, Aleksandrem, do
ostatniej walki i pożegnania. Ów Józef Knecht, nawet czy-
niąc rzeczy zakazane i wstrętne, postępował zawsze tak-
townie i zachowując w pełni swobodną postawę.

Mistrz Aleksander Dostanowił zawierzyć swoim rozmyśla-
niom, a cały urzędowy aparat pominąć. Teraz dopiero, gdy
powziął ową decyzję, jął zastanawiać się nad szczegółami
sprawy, przede wszystkim zadając sobie pytanie, czy słusz-
ne, czy też niesłuszne jest postępowanie magistra, który
sprawiał wrażenie człowieka na wskroś przekonanego o
swym prawie do tak niesłychanego kroku. Aleksander, usi-
lując sprowadzić do wspólnego mianownika śmiały ów za-
mysł mistrza gry szklanych paciorków i zbadać go w opar-
ciu o reguły zakonu, których nikt lepiej od niego nie znał,
doszedł do zdumiewającego wniosku, że istotnie czyn Józ-

„fa Knechta zgodnie z brzmieniem reguł nie był ich powołaniem ani nie świadczył o chęci przekroczenia ich, ponieważ, według brzmienia owych zasad, od dziesiątków lat wprawdzie już wnikliwie pod kątem dalszej ich ważności nie badanego, istotnie każdy członek zakonu mógł w każdej chwili z tej społeczności wystąpić, rezygnując jednocześnie z praw Kastalii i jej wspólnoty. Jeśli tedy Knecht oddawał swoje pieczęcie, zgłaszał zakonowi, iż z niego występuje, i wyruszał w świat, popełniał w ten sposób wprawdzie rzecz od niepamiętnych czasów nie praktykowaną, niebywałą, niezwykłą, przerażającą, może nawet bardzo nieprzystojną, nie wykraczał jednak przeciwko dosłownemu brzmieniu zakonnych reguł. A fakt, iż niepojęty ów, choć z punktu widzenia prawa bynajmniej nie karygodny, krok uczynić zamierzał nie za plecami urzędu i jego kierownictwa, lecz niejako oko w oko z nim, świadczył, że uczynił nawet więcej, niż to, do czego zobowiązywała go literatura prawa. Ale jakże czcigodny ów człowiek, podpora hierarchii, w ogóle do tego doszedł? Jakże mógł dla zamiaru swojego, który mimo wszystko był dezercją, wykorzystywać zapis reguły, skoro przecież wzbraniać mu tego powinno było sto nie zapisanych wprawdzie, ale nie mniej świętych i oczywistych powiązań?

Posłyszał bicie zegara, wyrwał się z tych bezpłodnych myśli, poszedł się wykapać, przez dziesięć minut oddawał się starannym ćwiczeniom oddechowym, wreszcie udał się do swej celki medytacyjnej, aby jeszcze przez godzinę przed snem nagromadzić w sobie spokój i siłę, a potem, aż do jutra, nie myśleć już o całej tej sprawie.

Nazajutrz młody famulus z gościnnego domu kierownictwa zakonu zaprowadził magistra Knechta do przełożonego¹ był świadkiem powitania ich obu. I jemu właśnie, chociaż przywykł przecież do widoku mistrzów, do medytacji, dyscypliny i życia pośród nich, w wyglądzie, sposobie bycia¹ witania się obu czcigodnych mężów coś wydało się niezwykłe i nowe, uderzyło go niepowszednie ich skupienie i rozjaśnienie. Nie było to, jak później nam opowiadał, zwyczajne powitanie dwóch najwyższych dostojników, które

zależnie od okoliczności przebiegać mogło jak pogodny i lekko odprawiany ceremoniał albo jak radosna, lecz pompacyjna uroczystość, stanowiąc też niekiedy coś w rodzaju wzajemnego prześcigania się w uprzejmościach, podporządkowaniu się i usilnie podkreślanej pokorze. Wydawało się, że oto witają tu obcego, z dalekich stron przybyłego a wielkiego mistrza jogi, który pragnie złożyć przelożonemu uszanowanie i zmierzyć się z nim. Słowa i gesty były przy tym nader skąpe i skromne, natomiast spojrzenia i oblicza obu dostojników pełne były ciszy, opanowania, skupienia, przy tym także i utajonego napięcia, tak jakby prześwitało je światło lub jakby prądem elektrycznym zostały naładowane. Lecz nic więcej ze spotkania tego relacjonista nasz już nie usłyszał i nie zobaczył. Dwaj dostojnicy znikli w głębi komnat, przeszli zapewne do prywatnego gabinetu mistrza Aleksandra i pozostawali tam przez wiele godzin, a nikomu nie wolno było im przeszkadzać. To zaś, co doszło z tych rozmów do nas, pochodzi z opowiadań pana delegata Designoriego, któremu Józef Knecht to i owo o nich przekazał.

— Zaskoczyliście mnie wczoraj — zaczął przelożony — i nieomal wytrącili z równowagi. Zdołałem jednak już za stanowić się nad tym wszystkim. Stanowiska swego, oczywiście, nie zmieniłem, jestem wszak członkiem urzędu i kierownictwa zakonu. Zgodnie z literą reguły przysługuje wam prawo zameldowania o wystąpieniu i zrezygnowaniu ze stanowiska. Doszliście do punktu, w którym stanowisko to wam ciąży, a za konieczne uważacie podjęcie próby życia poza zakonem. A gdybym zaproponował wam teraz, abyście się wprawdzie na próbę taką odważyli, lecz nie w sensie tak pochopnej decyzji, jeno na przykład w formie dłuższego lub nawet bezterminowego urlopu? Bo w istocie podanie wasze właśnie czegoś takiego się domaga.

— Niezupełnie — rzekł Knecht. — Gdyby podanie moje zostało zaakceptowane, pozostałbym wprawdzie w zakonie, lecz nie na stanowisku. A to, co tak życzliwie proponować raczycie, byłoby wybiegiem. Zresztą Waldzell i gra szklanych paciorków niewiele odniosłyby korzyści z magistra,

try przez długi, nieokreślony czas jest na urlopie, niebecny, a nawet nie wiadomo, czy powróci, czy nie. I choć on nawet po roku, po dwóch latach powrócił, okazałoby się tylko, że wiele zapomniał z urzędowych swych obowiązków i dziedziny swojej, czyli gry szklanych paciorków, a niczego nowego się nie nauczył.

Aleksander:

—A może jednak nauczyłyby się niejednego. Może przekonałby się, że ów świat zewnętrzny inny jest, niż myślał, on zaś równie mało go potrzebuje, jak ten świat jego, mo że powróciłby uspokojony, a cieszyłby się z powrotu w dawne, znajome dziedziny.

— Zbyt daleko posuwacie się w dobroci waszej. Wdzięcznym za nią, a mimo to przyjąć jej nie mogę. Nie tyle bowiem szukam zaspokojenia ciekawości czy czuję żądzę życia światowego, ile raczej bezwarunkowości. I nie chcę ruszać w świat, chowając jednocześnie w kieszeni zabezpieczającą mnie polisę na wypadek, jeśli mnie ów świat rozczaruje, niczym ostrożny podróżnik, pragnący jeno trochę rozejrzeć się po okolicy. Przeciwnie: pragnę ryzyka, trudności i niebezpieczeństw, łaknę rzeczywistości, zadań i czynów, a także wyrzeczeń i cierpień. Czy mogę prosić, abyście zechcieli nie trwać przy łaskawej waszej propozycji i w ogóle przy próbach zachwiania decyzją moją i przywabienia mnie z powrotem? Nie doprowadzi to do niczego. Wizyta moja u was utraciłaby dla mnie niezwykłość całą i wartość, gdybym miał wskutek niej zdobyć spóźnioną, a teraz wcale już przeze mnie nie upragnioną zgodę na moje podanie. Od chwili napisania go nie zatrzymałem się w ttiiejscu, a droga, na którą wkroczyłem, jest teraz dla mnie^wszystkim: prawem, ojczyzną i służbą.

Aleksander z westchnieniem skinął głową:

A więc przyjmijmy — rzekł cierpliwie — iż doprawdy Zmiękczyć was i przekonać się nie da i że, wbrew mylącym Pozorom, jesteście głusi na wszelkie apele autorytetu, rozum^{litu}> dobroci, niczym opętany lub amokiem ogarnięty szateniec, któremu nie wolno wchodzić w drogę. Na razie tedy^{Zrez}ygnuję z chęci wpływania na was czy przekonywania

was. Ale opowiedzcież mi teraz to, co chcieliście opowiedzieć przybywając tu, historię waszego odstępstwa, wyjaśnijcie rni czyny i decyzje, którymi nas tak przerażacie! Czy będzie to spowiedź, usprawiedliwienie, czy oskarżenie, chcę tego wysłuchać.

Knecht przytaknął skinieniem:

— Człek amokiem ogarnięty dziękuje i cieszy się. Nie przybyłem tu z oskarżeniem. A to, co chciałbym powie-
dzieć — gdyby tylko nie było tak trudno, tak niewiarygod-
nie trudno wyrazić to w słowach — w moim pojęciu raczej
jest usprawiedliwieniem, wam wydać się może spowiedzią.

Wsunął się głębiej w fotel i spojrział wzwyż, gdzie na
sklepionym suficie dostrzec można było jeszcze nikle szczątki
fresków z czasów, gdy w Hirsland był klasztor: wiotkie,
cienkie, ledwo widoczne zarysy linii i barw, kwiatów i orna-
mentów.

— Myśl, że można w pewnej chwili mieć dość swego sta-
nowiska magistra i zrezygnować z niego, nasunęła mi się]
po raz pierwszy już w kilka miesięcy po nominacji na mi-?
stra gry szklanych paciorków. Siedziałem sobie pewnego 1
dnia, czytając książeczkę sławnego mego poprzednika, Lud-
wika Wassermalera, w której, przebiegając rok urzędowa-]
nia miesiąc po miesiącu, udziela on swym następcom rad]
i wskazówek. Wyczytałem tam jego napomnienie, aby w
porę pomyśleć o publicznej grze szklanych paciorków w I
nadchodzącym roku, jeśli zaś czułoby się ku temu niechęć,
a nie miało też odpowiednich pomysłów, aby nastroić się
należycie koncentracją. Czytając to napomnienie, pełen je-
szcze siły, jako najmłodszy z magistrów, uśmiechnąłem się
wprawdzie z właściwym młodości pobłażaniem dla trosk
starca, który je zapisał, lecz ze słów jego biła jednocześnie
także jakaś powaga i niebezpieczeństwo, coś groźnego
i przygnębiającego. I zastanawianie się nad nimi doprowa-
dziło mnie do decyzji: gdyby kiedyś nadejść miał dzień, w
którym myśl o następnej uroczystej grze zamiast radości
przejmie mnie troską, a lękiem, zamiast dumą, wówczas, nie
możąc się w utrapieniu nad ową nową wielką grą, złożę
mój urząd, a władzom oddam insygnia. Po raz pierwszy

wówczas myśl taka do głowy mi przyszła, choć właśnie wówczas też, gdy dopiero co pośród niebłahych kłopotów wciągnąłem się w urzędowanie, a w żagle mojej łodzi mocny, przychylny dął wiatr, w głębi duszy nie bardzo wierzyłem, iż kiedyś sam stanę się człowiekiem starym, znużonym życiem i pracą, że mógłbym kiedyś, znękany i skłopotany, stanąć wobec zadania, na tym właśnie polegającego, by jak z rękawa sypać coraz to nowymi pomysłami nowych gier szklanych paciorków. Lecz mimo wszystko taką wtedy decyzję powziąłem. Dobrze znaliście mnie w tych czasach, eminencjo, lepiej nawet może, niż sam znałem siebie, byliście mym spowiednikiem i doradcą w trudnym, pierwszym okresie mego urzędowania, a właśnie wtedy niedawno dopiero wyjechaliście znów z Waldzell. Aleksander przyjrzał mu się badawczo:

— Nigdy chyba nie miałem piękniejszego zadania — rzekł — i byłem podówczas z was i samego siebie tak za dowolony, jak rzadko. Jeśli prawdą jest, że za wszystko, co w życiu miłe, trzeba płacić, to widocznie odpokutować te raz muszę ówczesne moje uniesienie. Bo doprawdy byłem wtedy z was po prostu dumny. A dziś nie mam po temu powodów. Jeśli zakon dzięki wam przeżyje rozczarowanie, a Kastalia dozna wstrząsu, wiem, że ponoszę za to współodpowiedzialność. Powinienem być może wtedy, gdym był towarzyszącym wam doradcą, jeszcze kilka tygodni dłużej pozostać w ludycznym osiedlu lub nieco surowiej jeszcze was traktować i dokładniej kontrolować.

Knecht pogodnie odpowiedział na jego spojrzenie:

— Nie powinniście mieć takich skrupułów, *domine*, inaczej przyjdzie mi przypomnieć wam niektóre napomnienia, jakich sami udzielać musieliście mnie, gdym jako najmłodszy magister nazbyt poważnie traktował swe stanowisko, Wraz ze wszystkimi z nim złączonymi obowiązkami i z całym odpowiedzialnością. Rzekliście mi, a właśnie słowa te sobie przypominam, kiedyś w takiej chwili: gdybym ja, magister ludzi, złoczyńcą był lub człkiem do niczego niezdatnym, gdybym też czynił wszystko, czego magistrówi robić mieliby wolno, a nawet gdybym rozmyślnie dążył do tego, aby na

wysokim swym stanowisku możliwie najwięcej szkód wy-1
rządzić, wszystko to razem nie bardziej by dotknęło miłą
naszą Kastalię i nie więcej jej zaszkodziło niż kamyczek
wrzucony w głąb jeziora. Drobne fale lub kręgi rozbiegną
się po wodzie — i tyle. Tak bowiem silny i pewny jest nasz
ład kastalski, tak niewzruszony nasz duch. Przypominacie
sobie? Nie, za te moje usiłowania, aby okazać się możliwie
najgorszym Kastalczykiem i jak najbardziej zaszkodzić za-
konowi, wy z pewnością żadnej winy nie ponosicie. I wiecie
także, iż bynajmniej mi się nie uda i udać się nie może
naruszyć spokoju waszego w istotny sposób. Lecz pragnę
opowiadać dalej. Fakt, że w początkach mego magistrowa-
nia mogłem powziąć ową decyzję i że nie zapomniałem o
niej, lecz ieraz przystępuję do jej urzeczywistnienia, łączę
się z pewnym duchowym przeżyciem, którego od czasu do
czasu doznaję, a które nazywam przebudzeniem. Lecz o tym
już wiecie, wspominałem wam o tym dawniej, gdy byliście-
mentorem moim i guru, a pamiętam, że żaliłem się wówczas
przed wami, iż od chwili, gdym objął swój urząd, przsta-
ło mnie już nawiedzać to przeżycie, oddalając się odr-
mnie coraz bardziej.

— Przypominam sobie —, potwierdził przełożony ■— i by-
łem wtedy cokolwiek zaskoczony skłonnością waszą do ta-
kich przeżyć, gdyż występuje ona u nas raczej rzadko, nai-
zewnątrz zaś, na świecie przybiera nader różnorodne formy:
na przykład pojawia się u geniuszów, zwłaszcza mężów
stanu lub wodzów, ale także u ludzi słabych, typów półps-
tologicznych, na ogół niewiele wykazujących zdolności, a
jasnowidzów, telepatów, mediów. Wy zaś nie wykazywali-
ście żadnych cech wspólnych z obydwoma tymi rodzajami
ludzi, ani z bohaterskimi wojakami, ani też z jasnowidzami
czy różdżkarzami. Natomiast i wówczas, i do wczoraj jesz*
j cze wydawaliście mi się dobrym członkiem zakonu: roz-
tropnym, jasno myślącym, posłusznym. I wcale nie pas-
wał mi do was obraz człowieka nękanego i opanowanego
przez tajemne jakieś głosy, bogów lub demonów, lub choć-
by przez głosy z duszy własnej płynące. Dlatego też tłu-
maczyłem sobie stany owych „przebudzeń” tak, jak mi jf

• ywaliście, po prostu jako chwile uświadamiania sobie
^{oP}woju własnej osobowości. Naturalne tedy było, że du-
, wyc^h tych przeżyć wówczas przez czas dłuższy zabrakło:
dopiero co przecież objęliście urząd i przejęli zadanie, ota-
czające was niczym zbyt obszerny płaszcz, zadanie, do któ-
rego musieliście stopniowo dojrzeć. Lecz powiedzcie, proszę:
czy uważaliście kiedykolwiek owe przebudzenia za coś w
rodzaju objawień wyższych mocy, wezwań albo przekazów
z rejonów obiektywnej, wiekuiestej lub boskiej prawdy?
— Oto ■— rzekł Knecht — dochodzimy do obecnego mo-
jego zadania i trudności, mianowicie do konieczności wy-
rażenia w słowach tego, co stale przecież słowom się wy-
myka, i do uczynienia racjonalnym tego, co najwidoczniej
jest irracjonalne. Nie, przy przebudzeniach tych nigdy nie
myślałem, że mogą one być objawieniami Boga albo demo-
na, albo jakiejś prawdy absolutnej. Potęgę i przekonującą
siłę tych przeżyć stanowiła nie prawda ich treści, wysokie
ich pochodzenie ze sfer boskich czy innych, lecz ich real-
ność. Są one niebywale realne, tak na przykład jak gwał-
towny, fizyczny ból albo jakiś niespodziewany kataklizm,
burza lub trzęsienie ziemi, które wydają się nam zawierać
całkiem inny ładunek realności, terażniejszości i nieuchron-
ności niż normalne czasy i stany. Poryw wichru poprzedza
jący nadchodzącą burzę, który każe nam co prędzej biec
do domu, a próbuje nawet wydrzeć nam jeszcze klamkę
własnych drzwi z ręki, albo ostry ból zęba, przy którym
Wydaje nam się, że wszystkie napięcia, cierpienia i kon-
flikty całego świata skoncentrowały się w naszych szczę-
kach — to sprawy, w których realność i znaczenie może
Później, jeśli skłonni jesteśmy do takich żartów, znów za-
czynamy powątpiewać, ale które w momencie, gdy je prze-
zywamy, zwątpień żadnych nie znoszą i realizmem wypeł-
nione są aż po brzegi. I podobnie wzmogoną rzeczywisto-
ścią były dla mnie te moje „przebudzenia”, stąd ich nazwa;
^w chwilach takich bowiem istotnie wydawało mi się, jak-
^by*ⁿ długi czas spędził był we śnie lub półśnie, lecz oto
^{oC}knąłem się, chłonny i otwarty jak nigdy dotąd. Chwile
wielkich cierpień i wstrząsów, również w historii świata,

mają pewną przekonywającą konieczność, budzą płomienne uczucie napięcia i przytłaczającej obecności. Później zaś, jako skutek wstrząsu, nastąpić może coś jasnego i pięknego[^] albo szaleńczego i mrocznego, zawsze jednak to, co się stanie, będzie mieć cechy wielkości, konieczności, doniosłości jako że jest różne i odmienne od wydarzeń powszednich. — Ale pozwólcie mi — podjął po chwili, zaczerpnąwszy tchu — ukazać tę sprawę od innej jeszcze strony. Czy przy pominacie sobie legendę o świętym Krzysztofie? Tak! A więc ów Krzysztof był człowiekiem bardzo odważnym[^] i silnym, nie chciał jednak zostać władcą i rządzić, lecz pragnął służyć, służba była jego siłą i kunsztem i znał si[^] na niej. Ale nie było mu obojętne, komu służy. Musiał n być pan największy, najpotężniejszy. Gdy zaś posłyszał o panu jeszcze bardziej potężnym niż jego dotychczasowy[^] jemu służby swoje ofiarowywał. Wielki ów sługa zawsze mi się podobał i chyba jestem cokolwiek do niego podobny. W każdym razie w jednym okresie mego życia, kiedy sam[^] mogłem o sobie decydować, w moich latach studenckich, długo szukałem i wahałem się, jakiemu panu mam służyć. Przez wiele lat wzbraniałem się i nieufnie odnosiłem do gry szklanych paciorków, choć już od dawna uznałem ją za najcenniejszą i najbardziej własną zdobycz naszej pro-J wincji. Zakosztowałem już tej przynęty i wiedziałem, że nie ma na świecie nic bardziej wdzięcznego i subtelniejszego nad oddanie się owej grze, wcześniej już także pojąłem, iż gra ta, pełna uroku, wymaga nie naiwnych amatorów, uprawiających ją tylko w wolne wieczory, lecz kogoś kto spory jej szmat całkowicie sobie przyswoił, że żąda pełnego oddania i całkiem w służbę swą wciąga. A oddać się jej urokom ze wszystkimi moimi siłami i zainteresowaniem wzbraniał mi jakiś instynkt, jakieś naiwne zamięłowanie do tego, co proste, całkowite a zdrowe i co ostrzegało mnie przed duchem Vicus Lusorum w Waldzell, gdyż był to duch specjalistów i wirtuozów, wysoce wprawdzie kulturalny, bogato ukształcony duch, lecz mimo to oderwany od całości kształtu życia i ludzkości i w pełną pychy samotność uwikłany. Przez wiele lat wątpiłem i badałem, dopóki nie doj-»

ła we ^{mnie} decyzja i ⁿⁱ postanowiłem, mimo wszystko, się zająć. A uczyniłem tak dlatego właśnie, że istniał mnie ów pęd do poszukiwania spełnienia najwyższego i służenia największemu jedynie panu.

_ Rozumiem — stwierdził mistrz Aleksander. — Ale jakkolwiek na to patrzę i jakkolwiek wy mi rzecz ową przed stawiacie, stale natrafiam na tę samą przyczynę osobliwych waszych właściwości. Macie zbyt wiele uczucia dla własnej osoby albo też nadmiernie jesteście od niej uzależnieni, co bynajmniej na jedno nie wychodzi, czyli nie jest równo znaczne z silną osobowością. Człowiek może być na przykład gwiazdą pierwszej wielkości w swojej wytrwałości, sile woli i talentów, gwiazdą tak przecież scentrowaną, że bsz tarć i bez strat energii współuczestniczy ona w ruchu systemu, do którego należy. Inny zaś mieć będzie te same i może większe nawet talenty, ale oś nie będzie u niego przebiegać dokładnie przez środek i połowę sił swoich zmarnuje on na ruchy ekscentryczne, które jego osłabiają, a otocze niu przeszkadzać będą. I wy chyba do tej właśnie należycie kategorii. Przyznać jedynie muszę, że umieliście dotychczas doskonale to ukrywać. Ale owo zło, wydaje mi się, ujawnia się teraz z tym większą gwałtownością. Mówiliście mi tu o świętym Krzysztofie, ja zaś rzec muszę, iż postać ta, choć niewątpliwie ma w sobie coś wspaniałego i wzruszającego, nie jest z pewnością wzorem sługi naszej hierarchii. Kto pragnie służyć, winien temu służyć panu, któremu przy sięgał, *per fas et nefas*, a nie z utajonym zamiarem zmiany pana, jeśli natrafi na wspanialszego. Sługa czyni bowiem wówczas siebie sędzią pana swojego i tak też i wy właśnie postępujecie. Pragniecie służyć zawsze panu największemu, lecz w naiwności swojej sami decydujecie o randze panów, Pomiedzy którymi dokonujecie wyboru.

Knecht słuchał uważnie, chociaż cień smutku przemknął P° jego twarzy. I mówił dalej:

— Cenię wasz sąd, nie spodziewałem się innego. Ale pozwólcie mi jeszcze trochę opowiedzieć. Stałem się tedy graczem szklanych paciorków i doprawdy przez dłuższy czas
ł przeświadczony, że służę najwyższemu spośród

wszystkich panów. A przynajmniej przyjaciel mój, Desigr ri, ten, który tak nas popiera w radzie, w arcyoglądov sposób opisał mi kiedyś, jakim to aroganckim, nosa zadzierającym i zblazowanym wirtuozem gry i superelitarny.. Kastalczykiem niegdyś byłem. Ale muszę wam jeszcze powiedzieć, jak wielkie znaczenie od lat studenckich i „przebudzenia” miało dla mnie słowo transcendencja. Przybiegło ono do mnie chyba podczas czytania jakiegoś filozofa epoki Oświecenia pod wpływem mistrza Tomasza von de-Trave i odtąd, na równi z „przebudzeniem”, stało się dla mnie słowem iście magicznym, wymagającym i popędzającym, pocieszającym i wiele obiecującym. Postanowiłem sobie, iż życie moje musi się stać transcendencją, przechodzeniem ze stopnia na stopień, jedną po drugiej przemierzać i za sobą pozostawiać zamierzałem przestrzenie, podobnie jak w utworze muzycznym temat następuje po temacie, jedno tempo po drugim, wszystko odegrane zostaje dokonane, spełnione i za sobą pozostawione, bez znużenia bez snu, zawsze w czuwaniu i zawsze w pełni obecności W związku z przeżyciami przy „przebudzeniu” spostrzegłem, że istnieją takie stopnie i takie przestrzenie i że zawsze też ostatni okres danego odcinka życia zawiera w sobie moment uwiadu i pragnienia śmierci, wiodący z kolei do przeniesienia się w przestrzeń nową, do przebudzenia i nowego początku. Także ów obraz transcendencji przekazuję wam jako sposób, który okazać się może przydatny w wyjaśnieniu mojego życia. Zdecydowanie się na grę szklanych paciorków było ważnym stopniem, podobnie jak i pierwsze już odczuć się dające, zaszeregowanie do hierarchii. A jeszcze na moim stanowisku magistra przeżywałem takie stopnie. Najlepszym zaś ze wszystkiego, co owo stanowisko mi przyniosło, było odkrycie, iż nie tylko muzykowanie i gra szklanych paciorków są działalnością uszczęśliwiającą, lecz także nauczanie i wychowywanie. I stopniowo odkryłem także jeszcze, że wychowywanie tym większa sprawia mi radość, im młodszy i mniej wypaczeni są wychowankowie. I to, na równi z wielu innymi przyczynami, doprowadziło mnie z biegiem lat do pragnienia posiadania

az to młodszych i młodszych uczniów, do tego, iż naj-
°hotniej zostałbym nauczycielem w szkole dla początkują-
ch słowem do tego, że wyobraźnia moja zajmowała się
niekiedy sprawami, znajdującymi się już poza granicami
urzędowej mej działalności.

Przerwał, aby odpocząć. Przełożony zabrał głos:

_ Coraz bardziej mnie zdumiewacie, magistrze. Mówicie
oto o swoim życiu, a nic tu prawie innego nie słyszę, jak re-
lacje z prywatnych, subiektywnych przeżyć, osobistych prag-
nień czy decyzji i z własnego rozwoju! Doprawdy nie przy-
puszczałem, aby Kastalczyk waszej rangi w taki sposób mógł
patrzeć na siebie i na własne życie!

W głosie jego brzmiał wyrzut i smutek, co zabolalo
Knechta; opanował się jednak i wykrzyknął żywo:

— Ależ, eminencjo, wszak w tej chwili nie mówimy o
Kastalii, urzędzie i hierarchii, tylko wyłącznie o mnie, o psy-
chologii człowieka, który, niestety, musiał narobić wam
wiele nieprzyjemności. Nie przystoi mi mówić o pełnieniu
mego urzędu, wypełnianiu mych obowiązków, przydatności
czy nieprzydatności mej jako magistra i Kastalczyka. Spo-
sób mego urzędowania, na równi z całą zewnętrzną stroną
mojego życia, jest przed wami otwarty, możecie go zbadać,
a chyba niewiele znajdziecie tam rzeczy karygodnych. A tu
tutaj chodzi o coś całkiem innego, mianowicie o ukazanie wam
drogi, którą sam tylko przeszedłem, a która teraz wywiodła
mnie z Waldzell, jutro zaś wyprowadzi z Kastalii. Bądźcie
tak dobrzy i posłuchajcie mnie jeszcze przez chwilę!

— Wiedzę o istnieniu jakiegoś świata poza obrębem małej
naszej prowincji zawdzięczam nie studiom swoim, w któ-
rych świat ów ukazany był jedynie jako odległa przeszłość,
lecz przede wszystkim mojemu współuczniowi, Designorie-
tt^u, który był gościem z tego zewnętrznego świata, a póź-
nej także pobytowi swojemu u ojców benedyktynów i ojcu
Jakubowi. Własnymi oczami oglądałem owego świata bar-
dzo niewiele, lecz dzięki temu człowiekowi zdołałem po-
"ochu pojąć to, co nazywa się historią, a być może, iż w
ten sposób stworzyłem już fundament owej izolacji, w jaką
Popadłem po powrocie. Powróciłem bowiem z klasztoru do

kraju niemal pozbawionego historii, do prowincji uczonych i graczy szklanych paciorków, w towarzystwo nader wytworne i nader miłe, gdzie jednak byłem ze swoim przecuciem i ciekawością świata, a także ze współczuciem dlań, chyba całkiem osamotniony. Dość tam było rzeczy innych, mogących mi ową szkodę wyrównać: byli pewni ludzie, których wielce ceniłem i szanowałem, zaszczycony i zawstydzony się czując, że jestem ich kolegą, co mnie uszczęśliwiało, było tam mnóstwo dobrze wychowanych i bardzo wykształconych osób, było także dość pracy i bardzo wielu zdolnych i miłych uczniów. Lecz w okresie własnej nauki u ojca Jakuba dokonałem odkrycia, że jestem nie tylko Kastalczykiem, lecz również i człowiekiem, że obchodzi mnie świat, cały świat, który domaga się, abym z nim współżył. I z odkrycia tego wynikły potrzeby, pragnienia, żądania, zobowiązania, którym w żaden sposób nie mogłem sprostać. Życie na świecie w wyobrażeniu Kastalczyka to coś zacofanego, niewiele wartego, pełnego nieładu i brutalności, namietności i dystrakcji, nic w nim pięknego i godnego pożądania. Ale świat i życie były nieskończenie większe i bogatsze niż wyobrażenie o nich Kastalczyka, działo się tam mnóstwo rzeczy, działy się dzieje, nieustanne próby i wiecznie nowe początki, świat ów był może chaotyczny, lecz był też ojczyzną i macierzystą glebą wszelkich losów, wszelkich uniesień, wszelkich dziedzin sztuki, wszelkiej ludzkości, zrodził języki, narody, państwa, kultury, nas także i naszą Kastalię, a oglądać miał także śmierć ich wszystkich i wszystko przetrwać. Do tego to świata obudził we mnie nauczyciel mój, Jacobus, miłość, która wzrastała nieustannie, pokarmu dla siebie szukając, a w Kastalii nic było nic, co by ją pożywić mogło, tu istniało się poza światem, stanowiło się samoistny, mały, doskonały, lecz nie rozwijający się i nie rosnący już świat.

Odetchnął głęboko i milczał przez chwilę. A ponieważ przełożony nic mu nie odpowiedział i patrzył nań tylko wyczekująco, skinął mu w zadumie głową i mówił dalej:

—■ Miałem oto przez wiele lat dwa ciężary, które dźwigać musiałem. Musiałem sprawować wysoki urząd, ponosząc zań

powiedzialność, musiałem także uporać się ze swoją miłością- Urząd, to rozumiałem już od samego początku, z racji owej miłości uciepieć nie mógł. Przeciwnie, jak sądziłem, powinien był z niej odnieść korzyść. I gdybym nawet, choć ufałem, iż tak nie będzie, pracę moją wykonywał nieco mniej nienagannie i doskonale, niż się tego po magistrze soodziewać należało, wiedziałem przecież, że w sercu własnym czujniejszy jestem i żywszy od niejednego nieskazitelnego kolegi, a uczniom i współpracownikom swoim także niejedno dać mogę. Za zadanie swoje uważałem — nie zrywając z tradycją — stopniowo i łagodnie rozszerzać i ocieplać kastalskie życie i sposób myślenia, zapewnić mu dopływ świeżej krwi ze świata i historii, a szczęśliwy traf sprawił, iż na zewnątrz, w kraju naszym, pewien świecki człowiek to samo czuł i myślał, co ja, marząc o tym, by Kastalia i świat zaprzyjaźniły się i jęły przenikać nawzajem: był to Plinio Designori.

Mistrz Aleksander skrzywił się odrobinę i powiedział:

— No, cóż, po wpływie tego człowieka na was nigdy so bie wiele dobrego nie obiecywałem, podobnie jak i po tym waszym nieudanym podopiecznym, Tegulariusie. Designori zatem był tym, który doprowadził was do całkowitego ze rwania z zakonem?

—• Nie, *domine*, lecz po trochu, nie wiedząc nawet o tym, pomógł mi przy tym. Nieco powietrza wpuścił do mojej samotni, dzięki niemu uzyskałem znowu kontakt ze światem zewnętrznym, wskutek czego dopiero zdołałem stwierdzić sam przed sobą przyznać, iż znajduję się u kresu tutejszej ^ojej kariery, że utraciłem już właściwie radość ze swej pracy i że czas już udrękom tym kres położyć. I oto znowu jeden przeszedłem stopień, jedną przestrzeń przemierzyłem, ale tym razem ową przestrzenią była Kastalia.

— Jak wy o tym mówicie! — pokręcił głową Aleksander. — Tak, jakby przestrzeń, Kastalia zwana, nie dość wielka była, aby wielu też ludzi godnie przez całe ich życie za ludniać! Czy serio mniemacie, że przemierzycie ową przestrzeni przezwyciężyli ją?

— O, nie ■— żywo zawołał Józef — nigdy czegoś podobne-

go nie sądziłem. Skoro opowiadam, że dotarłem do granicy owej przestrzeni, miałem na myśli jedynie to, czego jako pojedynczy człowiek na swoim stanowisku mogłem tu dokonać i co zostało zrobione. Od dobrej chwili już dotarłem do granicy, gdzie praca moja, jako mistrza gry szklanych paciorków, stała się już tylko wiecznym powtarzaniem, czczym ćwiczeniem i formułą, wykonywaną bez radości, bez zapału, a niekiedy nawet bez wiary. Czas było z tym już skończyć. Aleksander westchnął.

— Takie jest wasze zdanie, lecz nie zakonu ani jego reguł Nic w tym nowego ani osobliwego, że brat zakonny podleca nastrojom, że niekiedy bywa zmęczony swoją pracą. Reguła wskazuje mu wówczas drogę ku odzyskaniu harmonii i skoncentrowaniu się. Czy zapomnieliście o tym?

— Nie wydaje mi się, eminencjo. Wolno wam przecież sprawdzić, jak prowadziłem urząd, niedawno zresztą, z chwilą gdy otrzymaliście mój okólnik, rozkazaliście skontrolować wioskę ludyczną i mnie. I udało wam się stwierdzić, że praca jest wykonywana, kancelaria i archiwum w porządku, a magister ludzi nie jest ani chory, ani też nie przejawia jakichkolwiek nastrojów. Zawdzięczam to właśnie owym regułom, w które niegdyś mnie tak po mistrzowsku wprowadziliście, że wytrzymałem, sił przy tym ani opanowania nie tracąc. Lecz wiele mnie to trudu kosztowało. A oto teraz, niestety, nie mniej trudu kosztuje mnie przekonanie was, że nie kieruję się w tej sprawie nastrojami humorami czy kaprysami. Lecz niezależnie od tego, czy zdolam przekonać was, czy nie, proszę przynajmniej, żebyście stwierdzili zechcieli, że osoba moja i praca, aż do momentu, w którym ostatecznie dokonaliście kontroli, nie zamącone były i przydatne. Czy taka prośba moja wydaje się wam wygórowana?

W oczach mistrza Aleksandra pojawił się jakby ironiczny błysk:

— Panie kolego — rzekł — rozmawiacie ze mną tak, jak-1 byśmy byli prywatnymi ludźmi, wiodącymi z sobą miłą pogawędkę. Lecz w istocie do was tylko się to odnosi, wy'

■ teście teraz naprawdę prywatną osobą. Ja nią natomiast¹⁸ jestem, a to, co myślę czy mówię, jest słowem nie moim,¹¹ kierownictwa zakonu, które za każde oficjalne słowo 70i'e odpowiada. Co wy tu dzisiaj mówicie, pozostanie bez stępstw: bo choć sprawę swą traktowalibyście najpoważniej w świecie, pozostanie ona ujęta w słowa człowieka prywatnego i we własnym przemawiającego interesie. Natomiast dla mnie urząd i odpowiedzialność nadal istnieją. a cokolwiek dziś powiem lub uczynię, może mieć następstwa, wobec was i sprawy waszej reprezentuję urząd. I nie jest rzeczą obojętną, czy urząd przyjmie, a może nawet uzna takie przedstawienie przez was waszych spraw. Ukazujecie mi je bowiem w ten sposób, jakbyście — do wczoraj jeszcze, mimo poniekórych osobliwych myśli — byli wzorowym i nieskazitelnym Kastalczykiem i magistrem, przeżywającym wprawdzie pokusy i ataki znużenia stanowiskiem, lecz regularnie je zwalczającym i przewyciężającym. Załóżmy, że przyjąłbym ową tezę, lecz jakże mam wówczas rozumieć fakt niebywały, że ów nieskazitelny, wzorowy magister, który wczoraj jeszcze każdą regułę wypełniał, dziś nagle dezertuje? Łatwiej mi już w tym wypadku wyobrazić sobie magistra, który w duszy swej od dawna odmieniony był i chory, a chociaż nadal jeszcze sam siebie za całkiem dobrego Kastalczyka uważał, w rzeczywistości od dawna mm już być przestał. A także zadaję sobie pytanie, czemu właściwie tak bardzo zależy wam na potwierdzeniu, iż aż do chwili ostatniej byliście magistrem obowiązkowym. Skoro¹⁹ już uczyniliście ów krok, złamali posłuszeństwo i popełnili dezercję, nie może wam przecież zależeć na takich opiniach.

Knecht jął się bronić:

— Za pozwoleniem, *reverendissime*, czemu to zależy mi na tym nie powinno? Chodzi o własną moją opinię i imię,⁰ Pamięć, którą po sobie tu pozostawiam. Chodzi przy tym również o to, abym na zewnątrz działać mógł na rzecz K^stalii. Nie stoję tutaj po to, by dla siebie cokolwiek ratować, ani tym bardziej, by uzyskać poklask urzędu dla mojego kroku. Liczyłem się z tym i przystaję na to, że w przysz-

łości koledzy moi powątpiewać będą o mnie i uważać mnie za postać raczej problematyczną. Ale ani za zdrajcę, ani za wariata uchodzić nie chcę; to ocena, której przyjąć nie mogę. -Uczyliem coś, co musicie potępić, ale czynu tego dokonałem, ponieważ musiałem go dokonać, ponieważ zleony rai został i jest moim przeznaczeniem, w które wierzę i z na wskroś dobrą wolą przyjmuję. Jeśli nawet tego przyznać mi nie zechcecie, tom przegrał i na próżno mówiłem z wami.

■— Zawsze chodzi o jedno i to samo ■— odparł Aleksander. — O to, abym ja uznał, że jednostka ma prawo łamać prawa, w które sam wierzę i które reprezentuję. Nie mogę jednak wierzyć jednocześnie w nasz ład i nadto jeszcze w prywatne wasze prawo do jego łamania. Nie przerywajcie mi, proszę. Mogę stwierdzić, że według wszelkich pozorów przekonani jesteście o celowości waszego fatalnego kroku i wierzycie w swe powołanie do tego zamierzenia. Lecz sami nie spodziewacie się przecież, iż krok ów za taki uznam. Zdołaliście natomiast tyle osiągnąć, iż zrezygnowałem z pierwotnych mych zamierzeń odzyskania was i wpłynięcia na zmianę waszej decyzji. Przyjmuję wiadomość o waszym wystąpieniu z zakonu i przekażę urzędowi meldunek o dobrowolnej waszej rezygnacji z urzędu. Bardziej wyjść wam naprzeciw nie mogę już, Józefie Knechcie.

Mistrz gry szklanych paciorków uczynił gest rezygnacji. A potem dodał cicho:

— Dziękuję wam, panie przełożony. Szkatułkę wam już powierzyłem. Pragnę jeszcze złożyć na wasze ręce urzędowi trochę moich notatek na temat sytuacji w Waldzell, zwłaszcza zaś sytuacji repetentów i tych kilku osób, do których, jak rni się wydaje, przede wszystkim odnosi się sprawa za stąpienia mnie na stanowisku.

Wyciągnął z kieszeni kilka złożonych kartek i położył je na stole. Potem wstał, a przełożony podniósł się także, Knecht podszedł do niego, długo, przyjaźnie i ze smutkiem patrzył mu w oczy, skłonił się i powiedział:

— Miałem zamiar prosić was, abyście mi podali rękę na pożegnanie, ale teraz muszę z tego chyba zrezygnować.

7 wsze byliście mi szczególnie bliscy, a dzień dzisiejszy również tego nie zmienił. Żegnajcie, drogi mój i czcigodny.

Aleksander stał w milczeniu, pobladły nieco; przez moment wydawało się, że chce podnieść rękę i podać ją odchodzącemu. Poczul, że oczy mu wilgotnieją, skłonił wówczas głowę, odpowiadając na ukłon Knechta, i dał mu odejść.

Gdy odchodzący zaniknął za sobą drzwi, przełożony stał bez ruchu, nasłuchując oddalających się kroków, gdy zaś ostatnie ich echo przebrzmiało i nic już nie było słyhać, zaczął przez chwilę chodzić po pokoju, aż znów w korytarzu dały się słyseć kroki i rozległo się ciche pukanie do drzwi. Wszedł młody sługa i zameldował gościa, który chciał mówić z przełożonym.

— Powiedz, że mogę go przyjąć za godzinę, a proszę go, aby się streszczał, bo pilną mam pracę. Nie, zaczekaj jeszcze! Idź też do kancelarii i zamelduj pierwszemu sekretarzowi, aby natychmiast, pilnie zwołał na pojutrze konferencję całego urzędu, podkreślając, że obecność wszystkich jest obowiązkowa i tylko ciężka choroba może usprawiedliwić nieobecność. A potem idź do ochmistrza i powiedz mu, że jutro rano muszę jechać do Waldzell, wóz niech czeka o siódmej...

— Za pozwoleniem —■ odezwał się młodzieniec — może być do dyspozycji wóz pana magistra kidi.

— Jak to?

— Czcigodny przybył wczoraj wozem. Lecz dopiero co opuścił dom, mówiąc, że dalej pójdzie pieszo, a wóz pozostawia tutaj do dyspozycji urzędu.

— Dobrze. Wezmę wobec tego jutro wóz z Waldzell. Proszę powtórzyć.

Sługa powtórzył:

— Gość przyjęty zostanie za godzinę i powinien się streszczać. Pierwszy sekretarz ma na pojutrze zwołać konferencję urzędu, obecność wszystkich obowiązkowa, usprawiedliwieniem tylko ciężka choroba. Jutro o siódmej rano °djazd do Waldzell powozem pana magistra ludzi.

Mistrz Aleksander odetchnął z ulgą, gdy młodzieniec odszedł. Podeszedł do stołu, przy którym siedział był z Knech-

tem, a ciągle jeszcze słyszał echo kroków tego niepojętego człowieka, którego nad wszystkich kochał, a który tak wielki zadał mu ból. Od czasów, kiedy świadczył mu przysługą kochał już tego człowieka, a spośród innych cech lubił szczególnie jego sposób chodzenia, ów krok zdecydowany, równy, lecz lekki, niemal płynny, godny i jakby dziecięcy, kapłański i jakby taneczny, osobliwy, przyjemny i pełen elegancji sposób chodzenia, znakomicie dostosowany do lwa, rzy i głosu Knechta. Pasował on zresztą także do szczególnie go sposobu bycia tego Kastalczyka i magistra, do rodzajii jego pańskości i pogody, przypominających niekiedy arystokratyczne umiarkowanie jego poprzednika, mistrza Tomasza, lecz niekiedy także proste a serdeczne obejście starego mistrza muzyki. Lecz oto odszedł już, spieszenie, pieszo odszedł, któż wie dokąd, a zapewne nigdy go już nie zobaczy, nigdy nie usłyszy jego śmiechu ani nie ujrzy pięknej, długopalcej ręki, starannie kreślącej hieroglify gry szklanych paciorków. Mistrz Aleksander chwycił pozostawione na stole kartki i zaczął je czytać. Krótki to był zapis, nader rzeczowy i zwięzły, w hasła tylko niekiedy, zamiast w zdani i "Jęty, a służyć miał ułatwieniu pracy urzędu przy kontroli wioski ludycznej, jaką niebawem przeprowadzić należało i przy nowych wyborach magistra. Drobnymi, pięknymi Jiterkami zanotowane zostały owe uwagi pełne mądrości, słowa zaś, i pisma nacechowane były niepowtarzalną osobowością Józefa Knechta w ten sam sposób, co jego twarz. głos czy chód. Z wielkim trudem chyba urząd znaleźć człowieka jego formatu, który mógłby go zastąpić, prawdziwi bowiem panowie i prawdziwie pełne osobowości trafiają się rzadko, a istota taka szczęśliwym jest trafem i wielkim darem, także tutaj, w Kastalii, prowincji elitarnej.

Piesza wędrówka sprawiała Knechtowi radość, od lat bowiem pieszo już nie podróżował. A nawet, gdy głębiej nad tym się zastanowił, wydało mu się iż ostatnią, prawdziwą jego wędrówką była ta, która z klasztoru Mariafels wiodła go z powrotem do Kastalii, do owej gry dorocznej w Waldzell,

· bardzo obciążonej śmiercią „ekscelencji”, magistra To-
von der Trave, wskutek której został jego następcą.
nias/

Zazwyczaj zresztą, gdy wspominał owe czasy, a zwłaszcza lata studenckie i Gaj Bambusowy, miał wrażenie, jak gdyby z pustej, chłodnej celi wyrzwał na rozległą i wesoło słońcem opromienioną okolicę, jakby patrzył na coś niepowtarzalnego, co stało się już tylko rajem wspomnień; zawsze też myśli takie, nawet pozbawione żalu, były przypomnieniem czegoś bardzo już dalekiego, odmiennego, w uroczysty a tajemniczy sposób różniącego się od powszedniego, dzisiejszego dnia. Lecz teraz oto, w ów jasny i pogodny dzień wrześniowy, pełen z bliska soczystych wśród tego południa barw, a w oddali odcieni delikatnych, łagodnych, błękitnych lub fioletowych, podczas spokojnej wędrówki i rozglądania się wokół, owa dawna wędrówka nie wydała mu się już odległym rajem wobec pełnego rezygnacji dnia dzisiejszego, lecz zaczynała przypominać dawną, a dzisiejszy Józef Knecht stawał się ludzako podobny do ówczesnego; wszystko stawało się znów nowe, tajemnicze, wiele obiecujące, wszystko. co było, mogło raz jeszcze powrócić, a nawet połączyć się z, wielu jeszcze nowymi sprawami. Dzień ani świat od dawna nie spoglądały już tak na niego, tak lekko, pięknie i niewinnie. Szczęście wolności i niezależności przepelniało Knechta, oszałamiało go jak mocne wino: jakże dawno już nie odczuwał tak uroczych i wspaniałych złudzeń! Zastanowił się i przypomniał sobie moment, w którym niegdyś musnęło go to uczucie, choć natychmiast je wówczas opanował: było to podczas rozmowy z magistrem Tomaszem, pod wpływem jego życzliwie ironicznego spojrzenia, i Józef przypomniał sobie dobrze owo przykre uczucie, w chwili kiedy tracił swą wolność; nie był to właściwie ból, palący żal, lecz raczej Przerażenie, lekki dreszcz przebiegający po plecach, ostrzegawczy ucisk nad przeponą, zmiana temperatury, a zwłaszcza rytmu odczuwania życia. I to pełne trwogi, dławiące¹ z dała już uduszeniem grożące uczucie w owym decydującym momencie zostawało dziś skompensowane, czy raczej^{mo}że dziś dopiero mógł z niego się wyleczyć. Wczoraj, podczas swej jazdy do Hirsland, Knecht posta-

nowił w żadnym wypadku, cokolwiek by zająć tam mogło, czynu swego nie żałować. Dzisiaj natomiast zabronił sobie myśleć o szczegółach rozmowy z Aleksandrem, o jego walce z nim, jego walce o niego. Oddał się całkowicie uczuciom odprężenia i swobody, wypełniającym go tak, jak po skończonej, całodziennej pracy wypełnia chłopca poczucie zasłużonego odpoczynku; wiedział, że znalazł schronienie, że do niczego nie jest zobowiązany, wiedział, iż na chwilę został całkowicie wyłączony i zbędny, nie zobowiązany do jakiegokolwiek pracy i jakichkolwiek myśli, a jasny, barwami płonący dzień otaczał go promiennie i łagodnie, tylko jako *obraz*, jako terażniejszość, bez żadnych wymagań, bez wczoraj i bez jutra. Zadowolony wędrowiec nucił niekiedy, idąc, jedną z marszowych pieśni, które niegdyś mali uczniowie szkoły elitarnej z Eschholz śpiewali podczas wycieczek na trzy lub cztery głosy, a podczas tego pogodnego świtu jego nowego życia jęły napływać ku niemu, niczym szczebio., ptaków, miłe, drobne wspomnienia i dźwięki.

Zatrzymał się pod jakąś wiśnią o liściach już szczerwieniałych i siadł na trawie. Sięgnął do kieszeni na piersiach i wydobył pewien przedmiot, którego istnienia u niego mistrz Aleksander ani nawet podejrzewał: mianowicie *ma-h-l*, drewnianą fujarkę, której przypatrzył się z pewną czułością. Niezbyt długo miał ów naiwnie i dziecinnie wyglądający instrument, chyba około pół roku, a z przyjemnością przypomniał sobie dzień, w którym go dostał. Wyjechał wówczas do Monteport, chcąc omówić z Carlem Ferromontem kilka problemów z teorii muzyki; rozmowa zesła także na drewniane instrumenty dęte pewnych epok, on zaś poprosił przyjaciela o pokazanie mu zbiorów instrumentów muzycznych w Monteport. Po ciekawej wędrowce przez kilka sal pełnych starych manualów organowych, harf, lutni. Tor łopianów, doszli do magazynu, gdzie przechowywano instrumenty dla szkół. Knecht zobaczył tam całą szufladę pełną takich małych fujarek, przyjrzał się jednej z nich, wypróbował ją i zapytał przyjaciela, czy może ją zabrać ze sobą. Carlo ze śmiechem poprosił, by wyszukał sobie najodpowiedniejszą, ze śmiechem też kazał podpisać mu na nią

it lecz potem jak najdokładniej wyjaśnił mu budowę •' trunientu, sposób posługiwania się nim i technikę gry Knecht zabrał ze sobą tę śliczną zabaweczkę, a ponieważ , czasów szkoły w Eschholz, gdzie grywał na prostym fle~ ;e nigdy już na dętym instrumencie nie grał, postanawiał sobie już kilkakrotnie, że się tego nauczy i niekiedy na tej właśnie fujarce grać próbował. Prócz gam grał też stare melodie, wydane przez Ferromontego w zeszycie nut dla początkujących, i od czasu do czasu z ogródka magistra lub z jego sypialni dochodził słodki a łagodny dźwięk fujareczki. Oczywiście do mistrzostwa wiele mu jeszcze brakowało, lecz nauczył się grać wszystkie owe chorały i pieśni, znał je na pamięć, nawet teksty niektórych pamiętał. I przyszła mu na myśl jedna z owych pieśni, dostosowana chyba do tej chwili. Zanucił kilka jej wersów:

Głowa moja i nogi
W omdleniu legły srogim;
Lecz oto stoję
Z radością i spokojem,
Niebo oglądam okiem moim.

Potem przyłożył instrument do warg i zagrał **ową** melodię, patrzył na łagodnie połyskujące obszary, aż ku dalekim, wysokim góróm sięgające, słyszał dźwięk pogodnej i nabożnej piosenki, ów słodki dźwięk fujarki, czuł się zjednoczony z niebem, górami, pieśnią i dniem tym i ukojony. Z przyjemnością czuł gładkość krągłego drewna pod palcami i dukał o tym, że poza szatą, którą miał na sobie, fujarka ta była jedyną własnością, jaką pozwolił sobie zabrać z Waldzel]. 'W ciągu lat uzbierało się wokół niego sporo rzeczy, ^{ma} .jaeych mniej lub bardziej cechy własności osobistej, przede wszystkim notatki, zeszyty z wyciągami i tym podobne; ^{Wsz} ystko to zostawił, w wiosce ludycznej mogą wykorzystać ^{^■°>} jak zechcą. Fujarkę jednak zabrał i cieszył się, że ją ma P^fzy sobie: była skromnym, lecz miłym towarzyszem podróży.

Następnego dnia dotarł wędrowiec do stolicy i do domu Designorich. Plinio wybiegł ku niemu na schody i uścisnął go ze wzruszeniem:

— Czekaliśmy na ciebie z utęsknieniem i troską — zawo-
lał. — Wielki uczyniłeś krok, przyjacielu, który oby się nam
wszystkim na dobre obrócił. Ależ że też cię wypuścili! Ni-
gdy bym w to nie uwierzył!

Knecht się roześmiał:

— Widzisz, że jestem. Ale o tym opowiem ci przy okazji.
A teraz chciałbym przede wszystkim powitać mego ucznia
i, oczywiście, także twoją żonę i omówić z wami wszystką
szczegóły mojej funkcji. Gorąco pragnę już ją podjąć.

Plinio zawołał służącą i polecił jej natychmiast wezwać
syna.

— Panicza? — zapytała dziewczyna, najwidoczniej zdzi-
wiona, lecz zaraz pobiegła szybko, Plinio zaś zaprowadził
przyjaciela do gościnnego pokoju, z zapalem opowiadając
mu, jak starannie obmyślono i przygotowano wszystko na
jego przybycie i dalsze przebywanie z Titem. Wszystko zdo-
łano przysposobić według życzeń Knechta, a nawet matka
młodego Tita po niejakich oporach pojęła owe wskazówki
i zastosowała się do nich. Mieli w górach ładnie położony
nad jeziorem domek letniskowy, zwany Belpunt, i tam miał
na razie przebywać Knecht wraz ze swym wychowankiem:
usługiwać miała im stara służąca, która już przed kilku dnia-
mi została tam wysłana, by wszystko przygotować. Oczy-
wiście będzie to jedynie pobyt chwilowy, najwyżej do po-
czątku zimy, lecz właśnie samotność taka jest nader wska-
zana na pierwszy okres. Dobre i to, że Tito tak lubi góry
i ów domek Belpunt, cieszy się na ów wyjazd i przyjmuje
go bez sprzeciwu. Designori przypomniał sobie, że ma całą
teczkę fotografii domku i jego okolic, zaciągnął więc Knech-
ta do swego gabinetu i jął pilnie szukać owej teczki, a gdy
ją znalazł, zaczął pokazywać gościowi dom i opisywać go:
większą izbę, kaflowy piec, altany, kąpielisko nad jeziorem,
wodospad.

— Podoba ci się? — pytał niekiedy. — Dobrze ci tam bi-
dzie?

— Czemu nie? — spokojnie odpowiadał Knecht. — Ale
gdzież ten Tito? Dobra już chwila minęła, od kiedy po nie-
go posłałeś.

Rozmawiali jeszcze przez pewien czas o tym, i owym, potem rozległy się kroki za drzwiami, które otworzyły się i ktoś wszedł, lecz nie był to ani Tito, ani wysłana po niego służąca. Była to matka Tita, pani Designori. Knecht powstał na powitanie, ona wyciągnęła ku niemu rękę i uśmiechnęła się do niego z nieco wymuszoną uprzejmością, on zaś dostrzegł, że za grzecznym owym uśmiechem kryje się wyraz troski lub gniewu. Ledwo też wypowiedziała kilka słów przywitania, zaraz zwróciła się do męża gwałtownie zrzucając ciężar, jaki miała na duszy:

— To doprawdy przykre — zawołała — wyobraź sobie, że ten chłopak znikł i nigdzie go nie można znaleźć!

— No, może wyszedł — uspokajał ją Plinio. — Wróci jeszcze.

— Niestety niezbyt to prawdopodobne — powiedziała matka — bo nie ma go już od rana. Zauważyłam to bardzo wcześnie.

— A czemu ja dopiero teraz się o tym dowiaduję?

— Bo, oczywiście, każdej chwili spodziewałam się, że wróci i nie chciałam cię niepotrzebnie denerwować. Po czątkowo nic złego zresztą sobie nie myślałam, sądziłam, że poszedł na spacer. Dopiero gdy nie przyszedł na obiad, zaczęłam się martwić. Ciebie na obiedzie dziś nie było, inaczej bowiem dowiedziałbyś się o tym już wtedy. Ale i wów czas jeszcze usiłowałam wmówić sobie, że to tylko jego nie dbalstwo, że każe mi tak długo czekać. Ale to nie to.

— Czy mogę zadać jedno pytanie? — wtrącił się Knecht.

— Ten młody człowiek wiedział przecież o rychłym moim przyjeździe, a także o planach, jakie państwo mieli w związku z nim i ze mną?

— Oczywiście, panie magistrze, i wydawał się nawet za dowolony z tych planów, w każdym razie wołał raczej pana więc jako nauczyciela, niż raz jeszcze zostać wysłanym do jakiejś szkoły.

■— No, w takim razie wszystko w porządku — stwierdził Knecht. — Syn pani, signora, przyzwyczajony jest do wielkiej swobody, zwłaszcza ostatnio, wobec tego perspektywa dostania wychowawcy i opiekuna wcale mu się nie uśmie-

cha. Dlatego też na moment, zanim miał być oddany temu nowemu nauczycielowi, dał drapaką, zapewne w nadziei, że zdoła naprawdę uciec przed swoim losem, choć może raczej przekonany tylko, że na odroczeniu całej tej sprawy nic nie straci. A ponadto chciał zapewne i rodzicom, i nowemu nauczycielowi dać niejako kuksańca, zaprotestować jednocześnie przeciwko całemu światu dorosłych i mentorów.

Designori ucieszył się, iż Knecht nie traktuje całego tego wydarzenia tragicznie. Sam jednak pełen był troski i niepokoju, gdyż jego kochającemu sercu wydawało się, że synowi grożą wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Może — myślał — uciekł chłopak naprawdę, może ma nawet zamiar zrobić sobie coś złego? Ach, wszystko, czego w wychowaniu tego chłopca zaniedbano lub co uczyniono opacznie, zdawało się mścić się właśnie teraz, gdy zamierzano owe błędy naprawić.

Wbrew radzie Knechta nalegał, aby coś robić, coś przedsięwziąć; nie czuł się na siłach znieść takiego bolesnego ciosu w bezczynności, wpadł wreszcie w tak wielkie zniecierpliwienie i podniecenie nerwowe, że przyjacielowi bynajmniej się to nie spodobało. Postanowiono tedy rozesłać gońców do kilku domów, w których Tito niekiedy odwiedzał swych rówieśników. Knecht ucieszył się, że pani Designori wyszła, by wydać to polecenie, i mógł zostać z przyjacielem sam na sam.

— Plinio — rzekł — wyglądasz tak, jakby ci przyniesiono do domu syna już nieżywego! Nie jest on już przecież dzieckiem, nie wpadł więc z pewnością pod wóz ani nie najadł się wilczych jagód. A więc opanuj się, mój drogi. A skoro nie ma synka, pozwól mi przez chwilę zamiast niego zająć się tobą. Obserwowałam cię trochę i stwierdzam, że po prostu nie jesteś w dobrej formie. W momencie, gdy atleta doznaje nieoczekiwanego ciosu albo ucisku, muskulatura jego jakby mimowiednie wykonuje odpowiedni ruch, ściąga się albo rozciąga i pomaga mu opanować sytuację. I tak też powinieneś ty, uczniu Plinio, w chwili gdy doznałeś ciosu — ■ czy też tego, co przesadnie za cios uznałeś — zastosować pierwszy środek obronny przy atakach natury duchowej

i starać się oddychać powoli i z opanowaniem. A zamiast tego oddychałeś jak aktor, który ma odgrywać wzburzenie. Nie jesteś dostatecznie uzbrojony, wy, ludzie świeccy, zdajecie się w szczególny sposób wydani na łup cierpień i trosk. Jest w tym jakaś wzruszająca bezbronność, a niekiedy nawet, w prawdziwych cierpieniach, gdy męka taka ma sens, także i wspaniałość. Ale na co dzień taka rezygnacja z obrony nie jest dobrą bronią; zatroszczę się o to, aby syn twój lepiej był przygotowany do chwil, w których takiej broni będzie potrzebował. A teraz, Plinio, bądź tak dobry i przerób ze mną kilka ćwiczeń, abym się przekonał, czy naprawdę ze szczętem wszystkiego już zapomniałeś.

Z pomocą ćwiczeń oddechowych, przy których wydawał surowe, rytmiczne komendy, zdołał Knecht oderwać przyjaciela od dalszego dręczenia się, a potem widział, że jest on już skłonniejszy do wysłuchania racjonalnych argumentów i poniesienia trosk i lęków. Poszli razem na górę do pokoju Tita; Knecht z przyjemnością patrzył na bałagan wśród rzeczy chłopca, sięgnął po książkę leżącą na stoliku przy łóżku, zobaczył wystający z niej kawałek papieru i oto okazało się, że był to list od zaginionego. Podał ową kartkę Designoriemu i roześmiał się, a twarz Plinia też się już rozjaśniła. Tito oznajmiał rodzicom w owej kartce, że wczesnym rankiem ruszył dziś w drogę i sam jedzie w góry, gdzie w Belpunt czekać będzie na nowego nauczyciela. Niechże pozwolą mu na tę małą przyjemność, zanim swoboda jego zostanie znów tak okropnie ograniczona, czuje bowiem nieprzewyciężony wstręt na myśl, że tę piękną, małą podróż miałby już odbyć w asyście nauczyciela, niczym więzień Pod dozorem.

- — Zupełnie rozumiałe — stwierdził Knecht. — Pojadę jutro za nim i zapewne zastanę go już w twoim więzdomku. Ale teraz idź przede wszystkim do żony i zK jej tę wiadomość.

Przez resztę dnia panował w domu nastrój pogody i od-Prężenia. Tego też wieczoru, na nalegania Plinia, opowiedział u Knecht pokrótce dzieje swoich ostatnich dni, a zwłaszcza obie rozmowy z mistrzem Aleksandrem. I tego też wie-

czoru zapisał na karteczce dziwny ów wiersz, będący dziś w posiadaniu Tita Designoriego. A rzecz miała się następująco:

Gospodarz pozostawił Knechta przed kolacją przez godzinę samego. Józef ujrzał szafę pełną starych książek, która wzbudziła w nim ciekawość. Także i to było przyjemnością, od której odwykł już w ciągu długich lat wyrzeczenia, o której niemal zapomniał, a która wzbudziła w nim teraz ciepłe wspomnienie studenckich lat: stać przed nie znanymi książkami, sięgać po nie, na los przypadku wyławiać spomiędzy nich ten lub inny tom, którego pozłota czy nazwisko autora, format lub barwa skórzanej oprawy wydały się interesujące. Z zadowoleniem przebiegał najpierw wzrokiem tytuły na grzbietach książek i stwierdził, że jest to wyłącznie literatura piękna z dziewiętnastego i dwudziestego wieku: ma ją oto przed sobą. Wreszcie wyciągnął jakiś spłowiały, w płótno oprawny tom, gdyż zaciekawił go jego tytuł „Mądrość braminów”. Najpierw na stojąco, potem już siedząc, przerzucał kartki owej książki, zawierającej całe setki pouczających wierszy, prawdziwe *curiosum* mentorskiej wy-lewności i mądrości prawdziwej, filisterstwa i rzetelnej poezji. Wydawało mu się, że tej osobliwej i wzruszającej książce nie brak bynajmniej ezoteryczności, lecz była ona ukryta w grubych, domowym sposobem sporządzonych okładzinach i nie te wiersze były najpiękniejsze, w których istotnie jakaś nauka i mądrość szukały dla siebie wyrazu, lecz te, w których do głosu dochodziła osobowość poety, jego zasób uczuć, jego rzetelność i miłość bliźniego, jego mieszczkański, poczciwy charakter. Gdy Knecht z mieszanymi uczuciami szacunku i rozbawienia usiłował głębiej wejrzeć w ową książkę, wpadł mu w oczy wiersz, który odczytał z zadowoleniem i aprobatą; uśmiechając się, kiwał głową przy tej lekturze, jakby specjalnie na ten dzień mu zesłanej. Wiersz ów brzmiał następująco:

i,
||
Dni cennych przemijania nikt z nas nie opiewa,
Skoro coś cenniejszego pośród nich dojrzewa:
Okaz rzadkiej rośliny, który hodujemy,
Dziecko, które chowamy, książeczka, którą piszemy.

^ a ł szufladę biurka, poszukał i znalazł kartkę pa-
nieru i przepisał na niej ów wiersz. Potem pokazał go Pli-
iiwi^{edział}:

Spodobały mi się te wiersze, jest w nich coś osobliwe-
a₀: tak oschłe niby, a przy tym tak przejmujące! Dobrze
też dostosowane są do mnie i obecnej mojej sytuacji i na-
stroju. Bo choć nie jestem ogrodnikiem i nie zamierzam dni
swoich poświęcać na hodowanie okazów rzadkich roślin,
jestem przecież nauczycielem i wychowawcą, a znajduję się
w drsdze do mego zadania, do dziecka, które pragnę wy-
chować. Jakże się na to cieszę! A co się tyczy autora tego
wiersza, poety Riickerta, hołdował on zapewne wszystkim
trzem z tych szlachetnych pasji: ogrodnika, pedagoga i pi-
sarza, ostatnie zaś z tych zajęć stawiał chyba na pierwszym
miejscu, skoro wymienia je na samym końcu, w najważniej-
szym momencie, a tak jest zakochany w przedmiocie tej
swojej pasji, że czule mówi nie o książce, lecz o „książecz-
ce”. Jakże to wzruszające! Plinio się roześmiał:

— Kto wie — rzekł — czy piękne to zdrobienie nie jest
jedynie chwytem rymopisa, który potrzebował w tym miej-
scu trzysylabowego, a nie dwusylabowego słowa.

— Należy go mimo wszystko odpowiednio ocenić — bro-
nił się Knecht. — Człowiek, który w życiu napisał setki ty-
sięcy takich wierszy, nie da się przecież do muru przycisnąć
błahymi wymogami rymu. Nie, nie, posłuchajże, jak czule
i pewnym nawet zażenowaniem to brzmi: książeczka, któ-
rą piszemy! Może zresztą nie tylko serdeczność uczyniła tUx
z „książki” „książeczkę”. Może chodzi też o upiększstnej. za
łagodzenie. Może, a nawet z pewnością poeta ów byfTał^ od
dany swojej pasji, że niekiedy odczuwał tę skłonność swojak
do układania książek jako namiętność i nałóg. A wówczas '
słówko „książeczka” miałoby nie tylko pełne miłości brzmie-
l:116 i sens, lecz także to upiększające, usprawiedliwiające

¹ Wybaczące znaczenie, o którym myśli gracz, zapraszając
ftie do gry, lecz do „gierki”, albo pijak, domagający się jesz-
CZe „kieliszeczka” lub „kufelka”. No, cóż, to tylko domysły.

*^e w każdym razie w pełni zgadzam się z owym piewcą,

gdy pisze o dziecku, które pragnie chować, i o książeczce, którą zamierza pisać. Nie tylko bowiem znam namiętność pedagogiczną, ale również i pisanie książeczek jest pasją, którą pojmuję doskonale. A teraz, gdy uwolniłem się od mego stanowiska, myśl taka nabrała dla mnie znowu wielkiego uroku; napisać kiedyś w spokoju i dobrym humorze książkę, nie: książeczkę, niewielką rozprawkę dla przyjaciół i ludzi podobnie jak ja myślących.

— A o czym? — z ciekawością zapytał Designori.

— Ach, wszystko jedno, temat nie jest ważny w tym wypadku. Byłby on dla mnie jedynie pretekstem do snucia mych wątków coraz dalej i rozkoszowania się szczęściem mnóstwa wolnego czasu. Lecz przede wszystkim chodziłoby mi wówczas o ton: o znalezienie odpowiedniego tonu, czegoś pośredniego pomiędzy szacunkiem i poufałością, powagą i rozbawieniem, tonu me pouczającego, lecz przyjaźnie informującego i opowiadającego o tym czy owym, com przeżył i czego, jak sądzę, zdołałem się nauczyć. Sposobem, którym Fryderyk Riickert w swych wierszach zmieszał dydaktykę z rozważaniami, a informację z pogawędką, chyba byr się nie posłużył, choć i w tym rodzaju jest coś przyjemnego co mi się podoba: to nuta osobista, a przecież nie samowolna, rozigrana, a mimo to trzymająca się określonych zasad formalnych. Cóż, na razie nie uda mi się zająć radościami ani trudami pisania książeczki, innymi sprawami powinienem teraz się interesować. Ale kiedyś, później, myślę, zdołałbym może zakosztować radości tworzenia, takiego, jakie sobie uroiłem: w spokoju, choć rozpatrując starannie różne sprawy, a nie dla własnej jedynie przyjemności, lecz stale przy tym pamiętając o nielicznych, acz dobrych przyjaciółach i czytelnikach.

Nazajutrz wyruszył Knecht rankiem do Belpunt. Designori ofiarował się ubiegłego wieczoru, że go tam odprowadzi, lecz Józef stanowczo odmówił, a gdy tamten ośmielił się go nadal jeszcze przekonywać, niemal go zburczał.

— Twój chłopak — oznajmił krótko — dość będzie miał kłopotu ze spotkaniem i przywitaniem swego fatalnego, nowego nauczyciela, nie powinniśmy więc ponadto narażać go

•jeszcze na spotkanie z ojcem, które akurat w tym momencie bynajmniej by go nie uszczęśliwiło.

Jadąc pośród świeżości wrześniowego poranka wynajętym dlań przez Plinia podróżnym powozem, odzyskał Knecht swój dobry, wczorajszy humor podróżnika. Często nawiązywał rozmowę z woźnicą, kazał mu niekiedy stawać lub jechać powoli, gdy interesował go krajobraz, parokrotnie zagrał też na małej fujareczce. Piękna i ciekawa była ta podróż ze stolicy i z nizin ku pogórzcu i dalej jeszcze, ku wysokim już górcom, a wiodła ona jednocześnie również z kończącego się już lata coraz bardziej i bardziej ku jesieni. Około południa dotarli na ostatnie wielkie wzniesienie, jadąc stromymi serpentynami przez rzadniejący już, iglasty las, koło spienionych i pośród skał szumiących górskich potoków, przez mosty i obok samotnie stojących chłopskich zagród, o grubych murach i niewielkich okienkach, w kamienny, coraz sroższy i surowszy górski świat, pośród powagi i srogości, świat, którego liczne splechietki okrytych kwieciami łąk rozkwiatały bardziej jeszcze uroczo i pięknie.

Mały, letniskowy domek, do którego wreszcie dotarli, położony był nad górskim jeziorem i ukryty wśród szarych skał, od których niemal się nie odróżniał. Podróżnik na widok owego domku odczuł surowość i pewną nawet ponurość tej architektury, dostosowanej do dzikości wysokich już gór; lecz zaraz potem wesoły uśmiech rozjaśnił jego twarz, gdyż w otwartych drzwiach domu ujrzał postać młodzika w kolorowej kurtce i krótkich spodenkach: mógł to być jedynie uczeń jego, Tito, a choć nie był tą ucieczką poważnie zatroskany, mimo wszystko odetchnął teraz z ulgą i wdzięcznością. Skoro Tito był tutaj i witał nauczyciela na progu, -domu, wszystko już było dobrze i przestawały grozić komplikacje, których możliwość Knecht jednak rozważał po drodze.

Chłopak wyszedł mu naprzeciw życzliwie uśmiechnięty, odrobinę także zmieszany, pomógł mu wysiąść i powiedział Przy tym:

— Nie w złej intencji chciałem, aby pan odbył tę podróż samotnie. — I zanim Knecht zdołał jeszcze odpowiedzieć,

dorzucił poufnie: — Wydaje mi się, że pan zrozumiał, o co mi chodziło. Bo inaczej przywiózłby pan tutaj z pewnością mego ojca. A ja dałem mu już znać, że dobrze dojechałem.

Knecht z uśmiechem uściśnął mu rękę i pozwolił zaprowadzić się do domu, gdzie przywitała go również służąca, obiecując niebawem podać kolację. Gdy jednak, ulegając nieznanej dotąd potrzebie, położył się przed posiłkiem na chwilę, zrozumiał dopiero, że piękna podróż powozem dziwnie go zmęczyła, a nawet wyczerpała, a w ciągu wieczoru, kiedy gawędził ze swoim uczniem, oglądając jego zbiory kwiatów górskich i motyli, zmęczenie to jęło jeszcze wzrastać, Józef poczuł nawet jak gdyby zawrót głowy, nigdy dotąd nie doświadczaną pustkę w głowie, przykrą słabość i nierównomierne uderzenia serca. Posiedział jednak z Titem aż do pory spoczynku, usiłując nie zdradzać złego samopoczucia. Uczeń dziwił się nieco, że magister ani słowem nie wspomina o nauce, planie lekcji, ostatnich świadectwach i tym podobnych rzeczach, a nawet, gdy usiłując wyzyskać ów dobry nastrój zaproponował na dzień jutrzejszy większy spacer, aby zapoznać nauczyciela z nową dlań okolicą, ten przyjął projekt życzliwie.

— Cieszę się na ten spacer — dorzucił jeszcze Knecht — a jednocześnie chcę też zaraz poprosić pana o pewną przysługę. Oglądając pańskie zbiory przyrodnicze przekonałem się, że zna się pan na roślinności górskiej znacznie lepiej ode mnie. A ponieważ cel naszego współżycia polega między innymi na wymianie doświadczeń i dostosowaniu się do siebie wzajem, może zaczniemy od tego, że sprawdzi pan znikome zasoby mej botanicznej wiedzy i pomoże mi pójść nieco naprzód w tej dziedzinie.

Gdy wzajemnie powiedzieli sobie dobranoc, Tito poczuł się bardzo zadowolony i powziął szereg dobrych postanowień. Ów magister Knecht znowu mu się dziś bardzo spodobał. Bez używania wielkich słów i wspomniania o nauce, cnocie, szlachectwie ducha i tym podobnych sprawach, co tak bardzo lubili robić nauczyciele w szkole, miał ów pogodny i życzliwy człowiek coś takiego w sposobie bycia i mówienia, co zobowiązywało i pobudzało wszystkie szla-

hetne, dobre, rycerskie, wyższe dążenia i siły. Przyjemność a nawet zasługą mogło być oszukiwanie lub przechytrzenie każdego pospolitego nauczyciela, lecz wobec tego człowieka, myśli takie nie mogły nawet przyjść do głowy, gy} — kim właściwie? I jaki? Tito jął zastanawiać się nad tym, co mu się w tym obcym tak podoba i jednocześnie imponuje, i stwierdził w końcu, że to szlachectwo, wytworność i pańskość. Ów pan Knecht był wytworny, był panem i szlachcicem, chociaż nikt nie znał jego rodziny, a jego ojciec mógł być nawet szewcem. Szlachetniejszy był i wytworniejszy od większości mężczyzn, których znał Tito, wytworniej szy nawet od jego ojca. Chłopak, wysoko ceniący patrycjuszowskie instynkty i tradycje swego rodu, nie mogący też przebaczyć ojcu, że od nich odstąpił, spotkał się tu po raz pierwszy z duchowym, wytworzonym przez wychowanie szlachectwem, z ową siłą, która w sprzyjających warunkach potrafi dokonać cudu, czyli z pominięciem długiego szeregu przodków i generacji, w okresie równym jednemu ludzkiemu życiu, uczynić z plebejskiego dziecka arystokratę. W zapalczywym i dumnym chłopcu ocknęło się przeczucie, że przynależność do tego rodzaju arystokracji i służenie jej mogą stać się dlań obowiązkiem i zaszczytem, że może tutaj właśnie, w osobie tego nauczyciela, który mimo całej swej życzliwości i łagodności był tak na wskroś panem, zbliża się ku niemu sens własnego jego życia i jego *cele*.

Knecht, odprowadzony do swego pokoju, nie od razu się położył, choć wielką miał na to ochotę. Wieczór zmęczył go, trudno mu było i ciężko zachować wobec młodego chłopca, niewątpliwie bystro go obserwującego, taką postawę, głos i wyraz, tak się opanować, aby nie mógł on dostrzec nawet śladu owego osobliwego, teraz silniejszego jeszcze, znużenia, niezadowolenia czy nawet choroby. Ale chyba mu się to udało. Lecz teraz z kolei musiał opanować tę pustkę, złe samopoczucie, przerażające zawroty głowy i śmiertelne zmęczenie, starając się przede wszystkim rozeznaczyć je i zrozumieć. Udało mu się to również bez trudu, **choć dopiero po** uższej chwili. Przyczyną jego choroby, stwierdził, była je-

dy nie dzisiejsza podróż, która w tak krótkim czasie przeniosła go z niziny na wysokość około dwóch tysięcy metrów. Z wyjątkiem kilku nielicznych wycieczek we wczesnej młodości, nie przyzwyczajony był do przebywania na takich wysokościach, źle zniósł tak szybką ich zmianę. Zapewne co najmniej jeszcze dzień lub dwa będzie się wskutek tego źle czuł, a gdyby i potem źle samopoczucie nie minęło, będzie zmuszony powrócić wraz z Titem i gospodynią do domu, a cały plan Plinia, dotyczący tego pięknego Belpunt, okaże się chybiony. Szkoda by to była, lecz jeszcze nie nieszczęście. Po tych rozważaniach położył się Knecht do łóżka i, niewiele śpiąc, spędził noc po części na rozpamiętywaniu swej podróży od chwili pożegnania Waldzell, a po części na próbach uspokojenia rozkołatanego serca i podekscytowanych nerwów. Również o uczniu swoim myślał wiele, z życzliwością, lecz nie robiąc żadnych planów; wydało mu się bardziej wskazane oswajać to szlachetne, choć dzikie źrebię dobrocią i przyzwyczajaniem, gdyż nie należało tu z niczym się śpieszyć ani nic wymuszać. Miał zamiar dopiero stopniowo doprowadzić chłopca do uświadomienia sobie własnych sił i talentów, podsycając w nim jednocześnie szlachetną ciekawość, dumne poczucie niedosytu, budzące z kolei zamiłowanie do nauki, intelektu i piękna i dające na nie siły. Piękne to było zadanie, a uczeń jego też nie należał do przeciętnie zdolnych młodzików, których jeno obudzić i odpowiednio ukształtować trzeba; jako syn wpływowego a bogatego patrycjusza miał być też w przyszłości panem, jednym z tych, którzy tworzą społeczną i polityczną przyszłość kraju i narodu, na wzór i dowódcę był przeznaczony. Kastalia winna była co nieco staremu rodowi Designorich: nie wychowała bowiem nigdy należycie powierzonego jej opiece ojca Tita, nie opancerzyła go odpowiednio do trudnego stanowiska, jakie zajmować musiał pomiędzy światem a intelektem, a wskutek tego nie tylko zdolny i miły Plinio stał się człowiekiem nieszczęśliwym, a życie jego było nieskładne i niewyrównane, lecz także jedyny jego syn był zagrożony i również wciągnięty w krąg ojcowskiej problematyki. Trzeba tu było coś uleczyć i naprawić, spłacić jakby pewien

jjug Knecht zaś cieszył się i słuszne mu się wydało, iż zadanie to przypadło właśnie jemu, pozornie nieposłusznemu i odstępcy.

Z rana, gdy poczuł, iż dom się budzi, wstał, znalazł przygotowany przy łóżku płaszcz kąpielowy, który narzucił na lekką swoją nocną szatę i, tak jak rnu to poprzedniego wieczoru pokazał Tito, wyszedł przez tylne drzwi na wpółkryty ganek, łączący dom z kabiną kąpielową i jeziorem.

Małe jeziorko leżało przed nim nieruchome, szarozielone, po drugiej jego stronie widać było wysokie i strome zbocze skalne, ostrą, spiczastą granią sięgające ku przejrzystemu, seledynowemu, chłodnemu o świcie niebu, szorstką i zimną w cieniu. Lecz za ową granią wyczuć można już było wschodzące słońce, którego blaski przezierają tu i ówdzie drobnymi okruciami przy ostrych załomach kamieni, za kilka minut zaledwie nad zębatymi szczytami górskimi pojawi się słońce, zalewając potokami światła jezioro i górską dolinę. Knecht z powagą i uważnie kontemlował ów obraz, odczuwając jego surowość, piękno i ciszę jako coś nie znanego, co jednak obchodziło go i napominało. Bardziej jeszcze niż podczas wczorajszej podróży odczuł potęgę, chłód i majestatyczną obcość tych wysokich gór, świata, który nie wychodzi człowiekowi naprzeciw, nie zaprasza go i ledwie go toleruje. Dziwne i znamienne wydało mu się, iż pierwszy jego krok w nową swobodę świeckiego życia zaprowadził go tu właśnie, w te obszary cichej i chłodnej wielkości.

Tito pojawił się w spodenkach kąpielowych, podał magistrowi rękę i wskazując na przeciwległą skałę, powiedział:

— W porę pan przyszedł, zaraz wszędzie słońce. Ach, cudownie tu jest na górze.

Knecht życzliwie skinął mu głową. Wiedział od dawna, że Tito jest rannym ptaszkiem, biegaczem, zapaśnikiem i wędrowcem, jaż choćby z chęci zaprotestowania przeciw nonszalanckiej, wygodnej postawie i sposobowi życia swego ojca, gdyż z tych samych względów gardził też winem. Owe nawyki i obyczaje prowadziły wprawdzie niekiedy do pozowania na dziecko natury i do negacji intelektu — skłonność do przesady wydawała się u wszystkich Designorich

wrodzona — ale Knecht ucieszył się z nich i postanowił wykorzystać również koleżeństwo sportowe jako jeden ze środków do pozyskania i poskromienia zapalczywego młodzika. Był to tylko jeden środek spośród wielu, bynajmniej nie najważniejszy; muzyka na przykład mogła tu zaprowadzić znacznie dalej. Knecht nie myślał też oczywiście o tym, aby dorównać młodemu chłopcu w ćwiczeniach fizycznych czy nawet chcieć go w nich prześcignąć. Zwykły tylko udział w sportowych zajęciach wystarczy już, by przekonać młodego, że jego wychowawca nie jest ani tchórzem, ani piecuchem.

Tito z napięciem wpatrywał się w mroczną, skalną grań po drugiej stronie, za którą niebo nurzało się w blasku jutrenki. Teraz kawałek skalnego grzbietu rozbłysł nagle i gwałtownie, niczym rozpalony i już topiący się metal, grań stała się niewyraźna, wydała się naraz niższa, zdawała się topnieć i zapadać, a z rozżarzonej luki oślepiająco wynurzyło się słońce. Ziemia, dom, kabina kąpielowa i brzeg jeziora, wraz z obu na nim stojącymi postaciami, zostały nagle oblane światłem, a pod wpływem silnych promieni jęły też wkrótce doznawać miłego uczucia ciepła. Chłopiec, przejęty uroczystym pięknem tej chwili, uszczęśliwiony własną młodością i siłą, zaczął się przeciągać, rytmicznie poruszając ramionami, a ich śladem całe jego ciało uczestniczyć zaczęło w entuzjastycznym tańcu ku czci wschodzącego dnia, wyrażając głębokie porozumienie z falującymi i promieniącymi wokół żywiołami. Tito biegł krokiem radosnym i kornym na spotkanie zwycięskiego słońca, ze czcią przed nim się cofał, wyciągniętymi ramionami tulił do serca góry, jezioro i niebo, przyklękając, zdawał się składać hołd matceziemi, wyciągając ręce — wielbić wody jeziora i samego siebie, młodość swą i swobodę, płomienne umiłowanie życia składać tym siłom w uroczystej ofierze. Na opalonych jego plecach migotało słońce, oczy jego, blaskiem oślepione, były wółprzymknięte, a młoda twarz zastygła jak maska w wyrazie entuzjastycznej, niemal fanatycznej powagi.

Magister również zresztą czuł się przejęty i wzruszony wspaniałym widowiskiem dnia wschodzącego pośród ska-

listej i milczącej samotni. Lecz bardziej od tego widoku przejął go i zachwyił uroczysty, poranny, słońce witający taniec jego ucznia, przydający temu niedojrzałemu jeszcze, kaprysom ulegającemu chłopcu kapłańskiej niemal powagi, jemu zaś, widzowi, odkrywający wszystkie jego najgłębsze i najszlachetniejsze talenty, zdolności i skłonności w sposób równie promienny, nagły i demaskujący, jak owo pojawienie się słońca, które otwarło i prześwieciło tę chłodną i posępną górską dolinę. Młodzieniec wydał się teraz Knechtowi jeszcze silniejszy i bardziej wartościowy, niż uprzednio sądził, ale jednocześnie też odporniejszy, niedostępniejszy, mniej subtelny, a bardziej pogański. Ten uroczysty ofiarny taniec rozentuzjasmowanego chłopaka był czymś więcej niż niegdyś przemowy i wiersze młodego Plinia: podnosił go 0 stopień wyżej, czynił go jednak przy tym bardziej obcym, nieuchwytnym i na wołanie nieczułym.

Sam chłopiec uległ owemu entuzjasmowi mimowolnie. Nie wykonał też jakiegoś znanego mu już, powtarzanego czy choćby próbowanego tańca, nie był to też znany mu czy przez niego samego wymyślony rytuał święta słońca i poranka, a ponadto, co Knecht dopiero później zdołał stwierdzić, w tańcu tym i magicznym jego opętaniu uczestniczyło nie tylko górskie powietrze, słońce, poranek i uczucie swobody, lecz w równej mierze także czekająca go przemiana 1 stopień jego młodego życia, wcielone w tyleż życzliwą, co szacunku wymagającą postać magistra. Dość dużo dokonała się o tej porannej porze w losach i duszy młodego Tita, by wyróżnić ową godzinę spośród tysiąca innych jako wielką, uroczystą i świętą. Nie wiedząc, co czyni, bezkrytycznie i ufnie, robił to, czego błoga owa chwila od niego żądała, od tańczył swe nabożeństwo, modlił się do słońca, w pełnych uniesienia ruchach i gestach dawał wyraz swojej radości, wierze w życie, pobożności i czci, z dumą i pokorą jednocześnie składał w owym tańcu słońcu i bóstwom nabożną duszę swoją w ofierze, w równym też stopniu oddając ją Podziwianemu w lęku mędrcom i muzykowi, z tajemnych jakichś okolic przybywającemu mistrzowi gry magicznej, Przyszłemu swemu wychowawcy i przyjacielowi.

Wszystko to, wraz z upojeniem blaskami wschodzącego słońca, trwało zaledwie parę minut, Knecht z przejściem patrzył na to cudowne widowisko, w którym uczeń oto na jego oczach zmieniał się, ujawniał, ukazując mu się od nowej strony, obcy, lecz równy mu. Obaj stali na pomoście pomiędzy domem a kabiną kąpielową, zanurzeni w blaskach słońca od wschodu, głęboko przejęci niedawnymi przeżyciami, gdy Tito, ledwo skończywszy ostatni taneczny krok, ocknął się ze szczęśliwego oszołomienia i zatrzymał jak zwierzę w samotności na igraszkach zaskoczonych, uświadamiając sobie, iż nie jest sam, że nie tylko przeżył i sam czynił niezwykle rzeczy, ale miał też ich świadka. Błyskawicznie poszedł za pierwszym odruchem, umożliwiającym mu wydobyć się z tej sytuacji, która nagle wydała mu się niebezpieczna i zawstydzająca, siłą chcąc przełamać czas tych osobliwych chwil, które go tak urzekły i omotały.

Twarz jego, niedawno pozbawiona jeszcze wieku, surowa jak maska, przybrała wyraz dziecinny i nieco naiwny, jak u kogoś, kogo nagle ze snu zbudzono, zakolysał się nieco w kolanach, z tępą zadumą spojrzął na twarz nauczyciela i w nagłym pośpiechu, tak jakby teraz dopiero coś pilnego, niemal już poniechanego przyszło mu do głowy, wyciągnął prawe ramię, wskazując przeciwległy brzeg, zanurzony, podobnie jak i połowa jeziora, jeszcze w głębokim cieniu, choć pobliska góra w promieniach porannego słońca coraz bardziej pomniejszała ów cień u swoich stóp.

— Popłyniemy szybko, szybko — zawołał chłopięco i spiesźnie — a wtedy zdążymy jeszcze przed słońcem na tamten brzeg.

Ledwo wyrzucił z siebie te słowa, ledwo dał hasło płynięcia w zawody ze słońcem, już znikł w ogromnym skoku głową naprzód w głębi jeziora, jakby z nadmiaru radości czy zmieszania, nie wiedział wprost jak najszybciej stąd zniknąć i okryć zapomnieniem tamtą uroczystą scenę i swe uniesienie. Woda rozbryzgała się, strzeliła wzwyż i zamknęła się nad nim, a po chwili wynurzyła się z niej jego głowa, plecy i ramiona, widoczne na zielonoblękitnej tafli, lecz szybko się oddalające.

Knecht, wychodząc, nie miał bynajmniej zamiaru kąpać się ani pływać, było mu o wiele za chłodno, a po nocy na poły w chorobie spędzonej nadal jeszcze nie czuł się dobrze. Lecz teraz, przy tak pięknym słońcu, poruszony wszystkim, co przed chwilą oglądał, po koleżeńsku przez wychowanka swego zaproszony i wezwany, nie uważał już tego śmiałego przedsięwzięcia za tak bardzo odstręczające. Przede wszystkim obawiał się jednak, iż to, co owa poranna godzina rozpoczęła i przyobiecwała, zniknie bezpowrotnie i przepadnie, jeśli teraz pozostawi chłopca samego i rozczaruje go, z chłodnym rozsądkiem człowieka dorosłego rezygnując z próby sił. Ostrzegało go wprawdzie uczucie słabości i niepewności, jakiego nabawił się wskutek tak szybkiej podróży w góry, lecz może właśnie niedyspozycja ta da się najszybciej przezwyciężyć zadaniem sobie gwałtem i brutalną decyzją. Wezwanie silniejsze było od ostrzeżenia, wola silniejsza od instynktu. Spiesznie zdjął więc Knecht lekki płaszcz kąpielowy, głęboko zaczerpnął tchu i rzucił się do wody w tym samym miejscu, w którym dał nura jego uczeń.

Jeziro, pełne polodowcowej wody i nawet w najupalniej-sze dni lata dostępne jedynie bardzo zahartowanym ludziom, przywitało go wrogim, ostrym, lodowatym chłodem. Knecht przygotowany był na to, że wstrząśnie nim mocny dreszcz, lecz nie liczył się z tak strasliwym zimnem, które otoczyło go jakby buchającymi płomieniami, a po momencie gwałtownego przypiekania jęło szybko do jego wnętrza przenikać. Po zanurzeniu się spiesznie wynurzył się znowu, ujrzał przed sobą w znacznej już odległości pływającego Tita, poczuł, jak ze wszech stron ogarnia go zajadła, wroga, wściekła lodowatość, myślał jeszcze, że walczy o zmniejszenie odstępów pomiędzy sobą i chłopcem, o cel tych pływackich zawodów, o szacunek i koleżeństwo, o duszę chłopca, Sdy walczył już ze śmiercią, która dopadła go i zmusiła do boju. Walcząc ze wszystkich sił opierał się jej, dopóki tylko serce biło.

Młody pływak często oglądał

się za siebie i stwierdzał z satysfakcją, że magister za jego przykładem skoczył do wody. Teraz oto obejrzał się znowu, nie dostrzegł już tamtego. zaniepokoił się, jął się rozglądać, wołać, zawrócił i pospieszył mu z pomocą. Nie znalazł go już jednak, pływając więc i nurkując szukał topielca tak długo, aż własna jego siła jęła mu odmawiać posłuszeństwa. Zataczając się, bez tchu dotarł wreszcie do brzegu. Zobaczył leżący tam płaszcz kąpielowy, podniósł go i zaczął machinalnie rozcierać nim ciało, ręce i nogi, aż zlodowaciała jego skóra znowu się rozgrzała. W blaskach słońca usiadł, jak ogłuszony, wpatrując się w wodę, której błękitnozielony chłód wydał mu się teraz dziwnie pusty, obcy i wrogi, poczuł, jak ogarnia go głęboki smutek i bezradność, gdy wraz z ustępowaniem osłabienia fizycznego zaczęła powracać mu przytomność i przerażenie tym, co się stało.

Biada, myślał z ogromnym lękiem, oto winien jestem jego śmierci! I dopiero teraz, gdy nic trzeba już było trwać w dumie ani nikomu stawiać oporu, poczuł w bólu przerażonego swojego serca, jak bardzo kochał tego człowieka. A ponieważ, mimo wszelkich zastrzeżeń, czuł się winny śmierci mistrza, przeniknęło go świętym dreszczem przeczucie, że wina ta przekształci go i całe jego życie, domagając się odeń rzeczy stokroć większych, niż wszystko to, czego sam kiedykolwiek dotychczas od siebie żądał ,

Koniec

PISMA POZOSTAWIONE
PRZEZ JÓZEFA KNECHTA

WIERSZE UCZNIA I STUDENTA

SKARGA

Istnienia dla nas nie ma. Jesteśmy **jak woda**, Co płynąc
wszelki kształt **przybiera, żywa**: Dniem się staje **i** nocą,
katedrą i grotą, A spragniona istnienia przez **wszystko**
przepływa.

Tak płynąc, różną postać przybieramy, A żadna z nich
ojczyzną nam, **ratunkiem, niebem**, Zawsze gośćmi
jesteśmy, w **drodze się mijamy**, Pług nas nie woła,
pole **nie porośnie chlebem**.

Nie wiemy, jaką rolę Bóg nam **przyznać raczył**,
Igia z nami, jesteśmy gliną w **rękach Pana**,
Niema, podatną, co **am się śmieje, ani płacze**,
Gnieciona, chociaż w piecu już **me wypalana**.

Choć raz w kamień zastygnąć! Choć **raz** się zespolić! Oto,
ku czemu wieczna wiedzie nas **tęsknota**, Choć pozostanie
dreszczem trwożnym z wiecznej woli, A nigdy
odpoczynkiem na drodze **żywota**.

-\

USTĘPSTWO

Ludzie wiecznie naiwni, zdeterminowani, Zwątpień
naszych, rzecz jasna, podzielać nie mogą. Świat jest płaski
— stwierdzają jednym **krótkim zdaniem**, A legenda o
głębiach jego — bzdurą srogą.

Bo gdyby mnie, doprawdy, wymiary
Istnieć miały prócz dawnych dwóch, tak dobrze znanych,
Jakże mógłby bezpieczny człek być w swym mieszkaniu,
Jakże mógłby beztrosko żyć w świecie rozchwianym?

Aby w spokoju tedy się pomieścić,
Najlepiej będzie jeden wymiar skreślić'

Jeśli bowiem ci mędrcy tacy są rzetelni, Jeśli tak
niebezpieczne bywa życie głębi, Trzeci ów
wymiar jest po prostu zbędny. * ' .

TAJEMNIE PRZECIEŻ...

Wdzięczne, ulotne jako arabesek cienie
Zdaie się nasze życie, jako taniec wieszczek
Lcitko wokół nicości krążyć ciągle jeszcze,
Tciaźniejszość jej niosąc w ofierze: istnienie.

Piękno ułudnych marzeń sen swój śni,
Zwiewne, w zarysach tak czyste i jasne,
Lecz pod gładką powierzchnią płonie w głębi **blaskiem**
Tęsknoty do ciemności, barbarzyństwa, krwi.

I w pustce, bez przymusu, tak lekko się kręci
Swobodne życie nasze, skore do radości,
Tajemnie przecież chce rzeczywistości,
Wzbudzenia i narodzin, cierpienia i śmierci.

i

LITERY

Bywa niekiedy, że chwytny pióro,
Znaki kreślimy na papierze białym,
Wymowne wielce — zgodnie z ich naturą,
Ta gra ma wszakże swe zasady stałe.
Lecz gdyby dzikus lub człowiek z księżycą
Wziął taką kartkę, runami zdobioną,
I z ciekawością do oczu przybliżał,
Świat by w niej ujrzał, dziwnie odmieniony:
Obraz magicznej, obcej, wielkiej sali,
A lub B jako zwierza lub człowieka,
Oczy, kończyny, którymi ruszali —
Zwierzę, gnane instynktem, zwierzę, które czeka.
Czytałby niczym ślady ptasich stóp na śniegu,
Latał wraz z nimi, cierpiał, brał udział w ich biegu.
I możliwości wszelakie stworzenia
W tych czarnych, sztywnych znakach wyrażone,
Przez ornamentów giętkich przeplecenia
Widziałby: żar miłosny, cierpienia skłębione.
Zdumiałby się i zadrzał, zaśmiał i zapłakał,
Bo za kratami tych pisarskich znaków
Świat nawet cały w swym ślepym rozpędzie
Zdałby mu się zmniejszony, zawarty, a znaki
Skarlałe i zakłete w sztywnym rzędzie,
Więźniom podobne i wszystkie jednakie
Tak, iż śmierć, rozkosz, życie i cierpienia[^]
Braćmi się stają — nie do rozróżnienia...
Wrzasnąłby w końcu dzikus jak szalony
W lęku ogromnym i ogień rozniecił.
A pośród zaklęć i bijąc pokłony

Białą, runiczną kartkę płomieniom poświęcił.
I przez sen może, gdy już tak się zmęczył,
Poczułby, że ów świat zły, nieprawdziwy
Znikł znowu nagle, że w nicość się schował,
Wchłonięty został w niebytu krainy — I
zaśmiał by się, westchnął — i ozdrowiał.

Co wczoraj jeszcze piękne i szlachetne było,
Owoc licznych stuleci, najszczytniejszych myśli,
Dziś nagle blaknie, więdnie, sens swój zatraciło
Niczym zapis nutowy, kiedy się w nim skreśli

Krzyżyki oraz klucze; konstrukcja zatracą Magiczny
punkt ciężkości; kolebie się cała, Chyboce,
rozsypuje, w gruzy się obraca, Echem wiecznie
brzmi, co się harmonią zdawało.

Podobnie twarz starego, mądrego człowieka, Z
miłością podziwiana, w zmarszczki się rozkłada,
Promienne niegdyś światło jego myśli znika,
Rozdygotane w brzdach żalonych przepada.

I uczucia podniosłe, zaledwie zaznane, W przesył
się zmienić mogą, wykoślawić nieraz, Jak gdyby
już od dawna świadomość nam dana Była, że
wszystko więdnie, gnije, obumiera.

Lecz nad tą śmierci doliną zelżywą W bólu
niezmienna, nadal wiecznotrwała Pochodnia
tęsknot ducha płonie żywo, Nieśmiertelna, bo
śmierć też poskromić zdołała.

OSTATNI GRACZ SZKLANYCH PACIORKÓW

Zabawkę swą, paciorki barwne w rękę trzyma
 I siedzi, pochylony; a wokół ruina,
 Kraj wojną i zarazą srodze spustoszony,
 Bluszcz na gruzach wyrasta; w bluszczu brzęczą pszczoły.
 Znużony spokój, niczym psalm niegłośny,
 Brzmi ponad światem: to cisza starości.
 Starzec paciorki barwne liczy teraz,
 Tu błękitny, a ówdzie znowu biały suje,
 Większy, z kolei też mniejszy dobiera
 I w pierścień je do swojej gry dostosowuje.
 Tak pięknie niegdyś mu symbole grały, <
 Był mistrzem sztuk rozlicznych, języków znał wiele,
 Podróżował daleko, znał prawie świat cały,
 Sławny i sławą swoją szczycący się śmieie.
 Otoczony gromadą uczniów i kolegów,
 Teraz przecie samotny, wyniszczony, stary,
 Nikt z młodych już nie pragnie błogosławieństw jego^
 Na dysputy magistrów nie jest zapraszany;
 Wszystko przeszło, minęło: książki i świątynie,
 Szkół kastalskich też nie ma; starzec odpoczywa
 Wśród ruin i paciorki jeno w rękę trzyma,
 Hieroghfy, co niegdyś tak wymowne były,
 A dziś jako ułamki szkiełek kolorowych
 Bezszelестnie wypadły z palców sędziwego
 Mędrca i oto już się w piasku zagubiły...

Pracisza trwa... Dokoła ciemność włada... Z
rozdartej chmury tylko promień pada, I
światów głębie dobywa z nicości, Przestrzenie
tworzy, światłem noc przepaja, Zbocza,
przepaści, szczyty przeczuć daje, Ziemi,
powietrzu przysparza trwałości.

Promień ów przyszłość, co ledwo kiełkuje,
Twórczo rozszczepia na walkę i czyny,
A przerażony świat luną rozświecła,
I przeistacza go ta siejba świetlna.
Ład nowy hymnem wybucha dziękczynnym:
Życie zwycięskiej światłości dziękuje.

I dalej jeszcze, ku Bogu zawraca
Przez wszelki rodzaj ziemskiego stworzenia
Ów pęd ogromny ku ojcu-duehowi.
Co radość, smutek i słowo odnowi,
W łuk triumfalny oto świat przekształca,
W ducha i walkę i miłość się zmienia.

s \

W klasztorze górskim niegdyś o wieczorze,
 Bawiąc, gdy inni byli na modlitwie,
 Do biblioteki wszedłem. W blaskach **zorzy**
 Błyskały wszędzie wokół ścian prześliczne
 Tytuły licznych grzbietów z pergaminu.
 Olśniony, żądny także wiedzy, czynu,
 Pierwszą na próbę księgę tam otworzył:
 „Ostatni krok ku kwadraturze koła”.
 Wezmę — orzekłem — przydać mi się zdoła!
 A inna księga, bogato złożona,
 Miała na grzbiecie tytuł wytłoczony:
 „Jako z drugiego drzewa Adam spożył...”
 Z drugiego? Adam jadł z drzewa żywota?
 Więc — nieśmiertelny? Nagrodzona cnota.
 Nie próżnom tutaj. A jeden z foliantów
 Zdobiony gęsto na grzbiecie i kantach
 Rozmigotanym, barwnym łukiem tęczy
 Miał tytuł długi, malowany ręcznie,
 Co brzmiał: „Barw oraz dźwięków wszelkich **związeki**
 Z dowodem, jako kolorów zawiązki
 Tonacjom różnym podporządkowane”.
 O, barwy owe zdały się świetlane,
 Pełne nadziei! I jałem przeczuwać,
 Co każda nowa książka potwierdzała:
 Ta biblioteka chyba z rajów cała!
 Gdyż na pytania, które mnie nękały, . »r
 Zwątpienia, co mi serce przepalały,
 Odpowiedź tutaj i chleb dla każdego. ,
 Strawa duchowa. Bowiem w każdym tofląje
 Ledwo otwartym, tytuł już widomie
 Dla różnych strapień przynosił pomoce. ,
 Z każdego drzewa były tu owoce,

Po które uczeń sięgać zwykł nieśmiało
Lub mistrzom śmielej sięgać się zdarzało.
Treść to najczystsza i najwewnętrzniejsza
Wszelkiej mądrości, poezji, nauki,
Odkryte oto czarodziejskie sztuki:
Esencja ducha w nich najsubtelniejsza.
Wielkie, ukryte, niebywałe moce
Zawarte w owych księgach tajemniczych
Mistrzów, a klucze — któżby je policzył —
Przeróżnych pytań sens w sobie ukryły,
Które w sposobnej chwili ujawniły.

Tom jeden w drżące ręce pochwyciłem
I na pulpicie, czytać chcąc, złożyłem,
Odcyfrowując znaki obrazkowe
Tak, jak niekiedy czynności nieznanne
Pełnimy we śnie. Nagłym lotem w nowe
Przestrzenie płynąc, gwiazdami usiane,
Zamknięte przecie w zodiakalnym kręgu,
Gdzie wszystko, co nam dało objawienie
I symboliczna postać świata biegu
Stare, tak wielu wieków doświadczenie
W pełne harmonii związki się układa.
Spotyka, wzajem też na siebie wpływa,
Z dawnych się odkryć, znaków, wieści splata,
Ku coraz nowszym dziedzinom się wzbija,
Tak, iż czytając przez długie godziny
Przeszedłem jakby skroś dziejów ludzkości.
Czas najdawniejszy i najnowszy, inny, Wspólnie
Włączyłem do mej świadomości. Widziałem setki
przeróżnych obrazów Złączone w pary,
jednakowe zrazu, Rozbiegające się w barwny
korowód, W inne układy łączące się znowu,
A cały zbiór ten kalejdoskopowy
Co moment dla mnie sens przybierał nowy.

Lecz gdy na chwilę, historią olśniony,
Oczy znad książki podniosłem w tej sali
Ujrzałem, żem nie sam tutaj — w oddali
Stał jakiś starzec, ku półkom zwrócony.
■ Czy archiwariusz — zgadnąć trudno —
jedliffc Też był poważnie w księgach zagłębiony,



A jego pracy pilnej sens rozeznąć
Wydąło mi się celem upragnionym.
Starzec ów bowiem ręką lekką, drżącą
Wyciągał książkę, czytając na grzbiecie
Skreślony tytuł; wargami zwiędłymi
Chuchnął nań — tytuł najpiękniejszy w świecie, ,
Treściami mamił najczarowniejszymi!
Starzec ten tytuł lekko palcem zmazał f<
Z uśmiechem pisząc inny jakiś, nowy.
Krążył po sali, przy półkach przystawał,
Wyciągał tu i ówdzie grube tomy,
Ścierając tytuł i nowy wpisując.

A ja patrzyłem nań, zmieszany mocno,
Rozumem własnym dojść nie mogąc, po co
Tak czyni. I wróciłem do czytania.
Lecz korowodów, co dawniej w tych zdaniach
Tak urzekały, już nie odnalazłem.
Świat owych znaków, zaledwie poznany,
Znikł gdzieś, jak gdyby przede mną uciekał,
A choć o sensie świata sam orzekał,
Jął chwiać się, mętnieć, jakby w chmurach ginąć
I rozplywając się zostawił ledwo
Szarość na pustych kartach pergaminu.
Nagle poczułem rękę na ramieniu,
Wstałem. Ów starzec stał z uśmiechem w cieniu
Przy mnie i księgę moją ujął w ręce.
Zimne, gwałtowne wstrząsnęły mną dreszcze.
Starzec zaś palcem, jak gąbką, miarowo
Sunął po pustej pergaminu karcie,
Nowe wpisując tytuły, pytania, , ,
I odpowiedzi na dawne zadania
Kaligrafował starannie, uparcie,
A potem pióro, księgę zabrał z sobą.

Najpierw władali władcy z boskiej woli
I uświęcali łan, pług, ziarno. Prawo Jr
Miar jak i ofiar dla wszelkich pokoleń '•
Śmiertelnych pełniąc, którzy za ustawą

Tęsknili oraz za sprawiedliwością, Co w
równowadze dźrzy słońce, księżyc. . Żyli ci
władcy wśród wiecznej jasności < Nie znając
cierpień, bólów ani śmierci. "

Od dawna wszakże synów boskich szereg
Wygasł i ludzkość została samotna, W
rozkoszach, mękach pozbawiona steru, Wciąż się
odradza, choć wciąż spada w otchłań.

Lecz me zginęło przecucie żywota
I obowiązkiem naszym jest w upadku,
Zachować świętej bojaźni istotę
Przez śpiew i symbol, przez wielką grę znaków.

Być może kiedyś ciemność się rozproszy,
Być może kiedyś odwrócą się czasy: Znów
będzie władać słońce, jak duch boży, I dar
ofiarny przyjmować z rąk naszych.

BAŃKI MYDLANE

Starzec wyciedza z myśli i dociekań Dzieło
ostatnie w najpóźniejszych latach, Gdzie się
tak wiele kłębi i nawleka, Gdzie wśród
zabawy mądrość się przeplata.

Gorliwy student w żarliwym zapale Grzebiąc
w archiwach i półkach księgarni, Kiedy go
płomień ambicji ogarnie, Tworzy swe dzieło
młodzieńcze, genialne.

Chłopaczek siada i dmie w cieką słomkę,
Mydlane bańki barwnym tchem napęlnia, Jak
psalm z nich każda tęczą lśni ogromną, W
bańkach się cała dusza chłopca spełnia.

Wszyscy trzej: chłopiec i student i starzec
Przeistaczają światową uludę
W sny czarodziejskie, same bez wartości,
Lecz w których uśmiech odbija w światłości
Swą wiekuistość w przebłyskach radości.

PO LEKTURZE SUMMY CONTRA GENTILES

Życie dawniejsze bywało prawdziwsze, W świecie ład większy i umysły czystsze, Wiedza i mądrość były nierozdzielne, A ludzie żyli pogodniej i pełniej, Czego w Placonie, tudzież u Chińczyków Oraz powszędę świadectw jest bez liku. Ach, a ilekroć weszliśmy w olbrzymią Świątynię Summy Tomasza z Akwinu, Zdawało nam się, że nas tam pozdrawia Świat dojrzałości, czystości i prawa. Jasne tam wszystko, duch naturą włada, Przez Boga w boskość dusza się układa, A ład i prawo pięknie wyłożone, W nieskazitelną całość ukształcone. Ale nam, młodszym, wydaje się, żeśmy Na bój skazani, błądzimy nieszczęśni W pustyniach zwątpień i ironii gorzkich, Udziałem naszym tęsknota i troski.

Choć może wnukom jak nam się przydarzy, Że ujrzą w naszych rozjaśnionych twarzach Świętość i mądrość, bo w chórach skłębionych Życia naszego i skargach skłóconych Dosłyszają jeno harmonijny pogłos Walk i utrapień: pięknych mitów ogrom. A kto z nas dzisiaj najmniej ufa sobie, Wątpi i pyta, tym może się stanie, Kto w przyszłość swoje przeniesie przesłanie, Wzorem dla młodych będzie w późnej dobie; A komu w duszy dziś zwątpienie gości, Jako świętemu będą mu zazdrościć,

Ze trwogi **nie** znał, cierpienia nie zaznał, Ze
żyć rozkoszą było w jego czasach, Ze
szczęście jego było szczęściem dziecka.

W nas bowiem także wieczny duch zamieszkał,
Co wszelkich czasów duchy braćmi zwie I
trwa, choć minie czas tobie i mnie.

L

STOPNIE

Jak więdnie każdy kwiat i każda młodość
W starość się chyli, kwitnie każdy stopień
Życia i kwitnie cnota, kwitnie mądrość O
swojej porze, bo nic nie trwa wiecznie.
Serce na życia zew niechaj ohotnie Żegna
się z życiem, by je wszczać od nowa, By się
odważnie, bez żalów zbytecznych Wdać w
nowe sprawy i snuć inną nić. W każdym
początku wielki czar się chowa. Co nas
ochrania i pomaga żyć.

Więc przemierzajmy pogodnie przestrzenie,
Lecz żadna niech się ojczyzną nie stanie.
Duch świata nie zna ciasnego spętania: Na
każdym stopniu większe rozszerzenie.
Ledwo gdziekolwiek się zadomowimy, A
już ospałość nas i gnuśność nuży, Bo
nawyk tego jedynie ominie, Kto co dzień
gotów do nowej podróży.

A może nawet i godzina śmierci Nowy
nam obszar młodości otworzy, Wołania
życia i śmierć nie przemoże... Nuże
więc, żegnaj i ozdrowiej, serce!

GRA SZKLANYCH PACIORKÓW

Muzyki światów i muzyki mistrzów
Słuchać będziemy ze czcią uniżoną, Aby
przywołać na gody najczystsze Duchy
czcigodne i czas uświęcony.

I tajemnicy poddamy się wzniosłej Znaków
magicznych, gdzie żyje zakłete To, co
burzliwe, żywe i napięte, Ukształtowane w
przejrzyste przerośnię.

Jak gwiazdozbiory zabrzmia krystalicznie,
W ich służbie sens był naszego żywota, Z ich
kręgów żaden z nas już nie wyprysnie,
Chyba do wewnątrz, do świętego środka.

ZAKŁINACZ DESZCZU

BYŁO TO przed kilku tysiącami lat, a władały wówczas kobiety: w plemienu i rodzinie cześć i posłuszeństwo okazywano matce oraz babce, nowo narodzoną zaś dziewczynkę ceniono znacznie bardziej niż chłopca.

We wsi żyła starucha, sto już chyba albo nawet więcej lat mająca, przez wszystkich czią i lękiem otaczana, niczym królowa, mimo iż od niepamiętnych już czasów nader rzadko palcem choćby ruszyła lub słowo przemówiła. Przez wiele dni siadywała u wrót swojej chaty, otoczona orszakiem posługujących jej krewnych, a przychodziły do niej kobiety ze wsi, by cześć jej okazać, dzieci swe do niej przywieść i o błogosławieństwo dla nich prosić; ciężarne też przychodziły, prosząc, by brzuchów ich dotknąć zechciała i nadać imię oczekivanemu dziecku. Starucha niekiedy kładła rękę, niekiedy jeno głową kiwała albo siedziała nieporuszona. Słowa wypowiadała nieczęsto, trwała jedynie; była, siedziała i panowała, siedziała, a siwe, pożółkłe włosy opadały cienkimi kosmykami wokół jej orlej, w dal zapatrzonej, pociemniałej jak wygarbowana skóra, starczej twarzy, siedziała i przyjmowała hołdy, dary, prośby, wieści, relacje, skargi, siedziała i znana była wszystkim jako mattia siedmiu córek, jako babka i prababka wielu wnuków i prawnuków, siedziała i kryła w wyostrzonych swoich rysach¹ za pociemniałym czołem mądrość, tradycję, prawo, obyczaj i cześć całej wsi.

Nastał pewien wiosenny wieczór, chmurny, o wczesnym^{Zr} aierzchu. A przed glinianą chatą staruchy siedziała nie ona^{Sa} ma, lecz córka jej, równie prawie siwa i godności pełna,

niewiele też od tamtej, prastarej, młodsza. Siedziała i odpoczywała, miejscem jej spoczynku był próg domowy, płaski, skalny kamień, w porze chłodu przykrywany futrem, a w oddali, na zewnątrz, przykucnęło na ziemi, w trawie lub piasku, kilkoro dzieci, a także parę kobiet i chłopców; przykucali tak tutaj co wieczór, gdy deszcz nie padał ani nie było zimno, chcieli bowiem słuchać opowieści córki staruchy, jej opowiadań lub śpiewnych przypowieści. Dawniej sama starucha opowiadała, teraz jednak zbyt już była stara, nie potrafiła mówić i na jej miejscu zasiadła i opowiadać ją córka, a podobnie jak wszelkie opowieści i legendy od prababki przejęła, od niej wzięła też głos, postać, postawę pełną milczącej godności, sposób poruszania się i mówienia, młodzi zaś spośród widzów lepiej ją znali od jej matki, niemal też nie pamiętali już, że siedzi tutaj na miejscu innej, przekazując historię i mądrość całego plemienia. Z jej to ust płynęło co wieczór źródło wiedzy, ona pod siwymi swymi włosami przechowywała skarb plemienia, za jej łagodnie zbrudzonym czołem staruszki mieszkwały wspomnienia i krył się duch całej osady. I jeśli kto wiedzącym był, znał porzekadła lub opowieści, od niej je wziął. Poza nią bowiem i prastaruchą jeden był tylko jeszcze wiedzący w plemieniu, pozostawał jednak w ukryciu, był to człowiek tajemniczy i niezmiernie milczący, zaklinacz pogody czy też zaklinacz deszczu.

Pośród słuchaczy przykucnął *także* chłopiec Knecht, a obok niego mała dziewczynka, imieniem Ada. Lubił on tę dziewczuszkę, towarzyszył jej i często jej bronił, nie z miłości właściwie, gdyż o niej nic jeszcze nie wiedział, sam jeszcze dziecko, ale dlatego, że była córką zaklinacza deszczu. Jego zaś, zaklinacza deszczu, czcił i podziwiał Knecht niezmiernie, prócz prastaruchy i jej córki nikogo tak nie cenił jak jego. Lecz one były kobietami. Można je było czcić i lękać się ich, ale nie można było myśleć ani w głębi serca pragnąć, by stać się takim, jak one. Zaklinacz pogody natomiast był człowiekiem raczej niedostępnym i nie przychodziło chłopcu łatwo dostać się w jego pobliże; okólnych tu musiał szukać dróg, a jedną z owych okólnych dróg była opieka, jaką

Knecht otaczał dziecko. Jak tylko mógł najczęściej przychodził po dziewczynkę do nieco oddalonej chaty zaklinacza pogody, by wieczorami przesiadywać przed chatą staruchy, słuchać jej opowiadań, a potem dziecko odprowadzać do domu. Tak też uczynił dzisiaj; przykucnął teraz obok niej w szarym tłumie i słuchał.

Starucha opowiadała dziś o wiosce czarownic. Mówiła: — Bywa niekiedy w jakiejś wsi kobieta zła, która niko« mu dobrze nie życzy. Kobiety takie przeważnie nie mają dzieci. A czasami któraś z tych bab jest aż tak zła, że wieś dłużej jej już znosić nie chce. Wtedy ludzie przychodzą po taką kobietę nocą, wiążą jej męża, chłoszczą kobietę różgami, a potem wypędzają ją daleko w lasy i bagna, przeklinając ją wielkim przekleństwem, i tam, na wygnaniu już pozostawiają. Mężowi jej zdejmują później więzy, a jeśli nie jest za stary, może znaleźć sobie inną żonę. Lecz wypędzona, jeśli nie zginie, błąka się wśród bagien i lasów, uczy się mowy zwierząt, a gdy już dość długo nachodzi się i na-wędruje, znajduje pewnego dnia małą wioskę i jest to wioska czarownic. Zebrały się w niej wszystkie złe kobiety, które przepędzono z ich własnych wsi, i same sobie założyły wioskę. Żyją tam, zło czyniąc i uprawiając czary, a zwłaszcza, ponieważ same dzieci nie mają, zwabiają chętnie do siebie dzieci z prawdziwych wsi i jeśli jakieś dziecko zabłąka się w lesie i nie wraca, niekoniecznie musiało utonąć > w bagnie lub zostać rozszarpane przez wilka, lecz mogła je zwabić taka czarownica na błędną ścieżkę i zabrać ze sobą do wioski czarownic. Gdy byłam jeszcze mała, a babka moja była najstarszą we wsi, poszła pewnego razu jakaś dziewczyna wraz z innymi na jagody do lasu, a przy zbieraniu tych jagód zmoczyła się i usnęła; mała była jeszcze, zakryły ją paprocie, a inne dzieci poszły dalej i nic nie spostrzegły, dopiero gdy wróciły do wsi i wieczór już nastał, zauważyły, że dziewczynki tej wśród nich nie ma. Wysłano chłopców, którzy jej szukali i wołali po lesie, dopóki noc nie zapadła, a potem wrócili, ale jej nie znaleźli. Mała tymczasem, gdy już się wyspała, zaczęła iść w las coraz dalej i dalej. A im większy strach ją ogarniał, tym pręcej biegła, choć od daw-

na nie wiedziała już, gdzie się znajduje, pędziła tylko i oddalała się coraz bardziej od wsi, aż do takiego dotarła miejsca, gdzie nikt jeszcze dotychczas nie trafił. Na szyi, na sznureczku z rafii, miała kiel dzika, który podarował jej ojciec, gdy zdobył go na polowaniu; zaostrzonym kamieniem wywiercił w owym zębie dziurę, przez którą przeciągnąć było można sznurek z rafii, a przedtem trzykroć kiel ów we krwi dzika wygotował, śpiewając przy tym dobre zaklęcia; kto nosił przy sobie taki kiel, osłonięty był od wielu czarów. I oto wyszła nagle spośród drzew kobieta, a była to czarownica, zrobiła słodką minę i powiedziała: „Witaj, śliczne dziecko, czy zablądziłeś? Chodź ze mną, zaprowadzę cię do domu”. I dziecko z nią poszło. Ale przypomniało sobie, że matka i ojciec zawsze mówili, iż nie wolno nikomu obcemu pokazywać kła, niepostrzeżenie więc zsunęło go ze sznurka i wsunęło za pasek. Obca kobieta biegła z dziewczynką przez wiele godzin, noc już nastała, kiedy przybyły do wsi, ale nie była to nasza wieś, tylko wioska czarownic. Dziewczynkę zaraz zamknięto w ciemnej stajni, a czarownica poszła sobie do swego domu spać. A rano czarownica powiedziała: „Czy nie masz przy sobie kła dzika?” Dziecko odpowiedziało, że nie, że miało, owszem, taki kiel, ale zgubiło go w lesie i pokazało sznureczek z rafii, który miało na szyi, a na którym nie było już kła. Wtedy czarownica przyniosła kamienny garnek pełen ziemi, a w tej ziemi trzy ziele rosły. Dziewczynka zobaczyła owe ziele i spytała, co to takiego. A czarownica wskazała na pierwsze ziele i powiedziała: „Oto życie twojej matki”. Potem pokazała na drugie i powiedziała: „To życie twojego ojca”. A potem wskazała trzecie: „A to twoje własne życie. Dopóki ziele te są zielone i rosną, żywi będziecie wszyscy i zdrowi. Skoro jedno z nich zwiędnie, ten, czyje życie to ziele oznacza, zachoruje. A jeśli jedno z nich się wyrwie, tak jak ja teraz to zrobię, wówczas ten, czyje życie owo ziele oznacza, musi umrzeć”. Chwyliła w palce ziele, oznaczające życie ojca, i zaczęła je ciągnąć, a gdy już trochę je wyciągnęła i widać już było kawałek białego korzonka, ziele wydało z siebie głębokie westchnienie...

Przy tych słowach dziewczuszka, siedząca obok Knechta, skoczyła, jakby ugryzła ją żmija, krzyknęła głośno i co tchu uciekła. Długo walczyła ze strachem, jakiego jej napędziła ta opowieść, ale teraz wytrzymać już nie mogła. Jakaś starszka roześmiała się. Inni słuchacze bali się niemal tak samo, jak owa mała, lecz cenili swoją godność i siedzieli dalej. Knecht natomiast, skoro tylko ocknął się z zasłuchania i lęku, zerwał się również i pobiegł za dziewczynką. Starucha opowiadała dalej.

Zaklinacz deszczu miał swoją chatę w pobliżu wiejskiej sadzawki i w tym też kierunku ją szukać Knecht zbiegłej dziewczynki. Usiłował przywabić ją łagodnym, uspokajającym mruzeniem, nuceniem i śpiewem, takim głosem, jakim posługują się kobiety nawołując kury, słodkim długim, ujmującym wołaniem.

— Ada — wołał i wyśpiewywał — Ada, Adalinko, chodź tu, Ada, nie bój się, to ja, "o ja, Knecht.

I tak śpiewał i śpiewał nieustannie, a zanim jeszcze posłyszał ją lub zobaczył, poczuł nagle jej małą, miękką rączkę, wsuwającą się do jego dłoni. Stała przy drodze, przytulona mocno plecami do ściany chaty, i czekała na niego od chwili, gdy posłyszała jego nawoływania. Oddychając z ulgą, przyłączyła się do niego, bo wydawał się jej duży i silny, już całkiem jak mężczyzna.

— Złękłaś się, co? — zapytał. — Ale niepotrzebnie, nikt ci nic nie zrobi, wszyscy lubią Adę. Chodź, pójdziemy do domu.

Drżała jeszcze i pochlipywała, lecz była spokojniejsza i z wdzięcznością, ufnie poszła z nim.

Z drzwi chaty mżyło słabe czerwone światło, a we wnętrzu przykucnął koło kuchni zaklinacz pogody: przez zwi-sające jego włosy przebijał jasny, czerwony blask, rozpa-lił bowiem ogień i coś warzył w dwóch małych garnczkach. Knecht, zanim wszedł z Adą, przez chwilę ciekawie przy-patrywał się z zewnątrz: zaraz zrozumiał, że nie strawę tu ^{war}zą, gdyż pożywienie gotowano w innych garnkach, a zresztą było na to zbyt późno. Lecz zaklinacz deszczu już go Posłyszał:

— Kto tam stoi we drzwiach? — zawołał. — Nuże, wcho-
dzić! Czy to ty, Ada? — Położył pokrywki na swoich
garnczkach, otoczył je żarem i popiołem i odwrócił się.

Knecht ciągle jeszcze zezował ku tajemniczym garnczkom,
czuł ciekawość, szacunek i skrępowanie, jak zawsze, gdy
przestępował próg tej chaty. A czynił to, gdy tylko mógł,
stwarzał sobie po temu najrozmaitsze okazje i preteksty, za-
wsze przecież doznając przy tym lekkiego, na w pół drażnią-
cego, na w pół ostrzegawczego uczucia skrępowania, zmiesza-
nego ze zmysłową ciekawością, radością i lękiem. Stary mu-
siał przecież spostrzec, że Knecht od dawna za nim chodzi
i pojawia się wszędzie tam, gdzie może go się spodziewać,
że krąży jego tropami jak myśliwy, w milczeniu oferując
mu usługi swoje i towarzystwo.

Turu, zaklinacz pogody, spojrział na chłopca swymi jasny-
mi oczami drapieżnego ptaka: •

— Czego tu chcesz? — zapytał chłodno. — To nie pora
na odwiedzin w cudzym domu, chłopcze.

— Odprowadziłem do domu Adę, mistrzu Turu. Była u
prastaruchy, słuchaliśmy opowieści o czarownicach, a ona
nagle się przelękała i zaczęła krzyczeć i dlatego ją odprowa-
dziłem.

Ojciec odwrócił się do małej:

— Strachoput z ciebie, Ada. Mądre dziewczynki nie po-
trzebują bać się czarownic. A ty przecież jesteś mądrą
dziewczynką, co?

— No, tak. Ale te czarownice znają wszystkie złe czary,
a jak się nie ma kła dzika...

— Aha, więc chciałabyś kiel dzika? No, zobaczymy. Ale
znam coś jeszcze lepszego. Znam taki korzeń, przyniosę ci
go, jesienią musimy go poszukać i wydobyć, bo chroni mądre
dziewczyny przed wszelkimi czarami i robi je nawet jeszcze
piękniejszymi.

Ada się uśmiechnęła i ucieszyła, spokojna już, gdy otoczył
ją zapach chaty i odrobina blasku od ognia. Knecht zagad-
nął nieśmiało:

— A ja nie mógłbym poszukać tego korzenia? Gdybyś mi
go opisał...

Turu przymrużył oczy:

— Ba, niejeden chłopaczek chciałby się tego dowiedzieć — odparł, lecz głos jego nie był gniewny, raczej drwiący. — Ale mamy na to jeszcze czas. Jesienią może.

Knecht się cofnął i znikł w kierunku domu chłopców, gdzie sypiał. Nie miał rodziców, był sierotą i dlatego też czuł się oczarowany przez Adę i jej chatę.

Zaklinacz deszczu Turu nie lubił słów, sam niechętnie mówił, nie lubił też, gdy mówili inni; wielu uważało go za dziwaka, niektórzy za mruka. Lecz nie był taki. O wszystkim, co działo się wokół niego, wiedział zawsze więcej, niż spodziewano się po jego uczonej i samotniczej, ale roztargnionej postaci. Między innymi wiedział też doskonale, że ów nieco natrętny, lecz ładny i najwyraźniej mądry chłopiec biega za nim i obserwuje go, zauważył to już od samego początku, a rzecz cała trwała z rok, nawet dłużej. Wiedział też dobrze, co to znaczy. Oznaczało to wiele dla chłopca, ale równie wiele i dla niego, starego. Oznaczało to bowiem, że chłopak rozkochał się w zaklinaniu pogody i niczego goręcej nad nauczenie się tego kunsztu nie pragnął. Co pewien czas zdarzał się taki właśnie chłopiec w osiedlu. Niejeden przybywał z daleka. Niejeden dał się z łatwością odstraszyć i rozczarować, inni znów nie, dwóch takich chłopców miał nawet przez wiele lat za uczniów i czeladników, lecz później pożenili się oni w odległych wioskach i tam sami stali się zaklinaczami deszczu lub zbieraczami ziół; od tej chwili Turu był sam, gdyby zaś miał jeszcze kiedykolwiek przyjąć ucznia, to tylko po to, aby wychować sobie następcę. Tak było zawsze, tak było dobrze i inaczej być nie mogło: zawsze musiał pojawić się jakiś utalentowany chłopiec, który śledził i tropił dorosłego męża, gdyż dostrzegł w nim mistrza w zawodzie. Knecht był zdolny, miał wszystkie potrzebne cechy, miał też pewne oznaki, polecające jego osobę: przede wszystkim badawcze, wyostrzone, a równocześnie rozmazane spojrzenie, bezszelestny i pełen rezerwy sposób bycia, a w wyrazie twarzy i głowy coś tropiącego, węszącego, czujnego, wyculonego na szmery i zapachy, coś ptasiego i łownego. Z pewnością chłopiec ten mógł stać się znawcą po-

gody, może nawet magiem, nadawał się. **Lecz nie** należało się z tym spieszyć, był jeszcze zbyt młody i bynajmniej nie trzeba było okazywać mu, że się go poznało, nie ułatwiać mu nic, żadnych mu nie oszczędzać trudów. Jeśli da się onieśmielić, odstraszyć, odtrącić, straci odwagę, to nie szkoda go. Niechże sobie służy i czeka, niechże się skrada i zabiega O łaski zaklinacza.

Knecht wędrował spokojnie wśród zapadającego zmierzchu w kierunku wsi, pod chmurnym niebem, ozdobionym ledwo dwoma czy trzema gwiazdami, zadowolony i mile podniecony. O rozkoszach, pięknościach i subtelnościach, które dla nas, współczesnych, są niezbędnymi i oczywistymi, nawet dla najbiedniejszych, osiedle to nic nie wiedziało, nie znało bowiem nauki ani sztuki, nie znało też innych domów, prócz krzywych chat glinianych, nie wiedziało nic o żelaznych i stalowych narzędziach, a rzeczy takie, jak pszenica lub wino, także były tu nieznane, wynalazki zaś w rodzaju świecy lub lampy wydawałyby się tutejszym ludziom promiennymi cudami. Lecz życie Knechta i jego wyobrażenia były mimo to niezmiernie bogate, świat otaczał go niczym bezkresna tajemnica lub barwna książka z obrazkami, a co dzień zdobywał mały okruch tej tajemnicy na nowo, poczynawszy od świata zwierząt i roślin aż po gwiazdziste niebo, a pomiędzy tą niemą, pełną tajemnic przyrodą i jego osobną, w strwożonej chłopięcej piersi oddychającą duszą istniały wszelkiego rodzaju pokrewieństwa, wszelkie rodzaje napięcia, lęku, ciekawości i chęci przywłaszczenia, do jakich tylko zdolna jest ludzka dusza. I choć w świecie jego nie było spisanej wiedzy ani historii, ani książki czy alfabetu, choć wszystko, co znajdowało się w odległości większej niż trzy lub cztery godziny drogi od jego wiosłó, było dlań absolutnie nieznane i nieosiągalne, żył w pełni i całkowicie życiem własnym i swojej wsi. Wioska, ojczyzna, wspólnota plemienna pod wodzą matek dawały mu wszystko, co naród i państwo dać mogą człowiekowi: ziemię, pełną tysięcy korzeni, w których przepłocie on sam jedno stanowił włókno i we wszystkim brał udział.

Zadowolony, wędrował więc do domu, w drzewach szel⁶¹

ścił nocny wiatr, rozlegały się lekkie trzaski, unosił się zapach wilgotnej ziemi, sitowia i mułu, dymu z na poły zielonych jeszcze gałęzi, dymu tłustego i nieco słodkawego, więcej dlań znaczącego od wszelkiej innej domowizny, a w końcu, gdy zbliżył się już do chaty chłopców, poczuł ich zapach, zapach młodych ich ciał. Bezszelestnie wczuł się pod matę z sitowia w ciepłą, oddychającą ciemność, ułożył na podściółce i rozmyślał o historii czarownic, kłach dzika, O Adzie, zaklinaczu pogody i jego garnuszkach na ogniu, dopóki nie zasnął.

Turu skąpym jedynie krokiem wychodził chłopcu naprzeciw, nie ułatwiał mu sprawy. Młodziak jednak stale biegł jego śladem, ciągnęło go ku staremu, sam często nawet nie wiedział, jak bardzo. Niekiedy, gdy starzec ustawił zasadzkę gdzieś w najbardziej utajonym miejscu lasu, bagna albo pastwiska, gdy obwąchiwał jakiś trop zwierzęcy, wykopywał korzeń lub zbierał nasiona, czuł nagle na sobie spojrzanie chłopca, który od wielu godzin niewidocznie i bezszelestnie szedł za nim i podpatrywał go. Stary udawał wówczas niekiedy, iż nic nie zauważył, niekiedy zaś warczał i z niechęcią odpędzał ścigającego, a niekiedy nawet przywoływał go ku sobie i przez cały dzień zatrzymywał, pozwalał mu świadczyć sobie usługi, pokazywał to i owo, kazał zgadywać, wystawiał na próby, wymieniał mu nazwy ziół, nakazywał naczepać wody lub rozpalić ogień, a dla każdej czynności znał pewne chwyt, zalety, tajemnice, formułki, usilnie nakazując chłopcu, aby zachował je w tajemnicy. W końcu, gdy Knecht podrósł już nieco, stary całkiem zatrzymał go przy sobie, uznał za swego ucznia i zabrał z domu chłopców do własnej chaty. Knecht został Wskutek tego wywyższony wobec wszystkich: nie był już chłopcem, był odtąd uczniem zaklinacza pogody, a to oznaczało, że jeśli wytrzyma i okaże się przydatny, zostanie jego następcą.

Od chwili, gdy Knecht przyjęty został przez starego do jego chaty, znikła pomiędzy nimi bariera; nie bariera czci i posłuszeństwa, lecz bariera nieufności i rezerwy. Turu poddał się i uległ wytrwałemu podbojowi Knechta, a teraz

chciał już tylko uczynić zeń dobrego zaklinacza pogody i swego następcę. W nauce tej nie było pojęć ani wskazań, nie, było metody, pisma czy liczb, a tylko bardzo niewiele słów, mistrz zaś wychowywał raczej zmysły niż umysł Knechta. Chodziło nie tylko o zarządzanie ogromnym bogactwem tradycji i doświadczeń, całą wiedzą ówczesnego człowieka o przyrodzie, i nie tylko o wykorzystanie jej, lecz także o przekazanie jej dalej. Wielki i ścisły system doświadczeń, obserwacji, instynktów i nawyków badacza jął się stopniowo i niejasno jeszcze otwierać przed młodzikiem, jednak nic z tego niemal nie było ujęte w pojęcia, prawie wszystko wyczuwać musiał, chwytać i sprawdzać własnymi zmysłami. A fundamentem i centralnym punktem owej wiedzy były wiadomości o księżycu, jego fazach i wpływach, o nieustannym jego pęcznieniu i nieustannym zanikaniu, o tym, że zaludniony jest duszami zmarłych, które na nowe wysła narodziny, by stworzyć miejsce dla nowych, którzy pomarli.

I podobnie jak ów wieczór, kiedy od starej bajarki dotarł do garnków na kuchni starca, w pamięć Knechta zapadła inna jeszcze chwila, moment pomiędzy nocą i świtem, gdy mistrz zbudził go dwie godziny po północy i wyszedł z nim razem w głęboką ciemność, aby pokazać mu ostatnie wynurzenie się zanikającego już sierpa księżyca. Trwali tak, mistrz w milczeniu i nieruchomo, chłopak nieco przestraszony i wstrząsany dreszczami niewyspania, na leśnym pagórku, na wysuniętej płycie skalnej, długo, długo, aż na miejscu uprzednio przez mistrza wskazanym i w uprzednio przezeń zapowiedzianej postaci i kształcie ukazał się cienki księżyc, wiotka, wygięta kreska. Knecht, przejęty i oczarowany, wpatrywał się w wolno wstępującą planetę, która płynęła łagodnie, poprzez wysepki jasności na niebie, pośród ciemnych chmur.

— Niebawem odmieni swą postać i znowu napuchnie, a wtedy pora będzie siać grykę — powiedział zaklinacz deszczu, obliczając dni na palcach. Potem znowu zapadł, jak dawniej, w milczenie: Knecht, jakby pozostawiony sam sobie, skulił się na lśniącym od rosy kamieniu, drżąc z zimna,

a z głębi lasu dobiegł przeciągły krzyk sowy. Stary namyślał się długo, potem wstał, położył rękę na głowie Knechta i powiedział cicho, jakby przez sen:

— Gdy umrę, duch mój uleci na księżyc. A ty staniesz się mężczyzną i będziesz miał żonę, córka moja, Ada, będzie twoją żoną. Jeśli syna od ciebie mieć będzie, duch mój powróci i w synu waszym zamieszka, a ty nazwiesz go Turu, jak ja Turu się zwałem.

Uczeń słuchał w osłupieniu, słowa nie śmiał przemówić, wąski srebrny sierp wspinał się po niebie i na poły pochłonęły go już chmury. Młodzieńca przeniknęło dziwne przeczucie wielu połączeń i związków, powtórzeń i skrzyżowań pomiędzy przedmiotami i wydarzeniami, czuł się osobliwie: jednocześnie widzem, a również współuczestnikiem gry, ustawionym przed owym obcym nocnym niebem, gdzie ponad bezkresnymi lasami i pagórkami pojawił się ostry, cienki, przez mistrza ściśle przepowiedziany sierp; cudowny wydał mu się mistrz i tysiącem otoczony tajemnic, on, który o własnej myślał śmierci, on, którego duch przebywać miał na księżycu i z księżycą w człowieka powrócić, tego człowieka, który ma być synem Knechta i nosić imię jego byłego mistrza. Osobliwie rozdartą i miejscami przejrzystą, niczym chmurne niebo, wydawała się przyszłość, wydawał się los nań czekający, a fakt, że można było znać te sprawy, mówić o nich, określać je, wydał mu się jak gdyby ujawnieniem bezkresnych przestrzeni, pełnych cudów, a przy tym pełnych też ładu. Przez moment wydawało mu się, że duch wszystko ogarnąć zdoła, wszystkiego się dowiedzieć, wszystko podsłuchać: owo ciche i pewne krążenie planet tam, w górze, życie ludzi i zwierząt, wszystko, co łączy ich i dzieli, spotkania i walki, wszystko, co wielkie⁵ co małe, łącznie z zawartą we wszystkim, co żywe, śmiercią, wszystko to ujrzał lub odczuł w pierwszym dreszczu Przeczucia jako całość, siebie samego zaś ujrzał włączonym^w to i podporządkowanym jak cząstka uładzona, prawom Podporządkowana, duchowi dostępna. Pierwsze to było Przeczucie wielkich tajemnic, szacowności ich i głębi, a tak-^{Ze} możności zgłębienia ich, a chłopak odczuł je pośród leś-

nego chłodu u schyłku nocy, na skalnym szczycie, ponad tysiącami rozszepczanych drzew, niczym dotknięcia zjawiskowej ręki. Nie potrafił nic powiedzieć o tym ani wówczas, ani przez całe swoje życie, lecz myślą powracał do owej chwili wielokrotnie, a w całej dalszej nauce i w późniejszych doświadczeniach moment ów i przeżycie nieustannie powracały mu w pamięci. „Pamiętaj o tym — napominały go — pamiętaj, że wszystko to istnieje, że pomiędzy księżycem a tobą i Turu, i Adą przechodzą promienie i prądy, że istnieje śmierć i kraina duchów i powrót z tej krainy i że na wszystkie obrazy i zjawiska świata istnieje odpowiedź we własnym twym sercu, że wszystko to i ciebie dotyczy i że powinieneś wiedzieć o tym wszystkim tyle, ile tylko człowiek pojąć zdoła”. Tak mniej więcej mówił do niego ów głos. Knecht po raz pierwszy w taki oto sposób usłyszał ów głos duszy, wabiący, przyciągający, magicznie wymagający. Niejeden już raz oglądał przecież księżyc wędrujący po niebie, niejeden raz słyszał nocne krzyki sowy, a z ust mistrza, mimo iż tak był miłkliwy, także niejeden raz słuchał słów starej mądrości lub samotnych rozważań — lecz w tej oto chwili wszystko było nowe, inne, było przeżuciem całości, ogarniającym go zrozumieniem wszelkich związków i połączeń, ładu, który jego również w ów bieg włączał i czynił zań współodpowiedzialnym. Ten, kto klucz do skarbcza zdobył, potrafił już nie tylko rozeznaczyć zwierzę po śladach czy roślinę po korzeniach i nasionach; umiał ogarnąć całokształt świata: gwiazdy, duchy, ludzi, zwierzęta, leki i trucizny, całość ogarnąć, a z każdej cząstki i znaku każdego wszystkie inne części odczytać. Istnieli dobrzy myśliwi, co z tropów, znaków, włosa jednego lub resztek rozeznaczyć potrafili więcej od innych: z kilku drobnych włosków umieli odgadnąć nie tylko gatunek zwierzęcia, lecz także, czy jest ono młode, czy stare, czy jest samcem, czy samicą. Inni zaś z kształtu chmur, woni unoszącej się w powietrzu, z różnych sposobów zachowania się zwierząt lub roślin umieli na wiele dni naprzód przepowiedzieć pogodę, a mistrz był w tym niedościgniony i prawie nieomylny. Jeszcze inni odznaczał się wrodzoną zręcznością: byli

chłopcy, co potrafili z odległości trzydziestu kroków wycelować kamieniem w ptaka, choć nigdy się tego nie nauczyli, umieli to po prostu, i to bez wysiłku, ale dzięki czarom albo łasce, bo kamień sam wylatywał im z ręki, kamień chciał ugodzić, ptak natomiast chciał zostać ugodzony. Ponoć byli i tacy, co umieli przepowiadać przyszłość: wiedzieli, czy chory umrze, czy nie, czy ciężarna urodzi chłopca, czy dziewczynkę; słynęła z tego zwłaszcza córka prastaruchy, a zaklinacz pogody, jak powiadano, także znał się na tych sprawach. I oto wydało się Knechtowi w owej chwili, że istnieć musi w owej ogromnej sieci rozległych związków jakiś centralny punkt, od którego wychodząc można dostrzec i odczytać wszystko, co było, i wszystko, co będzie. Do tego, kto w owym punkcie centralnym stanie, wiedza przyplывать winna niczym woda w dolinę, zbiegać ku niemu musi jak zając ku kapuście, słowo jego winno trafiać nieomylnie i ostro, niczym kamień z ręki dobrowolnego myśliwca, siłą własnego ducha winien on zespolić wszystkie te poszczególne dary i zdolności w sobie i w pełni je wyzyskać: oto byłby człłek doskonały, mądry, niedościgniony ! Stać się takim, do niego się zbliżyć, ku niemu zdążać, oto droga ze wszelkich dróg najlepsza, oto cel nadający życiu wartość i sens. Tak to mniej więcej odczuwał Knecht, a wszystko, cokolwiek my w nie znanym mu, pojęciowym języku powiedzieć na ten temat usiłujemy, nie zdoła przekazać płomieni ani dreszczu jego przeżyć. Wstawanie nocą, wędrówka przez ciemny, cichy las, pełen niebezpieczeństw i tajemnic, wyczekiwanie na szczycie skalnej płyty wśród chłodnego świtu, pojawienie się cienkiego widnia księżycowego, skąpe słowa mędrca, samotne przebywanie z mistrzem o tak niezwyklej porze, wszystko to przeżył Knecht jak uroczystość i misterium, przechował w swojej pamięci jak chwilę inicjacji, moment przyjęcia do związku pewnego i kultu, do wielce zaszczytnej służby siłom niewysłowionym, tajemnicy świata. W myśli, a tym bardziej w słowa, przeżycia takiego, ani podobnych, ująć nie można, a dalsza od wszelkich innych byłaby choćby myśl taka: „Czy to ja owo przeżycie tworzę, czy też wywodzi się ono

z obiektywnej rzeczywistości? Czy mistrz czuje to samo, co ja, czy też uśmiecha się, patrząc na mnie? Czy myśli moje podczas tego przeżycia są nowe, jedyne, własne, czy także i mistrz i niejeden przed nim jeszcze całkiem to samo przeżywali i myśleli?" Nie, załamań takich ani zróżnicowania nie było, wszystko stanowiło rzeczywistość, nasyczone i przepojone było rzeczywistością niczym chlebowe ciasto drożdżami. Chmury, księżyc i ruchoma sceneria nieba, mokry i zimny wapień pod bosymi stopami, wilgotne, chłodne krople rosy mżącej w poszarzałym przed świtem powietrzu, znajomy, pocieszający zapach dymu z ogniska i podściółki z liści, przechowany w futrze, które na siebie narzucił mistrz, majestatyczne brzmienie jego głosu, z lekkim odcieniem gotowości na śmierć i starczej chrypki — wszystko to było na wskroś realne, przemocą niemal wdzierające się i docierające do zmysłów młodzieńca. Zmysłowe zaś wrażenia są dla wspomnień lepszą pożywką od najlepszych systemów i metod myślenia.

Zaklinacz deszczu należał wprawdzie do nielicznych ludzi, którzy wykonują pewien zawód, szkoleni niegdyś specjalnie w pewnym kunszcie czy umiejętności, lecz codzienne jego życie na zewnątrz bynajmniej się od życia innych nie różniło. Był wysokim urzędnikiem i cieszył się uznaniem, otrzymywał także daniny i zapłatę od szczepu, ilekroć musiał pracować na rzecz ogółu, lecz zdarzało się to tylko przy szczególnych okazjach. Najważniejszą i najbardziej uroczystą, a nawet sakralną jego funkcją było ustalanie na wiosnę dla każdego gatunku owocu lub ziela dnia, na jego wysiew przeznaczanego; dokonywał tego bacznie obserwując pozycję księżyca, po części posłuszny odziedziczonym regułom, a po części własnemu doświadczeniu. Lecz uroczysta czynność samego otwarcia siewu, wysianie pierwszej przygarści zboża i ziarna na wspólnej ziemi, już do urzędu jego nie należała, tak wysokiej rangi bowiem nie osiągnął żaden mężczyzna; rokrocznie dokonywała tego albo sama pramatka, albo najstarsza jej krewniaczka. Najważniejszą osobą w wiosce stawał się natomiast mistrz w tych wszystkich przypadkach, gdy urzędować musiał jako za-

klinacz pogody. Następowoło to wówczas, gdy długotrwała susza, wilgóć lub zimno opadały pola, a szczepowi grozić zaczynał głód. Wówczas musiał Turu stosować środki, znane przeciwko suszy lub złym urodzajom: ofiary, zaklęcia, procesje błagalne. Według legendy, gdy przy uporczywej suszy lub nie ustającym deszczu zawodziły wszelkie inne środki, a duchy nie dawały się przekonać ani namowami, ani błaganiami, ani groźbami, był jeszcze ostateczny a niezawodny sposób, często ponoć stosowany w czasach matek i babek: złożenie w ofierze samego zaklinacza pogody przez całe plemię. Pramatka, jak wspomniano, sama to jeszcze widziała i przeżywała.

Prócz troszczenia się o pogodę mistrz uprawiał jeszcze coś w rodzaju prywatnej praktyki jako zaklinacz duchów, dostawca amuletów i czarodziejskich środków, a w niektórych wypadkach także jako lekarz, jeśli nie były to wypadki dla pramatki zastrzeżone. Poza tym jednak żył Turu tak samo jak wszyscy inni. Gdy przychodziła na niego kolej, pomagał uprawiać wspólną ziemię, a przy chacie miał również własny niewielki ogródek, pełen ziół. Zbierał owoce, grzyby, drzewo na opał i przechowywał je. Łowił ryby i polował, trzymał też kozę albo i dwie. Rolnikiem był takim, jak wszyscy inni, lecz polował, łowił ryby i poszukiwał ziół samotnie, był bowiem geniuszem, a krążyły wieści, że zna mnóstwo naturalnych i magicznych podstępów, chwytów, sposobów i środków pomocniczych. Opowiadano, że z uplecionej przezeń wiklinowej pętli raz schwytane zwierzę wydostać się nie zdoła; przynęty na ryby umiał specjalnymi dodatkami czynić szczególnie wonnymi i smaczniejszymi, potrafił zwabiać do siebie raki, a byli też ludzie przekonani, że zna mowę wielu zwierząt. Głównie jednak zajmował się magią: obserwowaniem księżyca i gwiazd, oznakami pogody, wyczuwaniem aury i rozrostu i wszystkim.^{co} służyć mogło magicznej sile. Wielkim był więc znawcą¹ Pilnym zbieraczem tych tworów świata roślin i zwierząt, które mogły stać się lekarstwem lub trucizną, które nosiły ^ sobie czary, błogosławieństwa lub środki chroniące przed mocami. Znał też i umiał znaleźć każde ziele, nawet

najrzadsze; wiedział, gdzie i kiedy ono rozkwita, kiedy zebrać można jego nasiona, kiedy zaś pora wykopywać korzenie. Znał też i umiał znaleźć wszelkie gatunki węzów i ropuch, znał się na sposobach wykorzystywania rogów, kopyt, pazurów, sierści, wiedział wszystko o zrostach, naroślach, kształtach straszliwych lub dziwacznych, bulwach, hubach czy brodawkach na drzewach, liściach, zbożach, na orzechach, rogach czy kopytach.

Knecht musiał uczyć się raczej zmysłami, dotykiem rąk i nóg, spojrzeniem, naskórkiem, słuchem i powonieniem, niż rozumem; Turu uczył go znacznie częściej przykładem i pokazem niż słowem i opisem. Rzadko zresztą zdarzało się, że mistrz mówił koherentnie, a nawet wówczas słowa były jedynie próbą podkreślenia niezwykle wymownych gestów. Terminowanie Knechta różniło się nieco od tego, które młody myśliwy lub rybak przechodzi u dobrego majstra, sprawiało mu zaś ono wielką radość, ponieważ uczył się jedynie tego, co w nim samym już tkwiło. Uczył się czatować, podsłuchiwać, skradać, obserwować, być czujnym i uważnym, węszyc i tropić; lecz zwierzyną, na którą wraz z mistrzem swoim czyhał, był nie tylko lis i borsuk, żmija i ropucha, ptak i ryba, ale duch, całość, związek, sens. Określić, rozeznąć, odgadnąć i z góry już poznać zmienną, kapryśną pogodę, wyczuć śmierć ukrytą w jagodach lub w ukąszeniu żmii, podsłuchać tajemnicę, według której chmury i wichry łączą się ze stanem księżyca, a wywierają wpływ swój zarówno na siewy i wschodzenie ziarna, jak też i na korzyść czy szkodę życia ludzi i zwierząt — oto, czego szukali. Dążyli przy tym właściwie do tego samego celu, co nauka i technika w późniejszych tysiącach lat, dążyli do opanowania przyrody i do możliwości igrania jej prawami, lecz zmierzali ku temu całkiem inną drogą. Nie odrywali się bowiem od przyrody, nie usiłowali przemocą wtargnąć w jej tajemnice, nigdy się jej nie przeciwstawiali, nigdy nie kyli jej wrogami, zawsze część jej stanowiąc i zawsze ze czcią jej oddani. Być może, iż znali ją lepiej i mądrzej z nią postępowali. Jedno tylko było dla nich absolutnie niemożliwe i nawet w najśmielszych myślach nigdy by się na

to nie odważyli: oddać się i poddać przyrodzie i światu ducha bez strachu czy też nawet czuć własną nad nią przewagę. Taka dwoistość była dla nich nie do pomyślenia i nie do pomyślenia też było inaczej ustosunkować się do sił potężnej przyrody, do śmierci, do demonów, jak tylko ze strachem. Strach panował nad całym ludzkim życiem. I nie było możliwe przemóc go. Ale różnorakie systemy ofiar służyły właśnie złagodzeniu go, przechytrzeniu, zamaskowaniu, przybraniu w odpowiednie formy i włączeniu w całość kształtu życia. Strach był uciskiem, pod którym upływało ludzkie życie, a bez jego wielkiego ciśnienia życie straciłoby swą intensywność. Komu zaś udawało się wysublimować część strachu i przekształcić ją w cześć — ten zyskiwał wiele, ludzie tacy, ludzie, u których strach przeistoczył się w nabożność, byli najlepsi, najbardziej postępowi w owej epoce. Ofiar składano wiele i w różnej postaci, a część z nich oraz związane z nimi rytuały należały do urzędowej dziedziny działalności zaklinacza pogody.

Obok Knechta podraślała w chacie mała Ada, ładna dziewczynka, ulubienica starego, a gdy pora wydała mu się już odpowiednia, dał mu on ją za żonę. Knecht od tej chwili ją uchodził za pomocnika zaklinacza deszczu, Turu przedstawił go matce wioski jako swego zięcia i następcę, każąc mu odtąd zastępować się w niektórych zajęciach i urzędowych czynnościach. Stopniowo, wraz z odmianami pór roku i lat, stary zaklinacz deszczu zapadał już coraz głębiej w samotną zadumę starości, przekazywał też Knechtowi cały swój urząd, a gdy zmarł — znaleziono go martwego, Przykucniętego przy ogniu, schyłego nad kilkoma garnczkami z magicznym naparem, a siwe jego włosy nadpalone były przez płomień — młodzik, uczeń jego, Knecht, znany był już od dawna w całej wiosce jako zaklinacz deszczu. Zażądał od rady wiejskiej godnego pogrzebu dla swego mistrza i spalił w ofierze nad jego grobem całe naręczce szlachetnych, wonnych, leczniczych ziół i korzeni. Lecz i to od dawna należało już do przeszłości; wśród dzieci Knechta, których spora gromadka coraz ciasniej szą czyniła chatę był także chłopiec, imieniem Turu: w jego to postaci

powrócił starzec ze śmiertelnej swojej wyprawy na księżyc. Knechtowi zaś wiodło się tak, jak niegdyś wiodło się jego nauczycielowi. Część jego strachu przekształciła się w nabożność i uduchowienie. Część młodszych jego dążeń i głębokiej tęsknoty zachowała się, pozostała żywa, inna część zamarła i zatraciła się z wiekiem w pracy, w miłości i staraniach o Adę i dzieci. Ale największą miłością i najstaranniej szymi badaniami zawsze otaczał księżyc i jego wpływ na pory roku i pogodę: w tym doszedł do wiedzy mistrza swojego, Turu, a w końcu nawet go prześcignął. A ponieważ przybywanie i zanikanie księżyca ściśle łączyło się z umieraniem i narodzinami ludzi i ponieważ spośród wszystkich lęków żyjących w człowieku najgłębszy jest lęk przed koniecznością śmierci, czciciel i znawca księżyca, Knecht, zyskał dzięki tak żywym i bliskim kontaktom z księżycem również nabożny i pełen czci stosunek do śmierci, w dojrzałym zaś wieku słabiej odczuwał lęk przed śmiercią i mniej był mu poddany niż inni ludzie. Potrafił rozmawiać z księżycem ze czcią albo błagalnie, albo czule; wiedział, że łączy go z nim subtelne duchowe związki, znał bardzo dokładnie życie księżyca, brał żywy udział w jego przemianach i losach, przeżywał jego zanik i nowe pojawianie się jak misterium w głębi własnego serca, wraz z nim cierpiał i przerażał się, gdy przychodziła niesamowita chwila i księżyc wydawał się narażony na choroby i niebezpieczeństwa, przemiany i uszkodzenia, gdy tracił połysk, zmieniał barwę, ciemniał tak, że wydawało się, iż bliski jest zgaśnięcia. W takich chwilach co prawda każdy interesował się księżycem, drżał o niego, dostrzegał bliskość groźnych niebezpieczeństw w jego przyćmieniu i ze strachem wpatrywał się w jego stare, schorowane oblicze. Ale właśnie wówczas okazywało się też, że zaklinacz deszczu bardziej związany jest z księżycem i więcej wie o nim niż inni; przeżywał wprawdzie również jego los, serce także kurczyło mu się z lęku, lecz wspomnienia podobnych przeżyć były u niego ostrzejsze i lepiej zachowane, ufność jego mocniejsza, wiara w wieczność, powrót, w możliwość przewyciężenia śmierci większa, a także głębsze było jego oddanie; w

chwilach takich czuł, że gotów jest przeżywać wspólnie z nią los planety, od zniknięcia aż do ponownych narodzin, a niekiedy odczuwał nawet coś w rodzaju zuchwalstwa, niesłychanej odwagi i decyzji, pragnienie aby ducha przeciwstawić śmierci, własne ja wzmocnić przez złączenie go z losami ponadludzkimi. Coś z tego wszystkiego przeniknęło też do jego natury, a zdołali to wyczuć i inni: uchodził za wiedzącego i nabożnego, za człowieka odznaczającego się wielkim spokojem i niezbyt lękającego się śmierci, za kogoś, kto zyskał sobie przychylność zaświatowych mocy.

Te dary i cnoty ujawniać musiał podczas ciężkich prób. Pewnego razu przetrwać musiał czas nieurodzaju i złej pogody, trwający ponad dwa lata; była to największa próba w jego życiu. Przeciwności i złe znaki rozpoczęły się już podczas wielokrotnie odkładanych siewów, potem zaś za siewy dotknięte zostały wszelkimi możliwymi szkodami i klęskami, tak iż w końcu zostały niemal całkowicie zniszczone; plemię cierpiało głód okrutny, a Knecht głodował wraz z nim, a fakt, iż przetrwał ów gorzki rok, że on, zaklinacz deszczu, nie stracił zaufania i wpływów i zdołał skłonić ludzi, aby znosili nieszczęście w pokorze, a nawet z pewnym opanowaniem, znaczył już bardzo wiele. Lecz gdy i w następnym roku, po srogiej i w liczne wypadki śmierci obfitującej zimie, powtórzyły się wszystkie klęski i biedy roku ubiegłego, gdy wspólna ziemia jęła latem pod wpływem uporczywej suszy twardnieć i pękać, myszy rozmnożyły się okrutnie, samotnie przez zaklinacza deszczu powtarzane za klęcia i ofiary pozostały równie bezskuteczne i nie wysłuchane, co publiczne uroczystości, chóry z biciem bębnów i procesje całego szczepu, gdy ujawniła się straszliwa prawda, iż zaklinacz deszczu tym razem deszczu sprowadzić nie zdoła — nie był to już drobiazg i trzeba tu było kogoś wyrastającego ponad przeciętność, by znieść ową odpowiedzialność i ostać się wobec przerażonego i wzburzonego ludu. Były wówczas dwa czy trzy tygodnie, podczas których K został całkowicie osamotniony, stanął przeciw niecałemu szczep, całemu głód i cała rozpacz, jak również dawaludowa tradycja, że tylko złożenie w ofierze samego za-

klinacza pogody zdoła przebłagać złe moce. Knecht zwyciężył przez ustępstwo. Nie stawiał oporu idei ofiary, sam się nawet na ofiarę nastęczał. A ponadto z niezwykłym trudem i oddaniem pracował nad złagodzeniem nędzy, nieustannie odkrywając nowe wody, jakieś źródło, cienki strumyk, zapobiegł też całkowitemu zniszczeniu trzód w czasie największej biedy, w szczególności zaś zdołał uchronić ówczesną pramatkę wioski — staruchę w okresie tak straszliwej próby niezmiernie i niebezpiecznie zrozpaczoną i upadłą na duchu — pomocą swoją, radą, groźbami, czarami i modlitwą, własnym przykładem i zastraszaniem — od całkowitego załamania i dopuszczenia do tego, by wszystko potoczyło się bez kierunku i nierozważnie. Okazało się wówczas, że w okresach niepokojów i powszechnej troski mężczyzna tym jest przydatniejszy, im bardziej życie swoje i myśli kieruje ku sprawom duchowym, ponadludzkim, im lepiej umie cześć oddawać, obserwować, wielbić, służyć i składać ofiary. Dwa owe lata, które prawie zniszczyły Knechta i w których omal nie złożono go na ofiarę, przyniosły mu w ostatecznym skutku wielkie uznanie i zaufanie, wprowadziły nie pozbawionego odpowiedzialności pospólstwa, lecz tych nielicznych, którzy ową odpowiedzialność ponosili, a byli też w stanie docenić człowieka jego pokroju.

Życie jego przeszło przez te i inne jeszcze próby, gdy wreszcie doszedł dojrzałych lat męskich i stanął na szczycie życiowych osiągnięć. Pomagał przy pogrzebach dwóch pramatek szczepu, stracił sam ładnego, sześciolatniego synka, którego wilk mu porwał, przeżył bez obcej pomocy ciężką chorobę, sam się lecząc. Ucierpiał od głodu i mrozu. I wszystko to wyryte zostało na jego twarzy, a nie mniej i w jego duszy. Doświadczył też, iż ludzie ducha budzą u niektórych innych pewne, osobliwego rodzaju zgorszenie i wstręt, że ceni się ich wprawdzie z oddalenia i w razie konieczności zasięga się ich rady, lecz nie lubi się ich bynajmniej, nie uważa za równych innym i raczej się ich unika. Doświadczył ponadto, że przekazane tradycją lub swobodnie improwizowane zaklęcia magiczne i czarodziej-skie formułki przyjmowane są przez chorych lub nieszczę-

śliwych znacznie chętniej niż rozsądne rady, że człowiek woli raczej znosić przykrości i zewnętrzną pokutę, niż zmienić się od wewnątrz czy choćby tylko samego siebie przebadać, że woli raczej wierzyć w czary niż w rozum, w formułki niż w doświadczenie, a wszystkie te sprawy w ciągu kilku tysięcy lat, jakie od owej epoki upłynęły, nie zmieniły się z pewnością aż tak bardzo, jak twierdzić pragną niektóre podręczniki historii. Nauczył się jednak również, że człowiek ducha i badacz nie powinien tracić miłości, że powinien bez zarozumiałości wychodzić na spotkanie pragnieniom i głupocie ludzkiej, natomiast nie powinien pozwalać, aby opanowały jego samego, że mędrca od szarlatana, kapłana od kuglarza, pomoc niosącego brata od żerującego pasożyta krok zawsze zaledwie dzieli, ludzie zaś znacznie bardziej skłonni są opłacać oszusta czy pozwolić się wykorzystywać jarmarczemu krzykaczowi niż przyjąć bezinteresownie udzielaną pomoc. Nie chcą bynajmniej odpłacać zaufaniem i miłością, raczej już pieniędzmi i towarem. Oszukują się wzajemnie, spodziewają się więc, że sami oszukiwani będą. Knecht musiał się nauczyć dostrzegać w człowieku istotę słabą, egoistyczną i tchórzliwą, musiał przekonać się też, jak dalece sam uczestniczy w niedobrych owych cechach i popędach, a może przecież jednocześnie wierzyć i duszę własną karmić tą wiarą, że człowiek jest również duchem i miłością, że mieszka w nim coś, co przeciwstawia się owym popędom, i pragnie je uszlachetnić. Lecz myśli te są już chyba nazbyt oderwane i sformułowane znacznie precyzyjniej, niż mógłby tego dokonać Knecht. Powiedzmy tedy, że znajdował się on na drodze do nich, że droga ta przywiodłaby go kiedyś ku nim, a poprzez nie jeszcze dalej.

Idąc zaś ową drogą, tęskniąc do myśli, przeważnie jednak żyjąc w sferze zmysłów, w oczarowaniu księżycem, w^onią jakiegoś ziela, słonym smakiem jakiegoś korzenia, cierpkością kory, wskutek hodowania ziół leczniczych, gotowania maści, zajmowania się pogodą i atmosferą wykształcił w sobie Knecht pewne zdolności, takie nawet, których my, późniejsi, nie posiadamy już i tylko na poły je

pojmujemy. Najważniejsza z owych umiejętności polegała, oczywiście, na zaklinaniu deszczu. A chociaż w niektórych szczególnych wypadkach niebo pozostawało głuche, zdając się w okrutny sposób kpić z jego wysiłków, Knecht ze sto razy .sprowadził jednak deszcz na ziemię, a niemal za każdym razem nieco inaczej. Nie odważyłby się wprowadzić zmiany nawet najdrobniejszego szczegółu w ofiarach, w rytuale błagalnych procesji, zaklęć lub muzyki, polegającej na bębnieniu. Ale była to przecież tylko oficjalna, publiczna część jego działalności, urzędowo-kapłańska, wizualna jej strona; z pewnością bardzo to było piękne i napawało wspaniałymi podniosłymi uczuciami, gdy pod wieczór pewnego, od ofiar i procesji rozpoczętego, dnia niebo się poddawało, horyzont kryły chmury, wiatr jął pachnieć wilgocią i wraz z nim spadać zaczynały pierwsze krople. Ale i wówczas trzeba było dopiero kunsztu zaklinacza pogody, by dobrze wybrać ów dzień, by na ślepo nie rzucać się w próżnię, wolno bowiem było błagać tajemne moce, nawet szturmować do nich, lecz z uczuciem i umiarem, z pełnym poddaniem się ich woli. A miłsze nawet od tych pięknych, pełnych triumfu przeżyć i wywyższeń były dlań inne, o których nikt prócz niego samego nie wiedział, on zaś także nieśmiało tylko, raczej zmysłami niż rozumem je sobie uświadamiał. Bywały bowiem układy pogody, napięcia w powietrzu lub w cieple, zachmurzenia i wiatry, odmiany zapachu ziemi, kurzu czy wody, zagrożenia lub obietnice, nastroje i kaprysy demonów pogody, które Knecht skórą swoją, włosami, wszystkimi swymi zmysłami już naprzód wyczuwał, tak iż nic go nie mogło zaskoczyć, nic rozczarować, współwibrując koncentrował w sobie pogodę, nosił ją w sobie w sposób, który umożliwiał mu rozkazywanie wichrom i chmurom, oczywiście nie samowolnie i według własnych życzeń, lecz właśnie wskutek owych związków i powiązań, usuwających całkowicie rozdział pomiędzy nim i światem, pomiędzy tym, co wewnętrzne i co zewnętrzne. Mógł wówczas stać i słuchać w zachwyceniu, mógł w zachwyceniu przykucnąć i otworzyć wszystkie pory skóry, a życie prądów

powietrznych i chmur we własnym wnętrzu nie tylko współ-odczuwać, lecz nadto jeszcze wytwarzać je i dyrygować nim, mniej więcej w taki sposób, jak my dzisiaj potrafimy we własnym wnętrzu zbudzić i odtworzyć dobrze nam znaną frazę muzyczną. Wystarczyło, że w takich chwilach wstrzymał oddech — a wicher albo grzmot cichł; wystarczyło mu tylko głową skinąć lub potrząsnąć — a walić zaczynał grad lub też grad ustawał, wystarczyło, że uśmiechem wyraził zrównoważenie owych walczących w nim sił — a na niebiosach rozsuwały się fałdy chmur, obnażając cienką warstwę jasnego błękitu. W pewnych okresach szczególnie czystego nastroju i duchowego ładu miał w sobie dokładną i nieomylną, a w przyszłość już sięgającą wiedzę o pogodzie następnych dni, tak jakby w jego własnej krwi zapisana została cała partytura, według której na zewnątrz sprawy te miały się odegrać. Były to jego dobre, najlepsze dni. jego nagrody i rozkosze.

Lecz jeśli osobisty ów związek ze światem zewnętrznym zostawał przerwany, gdy pogoda i świat stawały się obce, niepojęte i nieobliczalne, wówczas i we wnętrzu samego Knechta naruszony bywał ład i przerywały się prądy, wówczas czuł, że nie jest prawdziwym zaklinaczem pogody, a urząd swój i odpowiedzialność za pogodę i zbiory odczuwał jak brzemię i niesprawiedliwość. W takich okresach stawał się domatorem, posłuszny i pomocny był Adzie, wraz z nią pilnie zajmował się gospodarstwem, robił zabawki dla dzieci i narzędzia, gotował rozmaite leki, pragnął miłości, odczuwał też potrzebę, aby nie różnić się niemal niczym od innych mężczyzn, całkowicie dostosować się do tradycji i obyczajów, a nawet wysłuchiwać zazwyczaj raczej dlań Nużących opowieści żony i sąsiadek o życiu, powodzeniu i Postępowaniu innych ludzi. Natomiast w dobrych okresach niewiele bywał w domu, krążył wówczas na zewnątrz, łowił ryby, polował, szukał korzeni, leżał w trawie lub czaił^{si} na drzewach, węszył, nasłuchiwał, naśladował głosy zwierząt, rozpalał malutkie ogniska, porównując kształty dymnych obłoczków z chmurami na niebie, skórę i włosy Przesycone miał mgłą^{deszczem}, powietrzem, słońcem lub

li'
I
/
jü,

ij

blaskiem księżycy, a przy okazji, podobnie jak to przez całe życie czynił mistrz jego i poprzednik Turu, zbierał takie przedmioty, których istota i kształt zewnętrzny zdawały się należeć każde do innej sfery, w których mądrość czy też kaprys przyrody zdawały się częściowo zdradzać swe reguły gry i tajemnice stworzenia, przedmioty łączące w sobie parabolicznie odrębne dziedziny, na przykład: sęki o twarzach ludzkich lub zwierzęcych, wyszlifowane przez wodę kamyki, żyłkowane tak, jakby były z drewna, skamieniałe kształty przedhistorycznych zwierząt, wynaturzone lub bliźniacze pestki owoców, kamienie o kształcie nerki albo serca. Odczytywał rysunki na liściach drzew, linearne siatki na kapeluszach smardzów, wyczuwając przy tym coś tajemniczego, duchowego, coś przyszłościowego, coś potencjalnego: magię znaków, przecucie liczby i pisma, ujęcie tego, co nieskończone i wielokształtne, w coś prostego, w pojęcie, w system. Wszystkie bowiem owe możliwości pojęcia świata mieściły się, dzięki duchowi, w nim samym, bezimienne

wprawdzie, nie nazwane, lecz możliwe, dostępne, załączkiem i pąkiem będące jeszcze, dla niego przecież istotne, właściwe i organicznie w nim rosnące. Gdybyśmy poprzez owego zaklinacza deszczu i jego wczesną, a nam prymitywną wydającą się, epokę zdołali cofnąć się jeszcze o dalsze tysiąclecia, przekonani jesteśmy, iż wraz z człowiekiem wszędzie już spotkalibyśmy również ducha, tego ducha, który nie zna początku, a zawsze już zawierał, mieścił w sobie wszystkich i wszystko, co kiedykolwiek później się pojawiło. Nie sążone było zaklinaczowi pogody uwiecznić żadnego ze swoich przecuć ani przybliżyć ich do dowodu prawdy, którego też zresztą wcale nie potrzebowały. Nie stał się jednym z licznych wynalazców ani pisma, ani geome-i trii, ani medycyny czy astronomii. Pozostał nie znany* ogniwem łańcucha, lecz ogniwem równie niezbędnym, jak każde: przekazywał dalej to, co otrzymał, dorzucając wszystko, co sam zyskał lub zdobył. I on bowiem miał uczniów. Dwóch spośród nich wykształcił w ciągu lat na zakli' naczy deszczu, jeden z nich zaś został później jego następcą. Przez długie lata uprawiał Knecht swój zawód i spełnia¹

powinność w samotności, przez nikogo nie podsłuchiwany, gdy zaś po raz pierwszy — a nastąpiło to wkrótce po wielkiej klęsce nieurodzaju i głodu — jakiś młodzik zaczął go odwiedzać, obserwować, śledzić, czcić i chodzić za nim, taki właśnie chłopak, którego zaklinanie deszczu pociągało, a osoba mistrza urzekła, wówczas mistrz z dziwnie smutnym i żalonym poruszeniem serca przeżył chwilę nawrotu wielkiego przeżycia własnej młodości, doznając przy tym po raz pierwszy surowego, dławiącego, a jednocześnie pobudzającego uczucia zenitu: że oto młodość jego własna minęła, południe lat zostało przekroczone, kwiat zaś przeistoczył się w owoc. I, choć nigdy by tego nie przypuścił, zachowywał się wobec owego chłopca zupełnie tak samo, jak niegdyś stary Turu wobec niego, a szorstki ów stosunek, odręczający, wyczekujący i odsuwający moment porozumienia, wynikł sam przez się, spontanicznie, nie był ani naśladowaniem starego, zmarłego mistrza, ani też nie zrodził się z rozważań moralizatorskich i wychowawczych, jak na przykład takie, że młodego człowieka najpierw długo badać należy, czy doprawdy poważnie myśli, że nikomu nie trzeba ułatwiać drogi do wtajemniczenia w sprawy zakryte, natomiast trzeba ją raczej szczególnie utrudniać, i tak dalej. Nie, Knecht odnosił się do swoich uczniów zupełnie zwyczajnie, po prostu tak, jak każdy nieco już starzejący się samotnik i uczony dziwak zachowuje się wobec wielbicieli i uczniów: ze zmieszaniem, nieśmiałością, odręczając ich, gotów do ucieczki, pełen lęku o piękną swoją samotność i swobodę, o swe wędrówki w głuszy, o samotne, swobodne swe łowy i zbiory, marzenia i czaty, pełen zazdrosnej miłości do wszystkich swych nawyków i zamiłowań, tajemnic i rozmyślań. Bynajmniej tedy nie przygarnął onieśmielonego młodzieńca, zbliżającego się ku niemu z pełną czci ciekawością, bynajmniej nie dopomógł mu w przewyciężeniu onieśmielenia ani go zachęcał, bynajmniej nie uznał za radość i nagrodę, uznanie i miłe zwycięstwo, że oto wreszcie świat tamtych, innych, przysłał mu swego gońca i oświadczyły miłosne, że ktoś zabiega o jego względy, że ktoś jest^mu oddany, bliski i jak on odczuwa powołanie do służenia

tajemnicom. Nie, przede wszystkim odczuł to jak uciążliwą przeszkodę, wtargnięcie w jego prawa i przyzwyczajenia, zagarnięcie jego niezależności, a dopiero teraz przekonał się, jak bardzo ją kochał; bronił się przed tym i wiele okazał pomysłowości w przechytrzeniu, ukrywaniu się, zacieraniu śladów, w unikach i ucieczkach. Lecz i w tym wiodło mu się podobnie, jak niegdyś Turu, ponieważ długie, nieme zaloty chłopaka stopniowo zmiękczyły jego serce, opór jego jął powoli, powoli słabnąć, topnieć, on sam zaś, im więcej chłopiec miejsca sobie zdobywał, uczył się stopniowo zwracać do niego, otwierać przed nim, pragnienia jego chwalić, przyjmować jego uwielbienie i dostrzegać w tym nowym, jakże nieraz uciążliwym obowiązku posiadania i kształcenia ucznia nieuchronność, zadecydowaną i zesłaną mu przez los. Coraz też bardziej i bardziej musiał odchodzić od swych marzeń, od poczucia nieograniczonych możliwości przyszłych, jakże urozmaiconych czasów i od rozkoszowania się nimi. Zamiast rojeń o bezgranicznym postępie, o sumie wszelkiej mądrości, pojawił się oto uczeń, rzeczywistość niska, bliska, wymagająca, intruz zakłócający mu spokój, a przecież nieuchronny i odtrącić się nie dający, jedyna droga ku przyszłości prawdziwej, jedyny najważniejszy obowiązek, jedyna wąska ścieżka, na której życie i uczynki, poglądy, myśli i przecucia zaklinacza deszczu ostać się zdolają przed śmiercią i żyć nadal będą w nowym, drobnym pąku. Wzdychając, zgrzytając zębami i uśmiechając się, przyjął Knecht na siebie ów obowiązek.

Lecz również w tej ważnej, najbardziej może odpowiedzialnej dziedzinie jego urzędu, w przekazywaniu tradycji i w wychowywaniu następców, nie zostały zaklinaczowi pogody oszczędzone nader ciężkie i gorzkie doświadczenia i rozczarowania. Pierwszy uczeń, który zabiegał o jego łaski, a po długim oczekiwaniu i odtrącaniu zdobył go na swego mistrza, zwał się Maro; stał się zaś przyczyną rozczarowania, którego Knecht nigdy już całkowicie nie zdołał przeboleć. Był usłużny, schlebiający, przez długi czas udawał też bezwzględnie posłusznego, brak mu było jednak pewnych zalet, przede wszystkim odwagi, lękał się miano-

wicie nocy i ciemności, z czym usiłował się kryć, a co Knecht mimo to dostrzegł, przez długi jednak jeszcze czas uważał za resztki dzieciństwa, które stopniowo znikną. Jednak nie zniknęły. Brak też było owemu uczniowi daru poświęcania się ofiarnie i bez osobistych celów obserwacjom, zajęciom i pracom związanym z jego zawodem, myślom i przecuciom. Mądry był, miał umysł jasny i bystry i wszystko, czego bez owego oddania nauczyć się było można, pojmował szybko i łatwo. Lecz coraz jaśniej okazywało się, że miał cele i zamiary egoistyczne, i dla nich zamierzał nauczyć się zaklinania deszczu. Przede wszystkim chciał coś znaczyć, odgrywać jakąś rolę i wywierać wrażenie, miał w sobie próżność ludzi utalentowanych, lecz nie powołanych. Dążył do poklasku, przechwalał się wobec rówieśników pierwszy- mi swymi wiadomościami i sztuczkami — może i to było jeszcze dziecinne i także mógł z tego wyrosnąć. Lecz nie tylko poklasku szukał: dążył także do panowania nad innymi i do korzyści; gdy mistrz to spostrzegł, przeraził się i stopniowo odwrócił serce od chłopca. Ów zaś dwukrotnie, trzykrotnie nawet, gdy już sporo lat uczył się u Knechta, dopuścił się poważnych wykroczeń. Dał się namówić i na własną rękę, bez wiedzy i zezwolenia mistrza, za podarki, to kurował chore dziecko spreparowanym przez siebie lekiem, to znów w pewnej chacie odmawiał zaklęcia przeciwko pladze szcurów, a gdy mimo wszelkich gróźb i obietnic mistrz raz jeszcze przyłapał go na podobnych praktykach, przepędził go z nauki, doniósł o całej sprawie pramatce i usiłował odtąd wymazać ze swej pamięci wspomnienie o niewdzięcznym i nieprzydatnym młodzieńcu.

Wynagrodzili mu to natomr[^]t obaj późniejsi uczniowie, a zwłaszcza drugi, własny jego syn, Turu. Tego najmłodszego i ostatniego z uczniów i chłopców bardzo[^]cochał, sądził też, że zdoła on stać się lepszym niż ojciec, widocznie duch dziadka weń wstąpił. Knecht miał krzepiącą duszę satysfakcję, że oto przekazał dalej sumę swej wiedzy i wiary w Przyszłość, wiedział także, że jest ktoś, po dwakroć syn go, któremu każdego dnia będzie mógł oddać swój urząd, jemu samemu zbyt już będzie trudno. Lecz ów nieuda-

ny, pierwszy uczeń nie dał się jednak przepędzić z życia i myśli, nie był wprawdzie we wsi człowiekiem zbyt wysoko cenionym, jednak wielu bardzo go lubiło, miał pewien wpływ, ożenił się, był popularny jako kuglarz i wesolek, został nawet głównym doboszem w chórze, występującym przy wtórze bębnow, pozostał przy tym przytąjonym wrogiem zaklinacza deszczu, któremu zazdrościł i który znosić musiał od niego sporo drobnych, a nawet poważniejszych przykrości. Knecht nigdy nie miał wielu przyjaciół, z którymi lubiłby przesiadywać, potrzebował samotności i swobody, nie zabiegał też nigdy o szacunek czy miłość, chyba tylko w latach chłopięcych, gdy pozyskać pragnął mistrza Turu. Ale oto teraz doświadczył, co to znaczy mieć zawistnego wroga, który nienawiścią niejedną dzień życia potrafi zepsuć.

Maro należał do rodzaju bardzo zdolnych uczniów, którzy mimo swojego talentu zawsze są dla nauczycieli niemili i uciążliwi, ponieważ talent ich nie jest u nich od podstaw i od wnętrza dobywającą się, uzasadnioną, organiczną siłą, nie jest delikatnym i uszlachetniającym znakiem dobrej natury, dobrej krwi i rzetelnego charakteru, lecz czymś jak gdyby przypadkowym, przydanym, a nawet uzurpowanym lub skradzionym. Uczeń o marnym charakterze, lecz o świetnym umyśle i bujnej wyobraźni sprawia nauczycielowi niewątpliwie kłopot: powinien on bowiem uczniowi takiemu przekazać dziedzictwo wiedzy i metod, uczynić go zdolnym do współuczestniczenia w życiu duchowym — a czuje przecież, iż właściwym, największym jego obowiązkiem byłoby właśnie chronić naukę i sztukę od natręctwa zdolnego jedynie adepta, albowiem nie nauczyciel służyć ma uczniowi, lecz obaj służyć powinni sprawom ducha. I oto dłaczego nauczyciele odczuwają właśnie coś w rodzaju onieśmienia i zgrozy wobec niektórych olśniewających talentów, każdy taki uczeń bowiem wypacza cały sens i służebność pracy wychowawczej. Wszelkie wymagania takiego ucznia, gotowego wprawdzie zawsze olśniewać, nigdy jednak służyć, są w istocie szkodą dla służebności nauki i zdradą ducha. W historii różnych narodów znamy okresy, ^

których, jeśli głęboko zakłócono ład duchowy, zaobserwować można było istny szturm zdolnych tylko adeptów na ośrodki kierujące społecznością, na szkoły i akademie tych państw, gdzie we wszystkich urzędach siedzieli ludzie nader utalentowani, wszyscy oni jednak chcieli rządzić, a nie umieli służyć. Z pewnością trudne jest bardzo rozpoznanie w porę tego rodzaju talentów, zanim jeszcze opanują one podstawy jakiejś duchowej dziedziny, i skierowanie ich, z konieczną w tym wypadku bezwzględnością, na drogi wiodące ku nieintelektualnym zawodom. Knecht również popełniał błędy, zbyt długo okazywał cierpliwość swemu uczniowi Maro, zwierzył się temu powierzchownemu karierowiczowi z niejednej, dla adeptów przeznaczonej mądrości, choć szkoda jej dlań było. Skutki zaś tego postępowania okazały się dla niego właśnie znacznie gorsze, niż kiedykolwiek przypuszczał.

Nadszedł pewien rok — broda Knechta w tym czasie mocno już posiwiiała — gdy ład pomiędzy niebem a ziemią wydał się zmaćony : zakłócony przez demony niezwykle silne i podstępne. Zakłócenia te rozpoczęły się na jesieni w sposób przerażający i majestatyczny, do głębi wstrząsając każdą duszą i lękiem ją przejmując; rozpoczęły się od nigdy nie oglądanych dotąd zjawisk na niebie, wkrótce po okresie zrównania dnia z nocą, który to moment zaklinacz pogody zawsze w sposób dość uroczysty, pełen nabożnego skupienia i nasilonej uwagi przeżywał i obserwował. Nadszedł wówczas pewien wieczór, lekki, wietrzny, nieco chłodny, niebo było szklście jasne, przemykało po nim zaledwie kilka niespokojnych obłoczków, bujających na wielkiej wysokości, a niezwykle długo zachowujących różową barwę 3^u zaszłego słońca: lekkie, spienione wiązki światła sunęły P^ośród bladej i chłodnej przestrzeni wszechświata. Knecht ^od kilku już dni doznawał uczucia silniejszego i bardziej Nobliwego od tych wszystkich, których co roku w owym okresie rozpoczynających się właśnie krótszych dni do-^s*iadczał: wpływu potęg niebiańskich, zatwóżenia ziemi, Roślin i zwierząt, niepokoju trwającego w powietrzu, czegoś ygocącego, wyczekującego, pełnego przerażenia i przeczuc

całej przyrody, a przynależały do tego również owe długo w drganiach rozżarzone chmurki wieczorne, trzepocące na niebie w sposób niezgodny z wiatrem unoszącym się nad ziemią, z błagalnym jakby, długo i smutno przed zgaśnięciem broniącym się, czerwonym blaskiem, po którego wystudzeniu i zaniknięciu same stały się nagle niewidzialne. We wsi panował spokój, przed chatą pramatki od dawna rozproszyła się rzesza odwiedzających i zasłuchanych dzieciaków, zaledwie paru chłopców mocowało się jeszcze z sobą i goniło, poza nimi jednak wszyscy do chat weszli, od dawna też się posilili. Wielu już nawet spało, a mało kto, prócz zaklinacza deszczu, obserwował zaczerwienione o wieczorze chmury. Knecht chodził tam i na powrót po małym ogródku za swoją chatą, zatopiony w rozważaniach o pogodzie, pełen napięcia, niespokojny, od czasu do czasu przysiadając na pniu drzewa, rzuconym pomiędzy pokrzywy i przeznaczonym do łupania drew. Kiedy zagasła ostatnia świeca obłoczków, gwiazdy na jasnym jeszcze w zielonkawej poświacie niebie stały się nagle bardziej widoczne, szybko zwiększała się ich liczba i siła ich światła: tam, gdzie przed chwilą jeszcze dwie tylko albo trzy widać było, ukazało się już dziesięć i dwadzieścia. Zaklinacz deszczu znał wiele spośród nich, grupy ich i rodziny, oglądał je setki razy, a nieodmienne ich powroty miały w sobie coś uspokajającego, gwiazdy pocieszały, trwały wprawdzie daleko, zimne, na wyżynach, nie promieniując ciepłem, lecz były niezawodne, uszeregowane w sposób stały, głosiły ład, obiecywały trwałość. I choć pozornie tak odległe od życia na ziemi, od życia ludzkiego, tak obce mu i przeciwstawne, tak niewzruszone jego ciepłem, jego drganiem, ekstazami i cierpieniami, aż do szyderstwa górujące nad nim swym wytwornym, majestatycznym chłodem i wiecznotrwałością, były przecież związane z nami, wiodły nas, może nawet nami rządziły, jeśli zaś jakakolwiek wiedza ludzka, zdobywcze ducha, przewaga i władza umysłu nad wszystkim, co nietrwałe, osiągnięta została i utrzymana, to przypominała^{olia} gwiazdy, na ich podobieństwo promieniowała chłodnym spokojem, pocieszała zimnym migotaniem, spoglądała odwiecz'

nie i z odrobiną szyderstwa. Zaklinacz deszczu często tak właśnie o tym myślał, a choć z gwiazdami bynajmniej nie łączyły go tak bliskie, emocji pełne, w nieustannych zmianach i powrotach wypróbowywane stosunki jak z księżycem, ową wielką, bliską, wilgotną, tłustą i zaczarowaną rybą w morzu niebios, czcił je przecież głęboko i związany był z nimi uczuciem wiary. Niejeden też raz odczuwał długie wpatrywanie się w nie i poddawanie się ich wpływom, poddawanie własnej mądrości, własnego ciepła i zatrwożenia ich milczącemu, chłodnemu spojrzeniu jak ożywczą kąpiel, jak leczniczy napój.

Dziś także gwiazdy spoglądały jak zwykle, wydawały się tylko bardzo jasne i jakby ostro wyszlifowane w rozrzedzonym, napiętym powietrzu, Knecht zaś nie znalazł w sobie siły na całkowite zagłębienie się w ich kontemplacji, z nie znanych przestrzeni szarpała go jakaś siła, boleśnie wdzierając się w skórę, ssając jego oczy, niemo, lecz uporczywie, prąd jakiś, ostrzegawcze drganie. Tuż obok, w chacie, migotało mętne, czerwone, ciepłe, choć słabe światelko żaru w ognisku, płynęło stamtąd ciepłe, nikłe życie, odzywał się to jakiś okrzyk, to śmiech, to ziewanie, płynął stamtąd zapach ludzi, ciepłej skóry, macierzyństwa, dziecięcego snu, niewinną swą bliskością jakby pogłębiając jeszcze dopiero co rozpoczętą noc, jakby odsuwając dalej jeszcze gwiazdy na niepojęte dale i wyżyny.

Teraz zaś, w chwili gdy Knecht posłyszał w głębi chaty niski, melodyjny głos Ady, szeptem i mrużeniem uspokajającej jedno z dzieci, zaczęła się na niebie katastrofa, o której wioska miała później przez wiele lat jeszcze wspominać. W cichej i jasnej siatce gwiazd pojawiło się tu i ówdzie jakieś błyskanie i migotanie, jak gdyby niewidzialne zazwyczaj nici sieci nagle zajął płomień, po czym, rzucone niby kamienie, rozbłyskując i zaraz też przygasając, spadać zaczęły szybko ukosem poprzez przestrzeń poszczególne gwiazdy: tu jedna, tam dwie, ówdzie jeszcze kilka, oko zaś nie zdążyło jeszcze odwrócić się od pierwszej, już niewidocznej, spadającej gwiazdy, a serce, na widok ów skamieniałe, na nowo i bić nie zaczęło, gdy już znowu ukośnie, po wygiętej

lekko linii, jęły ścigać się całe gromady, tuziny, setki spadających po niebie czy wyrzucanych na nie światel, pędząc niezliczonymi gromadami, jakby niemyym a olbrzymim huraganem unoszone ukośnie przez milczącą noc, jakby wielka jakaś jesień świata zerwała z niebiańskiego drzewa wszystkie gwiazdy niczym zwiędłe liście: pędziły ich tysiące, tysiące, niby wiatrem gnane płatki śniegu, dalej i dalej, i w dół, znikwały za górami, lasem porośniętymi, w południowo-wschodniej stronie, tam, gdzie od niepamiętnych czasów nigdy jeszcze ani jedna nie zaszła gwiazda, i ginęły gdzieś w bezdennej przestrzeni.

Knecht ze złodowaciałym sercem i migotaniem w oczach stał, zadarłszy głowę, spoglądał przerażonym, choć przecie nienasyconym wzrokiem na tak przekształcone, zaczarowane niebo, oczom własnym nie wierzył, choć jednocześnie aż nadto przekonany o prawdziwości tej straszliwej chwili. Jak wszyscy, którzy stali się świadkami tego nocnego widowiska, pewien był, że widzi oto tak dobrze znane gwiazdy rozchwiane, rozpędzone i w dół spadające; spodziewał się też, że kopuła niebios, jeśli przedtem ziemia jej nie pochłonie, lada chwila ukaże się jego oczom czarna i całkowicie pusta. Po chwili jednak spostrzegł to, czego inni nie byli zdolni zauważyć: że znajome gwiazdy tu, ówdzie i gdzie indziej istnieją nadal, że rozsyпка gwiazdna dokonuje się w ów straszliwy sposób nie pośród dawnych, znanych gwiazd, lecz w przestrzeni pomiędzy niebem i ziemią, i że owe spadające czy też ciskane, nowe, tak szybko się pojawiające i równie szybko znikające światła płoną blaskiem o nieco innej barwie niż gwiazdy dawne, prawdziwe. Pocieszyło go to i pomogło mu odzyskać panowanie nad sobą, lecz niezależnie od tego, że były to nowe, przemijające, inne jakieś gwiazdy, pędem swoim wypełniające powietrze, rzecz cała okropna była i straszliwa, nieład i nieszczęście ze sobą niosąca, to też z zaschniętego gardła Knechta dobyło się głębokie we stchnienie. Popatrzył ku ziemi, nastawił uszu chcąc się przekonać, czy całe to widowisko jest jedynie omamem złych dui chów, czy też widzą je również inni. Wkrótce posłyszał z inij nych chat jęki, wrzaski i okrzyki przerażenia: inni tedy tak-

że to widzieli, krzykiem przekazali dalej, alarmując śpiących i niczego nieświadomych jeszcze i lada chwila całą wieś ogarnąć już miał strach i panika. Z głębokim westchnieniem podjął Knecht swe zadanie. Na niego przede wszystkim spadało to nieszczęście, na niego, zaklinacza deszczu, na niego, który niejako ponosił całą odpowiedzialność za ład w powietrzu i na niebie. Zawsze dotychczas umiał już naprzód wyczuć i przewidzieć wielkie katastrofy: powódź, grad, wielkie burze, za każdym razem przygotowywał i ostrzegał wówczas matki i najstarsze kobiety, umiał zapobiec najgorszemu, wiedzę swoją, odwagę i ufność w potężne moce stawiając jak tamę pomiędzy wioską a rozpaczą. Czemuż tym razem niczego naprzód nie przeczuł i nie zarządził? Czemu ani słówkiem nie wspomniął nikomu o owym mrocznym, ostrzegawczym uczuciu, którego przecież był doznał?

Uniósł matę zakrywającą wejście do chaty i cicho zawołał żonę po imieniu. Podeszła z najmłodszym przy piersi; wziął od niej dziecko, złożył je na podściółce, ujął Adę za rękę, palec położył na wargach, nakazując milczenie, wyprowadził ją z chaty i ujrzał, jak cicha i cierpliwa jej twarz wykrzywiła się nagle lękiem i przerażeniem.

— Dzieci niech śpią, nie powinny tego widzieć, słyszysz? — wyszeptał gwałtownie. — Nie wolno ci żadnego wypuścić z chaty, nawet Turu. A sama także siedź w chacie. — Zawahał się, niepewny, ile powinien powiedzieć, ile jej zdradzić ze swych myśli, po czym dorzucił zdecydowanie: — Tobie ani dzieciom nic się nie stanie.

Zaraz mu uwierzyła, choć ani twarz jej, ani ona sama po doznanym wstrząsie jeszcze się nie uspokoiły.

—■ A co to? — zapytała, znów nie na niego, tylko na niebo patrząc. — Czy to coś bardzo złego?

■— Coś złego — odparł łagodnie. — Wydaje mi się, że chyba nawet bardzo złego. Ale to nie dotyczy ciebie i małych. Zostańcie w chacie i mocno zasuńcie matę. Ja muszę do ludzi, muszę z nimi pogadać. Wracaj, Ada.

Wepchnął ją do wejściowego otworu chaty, starannie matę zasunął, przez chwilę pozostał tam jeszcze, z twarzą zwróconą ku nieustającemu deszczowi gwiazd, potem opuścił gło-

wę, raz jeszcze westchnął z głębi utrudzonego serca i szybko ruszył przez wieś i przez noc, ku chacie pramatki.

Zebrała się tam już połowa wsi, mamrocząc przyciszonymi głosami, w zamroczeniu na poły tylko tłumionego lęku, przerażenia i rozpaczy. Byli też zresztą ludzie, kobiety i mężczyźni, oddający się owym uczuciom strachu i bliskiej zagłady z zapamiętaniem i jakby rozkoszą, stojąc sztywno, niby w zachwyceniu, bądź też zapalczywie wymachując rękami i nogami, jedna z kobiet miała pianę na ustach, samotnie wykonując jakiś pełen rozpaczy, jednocześnie zaś wyuzdany taniec i wrywając sobie przy tym całymi garściami długie włosy. Knecht przekonał się, że wszystko już ruszyło, wszyscy ci ludzie zatracili się już niemal w upojeniu, zakłęci i do szaleństwa doprowadzeni przez spadające gwiazdy, lada chwila dojść mogło do orgii opętania, furii i do obojętnego niszczenia samych siebie, czas więc już był najwyższy, aby zebrać garstkę odważnych a roztropnych i dodać im sił. Prastara pramatka była spokojna; mniemała, że oto nastał koniec wszelkich rzeczy, nie wzbraniała się jednak przed nim, ukazywała losowi twarz nieporuszoną, surową, w szorstkich i licznych zmarszczkach niemal szyderczą. Knecht zdołał ją nakłonić, aby go wysłuchała. Usiłował pokazać jej, że dawne, zawsze istniejące gwiazdy nadal jeszcze są na swych miejscach, lecz ona pojąc tego nie umiała — czy dlatego, że oczy jej nie miały już sił, aby owe gwiazdy dojrzeć, czy też dlatego, iż wyobrażenia jej o gwiazdach i stosunek do nich nazbyt były różne od przekonań zaklinacza deszczu, dość, iż nie mogli się porozumieć. Potrząsała głową, ukazując nadal zęby w szyderczym uśmiechu, lecz gdy Knecht ją zaklinał, by nie pozostawiała ludzi na łup opętania strachem i demonów, zgodziła się natychmiast. Wokół niej i zaklinacza pogody utworzyła się niewielka grupka przestraszonych, lecz nie oszalałych ludzi, którzy byli gotowi pozwolić się prowadzić.

Knecht jeszcze na chwilę przed swym tu przybyciem żywił nadzieję, że zdoła opanować panikę przykładem, rozważą, słowem, wyjaśnieniem i pociechą. Lecz już krótka rozmowa z pramatką wyjaśniła mu, że na to już za późno. Miał

nadzieję, że pozwoli innym uczestniczyć we własnym przeżyciu, że im je podaruje, zdoła je na nich przenieść, miał nadzieję, że dzięki jego słowom zdołają przede wszystkim pojąć, iż to nie same gwiazdy, a przynajmniej nie wszystkie gwiazdy spadają i unoszone są kosmicznym huraganem, i że z bezradnie zdumionych i przerażonych przekształcą się w obserwatorów czynnych i okażą się odporni na wstrząs. Lecz, jak szybko się zorientował, w całej wsi bardzo niewiele tylko ludzi poddało się takiemu wpływowi, zanim zaś zdołałby ich opanować, reszta całkowicie uległaby już szaleństwu. Nie, tu — jak' częstokroć zresztą — rozsądkiem i mądrymi słowami niczego dokonać nie było można. Na szczęście istniały inne jeszcze środki. Jeśli z pomocą rozsądku nie da się uśmierzyć śmiertelnego strachu, można jednak przeciw owym strachem śmiertelnym pokierować, zorganizować go, nadać mu odpowiedni kształt i oblicze, utworzyć z beznadziejnego kłębowiska oszalałych jednolitą jakąś całość, z nieopanowanych, dzikich, pojedynczych głosów stworzyć chór. I Knecht natychmiast zabrał się do dzieła, natychmiast też sposób ów podzielał. Stał przed ludzką gromadą, wykrzyczał dobrze znane słowa modlitwy, którymi zazwyczaj otwierano publiczne uroczystości pokutne, żałobne, pogrzebowe lamenty ku czci jakiejś pramatki lub ofiarne święto pokutnicze w chwilach powszechnego zagrożenia zarazą czy powodzią. Wykrzykiwał owe słowa rytmicznie, wspomagał ów rytm klaskaniem w dłonie i w tym samym rytmie krzyząc i klaszcząc w dłonie, schylał się niemal aż do ziemi, podnosił, i oto już dziesięciu czy dwudziestu innych ludzi jęło naśladować go, sędziwa matka wioski wstała, mamrocząc rytmicznie i niewielkimi ukłonami zaznaczając owe rytualne ruchy. Ktokolwiek jeszcze nadbiegał z innych chat, poddawał się natychmiast duchowi i taktowi ceremonii; kilku całkowicie opętanych albo padło już niebawem na ziemię z braku sił i leżało nieruchomo, albo porwał ich i pokonał chóralny szept i rytm pokłonów. Udało się. Zamiast zrozpaczonej hordy szaleńców stał tu oto lud nabożny, gotów do ofiar i pokuty, każdego zaś z osobna pocieszała i umacniała myśl, iż lęku przed śmiercią i straszliwego przerażenia nie

musi już ukrywać we własnym sercu lub wykrzykiwać samotnie, lecz może je w karnym chórze podporządkować wie, lu, w należyтым rytmie pełnej zaklęć ceremonii. Wiele tajemnych mocy działa podczas takich obrzędów, a największą pociechą, jaką przynoszą, jest jednolitość formy, wzmacnione poczucie wspólnoty, umiar i ład, lekarstwo najbardziej niezawodne, rytm i muzyka.

Podczas gdy całe nocne niebo nadal było jeszcze pokryte legionem spadających komet, niczym bezszelestnie lecącą kaskadą świetlistych kropeł, rozsiewającą przez dalsze chyba dwie godziny ogromne, krwiste i ogniste blaski, przerażenie wioski przekształciło się w poddanie i nabożność, wezwanie i pokutę, a niebiosom wyrwanym ze zwykłego ładu ludzka słabość i lęk wyszły naprzeciw w porządku i harmonii kultu. I zanim jeszcze ów gwiazdny deszcz znużył się i siąpić jął coraz skąpiej, cud już się dokonał, promieniując zbawczą siłą, gdy zaś niebo zdało się powoli uspokajać i zdrowieć, wszyscy śmiertelnie zmęczeni pokutnicy doznali błogosławionego uczucia, że oto te ich obrzędy ułagodziły potężne moce i zdołały przywrócić ład na niebie.

Owa noc przerażenia nie została zapomniana; przez całą jesień i zimę mówiono o niej jeszcze, lecz wkrótce już nie szeptem, pośród zaklęć, jeno tonem powszednim i z satysfakcją, z jaką oglądamy się zawsze na dzielnie przetrwane nieszczęście lub skutecznie zwalczone niebezpieczeństwo. Lubowano się szczegółami, każdy bowiem w inny, swoisty sposób zaskoczony został owym niesłychanym wydarzeniem, każdy głosił, że pierwszy je odkrył, ośmielono się nawet podżartowywać z kilku szczególnie lękliwych i zastraszonych, długo też jeszcze trwało we wsi pewne ożywienie: przeżyli coś przecież wszyscy, dokonały się wielkie rzeczy, coś się wydarzyło!

Knecht nie brał udziału w owym nastroju ani też w stopniowym stygnięciu atmosfery i zapominaniu o wielkim wydarzeniu. Dla niego niesamowite owo przeżycie pozostało niezapomnianym ostrzeżeniem, ukłuciem, które nigdy już odtąd nie miało ustać, a że przeminęło i dało się załagodzić procesją, modlitwą i pokutnymi obrzędami, nie było **dlań**

p to bynajmniej odsunięte ani odwrócone. A nawet, im więcej czasu od owej chwili mijało, uzyskiwała dla niego ona tym większe znaczenie, wypełniał ją bowiem sensem i dzięki niej w pełni dopiero stał się myślicielem i komentatorem. Dla niego już samo to wydarzenie, przedziwne widowisko w przyrodzie, stanowiło wielki i trudny problem o rozlicznych perspektywach: ktoś, kto je oglądał, mógł chyba do końca życia nad nim się zastanawiać. Jeden jedy ny tylko człowiek w całej wiosce obserwowałby ów gwiezd ny deszcz z podobnych wychodząc założeń i podobnym spoj rzeniem jak on sam, a był to własny jego syn i uczeń, Turu, i jedynie potwierdzenie lub poprawki tego świadka miały by dla Knechta jakąkolwiek wartość. Ale synowi pozwolił spać, a im dłużej rozmyślał nad tym, dlaczego właściwie to uczynił, dlaczego przy tak niesłychanym wydarzeniu zrezy gnował z jedyne go obserwatora i świadka, którego trakto wać tu było można poważnie, tym bardziej umacniało się w nim przekonanie, iż postąpił wówczas dobrze i słusznie, a posłuchał jakiegoś mądrego przeczucia. Chciał bowiem uchronić swoich przed tym widokiem, również tego swojego ucznia i towarzysza, jego nawet szczególnie, ponieważ dla niego najwięcej miał serca. Dlatego właśnie zataił i ukrył przed nim owo spadanie gwiazd, po pierwsze bowiem wie rzył w dobre duchy snu, zwłaszcza u młodych, a ponadto, jeśli go pamięć nie myliła, właściwie już w owej chwili, za raz na samym początku pojawienia się niebiańskich znaków, nie tyle myślał o dcraźnym niebezpieczeństwie, zagrażają cym wszystkim, ile o zapowiedzi nieszczęścia, mającego do piero nadciągnąć w przyszłości, i to takiego, które nikogo tak blisko obchodzić i dotyczyć nie będzie, jak wyłącznie je go, zaklinacza pogody. Coś tu nadciągało, jakieś zagrożenie i niebezpieczeństwo z tej właśnie sfery, z którą łączył się jego urząd, a jakąkolwiek postać przybierze to zło, będzie ono przede wszystkim i wyraźnie dotyczyć jego. Czujnie i zdecydowanie stanąć przed obliczem owego niebezpieczeń stwa, przygotować się na nie w głębi duszy, przyjąć je, lecz nie dać mu się zgnębić ani pohańbić — na tym polegało ostrzeżenie, taki też wniosek wyciągnął Knecht z owej wiel-

kiej zapowiedzi. Przyszły los wymagać będzie dojrzałego i odważnego męża i dlatego nie byłoby rzeczą dobrą wciągać w to wszystko także syna, w nim mieć towarzysza cierpienia czy choćby towarzysza wiedzy tylko, mimo bowiem iż tak pochlebnie go osądza, nie wie przecież, czy młody, nie wypróbowany jeszcze człowiek losowi takiemu sprosta.

Syn jego, Turu, natomiast bardzo był niezadowolony, że przegapił i przespał tak wielkie widowisko. Jakkolwiek je tłumaczono, w każdym razie była to rzecz wielka i może w całym jego życiu nic podobnego już się nie powtórzy, umknęło mu tedy wspaniałe przeżycie, istny cud świata, przez dłuższy więc czas boczył się z tego powodu na ojca. No, lecz uraza została wreszcie przewyciężona, ponieważ stary wynagradzał mu stratę wzmożoną a czułą troskliwością, bardziej niż kiedykolwiek dopuszczając go do różnych zadań związanych z jego urzędem i najwyraźniej, w przeczuciu zbliżających się wydarzeń, starał się ze zdwojonym wysiłkiem wychować Turu na możliwie najdoskonalszego, dokładnie wtajemniczonego następcę. I choć rzadko jedynie rozmawiał z nim na temat gwiazdowego deszczu, coraz głębiej wciągał go w swoje tajemnice, praktyki, wiedzę i badania, kazał mu też towarzyszyć sobie na wędrówkach, przy doświadczeniach, podczas podsłuchiwania przyrody — w sprawach, których dotychczas nie dzielił z nikim.

Zima nadeszła i minęła, wilgotna i raczej łagodna zima. Nie spadały już gwiazdy, nie działały się wielkie i niezwykle rzeczy, wieś się uspokoiła, myśliwi pilnie chodzili na łowy, przy palach nad chatami w wietrzne a mroźne dni rozlegał się klekot zawieszonych i na kamień zmarzniętych skór zwierzęcych, suszonych tak całymi pęczkami, a na wygładzonych, długich kłodach ściągano z lasu, po śniegu, całe naręcza drewna. Właśnie w czasie krótkich mrozów zmarła we wsi pewna staruszka, nie można jej było zaraz pochować i przez wiele dni, zanim ziemia znów nieco od tajała, zwłoki jej, zeszywniałe na mrozie, tkwiły, przykucnięte, obok drzwi chaty.

Dopiero wiosna potwierdziła po części niedobre przeczucia zaklinacza pogody. Była to bowiem bardzo niedobra ,

i zdradzona przez księżyc, smutna wiosna, bez pędów i bez soków, księżyc nieustannie się opóźniał, rozmaite znaki potrzebne do ustalenia dnia siewów ani rusz nie chciały się ze sobą zgodzić, w głuszy leśnej skąpo rozkwitły kwiaty, zamknięte pąki martwo zwisały z gałązek. Knecht, choć się z tym nie zdradzał, zatroskany był niezmiernie, jedynie Ada, a zwłaszcza Turu, widzieli, jak go to wszystko gnębi. Nie tylko odprawił zwykle zaklęcia, lecz składał jeszcze ponadto prywatne, osobiste ofiary, gotował dla demonów wonne, do uciech miłosnych pobudzające napary i przeciery, ostrzygł sobie krótko brodę, włosy te zaś spalił nocą, na nowiu, mieszając je z żywicą i wilgotną korą, z czego dym szedł gęsty. Jak długo tylko się dało, unikał publicznych uroczystości, wspólnych ofiar, błagalnych procesji, chórów i bębnow i jak długo tylko się dało, starał się ową przeklętą pogodę traktować jak osobistą troskę. W końcu jednak, gdy zwykły termin siewów znacznie już został przekroczony, musiał zaawiadomić o tym pramatkę; i oto nawet tutaj natrafił na złą chwilę i przeciwności. Starucha pramatka, bardzo z nim zażywna i niemal macierzyńsko usposobiona do niego, w ogóle go nie przyjęła, czuła się bowiem źle, leżała w łóżu, wszystkie zaś obowiązki i sprawy przekazała swej siostrze, a siostra ta nader chłodno traktowała zaklinacza deszczu, nie miała surowej a prostolinijnej natury staruchy, skłonna była raczej do rozrywek i igraszek, a owe skłonności przywiodły ku niej grającego na bębnie kuglarza Maro, który potrafił dbać o jej przyjemności i schlebiać, Maro zaś był wrogiem Knechta. Zaraz też w pierwszej rozmowie wyczuł Knecht chłód i niechęć, mimo iż nie sprzeciwiono mu się nawet jednym słowem. Wywody jego i propozycje, by, mianowicie, poczekać jeszcze trochę z siewem, a także z ewentualnym składaniem ofiar i procesjami, uznano za słuszne i zaakceptowano, stara przyjęła go jednak zimno, jak podwładnego, i tak też potraktowała, a wyrażone przez żęń życzenie ujrzenia chorej pramatki, lub przynajmniej przygotowania dla niej lekarstwa spotkało się z odmową. Zafrasowany i jakby zubożały, z niemiłym posmakiem w ustach, powrócił z owej rozmowy i przez połowę księżycy-

wej fazy usiłował jeszcze na swój sposób stworzyć pogodę umożliwiającą rozpoczęcie siewów. Ale pogoda, choć częstokroć tak zgodna z wewnętrznymi jego prądami, z uporem trwała w szyderstwie i wrogości; nie pomagały ofiary ani czarodziejskie zaklęcia. Nic nie zostało zaklinaczowi pogody oszczędzone, musiał raz jeszcze udać się do siostry pramatki, a tym razem była to już jakby prośba o odroczenie i cierpliwość; spostrzegł też zaraz, że musiała mówić o nim i jego sprawie z wesółkiem Maro, ponieważ podczas rozmowy o konieczności albo ustalenia dnia siewów, albo zarządzenia publicznych ceremonii błagalnych starucha zanadto udawała wszechwiedzącą, posłużyła się przy tym paru wyrażeniami, które znać mogła tylko od Maro, od niedosłego ucznia zaklinacza deszczu. Knecht uprosił jeszcze trzy dni zwłoki, po czym na nowo i już korzystniej zestawił całą konstelację, ustalając siewy na pierwszy dzień trzeciej ćwierci miesiąca. Starucha zgodziła się, wypowiedziała też rytualną formułkę: decyzję tę ogłoszono we wsi i wszyscy jęli się przygotowywać do święta zasiewów. I oto gdy wszystko wydawało się już choć na chwilę uładzone, demony ponownie okazały swą nieprzychylność. Akurat na dzień przed upragnionym i przygotowywanym świętem zasiewów zmarła stara pramatka, święto trzeba więc było przesunąć, a zamiast niego zapowiedzieć i przygotować pogrzeb. Była to świetna uroczystość; za nową matką wioski, jej siostrami i córkami szedł zaklinacz deszczu, w szatach, przeznaczonych na wielkie, błagalne procesje i w wysokiej, spiczastej lisiej czapie, w asyście swego syna, Turu, łomocącego dwudźwiękową kołatką z twardego drewna. Okazano wielką cześć zarówno zmarłej, jak i jej siostrze, nowej pramatce. Maro, na czele bijących w bębny, usilnie wysuwał się naprzód, zdobywając uznanie i poklask. Wioska płakała i świętowała, delektowała się żalobnymi lamentami i uroczystością, łomotem bębnow i składanymi ofiarami; piękny to był dzień dla wszystkich, lecz zasiewy znowu trzeba było odroczyć. Knecht stał pełen godności, opanowany, lecz zasmucony głęboko: wydało mu się, że wraz z pramatką grzebie wszystkie dobre chwile własnego życia.

Wkrótce potem, na życzenie nowej pramatki niezwykle uroczyście odbyły się także zasiewy. Procesja uroczyście obe- szła pola, starucha uroczyście też wysiała pierwsze przygarś- cie ziarna na wspólną ziemię, a po obu jej stronach kroczyły jej siostry, niosąc każda worek z ziarnem, z którego staru- cha czerpała. Knecht nieco odetchnął, gdy owa uroczystość wreszcie się odbyła.

Lecz tak uroczyście wysiane ziarno nie miało dać ani ra- dości, ani plonów, bezlitosny był to rok. Poczynając od na- wrotu zimy i mrozów, pogoda płałała podczas wiosny i lata wszelkie możliwe a złośliwe figle i psoty, latem zaś, gdy wreszcie pola pokryły się nielicznymi kępkami na pół tylko wyrosłych, mizernych kłosów, nadeszła bieda ostatnia i najgorsza: wprost niewiarygodna susza, jakiej najstarsi nawet ludzie nie pamiętali. Tydzień w tydzień wrzało słońce w białawych oparach upału, co mniejsze strumyki wyschły, z wiejskiej sadzawki pozostało jedynie brudne bajoro, istny' raj dla łątek i ogromna wylęgarnia malarię niosących ko- marów, w zeschniętej ziemi ziały głębokie rozpadliny i widać było wyraźnie, jak plony ulegały chorobom i wysychały. Co chwila nadciągały chmury, lecz burze przelatywały skroś su- szy, jeśli zaś nawet spadła czasem kropla deszczu, następo- wały po niej długie dni wysuszającego, wschodniego wiatru, często też piorun walił w wysokie drzewa, których na poły uschłe wierzchołki szybko spalały się w gwałtownie bucha- jących płomieniach.

— Turu — rzekł pewnego dnia Knecht do swego syna — ta sprawa nie skończy się dobrze, demony są przeciw nam. Za- częło się to wszystko od spadania gwiazd. I wydaje mi się, że życiem za to zapłacę. Zapamiętaj: jeśli trzeba będzie zło- żyć mnie w ofierze, ty w tej samej chwili przejmiesz mój urząd, a wówczas przede wszystkim zażadasz, żeby ciało moje spalono i popiół rozsypano po polach. Będziecie mieć wielki głód tej zimy. Ale od owej chwili nieszczęście zosta- nie odwrócone. Powinieneś zatroszczyć się o to, by nikt nie naruszył zasobów wspólnego siewnego ziarna, za taką zbrod- nię musi być kara śmierci. Następny rok będzie już lepszy,

a wówczas powiedzą: dobrze, że mamy tego nowego, młodego zaklinacza pogody.

We wsi panowała rozpacz; Maro podjudzał ludzi, nierzadko więc obrzucano zaklinacza deszczu groźbami i przekleństwami. Ada się rozchorowała i leżała wstrząsana torsjami i napadami gorączki. Procesje, ofiary, długotrwałe, sercami wstrząsające chóry i łomoty bębnów niczego już naprawić nie mogły. Knecht je prowadził, na tym polegał jego urząd, lecz z chwilą gdy ludzie znowu się rozbiegali, pozostawał sam, stał się człowiekiem, którego powszechnie unikano. Wiedział, co było potrzebne, wiedział również, że Maro już zażądał od pramatki, aby zaklinacza pogody złożono w ofierze. W imię własnej godności, a także z myślą o synu, uczynił ostatni krok: przyodział Turu w najbardziej uroczyste szaty, zabrał go ze sobą do pramatki, polecił jej jako swego następcę, sam zaś złożył urząd, proponując siebie na ofiarę. Pramatka przez moment przypatrywała mu się z ciekawością, potem skinęła głową i powiedziała „tak”.

Ceremonii ofiarnej dokonano jeszcze tego samego dnia. Przybyłyby na nią cała wioska, lecz wiele ludzi leżało chorych na czerwonkę, Ada również leżała ciężko chora. Turu w swych szatach i wysokiej, futrzanej czapie omal nie uległ porażeniu słonecznemu. Wszyscy dostojnicy i cieszący się szczególnym szacunkiem — jeśli nie byli chorzy — przybyli wraz z pramatką, obu jej najstarszymi siostrami i kierownikiem chóru oraz doboszów, Maro. Za nimi bezładnie ruszyła gromada ludu. Starego zaklinacza deszczu nikt obelgami nie obrzucał, wszystko odbywało się w ciszy i przygnębieniu. Ruszono do lasu, ku wielkiej, okrągłej polanie, którą sam Knecht przeznaczył na miejsce ofiary. Większość mężczyzn zabrała ze sobą kamienne topory, by wziąć udział w rąbaniu drzew na stos ofiarny. Gdy już dotarli na polanę, wpuścili zaklinacza deszczu na jej środek, tworząc wokół niego niewielki krąg, dalej zaś, na zewnątrz, większym już kołem stał tłum. A ponieważ wszyscy zachowywali niezdecydowane i pełne zmieszania milczenie, zaklinacz deszczu sam zabrał głos:

— Byłem waszym zaklinaczem deszczu — powiedział. —



I przez wiele lat pełniłem swe obowiązki tak dobrze, jak tylko umiałem. Teraz jednak demony są przeciwko mnie i nic już poszczęścić mi się nie chce. Dlatego też zgodziłem się stać się ofiarą. Przebłaga ona demony. Syn mój, Turu, będzie waszym nowym zaklinaczem deszczu. Teraz mnis zabijcie, a gdy będę już martwy, dokładnie stosujcie się do wskazówek mojego syna. Żegnajcie! A kto mnie zabije? Polecić pragnę dobosza Maro, on bowiem odpowiednim jest człekiem do tego celu.

Umilkł, a nikt się nie ruszył. Turu, ciemnopurpurowy pod ciężką futrzaną czapą, rozglądał się, udręczony, po całym kręgu, a usta jego ojca wykrzywił drwiący grymas. Wreszcie pramatka ze złością tupnęła nogą, gestem przyzwała ku sobie Maro, krzyżąc nań:

— Nuże! Bierze topór i zrób to!

Maro, z toporem w garści stanął przed dawnym swoim nauczycielem; nienawidził go bardziej niż kiedykolwiek, a rys szyderstwa wokół tych milczących, starczych ust gorzko go zabolął. Podniósł topór, wymachując nim w górze, celując utrzymał go wysoko, w zawieszeniu, wpatrzył się w twarz ofiary i czekał, aż zamknie oczy. Ale Knecht wcale tego nie uczynił, oczy miał otwarte i spoglądał na człowieka z toporem niemal bez wyrazu, ale jeśli dało się zaobserwować jakiś cień wyrazu na jego twarzy, była to litość, pomieszana z szyderstwem.

Maro z iurią odrzucił topór: — Nie zrobię tego — wymamrotał, przecisnął się przez krąg dostojników i zniknął w tłumie. Kilka osób cicho się roześmiało. Pramatka aż pobłrdła z wściekłości, zarówno z racji tchórzostwa na nic niezdatnego Maro, jak i z racji dumy zaklinacza deszczu. Gestem przywołała jednego z najstarszych mężów, milkli-rzetelnego człeka, który stał wsparty o topór i zda się wstydić całej tej przykłej sceny. On zaś wystąpił, krótko i życzliwie pokłonił się ofierze, znali się obaj bogiem od lat chłopięcych, a wówczas ofiara uległa zamknęła ^oczy; mocno zamknął swe oczy Knecht i odrobinę pochylił głowę. Stary uderzył go toporem, Knecht padł, Turu, nowy ^zaklinacz deszczu nie był w stanie słowa przemówić i jedy-

nie gestem wydał stosowne zarządzenia, niebawem też wzniesiono wielki stos drewna i złożono na nim zwłoki. Uroczysty rytuał krzesania ognia przez pocieranie dwóch poświęconych kawałków drewna był pierwszą, urzędową czynnością Turu

SPOWIEDNIK

BYŁO TO w czasach, gdy święty Hilarion żył jeszcze, choć podeszły już był w leciech, a mieszkał wówczas w mieście Gaza człek pewien, imieniem Josephus Famulus, który do tego zydziestego roku życia albo nawet dłużej wiódł życie światowe i pogańskie studiował księgi, po czym dzięki kobiecie, o której względy zabiegał, zapoznał się z nauką boską i słodyczami cnót chrześcijańskich, poddał obrzędowi chiztu świętego, wyrzekł grzechów i wiele lat przesiedział u stóp prezbiterów swojego miasta, z tak płomienną ciekawością przysłuchując się ulubionym opowieściom o życiu pobożnych pustelników na pustyni, aż wreszcie dnia pewnego, gdy miał około trzydziestu sześciu lat, sam ruszył drogą, na której poprzedzili go święci Paweł i Antoni, a która odtąd niejeden obrał już człek nabożny. Resztki swojego mienia przekazał najstarszemu, aby rozdzielone zostały pomiędzy ubogich w gminie, pożegnał się u bramy z przyjaciółmi i wywędrował z miasta na pustynię, z przepychu świata przeszedł do ubożego życia pokutników.

Przez wiele lat paliło i suszyło go słońce, zdzierał kolana podczas modłów na skałach i piasku, poszcząc wyczekiwał zachodu słońca, aby przegryźć za ledwie kilka daktyli; kiedy dręczyły go diabły podszeptami, szyderstwem i pokusami, zwalczał je z pomocą modlitwy, pokuty i wyrzeczenia, jako to znajdujemy opisane we wszystkich życiorysach świętych ojców. Przez wiele nocy bez snu spoglądał wzwyż, ku gwiazdom, lecz gwiazdy także przyprawiały go o pokusy i zgorznienie, wy czytywał bowiem w ich konstelacjach — z których niegdyś nauczył się poznawać dzieje bogów i symbole na-

tury ludzkiej — naukę ze szczerem potępioną przez prezbiterów, z prześladowaną go długo jeszcze wyobrażeniami i myślami z pogańskich jego czasów.

Wszędzie, gdziekolwiek w okolicach owych pusta, jałowa głusza przerywana była źródłem, kępą zieleni, małą lub wielką oazą, żyli podówczas pustelnicy, niektórzy całkiem samotnie, inni w niewielkich bractwach, tak jak ich na jednym z obrazów na campo santo w Pizie przedstawiono, w ubóstwie i miłości bliźniego się ćwicząc, adepci pełnej tęsknoty *ars moriendi*, kunsztu umierania, obumierania dla świata i własnego ja, a przenoszenia się przez śmierć ku Niemu, Zbawicielowi, w jasność i wieczność. Nawiedzali ich aniołowie i diabli, układali hymny, wypędzali demony, uzdrawiali i błogosławili, a wydawało się, iż wzięli na siebie ciężar zadośćuczynienia za światowe rozkosze, brutalność i zmysłową chciwość wielu minionych już i wielu jeszcze nadchodzących epok potężną falą entuzjazmu i oddania, ekstatycznego a całkowitego wyrzeczenia się świata. Niektórzy z nich znali zapewne stare pogańskie praktyki oczyszczenia, ćwiczenia i metody od stuleci już uprawianego w Azji kultu uduchowienia, lecz nic o tym nie mówiono, metod owych i ćwiczeń jogi też już właściwie nie nauczano, podlegały bowiem zakazowi, którym chrystianizm coraz to bardziej i bardziej ogarniał wszystko, co pogańskie.

W niektórych pokutnikach żar owego życia wykształcił szczególne dary, dar modlitwy, dar uzdrawiania nakładaniem rąk, dar prorokowania, wypędzania diabła, dar sądzenia i karania, pocieszania i błogosławienia. W Josephusie także drzemał pewien dar, który z biegiem lat, gdy włos bieleć mu zaczął, jał stopniowo rozkwitać. Był to dar słuchania. Jeśli jakiś brat z któregoś osiedla lub jakieś przez sumienie własne niepokojone i popędzane dziecię świata trafiało do Józefa, opowiadając mu o swoich czynach, cierpieniach, pokusach, wykroczeniach, o swoim życiu, walce o dobro i o swych porażkach w walce, bądź też o stracie, bólu, żałobie jakiej, Józef umiał go wysłuchać, otworzyć mu

1 oddać serce swoje i ucho, cierpienia jego i troski przyjąć i ukryć w sobie, onego człeka zaś odprawić pozbawionego

już ciężarów i uspokojonego. Powoli, w ciągu długich lat, urząd ów opanował go, uczynił go swym narzędziem, uchem jedynie, darzonym zaufaniem. Cnota jego polegała na pewnego rodzaju cierpliwości, pewnej wchłaniającej bierności i ogromnej dyskrecji. Coraz częściej przychodzili doń ludzie, aby się wygadać, aby pozbyć się nagromadzonych udręk, niektórzy z nich zaś, nawet jeśli długą musieli odbyć drogę, do trzciny jego chaty, po przybyciu i powitaniu nie mogli jednak zdobyć się na swobodę i odwagę wyznania, lecz wiercili się i wstydzili, drożąc się z racji swoich grzechów, wzdychając i milcząc długo, całymi godzinami, on natomiast do każdego jednako się odnosił, czy mówił chętnie, czy z przymusem, płynnie, czy urywanymi jedynie słowami, czy ze złością wyrzucał z siebie swe tajemnice, czy też ważny chciał się wydawać z ich racji. Każdy był dlań jednaki, czy Boga, czy samego siebie oskarżał, czy powiększał, czy przeciwnie, pomniejszał grzechy swe i cierpienia, czy spowiadał się z zabójstwa, czy jedynie z nieczystości, czy żalił na niewierną kochankę, czy na utratę zbawienia własnej duszy. Nie przerażało go, gdy ktoś opowiadał mu o zażyłym z demonami obcowaniu albo też po imieniu z diabłem zdawał się rozmawiać, nie okazywał niecierpliwości, gdy kto długo i wiele opowiadał, najwyraźniej przy tym główną sprawę przemilczając, ani zrywał się, gdy kto o nie istniejące a zmyślane grzechy się oskarżał. Wszystko, co mu w postaci skarg, wyznań, oskarżeń lub obaw sumienia donoszono, zdawało się wsiąkać w jego uszy niczym woda w piasek pustyni, wydawało się, że żadną miarą tego nie ocenia, nie odczuwa też ani litości, ani wzdrywania dla spowiadających się, a mimo to, lub może właśnie dlatego, to, z czego mu się spowiadało, nie wyglądało na wypowiedziane w próżnię, lecz przekształcone w słowa i usłyszane przynosiło ulgę i uwolnienie. Rzadko kiedy udzielał jakiegoś napomnienia lub ostrzeżenia, rzadziej jeszcze rady czy nawet rozkazu; wydawało się, że to nie należy do jego urzędu, a mówiący chyba też wyczuwali, iż do urzędu jego to nie należy. Zadanie jego polegało na budzeniu zaufania, na cierpliwym i życzliwym wysłuchiwaniu, dopomaganiu w ten sposób nie

w pełni jeszcze ukształtowanej spowiedzi w uzyskaniu należytej postaci, na zachęcaniu wszystkiego, co nagromadzone czy skamieniałe w duszach, do wyciekania i spływania, na wchłanianiu tego i otaczaniu owych spraw milczeniem. Jedynie na zakończenie każdej spowiedzi, zarówno straszliwej, jak niewinnej, pełnej skruchy czy pełnej pychy, kazał spowiadającym się klękać obok siebie, odmawiał *Ojcze nasz* i, zanim człeka onego odprawił, w czoło go całował. Nie było jego zadaniem zadawać pokutę lub karę, nie czuł się także upoważniony do wypowiedzania słów właściwej, kapłańskiej absolucji, ponieważ ani sądenie, ani też odpuszczanie win nie jego było sprawą. Wskutek tego, iż słuchał i rozumiał, zdawał się brać na siebie część winy, zdawał się pomagać w dźwiganiu. Wskutek tego, że milczał, wszystko co słyszał, wydawało się zatopione i przeniesione w przeszłość. Wskutek tego, że po spowiedzi modlił się wraz z penitentem, wydawało się, iż uważa go i uznaje za brata i równego sobie. Wskutek tego, że darzył go pocałunkiem, zdawał się błogosławić go raczej po bratersku niż po kapłańsku, raczej czule niż uroczyście.

Sława jego rozeszła się szeroko w całej okolicy Gazy, znano go wszędzie, a niekiedy wymieniano jego imię jednocześnie z imieniem czcigodnego, wielkiego spowiednika i eremity Diona Pugila, którego sława wprawdzie o dziesięć już lat była starsza, urosła zaś na całkiem innych talentach, ojciec Dion bowiem z tego właśnie słynął, że ostrzej i szybciej w duszach jego pieczy się powierzających czytać potrafił niż w wypowiedzianych słowach, tak iż nierzadko zdumiewał pełnego wahań penitenta, gdy natychmiast wyliczał mu nie wyznane jeszcze grzechy. Ow znawca dusz, o którym Józef słyszał setki zdumiewających opowieści, a z którym sam nie śmiałyby nigdy się porównać, był również łaską obdarzonym doradcą dusz zbłąkanych, wielkim sędzią, karzącym i ład zaprowadzającym, nakładał pokuty, umartwienia, nakazywał pielgrzymki, kojarzył małżeństwa, zmuszał wrogów do pojednania, a jego autorytet równy był autorytetowi biskupa. Mieszkał w pobliżu Askalonu, lecz

nawiedzali go penitenci i petenci nawet z Jerozolimy i z jeszcze bardziej oddalonych miejscowości.

Josephus Famulus przeżył, podobnie jak większość eremitów i pokutników, długie lata burzliwych, męczących walk. Choć bowiem porzucił świeckie życie, choć oddał mienie swoje i dom swój i opuścił miasto, pełne przeróżnych ponęt, kuszących do zmysłowych uciech, samego siebie przecież zabrać musiał, istniały w nim zaś wszystkie popędy duszy i ciała, mogące doprowadzić człowieka do upadku. Początkowo zwalczał przede wszystkim ciało, obchodził się z nim twardo i surowo, przyzwyczyił je do zimna i upału, głodu i pragnienia, blizn i odcisków, aż stopniowo zwiędło i wyschło, lecz jeszcze nawet w tej wychudłej, ascetycznej powłoce potrafił go stary Adam haniebnie zaskoczyć i rozgniewać najdziwaczniejszymi chętkami i pożądaniemi, marzeniami i kuglarskimi sztuczkami, a wiemy przecież, że diabeł szczególną troską otacza tych, którzy pokutnikami się stali i od świata stronią. Gdy więc z kolei jęli go niekiedy odwiedzać ludzie poszukujący pociechy i spowiedzi, z wdzięcznością dostrzegł w tym zew łaski, a jednocześnie też pewną ulgę w swym pokutniczym życiu: oto uzyskało ono sens i treść, poza własne jego granice sięgające, poruczone mu zostało pewne zadanie, mógł służyć innym lub służyć Bogu jako jego narzędzie, aby dusze ku Niemu przyciągać. Cudowne to było i doprawdy podniosłe uczucie. Lecz później okazało się, iż dobra duchowe również jeszcze należą do spraw ziemskich, a stać się potrafią pułapką i pokusą Częstokroć bowiem, gdy taki pieszo lub konno wędrujący pokutnik zatrzymywał się przed skalną jego grota, prosząc o łyk wody, a potem o wysłuchanie spowiedzi, ogarniało naszego Józefa uczucie zadowolenia i satysfakcji, upodobania w samym sobie, próżności i miłości własnej, a uczuciem tym, gdy tylko je rozpoznał, do głębi się przeraził. Nierzadko błagał na klęczkach Boga o przebaczenie i prosił Go, aby żaden już penitent do niego, niegodnego, nie przybywał, ani z chat braci pokutników w sąsiedztwie, ani ze świeckich miast i wsi. Lecz mimo to także wówczas, gdy istotnie przez dłuższy czas penitenci się nie pojawiali,

Józef wcale nie czuł się lepiej, a gdy później znowu przybywało ich wielu, przyłapywał się z kolei na nowym grzechu: przydarzało mu się teraz bowiem, że przy słuchaniu takich czy innych wyznań odczuwał chłód, niechęć, nawet pogardę dla penitenta. Z westchnieniem zaczął i z tym również walczyć, a bywały okresy, kiedy po każdej wysłuchanej spowiedzi oddawał się w samotności ćwiczeniom w pokorze i pokucie. Ponadto postanowił sobie niezłomie traktować wszystkich penitentów nie tylko jak braci, lecz także z pewnym szczególnym szacunkiem, a to tym głębszym, im mniej podobać mu się będą ich osoby: witał ich jak wysłańców Boga, wysłanych po to, aby go zbadać. I tak oto po wielu latach, późno już, jako starzejący się człowiek, zdobył pewną równowagę w swym trybie życia, tym zaś, co w jego pobliżu przebywali, wydawał się człkiem bez skazy, który znalazł już spokój w Bogu.

Lecz i spokój jest wszakże czymś żywym, i on, jak wszystko, co żywe, wzrastać i zmniejszać się musi, dostosowywać, przechodzić próby i rozmaite przemiany; tak tedy było również ze spokojem Josephusa Famulusa: nielrwaly był, raz widoczny, raz znowu nie, raz bliski jak świeca trzymana w ręku, raz znowu daleki jak gwiazda na zimowym niebie. Z czasem zaś stał się osobliwym, nowym rodzajem grzechu i pokusy, coraz częściej utrudniającym mu życie. Nie było to bynajmniej mocne, gwałtowne poruszenie, wzburzenie czy bunt popędów, raczej coś zupełnie przeciwnego. Polegało zaś na uczuciu, które początkowo całkiem łatwe było do zniesienia, ledwo nawet wyczuwalne, było sianem pozbawionym właściwie bólu i wyrzeczeń, mdłym, letnim, nudnym stanem duszy, dającym się w istocie określić jeno negatywnie, jako zanik, uwiąd, a w końcu brak rzeczywistości. Podobnie jak istnieją dni, podczas których ani słońce nie świeci, ani deszcz nie leje. jeno niebo w cichości samo się w sobie zapada i zasnuwa, szare, chociaż nie czarne, duszne, choć pozbawione napięcia, jakie panuje przed burzą, takie też stawały się stopniowo dni starzejącego się Józefa; coraz trudniej rozróżnić w nich można było poranki od wieczorów, dni świąteczne od powszednich, chwile unie-

sienią od momentów przygnębienia: wszystko przebiegało . ospale, w paraliżującym zmęczeniu i niechęci. Może to wiek, myślał ze smutkiem Józef. A smutny był, ponieważ po starzeniu się, po stopniowym przygasaniu instynktów i namiętności obiecywał sobie ulgę i rozjaśnienie własnego życia, jeden krok dalej ku wytęsknionej harmonii i dojrzałemu spokojowi duszy, a oto starość zdawała się rozczaiowywać go i oszukiwać, nie przynosiła niczego, prócz owej zmęczonej, szarej, z wszelkiej radości wyzutej pustki, uczucia nieuleczalnego przesytu. Przesycony czuł się bowiem wszystkim: samym istnieniem, oddychaniem, snem nocnym, życiem w swojej grocie na skraju małej oazy, wiekuistym nawrotem wieczorów i poranków, przeciąganiem mimo podróżnych, pielgrzymów, ludzi jadących na wielbłądach i osłach, a zwłaszcza takich, których pojawienie się i odwiedziny jego samego dotyczyły, owych głupich, pełnych lęku, a jednocześnie tak naiwnie ufnych ludzi, odczuwających potrzebę opowiedzenia mu swojego życia, swych obaw i grzechów, pokus i samooskarżeń. Niekiedy wydawało mu się, że podobnie jak w oazie małe źródółko wody zbierało się w kamiennym basenie, płynąc później przez trawę i tworząc niewielki strumyk, który wypływał z kolei na pustynne piaski, a tam, krótką przebiegłszy drogę, wysychał i zamierał, tak też wszystkie owe spowiedzi, owe rejestry grzechów, życiorysy, wyrzuty sumienia, wielkie i małe, poważne i błahe, płynęły nieustannie do jego ucha, tuzinami, setkami, ciągle, ciągle na nowo. Ale ucho nie było martwe jako piasek pustynny, ucho było żywe i nie potrafiło wieku-łście pić i łykać, i wsysać, czuło się znużone, nadużyte, przepełnione, tęskniło już do chwili, kiedy ów plusk i potok słów, wyznań, trosk, oskarżeń, samooskarżeń wreszcie usta ■ nie, kiedy wreszcie nastąpi spokój, cisza i śmierć zaraiast tego nieustannego potoku słów⁷. Tak, pragnął już kresu, był zmęczony, miał dość i więcej niż dość, życie jego :ało się czcze i pozbawione wartości, a doszło nawet do tego. iż niekiedy doznawał pokusy, by istnieniu swemu kres położyć, ukarać się i zagasić tak, jak uczynił to był zdrajca Judasz, kiedy się powiesił. A diabeł, który we wcześniejszych sta-

diach pokutniczego żywota usiłował przeszuglować do je-
go duszy pragnienia, marzenia i wyobrażenia rozkoszy zmy-
słów i uciech światowych, teraz tak nękał go obrazami sa-
mounicestwienia, iż badać musiał gałąź każdego drzewa,
! czy zdalna, by się na niej powiesić, każdą stromą skałą
w okolicy, czy dość wysoka i stroma, by śmierci zaznać, gdy
się z niej runie. Oparł się owej pokusie, walczył, nie ustę-
pował, lecz dniem i nocą żył w ogniu odrazy do samego
siebie i pragnienia śmierci, życie zaś jego stało się nieznośne
i nienawiści godne.

Do tego więc już doszło z Józefem. A gdy pewnego dnia
znowu stał na jednej ze skalnych wyżyn, ujrzał w oddali.
pomiedzy niebem i ziemią, dwie czy trzy drobne postaci.
Najwidoczniej podróżni, może pielgrzymi, a może ludzie,
którzy szukają go, by się przed nim wypowiedzieć — i nagle
ogarnęło go nieodparte pragnienie, by czym prędzej, jak
najszybciej ujść stąd, z tego miejsca, z tego życia. Pragnie-
) nie to ogarnęło go żywiołowo i z taką siłą, że odsunęło i od-

l rzuciło wszelkie myśli, obawy, zastrzeżenia, bo, oczywiście,
ich także nie brakło: jakże by pobożny pokutnik *mógł* ulec
popędowi, nie odczuwając drgań sumienia? Lecz oto już
biegł, już powrócił do swojej grotki, miejsca, w którym, tyle
walk staczał przez tak wiele lat, naczynia, w którym złożył
lak wiele porażek swoich i uniesień. Z nieprzytomnym po-
śpiechem zgarnął kilka garści daktyli, chwycił tykwę z wo-
ł- dą, wepchnął je do starego, podróżnego worka, zawiesił g"
J' na ramieniu, wziął laskę i opuścił zielone zacisze swej ma-
łej ojczyzny, jak zbieg, spokoju nie znający, uciekając przed
] Bogiem i ludźmi, a przede wszystkim przed tym, co niegdyś
t uważał za rzecz najlepszą, za urząd swój i misję swoją. Po-
' , czątkowo pędził, jak ścigany, jakby istotnie owe w oddali
i jawiące się postaci, które dojrzał ze skały, były prześladowa-
z- cymi go wrogami. Lecz już w pierwszej godzinie wędrówki
> lękliwy pośpiech opuścił go, ruch zmoczył mu, a podczas
l pierwszego odpoczynku, podczas którego mu pozwolił sobie
| jednak na zjedzenie czegokolwiek — uświęcony stał się bo-
r- wiem już dlań nawyk nieprzyjmowania pokarmów przed za-
r chodem słońca — rozum jego, wyćwiczony w samotnych roz-

myślaniach, jął znowu trzeźwieć i badawczo rozpatrywać instynktowne postępowanie. Nie potępił zaś owego postępowania, jeśli rozumne się wydawało, lecz raczej z upodobaniem mu się przypatrywał, po raz pierwszy bowiem od dłuższego już czasu uznał czyny własne za nieszkodliwe i niewinne. Ucieczka to była, podjął ją wprawdzie nagle, bez zastanowienia, ale również bez hańby. Opuścił oto posterunek, do którego już nie dorastał, ucieczką tą sam przed sobą, a także przed tym, kto mógł być jej świadkiem, przyznał się do porażki, zrezygnował z podejmowanej codziennie na nowo, bezużytecznej walki, uznał się za pobitego i pokonanego. Nie było to bynajmniej, stwierdził, ani wspaniałe, ani heroiczne czy święte, lecz było szczere, a chyba też nieuniknione; dżawił się teraz, że dopiero tak późno zdecydował się na tę ucieczkę, że wytrzymał tak długo, tak bardzo długo. I walkę i upór, z jakim utrzymywał się na straconym posterunku, odczuwał obecnie jako pomyłkę, a raczej może jako walkę i skurcze swej pychy, swego starego Adama, a wydawało mu się teraz, iż pojmuje, dlaczego ów upór doprowadził do tak fatalnych, iście diabelskich skutków, do takiego rozdarcia i otępienia, a nawet demonicznego opętania pragnieniem śmierci i samounicestwienia. Chrześcijanin nie powinien być wrogiem śmierci, to prawda, a pokutnik i święty całe swoje życie winien traktować jak ofiarę, lecz myśl o dobrowolnej śmierci była na wskroś diabelska, powstać zaś mogła jedynie w duszy, której mistrzem i stróżem nie był już anioł boży, lecz złe demony. Przez chwilę siedział Józef całkowicie zagubiony i zmieszany, wreszcie głęboko skruszony i wstrząśnięty, gdy oto z perspektywy, jaką dało mu kilka zaledwie mil wędrówki, ukazało się w jego świadomości całe jego niedawne życie, owo pełne rozpacz, zziębłe życie starzejącego się mężczyzny, co ominął cel swój, a nieustannie dręczył się ohydną pokusą, by powiesić się na gałęzi jakiegoś drzewa jak zdrajca Zbawiciela. I choć tak przeraźliwie lękał się samobójczej śmierci, w przerażeniu tym kołatała jednocześnie resztką prądawnej, przedchrześcijańskiej, pogańskiej wiedzy o prastarym obyczaju ofiar z ludzi, na które wyznaczany był król, święty, wybraniec

całego szczepu, a której to ofiary dokonywać musiał niezadko własnoręcznie. Lecz nie tylko fakt, że potępiany ów obyczaj przeniósł się z dawnych, pogańskich czasów, czynił go tak przerażającym, ale może bardziej jeszcze myśl, że w końcu śmierć, jaką Zbawiciel poniósł na krzyżu, także nie czym innym była, jeno dobrowolnie złożoną ofiarą z człowieka. I doprawdy, zastanowiwszy się należycie, doszedł Józef do przekonania, że cień owej świadomości istniał już w odruchach jego samobójczej *ządzy*, zły jakiś, zajadły, dziki pęd do złożenia w ofierze siebie samego, a w len niedozwolony w istocie sposób, do naśladowania Zbawiciela lub choćby, w równie niedozwolony sposób, do zaznaczenia, iż Tamtemu dzieło odkupienia nie ze wszystkim się udało. Głęboko przeraził się owej myśli, poczuł jednak również, iż obecnie uniknął już niebezpieczeństwa.

Długo rozważał naturę owego Józefa pokutnika, którym się oto stał i który teraz, zamiast pójść śladem Judasza — lub może Ukrzyżowanego — rzucił się do ucieczki, a tym samym ponownie oddał w ręce Boga. Wstyd i smutek ogarniały go coraz silniej, tym silniej, im wyraźniej pojmować zaczynał piekło, z którego się wydobył, aż w końcu żalność dławic go jęła niczym kość w gardzieli, ucisk ów wzrósł nieznośnie i nagle znalazł ujście i kres w wybuchu płaczu, przynoszącym cudowną ulgę. O, jakże dawno już nie płakał! Lzy spływały, oczy jego niczego już nie mogły rozeznąć, lecz śmiertelne dławienie ustało, a gdy przyszedł do siebie i poczuł słony smak na wargach i pojął, że płacze, przez chwilę miał wrażenie, jakby znowu stał się dzieckiem, zła nieświadomym. Uśmiechnął się. nieco też zawstydził płaczu, wstał wreszcie i ruszył w dalszą drogę. Czuł się niepewnie, nie wiedział, dokąd doprowadzi go ucieczka i co z nim będzie, wydawał się sobie zaiste dzieckiem, lecz walki ani woli żadnej już w nim nie było, poczuł się lżejszy i jakby prowadzony, jakby wzywany i wabiony przez jakiś daleki, dobry głos, tak jolcby podróż jego nie była ucieczką, lecz powrotem do domu. Zmęczył się, zmęczony był też jego umysł, który milczał, odpoczywał lub może uznał się w tej chwili za zbędny.

Przy wodopoju, gdzie Józef przenocował, odpoczywało kilka wielbłądów; a ponieważ do małej gromadki podróżnych należały także dwie kobiety, Józef zadowolił się gestem pozdrowienia, unikając rozmowy. Natomiast, gdy po nastaniu ciemności zjadł parę daktyli, pomodlił się i do snu ułożył, zdołał posłyszeć cichą rozmowę dwóch mężczyzn, staro i młodego, leżących tuż obok niego. Zdołał zaledwie pojąć niewielki fragment tego, co mówili, reszta bowiem odbywała się już szeptem. Ale nawet ów niewielki fragment obudził jego uwagę i zainteresowanie, dając mu przez połowę nocy do myślenia.

— Całkiem słusznie — usłyszał głos starca — całkiem słusznie, że wybierasz się do nabożnego człeka i chcesz się wypowiadać. Ci ludzie, powiadam ci, rozumieją wszystko, a potrafią więcej, niż jeno chleb zajadać, niejeden z nich zna się i na czarach. Gdy ledwo słówkiem lwa atakującego zawoła, rabuś ów skuli się, ogon weźmie pod siebie i cichcem umknie. Lwy obłaskawiać umieją, powiadam ci; a jednemu z nich, człekowi szczególnie świętemu, takie obłaskawione lwy, gdy umarł, grób nawet wykopały, a ziemię nad nim potem pięknie znów zgarnęły i przez długi czas dwa takie lwy dniem i nocą u grobu jego trzymały straż. Ale nie tylko lwy obłaskawiać potrafią. Jeden z nich wziął kiedyś w obroty pewnego rzymskiego centuriona, najbardziej brutalnego żołdaka i największego kurwodruhn w całym Askalonie, i tak jego zatwardziałym sercem potrząsał, że drab ów odszedł pokorny i zastrachany jak mysz, nory jakowejsz szukając, by móc się w niej ukryć. Ledwo potem lotra onego rozpoznać było można, taki się stał cichy i mały. Choć. prawdę mówiąc rozmaite myśli to nasuwa, bo człek ów wkrótce potem pomarł.

— Ów święty?

— O, nie — ów centurion. Varro mu było. Od chwili gdy pokutnik tak go zmaltretował i obudził w nim sumienie, jął jakoś szybko zapadać na zdrowiu, dwakroć ogarnęła go gorączka, a po trzech miesiącach już go nie było wśród żywych. No, nie szkoda go. Ale, mimo wszystko, często myślałem, że ten pokutnik chyba nie tylko diabła z nie-

go wypędził, lecz pewnie i jakieś zaklęcie wymówił nad nim, co go do grobu wpędziło.

— Taki nabożny człek? Wierzyć się nie chce.

— Wierz sobie, albo nie wierz, mój drogi. Aliści od tego dnia człek ów był jakby odmieniony, żeby nie rzec, zaczarowany, a w trzy miesiące później...

Przez moment panowała cisza, a potem młodszy znów zaczął:

— Jest taki pokutnik, musi mieszkać gdzieś tu, w pobliżu, ponoć w samotności przy małym źródelku, obok drogi do Gazy, a zwie się Josephus, Josephus Famulus. Wiele o nim słyszałem.

— Tak? A co mianowicie?

— Pobożny ponoć jest okrutnie, zwłaszcza zaś na niewiastrę żadną nigdy nie spojrzy. Gdy kiedykolwiek przez odległą jego okolicę przejeżdża kilka wielbłądów, a na jednym z nich przykucnięta jest niewiasta, choćby i najgrubszymi omotana zasłonami, plecami się odwraca i co prędzej znika w skalnej rozpadlinie. Wielu do niego na spowiedź chodziło, bardzo wielu.

— Nic to chyba nadzwyczajnego, inaczej byłbym także już o nim słyszał. A cóż on takiego potrafi, ten twój Famulus?

— Och, po prostu chodzą się do niego spowiadać, a gdyby nie był dobry i na niczym się nie znał, ludzie by przecież tak tam nie biegali. Powiadają zresztą o nim, że słowa niemal nic mówi ani też połajaneek, kar czy krzyku, nic takiego u niego nie ma, jest bowiem, jak mówią, łagodnym, nawet nieśmiałym człowiekiem.

— No, więc cóż tedy robi, skoro nie łaje, nie karze ani gęby nie otwiera?

— Słucha ponoć tylko i cudownie wzdycha i znak krzyża czyni.

— Ech, bzdury, pięknego znaleźliście sobie pokątnego świątka! Chyba nie będziesz tak głupi i nie polecisz do tego milkiwego dziadka.

— Ależ tak, tego właśnie chcę. Znajdę go jakoś, bo do prawdy musi być już niedaleko stąd. Stał tu dziś wieczór

koło wodopoju taki ubogi braciszek, jego jutro zapytam, bo sam na pokutnika wyglądał.

Stary się zacietrzewił: — Zostawże ty tego swojego pokutnika przy źródelku i w grocie! To mi człek, co tylko słucha i wzdycha, i bab się boi, i nic nie umie ani potrafi! Nie, ja ci powiem, do kogo masz iść. Daleko wprawdzie stąd, jeszcze za Askalonem, ale najlepszy to pokutnik i spowiednik, jaki w ogóle istnieje. Dion się zowie, a mówią nań Dion Pugil, czyli pięściarz, ponieważ bije się ze wszystkimi diabłami, a gdy mu kto niecne swoje uczynki wyzna, wtedy, mój miły, ów Pugil wcale nie wzdycha ani gęby nie zamyka, jeno bierze się do roboty i obtańcuje grzesznika aż miło. Poniekórych sprzał nawet pono, jednemu kazał całutką noc gołymi kolanami klęczeć na kamieniach, a dopiero potem nałożył mu jeszcze pokutę: czterdzieści groszy musiał dać ubogim. To mi człek, braciszku, zobaczysz, a zdumiejesz się, bo gdy tak naprawdę na ciebie spojrzę, kolana zaraz się pod tobą zatrząsą, przejrzy cię na wskroś. O żadnych wzdychaniach tam nie ma mowy, człek to nie byle jaki, a jeśli kto zasnąć już nie potrafi albo nękają go złe sny, zjawy i takie różne zmory, Pugil doprowadza go wnet do ładu, powiadam ci. A nie dlatego o tym mówię, iżbym słuchał babskich plotek. Mówię, bom u niego był. Tak jest, ja sam, choć taki ze mnie mizerak, odwiedziłem pewnego razu pokutnika Diona, pięściarza, męża bożego. A poszedłem tam nieszcześliwy, sumienie mając obciążone hańbą i brudem, odszedłem zaś rozjaśniony i czysty jako gwiazda zaranna, jakem Dawid. Zapamiętaj więc: Dion się zowie, a przydomek ma Pugil. Do niego pójdziesz, gdy tylko zdołasz, a niemały wstrząs przeżyjesz. Prefekci, najstarsi ludzie, nawet biskupi szukali rady u niego.

— Dobrze ■— ozwał się tamten •— gdy znowu znajdę się w owej okolicy, zastanowię się nad tym. Ale dziś to dziś. tutaj to tutaj, a skoro dziś jestem tutaj, a gdzieś w pobliżu musi być ów Josephus, o którym słyszałem tak wiele do brego...

— Wiele dobrego! Cóżes się tak w onym Famulusie rozmawiał?

— Spodobało mi się, że nie łaje i nie straszy. Muszę rzec, iż to mi się podoba. Nie jestem ci ja centurionem ani bilsliupem; pospolity ze mnie człek i raczej nieśmiały, nie zniósłbym tak wiele ognia i siarki; Bóg świadkiem, że wołę, iżby raczej łagodnie obchodzono się ze mną, taki już jestem.

— Niejeden by tego chciał. Łagodnie! Skoro się wyświadasz i odpokutujesz, i karę przyjmiesz, i już się oczyścisz, to owszem, nawet może warto będzie łagodnie cię po traktować, ale nie wtedy, gdyś nieczysty i gdy śmierdzący jako szakal stajesz przed spowiednikiem i sędzią swoim!

— No, tak, tak, tak. Ale nie powinniśmy tak głośno gadać, ludzie przecie chcą spać.

Nagie zachichotał, ubawiony: — A zresztą coś zabawnego także mi o nim opowiadano.

— O kim?

— O nim, o tym pokutniku Josephusie. Więc ma on taki zyczaj, że kiedy mu kto wszystkie sprawy swe opowie i wyświada się, to go zegna i błogosławi na pożegnanie i całuje w policzek albo w czoło.

— Tak robi? Zaiste osobliwe ma obyczaje.

— No, a wiesz przecie, że jest taki nieśmiały względem kobiet. Tedy ponoć pewnego razu jedna kurwa z tej okolicy poszła do niego w męskich szatach, a on nic nie spostrzegł i wysłuchał wszystkich jej łgarstw, a kiedy spowiedź skończyła, pokłonił się jej i uroczyście pocałunkiem obdarzył.

Stary już zamierzał wybuchnąć donośnym śmiechem, lecz tamten co prędzej uciszył go „pst! pst!” i oto Józef nic już nie usłyszał więcej, prócz przez chwilę jeszcze nieco tłumionego śmiechu.

Spojrzał na niebo, ostry i cienki widniał sierp księżycy za koronami palm, Józef wzdrygnął się z nocnego chłodu. Osobliwie, niczym w krzywym zwierciadle, a przecie jakże interesująco ukazała mu ta nocna rozmowa dwóch poganiaczy wielbłądów własną osobę i rolę, której się sprzeniewierzył. A więc ladacznicą jakaś na taki żart sobie z nim pozwoliła. No, cóż, nie było to najgorsze, choć także przykre.

Długo medytował nad rozmową obu tych obcych ludzi. A gdy wreszcie, bardzo już późno, zdołał zasnąć, możliwe to było dlatego tylko, że rozmyślenia jego nie były daremne. Doszedł w nich do pewnego rezultatu, do pewnej decyzji i z nową tą decyzją w sercu spał głęboko, bez przeszkód, aż do świtu.

Decyzja jego zaś była ta właśnie, której młodszy z poganiaczy wielbłądów podjąć nie chciał. Polegała na tym, aby posłuchać rady starszego rozmówcy i dotrzeć do Diona, Pugilem zwanego, o którym wiedział już od dawna i którego chwałę dzisiaj tak wymownie mu śpiewano. Ów sławny spowiednik, sędzia dusz ludzkich i doradca, znajdzie i dla niego radę, wyrok, karę i drogę; przed nim chciał stanąć jako przed zastępcą Boga i chętnie przyjąć to, co mu zaleci.

Następnego dnia opuścił już miejsce odpoczynku, gdy obaj nocni rozmówcy jeszcze spali, a utrudzony wędrówką dotarł tegoż dnia do miejsca, gdzie mieszkali pobożni bracia i skąd zamierzał najczęściej uczęszczanym szlakiem powędrować w okolice Askalonu.

Gdy dochodził, pod wieczór, ujrzał miłą, niewielką, zieloną oazę, drzewa wokół niej, posłyszał beczenie kozy, wydawało mu się, że w zielonym cieniu dostrzega zarysy dachów i czuje bliskość ludzi, a gdy ociągliwie podszedł bliżej, poczuł na sobie jakby czyjeś spojrzenie. Zatrzymał się i rozejrzał dookoła, a wówczas pod pierwszymi drzewami ujrzał wspartą o pień postać prosto siedzącego starca, o stalowoszarej brodzie i pełnej godności, choć surowej, nieruchomej twarzy; patrzył on nań i może od dobrej już chwili mu się przyglądał. Spojrzenie starca było zdecydowane, ostre, choć bez wyrazu, jak spojrzenie człowieka, który przywykł do obserwacji, me jest jednak ani ciekawy, ani zainteresowany, pozwala ludziom i przedmiotom zbliżać się ku sobie, usiłuje je rozeznąć, lecz ani ich ku sobie nie przyciąga, ani zaprasza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł Józef. A starzec szeptem mu odpowiedział.

— Za pozwoleniem — rzekł Józef — obcym tu jesteście jak i ja, czy też może mieszkacie w tym pięknym osiedlu?

— Obcym jestem — odparł siwobrody.

— Czcigodny, a zechcecie mi powiedzieć, czy można stąd dotrzeć na drogę do Askalonu?

— Można —• odparł stary. Po czym powoli, jako że był już nieco zeszywniały, podniósł się: był to wychudły olbrzym. Stał i patrzył w rozległą pustkę przed sobą. Józef poczuł, iż sędziwy ów olbrzym niewielką ma ochotę do rozmowy, lecz jedno jeszcze pytanie ośmielił się zadać.

— Zezwólcie mi na jedno tylko jeszcze pytanie, Czcigodny — rzekł uprzejmie, widząc, iż oczy starca powróciły znowu z dalekiej przestrzeni. Patrzył nań chłodno i uważnie.

— Wiecie może, gdzie odnaleźć można ojca Diona, zwanego Dionem Pugilem?

Starzec zmarszczył nieco brwi, a spojrzenie jego stało się jeszcze chłodniejsze.

■— Wiem — rzekł krótko.

— Wiecie? — zawołał Józef. — Och, tedy powiedzcie mi, gdyż tam właśnie, do ojca Diona, wiedzie moja podróż.

Potężny starzec przypatrzył mu się badawczo. Długo czekał na odpowiedź. Potem powrócił do swego *dczewc*, znowu powoli opuścił się na ziemię, usiadł, wsparty o pień, tak jak siedział uprzednio. Nieznacznym ruchem ręki kazał Józefowi usiąść także. Józef zaś posłusznie poszedł za tym gestem, siedząc poczuł przez chwilę wielkie zmęczenie we wszystkich członkach, zapomniał jednak o nim niebawem, całą uwagę skupiając na starcu. Ów zaś wydawał się zatopiony w medytacji, rys jakiejś odtrącającej surowości pojawił się na czcigodnym jego obliczu, za nim przecie pojawił się wyraz inny, jakby na twarz nałożono mu przejrystą maskę, wyraz starości i samotnego cierpienia, któremu dumna i godność ujawnić się nie pozwalają.

Długo trwało, zanim spojrzenie Czcigodnego znowu ku niemu się zwróciło. Z wielką przenikliwością badało go teraz znowu to spojrzenie, a nagle starzec zapytał rozkazującym tonem:

■— Kim jesteście, człeczce?

— Pokutnikiem jestem — odparł Józef — i od wielu lat wiodłem żywot od świata oderwany.

- _ To widać. Pytam, kim jesteście?
- _ Józef się nazywam, o przydomku Famulus.
- Gdy Józef powiedział swoje imię, starzec nadal zresztą nieruchomy, tak mocno ściągnął brwi, że przez chwilę nie było niemal widać jego oczu, zdawał się zaskoczony, przerażony, czy może rozczarowany informacją Józefa; a może był to jedynie znak zmęczenia oczu, spadek uwagi, drobny jakiś atak słabości, jakiego nieraz doznają ludzie starzy. W każdym razie trwał w całkowitym bezruchu, oczy miał przez chwilę przymrużone, a gdy znów je otworzył, spojrzenie jego wydawało się już odmienione lub, jeśli to możliwe, bardziej jeszcze postarzałe, samotne, skamieniałe i wyczekujące. Powoli rozwarł wargi, aby zadać pytanie:
 - Słyszałem o was. Wy jesteście tym, do którego ludzie chodzą się spowiadać?
 - Józef, zmieszany, potwierdził, odczuwając to rozpoznanie jak przykre obnażenie i oto po raz drugi już zawstydzony spotkaniem ze swoją sławą.
 - Stary znowu zapytał po swojemu obcesowo:
 - I teraz chcecie znaleźć Diona Pugila? A czego chcecie odeń?
 - Wypowiadać się przed nim chcę.
 - Cóż sobie po tym obiecujecie?
 - Nie wiem. Mam do niego zaufanie, a wydaje mi się nawet, jakby głos jakiś z góry, przewodnik jakiś słał mnie do niego.
 - A gdy wypowiadacie się przed nim, co uczynicie?
 - Uczynię, co mi rozkaże.
 - A jeśli poradzi lub rozkaże wam coś opaczego?
 - Nie będę dochodził, czy to opaczne, czy nie, będę posłuszny.
 - Starzec nie odezwał się już ani słowem. Słońce zeszło nisko, jakiś ptak zakrzyczał na drzewie wśród liści. Ponieważ stary nadal trwał w milczeniu, Józef się podniósł. Nieśmiało raz jeszcze powtórzył swoją prośbę.
 - Rzekliście, iż wiecie, gdzie znaleźć można ojca Diona. Czy wolno prosić, abyście zechcieli mi to wyjawić i drogę opisać?

Starzec ściągnął wargi jakby w nikłym uśmiechu:

— Czy mniemacie — zapytał łagodnie — że pożądanym będziecie gościem?

Dziwnie przestraszony tym pytaniem Józef milczał. Stał, pełen zmieszania. Potem powiedział:

— A czy mogę przynajmniej mieć nadzieję spotkania was raz jeszcze?

Starzec uczynił gest pozdrowienia i odparł:

— Będę tu spał i zostanę jeszcze chwilę po wschodzie słońca. Idźcie teraz, zmęczeni jesteście i głodni.

Z pełnym szacunku ukłonem ruszył Józef dalej i z nastaniem zmierzchu dotarł do małej osady. Mieszkali tu, podobnie jak w klasztorze, tak zwani odwrócenie od świata, chrześcijanie z różnych miast i miejscowości, którzy tutaj, na ustroniu, mieszkanie sobie znaleźli, aby bez przeszkód oddawać się prostemu, czystemu życiu w ciszy i kontemplacji. Dano mu wody, pożywienia i posłanie na noc, oszczędzając, na widok jego wielkiego zmęczenia, pytań i rozmów. Ktoś odmówił modlitwę przed nocą, w której pozostali uczestniczyli klęcząc, amen zaś wszyscy wyrzekli wspólnie. Owa wspólnota ludzi nabożnych byłaby dla Józefa w innej porze wielkim przeżyciem i radością, lecz teraz o jednym tylko myślał, a o świcie popędził na powrót do miejsca, gdzie wczoraj pozostawił sędziwego starca. Znalazł go leżącego na ziemi i śpiącego, zawiniętego w cieką matę, siadł tedy na uboczu pod drzewami, by doczekać chwili jego przebudzenia. Niebawem już śpiący poruszył się, zbudził, rozwinął z maty, podniósł ociężale, rozprostował zeszywniałe członki, potem zaś ukląkł na ziemi i odmówił modlitwę. Gdy znowu wstał, Józef zbliżył się i pokłonił przed nim w milczeniu.

— Jadłeś już? — zapytał nieznajomy.

— Nie. Mam zwyczaj jadać tylko raz dziennie i dopiero po zachodzie słońca. A wy głodni jesteście, czcigodny?

■ — Na wędrownie jesteśmy — odparł tamten a obaj nie należymy już do ludzi młodych. Lepiej, abyśmy przegryźli cośkolwiek, zanim ruszymy w dalszą drogę.

Józef otworzył worek i poczęstował starca daktylami; od

życzliwych ludzi, u których nocował, otrzymał także kawał chleba z prosa, który ze starcem podzielił.

— Możemy iść — rzekł stary, gdy zjedli.

— Och, więc pójdziemy razem? — zawołał Józef, uradowany.

— Pewnie. Prosiłeś mnie przecie, bym cię zaprowadził do Diona. Chodź więc.

Józef spojrział nań zdumiony i uszczęśliwiony:

— Jakże dobrzy jesteście — zawołał i chciał już wybuchnąć podziękowaniami, lecz nieznajomy szorstkim gestem zmusił go do milczenia.

— Dobry jest jeno Bóg — powiedział. — Idźmy teraz. A mów do mnie ty, jako i ja do ciebie mówię. Na cóż te formy i grzeczności pomiędzy dwoma starymi pokutnikami?

Potężny starzec ruszył przed siebie, Józef przyłączył się do niego, dzień już się zaczął. Przewodnik pewien był kierunku i drogi, zapowiedział też, że około południa dotrą do zacienionego miejsca, gdzie będą mogli odpocząć w czasie paru godzin największego słonecznego żaru. Dalej już w drodze nic do siebie nie mówili.

Dopiero gdy w godzinach upału doszli na miejsce odpoczynku i legli w cieniu rozłupanych skał, zwrócił się Józef znowu do przewodnika. Zapytał, ilu dni marszu potrzebować będą, aby dotrzeć do Diona Pugila.

— To tylko od ciebie zależy — odparł starzec.

— Ode mnie? — wykrzyknął Józef. — Ach, gdybyż to jeno ode mnie zależało, dziś już stanąłbym przed nim.

Starzec i teraz nie wydawał się skłonny do rozmów.

— Zobaczmy — mruknął krótko, położył się na boku i zamknął oczy. Józefowi nieprzyjemnie było obserwować go podczas drzemki, cichutko więc wycofał się nieco dalej, położył i nieoczekiwanie zasnął również, ponieważ nocą tak długo leżał bez snu. Przewodnik zbudził go, gdy pora wydała mu się odpowiednia do wymarszu.

Późnym popołudniem doszli do placu-obozowiska, z wodą, drzewami i trawą, napili się tam, umyli, starzec zaś po-

stanowił, że tu zostaną. Józef nie zgadzał się z tą decyzją i usiłował nieśmiało protestować.

— Rzekłeś dziś — powiedział — że tylko ode mnie zależy, wcześniej, czy późno dotrę do ojca Diona. Gotów jestem iść jeszcze przez wiele godzin, jeśli istotnie zdołam dojść do niego dzisiaj lub jutro.

— O, nie — odparł tamten — na dziś dość już daleko doszliśmy.

— Wybacz — powiedział Józef — ale czyż nie potrafisz pojąć mej niecierpliwości?

— Pojmuję. Lecz nie zda ci się ona na nic.

— Czemu tedy mówiłeś, że ode mnie to zależy?

— Jest tak, jak mówiłem. Z chwilą, gdy pewien będziesz swej woli wypowiedzania się i będziesz wiedział, żeś gotów już i dojrzały do spowiedzi, spowiedź ową odprawisz.

— Nawet dziś jeszcze?

— Nawet dziś jeszcze.

Zdumiony Józef spojrział na cichą twarz starca.

— Czyż być może? — zawołał olśniony. — Więc to ty jesteś ojcem Dionem?

Starzec skinął głową.

■— Odpocznij sobie tu, pod drzewami — rzekł życzliwie — ale nie śpij, jeno skup się, a ja także odpocznę i skupię się. A potem możesz mi powiedzieć to, co tak gorąco powiedzieć pragniesz.

Tak oto ujrzał się Józef nagle u celu i teraz pojąc niemal nie potrafił, że już wcześniej nie poznał i nie zrozumiał czcigodnego starca, obok którego siedł przecież przez całą lutki dzień. Oddalił się, ukląkł, zaczął się modlić, a potem wszystkie swoje myśli skierował na to, co miał zamiar powiedzieć spowiednikowi. Po godzinie powrócił i zapytał, czy Dion jest gotów.

I oto wolno mu się było wypowiadać. Oto wszystko, co przeżył od lat, a co od dłuższego już czasu coraz bardziej traciło wartość swoją i sens, spływało z jego warg w formie opowieści, skargi, pytań, samooskarżeń, cała historia jego życia jako chrześcijanina i pokutnika, życia podjętego w intencji oczyszczenia i uświęcenia, a pod koniec tak bardzo

przecież zmaconego, zaciemnionego, zrozpaczonego. Nie przemilczał również ostatnich swych przeżyć, swej ucieczki i uczucia wyzwolenia i nadziei, jakie mu owa ucieczka przyniosła, ukształtowania się w nim decyzji podróży do Diona, spotkania się z nim, a także tego, jak ku niemu, starszemu, już wkrótce poczuł wprawdzie miłość i zaufanie, lecz jak go w ciągu tego dnia niejednokrotnie oceniał też jako człowieka zimnego, dziwaczного, a nawet kapryśnego.

Nisko już stało słońce, gdy wszystko aż do końca wypowiedział. Stary Dion słuchał z nie znużoną uwagą, powstrzymując się od wszelkiego przerywania i pytań. I nawet teraz, gdy spowiedź się skończyła, ani jedno słowo z ust jego nie padło. Podniósł się ociężale, spojrzął na Józefa z wielką życzliwością, schylił ku niemu, ucałował go w czoło, krzyż nad nim nakreślił. Później dopiero przypomniało się Józefowi, iż był to ten sam niemy, braterski i z wszelkiego wyrokowania rezygnujący gest, którym on sam odprawiał był tak wielu penitentów.

Wkrótce potem posilili się, odmówili nocną modlitwę i legli spać. Józef dumiał i rozmyślał jeszcze przez chwilę, właściwie spodziewał się bowiem potępienia i wyrzutów, a mimo to nie czuł się zawiedziony ani niespokojny, spojrzenie i braterski pocałunek Diona wystarczyły mu, cisza w nim panowała i niebawem zapadł w dobroczynny sen.

Starzec, nie tracąc słów, zabrał go nazajutrz ze sobą, zrobili dość dużą całodzienną podróż, potem szli jeszcze przez cztery czy pięć dni, aż wreszcie dotarli do pustelni Diona. Zamieszkali tam, Józef pomagał Dionowi w drobnych codziennych pracach, poznawał powszednie jego życie, dzielił je z nim, nie różniło się ono nadmiernie od tego, które sam przez tak wiele lat prowadził. Nie był już tylko teraz sam, żył w cieniu i pod opieką innego, a zatem było to jednak całkowicie inne życie. A z okolicznych osad, z Askalonu i nawet dalszych jeszcze stron nieustannie przybywali ludzie, szukający rady lub spragnieni spowiedzi. Początkowo, gdy tacy goście przybywali, Józef co prędzej krył się i wynurzał dopiero wówczas, gdy już odeszli. Ale Dion coraz częściej przywoływał go z powrotem, tak jak przywołuje

się sługę, kazał mu przynosić wody lub wykonywać inną jakąś posługę, a gdy przez pewien czas to trwało, przyzwyczaił Józefa do tego, że niekiedy słuchał z nim razem jakiejś spowiedzi, jeśli penitent nie miał przeciwko temu zastrzeżeń. Wielu jednak, a nawet większość wołała nie stać czy też nie siedzieć samotnie w obliczu Diona, którego tak się obawiano, nawet nie klęczeć przed nim pojedynczo, lecz mieć przy tym owego milczącego, życzliwie spoglądającego i gotowego do usług pomocnika. Tak tedy Józef stopniowo nauczył się sposobu, w jaki Dion słuchał spowiedzi, sposobu jego pocieszania, atakowania, kierowania, sposobu karania i udzielania rad. Rzadko kiedy pozwalał sobie na zadawanie pytań, jak na przykład uczynił to wówczas, gdy zgłosił się jakiś, przejazdem tu będący, uczony czy pięknoduch.

Człowiek ów, jak z opowieści jego wynikało, miał przyjaciół pośród magów i astrologów; odpoczywając, przesiedział godzinę czy dwie u obu starych pokutników, był to gość uprzejmy i rozmowny, mówił długo, uczenie i pięknie o gwiazdach i o wędrowce, jaką człowiek wraz z bóstwami swoimi od początku aż do końca życia na świecie przez wszystkie domy zodiakalnego kręgu przebyć musi. Mówił o Adamie, pierwszym człowieku, i o tym, jak to jeden jest on i tenże sam z Jezusem, ukrzyżowanym, a nazwał zbawienie przez Niego wędrowką Adama od drzewa wiadomości ku drzewu żywota, natomiast węża z raję nazwał opiekunem świętego praźródła, mrocznej głębinę, z którego ciemnych jak noc wód wywodzą się wszelkie postaci, wszyscy ludzie i bogowie. Dion słuchał uważnie tego człowieka, którego syryjska mowa mocno była grecką przetykana, a Józef dziwił się, a nawet gorszył, że pogańskich tych błędów Pugil z gniewem i uniesieniem nie odręca, nie obala i nie przepędza, mądrych zaś monologów tak wiele wiedzącego pielgrzyma słucha jakby z zajęciem i zainteresowaniem, nie tylko bowiem słucha ich pilnie, lecz się uśmiecha, a często nawet potakuje ^skinieniem głowy pewnym słowom mówiącego, jakby mu się one podobały.

Gdy człek ów odszedł, Józef zagadnął tonem pełnym zapamię, niemal nawet wyrzutu:

— Jakże się to stało, żeś błędnych nauk tego niewierne go poganina słuchał tak cierpliwie? A nawet, jak mi się wydaje, nie tylko cierpliwie, lecz wręcz z zainteresowaniem i niejaką przyjemnością? Czemu przeciw nim nie wystąpiłeś? Czemu nie usiłowałeś przekonać tego człowieka, ukarać go i nawrócić na wiarę w Pana naszego?

Dion pokręcił głową na cienkiej, pomarszczonej szyi i odparł:

— Nie obalałem jego twierdzeń, ponieważ nie zdałoby się to na nic, a raczej, ponieważ nie byłbym w ogóle w stanie tego uczynić. W słowach, kombinacjach i znajomości mitologii oraz gwiazd człowiek ten niewątpliwie i znacznie góruje nade mną, niczego bym przeciwko niemu nie wskórał. A ponadto, synu mój, nie moją ani też twoją jest rzeczą występować przeciwko wierze jakiegoś człowieka i twierdzić, iż błędem i kłamstwem jest to, w co wierzy. Przyznaję, że z niejaką przyjemnością słuchałem tego mądrego człowieka, co uwagi twojej nie uszło. Przyjemność mi to sprawiła, ponieważ mówił znakomicie i wiedział wiele, a przede wszystkim, ponieważ przypomniiał mi własne moje młode dziecięce lata, gdyż za młodu wiele się zajmowałem takimi właśnie studiami i wiadomościami. A owe sprawy z mitologii, o których ów nieznajomy tak ładnie mówić potrafił, bynajmniej błędami nie są. Są to jedynie wyobrażenia i metafora pewnej wiary, której my już nie potrzebujemy, ponieważ otrzymaliśmy wiarę w Jezusa, Zbawiciela jedynego. Ale dla tych, co nie znaleźli jeszcze naszej wiary, a nawet w ogóle może znaleźć jej nie mogą, wiara ich, wywodząca się z prastarej mądrości ojców, słusznie czci jest godna. Oczywiście, mój miły, nasza wiara jest inna, całkiem inna. Lecz ponieważ wiara nasza nie potrzebuje nauki o gwiazdach i neonach, prawdach i matkach świata ani innych przypowieści, nauki owe same przez się bynajmniej błędami, złudzeniem ani kłamstwem nie są.

— Ależ nasza wiara — zawołał Józef — jest przecież lepsza, a Jezus umarł za wszystkich; zatem ci, co go znają, zwalczać powinni owe przestarzałe wierzenia, wprowadzając na ich miejsce naukę nową i prawdziwą!

— Uczyniliśmy to już dawno, ty, ja i tak wielu innych — spokojnie odpowiedział Dion. — Wierzimy, ponieważ przejęci jesteśmy wiarą, wiarą w potęgę Zbawiciela i w jego odkupicielską śmierć. Lecz tamci, owi mitologowie i teologowie kręgu zodiaku i dawnych nauk, nie zostali przejęci tą potęgą, jeszcze nie, nam zaś nie dane jest przymusić ich, aby się nią przejęli. Czy nie zauważyłeś, Józefie, jak pięknie i nader zręcznie mitolog ów prawić umiał i zestawiać obrazkowe swoje igraszki i jak mu przy tym było przyjemnie, jak spokojnie i harmonijnie żyje on w tej swojej mądrości obrazów i przypowieści? No, cóż, oznacza to, że człowieka tego nie przytłacza ciężkie cierpienie, że jest zadowolony, że dobrze mu się wiedzie. A ludziom, którym się dobrze wiedzie, tacy jak my nic nie mają do powiedzenia. Po to bowiem, by człowiek odczuł potrzebę zbawienia i zbawczej wiary, by utracił radość z mądrości i harmonii swoich myśli, a wziął na siebie wielkie ryzyko wiary w cud zbawienia, musi mu się najpierw zacząć źle powodzić, bardzo źle, musi przeżyć cierpienia i rozczarowania, gorycz i rozpacz, woda musi mu sięgnąć aż po szyję. Nie, Józefie, pozostawmy tego uczonego poganina w jego dobrym samopoczuciu, pozostawmy go w szczęściu jego mądrości, myśli i wymowy! < Być może, że jutro, za rok lub za lat dziesięć dozna cierpień, które sztukę jego i mądrość zdruzgocą, może zabiją mu żonę, którą kocha, albo jedyne go syna, albo wpadnie w choroby czy ubóstwo, a jeśli go wówczas spotkamy, zajmijmy się nim i opowiemy mu, w jaki sposób sami usiłowaliśmy opanować cierpienie. A gdyby nas wówczas zapytał: „Czemuż nie powiedzieliście mi tego już wczoraj, już przed dziesięciu laty?” — wtedy odpowiemy: — „Bo nie wiodło ci się wówczas jeszcze dostatecznie źle”.

Spoważniał i milczał przez chwilę. A potem, jakby budząc się z marzeń i wspomnień, dorzucił jeszcze:

— Sam niegdyś często igrałem mądrościami ojców, zabawiając się tak nawet wówczas jeszcze, gdym znajdował się w drodze do krzyża, teologizowanie wielokrotnie wówczas radość mi sprawiało, choć po prawdzie sporo też przysparzało kłopotów. W myślach roztrząsałem najczęściej

sprawę stworzenia świata oraz to, iż na zakończenie dzieła stworzenia wszystko właściwie miało być dobre, bo wszak czytamy: „I ujrział Bóg wszystko, co stworzył, a oto było wszystko bardzo dobre”. Lecz w rzeczywistości jeno przez chwilę było wszystko dobre i doskonałe, przez ów moment w raju, a już w następnym momencie w ową doskonałość wdarła się wina i przekleństwa, bo Adam zakosztował owocu z tego drzewa, z którego mu pożywać zabroniono. Byli tedy nauczyciele, którzy powiadali: ów Bóg, który dzieła stworzenia dokonał, a wraz z nim Adama i drzewo wiadomości stworzył, nie jest jedynym i najwyższym Bogiem, jeno tylko jego częścią lub niższym względem niego bóstwem, demiurgiem, świat zaś stworzony nie jest dobry, lecz mu się nie udał, a teraz oto przez pewien określony czas wszystko stworzone przeklęte będzie i na pastwę zła wydane, aż póki On sam, jedyny Duch i Bóg przez Syna swego nie postanowi kres tej epoce przekleństwa świata położyć. Odtąd — uczyli oni, a ja także tak myślałem — rozpoczęło się obumieranie demiurga i jego stworzenia, świat zaś stopniowo więdnie i obumiera, aż w nowej jego erze niczego już stworzonego, żadnego świata, ciała, chciwości, cielesnego płodzenia, rodzenia i umierania nie będzie, lecz powstanie doskonały, duchowy i odkupiony świat, wolny od przekleństwa Adama, wolny od wiekuistej klątwy i naporu żądź, od płodzenia, rodzenia i śmierci. Przypisywaliśmy raczej demiurgowi niżli pierwszemu człowiekowi winę za wszelkie obecne zło na świecie, mniemaliśmy, iż demiurgowi, gdyby doprawdy był samym Bogiem, z łatwością przysłoby inaczej stworzyć Adama albo oszczędzić mu pokusy. I tak oto, pod koniec naszego rozumowania, mieliśmy dwóch bogów, Boga-Stworzyciela i Boga-Ojca, a nie zawahaliśmy się pierwszego z nich ocenić ujemnie. Istnieli nawet tacy, którzy poszli jeszcze o krok dalej, twierdząc, iż to, co stworzone, w ogóle nie było dziełem Boga, lecz diabła. Sądziliśmy, iż mądrościami naszymi pomagamy Odkupicielowi i nadchodzącej epoce ducha, tak tedy przysposobiliśmy sobie bogów i światy, i plany na temat tych światów i dysputowaliśmy. i teologię uprawiali, aż ci ja pewnego dnia po-

padłem w gorączkę, a w majaczeniach gorączkowych stale miałem do czynienia z demiurgiem, wojny prowadzić musiałem i krew przelewać, a one widziadła i koszmary stały się coraz straszliwsze, aż wreszcie pewnej nocy, gdy najsilniejsza ogarnęła mnie gorączka, uwierzyłem, że zabić muszę własną matkę, by zniweczyć cielesne moje narodziny. Diabeł ścigał mnie w tych gorączkowych przywidzeniach całą sforą swych gończych psów. Lecz wyzdrowiałem, | a ku rozczarowaniu dawnych moich przyjaciół powróciłem do życia jako człek głupi, milczący i nierozgarnięty, który wprawdzie rychło odzyskał fizyczne siły, lecz nie odzyskał już radości z filozofowania. Bowiem podczas owych dni i nocy powracania do zdrowia, gdy ohydne, gorączkowe zmyły już znikły, ja zaś nieustannie niemal spałem, w każdej przytomnej chwili czułem Zbawiciela obok siebie, a czułem też, jak siła od niego idąca we mnie przenika, gdy zaś całkiem już ozdrowiałem, smucie mnie zaczęło, że oto tej bliskości nie czułem już. Zamiast niej jednak czułem ogromną tęsknotę do owej bliskości, po czym okazało się, że ilekroć znowu przysłuchiwałem się dysputom, czułem, jak owa tęsknota — wówczas dobro moje największe — popada w niebezpieczeństwo zaniknięcia, rozplynięcia się w myślach i słowach, jako woda wsiąkająca w piasek. Słowem, mój drogi, koniec to był mojej mądrości i teologii. Od tej chwili należę do prostaczków. Lecz ten kto filozofować i mitologizować umie, kto potrafi grać w one gry, których i ja niegdyś próbowałem, nie jest dla mnie godzien wzgardy i nie zamierzam mu w tym przeszkadzać. Jeśli sam niegdyś zadowolili się musiałem stwierdzeniem, iż demiurg i Bóg-Duch, stworzenie i odkupienie w niepojętym swym połączeniu i zrównaniu pozostały dla mnie nie rozwiązanymi zagadkami, muszę teraz także zadowolili się stwierdzeniem, iż z filozofów nie zdołam uczynić ludzi wierzących. Nie moje to zadanie.

Pewnego znów razu, gdy ktoś wypowiedział się z zabójstwa i zdrady małżeńskiej, Dion rzekł do pomocnika swego:

—■ Zabójstwo i zdrada małżeńska, brzmi to bardzo nikczemnie a gromko, zresztą haniebnie jest zaiste, i owszem.

Ale powiadam ci, Józefie, że ci świeccy ludzie w rzeczywistości w ogóle nie są prawdziwymi grzesznikami. Ilekroć usiłuję wmyśleć się całkowicie w któregoś z nich, wydają mi się absolutnymi dziećmi. Nie są grzeczni, dobrzy, szlachetni, sobkami są, rozwiązłymi, pełnymi pychy i gniewu, z pewnością, lecz właściwie i w istocie niewinni są, niewinni w taki właśnie sposób, jak niewinne są dzieci.

— Ale przecież — powiedział Józef — częstokroć łajesz ich srogo i piekło przed oczy im przywozisz.

— Właśnie dlatego. Dziećmi są, a gdy doznają wyrzutów sumienia i spowiadać się przychodzą, chcą, aby traktować ich poważnie i poważnie też strofować. Tak przynajmniej sądzę. Ty, swego czasu, postępowałeś inaczej, nie łajałeś, nie karałeś, żadnej nie nakładałeś pokuty, lecz byłeś życzliwy i odprawiałeś ludzi po prostu z braterskim pocałunkiem. Nie mam zamiaru tego ganić, nie, ale sam bym tego nie po trafił.

— Zapewne — z wahaniem odparł Józef. — Lecz powiedz, dlaczegóż mnie, gdy wówczas spowiadałem się przed tobą, nie potraktowałeś tak samo, jak innych swych penitentów, lecz ucałowałeś mnie w milczeniu, ani słowem nie wspominając o karze?

Dion Pugil zwrócił nań swe przenikliwe spojrzenie:

— A czyż niesłusznie uczyniłem? — zapytał.

— Nie mówię, że niesłusznie. Z pewnością słuszne to było, inaczej nie pomogłaby mi tak bardzo ta spowiedź.

— No, to dajże temu spokój. A ponadto zadałem ci wówczas surową i długą pokutę, chociaż bez słów. Zabrałem cię z sobą i traktowałem jak swojego sługę i z powrotem przywiodłem i przymusiłem do zadania twego, z którego się wycofać chciałeś.

Odwrócił się, był bowiem wrogiem długich rozmów. Ale Józef okazał się tym razem uparty:

— Wiedziałeś wówczas już z góry, że będę ci posłuszny, obiecałem to jeszcze przed spowiedzią, zanim ciebie poznałem. Nie, powiedzże mi: czy doprawdy z tego powodu tak postąpiłeś ze mną?

Tamten przeszedł kilka kroków, zawrócił, stanął pized Józefem, rękę mu położył na ramieniu i powiedział:

— Ludzie świeccy są dziećmi, synu mój. A święci — no, oni do nas na spowiedź nie przychodzą. My natomiast, ty, ja i nam podobni, my, pokutnicy, poszukiwacze i uchodźcy ze świata, dziećmi nie jesteśmy ani też nie jesteśmy niewinni i umoralniające kazanie ładu nam nie przywróci. My, my właśnie jesteśmy prawdziwymi grzesznikami, my, wiedzący i myślący, co pożywaliśmy z drzewa wiadomości, tedy nie powinniśmy traktować się jak dzieci, które różgą przetrześć można, a potem znów puścić wolno. My przecie po spowiedzi i pokucie nie uciekamy znowu w dziecięcy świat, gdzie święci się uroczyście i robi interesy, a niekiedy wzajem się morduje, nie przeżywamy grzechu jak krótkiego, złego snu, który przez spowiedź i ofiarę znów z siebie zrzucić można: trwamy w nim, nigdy nie jesteśmy niewinni, zawsze grzesznikami jesteśmy, trwamy w grzechu i po żarze własnego sumienia, a wiemy, iż nigdy wielkiej naszej winy spłacić nie zdołamy, chyba że Bóg po zgonie naszym zechce wejrzeć na nas miłosiernie i przyjąć do łaski swojej. Oto, Józefie, przyczyna, dla której tobie ni sobie kazań prawić ani pokuty dyktować nie mogę. My bowiem nie mamy do czynienia z takim czy innym rodzajem wykolejenia albo ze złym czynem, lecz nieustannie z prawiną i dlatego każdy z nas może drugiego zapewnić jedynie o współwiedzy i braterskiej miłości, lecz karą żadną uleczyć go nie zdoła. Czy o tym nie wiedziałeś?

Józef odpowiedział cichym głosem:

— Tak jest. Wiedziałem o tym.

— A więc nie każ nam gadać po próżnicy — krótko oznajmił starzec i zawrócił w kierunku kamienia przed swoją chatą, na którym zwykł się modlić.

Minęło kilka lat, a ojciec Dion nawiedzany był coraz częściej przez ataki słabości, tak iż Józef rankiem pomagać mu musiał, nie był bowiem w stanie sam się podnieść. Potem szedł się modlić, lecz także i po modlitwie z klęczek wstać już nie mógł. Józef musiał mu pomagać, a potem starzec siedział przez cały dzień i patrzył w dal. Działo się tak w

niektóre dni, w inne bowiem mógł jeszcze uporać się ze wstawaniem. I spowiedzi w każdy dzień także już słuchać nie mógł, a gdy kto u Józefa się spowiadał, wołał go potem Dian do siebie, mówiąc mu:

— Kres mój się zbliża, dziecię moje, kres mój się zbliża. Powiedz ludziom, że ten oto Józef jest mym następcą.

A gdy Józef wzbraniał się i przerwać chciał choć słówkiem, starzec rzucał mu straszliwe spojrzenie, przesywające człowieka jak grom.

Pewnego dnia, gdy powstał bez pomocy i wydawał się silniejszy, zawołał do siebie Józefa i zaprowadził go na pewne miejsce na skraju ich małego ogródka:

— Tu oto — rzekł — jest miejsce, na którym mnie pochowasz. Grób wykopie my wspólnie, mamy chyba jeszcze trochę czasu. Przynieś mi łopatę.

I odtąd codziennie o świcie kopali tam po trochu. Jeśli Dion czuł się silny, sam wyrzucał kilka łopat ziemi, z wielkim utrudzeniem, lecz i niejaką rzeźkością, jakby owa praca sprawiała mu przyjemność. Również i w ciągu dnia nie opuszczała go już owa rzeźkość, od chwili bowiem, gdy rozpoczęli kopać grób, zawsze był w dobrym nastroju.

— Palmę zasadzisz na moim grobie — rzekł pewnego razu przy tej robocie. — Może zdołasz jeszcze pokosztować jej owoców. A jeśli nie, skosztuje ich kto inny. Ja też od czasu do czasu sadziłem drzewa, lecz za mało, o wiele za mało. Niektórzy powiadają, iż mężczyzna nie powinien umierać, nie posadziwszy drzewa i nic pozostawiając syna. No, cóż. Ja pozostawiam drzewo i pozostawiam cię, synem moim jesieś.

Spokojniejszy był i pogodniejszy niż kiedykolwiek, odkąd go Józef znał, a coraz bardziej takim się stawał. Pewnego wieczoru, gdy ciemno już było, a obaj posilili się i pomodlili, zawołał Józefa ze swego posłania i poprosił go, aby posiedział jeszcze chwilę przy nim.

— Chcę ci coś opowiedzieć — powiedział serdecznie, a nie wydawał się zmęczony ani senny. — Pamiętasz jeszcze, Józefie, jak to niegdyś, w twojej pustelni, tam, koło Gazy, tak zły przeżywałeś okres i tak ci się życie uprzykrzyło? I jak

potem rzuciłeś się do ucieczki i postanowiłeś odnaleźć staro Diona i opowiedzieć mu swoją historię? I jak poteir w osiedlu braci spotkałeś starca, którego zapytałeś o mieszkaniu Diona Pugila? No, tak. A czyż nie był to jakby cuć że ów starzec był Dionem we własnej osobie? Chcę ci te raz opowiedzieć, jak do tego doszło, albowiem i dla było to wydarzenie osobliwe i jakby cudowne.

Wiesz, jak to jest, gdy pokutnik i spowiednik się starzeje a słyszał już tak wiele spowiedzi różnych grzeszników, którzy uważali go za świętego i bezgrzesznego, nie wiedząc, iż jest większym jeszcze od nich grzesznikiem. Wówczas cała jego praca daremna mu się wydaje i próżna, wszystko zaś, co niegdyś święte wydawało mu się i ważne, mianowicie, że Bóg go umieścił na tym miejscu i godnym uznał wysłuchiwania brudów i pokalania dusz ludzkich i przyniesienia im ulgi, teraz wydaje mu się wielkim, nazbyt wielkim ciężarem, nawet przekleństwem, a w końcu strach go przejmuje na widok każdego biedaka, co z dziecinnymi swymi grzechami do niego przychodzi, chce, by odszedł, sam także odejść pragnie, choćby na sznur do gałęzi drzewa uwiązany. Tak było z tobą. A oto i dla mnie nadeszła chwila spowiedzi i wyznaję, mnie także wiodło się tak jak tobie, ja także sądziłem, że bezużyteczny i wygasły duchowo i że znieść już nie zdołam, iż nieustannie a z zaufaniem przybywają do mnie ludzie, wszelkie brudy i smrody życia ludzkiego przynosząc, z którymi uporać się nie mogą, a z którymi ja także już uporać się nie byłem w stanie.

Lecz oto często słyszałem o pewnym pokutniku, zwanym Josephus Famulus. I do niego, jak się dowiedziałem, chętnie chodzili się ludzie spowiadać, wielu zaś chętniej szło do niego niżli do mnie, ponieważ był ponoć łagodnym, miłym człowiekiem, a powiadano też, że nic od ludzi nie żąda, nie łaje ich, traktuje jak braci, wysłuchuje tylko i odprawia za pocałowaniem. Nie mój to był sposób, wiesz o tym, a gdy po raz pierwszy posłyszałem opowieść o tym Józefie, postępowanie jego wydało mi się raczej niemądre i nazbyt dziecinnie; lecz oto teraz, gdy tak wątpliwe wydało mi się, czy własny mój sposób wart jest cokolwiek, wszelkie miałem po-

wody po temu, aby oceny postępowania owego Józefa i porzucenia własnej wyższości poniechać. Jakież siły mógł mieć ów człowiek? Wiedziałem, że młodszy jest ode mnie, lecz już przecie bliski wieku sędziwego, co mi się spodobało, bo do młodzika nie nabrałbym tak łatwo zaufania. Do tego Józefa czułem jednak pociąg. Postanowiłem tedy ruszyć z pielgrzymką do Josephusa Famulusa, wyznać mu rozterkę moją i prosić o radę, a gdyby żadnej mi rady nie udzielił, otrzymać od niego choć pocieszenie i umocnienie. Już sama ta decyzja dobrze mi zrobiła i przyniosła ulgę.

Ruszyłem w ową podróż i pielgrzymowałem ku miejscu, gdzie, jak mówiono, miał Józef swą pustelnię. Lecz brat Józef tym czasem przeżył zupełnie to samo, co ja, każdy z nas rzucił się do ucieczki, żeby u drugiego znaleźć radę. Gdy tedy, zanim jeszcze odnalazłem jego chatę, ujrzałem go i rozpoznałem już w pierwszej rozmowie, wyglądał zresztą tak, jak ów człowiek, którego się spodziewałem. Ale w ucieczce źle mu się wiodła, tak źle, jak i mnie, albo jeszcze gorzej, a bynajmniej nie miał zamiaru słuchać spowiedzi, sam natomiast pragnął się wypowiadać i rozterki swoje złożyć w cudze ręce. W owej chwili sprawiło mi to osobliwy zawód, bardzo czułem się zasmucony. Bo skoro i ów Józef, który mnie nie znał, zmęczył się swoją służbą i zwątpił z rozpaczą w sens życia — czyż nie oznaczało to, że z obu nas nic nie będzie, żeśmy obaj żyli na próżno i doznali porażki?

Opowiadam ci, o czym już wiesz, tedy pozwól mi się streszczać. Spędziłem ową noc obok osady samotnie, podczas gdyś ty u braci znalazł przytułek, zatopiłem się w medytacji, wmyślałem się w owego Józefa i pomyślałem sobie: co też uczyni, skoro dowie się rano, że daremnie uciekał i daremnie ufność swoją w Pugilu pokładał, gdy dowie się, że i Pugil także jest zbiegiem i pokonanym? Im bardziej w niego się wgłębiałem, tym bardziej żal mi go było i tym bardziej wydawało mi się, że przez Boga został mi zesłany, abym jego, a wraz z nim samego siebie poznał i uleczył. Wtedy zdołałem zasnąć, a połowa nocy już minęła. Nazajutrz wraz ze mną w dalszą ruszyłeś pielgrzymkę i stałeś się moim synem.

Tę historię chciałem ci opowiedzieć. Słyszę, że płaczesz. Wyplacz się, dobrze ci to zrobi. A skoro już tak rozgadałem się ponad miarę, uczyniże mi tę łaskę i wysłuchaj i tego jeszcze, a do serca swego przyjmij. Człowiek osobliwą jest istotą, niezbyt można na nim polegać, nie jest więc wcale wykluczone, że w pewnej chwili owe cierpienia i pokusy na nowo cię opadną i będą usiłowały pokonać. Oby wtedy Pan nasz zechciał zesłać ci równie miłego, cierpliwego, a pociechę niosącego syna i wychowanka, jakiego mnie dał w tobie! Co zaś tyczy się gałęzi owego drzewa, o której kusiciel marzył ci wówczas kazał, i śmierci biednego Judasza Iskariota, jedno ci rzec mogę: nie tylko grzechem jest i głupstwem taką sobie śmierć zgotować, choć dla Zbawiciela naszego drobnostką jest nawet taki grzech wybaczyć. Ale ponadto szkoda też ogromna, gdy człowiek w rozpaczy umiera. Bóg bowiem nie zsyła nam rozpaczy, aby nas zabić, lecz zsyła ją, aby nowe pobudzić w nas życie. Jeśli jednak śmierć nam zsyła, Józefie, jeśli odrywa nas od ziemi i od ciała i woła na inny świat, wielka to radość: móc zasnąć, gdy się jest zmęczonym, móc upuścić ciężar, który tak długo już się dźwigało, to wspaniała, cudowna rzecz. Odkąd kopaliśmy grób — a nie zapomnij, że palmę na nim masz posadzić — od chwili, gdy zaczęliśmy ów grób kopać, stałem się radośniej szy i bardziej zadowolony, niż w ciągu wielu, wielu lat.

Długo gadałem, synu mój, zmęczony jesteś zapewne. Idź spać do swojej chaty. Bóg z tobą!

Nazajutrz Dion nie pojawił się na poranną modlitwę, nie wołał także Józefa. A gdy Józef zatrwożył się i cicho wszedł do chaty Diona, podchodząc ku jego posłaniu, zastał starca zmarłego już we śnie, z twarzą rozjaśnioną dziecięcym, cichym, promiennym uśmiechem.

Pochował go, zasadził na grobie drzewo i dożył jeszcze roku, w którym owo drzewo wydało pierwsze owoce.

JEDEN z książąt demonów, zabity przez Wisznu, a raczej przez Ramę, czyli w człowieka przekształconą część Wisznu, strzałą półksiężycową, podczas jednej ze straszliwych jego bitew z demonami, powrócił znowu w ludzkiej postaci do kręgu żywych, zwał się Ravana, żył zaś jako wielce wojowniczy książę nad wielkim Gangesem. Był to ojciec Dąsy. Matka Dąsy zmarła wcześniej, a ledwo następczyni jej, kobieta piękna i ambitna, urodziła księciu syna, mały Dąsa ją jej przeszkadzał; chciała, aby zamiast niego, pierworodnego, namaszczonego kiedyś na władcę własnego jej syna, Nałę, umiała tedy Dasę oddalić od ojca, a przy pierwszej okazji zamierzała usunąć go z drogi. Lecz jednemu z nadwornych braminów Ravany, imieniem Vasudeva, na ofiarach się znajdującemu, zamysł jej się ujawnił, a mądry ów człowiek potrafił mu zapobiec. Żał mu było chłopca, a ponadto wydawało mu się, że mały książę odziedziczył po matce skłonność do pobożności i poczucie prawa. Czuwał więc nad Dasą, aby mu się nic nie stało, wyczekując jedynie sposobności, żeby go zabrać sprzed oczu macochy.

Radza Ravana miał stado krów, poświęconych Brahmie, uznanych za święte, z których mleka i masła często bogu składano ofiary. Dla krów tych przeznaczano najlepsze w całym kraju pastwiska.

Pewnego dnia przybył jeden z pasterzy strzegących tych Brahmie poświęconych krów, przywożąc ładunek masła i donosząc, iż w okolicy, gdzie dotąd pasło się owo stado, zapowiada się susza, pasterze postanowili więc przeprowadzić krowy dalej, w kierunku gór, gdzie nawet podczas najwięk-

szej suszy nie zabraknie źródlanej wody i świeżej pasz Pasterza tego, którego znał od dawna, wtajemniczył brar w swój plan, był to bowiem człek życzliwy i wierny, a nazajutrz mały Dąsa, syn Ravany, zniknął i nie można go było odnaleźć, Vasudeva i ów pasterz byli jedynymi ludźmi znającymi tajemnicę owego zniknięcia. Chłopiec Dąsa ze stał bowiem zabrany przez pasterza w góry, spotkali tar powoli wędrujące stado, a Dąsa chętnie i radośnie przyłączył się do niego i do pasterzy, podрастаł jako pastuszej pomagał w pasaniu i przepędzaniu krów, uczył się doicj bawił się z cielątkami, wylegiwał pod niejednym drzewem pił słodkie mleko, a bosc nogi miał oblepione krowim nem. Bardzo mu się to podobało, poznał pasterzy, kvo\ i życie ich, poznał las, wraz z jego drzewami i owocami, lubił mango, figę leśną i drzewo varinga, wylawiał słodki! korzenie lotosu z zielonych, leśnych sadzawek, w dni świąt teczne nosił wieniec z czerwonych kwiatów leśnego płomie" nia, uczył się od zwierząt w głuszy ostrożności, unikania! tygrysa, przyjaźni z mądrym mungo i wesołym jeżem, a, % przeczekiwania pory deszczowej w mrocznym szałasie; chłopcy bawili się tam w różne gry dziecięce, śpiewali albo wyplatali koszyki lub maty z sitowia. Dąsa zapomniał o daw- ! nej swojej ojczyźnie i dawniejszym życiu, nie całkiem < wprawdzie, ale niebawem wydały mu się one snem.

A pewnego dnia, gdy stado w innej znowu znalazło się, okolicy, Dąsa poszedł do lasu, chciał bowiem poszukać miodu. Serdecznie ukochał las, odkąd go poznał, ten zaś wydał mu się szczególnie piękny, światło dnia przewijało przez gałęzie i liście jak złociste węże, a podobnie jak dźwięki, głosy ptaków, poszum wierzchołków drzew, krzyki małp splatały się w uroczą, łagodnie świetlistą wiązaną, przypominającą przebliski światła wśród zieleni, nadpływały łączyły i znowu rozłączały zapachy, wonie kwiatów, drewna, liści, wód, mchów, zwierząt, owoców, ziemi i zgnilizny, ostre i słodkie, dzikie i znajome, orzeźwiający i usypiający, żywe i dławiający. Od czasu do czasu w niewidzialnym leśnym wąwozie zaszumiała woda, nad kielichami białych kwiatów zatańczył aksamitnie zielony motyl, o skrzydłach

ozdobionych czarnymi i żółtymi plamami, trzasnęła gałąź, gdzieś głęboko, w błękitnym cieniu zarośli, ciężko opadł liść, w ciemności zaryczał zwierz dziki lub kłótliva małpa toczyła spór, jazgocząc ze swoimi. Dąsa zapomniał o szukaniu miodu, a podsłuchując kilka barwnie połyskujących, maleńkich ptaszków ujrzał pomiędzy wysokimi paprociami, które niczym mały, gęsty gaj rosły w wielkim lesie, jakiś trop, coś, co przypominało drogę, wąską, niewielką ścieżkę, a gdy ostrożnie bezszelestnie ruszył nią, odkrył pod wielopiennym drzewem małą chatkę, rodzaj spiczastego namiotu, zbudowanego i uplecionego z paproci, a obok chatki siedzącego na ziemi w wyprostowanej pozycji, nieruchomego człowieka, którego ręce spoczywały pomiędzy skrzyżowanymi nogami, a spod siwych jego włosów i szerokiego czoła patrzyły ciche, spojrzenia pozbawione oczy, ku ziemi zwrócone, otwarte, lecz spoglądające do wewnątrz. Dąsa zrozumiał, że jest to człowiek święty i joga, nie pierwszy raz bowiem takiego oglądał, czcigodni to byli i szczególnie przez bogów ukochani mężowie, dobrze było składać im dary i okazywać szacunek. Lecz ten właśnie, który przed swoją chatą z paproci, tak pięknie i doskonale ukrytą, siedział wyprostowany, z ramionami obwisłymi, i w milczeniu oddawał się medytacji, niezmiernie spodobał się chłopcu i wydał mu się jeszcze dziwniejszy i bardziej czcigodny od wszystkich, jakich dotąd widywał. Człowieka tego, który siedział tak, jakby unosił się w powietrzu, a nieruchomym spojrzeniem zdawał się jednak wszystko ogarniać i wszystko wiedzieć, otaczała aura świętości, krąg wielkiej godności, fala i płomień skupionego żaru i sił jogi, których chłopiec nie ośmieliłby się ani przekroczyć, ani też przełamać pozdrowieniem albo okrzykiem. Godna i potężna jego postać, światło z wnętrza płynące, którym promieniało jego oblicze, skupienie i spiszowa nieruchomość rysów emanowały falami i promieniami, pośród których królował jak księżyc, a nagromadzona siła ducha i w milczeniu skupiona siła woli taki czarodziejski krąg tworzyły wokół niego, iż pojąć można było od razu, że człowiek ten samym tylko pragnieniem

lub myślą, oczu nawet nie podnosząc, potrafi zabić albo te przywrócić do życia.

Bardziej nieruchomy niż drzewo, które przecież oddycha¹ liśćmi i gałęziami, nieporuszony niczym kamienny posąg boga, tkwił joga na miejscu swoim, a równie nieporuszeniej trwał, od chwili gdy go zobaczył, także chłopiec, do ziemi przykuty, w okowy zakuty, magicznie przez ów widok przy-} ciągnany. Stał i wpatrywał się w mistrza, widział płamę słonecznego światła na jego ramieniu, inną płamę słonecznego światła na złożonych jego rękach, widział, jak świetlne *owi* plamy przesuwały się powoli i jak powstają nowe i stoją tak w zdumieniu jął pojmować, że te plamy świetlne nie[<]g wspólnego z człowiekiem owym nie mają, podobnie jałj śpiew ptaków i głosy małp, dochodzące z lasu dokoła, podobnie jak brunatna pszczoła leśna, która przysiadła na twarzy medytującego, powąchała jego skórę, przeszła kawałek po jego policzku, a potem znowu uniosła się i uleciała, podobnie jak całe, bogate a różnorodne życie lasu![^] Dąsa poczuł, że nic z tego, co widzą oczy, słyszą uszy, co piękne czy brzydkie, przyjemne czy też lęk wzbudzające, nic nie dochodzi do tego świętego człowieka, deszcz by go nie oziębził ani mu nie dokuczył, ogień sparzyć by go nie zdołał, świat cały wokół niego jest dlań jedynie powierzchnią, utracił swoje znaczenie. Przeczucie, że w istocie cały świat jest może tylko igraszką i powierzchnią, tchnieniem wiatru i zmarszczeniem fal nad nieznaną głębiną przeniknęło księżycopastuszką nie jak myśl, lecz jak dreszcz fizyczny i lekki zawrót głowy, jak uczucie grozy i niebezpieczeństwa, a jednocześnie tęsknego, pożądnego przyciągania. Albowiem — poczuł przyglądający się chłopiec — ów joga poprzez powierzchnię świata, przez powierzchowny świat osunął się w dół, na dno istnienia, ku tajemnicy wszechrzeczy, rozdarł czarodziejską sieć zmysłów, igraszek świetlnych, szmerów, barw i doznań, zrzucił ją z siebie, a teraz trwa, zakorzeniony mocno w tym, co prawdziwie istotne i niezmienne. Chłopiec, choć wychowywany niegdyś przez braminów i obdarowany niejednym przebłykiem duchowego światła, nie pojął tego rozumem, a słowami też niczego by o tym po-

wiedzieć nie umiał, lecz wyczuł to, tak jak w błogosławionej chwili wyczuwa się bliskość bóstwa, odczuł jako dreszcz czci i podziwu dla tego człowieka, odczuł jako miłość ku niemu i jako tęsknotę do takiego życia, jakim żyć się zdawał on, w medytacji zatopiony i tu oto siedzący. Tak tedy stał Dąsa, wstrząśnięty w sercu swoim, gdyż starzec w sposób osobliwy przypomniał mu jego pochodzenie, książęcość i królewskość, stał na skraju paprociowej głuszy, pozwolił ptakom odlecieć, a drzewom wieść nadal łagodnie szumiące rozhowory, zapomniał o lesie, zapomniał o stadzie, poddał się czarowi i patrzył na medytującego pustelnika, wzruszony niepojętym spokojem i nietykalnością jego postaci, jasnym spokojem oblicza, siłą i skupieniem z postawy jego płynącymi i jego całkowitym oddaniem się służbie.

Potem nie potrafił już opowiedzieć, czy spędził obok tej chaty dwie, czy trzy godziny, czy też dni całe. Gdy czar przysł, gdy bezszelestnie przekradł się z powrotem na ścieżkę między paprociami, poszukał drogi wiodącej z lasu i dotarł wreszcie do otwartych pastwisk i stada, uczynił to wszystko nieświadomie, w duszy bowiem nadal był jeszcze zaczarowany, a ocknął się dopiero, gdy jeden z pasterzy go zawołał. Pasterz ów powitał go połajaniem za tak długą nieobecność, lecz gdy Dąsa spojrział nań wielkimi, zdumionymi oczami, jakby słów jego nie rozumiał, tamten umilkł zaraz, zdumiony niezwykle obcym spojrzeniem chłopca i uroczystą jego postawą.

— Gdzieżeś to był, chłopcze? Czy widziałeś może jakiego boga lub spotkałeś demona?

— Byłem w lesie ■— powiedział Dąsa — ciągnęło mnie tam, miodu chciałem poszukać. Ale później zapomniałem, bo zobaczyłem tam człowieka, pustelnika, który siedział i za topiony był w rozmyślaniu czy modlitwie, a gdy go zoba czyłem i gdy twarz jego tak jaśniała, musiałem się zatrzymać i długo na niego patrzeć. A wieczorem chciałbym tam pójść i zanieść mu dary, bo to święty.

— Zrób to — powiedział pasterz — zanieś mu mleka słodkiego i masła; świętych trzeba czcić i składać im dary.

— Ale jakże mam się do niego zwrócić?

— Wcale nie potrzebujesz zwracać się do niego, Dąsa, połóż mu się tylko i postaw przed nim dary, więcej nie trzeba.

Tak też uczynił. Błądził przez chwilę, nim znowu znalazł I to miejsce. Placyk przed chatą był pusty, a do samej chaty chłopiec wejść nie śmiał, postawił więc dary na ziemi, przed wejściem do chaty, i odszedł.

A dopóki pasterze ze stadem pozostawali w pobliżu tego miejsca, Dąsa co wieczór zanosił tam dary, w dzień zaś pewnego razu poszedł tam również, zastał Czcigodnego oddanego i medytacji, a także i tym razem nie oparł się pokusie, by jako uszczęśliwiony świadek otrzymać dla siebie choć jeden promień siły i błogości świętego. I nawet gdy opuścili już tę okolicę, Dąsa zaś pomagał w przepędzeniu stada na nowe pastwiska, przez długi czas jeszcze nie mógł o przeżyciu w lesie zapomnieć, a jak to bywa u chłopców, chwilami, w j samotności, oddawał się marzeniom, iż także jest takim jogą i pustelnikiem. Z czasem jednak i wspomnienie, i marzenie przybladły, tym bardziej że Dąsa jął oto szybko wyrastać na krzepkiego młodzieńca, z radosnym zapalem oddającego się zabawom i zapasom z rówieśnikami. Cień jakiś jednak i ciche przeczucie pozostały od owej chwili w jego duszy, tak jakby utracona godność księcia i władcy miała zostać kiedyś zastąpiona godnością i siłą jogi.

Pewnego dnia, gdy znajdowali się w pobliżu miasta, jeden z pasterzy przyniósł stamtąd wiadomość, iż przygotowuje się tam wielkie święto: stary król Ravana, opadły już z sił i schorowany, ustalił dzień, w którym syn jego, Nala, obejmie po nim rządy i obwołany zostanie księciem. Dąsa chciał pójść na ową uroczystość, aby obejrzeć znowu miasto, o którym w duszy zachował z dzieciństwa zaledwie resztki mglistych wspomnień, aby posłuchać muzyki, obejrzeć pochód oraz turnieje książąt i choć raz ujrzeć ów nie znany świat ludzi miejskich i wielkich, tak często opisywanych w legendach i baśniach, o którym wiedział, choć i to było już teraz tylko legendą lub baśnią, lub czymś mniejszym jeszcze, iż niegdyś, w niepamiętnych czasach, był on także i jego światem. Pasterze otrzymali rozkaz do-

starczenia ładunku masła na dwór, na ofiary i uroczysty dzień, a Dąsa z radością przyjął wieść, że zaliczono go do owych trzech, których główny pasterz wyznaczył do wykonania tego polecenia.

By dostarczyć masło, przybyli na dwór w przeddzień, a bramin Vasudeva przyjął od nich ładunek, był bowiem tyra który przewodniczył ofiarnym uroczystościom, młodzieńca jednak nie poznał. Z ogromną uciechą wzięli potem wszyscy trzech pasterze udział w święcie, widzieli, jak już wczesnym rankiem, pod kierunkiem bramina, rozpoczęto ofiary: płomienie pożarły mnóstwo złotego, lśniącego masła, przekształcając je w strzelający ku niebu ogień, wysoko, aż w bezkres wzbił się migocący płomień i tłuszczem przesycony dym, trzykroć dziesięciu bogom miły. Widzieli w uroczystym pochodzie słonie z połączanymi dachami nad platformami, na których siedzieli jeźdźcy, patrzyli na ozdobiony kwiatami wóz królewski i na młodego radzę Nałę, słyszeli potężnie dudniącą muzykę bębnów. Wszystko to było wiele wspaniałe i świetne, a także po trochu śmieszne, przynajmniej takie wydało się młodemu Dasie; był oszołomiony i zachwycony, wręcz urzeczony owym hałasem, powozami i przystrojonymi końmi, całą tą wspaniałością i chełpliwą rozrzutnością, olśniony tancerkami, które poprzedzając wóz władcy tańczyły, a ręce i nogi smukłe miały i mocne niczym łodygi lotosu, zdumiony był wielkością i pięknnością miasta, a jednak, mimo wszystko, pośród oszołomienia i radości przypatrywał się po trosze wszystkiemu trzeźwym wzrokiem pasterza, który w głębi serca pogardza mieszczuchami. O tym, że w istocie to on jest pierworodny, że oto tu, na jego oczach, przyrodni jego brat, Nala, którego wcale już nie pamiętał, zostaje namaszczone, poświęcone i fetowany, że właściwie to on, Dąsa, powinien na jego miejscu jechać w ozdobionym kwiatami powozie, o tym wcale nie myślał. Natomiast bynajmniej nie spodobał mu się młody Nala, wydał mu się głupi i zły w rozpieszczeniu swoim, a także nieznośnie próżny w nadętym uwielbieniu samego siebie, i chętnie by temu bawiącemu się w księcia młodzikowi figiel jaki wypłatał, albo nauczki udzielił, lecz nie było tam po

temu okazji, szybko zresztą o tym zapomniał wobec nadmiaru innych rzeczy wartych oglądania, słuchania, śmiechu i rozkoszowaniu się nimi. Kobiety miejskie były ładne i rzucały zalotne, niepokojące słówka lub spojrzenia, zwinne były ich ruchy, a trzech pasterze usłyszeli niejeden żart, który długo im jeszcze pobrzmiwał w uszach. Słówka te wykrzykiwano wprawdzie tonem nieco drwiącym, bo mieszczuch tak samo odnosi się do pasterza, jak pasterz do mieszczycha: jeden gardzi drugim; ale mimo to ci piękni, silni, mlekiem i serem karmieni i przez cały niemal rok poJ gołym niebem przebywający chłopcy bardzo się miejskim kobietom spodobali.

Gdy Dąsa powrócił z owej uroczystości, stał się już mężczyzną, zaczął biegać za dziewczętami i musiał stoczyć niejedną ciężką walkę na pięści z chłopakami. I oto pewnego razu dotarli do innej znowu okolicy, gdzie łąki były płaskie, a sporo też było wód stojących, porośniętych sitowiem i bambusem. Tam właśnie ujrzał Dąsa dziewczynę imieniem Pravati i zapłonął szaleńczą miłością do pięknej niewiasty. Była ona córką dzierżawcy, Dąsa zaś tak był zakochany, że zapomniał o wszystkim i wszystko porzucił, byle tylko ją zdobyć. Gdy pasterze po pewnym czasie odeszli znowu z tych stron, nie słuchał ich rad i napomnień, lecz pożegnał się z nimi i z życiem pasterskim, które tak lubił, stał się człowiekiem osiadłym i doprowadził do tego, że dano mu Pravati za żonę. Uprawiał proso i ryż na polach swego teścia, pomagał w młynie i przy drewnie, zbudował żonie chatę z bambusu i gliny i trzymał ją tam w zamknięciu. Potężna musi być siła, która zdoła skłonić młodego człowieka do zrezygnowania z dotychczasowych przyjaciół, kolegów i nawyków, do odmienienia całego życia i przyjęcia wśród obcych bynajmniej nie do pozazdrozczenia roli zięcia. Lecz tak wielka była piękność Pravati, tak ogromna i kusząca zapowiedź gorących uciech miłosnych promieniająca z jej twarzy i postaci, że Dąsa oślepl na wszystko inne i całkowicie oddał się tej kobiecie i doprawdy w jej ramionach wielkiego zaznawał szczęścia. Opowiadają historie o różnych bogach i świętych, że oczarowani przez prześliczną

kobietę, całymi dniami, miesiącami i latami trzymali ją w objęciach, w jedno z nią stopieni, całkowicie zatopieni w rozkoszy, o całej reszcie życia zapomniawszy. Takiego też losu i takiej miłości pragnął Dąsa. A jednak inna czekała go dola i szczęście jego nie było długie. Trwało około roku, a nawet i ten czas nie samym tylko szczęściem był wypełniony, miejsca tam było wiele i na inne rzeczy, na uciążliwe wymagania teścia, docinki szwagrów, kaprysy młodej żonki. Ale ilekroć kładł się przy niej na posłaniu, o wszystkim zapominał, wszystko rozplywało się w nicość, tak bowiem czarodziejsko wabił jej uśmiech, tak słodko było głaskać smukłe jej ciało, że ogród jego rozkoszy rozkwitał tysiącem kwiatów, cieniów i woni.

Szczęście to jednak roku nawet jeszcze nie trwało, gdy pewnego dnia wszczął się niepokój i tumult w okolicy. Pojawili się konno gońcy, zapowiadając przybycie młodego radży, później ze świtą, końmi i ogromnym taborem przybył sam młody radża, Nala, aby bawić się w tych stronach polowaniem; tu i ówdzie rozstawiono namioty, słychać było parskanie wierzchowców i odgłos rogów. Dąsa nie troszczył się o to, pracował w polu i we młynie, schodząc z drogi dworakom i myśliwym. Lecz gdy pewnego dnia powrócił do chaty i żony tam nie zastał, choć jak najsurowiej zabronił jej podówczas wychodzić z domu, poczuł ukłucie w sercu i pojął, że nieszczęście zawisło nad jego głową. Popędził do teścia, lecz i tam nie było Pravati, wszyscy też utrzymywali, że jej nie widzieli. Trwożny ucisk serca rósł. Dąsa przeszukał grzędy kapusty w warzywniku, przeszukał pola, dzień cały i dwa dni biegał pomiędzy chatą własną i chatą teścia, czyhał na polu, zlął do studni, modlił się, wołał żonę po imieniu, wabił ją, przeklinał, szukał śladów jej stóp. Najmłodszy z jego szwagrów, chłopiec jeszcze, zdradził mu w końcu, że Pravati jest u radży, mieszka w jego namiocie, widziano, jak jechała na jego koniu. Dąsa, niewidoczny, zaczął się przy namiotowym obozowisku Nali, a miał ze sobą procę, której niegdyś używał jako pasterz. Ilekroć, w dzień czy w nocy, namiot księcia wydawał się choć przez chwilę nie strzeżony, podkładał się tam, lecz za każdym razem nie-

bawem pojawiały się straże i musiał uciekać. Z drzewa, w którego gałęziach się ukrył obserwując obóz, widział radzę, twarz jego znał już z uroczystości w mieście, była mu wstrętna, widział, jak władca wsiadał na konia, odjeżdżał, a gdy po wielu godzinach wracał, z konia zsiadał i odsuwał płachtę namiotu, Dąsa widział młodą kobietę poruszającą się w mroku namiotu i witającą powracającego, a niewiele brakowało, by spadł z drzewa, gdy w młodej kobiecie rozpoznał Pravati, własną żonę. Miał teraz pewność i ucisk jego serca wzmógł się. A choć wielkie było jego szczęście w miłości z Pravati, nie mniejsze, a nawet większe stały się teraz jego cierpienia, złość, uczucia obrazy i straty. Tak bywa, gdy człowiek odda całe uczucie jednemu tylko przedmiotowi: wraz z jego utratą zapada się. W nim wszystko, on zaś stoi, zubożały, wśród ruin.

Cały dzień i całą noc błądził Dąsa po okolicznych lasach, po każdym krótkim odpoczynku ból serca podrywał go, mimo zmęczenia biec musiał, ruszać się, zdawało mu się, że będzie tak biegł i wędrował aż na kraniec świata i aż do końca własnego życia, które blask i wartość wszelką już utraciło. Mimo to nie biegł w nieznaną dal, lecz przebywał nieustannie w pobliżu swego nieszczęścia, krążył wokół swej chaty, młyna, pól i książęcego, myśliwskiego namiotu. W końcu znowu się ukrył na drzewie nad namiotem, skulony czatował w goryczy, rozplomieniony niczym wygłodniały drapeżnik w liściastej kryjówce, aż nadeszła chwila, dla której resztki sił trzymał w napięciu, oto radża wyszedł przed namiot. Wtedy Dąsa cicho zsunął się z konaru, napiął procę i polnym kamieniem ugodził znenawidzonego władcę w czoło, tak iż ten padł i bez ruchu leżał na wznak. Wydawało się, iż nikogo przy tym nie było; poprzez wzburzenie rozkoszą zemsty, ogarniające jego zmysły, dosłyszał Dąsa dziwnie i przerażająco zapadającą na moment głęboką ciszę. I zanim jeszcze hałas wszczął się wokół zamordowanego, zanim zaroilo się od sług, Dąsa znikł już wśród drzew i pobliskich, ku dolinie schodzących, bambusowych zarośli.

Gdy zeskoczył z drzewa, gdy w upojeniu czynem napiął procę i śmierć wypuścił, czuł się tak, jakby własne życie

również gasił, ostatnie tracił siły i lecąc razem z zabójczym kamieniem spadał w przepaść zagłady, godząc się na nią, byle tylko znenawidzony wróg padł na moment przed nim. Lecz teraz, gdy odpowiedzią na jego czyn okazała się nieoczekiwana chwila ciszy, żądza życia, o której przed chwilą nic jeszcze nie wiedział, odciągnęła go od otwartej przepaści, pierwotny instynkt ogarnął jego ciało i zmysły, kazał mu biec do lasu, do bambusowych chaszcz, kazał uciekać i stać się niewidzialnym. Dopiero gdy dotarł do schronienia, uniknąwszy pierwszego niebezpieczeństwa, uświadomił sobie, co z nim się działo. Wyczerpany niezmiernie, padł, oddychając z trudem, a gdy skutek osłabienia znikło upojenie dokonanym czynem, a na jego miejscu pojawiło się otrzeźwienie, poczuł początkowo rozczarowanie i wstręt, że oto jest przy życiu i że umknął. Ledwo jednak oddech jego się uspokoił i ustał zawrót głowy z wyczerpania, mdle i przykre to uczucie ustąpiło uporowi i woli życia i raz jeszcze szaleńcza radość z dokonanego czynu przepełniła jego serce.

Niebawem ożywiło się otoczenie, rozpoczęto bowiem poszukiwanie, polowanie na mordercę, trwało ono cały dzień, a zdołał ująć przed nim tylko dlatego, że bez szelestu tkwił w kryjówce, w której zbyt głęboko nikt się nie ważył bobrować w obawie przed tygrysami. Spał trochę, potem znów czuwał, popełznął dalej, znowu odpoczął, trzeciego dnia po swym czynie znalazł się już po drugiej stronie łańcucha pagórków i uporczywie wędrował dalej, ku wysokim góróm.

Bezdomne życie wiodło go tu i ówdzie, uczyniło twardszym, obojętniejszym, także mądrzejszym i bardziej zrezygnowanym, ale nocami nieustannie śnił o Pravati i o dawnym szczęściu — czy o tym, co teraz tak nazywał — wielokroć śnił też o pościgu i ucieczce, a sny to były straszne i dręczące, jak na przykład ten, że oto ucieka przez lasy, za nim z bębniami i myśliwskimi rogami pędzi pościg, on zaś przez las, bagna, ciernie i załamujące się, zmurszałe mosty ooś niesie, ciężar jakiś, pakę, coś zawiniętego, osłoniętego, nieznanego, o czym sam tylko wie, że bardzo jest cenne i w żadnym wypadku z rąk wypuszczane być nie powinno, coś wartościowego i zagrożonego, skarb, może coś kradzionego,

co dźwiga zawinięte w chustę, w kolorowy materiał o wzorach brunatnoczerwonych i niebieskich, takich, jakie miała odświętna suknia Pravati — i że oto, obarczony tą paką, lupem czy skarbem, wśród trudów i niebezpieczeństw ucieka i skrada się, przemykając pochylony pod głęboko zwisającymi konarami i nawisami skalnymi, obok węzów, po zawrotnie wąskich kładkach bieży przez rzeki, pełne krokodyli, w końcu, wyczerpany i zziębnięty, zatrzymuje się, dłużyć zaczyna przy suple powroza, którym osznurowana jest paka, jeden po drugim owe supły rozwiązuje i chustę rozkłada, a skarb ów, który oto wyjął i trzyma w zdrętwiałych z przerażenia rękach, to jego własna głowa.

Żył w ukryciu i na wędrownicy, właściwie nie uciekając już od ludzi, lecz raczej tylko ich unikając. A pewnego dnia droga zawiodła go w okolicę pagórkowatą, porośniętą bujną trawą; wydała mu się pogodna, piękna, zdawała się witać go, jakby ją znał: raz były to pastwiska, z rozwianymi na wietrze kiściami kwitnących traw, raz grupa wierzb, którą rozpoznał, przypominająca mu miłe, niewinne czasy, gdy pojęcia nie miał jeszcze o miłości, zazdrości, nienawiści i zemście. Były to te same pastwiska, gdzie niegdyś z kolegami pasał trzodę, najpogodniejszy okres jego młodości z dalekiej, niepowracalnej głębinie patrzył oto teraz na niego. Słodki smutek w sercu odpowiadał owym głosom, tu go witającym, wiatrowi, igrającemu w srebrnie rozwianych gałęziach wierzb, skocznym, wesołym marszom małych strumyczków, śpiewom ptasim i głębokiemu, złotemu huczeniu trzmieli. Przystanią, domem brzmiało i pachniało tu wszystko, nigdzie dotąd, nawykły do koczowniczego, pasterskiego życia, nie czuł się tak zadomowiony i przynależny do okolicy.

Wiedziony w duszy tymi głosami, doznając uczuć człowieka, który powrócił do domu, szedł przez miłą okolicę, od wielu straszliwych miesięcy po raz pierwszy nie jak obcy, ścigany, śmierci przypisany zbieg, lecz z sercem ochoczym, o niczym nie myśląc, niczego nie pożądam, całkowicie oddany cichej a pogodnej teraźniejszości i bliskości, biorąc, dziękując, odrobinę sobą samym i tym nowym, niezwykłym,

po raz pierwszy i z zachwytem przeżywanym stanem duszy zaskoczony, tym otwarciem, wyzutym z wszelkich pragnień, tą radością bez śladu napięcia, pełnym uwagi i wdzięczności sposobem rozważnej rozkoszy. Przez zieleń łąk ciągnęło go do lasu, pod drzewa, w mrok, usiany drobnymi słonecznymi plamami, a tam wzmogło się w nim jeszcze uczucie powrotu i domu, wiodąc po drogach, które nogi jego same zdawały się znajdować, aż przez gęstwinę paproci, gęsty ich zagajnik pośród wielkiego lasu, dotarł do małej chatki, a przed chatą siedział na ziemi nieruchomy joga, którego niegdyś podpatrywał i mleko mu przynosił.

Dąsa stanął, jakby przebudzony. Wszystko było tu takie, jak niegdyś[^] czas tu nie upływał, nie mordowano, nie cierpiano: czas i życie zdawały się trwać tutaj, mocne jak kryształ, spokojne, wieczne. Przyjrzał się starcowi, a do serca wrócił mu podziw, miłość i tęsknota, jakich niegdyś doznał widząc go po raz pierwszy. Przyjrzał się chacie i pomyślał, że przed nastaniem następnej pory deszczowej warto by ją trochę podreperować. Potem odważył się zrobić kilka ostrożnych kroków, wszedł do wnętrza chaty, rozejrzał się, co w niej jest: niewiele było, nic prawie, posłanie z liści, misa z resztką wody i pusty worek z rafii. Wziął worek, odszedł z nim, poszukał w lesie jedzenia, przyniósł owoce i słodką drzewną miazgę, potem wziął misę i nappełnił ją świeżą wodą. Zrobił, co tylko można tu było zrobić. Tak mało trzeba człowiekowi do życia. Dąsa przykucnął na ziemi i zapadł w marzenie. Zadowolony był z tej pełnej milczenia sjęsty i marzeń w lesie, zadowolony z siebie, z głosu wewnętrznego który go przyprowadził tutaj, gdzie jeszcze jako młodzieniec odczuł niegdyś jakby dom, spokój i szczęście.

Tak więc pozostał u milczącego jogi. Odnawiał mu ściółkę na posłaniu, szukał pożywienia dla nich obu, połatał starą chatę, zabrał się do stawiania drugiej, w nieznaczej odległości, dla siebie. Starzec zdawał się go tolerować, choć w istocie trudno było poznać, czy go w ogóle dostrzega. Wstawał z medytacji jedynie po to, by udać się do chaty na spoczynek, przegryźć coś lub na małą chwilę pójść do

lasu. Dąsa żył obok czcigodnego męża niczym sługa w pobliżu wielkiego pana lub jak drobne, domowe zwierzątko, obłaskawiony ptak lub mungo, co przy człowieku żyją, usłużne i ledwo zauważalne. Ponieważ uciekając przez długi czas żył w ukryciu, niepewny, z nieczystym sumieniem, stale myśląc o pościgu, spokojne życie, łatwa praca i sąsiedztwo człowieka, zdającego się wcale nań nie zwracać uwagi, bardzo mu dobrze robiły, nie nękały go koszarne sny, przez pół dnia, a nawet i cały dzień potrafił zapominać o tym, co zaszło. O przyszłości nie myślał, a jeśli czuł tęsknotę Czy pragnienie, to tylko, aby tu pozostać przyjęty i wtajemniczony przez jogę w tajemnicę pustelniczego życia, sam stać się jogą, uczestniczyć w jodze i dumnej niedbałości o ziemskie sprawy. Zaczął coraz częściej naśladować pozycję Czcigodnego, siedział, tak jak i on, ze skrzyżowanymi nogami, bez ruchu, na równi z nim patrzył w nie znany, nierealny świat, obojętniejąc na wszystko, co go otaczało. Przeważnie szybko się przy tym męczył, sztywniały mu członki, bolały go plecy, dokuczały komary lub dziwne jakieś dolegliwości skóry, świerzbiecie i podrażnienie, zmuszające do poruszania się, podrapania, wreszcie nawet i do wstawania. Lecz parę razy doznał innych jeszcze wrażeń, czuł, jak robi się pusty, lekki, jak buja podobnie, jak się to w snach niekiedy zdarza, dotykając ziemi tylko od czasu ^ . do czasu, leciutko, a łagodnie od niej się odbijając, by znowu się unosić na podobieństwo kłaczka wełny. W takich \ chwilach jął przeczuwać, jak to być musi przy ciągłym ta-kim bujaniu, gdy ciało i dusza zatracają ciężar, współdrga-jąc w tchnieniu większego, czystszeo, słonecznego życia, uniesione i wchłonięte przez świat, ponadczasowy i niezmienny. Momenty to były jednak tylko i przecucia. A gdy, rozczarowany spadał po takich chwilach ponownie w dobrze znaną powszedniość, myślał, iż powinien doprowadzić do tego aby mistrz stał się jego nauczycielem, wprowadził go w swe ćwiczenia i tajemny kunszt, jego także uczynił jogą. Lecz jakże miało się to stać? Wydawało się, iż starzec nigdy oczami go nie dostrzega, nic też nie zapowiadało, by kiedykolwiek mieli zamienić ze sobą choć słowo. Starzec

zdawał się istnieć poza dniem i godziną, poza lasem i chatą* a także poza wszelkimi słowami.

A przecież pewnego dnia powiedział słowo. Nadszedł teraz taki czas, kiedy Dąsa noc w noc miewał znowu sny, często oszałamiająco słodkie, często też oszałamiająco straszliwe; albo śnił o swej żonie, Pravati, albo o potwornościach życia zbiega. A w dzień żadnych nie robił postępów, nie wytrzymywał długiego siedzenia i ćwiczenia, myśleć musiał o kobietach i miłości, dużo się włóczył po lesie. Może zawiniła tu pogoda, dni były bowiem duszne, z porywami gorącego wiatru. I oto znów nadszedł taki zły dzień, komary brzęczały, Dąsa miał w nocy ciężki, lęk i ucisk pozostawiający sen, którego treści wprawdzie już nie pamiętał, lecz na jawie wydał mu się on żalonym, niedozwolonym właściwie i głęboko zawstydzającym powrotem do dawnych stanów i stopni życia. Cały dzień wałęsał się chmurny i niespokojny wokół chaty, brał się do różnych robót, które zaraz porzucał, kilkakrotnie zasiadał do ćwiczeń w medytacji, lecz wówczas za każdym razem ogarniał go gorączkowy niepokój, drgawki nim wstrząsały, po nogach jakby chodziły mu mrówki, kark palił, ledwo chwilę mógł wytrzymać, nieśmiało i w zawstydzeniu zerkając ku starcowi, który w, doskonałej pozycji trwał przykucnięty, a twarz jego, z oczami do wnętrza zwróconymi, unosiła się niczym korona kwiatu, nieporuszona w ciszy- i pogodzie.

A gdy tego dnia joga podniósł się i zwrócił ku swej chatce, Dąsa, długo czekający na tę chwilę, zaszedł mu drogę i ze śmiałością człowieka wystraszonego przemówił doń:

-- Czcigodny — rzekł — wybacz, żem wtargnął w twój spokój. Szukam spokoju, szukam odpoczynku, chciałbym żyć tak, jak ty, i stać się teki, jak ty. Patrz, młody jeszcze jestem, lecz musiałem już zakosztować wielu cierpień, okrutnie igrał ze mną los. Urodzony zostałem na księcia, a wyniany do pasterzy, podostałem wesół i silny jak młody byczek i niewinne miałem serce. Potem oczy mi się otworzyły na kobiety, a gdym ujrzał najpiękniejszą, życie w jej oddałem służby, umarłbym, gdybym jej nie dostał. Opuściłem kolegów swoich, pasterzy, ubiegałem się o Pravati, do-

stałem ją, byłem zięciem i służyłem, srodze musiałem pracować, ale Pravati była moja i kochała mnie, a przynajmniej wierzyłem, że mnie kocha, co wieczór powracałem | w jej ramiona, leżałem na jej sercu. Patrz, i oto radża przy-I był w te okolice, ten sam, z powodu którego wygnano mnie I niegdyś jako dziecko, i zabrał mi Pravati, musiałem zoba-| czyć ją w jego objęciach. Największy to był ból, jakiego \ kiedykolwiek zaznałem, przemienił mnie i całe moje życie \ na wskroś. Zabiłem tego radżę, zamordowałem, wiodłem ży-J cie zbrodniarza i zbiega, wszyscy mnie gonili, ani przez \ chwilę pewien nie byłem życia, dopóki tu nie dotarłem. { Głupi ze mnie człek, o, czcigodny, zabójca, którego może jeszcze schwytają i poćwiartują. Nie mogę już znieść tego okropnego życia, chciałbym się go pozbyć.

Joga spokojnie, ze spuszczonej oczami wysłuchał tego wybuchu. Teraz otworzył oczy i zwrócił spojrzenie na twarz Dąsy, jasne, przenikliwe, niemal trudne do zniesienia, mocne, skupione i promienne spojrzenie, a gdy tak wpatrywał się w twarz Dąsy i rozpamiętywał spieszoną jego opowieść, usta jego powoli rozciągnęły się w uśmiechu, z cichym śmiechem potrząsnął głową i śmiejąc się powiedział: „Maja! Maja!”

Dąsa stał zmieszany i zawstydzony, starzec natomiast przed posiłkiem przeszedł się nieco po wąskiej ścieżce wśród paproci, miarowo i rytmicznie chodził tam i na powrót, po kilkuset krokach zawrócił, wszedł do swej chaty, twarz miał już taką jak zawsze, odwróconą od świata zjawisk. A cóż to był za śmiech, który z zawsze jednako nieporuszonego oblicza odpowiedział biedakowi Dasie! Dąsa długo o tym rozmyślał. Czy Lyl to śmiech życzliwy, czy serdeczny, straszny śmiech w chwili rozpaczliwego wyznania i błagania Dąsy, pocieszający czy potępiający, boski czy demoniczny? Czy był to tylko cyniczny, starczy chichot, oznaczający, iż starzec niczego już nie pojmuje, czy też śmiech mędrca z cudzej głupoty? Czy może był ów śmiech oznaką niechęci, pożegnaniem, odprawieniem? Czy też miał być radą, wezwaniem Dąsy, aby poszedł za przykładem sędziwego pustelnika i sam również śmiać się zaczął? Dąsa nie potrafił

tego odgadnąć. Do późna w noc zastanawiał się jeszcze nad tym śmiechem, w który starzec zdawał się obracać całe życie Dąsy, szczęście jego i biedy, w myśli przeżuwał ów śmiech niczym twardy korzeń, który przecież jednak ma jakiś smak i zapach. I tak samo przeżuwał owo słowo, które starzec tak promiennie wykrzyknął, tak wesoło i nad podziw radośnie je wśród śmiechu dobył, męczył się i zastanawiał nad nim: „Maja, Maja!” Na poły wiedział, co mniej więcej oznacza to słowo, na poły wyczuwał jego znaczenie, a sposób, w jaki śmiejący się starzec je wykrzyknął, pozwalał także domyślać się jego sensu. Maja to było życie Dąsy, jego młodość, słodkie szczęście i gorzkie nieszczęście, Maja to była piękna Pravati, Maja to miłość i rozkosz miłosna, życie całe, życie Dąsy i życie wszystkich ludzi, wszystko w oczach tego starego jogi było Mają, było jakby dzieciństwem, igraszką, teatrem, mrzonką, nicością obleczoną w barwną skórę, bańką mydlaną, nad którą z jakimś zachwytem śmiać się można, gardząc nią jednocześnie, w żadnym jednak wypadku poważnie jej nie traktując.

Lecz jeśli dla starego jogi życie Dąsy przez śmiech ów i słowo „Maja” wydawało się załatwione i odrzucone, dla samego Dąsy bynajmniej tak nie było, a choć chciałby niezmiernie stać się także roześmianym jogą i w życiu swym nic nie dostrzegać prócz Mai, właśnie podczas tych niespokojnych dni i nocy ocknęło się i ożyło w nim znowu wszystko, o czym po wielkim wyczerpaniu w okresie ucieczki tu, w tym schronieniu zdawał się przez pewien czas zapominać. Nikła niezmiernie wydała mu się nadzieja, iż zdoła kiedykolwiek naprawdę nauczyć się sztuki jogi, a cóż dopiero dorównać starcowi. A skoro tak — jakż jeszcze sens miało dlań dalsze przebywanie w tym lesie? Był mu on schronieniem, odetchnął tutaj trochę, zebrał siły, oprzytomniał nieco, a i to było już wiele, i to było cenne. A może tymczasem poniechano już w kraju polowania na mordercę księcia i będzie oto mógł, nie narażając się na niebezpieczeństwa, powędrować dalej. Postanowił tak uczynić, wyruszając już nazajutrz, świat był wielki, on zaś nie mógł przecież stale

tkwić w tej kryjówce. I decyzja ta przywróciła mu po trochu spokój.

Wyruszyć chciał o świcie, lecz gdy zbudził się z długiego I snu, słońce już było na niebie, joga zaś rozpoczął już byłj swą medytację, a Dąsa bez pożegnania z nim odejść **niej** chciał, najał też jeszcze do niego prośbę. Czekał więc przez kilka godzin, aż wreszcie pustelnik wstał, przeciągnął się i jął spacerować. Dąsa zaszedł mu wówczas drogę, składając pokłony i nie ustając, dopóki mistrz jogi nie zwrócił nań pytającego spojrzenia.

— Mistrzu — przemówił wówczas pokornie Dąsa — idę 1 dalej swoją drogą, nie będę już zakłócać ci spokoju. Ale jesz- || cze ten jeden raz pozwól mi, o, czcigodny, na prośbę. Gdy opowiedziałem ci moje życie, zaśmiałeś się i zawołałeś „Ma- ja”. Błagam cię, daj mi się czegoś więcej dowiedzieć o Mai.

Joga zawrócił do chaty, a spojrzeniem nakazał, by Dąsa poszedł za nim. Starzec chwycił misę z wodą, podał ją Dąsie i kazał mu umyć ręce. Dąsa posłusznie rozkaz ów wypełnił. Potem mistrz wylał resztę wody z misy na paprocie, podsunął ją, już pustą, młodemu i kazał przynieść świeżej wody. Dąsa usłuchał i pobiegł, uczucie rozstania przenikało mu serce, bo oto po raz ostatni szedł wąską ścieżką do źródła, po raz ostatni niósł lekką misę, o gładkich od zużycia wyszlifowanych brzegach ku niewielkiemu lustru wody, w którym odbijały się paprocie, sklepienie korony drzew i rozszianymi, jasnymi punktami także łagodny błękit nieba, wody, w Której brunatnym mroku, gdy schylił się nad nią, także po raz ostatni ujrział wizerunek własnej twarzy. Zanurzył misę w wodzie, powoli, w zamyśleniu, czuł jakąś niepewność, której nie potrafił sobie wyjaśnić, dziwnie mu było, nie pojmował także dlaczego, skoro zdecydował się już przecież na wędrówkę, przykro mu się zrobiło, że starzec nie zaprosił go, by został jeszcze trochę, może na zawsze.

Przykucnął na skraju źródła, pociągnął łyk wody, podniósł się ostrożnie z misą, by niczego nie uronić i już chciał ruszyć w krótką powrotną drogę, gdy ucho jego podchwyciło dźwięk, zachwycający go i przerażający, głos, który słyszał

w niejednym ze swoich snów i o którym częstokroć w gorzkiej tęsknocie rozmyślał także na jawie. Słodko brzmiał ąw głos, słodko, dziecięco i miłośnie wabił w leśnej pomroce, aż serce Dąsy zdrząło z rozkoszy i lęku. Był to głos Pravati, jego żony. „Dąsa” — wabiła go. Rozejrzał się dokoła z niedowierzaniem, nadal trzymając jeszcze w rękach misę z wodą i oto nagle pojawiła się pośród pni drzewnych, smukła i giętka, na wysokich nogach, Pravati, jego ukochana, niezapomniana, niewierna. Dąsa upuścił misę i pobiegł naprzeciw miłej. Stała przed nim uśmiechnięta i nieco zawstydzona, spoglądając wielkimi sarnimi oczami, a teraz z bliska, przekonał się także, że miała sandały z czerwonej skóry, ubrana była w bardzo piękne, bogate szaty, na ręce miała złotą bransoletę, a w czarnych włosach migocące, barwne, kosztowne klejnoty. Odskoczył od niej. Czyż nadal jeszcze była księżącą nałożnicą? Nie zamordował więc owego Nala. A ona dalej biegła, obwieszona jego darami? Jakże śmiała, ozdobiona owymi klejnotami i klamrami, stanąć przed nim i wołać go po imieniu?

Piękniejsza była jednak niż kiedykolwiek, a zanim zdołał zażądać od niej wyjaśnień, musiał, mimo wszystko, chwycić ją w objęcia, czołem swoim dotknąć jej włosów, twarz jej przyciągnąć ku sobie, ucałować jej usta, a gdy to czynił, poczuł też, że oto powróciło do niego wszystko, co kiedykolwiek posiadał i znowu doń należało: szczęście, miłość, rozkosz, radość życia, namiętność. Wszystkimi myślami był już bardzo daleko od tego lasu i starego pustelnika, las, pustelnia, medytacja i joga nic dlań już nie znaczyły, znikły z jego pamięci, nie myślał już nawet o misie z wodą, którą miał przynieść starcowi: porzucił ją przy źródle, biegnąc z Pravati na skraj lasu. Ona zaś jęła co prędzej opowiadać mu, w jaki sposób tu dotarła i jak się to wszystko odbyło.

Przedziwna była jej opowieść, przedziwna, zdumiewająca, zachwycająca i bajeczna: Dąsa doprawdy jak w bajce biegł w nowe swoje życie. Nie tylko bowiem Pravati znowu była jego, nie tylko ów znienawidzony Nala nie żył już, a ścigania jego mordercy od dawna zaniechano, okazało się

ponadto, że Dasę, pierwородnego syna księżęcego, co ongi I pastuchem został, ogłoszono w mieście prawowitym dziedzi-1 cem i panem, pewien stary pasterz i stary bramin przy-1 pomnieli niemal zapomnianą już historię jego wygnania,! była ona teraz na ustach wszystkich i tego samego człowie-1 ka, którego przez pewien czas poszukiwano wszędzie jako I mordercy Nali, by go torturować i zabić, szukano obecnie! w całym kraju znacznie skwapliwiej, by ogłosić go radzą I i uroczyście wprowadzić do miasta i pałacu jego ojca. Był to jak sen, a zaskoczonemu Dasie spodobało się najbardziej,! iż szczęśliwy przypadek zdarzył, że ze wszystkich wyprą-1 wionych na poszukiwania wysłanników właśnie Pravati by-1 ła tą, która go odnalazła i pierwsza powitała. Na skraju | lasu zastał stojące namioty, unosiła się tam woń dymu i dzi-1 czyny. Pravati została głośno powitana przez swoją świtę i niebawem, gdy ujawniła, że jest z nią już Dąsa, mąż jej, rozpoczęła się wielka uroczystość. Był tam także człowiek, który niegdyś wraz z Dasą przebywał wśród pasterzy, on to przywiódł tutaj Pravati wraz z jej świtą, na miejsce, gdzie dawniej niegdyś koczowali. Człek ów roześmiał się radośnie, poznawszy Dasę, wybiegł mu na spotkanie i chy-1 ba poklepałby go przyjaźnie po ramieniu albo uściskał, lecz dawny jego towarzysz był teraz przecież radzą, pasterz te- • dy zatrzymał się nagle w biegu, jak porażony, jął iść dalej już powoli i z szacunkiem, a powitał Dasę głębokim pokło-^ nem. Dąsa podniósł go, uściskał, czule powitał po imieniu,] pytając, czym może go obdarować. Pasterz poprosił o ja-1 łówkę, posłano mu więc trzy jałówki z najlepszej hodowli| radży. A nowemu księciu nieustannie prezentowano nowyc ludzi, urzędników, nadleśniczych, nadwornych braminów,) przyjmował tedy ich powitania, zastawiono ucztę, rozległa się muzyka bębnów, gitar i piszczałek, a cała ta wspania-1 łość i uroczystość wydawała się Dasie jakby snem, nie mógł w nią naprawdę uwierzyć, realna była dlań na razie tylko Pravati, młoda żona, którą trzymał w objęciach.

W krótkich, dziennych podróży zbliżył się orszak do miasta, przodem wysłano gońców, rozgłaszających rados-1 wieść, że młody radza został odnaleziony i już się zbliżaj

a gdy ukazało się miasto, pełne dźwięku gongów i bębnow i uroczysta, w biel przyodziana procesja braminów wyszła mu naprzeciw, na czele jej kroczył następca owego Vasudevy, który niegdyś, przed dwudziestu chyba laty, wysłał Dasę do pasterzy, sam zaś niedawno zmarł. Bramini powitali Dasę śpiewając hymny, a przed pałacem, do którego go prowadzili, rozpalono kilka wielkich ofiarnych ognisk. Dasę wprowadzono do jego domu, nastąpiły dalsze jeszcze powitania i hołdy, błogosławieństwa i radość otoczyły go i tutaj. A całe miasto aż do późna w noc wesoło świętowało.

Pouczany codziennie przez dwóch braminów, przyswoił sobie Dasa wkrótce całą niezbędną wiedzę, asystował przy ofiarach, sprawował sądy, ćwiczył się w rycerskim i wojowniczym kunszcie. Bramin Gopala wprowadził go w politykę, przedstawił mu sytuację jego samego, jego rodu i praw takowego, roszczenia jego przyszłych synów, wliczył także jego wrogów. Wśród nich przede wszystkim wymienić należało matkę Nali, tę właśnie, która niegdyś pozbawiła księcia Dasę jego praw i nastawała na jego życie, teraz zaś musiała ponadto nienawidzić w jego osobie mordercę swojego syna. Uciekła ona i oddała się pod opiekę sąsiedniego księcia Govindy, mieszkając w jego pałacu, a ów Govinda i ród jego od dawna należeli do y/rogów, niebezpieczni byli wielce i już z dziadem i pradziadem Dasy staczali wojny, roszcząc sobie prawa do pewnych części jego księstwa. Natomiast sąsiad z południa, książę Gaipali, przyjaźnił się z ojcem Dasy, a zamordowanego Nali ścierpieć nie mógł, ważnym zatem było obowiązkiem odwiedzić go, obdarować i zaprosić na najbliższe polowanie.

Pravati całkowicie już wrosła w arystokrację, umiała zachowywać się jak księżna, a we wspaniałych szatach i klejnotach wyglądała wprost cudownie, jak gdyby co najmniej równa była urodzeniem małżonkowi swemu i panu. Szczęśliwie się kochając żyli oboje wiele lat, a owo szczęście otoczyło ich aureolą i blaskiem ludzi uprzywilejowanych przez bogów, tak iż lud czcił ich i miłował. A gdy po długim, daremnym wyczekiwaniu Pravati urodziła Dasie wreszcie pięknego syna, którego po własnym ojcu obdarzył imieniem

Ravana, szczęście jego stało się zupełne, wszystko zaś, co posiadał: ziemia, władza, domy, stajnie, mleczarnie, stada i konie, uzyskało teraz w jego oczach podwójne znaczenie, podwójnej nabrało wartości, świetności i doniosłości: wszystkie te bogactwa bowiem cieszyły go i radowały, gdy otaczały Pravati, przyczyniały się do uświetnienia jej strojów i ozdób i do składania jej hołdów, lecz obecnie były jeszcze piękniejsze, miłsze i ważniejsze jako dziedzictwo i przyszłe szczęście syna, Ravany.

Pravati cieszyły przede wszystkim uroczystości, pochody, liczne wspaniałe stroje, klejnoty i wielka liczba służby, natomiast ulubioną rozrywką Dasy był ogród, w którym kazał zasadzić cenne, rzadko spotykane odmiany drzew i kwiatów, trzymał tam również papugi i inne barwne ptaki, gdyż miał zwyczaj codziennie je karmić i rozmawiać z nimi. Prócz tego pociągała Dasę uczoność i jako wdzięczny uczeń braminów przyswoił sobie wiele wierszy i przysłów, sztukę pisania i czytania, trzymał też własnego pisarczyka, umiejącego przygotować zdatny do pisania materiał z palmowego liścia, tak iż pod delikatnymi jego rękami jęła powstawać niewielka biblioteka. Tu, wśród książek, w niewielkim a bogatym pomieszczeniu o ścianach z szlachetnego drewna, pokrytego całkowicie rzeźbami z życia bogów, po części złożonymi, wzywał Dasa niekiedy zaproszonych braminów, elitę myślicieli i uczonych spośród kapłanów, do dyskusji na święte tematy: na temat stworzenia świata i Mai, wielkiego Wisznu, świętych Wedów, potęgi ofiary i większej jeszcze siły pokuty, dzięki którym śmiertelnik nawet do tego doprowadzić może, że bogowie zadrżą z lęku przed nim. Ci spośród braminów, którzy najlepiej przemawiali, dyskutowali i argumentowali, otrzymywali wielkie dary, niejeden w nagrodę za zwycięską dyskusję odprowadzał piękną krowę, tak iż nie brakło niekiedy równie wzruszających, co zabawnych momentów, gdy owi wielcy uczeni, którzy przed chwilą jeszcze recytowali wersety Wedów, objaśniali je, orientując się znakomicie we wszystkich niebiosach i morzach świata, dumni teraz i nadęci wyrusza-

w powrotną drogę z owymi honorowymi darami albo też, pełni zazdrości, klótnie o nie wszczynali pomiędzy sobą.

W ogóle zresztą księciu Dąsa wśród wszystkich bogactw, szczęścia, ogrodu i ksiąg wydawało się niekiedy to wszystko, **co** przynależne jest do życia i człowieka, osobliwe a podejrzane, wzruszające, a jednocześnie śmieszne, jak na przykład owi próżności pełni mądrzy bramini; jasne, a zarazem ciemne, godne zarówno pożądanego, jak i pogardy. I gdy sycił oczy widokiem kwiatów lotosu na sadzawkach w swoim ogrodzie, igraszkami barw, jakimi mieniło się upięznie jego pawie, bażantów i dzioborożców, połączanymi rzeźbami pałacowymi, wydawało mu się to wszystko niekiedy jakby boskie, wiecznym płomieniem życia przesycone, lecz w innych chwilach, a nawet równocześnie, czuł we wszystkim coś nierealnego, nierzetelnego, podejrzanego, jakąś skłonność ku przemijaniu, rozwiewaniu się, gotowość do zapadnięcia się z powrotem w bezkształt i chaos. Podobnie jak on sam, książę Dąsa, był księciem, potem pasterzem, z kolei mordercą i człkiem wyjętym spod prawa, wreszcie znowu wstąpił na tron władcy, nie wiadomo za wsparciem i przyczyną jakich mocy, niepewny jutra i dnia pojutrzejszego, życiowe igraszki Mai wszędzie zawierały jednocześnie to, co szczytne i co pospolite, wieczność i śmierć, wielkość i śmieszność. Nawet ona, ukochana, piękna Pravati kilkakrotnie przez moment wydała mu się czarą pozbawioną i śmieszna, zbyt wiele miała bransolet na ramionach, nadmiar dumy i triumfu w spojrzeniu, zbyt widoczny był w jej sposobie chodzenia wysiłek o utrzymanie godności.

Lecz bardziej jeszcze niż ogród i książki lubił Dąsa swego synka, Ravanę, spełnienie całej miłości i istnienia, cel wszelkich jego czułości i trosk, delikatne, piękne dziecko, prawdziwe książętko, o oczach sarnich, jak matka, a skłonne do zadumy i marzeń, jak ojciec. Nieraz, gdy widział malca w ogrodzie, długo stojącego przed ozdobnym jakimś drzewem lub przykucniętego na dywanie i zatopionego w oglądaniu jakiegoś kamienia, rzeźbionej zabawki czy ptasiego piórka, z brwiami uniesionymi nieco i spokojnym, jakby trochę nieobecny, nieruchomym spojrzeniem, wydawa-

ło mu się, że syn bardzo jest do niego podobny. A jak ogromnie go kocha, przekonał się Dąsa dopiero wówczas, gdy pewnego razu musiał opuścić pałac na czas nieokreślony. Pewnego dnia bowiem przybył spieszenie goniec z okolic, gdzie kraj Dąsy graniczył z ziemią sąsiada, Govindy, meldując, że ludzie Govindy wdarli się tam przemocą, pokradli i bydło, a także schwytali i uprowadzili ze sobą część ludzi. Dąsa przygotował się natychmiast, dowódca gwardii przy-1 bocznej kazał zabrać z tuzin konnych i ruszył w pościg za rabusiami, a wówczas właśnie, gdy w chwili odjazdu uniósł] w objęciach synka i ucałował go, miłość poruszyła jego ser-1 ce jak płomienny ból. A z tego płomiennego bólu, którego siła zaskoczyła go, wydając się jakby ostrzeżeniem z nieznanego świata, podczas długiej konnej jazdy zrodziła się I świadomość i zrozumienie. Jadąc konno, jał bowiem zastanawiać się, z jakiego to powodu dosiadł rumaka, tak spieszenie a srogo pędząc przed siebie, jaka to w istocie siła zmusza go do takiego czynu i trudu. Rozważył tę sprawę i pojął, że w głębi serca nie obchodzi go ani nie boli, gdy gdzieś nad granicą zrabują mu bydło i ludzi, że kradzież taka i po-1 gwałcenie jego praw książęcych nie wystarczyłyby jeszcze, aby rozpląmienić w nim gniew i nakłonić do czynu, że bardziej zgodne z jego naturą byłoby zbyć ową wieść o zrabowanym bydłu jedynie pełnym współczucia uśmiechem. Lecz wiedział, iż wyrządziłby wówczas wielką krzywdę gońcowi, który pędził z ową wieścią aż do całkowitego wyczerpania, jak również ludziom, którzy zostali ograbieni, a także tym, co z kraju swojego i spokojnego życia uprowadzeni zostali w kraj obcy i niewolę. Tak, a wszystkim innym swoim poddanym, którym ani włos z głowy nie spadł, także, rezygnując z wojowniczej pomsty, uczyniłby krzywdę, z trudem by to zniesli, pojąć nie mogąc, że ich książę nie broni należyście swoich ziem, tak iż żaden z nich, gdyby i jego jaka przemoc kiedy dopadła, liczyć nie może na pomoc i pomstę. Pojął, że obowiązkiem jego jest przedsięwziąć tę mściwą wyprawę. Lecz czymże jest obowiązek? Ileż jest obowiązków, które tak często i bez najmniejszego poruszenia serca zaniedbujemy! Na czym więc polega, że ów obowiązek pomsty

do tych obojętnych nie należy, że zaniedbać go Dąsa nie może, nie może też spełnić go niedbale, niejako połową serca lecz musi to zrobić z zapalem i namiętnością? Ledwo pojawiło się w nim to pytanie, serce jego dało już odpowiedź, raz jeszcze zadrgawszy tym samym bólem, co przy pożegnaniu z książką Ravaną. Jeśli książkę — pojął teraz — dałby sobie bez oporu zabierać bydło i ludzi, rabunek i przemoc zaczęłyby zbliżać się do granic jego kraju coraz bardziej, a w końcu wróg stanąłby tuż przed nim, zadając mu cios największy i najboleśniejszy, sięgając po jego syto! Syna by mu porwali, następcę, porwaliby go i zabili, może wśród męczarni, a byłby to ból największy, jaki by przeżyć zdołał, gorszy, stokroć nawet gorszy od śmierci Pravati. Dlatego właśnie tak pilnie pędził przed siebie na koniu i tak skorym do wypełniania swych obowiązków był księciem. Nie czynił tego z wrażliwości na stratę bydła i ziemi ani z dobroci względem poddanych, ani w imię honoru, odziedziczonej po ojcu godności księcia, tylko z gwałtownej, bolesnej, bezsensownej miłości do dziecka, z gwałtownego i bezsensownego lęku przed bólem, jaki mu utrata tego dziecka mogła sprawić.

Tak podczas owej konnej jazdy porządkował myśli. Nie udało mu się zresztą doścignąć ani ukarać ludzi Govindy, umknęli wraz ze swym łupem, by zaś okazać niezłomną wolę i dać dowód odwagi, musiał z kolei Dąsa przedrzeć się przez granicę, zniszczyć sąsiadowi wioskę, uprowadzić mu nieco bydła i paru niewolników. Nie było księcia przez kilka dni, lecz podczas zwycięskiego powrotu do pałacu zatopił się znowu w głębokich rozmyślaniach, cichy bardzo i jakby zasmucony wrócił do domu, w trakcie rozmyślań pojął bowiem, jak mocno i na wskroś beznadziejnie całą swoją naturą i działalnością uwikłany jest i uwięziony w zdradliwej sieci. Chociaż bowiem stale wzrastała jego skłonność do rozmyślań, potrzeba cichej medytacji, biernego, niewinnego życia, z drugiej strony z miłości ku Ravanie, z lęku i troski o niego, jego życie i przyszłość, wzrastał też jednocześnie przymus aktywności i wzrastały powikłania: z czułości wyrastały spory, z miłości — wojna; już przecież jedynie po

to, aby być sprawiedliwym i ukarać, zrabował stado, śmier-
telnym lękiem napełnił całą wieś, biednych, niewinnych lu-
dzi uprowadził siłą, a stąd, oczywiście, nowa wyrośnie
zemsta i przemoc i tak dalej i dalej, aż całe jego życie i kraj
obróci się jeno w wojnę, przemoc i szcęk oręża. Wizja ta
czy przekonanie sprawiły, że po powrocie tak bardzo cichy
był i pełen smutku.

A wrogą sąsiad istotnie nie dawał spokoju. Powtarzał swoje
wypadki i wyprawy rabunkowe. Dąsa, aby go ukarać i
powstrzymać, musiał także wyruszać, a jeśli wróg przeciw
nim umykał, znosić musiał nowe krzywdy wyrządzane przez jego
żołnierzy i strzelców sąsiadowi. W stolicy pojawiało się coraz
to więcej i więcej konnych i zbrojnych, w niektórych
przygranicznych stale teraz stali żołnierze na straży,
przygotowania i narady wojenne wносиły niepokój w każdy
dzień. Dąsa zrozumieć nie potrafił, jaki sens i pożytek może
ta wieczna podjazdowa wojna, żal mu było cierpiącej
ludności, życia zabitych, żal mu było własnego ogrodu
i książek, z których coraz bardziej musiał rezygnować, żal
dawnych spokojnych dni i własnego serca. Mówił o tym
kilkakrotnie z żoną swoją, Pravati, częściej jeszcze z
bramiaeni Gopala. Należy, twierdził, dążyć do tego, aby jeden z
szanowanych, okolicznych książąt wezwany został na rozjemcę
i uczynił pokój, on zaś sam, Dąsa, gotów o choczko ustąpić,
jeśli ustepliwością i rezygnacją z paru pastwisk i wsi zdoła
dopomóc w przywróceniu pokoju. Rozczarowany był i po
trochu zniechęcony, gdy przekonał się, że ani bramin, ani
Pravati nawet słyszeć o tym nie chcą.

Różnica zdań na ten temat doprowadziła nawet do nader
gwałtownego starcia z Pravati: doszło między nimi aż do
całkowitego poróżnienia. Usilnie a błagalnie przedstawiał
jej Dąsa swe powody i myśli, lecz ona przyjmowała każde
słowo tak, jakby zwrócone było nie przeciwko wojnie i nie-
potrzebnej masakrze, lecz wyłącznie przeciw jej osobie.
W płomiennej i burzliwej przemowie pouczyła go, że zamiar-
em wroga jest właśnie wykorzystać jego dobroduszość
oraz umiłowanie pokoju (by już nie rzecz: jego strach przed
wojną) na korzyść własną, doprowadzi więc do tego, że za-

wierać zacnie jeden pokój po drugim, za każdy z nich płacąc niewielkimi rezygnacjami z ziemi i ludzi, w końcu zaś wróg bynajmniej nie okaże się zadowolony, lecz gdy tylko dostatecznie go już osłabi, przejdzie do otwartej wojny, aby pozbawić go już ostatnich resztek. Nie o stada, wsie, dobre czy złe strony tutaj chodzi, lecz o wszystko, o istnienie lub nieistnienie. Jeśli zaś Dąsa sam nie wie, co winien swej godności, synowi swemu i żonie, ona właśnie musi go tego nauczyć. Płonęły jej oczy, głos drżał, od dawna nie widział jej Dąsa tak pięknej i pełnej namiętności, lecz czuł jedynie smutek.

A tymczasem napady przygraniczne i naruszanie pokoju trwały nadal, dopiero wielka pora deszczowa położyła im chwilowo kres. Natomiast na dworze Dąsy utworzyły się teraz dwie partie. Jedna, partia pokoju, była nader nieliczna, prócz samego Dąsy należało do niej zaledwie kilku starszych braminów, uczonych, w medytacjach zatopionych mężów. Ale partia wojenna, partia Pravati i Gopali, miała po swojej stronie większość kapłanów i oficerów. Zbrojono się z zapalem, wiedząc, że za granicą wrogi sąsiad czyni to samo. Chłopca Ravanę dowódca strzelców uczył strzelać z łuku, a matka zabierała go na wszystkie przeglądy wojsk.

Dąsa wspominał niekiedy w owym czasie las, w którym przebywał niegdyś jako biedny zbieg, oraz siwowłosego starca, pustelnika, pogrążonego w medytacji. Wspominał go niekiedy, pragnąc go odwiedzić, ujrzeć znowu, usłyszeć jego rady. Ale nie wiedział, czy starzec jeszcze żyje, ani też, czy zechce go wysłuchać i rady mu udzielić, gdyby zaś istotnie żył i dał mu jaką radę, wszystko mimo to potoczyłoby się swoim torem i nic zmienić by nie było można. Medytacja i mądrość były wielce dobre i szlachetne, lecz wydawało się, iż rozwijają się jedynie na uboczu, na skraju życia, a dla każdego, kto w rzece życia płynie, walcząc z jej falami, czyny jego i cierpienia nic z mądrością nie mają wspólnego, wynikają samorzutnie, losem są. trzeba ich dokonywać i znosić je. Bowiem inni także nie żyli wśród wiecznego pokoju i wiekuistej mądrości, również znali niebezpieczeństwa i lęk, walkę i bitwę, wiedział o tym Dąsa z licznych

opowieści. Tak tedy Dąsa poddał się, nie sprzeczał już z Pravatą, jeździł konno na przeglądy wojsk, widział, że zbliża się wojna, przeczuwał ją już w nękających go nocą snach. Postać jego wychudła, twarz pociemniała, a jednocześnie czuł, jak wędnie i blednie jego szczęście i radość życia. Po- została mu jedynie miłość do dziecka, wzrastając wraz z troskami, ze zbrojeniami i ćwiczeniami wojskowymi, była czerwonym, płonącym kwiatem w jego opustoszałym ogrodzie, i Dziwił się Dąsa, jak wielką pustkę i wielki brak radości i znieść można, jak dalece można przywyknąć do trosk i smutków, dziwił się także, jak płomiennie i wyłącznie! rozkwitnąć zdołała w sercu jego, pozornie pozbawionym już namiętności, ta trwożliwa i trosk pełna miłość. Jeśli życie Dąsy było może pozbawione sensu, miało mimo wszystko ośrodek swój i centrum, obracało się bowiem wokół miłości do syna. Dla niego to podnosił się rankiem z posłania, cały dzień spędzając na zajęciach i trudach, których celem była wojna, a z których każde było mu wstrętne. Dla niego cierpliwie kierował naradami dowódców i o tyle tylko przeciwstawiał się uchwałom większości, że przynajmniej można było jeszcze czekać, a nie rzucać się całkiem już na oślep w wojenną przygodę.

I podobnie jak radość życia, ogród i książka stopniowo stały mu się obce i niewierne — czy też on im — obca też i niewierna stała mu się ta, która przez tak wiele lat była szczęściem i rozkoszą jego życia. Od polityki wszystko to się zaczęło: gdy Pravati wygłosiła do niego namiętną przemowę, w której lęk jego przed grzechem i umiłowanie pokoju otwarcie niemal wyszydziła jako tchórzostwo, z rozplamioną twarzą prawiąc o honorze książęcym, bohaterstwie i hańbie, wówczas zaskoczony Dąsa, z nagłym uczuciem zawrotu głowy, poczuł i przekonał się niespodzianie, jak bardzo żona oddaliła się od niego, a może on od niej. A od tej chwili przepaść pomiędzy nimi zwiększyła się i stale jeszcze powiększała, a żadne z obojga nie czyniło nic, by temu zapobiec. A raczej Dąsa powinien był taką podjąć próbę, ponieważ ową przepaść właściwie on tylko dostrzegał, a w wyobrażeniu jego stawała się ona coraz bardziej ogromną, istną

przepaścią świata pomiędzy mężczyzną i kobietą, między Tak i Nie, między duszą i ciałem. Gdy cofał się myślami, wydawało mu się, że jasno dostrzega wszystko: jak niegdyś czarodziejsko piękna Pravati wzbudziła w nim miłość i igrała z nim, dopóki nie porzucił swych kolegów, przyjaciół, pasterzy i własnego, tak dotąd radosnego pasterskiego życia, dla niej żyjąc pośród obcych, jak sługa, zięciem będąc w domu niedobrych ludzi, którzy wykorzystywali jego zakochanie, by dla nich pracował. Potem pojawił się ów Nala i zaczęło się nieszczęście Dąsy. Nala zwabił jego żonę, bogaty, strojny radża, jego piękne szaty i namioty, kon[^]s i służba uwiiodły ubogą i nie nawykłą do zbytku kobietę, niewiele go to z pewnością trudu kosztowało. Ale — czy doprawdy mógłby ją być tak szybko i łatwo uwieść, gdyby w duszy wierna była i skromna? Cóż, radża zatem uwiiodł ją czy po prostu wziął, zadając Dasie najohydniejszy ból, jaki dotąd przeżył. Lecz właśnie on, Dąsa, pomścił się, zabił złodzieja swego szczęścia, była to dlań chwila wielkiego triumfu. Ledwo przecie tego czynu dokonał, musiał rzucić się do ucieczki: dniami, tygodniami i miesiącami krył się po krzakach i zaroślach, wyjęty spod prawa, nie ufając żadnemu człowiekowi. A cóż robiła przez ten czas Pravati? Nigdy jakoś zbyt szczegółowo mowy między nimi o tym nie było. W każdym razie do ucieczki za nim się nie rzuciła, a szukała go i znalazła wtedy dopiero, gdy z racji swego urodzenia ogłoszony został księciem, ona zaś potrzebowała go, by zasiąść na tronie i wejść do pałacu. Wtedy się pojawiła, zabrała go z lasu i sąsiedztwa czcigodnego pustelnika, przyodziano go w piękne szaty, uczyniono radżą, wszystko przemieniło się wyłącznie w świetność i szczęście — lecz w istocie, cóż wówczas opuścił i na co zamienił? Zamienił na świetność i obowiązki księcia, początkowo łatwe, z czasem coraz to trudniejsze, zamienił na odzyskanie pięknej żony, na słodkie, miłosne z nią chwile, a potem pojawił się syn, miłość do niego, wzrastająca troska o zagrożone jego życie i szczęście, lak iż oto teraz wojna stała u wrót. Oto, co przyniosła mu Pravati, gdy odkryła go wówczas w lesie, przy źródle. Cóż natomiast oddał i porzucił? Porzucił spokój la-

su, nabożnej samotności, oddał sąsiedztwo i przykład świętego jogi, porzucił nadzieję na zostanie jego uczniem i następcą, na głęboki, promienny, niewzruszony spokój duszy mędrca i uwolnienie z walk i napiętności życia. Uwieziony piękną Pravatą, oczarowany kobietą, zarażony jej ambicją, opuścił drogę, na której wyłącznie i tylko zdobyć można wolność i spokój. Taka wydała mu się obecna historia jego życia, a istotnie łatwo tak można było ją wyłożyć niewielu tylko dokonać należało retuszy i opuszczeń, tak ją ujrzeć. Albowiem, między innymi, pominął Dasa okoliczność, że bynajmniej nie był jeszcze uczniem pustelnika! a nawet zamierzał właśnie znowu i z własnej woli go opuścić. Tak to łatwo wypaczają się sprawy, gdy spoglądamy wstecz.

Całkiem odmiennie patrzyła na owe sprawy Pravatą, choć znacznie mniej o nich rozmyślała niż jej małżonek. Nad Nalą nie zastanawiała się wcale. Natomiast, jeśli jej pamięć nie myliła, ona to tylko i wyłącznie spowodowała i ugruntowała szczęście Dasy, znowu uczyniła go radzą, obdarowała synem, bez miary darzyła miłością i szczęściem, by wreszcie przekonać się, że do wielkości nie dorósł i okazał się niegodny jej dumnych planów. Pojmowała bowiem doskonale, że zbliżająca się wojna doprowadzić musi do zniszczenia Govindy, a do podwojenia jej władzy i stanu posiadania. Zamiast cieszyć się z tego i usilnie pracować, Dasa wzbraniał się, zgoła nie po książęcemu, jak się jej wydawało, przed wojną i podbojami, a najchętniej, nic nie robiąc, zestarzałby się wśród swych kwiatów, drzew, papug i książek. W porównaniu z nirn Wiszwamitra, naczelnym dowódcą jazdy, a oprócz niej najbardziej też płomienny zwolennik przysłej wojny i zwycięstwa, był całkiem innym człowiekiem. I wszelka próba porównania tych dwóch wypaść musiała na korzyść wodza.

Dasa widział doskonale, jak bardzo żona jego zaprzyjaźniła się z owym Wiszwamitra, jak dalece go podziwiała i pozwalała sobie podziwiać temu pogodnemu, dzielnemu, może cokolwiek powierzchownemu i niezbyt mądrymu oficerowi, o donośnym śmiechu, pięknych mocnych zębach i wypie-

łęgowanej brodzie. Patrzył na to z goryczą i pogardą jednocześnie, z szyderczą jakąś obojętnością, którą sam przed sobą udawał. Nie szpiegował i wiedzieć nie chciał, czy przyjaźń tych dwojga przestrzega dozwolonych granic obyczajności, czy nie. Przypatrywał się Pravati, zakochanej w przystojnym jeźdźcu, i jej gestowi, którym stawiała go na miejscu bardziej uprzywilejowanym niż jej niezbyt bohaterski małżonek, z tą samą zewnętrznie obojętną, wewnętrznie pełną jednak gorczy biernością, z jaką przyzwyczył się traktować wszelkie wydarzenia. Wszystko jedno, czy małżonka zdecydowała się zakpić z niego, czy też go zdradzić, czy może zachowanie jej było jedynie przejawem wzdąry dla przekonania Dąsy, fakt ów istniał, sprawa się rozwijała, rosła naprzeciw niego jak los i jak wojna, nie było na nią sposobu, żadnej innej nie można było zająć wobec niej postawy, jedynie spokojnie ją znosić, a nie atakować i podbijać, na tym bowiem polegała natura Dąsy jako bohatera i mężczyzny.

W każdym razie rozumiał, iż niezależnie od tego, czy podziw Pravati dla kapitana jazdy lub jego dla niej utrzymywał się w dozwolonych obyczajnością granicach, czy nie, ona mniej tu zawiniła niż on sam. On bowiem, Dąsa, wątpiący myśliciel, skłonny był w niej dopatrywać się winy za utratę swego szczęścia lub przynajmniej obarczać ją współodpowiedzialnością za wszystko, w co uwikłał się i wplątał: miłość, ambicję, akty zemsty i rabunki, w myślach czynił kobietę, miłość i rozkosz odpowiedzialnymi za wszystko na ziemi, za cały ów korowód czy wyścig namiętności i żądź, zdrady małżeńskiej, śmierci, morderstwa, wojny. Lecz wiedział przy tym doskonale, że Pravati nie jest przyczyną, nie jest winna, ale sama stała się ofiarą, sama wszak nie stworzyła ani swojej piękności, ani jego ku niej miłości i odpowiadać za to nie może, gdyż jest jedynie pyłkiem w słonecznym promieniu, falą na rzece, jego, Dąsy, natomiast wyłącznie, sprawą powinna być ucieczka przed kobietą i miłością, głodem szczęścia i ambicją, że powinien był albo pozostać zadowolonym pasterzem pośród pasterzy, albo też tajemnymi sposobami jogi przemóc w sobie wszystkie te

niedostatki. Zaniechał tego, zawiódł, nie był powołany do rzeczy wielkich, czy też nie dochował wierności swemu powołaniu, żona jego zaś w końcu miała może słusność, dopatrując się w nim tchórza. Natomiast miał z nią syna, tego pięknego, delikatnego chłopca, o którego tak drżał, a którego istnienie ciągle przecież jeszcze nadawało jego życiu wartość i sens i było wielkim szczęściem, trwożnym wprawdzie i bolesnym szczęściem, lecz mimo to szczęściem, jego szczęściem. I oto płacił za to szczęście goryczą i bólem serca, gotowością na wojnę i śmierć, świadomością, że kroć naprzeciw zagładzie. Za granicami jego państwa siedział swym kraju radża Govinda, podżegany i radami obsypywany przez matkę zabitego Nali, tego niesławnej pamięci urodziciela, coraz to częstsze i zuchwalsze stawały się napady i wyzwania Govindy, a jedynie przymierze z potężnym radżą Gaipali zdołałoby Dasę tak umocnić, by wymóc mógł pokój i porozumienie z sąsiadem. Ale ów radża, choć życzliwy Dasie, był jednak spokrewniony z Govindą i nader uprzejmie umiał wymigać się od wszelkich prób pozyskania go dla takiego przymierza. Nie było tedy ucieczki ani nadziei na zwycięstwo rozsądku czy ludzkich uczuć, przeczucie się zbliżało i trzeba je było przyjąć. Dasa teraz sam już niemal tęsknił do wojny, do wybuchu tych nagromadzonych piorunów, do przyspieszenia biegu wydarzeń, którym przecież zapobiec nie mógł. Raz jeszcze odwiedził księcia Gaipali, wymienił z nim — bez rezultatu — uprzejmie słowa, nalegał w radzie na umiarkowanie i cierpliwość, lecz czynił to już od dawna bez cienia nadziei; a poza tym zbroił się. Scysje w radzie toczyły się już tylko na temat, czy następny atak wroga winien w odpowiedzi doprowadzić do wkroczenia na teren jego kraju i do wojny, czy też należy zaczekać na główne natarcie nieprzyjaciela, aby, mimo wszystko, on właśnie wobec ludu i wobec wszystkich uchodził za winowajcę, który pogwałcił pokój.

Wróg, nie troszcząc się wcale o te sprawy, położył kres namysłom, naradom i wahaniom, atakując pewnego dnia. Zainscenizował większy rabunkowy napad, który natychmiast ściągnął nad granicę Dasę wraz z dowódcą jazdy

i najlepszymi jego ludźmi, a podczas gdy wszyscy byli jeszcze w drodze, nieprzyjaciel przewagą swoich sił wdarł się do kraju, od razu wtargnął do miasta Dąsy, zajął bramy i otoczył pałac. Dąsa, dowiedziawszy się o tym, zawrócił iatychmiast, wiedział bowiem, że żona i syn jego zamknięci są w zagrożonym pałacu, natomiast na ulicach toczą się krwawe walki, serce ścisnął mu wtedy okrutny ból, gdy pomyślał o swoich i o grożących im niebezpieczeństwach. Nie był już teraz wojownikiem ociążliwym i ostrożnym, zapłonął bólem i wściekłością, w szaleńczym pośpiechu pędził wraz ze swymi ludźmi do miasta, gdzie na wszystkich ulicach zastał walki, przedarł się do pałacu, stanął w obliczu nieprzyjaciela i walczył jak szaleniec, aż o zmierzchu tego krwawego dnia padł zemdlony, wyczerpany, kilkakrotnie ranny.

Gdy wróciła mu przytomność, był już jeńcem, bitwa została przegrana, miasto i pałac znajdowały się w rękach wroga. Związane Dąsę zaprowadzono przed Govindę, który powitał go szyderczo, wiodąc do jego własnej komnaty: była to owa komnata o rzeźbionych, pozłacanych ścianach, pełna bibliotecznych rulonów. I tam właśnie ze skamieniałą twarzą siedziała na dywanie wyprostowana żona Dąsy, Pra-vati, za nią uzbrojone strażę, a na jej kolanach spoczywał chłopiec: delikatna jego postać, martwa niczym złamany kwiat, leżała z poszarzałą twarzą, szaty przesiąknięte były krwią. Pravati nie odwróciła głowy, gdy wprowadzono jej męża, bez wyrazu wpatrywała się w małego trupka, wydała się Dasie dziwnie zmieniona i dopiero po chwili zauważył, że włosy jej, które przed kilku jeszcze dniami były kruczo czarne, przetkane były teraz siwymi pasmami. Długo chyba już tak siedziała, z dzieckiem na kolanach, zastygła, z twarzą podobną do maski.

— Ravana! ■— wykrzyknął Dąsa. — Ravana, dziecko moje, kwiatku mój! — Ukląkł, twarzą padł na zmarłego, jakby w modlitwie klęczał przed oniemiałą kobietą i dzieckiem, oboje opłakując i hołd składając obojgu. Poczł zapach krwi i śmierci, zmieszany z wonią kwiatowego olejku, któ-

rym namaszczone włosy dziecka. Pravati skierowała w dół, na nich obu, zlodowaciałe spojrzenie.

Ktoś dotknął ramienia Dasy, był to jeden z przywódców Govindy, kazał mu wstać i wyprowadził. Ani słowa nie rzekł Dasa do Pravati, ani ona do niego.

Związanego złożono Dasę na wozie i zawiezono do więzienia. W mieście Govindy więzy częściowo mu zdjęto, żołnierz przyniósł dzbanek wody, postawił go na kamiennej podłodze, pozostawił więźnia w samotności, zamykając i ryglując drzwi. Jedna z ran na jego ramieniu palić zaczęła jak ogień. Dosięgnął dzbana i spryskał wodą ręce i twarz. Pić także chciał, lecz nie napił się, myśląc, iż w ten sposób prędeży umr?e. Jak długo potrwa to jeszcze, jak długo! Tęsknił do śmierci, podobnie jak wysuszone jego gardło tęskniło do wody. Dopiero wraz ze śmiercią ustać miały męczarnie jego serca, zgasnąć miał w nim obraz matki z martwym synem. Łącz pośród tych udręczeń górę w nim wzięły litościwie zmęczenie i osłabienie: padł i zasnął.

Gdy ocknął się z owej krótkiej drzemki, chciał, oszołomiony, przetrzeć oczy, lecz nie mógł tego **zrobić**, obie ręce miał już bowiem zajęte, trzymały coś, a gdy do cna otrzeźwiał i oczy otworzył szeroko, nie otaczały go mury więzienia, je-no zielone światło jasną, silną strugą przepływało przez liście i mech, długo mrużył oczy, gdyż owo światło ugodziło go jak bezszelestny, choć gwałtowny cios, wzdrygnął się, przeszył go dreszcz przerażenia, raz jeszcze przymrużył oczy, wy Krzywił twarz jakby w płaczu i znowu szeroko oczy otworzył. Stał oto w lesie, oburącz trzymając misę pełną wody, u jego stóp migotało brunatną i zieloną barwą źródelko, dalej zaś, za gęstwiną paproci, wiedział, że stoi chata i czeka joga, który posłał go po wodę, ten sani joga, co śmiał się tak dziwnie i którego Dasa prosił, by powiedział mu cokolwiek o Mai. A więc nie przegrał bitwy ani nie stracił syna, nie był ani księciem, ani ojcem; natomiast joga spełnił jego prośbę i pouczył go, czyrn jest Maja: pałac i ogród, biblioteka i hodowla ptaków, troski książęce i oj-cowska miłość, wojna i zazdrość, miłość do Pravati i gwałtowna do niej nieufność, wszystko było niczym — nie, nie

niczym, było Mają! Dąsa stał wstrząśnięty, łzy spływały po jego policzkach, misa, którą właśnie nappełnił wodą dla pustelnika, drżała i chwiała się w jego rękach, woda przelewała się wierzchem, kapiąc mu na nogi. Wydało mu się, że rękę mu obcięto czy też może coś wyjęto z jego głowy, pustka w nim panowała: odjęto mu oto nagle długie lata życia, skarby, których pilnie strzegł, radości, jakich zaznał, bóle, które znosił, lęki, rozpacz graniczącą ze śmiercią, wszystko lo znikło, zagasło, stało się niczym — a jednak nie niczym! Wspomnienia pozostały bowiem, pozostały w nim obrazy, jeszcze widział siedzącą, wysoką a nieporuszoną postać Pravati o nagle posiwiałych włosach, na jej kolanach leżał syn, jakby sama go zadusiła, leżał jak zdobycz, a jego omdlałe już ręce i nogi zwisały z jej kolan. O, jakże szybko, szybko i straszliwie, jak okrutnie i dokładnie pouczony został, czym jest Maja! Wszystko uległo przesunięciu, wiele lat, pełnych przeżyć, skurczyło się do rozmiarów chwil, wszystko, co przed chwilą jeszcze przejmującą wydawało się rzeczywistością, snem było, a może i wszystko inne, co działo się wcześniej, także było snem: owe historie o książęcym synu, Dasie, jego życiu wśród pasterzy, ożenku, zemście na Nali, ucieczce do pustelnika; obrazy to były jeno, takie, jakie podziwiać można na pokrytej rzeźbami ścianie pałacu, gdzie pośród kwiatów, gwiazd, ptaków i gałęzi widać także małpy i bogów. A czyż wszystko, co teraz właśnie przeżywał i miał przed oczami, to przebudzenie się ze snu o życiu księcia, wojnie, więzieniu, to stanie tu, przy źródle, ta misa z której oto wylał trochę wody, te myśli, które krążyły mu w głowie — czyż i to w końcu nie z tej samej składało się materii, nie było również snem, iluzją, Mają? A wszystko, co jeszcze miał przeżyć, oglądać oczami, dotykać rękami, aż po chwilę śmierci, która kiedyś nastąpi — czyż inne było, z innej materii? Igraszką była, iluzją, złudzeniem i marzeniem, snem, Mają, cała ta piękna i straszliwa, zachwycająca i rozpaczliwa obrazkowa loteryjka życia, wraz z wszystkimi palącymi rozkoszami i palącymi bólami.

Dąsa ciągle jeszcze stał jak odurzony i porażony. Misa znowu zachybotała w jego rękach, woda się wylała, chłod-

nym bryzgiem oblała palce jego nóg i rozplynęła się. Cóż miał robić? Ponownie napełnić misę, odnieść ją jodze, dać mu się wyśmiać z racji wszystkiego, co w owym śnie wycierpiał? Nie nęciło go 10. Opuścił misę, wylał do reszty wodę, rzucił naczynie na mech. Siadł pośród zieleni i jął się poważnie zastanawiać. Dość miał, aż nazbyt dość tych mrzonek, tych demonicznych splotów przeróżnych przeżyć, radości i cierpień, co serce uciskały, sprawiając, że krew zastęga w żyłach, a potem nagle okazywały się Mają, pozostawiając człeka wystrychniętego na dudka, dość miał wszystkiego, nie pragnął już żony ani dziecka, ani tronu, ani zwycięstwa, ani zemsty, ani szczęścia, ani mądrości, ani władzy, ani cnoty. Niczego więcej nie pragnął prócz spokoju i końca, niczego nie chciał, jak tylko zatrzymać i zagasić to wiecznie obracające się koło, ten bezkresny kalejdoskop obrazów. Chciał osiągnąć spokój i zginąć, podobnie jak tego pragnął, gdy podczas owej ostatniej bitwy rzucił się pomiędzy nieprzyjaciół, rażąc i sam będąc rażony, rany zadając i otrzymując, aż omdlał pod ciosami. Lecz cóż potem? Potem była pauza omdlenia, drzemki albo śmierci. A zaraz potem budził się człowiek znowu, musiał ponownie w oczy swoje przyjmować mnóstwo obrazów, strasznych, pięknych, przerażających, prąd życia znów przenikał jego serce i tak bez końca, bez ratunku, aż do następnego omdlenia, do następnej śmierci. Bowiem śmierć taka oznaczała może przerwę, krótki, niewielki odpoczynek, nabranie oddechu, lecz potem trzeba było iść dalej, stając się znowu jedną z tysiąca postaci w dzikim, szaleńczym i rozpaczliwym tańcu życia. Ach, nie istniało unicestwienie, nie było kresu.

Niepokój kazał mu zerwać się znowu. Jeśli już w przekleństym owym korowodzie nie było odpoczynku, jeśli jedyne i największe jego życzenie spełnić się nie mogło, mógł przecie na nowo napełnić misę wodą i zanieść ją owemu starcowi, co przynieść sobie wody rozkazał, choć w istocie nie miał prawa rozkazywać mu. Była to przysługa, jakiej od niego zażądano, zlecenie, które posłusznie można było wypełnić, zawszeć to lepsze, niż tak siedzieć i wynajdywać sobie metody samounicestwienia, w ogóle zresztą posłuszeń-

stwo i służba lepsze były i lżejsze, znacznie bardziej niewinne i zdrowe niż panowanie i odpowiedzialność, tyle Dąsa już wiedział. Dobrze tedy, Dąsa, bierz ową misę, napelnijże ją wodą i zanieś swemu panu!

Gdy wrócił przed chatę, mistrz powitał go osobliwym spojrzeniem z lekka pytającym, na poły współczującym, na poły ubawionym i porozumiewawczym, spojrzeniem, jakie starszy chłopak może rzucić młodszemu, gdy widzi go powracającego po trudnych, nieco zawstydzających przygodach, po próbie odwagi, którą mu sam narzucił. Ów książę-pastuch, ów biedak, który do niego się przybłąkał, wracał teraz wprawdzie tylko od źródła, wodę przynosił, nawet kwadransa nie trwała jego droga, ale mimo to powracał również z więzienia, utracił żonę, syna, księstwo, całe życie ludzkie przeżył, raz jeden okiem rzucił na obracające się koło. Zapewne młodzieńca tego wcześniej już choć raz albo i parę razy budzono i zdołał on zaczerpnąć haust rzeczywistości, inaczej nie przyszedłby tutaj ani nie siedział tu tak długo; teraz jednak wydawał się zbudzony prawdziwie, dojrzały już do wkroczenia na długą drogę. Wiele lat strawi pustelnik na tym, aby owego młodzieńca nauczyć przynajmniej należytej postawy i sposobu oddychania.

I tylko tym spojrzeniem, leciutką oznaką życzliwego zainteresowania, bezgłośnym zaznaczeniem powstałego pomiędzy nimi kontaktu — kontaktu mistrza z uczniem — jedynie tym spojrzeniem dokonał joga przyjęcia ucznia. Spojrzenie to przepędziło zbędne myśli z głowy ucznia, wprowadzając go w ład i służbę. A więcej nie da się opowiedzieć o życiu Dąsy, reszta dokonała się bowiem poza granicami obrazów i opowieści. Lasu nie opuścił już nigdy.

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie: Gra szklanych paciorków	9
Opis żywota magistra ludi Józefa Knechta	43
POWOŁANIE	45
WALDZELL	84
LATA STUDIÓÓW	108
DWA ZAKONY	143
MISJA	175
MAGISTER LUDI	205
URZĄD	243
DWA BIEGUNY	264
ROZMOWA	289
PRZYGOTOWANIA	323
OKÓLNIK	349
LEGENDA	377
Pisma pozostawione przez Józefa Knechta	435
WCH3ZE UCZNIĄ I STUDENIA	437
TRZY ŻYCIORYSY	455
1. Zaklinacz deszczu	450
2. Spowiedmk	439
3. Życiorys hinduski	531